

MARIUSZ WOLLNY:

OBLICZE PANA:

Wydawnictwo Otwarte
Kraków 2009.

Projekt okładki: Adam Stach

Fotografia na okładce: Nic Skerten / Trevillion Images
Fotografia autora: Paweł Gąsior
Opieka redakcyjna: Arletta Kacprzak
Opracowanie typograficzne książki:
Daniel Malak
Adiustacja: Małgorzata Uzarowicz/ d2d.

pl

Korekta: Magdalena Kędzierska/ d2d.

pl, Małgorzata Poździk/d2d.

pl

Łamanie: Małgorzata Poździk/d2d.

pl Copyright by Mariusz Woliny ISBN 978-83-7515-083-4

[www.otwarte.](http://www.otwarte.eu)

eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul.

Kościuszki 37, 30-105 Kraków, tel.

(12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można
kupić książki Wydawnictwa Otwartego: [www.](http://www.znak.com.pl)

znak.

com.pl

Moim najbliższym w Niemczech:

ojcu Alojzemu i siostrze Renacie Kukuli wraz z rodziną.

Zbieżność nazwisk i postaci występujących w powieści z osobami rzeczywistymi jest całkowicie przypadkowa (dotyczy to zwłaszcza potomków

rodu von Baysen-Bażyńskich)

Konigsberg 1, 11 października 1944 (środa)

Joachim Plotzke, profesor historii na Uniwersytecie Albertina, postawił wodę na ostatnią tego wieczoru herbatę i czym prędzej wrócił do swego królestwa - biblioteki zajmującej jedyne większe pomieszczenie w jego skromnej kawalerce przy Hermann Göring Strasse (dawniej Königsallee).

Książki nie tylko stały na regałach sięgających sufitu, ale także leżały w stosach na krzesłach i na podłodze.

Na środku pokoju królował ogromny dębowy stół nadwanaście osób, pełniący funkcję biurka, zagracony różnymi szpargałami.

Profesor usiadł na wygodnym krześle, zapalił biurową lampkę, wziął do ręki lupę, zsunął nosokulary w drucianej oprawie i pochylił się nad rozłożonym na blacie przytrzymywanym narogach czterema ciężkimi książkami pergaminem.

Nisko przygięty, capią bródką muskając kartę, z wolna wodził lupą porządkiem liter, po raz nie wiadomo który wertując tekst i napawając się jego treścią.

Mlaskał przy tym, cmokał i mruczał do siebie, zadowolony jak wyposzczony dachowiec, który dobrał się do spiżarni:

- Doskonały.

Cudownie.

Cóż to będzie za sensacja!

Historia, książki, stare dokumenty i, dla wytchnienia, znaczki, których posiadał cenną kolekcję, to był cały jego świat.

Nie miał rodziny ani nałogów, polityką nie zajmował, do nazistów miał stosunek obojętny.

Koleje wojny interesowały go o tyle, o ile wpływały na jego pracę.

Po sierpniowych nalotach Brytyjczyków Stare Miasto legło w gruzach, zniszczone zostały wszystkie mosty na wyspie Kneiphof, spalona katedra, zwalona większość

budynków uniwersytetu.

Wielu mieszkańców, w tysiącach Plotzkiego, spaliło się żywcem lub zadusiło dymem w pożarach swych domów.

Ale kamienica, w której mieszkał

' Królewiec, stolica Prus Wschodnich (obecnie rosyjski Kaliningrad).

, ocalała, a zajęcia na uniwersytecie już przywrócono. I tylko to się dla niego liczyło. Gwizd czajnika i pukanie do drzwi rozbrzmiały w tym samym czasie. Profesor chwilę wahał się niezdecydowany, po czym garbiąc się niczym starzec, którym wcale nie był, podreptał do drzwi.

- O, to pan... - powiedział, otwierając. - Proszę się rozgościć. Muszę iść do kuchni wyłączyć wodę. Herbaty?

- Dziękuję, nie. Wpadłem tylko na chwilę.

Kiedy gospodarz wrócił do biblioteki, ostrożnie niosąc filiżankę z chińskiej porcelany z parującym płynem, przybysz pochylał się nad pergaminem.

- Widzę, że wciąż nie może się pan nacieszyć swoim znaleziskiem, Herr Professor. Czy przemyślał pan sobie to, co panu wczoraj powiedziałem?

- To niemożliwe - naukowiec pokręcił głową, stawiając filiżankę na brzegu stołu. - Dobro nauki wymaga, aby moje odkrycie zostało upub-licznione jak najprędzej.

- Ale dobro Trzeciej Rzeszy wymaga, aby na razie wiedziało o tym jak najmniej osób, profesorze. Pan dobrze o tym wie, lecz bardziej od pomyślności ojczyzny zależy panu na rozgłosie i uznaniu ze strony innych naukowców. Jest pan egoistą, Herr Plotzke. Już widzi pan nagłówki w gazetach: „Profesor Joachim Plotzke odsłania tajemnicę sprzed sześciuset lat!” Albo: „Największe odkrycie naszych czasów!”. Oraz miny pozieleniałych z zazdrości kolegów. Apeluję do pana, by, przynajmniej na jakiś czas, poświęcił pan swoją naukową sławę w imię wyższych racji.

Zacięty wyraz twarzy Plotzkego wskazywał, że łatwiej byłoby namówić Syzyfa do porzucenia głazu albo na powrót zapędzić Hitlera do sztalug.

- Nauka zawsze ma u mnie pierwszeństwo - powiedział wyniośle historyk, zaczepnie wysuwając naprzód cofnięty podbródek.

Do wczoraj jego wysokie mniemanie o sobie miało raczej wymiar zbiorowy i, dzielone z kilkudziesięcioma milionami innych przedstawicieli rasy panów, smakowało trochę jak herbata po entym parzeniu. Ale teraz nabrało wyrazistego, indywidualnego charakteru. Jeszcze się trochę garbił, stare nawyki trudno wykorzenić, lecz głowę nosił już znacznie wyżej. Wiedział, że na uczelni i w swoim

środowisku ma opinię przeciętniaka i nudziarza, który prochu nie wymyśli. No to się przekonają, jak bardzo się mylili. Już niedługo cały świat pozna jego nazwisko i będzie je wymawiał z należną czcią.

- To pańskie ostatnie słowo?

- Tak. A teraz proszę wybaczyć, ale muszę dorzucić do ognia. Żelazny piecyk w kącie pokoju, tak zwana koza, nie był w stanie należycie ogrzać pomieszczenia, lecz w dobie trudności ze wszystkim opał i tak należało oszczędzać.

- Ja to zrobię - powiedział gość.

Pochylił się i ręką w czarnej skórzanej rękawiczce sięgnął po pogrzebacz leżący w węglarce do połowy wypełnionej miałem zastępującym węgiel. Otworzył stalowe drzwiczki i przegrzebał palenisko, po czym, korzystając z tego, że profesor zajął się herbatą, błyskawicznie wyprostował się i z całej siły spuścił pogrzebacz na pochyloną głowę naukowca. Chrupnęła pękająca czaszka. Z bezwładnej dłoni wypadła filizanka z resztką płynu, rozbijając się na podłodze, na którą osunęło się też ciało. Drgało chwilę, nim znieruchomiało. Na wszelki wypadek morderca uderzył jeszcze dwa razy i odrzucił na bok zakrwawiony pogrzebacz. Nie tracąc czasu, mężczyzna przeglądnięt leżące na stole szpargały, zabierając pergamin i kilka innych kartek. Zwinął wszystko razem w rulon i wsunął do kieszeni. Potem, wykazując się dobrą orientacją w zasobach gospodarza, podszedł do regałów, wyjął kilka ciężkich tomów i wy dostał schowany za nimi klaser z cennymi znaczkami. Następnie przyniósł z kuchni bańkę z naftą, którą oblał zwłoki i papiery na stole. Resztę rozbryztał dookoła, uważając, by się nie pochłapać i nie wdepnąć w kałużę krwi wokół głowy ofiary. Zawahał się, czy nie zabrać ze sobą kilku ksiąg, których wysoka wartość była mu znana, ale ostatecznie rozmyślił się. Profesor wszystkie książki zaopatrywał ekslibrisem, mogłyby więc zdemaskować jego mordercę. Zadowolili się zatem tylko klaserem i dokumentami ze stołu. Wychodząc, zapalił zapałkę. Poczekał, aż płomyk urośnie, i cisnął miniaturową pochodnię na rozlaną naftę. Gdy zamykał za sobą drzwi, pożar już dosięgał trupa.

Kraków, 20 czerwca 2010 (niedziela)

Stojąc w bezpiecznej odległości, schowany za rozpostartą gazetą, mężczyzna w jasnym płóciennym ubraniu obserwował wejście do hotelu Polonia. Wreszcie doczekał się. Starszy pan w kosztownym garniturze i pod muchą ukazał się w drzwiach, po czym powędrował niespiesznie

9

ulicą Basztową, raźnie wymachując elegancką laseczką, którą najwyraźniej nosił tylko z przyzwyczajenia.

Przydała się jednak, gdy nagle płytachodnikowa zdradziecko chybnęła mu pod stopą. To od razu zdradziłow nimcudzoziemca, ponieważ przyzwyczajeni do takich atrakcji tubylcymaszerowali ze wzrokiem wbitym pod nogi, czujnie wypatrując podobnych pułapek.

Zato koszyka śmieci stało znacznie więcej od czasu, gdybył tupoprzednimrazem, a i samych śmieci na ulicach poniewierałosięmniej.

Odwrotnie niż w jego ojczyźnie.

Cóż, UniaEuropejska przypominała naczyniapołączone.

Jedni z wolna się cywiliz-owali, drudzy

równali w dół.

Na wysokości Barbakanu starszy pan przystanął, obserwując przejeżdżający tramwaj, jakby się zastanawiał, czy kontynuować spacer, czy zakończyć go na pobliskim przystanku.

Wyjął z kieszeni i rozpostarł plan miasta.

Studiował go chwilę, potem złożył starannie i na powrót schował.

Rzuciwszy jeszcze okiem w pogodne niebo, podjął decyzję i przeszedł nad drugą stronę ulicy, zwawo uskakując w ostatniej chwili przed rozpędzonym gratem,

wypełnionym jazgotem i kierowanym przez ogolonego nagłacę młodzieńca w dresie.

Obszedłszy dokoła Barbakan, zerknął przez bramę do wnętrza budowli, lecz

nie zdecydował się kupić biletu wstępu.

Obejrzał sobie za to ocalały fragment starych murów wraz z Bramą Floriańską i podążył dalej Plantami.

Nie zauważył idącego za nim krok w krok mężczyzny, który już pozbył się gazety. Śledzony co jakiś czas przystawał, napawając się soczystą zielenią i obserwując wszechobecne gołębie.

Plenty zawsze wyglądały pięknie, lecz wiosną szczególnie.

Skuszony ich urodą, a może już trochę zmęczony, starszy pan wypatrzył odosobniony zakątek i usiadł na jednej z kilku pustych ławeczek, z dala od przechodniów i innych spacerowiczów oraz czytających podręczniki studentów, starców, matek z dziećmi w wózkach, panienek z półświatka i meneli, którzy w to piękne niedzielne popołudnie oblegali ławki w głównej alejce.

Podkasał rękaw, by rzucić okiem na zegarek.

Odłożył laskę, rozpiął marynarkę, rozsiadł się wygodnie i wystawił twarz do słońca.

Śledzący go mężczyzna stał oparty o drzewo, z rękoma w kieszeniach, i wahał się.

Jakaś wyzywająco umalowana dziewczyna poprosiła go o ogień, ocierając się o niego niby przypadkiem.

Kiedy zapalił jej papierosa, powiedziała coś, ale pokręcił głową odmownie.

Wzruszyła ramionami i odeszła, kołysząc tyłkiem.

Po paru minutach on podjął decyzję.

Zdecydowanym krokiem podszedł do siedzącego i zagadnął.

10

Wywiązała się rozmowa, z początku spokojna, potem coraz gwałtowniejsza.

Staruszka, która na chwilę przycupnęła na sąsiedniej ławce, by nakarmić gołębie, wstała i odeszła, burcząc półgłosem: "Przeklęte Szwaby!

Tyle lat po wojnie, a wciąż nie dają człowiekowi spokoju.

Wszystko przez tę całą Unię.

I na co było siedzieć i nie pchać?

".

Kraków, 21 czerwca 2010 (poniedziałek)

- Cholera!

- zirytował się komisarz Tadeusz Jarecki, poprawiając się szybko: - Toznaczy rany boskie!

To znaczy, nie to chciałem powiedzieć.

Często kłąpi wpadał w irytację, lecz zazwyczaj pod koniecpracowitego dnia, anie owpół do dziewiątej z rana, kiedy ledwie zaczął robotę.

I rzadko przy starszych, wiekiem lubstanowiskiem.

Zmianę w jego ustalonych przyzwyczajeniach spowodowała niepozorna staruszka, siedzącaz niewinną minąnaprzeciwko.

Jarecki wstał, rzucił śmiejącemu się w kułak koledze przy sąsiednim biurku mordercze spojrzenie, spacerując wtei wewte, wziął dwa głębsze wdechy, po czym usiadł z powrotem.

- Przepraszam, poniosło mnie.

A więc, pani Apolonio, zacznijmy odnowa.

- Wolałabym, młody człowieku, żeby mówił pan do mnie po nazwisku - przerwała mu babcia wyniośle.

- Świętej pamięćimamusia uczyłamnie, zestarszym osobomnaależy się szacunek.

Pan nie miał matki, panie oficerze?

Ach, todzisiejsze wychowanie.

Wszyscy do wszystkich gadająpo imieniu!

Pamiętam, jak.

Drugi policjant wydał z siebie coś na kształt stłumionego kwiku, poczym zatykając usta, wybiegł zpokoju.

PoczerwieniałyJarecki rzuciłszybko przez zaciśnięte zęby:

- Pani Korzonek!

Nikt tu pani nie ciągał na siłę, przyszła pani z własnej woli, a terazodmawia współpracy.

- Spełniłam tylkoswój obywatelskiobowiązek.

Tak mnie nauczono.

A ksiądz proboszcz też zawsze powiada, że osobom wierzącym nie wolnoprzechodzić obojętnie wobecnieprawości.

Dlatego tu przyszła, chociaż wcale mi niepo drodze, a i nogi już nie te, co dawniej.
O, dawniej, proszę pana oficera, to żem mogła, pasając krowy, całe Błonia oblecieć
koło ze dwa razy, potem pobiec na grób dziadziusia na Salwatorskim

omentarzu i jeszcze do norbertanek na wieczorne nabożeństwo zdążyła.

..

Jarecki potarł łysiejące czoło, na którym skroplił się pot.

Chętnie zaczęłyby rwać włosy z głowy, gdyby go byłostaćna taką rozrzutność.

- Pogratulować kondycji, ale wróćmy do rzeczy.

Przyszła tu paniz powodu zdjęcia, które ukazało się w porannej prasie i.

- Bo ja zawsze wstaję o szóstej, proszę pana, choćbysię waliło.

Mójnieboszczyk mąż.

Panie świeć.

- PaniKorzonek, litości!

- Jarecki złożył dłonie jak do modlitwy.

-Dorzeczy!

- No więc nakarmiłam koty.

Bo mam dwa, proszę pana, buregokota i rudą kotkę, ale czasem zachodzitakże kot sąsiadów, cały czarny.

To andrus, ale straszny chudziak, takabida, że ino skóra a kości.

Boci sąsiedzi, proszę pana, to niedobrzy ludzie i do zwierzaków serca niemają.

- widocznie zobaczyła coś w oczach policjanta, gdyż chrząknęła i zastosowała się do

prośby: - No więc o siódmej wyszłam do sklepu po mleko i po drodze kupiłam w

kiosku "Dziennik Polski", bo jeszcze mój świętej pamięci mąż go kupował.

Wróciłam do domu, na śniadanie zrobiłam sobie owsiankę na mleku, a potem

sięgnęłam po gazetę i wtedy zobaczyłam to zdjęcie i wasz adres.

Telefon też, ale ja nie mam telefonu, bo i naco mi on?

No to żem sobie pomyślała, że trzeba spełnić obywatelski obowiązek.

I dlatego tu jestem.

- To pięknie.

Doceniamy pani obywatelską postawę, pani Korzonek, ale na Boga Ojca, jeśli się powiedziało A, trzeba powiedzieć B!

Przecież mówiłem pani, że dysponujemy najnowszym programem komputerowym i.

Staruszka z obrzydzeniem spojrzała nastojący na biurku komputeri wzdrygnęła się, odruchowo odsuwając się razem z krzesłem.

- Alpa szatana!

jak powiada ksiądz proboszcz.

To po łacinie, proszę pana.

Znaczy: precz diabelskie nasienie!

Komputer to dzieło szatana i nikt mi nie wmówi, że nie, jak tak.

Dobrze wiem, co w nim jest: sama pornografia i inne świństwa.

Wołam imnie do tego diabelstwa nie zaciągniecie!

- Do dia.

Przepraszam, znów się uniosłem.

No dobrze.

Mamy też taki specjalny album.

Bierze się po kolei poszczególne detale i dopasowuje.

- Nie!

- powiedział staruszka z zaciętą miną.

- Ma być po bożemu.

Mój świętej pamięci mąż, Eugeniusz Korzonek, wybitny artysta malarz,

12

sławny na cały Zwierzyniec, to takie piękne portrety malował z głowy albo z fotografii, że wszyscy sąsiedzi.

- Ile razy mam pani tłumaczyć, że nasz rysownik zachorował i.

- To nic z tego nie będzie.

Niepotrzebnie tu przychodziłam, a tam kochane gołąbki na mnie czekają - babina zaczęła się zbierać do wyjścia, macając oparcie w poszukiwaniu czarnej parasolki, torebki i foliowej torby z pokruszonym suchym chlebem.

- Pani Korzonkova!

Pani wcale nie widziała tamtego człowieka!

- rzucił zrozpaczony Jarecki.

- Jakże bynie!

Tak wyraźnie jak pana teraz!

Żeby tak z piekła niewyjrzała, jeśli kłamię!

Nagle policjantowi przyszło coś do głowy.

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy.

- Pani Korzonkova, zechce pani spocząć.

Przepraszam, ale muszę zadzwonić.

Chyba znalazłem rozwiązanie naszego problemu.

Wystukał numer, czekał chwilę, po czym rzucił kilka słów, wysłuchał odpowiedzi i wyłączył telefon.

- To trochę potrwa.

Kawy czy herbaty?

A może jakąś przekąskę?

Mogę skoczyć do stołówki.

- Poproszę kawę.

Po turecku, ale słabą.

Taką z półtorej łyżeczki.

Inocubatej.

Ze śmietanką i trzema łyżeczkami cukru.

Albo czterema.

Albo jednak trzema.

I najbardziej lubię cukier w kostkach.

Jeśli jest.

Kiedyś cukrzyłam więcej, ale pan wie, cukier to biała śmierć.

Czytałam o tym w "Dzienniku Polskim".

Mogę trochę poczekać, byle nie za długo - zakończyła skawie, wygodniej moszcząc się na krześle.

Trr..

Przeklęty budzik!

Po jaką cholere go wczoraj nastawił, skronie musiał się dziś zrywać skoro świt?

Półprzytomny, ze złością wymacał klawisz i wyłączył budzenie.

Ale za chwilę telefon komórkowy znów zadzwonił i zrozumiał, że ktoś czegoś od niego chce o tak nieludzkiej porze.

- Tomasz Bażyński - burknął rozspanym tonem do słuchawki.

- Jeśli to nic ważnego, zabiję cię, kimkolwiek jesteś.

Ale szybko otrzeźwiał.

Dzwonił stary kumpel, jeszczez "piątki", obecnie komisarz w Wydziale Kryminalnym Komendy Wojewódzkiej.

Sprawa zapowiadała się interesująco.

A on interesujących momentów miał ostatnio w życiu jak nalekarstwo.

13.

- Dobrze, będę do półtorej godziny.

Odłożył telefon i pobiegł do łazienki.

Zupełnie odechciało mu się spać.

Zresztą było już podziwiałej, to wcale nie tak nieludzko wcześnie dla normalnych ludzi, którzy zasypiają o przyzwoitej porze.

On jednak do nich nie należał.

Zwykle kładł się spać między drugą a trzecią i lubił poleżeć co najmniej do dziesiątej.

Wskoczył pod prysznic, po czym byle jak wytarł ciało i stanął przed umywalką, by wyszorować zębami.

Naszcześnie golić się nie musiał.

Robił to zawsze przed spaniem i zazwyczaj odbiedy wystarczało na cały dzień.

Z lustra naprzeciwko spoglądał na niego długowłose trzydziestolatek.

Tomasz Bażyński w całej okazałości, jak go Bozia stworzyła.

Ani szczególnie przystojny, ani specjalnie szpetny.

Przeciętny.

Średniego wzrostu, ale dzięki ćwiczeniom dość muskularny.

Na pętli tramwajowej w ostatniej chwili wskoczył do wagonu.

Wsiadł na Lubicz.

Znowu miał szczęście, bo niemal natychmiast nadjechała "10".

Kiedy na Mogilskiej wyskakiwał z tramwaju, dochodziło wpół do jedenastej.

Zmieścił się zatem w wyznaczonym czasie.

To dobrze, bo zawsze starał się dotrzymać terminów.

Komenda Wojewódzka Policji w Krakowie mieściła się w ogromnym acz szpetnym budynku z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku, w ulubionym wówczas stylu gierkowskim typu szkło i beton.

W recepcji zgłosiła się domiła pani, która w pierwszej chwili zadzwoniła, a potem kazała mu czekać.

Jarek zjawił się po kilku minutach.

- O, jaki kretyński kucyk - ucieszył się na widok Bażyńskiego, prowadząc go do

windy.

-Stale to słyszę od zazdrośników - odpalił Tomasz, złośliwie zezując na dość już wyraźną łysinę Jareckiego, nieco rekompensowaną przez bujne włosy; była na świecie sprawiedliwość: w liceum to Tadek obnosił dumą bujne blond włosy, na które podrywał najlepsze dziewczyny.

-Przypomniałeś sobie o moim istnieniu i zerwałeś mnie skoroświt, żeby pogadać o fryzurach?

Nadjechała winda.

Model dość antyczny, ale sprawny.

- Zabrałeś co trzeba?

Co prawda nasi rysownicy mają odpowiedni sprzęt, ale nie chcę im grzebać po szufladach.

- Tak - Tomasz pokazał torbę.

- Choć ile wiem, oddawna takierze czy robi się komputerowo.

Wysiedlił windy i klucząc korytarzami, zszli na poziom piwnic.

14

- Nie w tym wypadku - Jarecki pchnął kolejną wahadłową drzwiami i przepuścił Bażyńskiego.

- Sprawa wygląda tak: wczoraj późnym popołudniem znaleziono na Plantach zaszytowanego starszego mężczyznę.

Nie miał przy sobie dokumentów.

Przypuszczalnie ukradł je morderca lub kieszonkowcy.

Może to cudzoziemiec, bo słyszano go rozmawiającego po niemiecku.

Dlatego my przejęliśmy sprawę od kolegów z Komendy Miejskiej.

Właśnie czekam na raport ze wszystkich hoteli w mieście.

Ale już wczoraj przesłaliśmy zdjęcie denata do gazet.

I oto przed ponad godziną zgłosił się świadek, który rozpoznał nieboszczyka z fotografii w gazecie i być może widział zabójcę.

To niejaka Apolonia Korzonek, lat siedemdziesiąt dziewięć, członkini Bractwa Różańcowego i paru innych kościelnych stowarzyszeń, o których nawet nie słyszałem.

Wdowa po Eugeniuszu Korzonku, ponoć sławnym malarzu.

Słyszałeś o takim?

- W życiu.

Wyszli z labiryntu i wsiedli do następnej windy.

- Tak przypuszczałem- Jarecki smętnie pokiwał łysawą głową.

-W każdym razie pani Korzonek za nic w świecie nie zbliży się do komputera, który uważa z diabelski wynalazek, natomiast nie ma nic przeciwko portretowi pamięciowemu wykonanemu przez artystę, ponieważ jest przyzwyczajona do obcowania z prawdziwą sztuką.

To jej własne słowa.

Dlatego jesteś mi potrzebny, bo jeden nasz etatowy rysownik jest nawet w drodze służbowym w terenie, a drugi akurat złapał gripę.

W czerwcu!

Jak pech to pech.

- Ale dlaczego ja?

Nie widzieliśmy się całe wieki.

Rzeczywiście.

Po maturze ich drogi się rozeszły.

Spotykali się z rzadką wspólnych znajomych, a najczęściej przypadkowo, wymieniając zdawkowe pozdrowienia i informacje typu "co słychać?"

". A i w liceum, choć siedzieli w jednej ławce i niby przyjaźnili, stale rywalizowali ze sobą, to praktycznie na wszystkich polach.

Zbliżyło ich i najmocniej łączyło jedno - obaj w dzieciństwie stracili ojców.

- Bo nie znam żadnego innego grafika, a czas naglił.

Dzięki, że chciał się przyjechać.

Na trzecim piętrze wyszli z windy i stanęli przed dwuskrzydłowymi białymi drzwiami z żółtą tabliczką: "Strefa Bezpieczeństwa i".

Osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony".

Za nimi był krótki i ciasny korytarz.

Przed drzwiami obitymi czarną skórą paliła się czerwona lampa opatrzona w

napis:"Nie wchodzić".

15.

- No i dotarliśmy - powiedział Jarecki.

- Oficjalnie to się nazywa Pracownia Odtwarzania Wyglądu Osób i Przedmiotów. Królestwo ekspertów zwanych popularnie rysownikami.

To jak, gotów?

- Raz kozie śmierć - westchnął Bażyński, przekraczając otwarte przez komisarza drzwi i w ostatniej chwili powstrzymując się przed przeżegnaniem.

- Nareszcie - usłyszał na swój widok.

- Proszę pamiętać, że zbliża się moja pora karmienia gołębi.

Wbrew jego obawom, pani Korzonek nie okazała się wojowniczą staruszką z inkwizytorским ogniem w oczach, haczykowatym nosem groźnie sterczącym spod moherowego beretu, obwieszoną różańcami i uzbrojoną w parasolkę z solidnym szpikulcem, tylko siwiuteńką, dość miłą i pulchną osobą we wdowiej czerni.

Acz parasolka wisiała jednak na oparciu krzesła.

Wyglądało jednak na to, że służy pani Korzonek raczej jako laska niż narzędzie do dyscyplinowania nieprawowiernych.

- Wolałabym jednak mężczyznę - skrzywiła się, spoglądając na Tomasz z mrużonymi oczyma krótkowidza.

- Mój świętej pamięci mąż powiadał, że kobiety nie czują sztuki, bo za bardzo je pochłaniają przyziemne sprawy.

Moim zdaniem nie do końca miał rację, ale.

- To ja już pójdę - młody policjant poderwał się z krzesła z miną, jakby to było krzesło elektryczne, a on był skazańcem, którego mu koledzy politycy w ostatniej chwili załatwili ułaskawienie u prezydenta.

Skinął babci, machnął powitalno-pożegnającym gestem Bażyńskiemu, westchnął z ulgą, przeciskając się obok Jareckiego, i już go nie było.

- To moja wina.

Za dokładnie się ogoliłem - odparł Bażyński przepraszająco, ignorując Jareckiego,

który wyszczerzył zęby w szyderczymuściechu.

- Tomasz Bażyński, grafikpokrakowskiej ASP.

Do usług

wielmożnej pani.

Szarmanckopochylił głowę i przytknął usta do niepewnie uniesionej dłoni. Nieco zmieszana starowinasięgnęła do torebki, wyjęła z niejpodniszczony futerał na okulary, wydobyla szkła w szylkretowej oprawie,nasadziłananos i obejrzała sobie Bażyńskiego od stópdo głów.

- Pan wybaczy pomyłkę starej kobiecie- powiedziała lekko zarumieniona z zażenowania.

- Ten końskiogon mnie zmylił.

Abo tow dzisiejszych czasach wszyscy chodzą w spodniach, dziewczyny mająwłosy obcięte jak żołnierze,a znówmężczyźni to jenoszą długie jakkobiety.

Dawniejtakie rzeczy były niedo pomyslenia, proszę panów.

Jeszcze raz przepraszam.

16

- Nie szkodzi, szanowna pani.

Wcale się niegniewam.

Widzi pani,czasem w takich specjalnych przedstawieniach gram rolę rycerza, a oni,w jeshzedawniejszychczasach, nosili długie włosy.

Chętnie bym sięostrzygł, ale konteksthistoryczny mi nie pozwala.

- Ach tak.

Ja to rozumiem.

Mus to mus.

Mójmażteż miał bardzosrogiego majstra.

Atmosfera się ocieplila.

- Pan znał mojego świętej pamięci męża?

Nazywał się EugeniuszKorzonek.

- Niestety, nie miałem przyjemności.

-To niech pan żałuje.

Tobył, proszę pana, najlepszy murarz na Zwierzyńcu.

A jakie szopki krakowskie robił na Boże Narodzenie!

Raz nawet wygrał konkurs na Rynku.

A obrazy to malował doprawdy cudne.

Lasna nich aż pachniał, proszę pana, grzybki chciałyby się zerwać, a sarenki wprost wyskakiwały z ram, takie wszystkobyło jak żywe, proszę pana.

Pan też tak pięknie maluje?

- Niezupełnie - bąknął, myśląc, że babina dostałaby zapewne ataku serca po obejrzeniu jego niektórych grafik, i to nawet tych najbardziej tradycyjnych.

- Ale też jestem ze Zwierzyńca.

- Tak?

A gdzie pan mieszka, jeśli wolno spytać?

- ucieszyła się i spojrzała na niego z rosnącą sympatią; posunęła się w uprzejmość i nawet do tego, że omijała wzrokiem jego kucyk.

- Na Salwatorze.

- A ja przy Salwatorskiej, nadsamą Rudawą.

To jesteśmy jakby sąsiadami.

- To pięknie, moi państwo, że udało mi się urządzić sąsiedzkie spotkanie - wtrącił się lekko zniecierpliwiony Jarecki - ale czas nas goni, gołębieczekają, nieboszczyk stygnie w kostnicy, zabójca buja na wolności, więc pora wziąć się do roboty.

Kawa czy herbata?

- Dłamię razem herbatką z cytryną i czterema kostkami cukru - zadysponowała staruszka.

- A nie trzema?

Wie pani, cukier to biała śmierć.

Trzeba go używać oszczędnie - uśmiechnął się policjant, mrugając do Bażyńskiego.

- Oszczędzałam przy kawie - ucięła.

- To co zwykle - rzucił Bażyński, rozkładając na biurku arkusz papieru i kilka ołówków.

Od dawna zaczynał dzień od mocnej czarnej kawy po turecku, którą sam sobie
mleł w zabytkowym młynku.

Tym razem nie zdążył, ale Jarecki

17.

powinien znać jego upodobania z czasów, gdy wspólnie przygotowywali się do matury.

Czekając na powrót kolegi i korzystając z chwilowego milczenia starszki, która zajęła się kontemplacją oprawionego w ramki starego zdjęcia przedstawiającego ułanów z okresu pierwszej wojny światowej, rozglądał się dyskretnie po gabinecie.

Oprócz wymienionej fotografii, zawieszona nad biurkiem obok pustej, bogato złoczonej ramy, całą jedną ścianę wypełniały akwarele Kossaka, konie luzem i z jeźdźcami, kozakami i ułanami.

Przynajmniej jeden z dwóch rysowników był najwidoczniej zręcznym kopistą. Nad drzwiami widniał wizerunek herbu Jelita, a pod nim dwa skrzyżowane kordy. Drugą ścianę zastawiały brązowe regały pełne książek z zakresu historii sztuki. Podoknem stały dwa nienowe biurka.

Na jednym z nich leżał otwarty laptop, zaopatrzony w profesjonalne programy graficzne: Adobe Photoshop i Picture Publisher.

W sumie całość sprawiała, zapewne celowo, wrażenie zwykłego domowego gabinetu, a nie pokoju przesłuchań.

Z jednym wyjątkiem.

W kącie utworzonym przez regały szczyrzyłyby plastikowy kościotrup w skali 3:4.

- Okropny, prawda?

- Korzonkowa zauważyła, na co spoglądał.

- Czy to po chrześcijańsku trzymać coś takiego w pokoju?

- Pewnie do czegoś służy - odparł.

- Nie jest prawdziwy.

- Toć widzę.

Ale mimo wszystko.

- To "Albert" - wyjaśnił Jarecki, wchodząc właśnie do gabinetu z pełną tacą.

- "Asystent" naszych rysowników.

Przydaje się czasem, żeby zademonstrować na przykład, którą kula weszła w ciało i

takie tam.

Postawił kubki na biurku.

- W zasadzie - powiedział, z zakłopotaniem drapiąc się w pozbawiony włosów nieduży placek na czubku głowy - powinienem zostawić państwa samych.

Takie są przepisy i zwyczaje.

Jednak biorąc pod uwagę, że pan Bażyński nie ma w tej materii doświadczenia.

- Może pan zostać - łaskawie rzekła staruszka, mieszając cukier w kubku.

Kawa okazała się nie taka straszna, jak obawiał się Tomasz.

W przeciwieństwie do roboty.

Ustaliwszy najpierw płeć (męska), wiek ("tak pod pięćdziesiątkę albo ciut więcej, ale niedużo"), wzrost ("taki jak pan" - Bażyński miał 182 centymetry), sylwetkę (krępa), cerę ("mocno opalony, ale biały, nie żaden mulat") i ubiór (kremowe płócienne ubranie, jasnobrązowe półbuty), przeszli do meritum.

Jarecki zadawał pytania, potem zapomocą dość sfatygowanego czarno-białego albumu

Portret pamięciowy

18

ustalał ostateczne szczegóły rysopisu: wygląd twarzy (owalna) i detale (włosy, brwi, oczy, nos, usta, uszy), wpisując dane do formularza.

Bażyński rysował według wskazówek, zmazywał i poprawiał.

- Podbródek jakbyszerszy.

I taki mocniejszy, bardziej.

bardziej.

- Kwadratowy?

Taki jak na tym obrazku?

- Właśnie!

- Tak?

- Lepiej, ale nie aż taki kwadratowy.

- A teraz?

Babcia spojrzała krytycznie.

- Możebyć.

-Pani Korzonek -wtrącił policjant z nagłą podejrzliwością.

- Czyaby na pewno byłapani wtedyw okularach?

- A juści!

- zachnęła się.

-Jakżebym inaczejmogła rozpoznać mojekochane gołąbeczki?

Szczególnie jednego, co ma siwy łebek, brązowepiórka i zawsze się rozpycha, żeby wybrać najlepsze kęski.

Zupełnie jakmój świętejpamięci mąż.

On też był siwyjak ten gołąb, na niedzielęzakładał brązowy garnitur i nigdy nie dawał sobie w kaszę dmuchać.

A jak na obiad był rosół, to wyławiał z garnka kurze serca,bo najwięcejje lubił.

Dlatego na mojego ulubionego gołąbka wołam Gienek, proszępanów.

Tomasz skończył temperowanie ołówka, chrząknął i zaproponował:

- Możeprejdziemy do oczu?

-Toć o nich właśnie powiadam- zdziwiła się Korzonkowa.

- Całkiem dobrze mi jeszcze służą.

Ana ten przykład taka ZiućkaJakubkowa, sąsiadka, to jest ślepa jak, nie przymierzając, kret, choć niema jeszcze siedemdziesiątki.

- Chodzimi o oczy tego mężczyzny.

-Ach!

To czemu pan od razu nie mówił?

Niebieskie.

- Jest pani pewna?

-Może zielone.

Alboszare.

Takie jakieś niewyraźne.

-,.

- Wodniste?

Bładoniebieskie?

- O! Akuratnie pan utrafił.

-Duże czy małe?

- Takie bardziej średnie.

Itak pokolei.

Kiedy już Bażyńskiemu zdawało się, że dobija do portu, Jarecki zapytał:

- A znaki szczególne?

Miał jakieś?

19.

- Znaki jakie?
- zdziwiła się staruszka.
 - No, jakieś znamię, brodawkę, bliznę, takie tam.
 - Nie,ale miał wąsy.
 - I teraz dopiero pani o tym mówi?
- westchnął policjant.
 - A bo zapomniałam.
 - Jakiebyły te wąsy?
- spytał zrezygnowany Bażyński.
 - Takie małe.
 - Takie?
 - Nie, takie to miał Hitler, a nie tamten, chociaż szwargotali po niemiecku, jak już mówiłam tamtemu panu - wskazała brodą Jareckiego.
- Takie bardziej jakpańskie,tylko mniejszei cieńsze.
 - Takie?
 - O to, to!
- Skończyli dobrze pierwszej.

Jarecki zaproponował pizzę na koszt firmy, ale staruszka spieszyła się do swoich gołębi, więc tylko jej podziękował za obywatelską postawę.

Bażyński musiał zostać, żeby podać swoje jedane.

Zaproponował Korzonkowiej, że ją odprowadzi do tramwaju, a lenie chciała czekać, stęskniona za ukochanymi ptakami.

Szczególnie za Gienkiem.

Niezwykle podobnym do niedocenianego artysty malarza, świętej pamięci Eugeniusza Korzonka.

- Pieniądze za robotę wolisz dostać przekazem czy na konto?
- spytał
Jarecki.
 - Na konto.

-Okay.

I jeszcze razdzięki.

- Nie ma za co.

Ale niepolecam się na przyszłość.

- Bez łaski.

I nie zapomnij obciąć sobie kuca.

- Żeby ci nie powiedział, co ty sobie możesz obciąć.

Komisarz odprowadził Bażyńskiego do wyjścia jak wcześniej Korzonkową, bo inaczej zgubiliby się w labiryncie przejści korytarzy.

- Może wpadniesz do mnie któregoś dnia?

- zaproponował Tomasz

bez przekonania.

- Może - odparł policjant z takim samym entuzjazmem.

Uścisnęli sobie ręce.

Bażyński wziął na pamiątkę kserokopię swego

dzieła.

Wsiadł do tramwaju, wysiadł na końcu Karmelickiej i poszedł

piechotą do domu, podrodze kupując zupki chińskiej trochę żałując,

że w komendzie nie upomniał się o obiecaną pizzę.

Idąc, wspominał licealne czasy i swoją osobliwą znajomość Jareckim.

Dziwnym zbiegiem okoliczności raczej uzupełniali się, niż mieli wspólne

20

upodobania i cechy charakteru.

Jarecki był zdecydowany, Bażyński niezbyt.

Tomaszowi nauka przychodziła łatwo, Tadeusz nadrabiał ogromną ambicją, której z kolei Bażyński był raczej pozbawiony.

Jarecki był świetny z przedmiotów ścisłych, Bażyński z humanistycznych.

Tomasz był uzdolniony plastycznie, Tadeusz muzycznie.

Grał na gitarze i miał dobry głos.

Marzył o opianinie, ale nie było go na nie stać, ponieważ w domu się nie przelewało.

Z kolei wielki fortepiankoncertowy w willi Bażyńskich odlat pokrywał się kurzem. Tomasz miał niezły słuch, ale na lekcjach gryna pianinie lenił się inigdy nie osiągnął biegłości.

Na sprawdzianachpodrzucali sobieściagi i częstouczyli się razem, ale trudno to było nazwać prawdziwą przyjaźnią.

Zwłaszcza odkąd Tadeusz zaczął odbijaćTomaszowi jednąłaskę po drugiej, zupełnie jakby postawił to sobie zapunkt honoru.

Dziewczyny leciały na niego, bo był bardzo przystojny,miałtwarz o ostrych, wyrazistych rysach i nawet początki łysiny wcalego nie szpeciły.

- Tomku, jadłeś już?

Jeśli nie, to zapraszam na obiad - ciotka musiałausłyszeć, jak otwierał drzwi.

Michalina Bażyńska miała dwięćdziesiąt lat (właściwie była jegocioteczną babką) i wciąż doskonały słuch.

A także wzrok, umysł i kondycję, którejmogliby jej pozazdrościć dużo młodszy.

Co prawda używałałaski, ale najczęściej zimą, kiedy ślizganie się pooblodzonych chodnikachbyło najpopularniejszym sportem i rozrywką uprawianą przez krakowian. Zajmowała parter rodzinnej willi na przedwojennym osiedlu Salwator,małowniczo położonym u stóp Wzgórza Błogosławionej Bronisławy.

Tomasz zprzyzwyczajenia okupował poddasze, a ponieważ odlat mieszkalitylko we dwójkę, okazałapiętro właściwie było użytkowane tylko przezgości, od czasu do czasu przewijających się przez dom.

Mimo to ambicjąciotki było utrzymywanie całości w należytymporządku, o co dbała niespełna sześćdziesięcioletnia pani Bronia, wynajmowana przez Michalinędo sprzątania i robieniazakupów.

Tomasz swą część sprzątał sani.

- Umyj ręcei pomóż mi - poleciała, gdy wieszał torbę w przestronnejsieni zmieniał obuwie.

-A cóżto za frykasy?

Przegapiłem jakąś rocznicę?

- zdziwił się, wchodząc do kuchni, gdzie rażno krzątała się ciotka.

- E, nie.

Po prostu wczoraj spodziewałam się gościa, ale nie przyszedł.

Pomógł jej przenieść talerze na stół w jadalni.

- Dobra - pochwalił zupeł.

21.

- E tam.

Odgrzewana - ciotka machnęła ręką z lekceważeniem.

-Wczoraj była dobra.

A swoją drogą to dziwne - zmarszczyła brwi.

-Co?

- To, że mój gość nie tylko się nie zjawił, ale nawet nie zadzwonił.

Jakoś mi to do niegoni pasuje.

- Znam go?

-Raczej nie osobiście, choć pewnie o nim słyszałeś.

Ja zresztą też go nie widziałam naoczy.

To Niemiec i nasz daleki krewny.

Profesor von Baysen.

- Ernest von Baysen?

Kiwnęła głową.

- Przyleciał przedwczoraj z Berlina i koniecznie chciał się ze mną spotkać.

Nic ci nie mówiłam, żebyś miał niespodziankę.

A tu masz ciłos.

Przez niego musimy jeść odgrzewany obiad.

Tomasza coś tknęło.

- Dzisiejsza?

- pokazał gazetę leżącą na stoliku.

Ciotka prenumerowała "Dziennik Polski", który charakteryzował się tą zaletą, że było w nim sporo lokalnych ciekawostek i aktualności, no i ulubione rubryki Michaliny: nekrologi i policyjna.

Namiętnie podczytywała także kryminały Agaty Christie i Conan Doyle'a z biblioteki Tomasza.

- Tak, ale jeszcze nie zdążyłam jej przeglądać.

Przeprosił, wstał od stołu i przewertował gazetę, zatrzymując się nad zialem "Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie" i dłuższą chwilę oglądając zamieszczone tam

zdjęcie.

Choć fotografię podretuszowano, to jednak odrazurzucało się w oczy, że przedstawia nieboszczyka.

Mimo to rozpoznałgo bez trudu.

Podał ciotce otwartą gazetę.

- Cóż, cioteczko.

Trzeba wybaczyć profesorowi.

Miał poważny powód, żeby nie przyjść na obiad.

Przepraszam, ale muszę zadzwonić.

Wyjął komórkę, wyszedł do przedpokoju i wystukał numer Jareckiego.

Rozmawiali dobre pięć minut.

Wracając, zabrał teczkę z portretu zrobionym na komendzie.

- Dzwoniłem do Tadeka Jareckiego, powinnaś go pamiętać, jest teraz komisarzem, ale policja już ustaliła, że to von Baysen zginął na Plantach.

Z tym człowiekiem profesor był widziany tuż przed śmiercią.

Byłem dziś na komendzie, żeby zrobić portret pamiątkowy według opisu świadka, niejkiej Apolonii Korzonek.

Może nawet ją znasz, mieszka niedaleko.

A jutro wpadnie do nas Tadek.

Chce pogadać z tobą o von Baysenie i celu jego niedoszłej wizyty.

22

- Ale ja nic nie wiem.

Tego tu - staruszka stuknęła palcem w portret pamiątkowy - też nigdy nie widziałam.

A swoją drogą, świetnie rysujesz.

Zmarnowałaś talent na te swoje bohomy.

Przerabiał to już wielokrotnie.

Michalina, w przeciwieństwie do pani Apolonii, wdowy po domorosłym artyście Korzonku, naprawdę znała się na sztuce, tyle że dawniejszej.

We współczesnych trendach nie widziała nic godnego uwagi.

Dawno przestał z nią dyskutować na ten temat.

Dokończyli obiad, pozmywał naczynia i poszedł do siebie, zostawiając ciotkę z błyszczącymi podnieceniem oczyma.

Nagłe śmierci i tajemnicze zabójstwa, rzeczywiste i literackie czy filmowe, nieodmiennie wprawiały ją w wyśmienity nastrój.

Naturalny u osoby, która w drodze dolepszego świata przepuściła wszystkich rówieśników i sporą gromadę młodszych od siebie.

Na Tomasz zamordowanie profesora też zrobiło wrażenie.

Ostatecznie byli krewnymi, choć bardzo dalekimi.

Początki pruskiego rodu von Baysen-Bażyńskich sięgały XIV wieku, a może nawet końca XIII.

Nie pamiętał dokładnie, ale Michałina, która pasjonowała się historią i genealogią rodziny, z pewnością miała to gdzieś odnotowane.

Z czasem ród rozdzielił się na gałąź polską - Bażyńskich i niemiecką - von Baysenów, a wzajemne kontakty słabły, aż wreszcie urwały się zupełnie.

O pokrewieństwie z Ernestem von Baysenem Tomasz dowiedział się od ciotki dopiero wówczas, gdy w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku wydano w Polsce kilka prac profesora, a w prasie codziennej ukazały się jego artykuły.

Profesor von Baysen był uznanym mediewistą i synem zbrodniarza wojennego. Sam, zadeklarowany pacyfista, nie tylko potępiał ojca i jego podobnych, ale nawet napisał słynną książkę o ich zbrodniach, nieoszczędzając bynajmniej rodzica.

Na dodatek profesor przyznawał się do polskich korzeni, był w trakcie pisania historii von Baysen-Bażyńskich i doskonale mówił po polsku, a jako mediewista miał na koncie liczne prace o związkach Polski z Niemcami w X-XI wieku.

Jednak szczególnie interesowały go zakony rycerskie, zwłaszcza krzyżacki i templariuszy.

O ile jednak jego prace naukowe cieszyły się zasłużoną estymą, to

pisarstwo publicystyczne o sensacyjnym zabarwieniu, któremu oddawał

siędlactwo, już mniej, zwłaszcza w Krakowie, a szczególnie w dworskich kręgach Wawelu.

Tamtejsi uczeni w piśmie mieli mu bowiem za złe cykl popularnych artykułów w

prasie niemieckiej (przedrukowanych natychmiast w polskiej), w których przedstawił sensacyjną hipotezę, zręcznie podbudowaną faktami, jakoby słynny krakowski czakram był niczym

23.

innym tylko jeszcze sławniejszym świętym Graalem.

Historia rozeszła się po świecielocie błyskawicy i spowodowała najazd ciekawskich na Wawel, co zburzyło święty spokój tak ceniony w dostojnych murach tej narodowej świątyni (i tak już dostatecznie profanowanych przez macających miejsce, pod którym rzekomo spoczywał przynoszący szczęście hinduski czakram).

Tomasz wyjął z biurka kartonową teczkę, w której trzymał wycinki prasowe na interesujące go tematy.

Artykuł, którego szukał, leżał nawierzchu, poźółkły z starości.

Zdjęcie uśmiechniętego von Baysena, młodszego o kilkanaście lat, bardzo się różniło od zamieszczonej w dzisiejszej prasie wyretuszowanej pośmiertnej fotografii, niemniej oba bezwątpienia przedstawiały tę samą osobę.

Rozłożył papier i zaczął przebiegać wzrokiem tekst, który znał bardzo dobrze:

Sensacja na skalę światową!

Niemiecki uczyony odkrywa największą tajemnicę wszech czasów, i Czy wawelski czakram to słynny święty Graal?

NIESAMOWITA ZAGADKA WZGÓRZA WAWELSKIEGO

Do Krakowa, korzystając z pierwszego powojennego ocieplenia w stosunkach międzykomunistyczną jeszcze wtedy Polską a Niemcami, przybyłem po raz pierwszy na początkul lat siedemdziesiątych XX wieku.

Byłem wówczas świeżo upieczonym doktorem specjalizującym się w dziejach zakonów rycerskich.

Podczas zwiedzania Wawelu zaintrygowała mnie historia ukrytego w skale między zamkiem a katedrą czakramu, czyli tajemniczego kamienia, gruczołu Ziemi, w którym skupiona jest olbrzymia kosmiczna energia.

Opowiedział mi o nim początkujący wówczas dziennikarz, a dziś znany w świecie tropiciel sensacji i tajemnic, Zygmunt Świącicki, którego książka o kłątwie Jagiellończyka, analogicznej do kłątwy Tutenchamona, stała się światowym bestsellerem.

Czakram to wielka świętość Hindusów, którzy, by doświadczyć jego

mocy, specjalnie pielgrzymują na Wawel.

W wierzeniach Hindusów takie kamienie, a jest ich na świecie tylko siedem, są źródłem życiodajnej siły.

Podobno w miejscach ich występowania ludzie żyją i rozwijają się o wiele lepiej niż gdzie indziej.

A naukowcy rzeczywiście potwierdzili występowanie w okolicy Wawelu szczególnie silnej radiacji.

Czakram wawelski jakoby chroni nie tylko Wawel i Kraków, ale i całą Polskę od czasów Kazimierza Odnowiciela, wnuka króla Bolesława Chrobrego.

Ponoć jako mały chłopiec myślał Kazko po Wzgórzu Wawelskim zapędził się do Smoczej Jamy, a stamtąd podziemnymi korytarzami, wypłukanymi w wapiennej skale, aż do wnętrza góry, gdzie usłyszał głos mówiący, iż tu ukryty jest "kamień życia", który będzie ochraniał jego i cały kraj dopóty, dopóki władcy rezydować będą na Wawelu.

Kazimierz posłuchał dobrej rady.

Wygnyany z kraju wraz z matką Ryksą (księżniczką niemiecką spokrewnioną z rodziną cesarską) przez zbuntowanych możnych, wrócił dzięki pomocy cesarza i przeniósł stolicę Polski z Gniezna (zniszczonego po najeździe Czechów) do Krakowa.

24

Inna legenda opowiada o drugim, podziemnym zamku, znajdującym się pod teraźniejszym.

Ma w nim być świetlica wielkaniby kościół i dużo tam zbroi, tarcz, mieczy i chorągwi.

Pośrodku świetlicy stoi stół, wokół którego siedzą wszyscy dawni królowie w szatach koronacyjnych.

Raz w roku, w Wigilię, słychać huk i rżenie koni, trąby i wrzawę.

To budzą się śpiący rycerze Chrobrego.

"Wówczas jeden z królów, Bolko Chrobry, z głębokiego grodu wychodzi o północy i rusza krokiem żelaznym przez dziedziniec zamkowy, a na ramieniu świeci mu coś

niby miecz anioła.

Kto z ludzi śmiertelnych spotka się z nim, a jest dobry, to zobaczy króla, a w sercu mulekko i wdzięczne; a gdy jest zły, to go nie obaczy, ale uczuje bojaźń i trwogę i w mózgu mu się skreśli, i upadnie".

Legendy jak legendy.

Spodobały mi się, ale włożyłem jemiędzy bajki.

Jednak sprawiły, że zająłem się stosunkami polsko-niemieckimi w X i XI wieku.

Jak wiadomo, głównie z Thietmari Merseburgensis episcopi chronicon, kroniki biskupa Merseburga Thietmara, oraz Kroniki polskiej Anonima zwanego Gallem, w 1000 roku cesarz Otton III na zaproszenie księcia Bolesława Chrobrego odbył pielgrzymkę do grobu świętego Wojciecha (Adalberta) w Gnieźnie, a przy okazji zgodził się na koronację Bolesława, wywołując tym burzenie kronikarza Thietmara, że "uczynił panem trybutariusza", słowiańskie książętko, którego ojciec rodził się poganinem.

Niemieccy książęta słusznie podejrzewali, że cesarz chciał Bolesława zrobić królem, by powierzyć mu urząd cesarskiego namiestnika nad całą Sclawonią, czyli Słowiańszczyzną, sobie zachowując bezpośrednią kontrolę nad resztą chrześcijańskiej Europy: Galią, Italią i Germanią.

Ale najciekawsze rzeczy zdarzyły się potem.

Bolesław odprowadził swego dostojnego gościa aż do Magdeburga, gdzie razem obchodzili uroczyste Niedzielę Palmową.

A zaraz po Wielkiej Nocy pojechali jeszcze dalej, aż do Akwizgranu (dziś Aachen).

Tam w sekrecie włamali się do grobowca Charlemagnea alias Carolusa Magnusa (Karola Wielkiego), którego Otton III zawsze pragnął naśladować.

Wielki król Franków spoczywał na złotym tronie.

Cesarz Otto z szacunkiem obciął mu paznokcie i włosy i razem ze złotym krzyżem oraz resztkami szat zabrał na relikwie, złoty tron darowując swemu najlepszemu przyjacielowi Bolesławowi.

Pisał o tym w swojej kronice Ademar de Chabannes.

Kiedy zbuntowani poddani wypędzili z kraju Bolesławowego wnuka

Kazimierza, Brzetysław czeski i jego woje tak złupili Polskę, że w katedrach w Gnieźnie i Poznaniu dziki bestie założyły swe legowiska.

A skarby, w tym wielką złotą figurę Ukrzyżowanego, waząc po trzykroć tyle, ile Jego ciało, wywieźli na stu ładownych wozach!

Zapewne wtedy zaginął złoty tron.

Ocalała włócznia świętego Maurycego, dar cesarza Ottona III, korona Chrobrego i relikwie świętego Wojciecha, ponieważ jakoby pobożnym księżom udało się ukryć, bowiem rabusiów nagle poraziły ślepotą i dziwne odrętwienie, utrzymujące się przez trzy dni.

Ale my pozostajmy przy faktach.

A faktem jest, że pierwszą katedrę na Wawel zaczął wznosić Bolesław Chrobry zaraz po zjeździe gnieźnieńskim.

Zaś między nią a palatium stał okazały kościół Świętego Gereona.

Król Kazimierz Wielki w XI w. przebudował zarówno katedrę, jak i zamek, a z kościoła Świętego Gereona ocalała jedynie kaplica zamkowa pod wezwaniem Świętej Marii Egipcjanki.

W XVI wieku, w czasach Zygmunta I Starego, kaplicę też wyburzono, a wyposażenie przeniesiono do kaplicy dobudowanej do katedry przez króla dla pierwszej żony.

Jednak krypta pod kaplicą Świętej Marii Egipcjanki, czy też kościołem Świętego Gereona nie zasypano.

Istnieje do dziś.

Schodzisz do niej przez żelazne drzwi na lewo od bramy wjazdowej na dziedziniec zamkowy.

Na jednej z kolumn widać dekorację plecionkową, taką samą jak w kościołach saskich z przełomu tysiącleci, na przykład w kościele Świętego Michała w Hildesheim, katedrach w Naumburgu i Merseburgu.

Zaś związki Mieszka I i jego syna Bolka Chrobrego z Saksonią były silne i udokumentowane.

Obaj peregrynowali do Kwedlinburga i Merseburga, którego biskup, Thietmar, wspominał o tym w swojej kronice.

Chrobry znał ponadto biskupa hildesheimskiego Bernwarda.

Dwie żony Chrobrego były Niemkami z Miśni, ostatnia żona Mieszka Pierwszego, księżniczka niemiecka Oda, dokonała żywota w klasztorze w Kwedlinburgu.

Nadwórze Chrobrego przebywał jakiś czas przyjaciel świętego Wojciecha i jego naśladowca, także późniejszy męczennik i święty, Bruno z Kwerfurtu.

Nie przypadkiem zapewne po powrocie z Akwizgranu zaczął Chrobry upodabniać Kraków do stolicy państwa Karola Wielkiego.

Świadczy o tym dokładnie skopiowany układ głównych kościołów (i ich patronów): pałacowa kaplica Panny Marii, na wprost niej kościółek Świętego Wojciecha, polewej Najświętszego Salwatora i z prawej strony Świętego Mikołaja.

Syn i następca Bolesława Mieszko II, dobudował na Wawelu wzorowaną na akwizgrańskiej kaplicę Świętych Feliksa i Adaukta, a dzieła uczynienia z Krakowa repliki cesarskiej stolicy dokończyli wnuk Chrobrego Kazimierz I i jego syn Bolesław Szczodry.

Bowiem kontakty pierwszych władców polskich z Niemcami nie wygasły i po śmierci Chrobrego.

Od 1036 roku arcybiskupem kolońskim był Herman, brat Rychezy (albo Ryksy), żony Mieszka II, synowej Bolesława Chrobrego i matki Kazimierza Odnowiciela, który jako pacholę błąkał się po wawelskich podziemiach!

A kiedy po śmierci męża Rychceży jejsynazbuntowani poddani wygnali z Polski, wyjechała do klasztoru benedyktyńskiego pod Kolonii.

Kazimierz zaś przebywał na dworze w Kolonii, potem zaś wrócił do Polski odzyskać dziedzictwo po przodkach.

Wówczas przystąpił do odbudowy waniakraj zniszczonego po czeskim najeździe, a cesarz i wuj Herman wspomagali go czym się dało.

To pewnie Herman przysłał do podkrakowskiego Tyńca zakonników benedyktyńskich na czele z wyświęconym przez siebie Aaronem z Brauweiler, który potem został polskim arcybiskupem.

Na jednej z kamienic przy ulicy Kanoniczej widnieje herb kapituły krakowskiej (zwany herbem Aarona) - Trzy Korony. A przecież taki sam herb miała kapituła kolońska, gdyż wedle legendy w katedrze w Kolonii spoczęli trzej królowie! Cóż więcej, patronem Kolonii jest święty Gereon!

Zapewne od wuja Hermana Kazimierz otrzymał także relikwie świętego Gereona i dokończył budowę świątyni, którą zaczął stawiać jego dziad, nim śmierć w 1025 roku, wkrótce po koronacji (nie udało mu się koronować zaraz po 1000 roku, gdyż przekupiony poseł, mnich Astryk Atanazy, otrzymaną od papieża koronę zawiązał nie swemu panu, lecz księciu węgierskiemu Stefanowi), przerwała dzieło.

Obu chodziło o nadanie właściwej oprawy temu, co spoczywało w głębi skały.

Co takiego Bolesław przywiózł z Akwizgranu ukrył przed ludzkim okiem, a jego wnuk odkrył przypadkiem i zastosował się do woli tajemniczego głosu, przenosząc stolicę państwa z Gniezna do Krakowa?

Coto było?

Coś wieci na ramieniu zjawy Chrobrego "niby miecz aniola"?

I tu dochodzimy do sedna.

Otóż odpowiedź jest prosta, jeśli przyjmiemy, że ów "kamień życia", jak zwie się czakram, to nie żaden hinduski gruczoł Ziemi, tylko "kamień z Niebios", "skała Syjonu".

czyli sławny w całym chrześcijaństwie święty Graal!

Najcenniejsza

relikwia chrześcijaństwa.

Kielich Ostatniej Wieczerzy, do którego następnie Józef z Arymatei zebrał krew ukrzyżowanego Chrystusa, przybywając z nim potem do południowej Galii.

I tu trop się urywa.

Szukali go rycerze króla Artura, szukali templariusze.

Bezskutecznie, bo od XI wieku spoczywa sobie spokojnie w czeluściach wawelskiej skały, po zrabowaniu grobu Karola Wielkiego podarowany przez Ottona III

Bolesławowi Chrobremu!

Czy to możliwe?

Oczywiście, jeśli założymy, że było tak:

Święty Graal, który jest tylko zniekształconą nazwą Sangreal (Królewska Krew), trafił wręcz Merowingów, pierwszej dynastii frankijskiej (wywodzącej się ponoć z żydowskiego plemienia Beniamina), stąd legenda, że płynął w ich żyłach jedyna prawdziwa Królewska Krew.

Karol Wielki przejął po Merowingach ich cenny depozyt i kazał się z nim pochować.

Wypełniono wolę władcy, być może nierozpoznając świętego Graala w niepozornym, wyrobionym w zwykłym kamieniu pucharze.

Ale wielce uczony Otton III natychmiast domyślił się, z jak cennym skarbem ma do czynienia.

Mimo to zdecydował się oddać go Bolesławowi, którego wbrew powszechnym głosom sprzeciwu pragnął uczynić królem.

Dlaczego?

Bo chciał połączyć Orient z Okcydentem.

Galie, Germanię i Italię ze Sclawonią, a może nawet z Bizancjum, wszak jego matka Teofano była bizantyjską cesarzówną.

Być może przewidywał swą rychłą i bezpotomną śmierć i w Bolesławie upatrywał następcę, który dokończy dzieła jednoczenia całego chrześcijaństwa.

Dlatego powierzył mu "skałę Syjonu", bo któż oparłby się i sprzeciwił depozytariuszowi świętego Graala?

Ale Bolesławowi nie powiodła się pierwsza próba zdobycia korony, a Otton III zmarł, być może wcale nie na febrę.

Zaś jego następcą cesarz Henryk I natychmiast wszczął długoletnią wyniszczającą wojnę z Chrobrym, którą zresztą sromotnie przegrał.

Czemu tak ryzykował?

Bo koniecznie chciał odzyskać depozyt!

A gdy zmarł jako ostatni z Ludolfingów, spadkobierców Karolingów, zaginęła też pamięć o miejscu ukrycia świętego Graala.

Wnuk Chrobrego Kazimierz, który przypadkiem go odnalazł i poznał tajemnicę, kazał skrytkę zamurować, a nad nią postawił świątynię.

I co się potem stało?

Cesarstwo rozpadło się, zaś Polska została królestwem.

I przetrwała wszystkie zawieruchy dziejowe.

Natomiast Kraków ocalał w nienaruszonym stanie mimo przetoczenia się przez miastowieli wojen, w tym dwóch światowych.

Chociaż powyższej historii nie sposób udowodnić, przyznaj, drogi Czytelniku, że brzmienie gorzej od innych dotyczących świętego Graala.

A poza tym pasuje do Krakowa, bo mało jest na świecie miast tak zanurzonych w historii i legendzie.

Tomasz złożył artykuł.

Jak się mylił zacny profesor, sądząc, że przysparza Krakowowi największej atrakcji! Mimo iż przedstawiona historia była jedynie zręczną spekulacją intelektualną, hipotezą pseudonaukową, którą sam von Baysen zapewne traktował z przymrużeniem oka, cały "Krakówek" zawrzał świętym oburzeniem, które dałoby się streścić w jednym zdaniu: Jeden dopust (czakram) wystarczy aż nadto, naco nam Jeszcze święty Graal - zabierzcie od nas ten kielich goryczy!

A jednak von Baysen imponował Bażyńskiemu, który chciałby się cieszyć taką popularnością, tylko nie bardzo wiedział, jak tego dokonać.

A teraz profesor został zamordowany.

Obok smutku jakpo stracie dobrego znajomego, Tomasz poczuł dreszczyk emocji.

Oto mimochodem,ale jednak, zostałwplątany w sensacyjną historię, jakby żywcem wyjętą z jego ulubionych książek.

Chętnie dowiedziałby się, kto i dlaczego zabiłvon Baysena i czy miało to jakiś związek z niedoszlą wizytą profesorau Michaliny.

Monachium, 22 czerwca2010 (wtorek)

Prezentacja wnajmodniejszej w mieście galerii sztuki współczesnejzgromadziła tłum gości, w tym niemal całąmonachijskąśmietankę towarzyską.

Były media: telewizja, radioi prasa;przedstawicielewładz miejskich i landu, kilkuposłów doBundestagu,minister kultury w rządzie federalnym, reprezentanci świata biznesu oraz mały, lecz doborowyzestaw gwiazd filmu i estrady.

A nawet najbardziej wzięty dyktator modyze swym o dwadzieścia latmłodszym aktualnym małżonkiem, rozdajęcyna prawo i lewo całusy w ramach apostolstwa miłości dosztuki.

Przybycietego wielkiego człowieka było miarą sukcesu Anny Marii.

Anna Maria stała w kącie, popijaławino i z krzywym uśmieszkiemprzypatrywała się tłumowi.

Banda snobów!

W głębi duszy zapewnetęsknią do landszaftów z jeleniami na rykowisku, w domach biurachtrzymająkopie uznanych mistrzów, a tutajudają, żepodziwiają jej instalację, rozumieją, o ców niej chodzi, cmokają z uznaniem,uśmiechają doniej fałszywie i z pseudoznawstwem wygadują komunały.

No bo jakżenie podziwiać najnowsze dzieła"najzdolniejszej niemieckiejartystkimłodego pokolenia", "chluby Bawarii i całych Niemiec",a zdaniem największego entuzjasty "najwybitniejszejniemieckiej artystki od czasówJosepha Beuysa".

Pewnie porównanie nasunęło mu się w związku z jednąz bardziej znanych akcji Beuysa: I like Americaand America likes me.

Jeszcze pół roku temu pies z kulawą nogą nie przyszedłby na jej wernisaż, nowobogackie drobnomieszczactwo wyszydzało jej sztukę, a omszał profesorowie z Akademii Sztuk Pięknych na wyścigi z trzymanymi naswoim pasku krytykami prześcigali się w złośliwościach na temat twórczości młodej performerki.

Aż nagle przyszedł wielki tryumf na prestiżowej wystawie w Nowym Jorku, entuzjastyczne opinie tamtejszych znawców sztuki współczesnej i wszystko się zmieniło jak za dotknięciem

28

czarodziejskiej różdżki.

Tylko ona pozostała taka sama.

Miaław nosie, co sądzi o niej zebrane dziś w galerii doborowe towarzystwo.

I tak sercesztuki i w ogóle całej zachodniej cywilizacji od dawna biło w Ameryce. Europakisiła się w sobie minionej chwały i pleśniała w samozachwycie, niezdając sobie nawet z tego sprawy.

I like America and America likes me.

Mogłyby to być jej własne słowa.

Tylko bez ironicznego kontekstu użytego przez Beuysa.

Zanim jeszcze telefon zadzwieczał jej w kieszeni, poczuła na udzie jego wibracje.

Kolejny ważniak, którego zatrzymały sprawy wagi państwowej, chciał pewnie przeprosić za swą nieobecność i złożyć jej najszczerze gratulacje.

Niech się buja.

Szkoda, że nie wyłączyła komórki.

Podniosła telefon do ucha.

Kiedy się rozłączyła, ręka jej się trzęsła.

- Już wiesz?

- spytał ze współczuciem w głosie przystojny brunet, dotej pory trzymający się dyskretnie w cieniu.

- Moje kondolencje.

Uspokajała się powoli, poczym otarła zwilgotniałe nagle oczy, starając się nie rozmazać makijażu, porwała z tacy kieliszek białego wina, wypląduszkciem, odstawiła szkło i wreszcie rzuciła szorstko:

- Nie zauważyłam cię.

Inaczej kazałabym ochroniarzom wywalić cięna zbity pysk.

- Nie fatyguj się.

Nikt nie wyrzuci najlepszego dziennikarza najpoczytniejszej gazety w kraju i najchętniej oglądanego programu podróżniczego w telewizji.

Organizatorzy tej fety nie dopuszczą do takiego skandalu.

Zwłaszcza przed kamerami i w obecności obergeja.

To by podpadało pod obrazę majestatu.

- To sama cię wykopię.

- Niezłość się, bo ci się robią zmarszczki na tej ślicznej buźce.

- Skąd wiesz, w jakiej sprawie do mnie dzwoniono?

I dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

- spytała już dużo spokojniejszym tonem.

- Wzruszył ramionami, i

- Mam swoje źródła informacji.

Nie chciałem ci zepsuć imprezy.

Zamierzałem ci powiedzieć po wszystkim i dać to - wyciągnął w jej stronę kopertę.

,

- Co to jest?

- spytała nieufnie.

- Bilety na jutrzejszy lot do Krakowa.

Tanymi liniami, ale tylko w ten sposób szybko i bezpośrednio dotrzesz na miejsce.

Wzięła kopertę i wytrząsnęła bilety.

Po co mi dwa?

A jak myślisz?

- Między nami wszystko skończone.

-Tylko tak ci się zdaje- szepnął jej coś na ucho, a kiedy dziewczyna pobiła, rzucił rozkazująco: - Czekam rano na lotnisku.

Nie spóźnij się.

Odwrócił się a pięć zniknęło w tłumie.

Kraków, 22 czerwca 2010 (wtorek)

- Kiedy ja naprawdę nie wiem - zarzekała się Michalina, gdy siedzieli w trójkę w jadalni, popijając herbatę i jedząc ciasteczka domowej roboty.

- Profesor zadzwonił, że koniecznie chce się ze mną widzieć w ważnej sprawie, ale nie wyjaśnił, o co mu chodziło.

- No dobrze- westchnął ciężko Jarecki.

- W każdym razie sprawarzędziwieście jest poważna.

Ktoś dokładnie sprawdzał pokój profesorów hotelu.

Może znalazł to, po co tam przyszedł, może nie.

Jeśli nie, a wielub domyśla się, z kim profesor miał się spotkać i po co, wtedy grozi wam niebezpieczeństwo.

Dlatego dom będzie od tej chwili pod obserwacją, a państwa proszę o natychmiastowy telefon, gdybyście spostrzegli coś lub kogoś podejrzanego, kręcącego się w pobliżu.

To telefon do komendy, a to numer namoją komórkę - położył na stole wizytówkę i podniósł się.

- Na mnie już pora.

Dziękuję za poczęstunek.

Tomek, odprowadzisz mnie do drzwi?

Mam do ciebie słówko.

Wychodząc, rozejrzał się uważnie po wnętrzu.

- A więc dostałeś tę sprawę?

- spytał Tomasz, gdy obaj znaleźli się naganek przed domem.

- Na razie, bo akurat byłem pod ręką.

Potem pewnie przejmie ją ktoś inny, a może nawet przyślą jakiegoś nadętego dupka z centrali, znaczy Komendy Głównej, albo fiuta z CBŚ.

Taki los - westchnął Jarecki z goryczą, zapalając papierosa.

- Ostatnio nie mam w firmie najlepszych notowań.

Rzekłbym nawet, że jestem w niełasce.

- W Ameryce sprawę prowadzi ten, kto ją rozpoczął.

Wiem z filmów.

- Aleni jesteśmy w Ameryce.

Tymczasem mam jutro odebrać z Balicórkę denata.

Dzwonili z konsulatu niemieckiego, że przylatuje w samopołudnie z Monachium, i szef kazał mi ją najpierw zabrać do trupa, a potem przywieźć na komendę.

Dziewczyna podobno mówi dobrze po angielsku, a wiesz, że u mnie kiepsko z językami.

Pewnie dostałbym kogoś

30

z konsulatu niemieckiego, ale nie chcę.

A tłumacz przysięgły i tak będzie czekał w komendzie.

Pojechałbyś ze mną?

Oczywiście nieoficjalnie, lecz skoro już w tym tkwisz.

Gadałem z szefem i zgodził się.

- Dobrze.

Spotkamy się na lotnisku?

- Przyjadę pociebie służbowym autem.

Złatwić ci zwolnienie z pracy?

- Nie trzeba.

Jutro nie mam lekcji.

- To na razie.

- zawahał się, a potem powiedział: - Dziś przypomniałem sobie, jak kiedyś okropnie ci zazdrościłem.

Ojca bohatera, bo mój zapił się na śmierć, tej pięknej willi, tych starych

wnętrz, rodziny z klasą i w ogóle.

W moim domu było zupełnie inaczej, dlatego nigdy cię do siebie nie zapraszałem.

Wiedziałaś o tym?

- Nie.

Dobrze się maskowałaś.

Nigdy nie znałem nikogo bardziej pewnego siebie niż ty.

Tego najbardziej ci zazdrościłem.

- Mimikra - policjant uśmiechnął się krzywo.

- Było, minęło.

Teraz żyję na własny rachunek i urządzam sobie wszystko po swojemu.

- A u mnie, jak widzisz, po staremu.

- Widzę - odparł komisarz dziwnym tonem, którego Bażyński nie chciało się analizować.

Wyciągnął rękę.

Uścisnęli sobie dłonie.

- I jeszcze jedno.

Wiesz, co powinieneś zrobić?

- Jarek z naczącowską wskazał oczyma kucyk Bażyńskiego.

- Wiem.

Obciąć ci fiuta.

Spadaj, pókiś cały.

Do jutra.

- Mam nadzieję, że nie dasz się w nic wciągnąć temu człowiekowi - ostrzegła go ciotka.

- Pamiętam, jak przyprowadzałeś go do nas.

Tak jakoś dziwnie mu z oczu patrzyło.

- Dla ciebie nikt z moich znajomych nie był dość dobry, ciociu - rzucił, idąc do siebie.

- Może dlatego nie mam ani prawdziwych przyjaciół, ani dziewczyny.

Wszystkich skutecznie mi obrzydziłaś.

- Nie moja wina, że zupełnie nie znasz się na ludziach.

A poza tym niezrzucaj wszystkiego na mnie.

Od dawna już wyrosłeś z krótkich spodni i powinieneś mieć swoje zdanie!

- zawołała za nim.

Miała rację, ale to bynajmniej nie poprawiło mu humoru.

31.

Kraków, 23 czerwca 2010 (środa)

Przylotsięopóźniał.

Zdążyli zwiedzić wszystkie sklepy z pamiątkami urodzie raczej marnej, za to cenach wziętych z sufitu.

W barzewypilikawę z ekspresu.

Jeśli Bażyńskiego pamięć nie myliła, jeszcze niedawno można stąd było obserwować lądowisko.

Teraz wielką panoramiczną szybę zaklejono tapetą z widokami Krakowa, zapewne w ramach akcji "Przyjazny Kraków".

- Jest - odetchnął wreszcie z ulgą komisarz, słysząc komunikat i równocześnie znajdując potwierdzenie na tablicy świetlnej.

- Dobra, idęgrzać silnik.

Masz.

Podał Bażyńskiemu kartkę z wielkim napisem: ANNA MARIA VON BAYSEN.

- Po niemiecku powinno być chyba: Annemarie?

- zauważył Tomasz.

- Jak zwał, tak zwał.

Możesz domyśli.

Bażyński powlókzył się trochę po terminalu, po czym stanął przy drzwiach z napisem: "Przyloty".

Wszyscy pasażerowie lotu z Monachium zdążyli już opuścić salę odpraw, ale nie było wśród nich tej, na którą czekał.

Wreszcie zobaczył dziewczynę z gniewnym wyrazem twarzy, w towarzystwie przystojnego bruneta z drogim aparatem fotograficznym na piersi.

Trzymając przed sobą kartkę i czując się jak idiota, zagroził im drogę.

- Anna Maria von Baysen?

- upewnił się.

:

- Tak - burknęła mało uprzejmie po angielsku.

- Pan z policji, jak

mniemam.

- Nie, komisarz Jarecki czeka w samochodzie.

Ja nazywam się Tomasz Bażyński.

- A ja jestem Adam Katz, dziennikarz - brunet wyciągnął rękę, którą Tomasz uściskał.

- I narzeczony panny von Baysen.

- Były - sprostowała z naciskiem i wyjaśniła Tomaszowi: - Przyczepiłeś jak rzep i nie chcesz odzepić.

- I się nie odzepię, dopóki nie zmienisz zdania - dziennikarz wyszczerzył śnieżnobiałe zęby.

- To sobie długo poczekaasz.

Zdążysz się zestarzeć w starokawalerstwie - odszczeknęła.

- Nie tu!

- Tomasz powstrzymał dziewczynę, która chciała w kantorze wymienić euro.

- W centrum kurs jesto wiele korzystniejszy.

Tutaj oskubują naiwniaków dożywego.

32

- Ładne rzeczy - mruknęła, chowając pieniądze do kieszeni, podczas gdy facet w kantorze zrobił minę, z której wynikało, że jakby miał podręką kałacha, chętnie odżałowałby dla Tomasza cały magazynek.

- Najpierw długie kołowanie przed lądowaniem, potem najdłuższa na świecie odprawa paszportowa, zapodziany bagaż, a teraz to.

- Witamy w Polsce - odparł wesoło i pogwizdując podnosem, poszedł odebrać jej torbę, która właśnie się odnalazła.

Dziewczyna spodobała mu się, ale jej towarzysz już nie.

Nigdy wprawdzie nie lubił małych czarnych, zwłaszcza ostrzyżonych na zapałkę i żółzowatych na pierwszy rzut oka, lecz emanująca z niej energia i pewność siebie wydały mu się bardzo pociągające.

Pewnie dlatego że sam byłychcech pozbawiony.

Jednaknieprzyzwoicie urodziwych przystojniaków,z zębami i całą resztą jak z reklamy kosmetyków dla facetów bez jaj, niecierpiał organicznie iteraz też nie potrafił się przełamać.

I jeszcze tonazwisko!

Zaprowadził Niemców na nowiutkiwielopoziomowy parkingprzed terminalami przedstawił im Jareckiego.

Zaraz za lotniskiemutknęliw potężnym korku.

- No nie,to jakiś horror - odezwała się dziewczyna po jakiejś półgodzinie posuwaniasięw ślimaczym tempie.

-Proszę sięzacząćprzyzwyczajając - pouczył ją Tomasz.

- To dopiero początek niezapomnianych wrażeń w naszymuroczym kraju.

- Tomek!

Zachowaj swoją żółć dla siebie i niestrasz dziewczyny - zganił go surowoTadeusz po polsku, widaćnie taki znów kiepski z angielskiego.

- Nic się nie zmieniłeś.

Nadajesz na wszystko jak starababa.

Niemka wzruszyła ramionami.

- Korki są wszędzie takie same.

A swoją drogą, niemam zamiaruprzyzwyczajając się u was do czegokolwiek.

Nie zdążę.

Najdalej pojutrzeJuż mnie tu nie będzie.

- Tak ci się tylko zdaje, panienko.

Nie znasz jeszczepolskich urzędów - mruknął Tomasz w ojczystej mowie, a głośno powiedział;- Oczywiście.

Dopiero popółtorej godzinie dotarli do Zakładu Medycyny

Sądowej,"mieszczącego się w wielkim,prawdopodobnie

dziewiętnastowiecznymgmaszysku naGrzegórzeckiej.

Po drodze przez miasto dziewczyna"uleżała i jakby drzemała z zamkniętymi

oczyma,niczym niezainteresowana,zaś dziennikarz rozglądał się ciekawie, ale też nie

zadawałPytań.

Zajechali od ulicy Świętego Łazarza niedaleko uchylonych drzwi napisem LOCUS
SILENTII.

Przez szparę zobaczyli zadbane wnętrze

33.

ze ścianami wyłożonymi terakotową mozaiką z prostym krzyżem wiszącym na wprost wejścia, ponad stojącą na katafalku zamkniętą trumną.

- Tu odbiera się zwłoki przygotowane do pochówku - wyjaśnił komisarz.

W tej chwili na parkingu pojawił się karawan i samochód osobowy, z którego wysiadł mężczyzna w czarnym garniturze, zapewne

krewnym nieboszczyka.

Niemcy wciąż milczeli, gdy Jarecki przez recepcję prowadził ich do chłodni.

W przedsionku czekał uprzedzony lekarz i laborant oraz metalowy wózek z ciałem przykrytym prześcieradłem.

Laborant wszedł pociśnięty do chłodni i wówczas Tomasz ujrzał na wprost kilka komór. Środkowa była otwarta.

Z jednej z metalowych szuflad wystawały nogi jakiegoś zmarłego z przyczepionym do dużego palca numerem.

Ciało wystawione do przedsionka miało numer 984, co sugerowało, że tenże zakład przyjmował rocznie około dwóch tysięcy klientów.

Policjant poprosił Bażyńskiego, by spytał dziewczynę, czy czuje się na tyle dobrze, żeby obejrzeć ciało.

- Tak - odparła sucho.

Długo spoglądał w twarz nieboszczyka, z której lekarz zsunął białe prześcieradło, ale nie płakała.

Po chwili delikatnie odgarnęła kosmyk

włosów z czoła denata.

- Czy rozpoznaje pani.

zmarłego?

- zapytał lekarz dobrą angielszczyzną.

Skinęła głową i zwróciła się do Jareckiego:

- Potwierdzam, że to mój ojciec, Ernest von Baysen.

Nie ma żadnych

wątpliwości.

- Ja również mogę p otwierdzić - wtrącił dziennikarz.

-Po czym go państworozpoznaliście?

- dociekałkomisarz.

- Po rysach twarzy.

Dziewczyna potaknęła i dodała:

- Na lewymudzie, od zewnątrz, ojciec miał pieprzyk wielkości dziesięciu eurocentów.

iWszyscy obecni chyba obawiali się, że Niemka straci swój niezwykły' spokój, kiedy laborant obnażył ciało,ale nie.

Widać było jednak, żehamuje się z najwyższym trudem, a oczy ma szkliste.

Na szczęście naciele nie było widać śladów sekcji.

Wewskazanym miejscu widniało

ciemne znamię.

- To załatwia sprawępowiedział Jarecki, odnotował podane informacje w protokole, który- odczytał na głos,począł, aż Tomasz przetłumaczy to dziewczynie, po czym podsunął jej do podpisu.

34

- Czy ciało zostanie zaraz odebrane?

- zapytał laborant.

- Nie.

Prokurator jeszcze nie wydał zgody - odparł policjant.

- W takim razie co zrobić z ubraniem nieboszczyka?

Wydać czyzutilizować?

- Zutilizować - odpowiedział mu Bażyński, tłumacząc decyzję Niemki,która powiedziała coś po angielsku do swego towarzysza.

-O co chodzi?

-zainteresowała się Jarecki.

- O nic takiego.

Przypomniała sobie, że musikupić nowe ubranie dladenata.

- Może nie będzie musiała.

W pokoju hotelowym zabezpieczyliśmy garnitur.

Całkiem porządy.

W imieniu prokuratora Widomskiego prosiłem telefonicznie o wydanie protokołu z sekcji - przypomniałem lekarzowi.

Ten bez słowa wręczył mu papierową teczkę, którą trzymał pod pachą.

- Atak w paraprostych słowach, doktorze, jaka była przyczyna zgonu?

- Jarecki z zakłopotaniem obrzucił wzrokiem kilka kartek tekstu, po czym schował papiery do skórzanej aktówki, którą przyniósł z sobą.

- Taka, jak to już wstępnie ustaliliśmy na miejscu zbrodni, ja i wasz technik.

Najprościej mówiąc: niemal natychmiastowe ustanie akcji serca w wyniku przebicia lewej komory ostrym narzędziem.

Ostrze zostało wbite z dużą siłą, od dołu ku górze, nieco z lewej strony, co raczej wskazuje na praworęcznego sprawcę.

Cios zadano fachowo, ofiarą nie mężczyzna.

Kiedy Tomasz przetłumaczył, dziewczyna powiedziała:

- Chwała Bogu przynajmniej za to.

Na odchodnym pocałowała nieboszczyka w czoło.

Laborant odwiózł ją do chłodni, po czym zaprowadził Niemkę w towarzystwie Bażyńskiego do recepcji, aby dziewczyna w "Książce ruchu zmarłych" podpisała się pod identyfikacją NN nr 984 rozpoznanej przez córkę jako Ernest'von Baysen, obywatel niemiecki.

- Muszę już lecieć - powiedział lekarz do policjanta.

- Chyba nie zapomniał pan drogi do sekretariatu sekcyjnego?

Iniech pan nie zgubi wyników, bo jak przepadną, prokuratura nie zapłaci nam za robotę.

Dlatego wolimy je przesyłać pocztą.

Podali sobie dłonie i lekarz odszedł, a komisarz poprowadził swoją gromadkę do sekretariatu po kartę zgonu, na którą były już naniesione wyniki sekcji i chodziło jedynie o uzupełnienie danych osobowych.

Komisarz obawiał się tego, ponieważ przy denacenie znaleziono paszportu

35.

ani innych dokumentów, ale niepotrzebnie, ponieważ dziewczyna miała za sobą dowód osobisty ojca.

- Ojciec stale gubił dokumenty.

Niedawno zgubił stary Ausweis, a nowy natychmiast przez zapomnienie zostawił u mnie.

Dlatego mogłam go przywieźć - wyjaśniła.

- Przytomna ta mała - z uznaniem bąknął policjant do Bażyńskiego.

- Mało kto pomyślałby tym w takim momencie.

Gdy z ulgą wyszli na zewnątrz stanęli przy samochodzie, Jarecki powiedział:

- Najważniejszą rzeczą, czyli potwierdzeniem tożsamości ofiary, mamy już za sobą.

Co teraz robimy: jedziemy do komendy czy najpierw wolą państwo odpocząć po podróży?

- Po co do komendy?

- rzuciła ostro dziewczyna.

- Chcę tylko zlecić kremację ojca i załatwić transport prochów do Niemiec.

- To niemożliwe - pokręcił głową policjant.

- Po pierwsze, i tak macie państwo szczęście, i my też resztą, że w Krakowie sekcję robi się praktycznie natychmiast, a nie jak w Warszawie choćby, gdzie czeka się całymi ;

dniami.

Ale dla odmiany w naszym mieście jeszcze nie ma krematorium, więc to potrwa.

Po drugie, chodzi o morderstwo.

Musimy zadać pani wiele pytań.

Chyba zależy państwu na wykryciu sprawcy zbrodni?

- A nie mówiłem?

- dodał Tomasz od siebie, gdy skończył tłumaczyć.

- Teraz chcę być sama - odparła i choć trzymała się dzielnie, widać było, że ma dość.

- Jutro zgłosimy się dokomendy, obiecuję - wtrącił dziennikarz.

- Pan wybaczy, ale pańska obecność nie jest konieczna - rzekł Jarecki z naciskiem.

- Tak się składa, że jestem również prawnikiem i reprezentuję panę von Baysen - rzucił lekko Niemiec.

- To prawda - potwierdziła dziewczyna.

- Nigdzie się bez niego nie ruszę.

- Na dodatek mówię po polsku - dodał Katz doskonałą polszczyzną.

- Atakże po angielsku, hiszpańsku, francusku, holendersku i arabsku, więc obejdzie się bez tłumacza.

- Dlaczego dopiero teraz pan mi to mówi?

- ostrym tonem spytał

Jarecki.

Dziennikarz wyjął usta.

- Nie pytał pan.

36

- Zatem zgoda.

Czekam jutro o dziesiątej.

Tomasz powie państwu, jak trafić.

A teraz dokąd?

- Jarecki otworzył samochód i zachęcił pozostałych do zajęcia miejsc.

- Do najbliższego hotelu - zarządziła dziewczyna.

- Przepraszam - wtrącił Bażyński - ale w imieniu mojej ciotki Michaliny mam zaszczyt zaprosić państwa do naszego domu.

Pani może o tym nie wie, ale profesor i ciotka, a właściwie ciocio-babcia, korespondowała z sobą, ponieważ von Baysenowie i Bażyńscy są ze sobą spokrewnieni.

Ciotka niemoże się zgodzić, aby krewniaczka tułała się po hotelach.

Anna Maria przez chwilę rozważała jego propozycję.

- Nie mam zamiaru nocować w jednym pokoju z tym typem- wskazała brodą Katza, a ten odpowiedział jej promiennym uśmiechem.

-To nie problem -odparł Tomasz.

- Dom jest duży i prawie pusty.

Pokoigościnnychu nas dostatek, dowyboru,dokoloru.

Zaś ciociawścibska umiarkowanie, a nawet grubo poniżej średniej dla osób w jej wieku.

- Zatem zgoda - rzekła i dorzuciła z niewyraźnym uśmieszkiem: - kuzynie.

A skoro tak,tomówmy sobie po imieniu.

- To dokąd w końcu mam jechać?

- zniecierpliwił się Jarecki.

- Na Salwator - polecił Tomasz.

Barczysty człowiek z brodą i w ciemnych okularach podszedł dooknai stanąwszy z boku, odsunął zasłonę.

Dom naprzeciwko byłwidocznyjakna dłoni.

Doskonale.

Szukajcie, a znajdziecie.

Nie wierzył w Boga, ale tobiblijne porzekadło zawsze się sprawdzało.

Niepotrzebnie zabił profesora.

Poniosły go nerwy,gdy zobaczył, jaktamten rozmawia zżabojadem.

A poza tym,co tu gadać - lubił zabijać.

Kochał ten zastrzyk adrenaliny,gdy czuł pod rękami wyciekające z ofiaryżycie.

Doznawał wówczas euforii nieporównywalnej z najbardziej nawetudanyms stosunkiem seksualnym.

I nic dziwnego, bo wzorował się na Carlosie, zwanym teżSzakalem, najslawniejszym terrorystą świata sprzedepoki Osamy bin Laden.

Zracji swych lewackich sympatii(nie darmoPapa Sanchez, wenezuelski komunista, nadał synowi imię Iljicz na cześćLenina) Szakal był mile widziany w NRD i Polsce, gdzie zażywał zasłużonego odpoczynku, ukrywając się po kolejnych zamachach.

Do opieki nad ważnym gościem oddelegowano młodego wówczas funkcjonariusza

Stasi

37.

i jego rówieśnika z SB.

Praktykowanie u Carlosa, który będąc człowiekiem próżnym, chętnie dzielił się swym bogatym doświadczeniem z młodymi adeptami komunistycznych tajnych służb, wydało piękne owoce.

Dziś, gdy Carlos od lat odsiadywał dożywocie we francuskim marnaz, to on był numerem jeden w branży.

Przynajmniej we własnym mniemaniu.

Mimo to lubił określać się skromnym mianem "najwierniejszego ucznia Iljicza".

Nieznosił natomiast, kiedy określano go (za plecami - nigdy w oczy) Świrem lub Szajbusem z racji upodobania doniepotrzebnej goryczy, okrucieństwa i często zupełnego lekceważenia elementarnych zasad bezpieczeństwa.

Pociąg do igrania z ogniem sprawił, że zatrudnieniem mógł ostatnio znaleźć jedynie na Bliskim Wschodzie.

Nie żałował zatem zabójstwa, choć komplikowało sprawę.

Zawsze w odwodzie pozostawał zabójca.

Poza tym pośród dokumentów ofiary na luźnej kartce znalazł numer telefonu stacjonarnego.

Dokumentowi kartki zdążył się już pozbyć, spuszczać do klozetu w miejskim szalecie, ale numer zapamiętał.

Miał fotograficzną pamięć.

Bez trudu odszukał w książce telefonicznej na poczcie nazwisko i ulicę, przy której mieszkał posiadacz numeru.

Zlokalizowanie domu też było łatwe.

A potem, jak na zawołanie, na furtce w sąsiedniej willi zobaczył kartkę: "Pokoje do wynajęcia".

Zadbana kobieta w wieku więcej niż średnim była zachwycona, gdy okazało się, że zamiast hałaśliwych studentów trafił jej się zamożny cudzoziemiec, ornitolog szukający zacisznej miejscy w pobliżu kopca Kościuszki i Lasku Wolskiego i płacący gotówką za oba wolne pokoje (potrzebował spokoju do pracy), i to za trzy

miesiące z góry.

Wiedział, cokolwiek z branży powiedzieliby na takie ryzyko, alegwizdał na to.

Lubiłmiećofiary w zasięgu ręki, a z zuchwalstwa uczynił skuteczną metodę.

Wynajem nic go niekosztował - sporo gotówki znalazł w portfelu von Baysena.

A przy okazji sprawdził swoją znajomość polskiego.

Wciąż jeszcze jako tako umiał się posługiwać tym językiem, a że z wyraźnym obcym akcentem, tym lepiej.

Nie znał drugiej nacji, która z równą czołobitnością odnosiłaby się do cudzoziemców, jak Polacy.

Podniósł do oka lornetkę (ostatecznie był ornitologiem) i wyostrzył obraz.

W domu naprzeciw nic się nie działo.

Za to wypatrzył dwóch mężczyzn w zaparkowanym niedaleko samochodzie.

Odrąz rozpoznał gliniarzy.

Uśmiechnął się.

A więc policja także interesowała się tym adresem.

Znakomicie.

To potwierdzało, że jest na dobrym tropie.

Tajniakami się nie przejmował.

W każdej chwili mógł się z nimi rozprawić.

Ale poco, skoro wystarczy jeden telefon do przyjaciela zdawnych lat.

38

Ach, ci Polacy!

Chełpili się, że pierwsi obalili komunizm, a tymczasem jako ostatni wciąż nie potrafili po nim posprzątać.

Nie był drugim krajem postkomunistycznym, w którym w praktycznie wszystkich kluczowych urzędach i instytucjach pracowałoby tak wielu tajnych agentów służb, nadal niezwerifikowanych albo zwerifikowanych fałszywie.

Jego starych druhów z lepszych czasów.

Trochę im zazdrościł.

Oni wciąż siedzieli w interesie, dysponowali sporym kapitałem, doskonale zarabiali

albo mieli emerytury kilkakrotnie przekraczające dochody przeciętnego zjadaczachleba, a on musiał się tułać po świecie i nadstawiać głowę, by zarobić na utrzymanie.

Zato jako wolny strzelec miał ich wszystkich w ręku.

Z obawy przed zadenuncjowaniem zrobią wszystko, czego zażąda.

Znają go dobrze i wiedzą, do czego jest zdolny, kiedy się zdenerwuje.

Wszystko zatem układało się znakomicie.

Policjant pewnością nic nim jeszcze niewie i nigdy się nie dowie.

A jeśli nawet, to wystarczy pociągnąć za kilka sznurków i śledztwo ugrzęźnie beznadziejnie.

Teraz trzeba było jedynie uzbroić się w cierpliwość i powstrzymać od zabijania.

Na jakiś czas.

Jutro pomyśli, jak sobie zorganizować pracę.

Nie mógł przecież jak idiota sterczeć przy oknie przez całą dobę.

Odłożył lornetkę, odszedł od okna, wygodnie wyciągnął się na staroświeckim tapczanie, upewnił się, czy ma pod ręką całą skrzynkę mineralnej, zamknął oczy i zaczął marzyć.

Każdy ma w życiu jakiś cel.

Jego od lat był ten sam: rajska wyspa, prywatna plaża, własny jacht,

bungalow, wianuszek palm i półnagich dziewcząt oraz egzotyczne drinki przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku.

I dużo wody - dookoła i wewnątrz.

Takie było jego marzenie, obsesja, idee fixe, czy jak to zwał.

Ta sprawa nareszcie miała mu dostarczyć środków na jego realizację.

Kraków, 24 czerwca 2010 (czwartek)

- Proszę - odparła machinalnie.

Stała na balkonie i rozglądała się po okolicy, paląc papierosa.

Wszedł Tomasz, zamknął drzwi i zastygł zaskoczony. Po Niemce spodziewał się zamieszania do porządku.

Tymczasem pokój zarzucony był rzeczami wyjętymi z torby ciśniętymi byle gdzie.

Podniósł z podłogi biustonosz, położył na krześle, w pamięci notując rozmiar.
Jego ulubiony.

39.

- Zmęczona?

- spytał, podchodząc do drzwi balkonowych.

- Trochę.

Pół godziny temu razem z dziennikarzem wróciła z przesłuchania w komendzie. Nawersalce ponieważ wzięły się ubrania, książki i papiery należące do starego von Baysena, wytrząśnięte z jego walizek stojących obok.

- Jeden garnitur już odłożyłam.

Resztą nie będzie mi potrzebna - powiedziała, widząc, na co patrzy.

- Możesz coś z tym zrobić?

- Zaniósę do norbertanek dla biednych.

- To świetnie - zgasiła niedopałek w doniczce z kwiatami, po czym dodała: - Nie palę dużo.

I nigdy w mieszkaniu.

Zmieszczę się, bo właśnie pomyślał, co na to powie Michałina, która uwielbiała zapach dymu fajkowego ("jest taki męski"), ale nie znosiła smrodu papierosowego.

- Ładnie tu - zatoczyła ręką krąg.

- Art deco?

- Tak.

I secesja.

To najbardziej malownicze osiedle w Krakowie.

Zaprojektowane jeszcze przed pierwszą wojną światową dla urzędników państwowych, artystów i takich tam.

Dziś to najbardziej pożądane miejsce do mieszkania w całym mieście.

I jedno z najdroższych.

- Więc jesteś bogaty?

- Tylko potencjalnie.

Gdybym sprzedał dom.

- Co to jest?

- pokazała palcem.

- Kopiec Kościuszki.

Rozciąga się z niego widok na cały Kraków.

- Nie tam, bliżej.

- Cmentarz Salwatorski.

Mamy tam rodzinny grób.

- Idealna okolica spaceru.

- Owszem.

Tam, daleko, widać cerem Kamedułów na Bielanach, a bardziej na lewo, za Wisłą - stary klasztor Benedyktynów w Tyńcu.

Jak chcesz, przejdziemy się gdzieś po kolacji.

A na razie możesz zaglądnąć do mnie.

Stamtąd jest widok na drugą stronę.

Skinęła głową.

Po drewnianych schodach weszli na poddasze, które Tomasz sam zagospodarował, kiedy ukończył osiemnaście lat, zostawiając odsłonięte krokwie i belki tworzące konstrukcję dachu, a ściany między nimi malując na biało.

Sam się zdziwił, odkrywając w sobie, typowym jajogłowym humaniście z dwiema lewymi rękami, talent do majsterkowania.

Ale tak by sobie nie poradził, gdyby nie pomoc kumpli, w tym Tadek Jareckiego.

W zamian wszyscy mieli gdzie się spotykać, urządzać małe jubilee i większe imprezy, a także schadzki z dziewczynami.

Jednak

40

to się ostatecznie skończyło przed dwoma laty, kiedy zerwał z Anżeliki odtąd żył jak mnich.

Sporo czasu minęło od tamtej pory, lecz zadrawcaż w nim tkwiła.

- Pedant z ciebie - zauważyła Anna Maria, rozglądając się po pokoju, w którym wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

- Po prostu lubię porządek - sprostował.

- Aja nie - odparła zaczepnie.

Podeszła dookna w jaskółce.

- Tam jest Wawel.

A tam, nad samą Wisłą, klasztor Sióstr Norbertanek.

Zaś tublisko kościół Najświętszego Salwatora - objaśniał, stojąc tuż za nią.

- A ta ośmiokątna, drewniana budowla najbliżej nas?

- Kościółek Świętej Małgorzaty.

Popularnie zwany gontyną, bo ponoć przed ponad tysiącem lat stała tu pogańska świątynia boga Pośwista.

Dawniej, kiedy był tu cmentarz dla zapowietrzonych, czyli ofiar zarazy, pełniła funkcję kaplicy cmentarnej.

- Czyje to?

- spytała, odwracając się od okna i pokazując cykl niewielkich pejzaży i portretów, olejów i akwarel, wiszących na ścianie.

- Mojego ojca.

Był konserwatorem dzieł sztuki, ale skończył też malarstwo.

Malował tylko w wolnym czasie, a nie miał go wiele.

To prawie wszystko, co po nim zostało.

- Bardzo dobre.

A to?

- pokazała grafiki na przeciwległej ścianie.

- Moje.

Kontemplowała dzieła w skupieniu, wreszcie powiedziała:

- Niezłe.

Odziedziczyłeś talent po ojcu.

- A szczerze?

- dociekał, wyczuwając, że dziewczyna nie mówi wszystkiego.

- Naprawdę tego chcesz?

Skoro tak.

- wzruszyła ramionami.

-Moim zdaniem masz talent,ale zatrzymałaś się w pół drogi, jakbyś nie mógł się zdecydować, czy chcesz być artystą tradycyjnym jak ojciec, czyawangardowym.
To sztuce nigdy nie wychodzi na dobre.

Utrafiła w sedno.

Czuł to samo, ale nigdy się do tego nie przyznał,nawet przed samym sobą.
Całego dotychczasowe życie tak wyglądało - zawsze zatrzymywał się w pół drogi.
Dlatego nie zaszedł tam,dokąd musie kiedyśmarzyło.

- Uraziłam cię?

- spytała.

- Nie.

Masz rację.

Wygląda na to, że znasz się na sztuce.

- Trochę.

Żyjesz z tego?

41.

- Nie - uśmiechnął się gorzko.

- Naszczęście oprócz ASP skończyłem też historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Uczę w szkole plastycznej, niedaleko stąd.

Akurat jutro jest zakończenie roku szkolnego.

Może wybierzesz się ze mną?

- Może.

Pokazał jej sąsiedni pokój, pełen regałów z książkami, starych map i rycin wiszących na ścianach.

Pod oknem stało staroświeckie wielkie biurko, na którym leżał laptop i drukarka.

- Sporo książek - zauważyła.

- I brak telewizora.

- Tylko biblioteczka podręczna.

Trzymam tu swoje ulubione książki: podróżnicze, przygodowe, historyczne i kryminały.

Prawdziwa biblioteka jest na dole, obok twojego pokoju.

Pozbyłem się telewizora, bo nie lubię widoku i jazgotu umysłowych krasnoludków.

Wolę sobie poczytać.

Czasem tylko schodzę na jakiś mecz do ciotki, która namiętnie ogląda seriale, ale dobrym meczem też nie pogardzi.

- Skąd to masz?

- Pochyliła się nad biurkiem, na którym leżał portret pamięciowy wykonany dla policji.

- Sam go zrobiłem.

- Pokazywali mi go dziś na komendzie.

- I co, rozpoznałaś tego człowieka?

- Był niedawno u ojca, akurat gdy go odwiedziłam.

Pokłócili się.

Ale ojciec nie chciał mi powiedzieć o co.

Nie wiem, jak się nazywa anikim jest.

Zerknął nazegarek.

- Na śmierć zapomniałem, że ciotka kazała mi poprosić was na kolację.

Musimy zejść, bo urwie mi głowę.

Po drodze zabrali ze sobą dziennikarza.

Po kolacji Tomasz posprzątał naczynia i zaniósł do zlewozmywaka, ponieważ Michałina za nic nie chciała zainstalować zmywarki.

Uważała, że zmywanie garów to dobre ćwiczenie gimnastyczno-dyscyplinujące, zarówno dla niej, jak i Tomasza, na którego ten obowiązek spadał po wspólnych posiłkach.

- Ja pozmywam - zaoferował się niespodziewanie Katz.

- Ty? - parsknęła Anna Maria.

- Odkąd to potrafisz takie rzeczy?

- Mało o mnie wiesz.

Ale wszystko przed tobą.

Skończyło się tym, że mężczyźni podzielili się pracą: Bażyński umył naczynia, a Katz je powycierał.

- To ja zajrzę do skrzynki pocztowej - powiedział Tomasz, kiedy kobiety wyciągały ciasto z piekarnika i grzały wodę na herbatę.

42

Wyszedł na zewnątrz i otworzył furtkę, do której była umocowana skrzynka na listy, a potem samą skrzynkę i wyjął z niej kilka przesyłek.

Jak zwykle były to głównie reklamy, rachunki i rozliczenia.

Jedna przesyłka różniła się od pozostałych.

Była większa i cięższa, przez papier wymacał książkę lub zeszyt.

Odwrócił kopertę i zastał zaskoczony, poczym szybko wrócił do domu.

- Zum Teufel!

Donnerwetter!

Job twoju mat'!

Kurwa!

- kłął brodaczobserwujący dom, odejmując lornetkę odoczu.

Że teżo tym nie pomyślał!

Todlatego niczego nie znalazł przy profesorze aniw pokoju hotelowym.

Von Baysen wykazał się sprytem, o który go nie posądzał, alemimo wszystko powinien było przewidzieć.

Czyżby sięstarzał?

Nie byłona co czekać.

Potrzebował pomocy.

Wziął do ręki komórkę i wystukałnumer.

- Kloss?

Jak to kto mówi?

Brunner.

Cóż to, dojasnej cholery, Alzheimer cięodwiedził?

W dawnych, dobrych czasachstanowili trójkę dobranych kumpli, cow ich fachunie spotykało się często.

"Trzej przyjaciele z boiska": Lech, Sas i Rus.

Polak z SB, Niemiec ze Stasi i Rosjanin z KGB.

Żartobliwe ksywkinadali im koledzy, zapożyczyszy je z popularnych wówczas wdemoludachseriali szpiegowskich:Stawki większej niż życie i Siedemnastumgnień wiosny.

Kiedyś, nawspólnym obozie szkoleniowym bratnichsłużb, ktoś rzucił w jego stronę:

"Ej, Brunner, gdzie zgubiłeś Klossa i Stirlitza?

". Przyjęło się do tego stopnia, że sami zaczęli się do siebie zwracaćw ten sposób.

Nieoficjalnie, rzecz jasna.

- No to co, żezastrzeżony?

Wciąż mam swoje dojścia.

Ale dobra, nie

chcesz, żebym dzwonił na ten numer,to daj mi inny.

Zanotował wpamięci podane cyfry.

", Już dobrze, niegniewamsię.

Słuchaj, potrzebuję na wczoraj paru '
gadżetów.

- wymienił je.

Nie pierdol mi o trudnościach!

- zezłościł się.

-Chcę to mieć jutro,najdalej po południu.

Za dużo chciałbyś wiedzieć.

Może cikiiedyś powiem, a mozenie.

43.

- I ciebie też!

Cześć!

Zadowolony z siebie wyłączył komórkę i nalał sobie pół szklanki wódki z flaszki kupionej w pobliskim markecie.

Wypił jednym haustem, chuchnął i otrząsnął się.

Ogólnie nie lubił Polski i Polaków z wyjątkiem Kłossa.

Ale uwielbiał polską wódkę i polskie przekleństwa, o wiele mocniejsze od ich niemieckich odpowiedników.

Na dodatek doskonale pasowały do żubrówki, której smak wciąż czuł na języku.

- Stirlitz?

Nie uwierzysz, kto przed chwilą do mnie zadzwonił.

Brunner!

Jest w Polsce.

Konkretnie w Krakowie.

- Wiem, kuśwa, że poszukują go w całej Europie i Stanach.

Za kogo mnie masz?

Dlatego to musi być jakaś grubsza sprawa, skoro poszedł na takie ryzyko.

- Mnie to mówisz?

Wiem, że to nieobliczalny świr.

Aż mrózmi przechodzi po kościach, gdy pomyślę, jakich głupot może narobić i do czego się posunąć.

Pieprzony "najwierniejszy uczeń Iljicza".

Gdyby się systemnie zawalił i tak wylaliby go z roboty. Pamiętaj, jaką opinię wystawiłmu resortowy psychiatra?

"Osobowość dyssocjalna, wysoce amoralna i socjopatyczna.

". Ale właśnie dlatego lepiej go nie drażnić.

Kto wie, co strzeliłoby popaprać wido łba, gdybym go olał.

Na razie będę z nim współpracował, dopóki się nie dowiem, o co mu chodzi.

Potem wspólnie się naradzimy, co z tym zrobić.

- Jasne, że będę ostrożny.

Jeszczeżyciemie.

Odezwę się, jak będęcoś więcej wiedział.

Da swidania.

Kiedy Bażyński pojawił się w salonie (przez Michalinę zwanym bawialnią), herbata parowała z filiżanek, a cała trójka pochylała się nadrozwiniełym rulonem brystolu ze starannie odwzorowanym drzewemgenealogicznym rodu von Baysen-Bażyńskich - owocem hobbystycznych studiów Michaliny.

Tomasz nigdy nie mógłsię w tym rozeznąć, tak

44

zawiłe i skomplikowane linie biegły we wszystkich kierunkach, łączącsetki zupełnie mu obcych osób, na dodatekmarginesy były upstrzone notatkami zapisanymidrobnym maczkiem, które tylko staruszka potrafiła odczytać.

Ominął łukiem ogromnyczarnyfortepian koncertowy (naktórym Michalina wygrywała kolędy, już coraz rzadziej, ulubionegoChopina), zajmujący połowę pokoju, i dołączył do pozostałych.

- Spójrz, Tomaszu - powiedziała ciotka.

- Właśnie ustaliłyśmy z panną von Baysen, że macie wspólnych pra-pra-pra-pra-pradziadków.

Każdy, ktookazywał zainteresowaniejej ulubionym tematem, to znaczy dziejami rodu, natychmiast zaskarbiał sobie sympatię staruszki.

Tomasz był ciekaw, czy ze strony Anny Marii owo zainteresowanie byłoautentyczne czy udawane.

Wyglądała na bardzo inteligentnądziewczynę.

Ale z drugiejstrony na taką, która nie sili się na uprzejmości tylko po to,by się komuś przypodobać, i robi jedynie to,na co ma ochotę.

Dla kogośtakiego jak Tomaszbyło to niezwykle ożywcze i pociągające.

- Siódma woda po kisielu - mruknął.

-Co? - nie zrozumiała Niemka.

- Totakie polskie powiedzenie.

Oznacza bardzo odległe pokrewieństwo - wyjaśniła Michalina, która po niemiecku mówiła całkiem dobrze,tylkoczasem brakowało jej słówek.

- Spójrz tutaj, dziecko - dziobnął chudym palcem w planszę.

-To urodzony w 1390 roku Jan albo Hanusz Bażyński, czyli Johannes vel Hans von Baysen, najślawniejszy przedstawiciel naszego rodu.

Ten, który zramienia wielkiego mistrza Kiichmeistera posłował do Anglii i Portugalii. Wyróżnił się w walce z Maurami pod Celtaj król portugalski rozszerzył mu herb z wiewiórką o klejnot w postaci Murzyna.

Po powrocie do Prus wstąpił do antykrzyżackiego rycerskiego Związku Jaszczurczego, a w 1440 roku był jednym z założycieli Związku Pruskiego.

Stał na czele pruskiego poselstwa, które w lutym 1454 przybyło do Krakowa błagać króla Kazimierza Jagiellończyka o inkorporację Prus do Polski.

Wygłosił wtedy słynną mowę.

"Nie tajno, miłościwy królu, tobie i twojej radzie- mówił - a podobno i narodom sąsiednim, ile krzywd i niegodziwości, ile zniewag i hańby dziadowie i ojcowie nasi, a na koniec my sami wycierpieliśmy od wielkiego mistrza i zakonu. Przeto udajemy się do majestatu twego z prośbą, abyś raczył nas przyjąć za twoich i królestwa twego wieczystych poddanych i wcielił na nowo do Królestwa Polskiego, od którego jesteśmy oderwani".

Po powrocie do Prus Jan, razem z braćmi: Ściborem i Gabrielem, stanął na czele zbuntowanych krzyżackich poddanych, za co król Kazimierz

po zdobyciu Malborka uczynił go pierwszym gubernatorem Prus Królewskich.

Po śmierci Hanusza w 1459 roku, na stanowisku gubernatora zastąpił go brat Ścibor.

- Ciociu, daj spokój.

Nie zanudzaj naszych gości starymi dziejami - tonował rozpędzoną staruszkę Tomasz.

- Poza tym nie zapominaj, że najmłodszy brat Jana, Aleksander, opowiedział się po stronie Krzyżaków.

- Wiadomości o własnych korzeniach nigdy za wiele, mój chłopcze - pouczyła go Michalina zgodnością.

- Co masz taką dziwną minę?

Podaj mi przesyłkę.

- To od twojego ojca!

- wykrzyknęła Michalina, okrągłymi ze zdumienia oczyma spoglądając na Annę Marię i rozrywając papier.

Ukazał się zeszyt, pożółkły ze starości, lecz w nowej oprawie.

- Cóż to może być?

- Michalina kartkowała brulion ze zmarszczoną miną.

- Tomaszu, podaj mi okulary.

Leżą na kredensie.

- Wiem, co to jest - powiedziała cicho Anna Maria ze wzrokiem wbitym w stół.

- To pamiętnik mojego dziadka Helmuta.

Podczas ostatniej wojny był esesmanem i mordował ludzi, a potem to opisywał i wklejał zdjęcia.

Kiedy Rosjanie go aresztowali, miał pamiętnik przy sobie.

Niepotrzebowali lepszego dowodu, żeby go rozstrzelać.

Michalina z odrazą rzuciła zeszyt na stół.

- Mój Boże!

- szepnęła, unosząc dłoń do serca.

- Znowu ta wojna.

Tomaszu!

Posłusznie, kierując się gestem ciotki i dużym doświadczeniem w tymwzględzie, podszedł do przepastnego kredensu, wyjął napoczętą butelkę brandy, nalał do szkła słuszną miarkę i przyniósł staruszce.

Pochłoneł atrunek z szybkością świadcząca o nieliczej wprawie.

Niemal natychmiast zmarszczki na twarzy wygładziły się, a na zapadniętych policzkach pojawił rumieniec.

- Przepraszam - powiedziała do Niemców - ale niedawno w telewizji znów mówili o tej Ericie Steinbach, co to chce w Berlinie budować Centrum Przeciwno Wypędzeniom i upomina się o krzywdy doznane :

przez Niemców podczas ostatniej wojny.

Trzeba mieć czelność, zwłaszcza gdy się urodziło pod Gdynią z rodziców, którzy przybyli do Polski jako okupanci!

- Ciociu!

- próbował ją mitygować Tomasz.

- A bo nagle usiłuje się mówić światu, że drugą wojnę wywołały niezidentyfikowane ufoludki dla niepoznaki poprzebierane w mundury
46

Feldgrau¹, a miliony Żydów i innych wymordowały się same w obozach zagłady pobudowanych przez Polaków.

Takie odwracanie kota ogonem i robienie ofiary z agresora nad wyraz mnie irytuje!

Tomasz ponownie chciał coś wtrącić, ale Anna Maria uprzedziła go, mówiąc zupełnie spokojnie:

- Mnie też.

Ojciec często mi powtarzał: kto sieje wiatr, zbiera burzę.

- Właśnie!

Miło mi to słyszeć z twoich ust, moja droga - Michałina obrzuciła Niemkę przychylnym spojrzeniem.

- A teraz posłuchamy, co twój ojciec do mnie napisał.

Podniosła z blatu luźną, złożoną na półkartkę, która wypadła z pamiętnika. Poprawiła okulary na nosie i zaczęła czytać na głos:

Droga Kuzynko!

Skoroczysz ten list, w takim razie nie ma mnie już pośród żywych.

Nie zdążymy zatem spotkać się, by wspólnie odtworzyć pełną historię naszego rodu.

Szkoda.

Przesyłam Ci te straszności, by nie wpadła w ręce ludzi, którzy dla jej zdobycia nie cofną się przed niczym, a mam powody przypuszczać, że deptają mi po piętach.

Szczególnie zależy im na fragmencie stron 56-60.

Aby go właściwie zrozumieć, trzeba się podeprzeć dodatkowymi informacjami, to zaś może uczynić jedynie moja córka.

Zostawiam jej decyzję, co ma z tym uczynić.

Za nic nie chciałbym jej jednak narażać, więc przekonaj ją, proszę, w moim imieniu, droga Michalino, by oddała wszystko w ręce specjalistów.

Czy polskich, czy niemieckich, to pozostawiam jej uznaniu.

Nie chcę do niej pisać, by nie ściągać na jej głowę większego niebezpieczeństwa niż to, które, jak się obawiam, już stało się jej udziałem.

Anno Mario, kocham Cię, córeczko.

A Tobie, droga Kuzynko, polskim obyczajem życzę "stulat" życia i jeszcze dużo więcej.

Apotem nareszcie spotkamy się w lepszym świecie i nagadamy się do woli.

Przepraszam zakłopot, który Ci sprawiłem.

Ernest von Bays.

Kraków, 19.

06.2010

- Rozumiesz coś z tego?

- Michalina spytała Annę Marię, której dziennikarz półgłosem na bieżąco tłumaczył treść listu.

' Peldgrau -(z niem.

)"polowa szarość".

Szarozielony kolor mundurów armii niemieckiej w czasie drugiej wojny światowej.

47.

Dziewczyna milcząco pokręciła głową.

Niewiele dało się po niej poznać, ale oczy znów miała szkliste.

- List jest z soboty, a przesyłkę nadano na Poczcie Głównej - zauważył Tomasz, rozprostowując pomietą kopertę.

- Może profesor zorientował się, że jest śledzony, albo zobaczył kogoś, kogo miał prawo się obawiać, i jakoś zdołał niepostrzeżenie dotrzeć na pocztę.

Ale raczej opłacił posłańca.

To był inteligentny człowiek.

Acz mógł po prostu zostawić przesyłkę w hotelowej recepcji.

- Nie mógł - wtrącił przytomnie dziennikarz.

- Już jego zabójca znalazłby sposób, żeby ją stamtąd wydostać, bo z pewnością o tym pomyślał, kiedy przeszukanie pokoju profesora zakończyło się fiaskiem.

Zresztą, jak ustaliła policja, dziewczyna w recepcji przypomniała sobie kogoś, kto podając się za profesora i zasłaniając chwilowymi zanikami pamięci, pytał, czy nie zostawił czegoś na przechowanie, ale nie potrafiła tego kogoś opisać.

A zresztą - jeśli nieprześladowca, to policja położyłaby rękę na depozycie i wtedy inaczej by rozmawiali z Anną Marią.

- To twoje - Michalina podała pamiętnik dziewczynie.

Niemka zachnęła się i odsunęła od stołu razem z krzesłem.

- Nie wezmę tego doręki.

Ten pamiętnik pierwotnie był prawiony w ludzką skórę.

Dopiero ojciec wymienił okładki.

A gdzieś w środku Helmut podobno opisuje, jak tu, w Krakowie, skatował na śmierć człowieka za to, że ten powołał się na wspólne pochodzenie.

Staruszkach chciała pogłodzić Annę Marię po krótkich włosach, lecz dziewczyna uchylała się.

- Tomasz!

Polej jeszcze koniaczku - poleciła Michalina bratankowi, a gdy ten posłusznie wypełnił polecenie, zwróciła się łagodnie do dziewczyny: - To był mój brat, Stefan

Bażyński, oficer Armii Krajowej.

Wiem, bo twój ojciec opisał to dokładnie w swojej książce wówczas zaczęliśmy korespondować.

Ale mylisz się.

Brat faktycznie w styczniu 1945 wpadł w łapy gestapo.

Był jednak twardy i przeżył przesłuchanie, chociaż stracił odbitą nerkę, a zaraz potem Niemcy musieli uciekać z Krakowa.

Zginął powojnie, w 1952 zakatowany na śmierć przez ubeków za "zdradę ludowej ojczyzny".

Dlatego komunistów nienawidzę chyba bardziej niż hitlerowców.

Staruszka znów się zdenerwowała.

Cieężko opadła na krzesło.

Trzęsącą się ręką ujęła kieliszek, niemal duszkiem wypła brandy i dopiero wtedy się uspokoiła.

Sięgnęła ręką przez stół i pogłaskała Annę Marię po policzku.

Tym razem dziewczyna była zbyt poruszona i niezdażyła, a może nie chciała zrobić uniku.

48

- Nie zdręczaj się, moje dziecko.

Przecież nie odpowiadasz za czyny twego dziadka.

A twój ojciec zrobił co mógł, żeby odkupić rodzinne winy.

Dobrze wiesz, że są tacy Niemcy jak wy.

Bo słyszałam kiedyś w telewizji wypowiedź młodej Niemki w stylu: "dość już bicia się w piersi za grzechy przodków, ileż można".

- Może ona nie miała dziadka esesmana?

- zauważyła Anna Maria sucho.

- Takie pokrewieństwo zobowiązuje.

- To kwestia nadwreżonej dumy narodowej - dodał Katz.

- Dlatego niektórzy Niemcy uciekają od niechlubnej przeszłości albo próbują przerzucać winę na inne nacje.

Ale zapewniam panią, że nie wszyscy.

- Książka profesora o zbrodniach Helmuta von Baysena i jemu podobnych ukazała się dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Czemu tak późno?

- przerwał im Tomasz, bojąc się, by nie ugrzęzł na drażliwym gruncie.

- Helmuta schwytali i zdemaskowali Rosjanie, kiedy próbował przedostać się do strefy amerykańskiej.

Dlatego wszystkie dokumenty, które przy nim znaleźli, trafiły potem do archiwów Stasi.

Dopiero kiedy upadł mur berliński i powstał Instytut Gaucka, ojciec uzyskał dostęp do tych akt - wyjaśniła znów całkowicie opanowana dziewczyna.

- A niedawno zjawił się u ojca ten człowiek z twojego portretu i chciał kupić pamiątkę za dobrą cenę.

Ojciec mu odmówił, ale później widziałam go za biurkiem z pamiątką w ręku.

To wtedy zdecydował się zmienić okładki.

Tędy wyglądał na bardzo podnieconego.

Niedługo potem wspomniał, że wybiera się do Krakowa.

Odsunęła swoją niemal nietkniętą brandy i wstała.

- Przepraszam, ale żlesię czuję i chciałabym się położyć.

Tomaszu, zechciałbyś jutro pomóc mi załatwić formalności związane z przetransportowaniem ciała ojca do Niemiec?

- Oczywiście.

- Zatem do rano wszystkim.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Anna Maria zamknęła drzwi na klucz, zasłoniła stopy, zgasiła światło, zapaliła nocną lampkę i usiadła na łóżku.

Po policzkach popłynęły jej łzy, które tak długo tłumiała.

Wreszcie uspokoiła się, otarła oczy rękawem i rozejrzała po zagraconym wnętrzu.

Najwężniej natychmiast opuściłaby ten dom i tych ludzi pokrzywdzonych

przez jej dziadka.

Nie przypuszczała nawet, że zmierzenie się z tym problemem, dotąd tylko teoretycznym, będzie aż takie trudne.

Chciała już wrócić do Niemiec.

Ale nie mogła.

Sięgnęła po laskę ojca.

Jego cenny złoty cartier zniknął, ale laseczka ze srebrną rękojeścią w kształcie ptasiej głowy dziwnym trafem nie wzbudziła zainteresowania złodziei.

Albopo prostu jej nie zauważyli.

Przypomniała sobie, że Jarecki napomknął, iż znaleziono ją w trawie za ławką.

Dopiero po zbadaniu odcisków palców, policjanci upewnili się, że należała do jej ojca.

Zdecydowanym ruchem szarpnęła rękojeść, która ustąpiła i dała się wykręcić, odsłaniając wydrażoną skrytkę.

Wsadziła doniej palec i wysunęła jakiś zwitek.

Po rozłożeniu okazał się on arkuszem cienko wyprawionego pergaminu owiniętym w zwyczajną kartkę papieru - "rową, którą przeczytała ze wzruszeniem:

Kochana córko!

Mądrej głowie dość dwie słowie, głosi polskie powiedzenie.

Wiem, że dowiedziawszy się o fragmencie z pamiętnika, który trzeba

"podeprzeć" dodatkowymi informacjami, bez trudu odgadłaś, że chodzi o skrytkę w lasce, gdyż tylko Tobie ją pokazałem.

Schowałem tu sensacyjną relację z XV wieku, którą przypadkiem znalazłem w okładce ohydneho pamiętnika Twego ;

zbrodniczego dziadka.

Ponieważ wiesz już także, dokąd zaprowadziła mnie'.

przekłętą ciekawość, błagam Cię na wszystko - nie czytając nawet tego dokumentu, oddaj go w ręce fachowców.

Kosztował już życie co najmniej dwóch ludzi.

Nie próbuj robić czegoś na własną rękę, zaklinam Cię.
Byłaś całym moim życiem nie chcę, by przeze mnie spotkało Cię coś złego.

Twój kochający ojciec

Już nie płakała, tylko długopatrzyła na pergamin.

Pocziwy tata JMógł żyć jeszcze długo.

Ktoś zabił go z powodu tego dokumentu.

Musiała poznać jego treść, jeśli chciała go pomścić.

Zdumiało ją to pragmatyczne.

Spadło na nią nagle.

Przecież brzydziła się przemocą.

Ćwiczyła sporty walki, lecz tylko dla własnego bezpieczeństwa.

Była twarda, ale 'niemściwa.

Nawet uraz nie pamiętała długo.

Dotąd tajemnicze historie;

wcale jej nie pociągały, nie lubiła ani książek, ani filmów sensacyjnych.

Nie przeczytała nawet wszystkich publikacji ojca.

Teraz tego żałowała,!

bo może mieliby więcej wspólnych tematów.

Niczym przewijający się na przyspieszonych obrotach film, przypomniały jej się wszystkimi momentami z dzieciństwa i wczesnej młodości;

50

gdy usiłował zastąpić jej matkę.

Jaki był czasem nieporadny, lecz zawsze oddany.

Nie zatrudnił opiekunki, zresztą wtedy nie było ich na niastacie.

Sam robił zakupy, prał, a nawet czasem usiłował coś gotować.

Zapamiętała niedzielny zupę ogórkową, ohydny w smaku lurek, z której był bardzo dumny, a ona ukradkiem wylała ją do zlewu.

W żadnym momencie nie postawił wyżej swojej kariery i osobistego szczęścia.

Widziała, jak cierpi, nadszarpując sobie reputację pseudonaukowymi sensacjami, a robił to tylko dla pieniędzy, żeby jej niczego nie brakowało.

Kiedy mógł już sobie na to pozwolić, załatwił jej renowowaną szkołę z internatem. Odtąd jednak widywali się coraz rzadziej, zwłaszcza gdy przeniosła się nastudia na drugi koniec kraju, a potem pochłonęły ją sprawy zawodowe.

Nie rozumiała jej twórczości, ale zawsze jej kibicował.

Widziała, jak się starzał, i nawet myślała o tym, że mogliby zamieszkać razem, przynajmniej na próbę, zwłaszcza że był niekłopotliwy, a ona samotna i stale w wozach.

Ale tego projektu nie zdążyła zrealizować.

Teraz za to była gotowa na wszystko, aby dowiedzieć się, dlaczego musiał umrzeć.

Zbrodniarza należało złapać i ukarać.

I jeśli polska policja szybko nie wyjaśni tej sprawy, ona podejmie śledztwo na własną rękę.

Z pomocą Adama lub bez.

Choćby miała zostać w tym kraju jeszcze kilkadziesiąt dni, wynajmując najlepszych prywatnych detektywów i wydać wszystkie pieniądze.

Aż dopnie swego.

Jak zawsze.

Ostrożnie rozprostowała kruchy pergamin i spróbowała przeczytać dokument.

Nic z tego, był napisany po łacinie.

Potrzebowała pomocy.

Tomasz usiadł przy biurku.

Dochodziła północ, lecz dla niego to była młoda godzina.

Dobrze pojmował, dlaczego Niemka nie chciała dotknąć pamiątki swego dziadka zbrodniarza.

Nawet jej trochę współczuł.

Równocześnie pomyślał z dumą i pewną dozą poczucia wyższości, że on, w przeciwieństwie do niej, swoim dziadkiem mógł się poszczycić.

„-Od czasów sławnego Hanusza von Baysen-Bażyńskiego jego przodkowie z polskiej linii rodu świecili przykładem prawości i szlachetności.

Nieto co niemieccy von Baysenowie, a przynajmniej jeden z nich.

Przełamując odrazę, otworzył pamiętnik.

Niestety, zaraz go zamknął.

Ze swoją nędzną znajomością niemieckiego nie miał żadnych szans.

Wziął pamiętnik pod pachę i cicho zszedł nadół.

Spod drzwi syPialniciotki wydostawała się smużka światła.

Zapukał delikatnie i wszedł.

51.

Michalina czytała w łóżku przy zapalanej lampce.

Spojrzała nań pytająco nad okularów.

- O co chodzi?

-Przyniosłem pamiętnik do przetłumaczenia.

- Połóż na stoliku.

Zajmę się tym przy okazji.

Coś jeszcze?

- spytała, widząc, że przestępuje z nogi na nogę.

- Co sądzisz o naszych gościach?

Konkretnie o Annie Marii.

- Jest w porządku.

Nigdybym się nie spodziewała, że powiem coś takiego o Niemce.

Ale ostatecznie to przecież rodzina.

Biedne dziecko.

Dotknęło ją prawdziwe nieszczęście.

Podoba ci się?

- rzucił nagle, poczym widząc jego zmieszanie, ciągnęła: - I bardzo dobrze.

To pierwszadziewczyna do rzeczy, jaką tu sprowadziłeś.

No, zmykaj już, bo nie mogę się doczekać, kiedy panna Marplenareszcie demaskuje mordercę.

Bażyński nie zasłonił okna.

Brodacz wyostrzył lornetkę.

Najlepszą, zeissowską.

I od razu domyślił się, co tak zajęło młodego człowieka.

To, musiałbyć pamiętnik Helmuta von Baysena!

Ciekawe, co jeszcze znajdowało się w przesyłce?

Szlag!

Kraków, 25 czerwca 2010 (piątek)

- O mój Boże!

Toprzecież Baya!

Ładna dziewczyna przerwała recytację wiersza z okazji uroczystości zakończenia roku szkolnego w liceum plastycznym i wyciągniętą ręką wskazała Annę Marię, skromnie stojącą w kącie na końcu obszernego hallu pełniącego funkcję auli.

Przez oszkloną ścianę, dzielącą hali od atrium, wpadało do wnętrza oślepiające światło słoneczne.

W jednej chwili zrobiło się zamieszanie.

Wszyscy, zarówno nauczyciele, jak uczniowie, jak na komendę odwrócili głowy we wskazanym kierunku.

Niektórzy wstali, żeby lepiej widzieć, a kilkadziesiąt z piskiem rzuciło się stroniem spodziewanego gościa.

Tomasz, dotrzymujący Niemce towarzystwa zamiast siedzieć pośród innych pedagogów, musiał się cofnąć przed napierającymi fanami.

Pochwycił zaintrygowane spojrzenia kolegów i ciężki wzrok dyrektorki.

Jęknął w głębi duszy.

Nie dość, że się spóźnił, to jeszcze

52

był sprawcą zakłócenia ustalonego biegu rzeczy.

A pani dyrektor bardzo nie lubiła niespodzianek.

Niespecjalnie lubiła też Tomasza, słusznie podejrzewającego o sprzyjanie nowomodnym herezjom, tak pedagogicznym, jak artystycznym.

Szczerze wątpił, by po czymś takim nabrało nim lepszego mniemania.

Jego posada wisiała na włosku.

Przypuszczał, że nie przedłużą z nim kontraktu na przyszły rok.

Kiedy wreszcie opanowano chaos, jakoś udało się dokończyć akademię, choć podniosły nastrój diabli wzięli bezpowrotnie.

Anna Maria musiała złożyć dziesiątki autografów, obejrzeć prace uczniów wystawione w hallu, odpowiedzieć na mnóstwo pytań, wpisać się do księgi pamiątkowej i wypić kawę w pokoju nauczycielskim, gdzie oglądano ją niczym osobliwość.

Ostatecznie nieczęsto odwiedzali szkołę artyści, którzy dopiero co odnieśli światowy sukces w Nowym Jorku, o czym można było przeczytać w najnowszym numerze "Sztuki".

Choć, prawdę powiedziawszy, większość z obecnych dowiedziała się o tym przedchwilą.

Performance, akcje, instalacje czy happeningi interesowały ich tak samo jak przeciętnego klienta banku adnotacje drobnym drukiem na ofertach kredytowych. Tomaszowi udało się wynegocjować zwolnienie z końcowej rady pedagogicznej i oboje z ulgą mogli nareszcie opuścić szkolne mury.

- I jak?

- spytał.

- Jakoś wciąż nie mogę przywyknąć do swojej nagłej popularności.

- Nie łudź się.

Z wyjątkiem jednego nauczyciela i kilkorga uczniów, pozostali słyszeli o tobie pierwszy raz w życiu.

- Wcale mi nie dziwi.

Nie myśl, że w Niemczech zaczepiają mnie na ulicy.

Raczej zdumiewające, że i tutaj ktoś o mnie słyszał.

Który to, ten rudy, co nieźle mówił po niemiecku?

- To germanista.

Alenie on.

- A kto?

- Ja.

Zatrzymała się i wlepiała w niego zdziwiony wzrok.

- Ty?

Ja. Byłem głupcem, że od razu nieskojarzyłem nazwiska z twoim artystycznym pseudo.

- Nie sygnuję nazwiskiem swoich prac.

Zauważyłem.

W artykule, który czytałem, na zdjęciu miałaś długie włosy. Wyglądałaś zupełnie

inaczej.

Widać udało mi się naprawdę zainteresować niektórych uczniów twoją twórczością, skoro cię rozpoznali.

53.

Pogoda była ładna.

Skierowaliśmy się w stronę Wawelu, gdzie miał nam czekać Katz.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy Kościuszki i zeszliśmy poschodach na bulwary wiślane.

Od rzeki wiał przyjemny chłodem, przy brzegu pływały dzikie kaczki i łabędzie, dokarmiane przez spacerowiczów.

- Zazdroszczę ci - niespodziewanie dla samego siebie zdobył się na szczerość.

- Czego?

- Sukcesu.

Jesteś sławna.

Zawsze o tym marzyłem, ale nie udało się.

- Może za dużo marzyłeś, a za mało się starałeś?

Na szczęście masz jeszcze czas.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia osiem.

- No właśnie.

A ja skończyłem trzydzieści.

I jeszcze nic nie osiągnąłem.

To frustrujące.

Może po prostu trzeba stąd wyjechać, na przykład do Stanów.

- Dlatego chcesz wyjechać do Ameryki?

Bo tam rzekomo łatwiej zrobić karierę?

Powiem szczerze: daruj sobie, bo znów się rozczarujesz.

- Dlaczego?

Przecież ty podobno też chcesz tam pojechać.

Pokręciła głową.

- To co innego.

Sami mnie zapraszają do siebie na podstawie tego, co pokazałam do tej pory.

Ja chcę dojść na szczyt.

A szczyt dzisiaj jest w Nowym Jorku, a nie w Berlinie czy Paryżu.

Przetrawiał to chwilę w milczeniu.

- Rozumiem.

A skoro już o tym mowa, chciałem cię zapytać o ten twój ostatni film Matki i córki.

Robi wrażenie.

Matki zbrodniarki lub córki zbrodniarki albo zbrodnicze i matki, i córki oraz relacje między.

nimi.

Niezwykły temat.

;

- Samo życie.

-Może i tak.

Ale wyczułem w tym pasję i jakby osobistą nutę.

A możesz myśle?

Uśmiechnęła się krzywo.

- Moja matka umarła, kiedy byłam małym dzieckiem.

Prawie jej nie pamiętam.

Wychowywał mnie ojciec.

Rozczarowany?

Chrząknął i chcąc ukryć zakłopotanie, opowiedział jej o krakowskich Wiankach, poświęconych pamięci legendarnej królowy Wandy i tradycyjnie urządzanych w zakolu Wisły.

Zarówno tych dawnych, na starosło-

54

wiańską modłę, jak i obecnych, sprowadzonych w zasadzie jedynie do koncertu rockowego, jak ten, który odbył się w minioną sobotę.

- Rzekomo ma to przyciągać turystów z całego świata.

W zeszłym roku za ciężkie pieniądze sprowadzono Lennego Kravitz.

W tym nawet

nie wiem, kto był.

- Akurat zeszłego lata Kravitz miał aż dwa koncerty w Niemczech, więc raczej

nikt od nas się na niego do was niewybrał.

Co innego oryginalne widowisko historyczne.

W lipcu zeszłego roku byłam pod Monachium na bodaj tygodniowej imprezie rycerskiej, Jarmarku Średniowiecznym, na który przybyły tłumy z całej Europy.

Robiło

wrażenie.

- Powiedz to naszym zakompleksionym włodarzom.

- A czemu właściwie ta mityczna Wanda skoczyła do rzeki?

Uśmiechnął się.

- Bo nie chciała Niemca.

- Żartujesz.

- Bynajmniej.

Ale nie przejmuj się.

Widocznie w tamtych czasach kurs euro był wyjątkowo niski.

Na Wawelu chciała obejrzeć wnętrze katedry, którą jej ojciec nazwał "pomnikiem dziejów Polski".

Na stopniach katedry dogonił ich Katz.

- Byliście śledzeni.

- Skąd pan wie?

- Bo szedłem za wami.

- Wiedziałaś o tym?

- Tomasz spytał Annę Marię.

- Tak.

Adam znasie na rzeczy Ostatecznie jest prawnikiem i kiedyś współpracował z policją.

Widziałeś ich?

- zwróciła się do Niemca.

- Był tylko jeden.

Za to dobry.

- Może to policjant?

- Może.

Nie zdołałem go sobie obejrzeć.

Chyba się zorientował, zeszedłem za nim, bo naglezniknął.

- Dlaczego ktoś miałby nas śledzić?

- dociekał Tomasz.

- A dlaczego ktoś miałby mordować profesora von Baysena?

Wspólnie wdepnęliśmy w niebezpieczną historię, panie Bażyński, więc trzeba mieć oczy dookoła głowy.

Lepiej niech się pandotego przyzwyczajają.

Tomasz nic nie odparł.

Sytuacja była dla niego tak nowa, że z trudem przyjmował ją do wiadomości.

Milcząc, poprowadził ich do kościoła, a potem na dziedziniec zamkowy.

55.

- Gdzie ten słynny czakram, czy też święty Graal?

- zaciekał się siedziennikarz.

-Słyszałem, że dotknięcie ściany, pod którą spoczywa, dodaje pozytywnej energii.

Przydałaby mi się.

- Tam - Tomasz pokazał mur na lewo od bramy wjazdowej.

- Ale lepiej się tam nie zbliżać, bo strażnicy krzywo patrzą na natrętnych macaczy.

- A to czemu?

Wszędzie na świecie byliby szczęśliwi, mając taką gratkę.

Ustawiono by w tym miejscu tablicę informacyjną, skarbonkę garściami zbierano złote żniwo.

- Ale u nas wciąż najłatwiej udawać udzielnych książąt za państwową kasę.

Turyści tożło konieczne.

Profesor von Baysen od czasu swych publikacji o czakramie i świętym Graalu stał się dla zarządców Wawelu persona non grata, podobnie jak wspomniany w jego artykułach krakowski tropiciel zagadek historycznych.

Katz się mylił albo niedocenił własnych umiejętności.

Brodacz nie zauważył, że ma ogon.

Odebrał natomiast telefon, na który czekał od rana, i zrezygnował ze śledzenia Niemki i Polaka zaraz potem, jak zorientował się, że zacierają na Wawel.

Zresztą robił to tylko dla zabicia czasu.

Dopiero teraz mógł się zabrać do pracy profesjonalnie.

Sprawdził na planie miasta podaną lokalizację i ruszył szybkim krokiem.

Przy teatrze "Bagatela" skręcił w Karmelicką.

Na strzeżonym parkingu za Wojewódzką Biblioteką Publiczną (kiedy był w

Krakowie ostatnim razem, mieściły się tu jeszcze wojskowe koszary) wylegitymował się stróżowi dokumentem wystawionym na to samo nazwisko, które wcześniej podał Klossowi, i wręczył mu banknot dwudziestozłotowy, odbierając od niego kluczyki i papiery wozu.

Uczynny strażnik wyszedł z budki i pokazał mu, gdzie stoi samochód.

Był to trzyletni ford focus, w kolorze bordo, z warszawską rejestracją.

Doskonale, właśnie takiego auta potrzebował.

Szybkiego, wygodnego, a równocześnie nierzucającego się w oczy tak, jak najbardziej renomowane marki, szczególnie niemieckie mercedesy i audi.

O kradzieżach samochodów w Polsce nasłuchiwał się wystarczająco, acz wiedział, że ostatnio proceder ten jakby ustał.

Teraz złodziei interesowały głównie luksusowe wozy, które przerzucano na wschód, na Ukrainę i do Rosji, lub

Do upatrzonego wcześniej warsztatu samochodowego na Kościuszki :
dotarł dopiero po półgodzinie, grzęznąc w straszliwym korku na Alejach.

;

56

Kilka banknotów przeszło z rąk do rąk i mógł wjechać kanał.

Jeżeli właściciel warsztatu zdziwił się, że klient, i to, sądząc po akcencie, cudzoziemiec, chce osobiście grzebać w aucie, nic nie dał po sobie poznać.

- Mam go, szefie.

Tak, obiekt odebrał wóz.

Teraz jest w warsztacie samochodowym na ulicy.

- siedzący w zaparkowanym na chodniku samochodzie krótko ostrzyżony młody człowiek zerknął na tabliczkę na najbliższej kamienicy - Kościuszki.

Bywał już w Krakowie, ale nie znał dobrze miasta.

- Niewiem, co tam robi.

Auto spisywało się dobrze, przez całą drogę z Warszawy nie sprawiało żadnych kłopotów.

Jacek?

Jest ze mną - młody człowiek spojrzał na siedzącą obok swoją kopię, ze znudzoną miną obserwującą wyjazd z warsztatu.

Jacek żuł gumę, miarowo ruszając szczękami, a na kolanach miał rozpostarty plan miasta.

- Nie, nie posłałem go do warsztatu.

Jeżeli tamten jest taki nerwowy, jak pan mówił, to wołędmuchacna zimne.

- Na pewno, szefie.

Mamy sygnał.

Nie ruszył się stamtąd od pół godziny.

- Tak jest, jak tylko zaprowadzi nas do swojej meliny, zaraz zamelduję.

Oczywiście.

Kiedy minęło następne trzydzieści minut, młody człowiek stracił cierpliwość.

Dwa auta opuściły warsztat, ale żadne nie było bordowym fordem focusem.

- Jacek!

Nie śpij, baranie, bo cię ukradną.

Idę zobaczyć, co z tym gościem - przestał bębnić palcami po kierownicy i otworzył drzwi.

- Napiłbym się kawy.

Spać mi się chce jak cholera.

Wykończyła mnieta droga z Warszawy - poskarżył się Jacek, tubylczym obyczajem przez otwarte okno wypluwając gumę wprost na ulicę.

- Wyśpisz się w drodze powrotnej.

Wysiadł i poszedł na tył budynku, zaktórym, w podwórzu, mieścił się warsztat.

Wrócił pospiesznie po kilku minutach.

- Kurwa mać!

Nie ma go!

- Toniemożliwe, mam sygnał.

- Jacek zbaraniałym wzrokiem wgapił się w pulsujące na desce rozdzielczej światelko.

57.

- Bo odpiął Gps-a i podczepił do czegośkolwiek albo wrzucił do kosza, debilu!

Zabić cię, to mało.

Co tumasz, kretynie!

- jego towarzysz dźgnął w ściekle punkt na planie miasta.

-Idiota!

Żeby nie zauważyć tej uliczki!

O wszystkim muszę myśleć sam.

-Zdawało mi się, że jest ślepa.

- Sam jesteś ślepy, złamasie pierdzielony!

I nie myśl, bo to ci szkodzi.

Jezu!

Przez ciebie szef nam nogi z dupy powyrywa i obetnie jaja!

Kurwa, z kim ja muszę pracować.

Za jakie grzechy.

Drżącą ręką zaczął wybierać numer.

Już wcześniej uprzedził gospodynię, że będzie korzystał z przydomowego garażu.

Otrzymałym kluczem otworzył drzwi i wprowadził samochód.

Zapalił światło i zamknął garaż na klucz.

Z bagażnika wyjął skrzynkę z narzędziami i odchylił tylne siedzenia.

Najpierw odkręcił oparcie z lewej strony.

W pustej przestrzeni znalazł kilka różnych tablic rejestracyjnych, w tym krakowską, poznańską, drugą warszawską i chyba olsztyńską.

Zamknął skrytkę razem z tablicami.

Na razie postanowił zostać przy starej.

Skrytka za drugim oparciem mieściła o wiele ciekawsze rzeczy, między innymi lugera po 8, poczwórą parabelkę.

Taką samą, jaką podczas ostatniej wojny nosił jego dziadek w Wehrmachcie.

Z pewnym wzruszeniem wziął zabytkową broń do ręki.

Leżała doskonale.

Ach, ten Kloss.

Spryciarz.

Pewnie skorzystał ze starych ubeckich zasobów.

Dzięki temu broń zapewne figurowała w żadnej ewidencji.

Co prawda ostatnio używał walthera P99, a najbardziej był przywiązany do czeskiej czet 75, ale nie mógł ich zabrać ze sobą do samolotu.

Nie przy ostatnich wzmoczonych kontrolach.

Cholerni islamscy terroryści utrudnili robotę prawdziwym zawodowcom.

Chętnie odstrzeliliby kilku tych brudasów z alKaidy czy innego Hamasu, zamiast z nimi współpracować, gdyby mu ktoś godziwie zapłacił.

Do lugera dodano dwa zapasowe magazynki, oba pełne.

Zarówno parabellum, jak walther i czetka miały wspólną cechę - do wszystkich pasowały te same naboje 9 milimetrów.

Z pozostałych gadżetów też był \zadowolony.

Zatrzymał sobie załadowany pistolet, resztę narazie schował z powrotem.

Uśmieł się, wspominając, jaki numer wyciął w warsztacie śledzącym go młodym dupkom.

Rozważał, czy nie poszukać innych niespodzianek, którymi Kloss mógł kazać nafaszerować samochód, żeby

58

kontrolować jego posunięcia.

Nie gniewał się, bo sam zrobiłby identycznie.

Jednak dokładne oględziny wozu postanowił odłożyć na później.

Zgłodniał.

Dziennikarz miał ochotę zobaczyć nieodległy Kazimierz, więc poszł tam z ominięciem Skalki, która, według Tomasza, została niedawno profanowana postawieniem (rzecz jasna - ku chwale bożej) dzgających niebo pięciu kamiennych fallusów.

Za to nadal widoczne ślady wieloletnich zaniedbań na Kazimierzu zasmakowały (jak

pierogi w jednej z tamtejszych knajpek) dwójce Niemców, którzy uznali, że dzięki temu zachował się jeszcze przedwojenny klimat tego szczególnego miejsca.

Synagoga Stara była akurat zamknięta z powodu jakichś prac remontowych, ale mieli szczęście, ponieważ rzadko udostępnianą bożnicę Remuhopuszczala właśnie grupka turystów z Izraela i przewodniczka niechętnie dała się Tomaszowi ubłagać, by ich trójkę też wpuszczono do świątyni

i na kirkut zanią.

- To wszystko, co zostało po kazimierskich Żydach - powiedziała kobieta, ogarniając kilkadziesiąt ocalałych nagrobków.

- Przed wojną żyło ich tu siedemdziesiąt tysięcy.

Niemcy wszystkich przesiedlili do nowo utworzonego getta w Podgórzu.

Stamtąd wybierali ich do obozu zagłady w Płaszowie albo wywozili do Auschwitz.

A tu macie państwo nagrobek wielkiego mędrca z XVI wieku, porównywanego z prorokiem Mojżeszem, rabina Mojżesza Isserles zwanego Remuh.

- "Od Mojżesza do Mojżesza nie powstał nikt tak jak Mojżesz" - Katz odczytał napis na macewie.

- Zna pan hebrajski?

- zdziwiła się przewodniczka.

.-,

- Nie.

Ale gdzieś tym słyszałem - odparł dziennikarz.

Tramwajem linii "6" wrócili na Salwator.

Anna Maria była zmęczona i sprawy związane z transportem ciała ojca postanowiła odłożyć do następnego dnia.

Zresztą zrobiło się już późno.

Po kolacji Niemcy poszli od razu spać, każde do swego pokoju, zaś Michalina wręczyła Tomaszowi

kilka gęsto zapisanych kartek.

- Wszystkiego nie zdążyłam przetłumaczyć, bo mój niemiecki trochę zardzewiał.

A poza tym to obrzydliwa lektura.

Przekonasz się sam.

Odcyfrowanie pisma ciotkizajęło mu sporo czasu, a potem długo nie mógł zasnąć.

59.

Kónigsberg, 13 października 1944 (piątek)

Sekretarz wprowadził gości i cicho zamknął za sobą drzwi.

Gospodarz nie ruszył się z fotela.

Po wykonaniu przepisowego hitlerowskiego powitania Helmut von Baysen zajął wskazane miejsce po drugiej stronie szerokiego biurka, na którym piętrzyły się ułożone w idealnym porządku papiery.

Siodlastą czapkę położył sobie na kolanach.

Gabinet był urządzone z takim samym przepychem jak cały

Gross-Friedrichsberg 1, podmiejska rezydencja gauleitera 2 Prus Wschodnich, Ericha Kocha.

Gauleiter lubił otaczać się luksusem.

Podczas pełnienia rozmaitych urzędów zdołał zgromadzić ogromne bogactwa.

Jednak von Baysen zauważył na ścianach sporo pustych miejsc po wiszących tam niedawno obrazach.

Zapewne tych najcenniejszych.

- Nalegał panna spotkanie w cztery oczy, Herr Hauptsturmführer.

Mam nadzieję, że nie zmarnuje pan ani mojego, ani własnego cennego czasu.

Zwłaszcza w obecnej sytuacji - Koch gestem wskazał okno, którego szyby lekko drżały od salw artyleryjskich rozbrzmiewających gdzieś daleko.

Na razie daleko.

W lipcu alianckie lotnictwo zbombardowało Kónigsberg.

Na wschodzie trzy fronty białoruskiej Armii Czerwonej rozpoczęły potężną ofensywę w ramach operacji Bagration.

Niemiecka Grupa Armii "Środek" poniosła klęskę porównywalną do tej pod Stalingradem.

Wojna dotarła do granic Prus Wschodnich.

Kto mógł, opuszczał stolicę.

Ale Koch, zapobiegliwie odesławszy do Rzeszy rodzinę i najcenniejszy majątek, sprzeciwił się masowej ewakuacji ludności z zagrożonej prowincji, uznając to za

karygodny defetyzm.

Stosując się do dyrektyw Hitlera, nakazał walkę "do ostatniego naboju, do ostatniej kropli krwi".

Ogłosił, że "Prusy Wschodnie będą zawsze niemieckie".

- Ja właśnie w tej sprawie, Herr Gauleiter- odparł von Baysen.

- Zatem słucham.

Tylko proszę się streszczać.

Nie zaproponował gościowi ani cygara z ozdobnej kasetki na biurku, ani koniaku, który sam popijał.

Strzepnął niewidoczny pyłek zeswegomunduru SA-Obergruppenführera, rozparł się wygodniej w fotelu, wziął do rąk niezapalone cygaro i zaczął jęlibieźnie gładzić dwoma palcami.

' Zakrzewo.

2Nadprezydenta (ulem.

).

60

- Dwa dni temu- zaczął von Baysen - odwiedził mnie sąsiad, Herrplotzke, profesor Uniwersytetu Albertina.

Profesor zajmował się porządkowaniem archiwum pozostałego po dziewiętnastowiecznym badaczu historii rycerskiego zakonu niemieckiego, Johannesie Voigcie.

- Geschichte Preussens von den ältesten Zeiten bis zum Untergang der Herrschaft des deutschen Ordens.

Dziewięć tomów, wydane w Königsbergu w latach 1827-1839 - przerwał mu Koch.

- Właśnie.

Herr Professor, jako stary kawaler, trochę się nudził w samotności i chętnie zapraszał mnie do siebie na herbatę lub sznapsa, zwłaszcza odkąd dowiedział się, że mam za sobą dwa lata historii naberlińskim uniwersytecie.

- Do rzeczy, Herr Hauptsturmführer.

-Otóż trzy dni temu odwiedził mnie niezwykle podniecony.

Wśród różnych szpargałów pozostałych po Voigcie znalazł bowiem piętnastowieczny brewiarz, przypuszczalnie należący do spowiednika krzyżackiego komtura Elbinga i zarazem wielkiego szpitalnika, Wenera von Tettingena.

Rzecz cenną samą w sobie, ale nie oto chodzi.

Otóż profesor przez roztrągnięcie, stawiając wodę na herbatę, położył brewiarz na półce nad kuchenką i wyszedł.

Kiedy wrócił, okazało się, że pod wpływem pary z czajnika, okładka brewiarza rozkleiła się.

Profesor w pierwszej rozpaczał nad zniszczoną księgą, ale potem coś odkrył.

W okładce ukryty był pergamin napisany przez von Tettingena lub pod jego dyktando.

Z tak rewelacyjną treścią, że podniecony profesor natychmiast przybiegł do mnie pochwalić się swoim znaleziskiem.

-A cóż w nim było takiego?

-Koch przestał się zabawiać cygarami pochylił w stronę rozmówcy, mimowolnie zaniepokojony.

- Z dokumentu wynika nieźle, że na terenie Prus jest ukryta część słynnego skarbu, zdeponowanego w XIV wieku przez templariuszy u rycerzy zakonu niemieckiego.

Skarb składa się z wielu cennych relikwii, a drogą do niego wskazują dwa bliźniacze pektorały-relikwiarze, z których jeden był w posiadaniu von Tettingena, nim ów stracił go w pierwszej bitwie pod Tannenbergiem w 1410 roku.

- Skarb templariuszy!

Dwa bliźniacze pektorały!

- gauleiter uderzył się śniętą pięścią w białe.

Kieliszek podskoczył z brzękiem, z cygara pozostał nieforemny strzęp, odrzucony ze wstrętem.

- Pan powinien nieś pisać filmowe scenariusze, von Baysen!

Cóż mi tu pan zagłupoty opowiadasz,

Elbląg.

61.

kiedy ważą się losy Tysiącletniej Rzeszy!

Nawet gdyby ten skarb istniał, a pan lub kto inny by go znalazł, i byłby on wart miliony, to nie odmieni obrazu wojny!

- Otóż właśnie, że może odmienić!

- wtrącił szybko von Baysen.

- Bowiem pośród relikwii ukryta jest jedna szczególna, oniezwyczajnej mocy.

Wedle von Tettingena to ona w jednej chwili unicestwiła duży

oddział wysłany przez króla francuskiego w pościg za templariuszami uwożącymi skarb.

Zainteresowałem się osobą von Tettingena i poszperałem w pracowniach naukowych.

Są niepodważalne świadectwa, że po przegranej bitwie, jako jedyny ze starszyny, zdołał zbiec i dotrzeć do Elbinga, a lenie powierzono mu dowództwo nad resztką sił zakonnych, które przejął Heinrich von Plauen.

Von Tettingen doznał bowiem pomieszania zmysłów.

Świadkowie powiadają, iż w kółko opowiadał o cudownej relikwii, której brak, jego zdaniem, zadecydowało o wyniku bitwy i klęsce zakonu.

Zmarł w sierpniu 1412 roku i taką datę nosi dokument.

Widać przed samą śmiercią odzyskał rozum i zdołał komuś dyktować tę relację jako swoisty testament.

Niech pan pomyśli, Herr Gauleiter: Wunderwaffe, o której tyle się mówi, wciąż jest w stadium eksperymentalnym, podczas gdy wróg już kołacze do granic Prus Wschodnich.

A gdybyśmy tak - zaakcentował "my" - dostarczyli Führerowi broń o porównywalnej do Wunderwaffe potężnej sile rażenia, a przy tym niewymagającą żadnych nakładów.

Do tego dochodzi istotny aspekt religijny.

Najpotężniejsza relikwia znajdująca się w niemieckich rękach byłaby jawnym dowodem dla papieża i całego chrześcijaństwa, że Bóg opowiedział się po stronie Führera i niemieckich batalionów.

Czy trzeba by lepszego argumentu na to, że Niemcy powinny panować nad światem?

Kochmilczał, skubiąc wąsik a la Hitler.

Dopił koniak, wreszcie rzekł: ;

- Rozumiem, że przyniósł pan ze sobą ów pergamin?

- Tak jest.

A do tego tłumaczenie sporządzone przez profesora, ponieważ oryginał został napisany po łacinie.

Esesman sięgnął do skórzanej teczki, którą przyniósł ze sobą, i położył przed gauleiterem dwie karty.

- Proszę się tymczasem poczęstować cygarem, Herr Hauptsturmführer - Koch podsunął rozmówcy cygarnicę - i nalać sobie koniaku.

Butelkę kieliszek znajdzie pan tam - wskazał palcem, po czym zagłębił się w lekturze.

- Czy ktoś oprócz nas dwóchi profesora Plotzkiego o tym wie?

- spytał, odkładając papiery na bok.

62

- Tylko my dwaj, Herr Gauleiter.

Wbrew moim perswazjom, profesor chciał swemu odkryciu nadać duży rozgłos.

Marzył o rzuceniu na kolana całego środowiska naukowego.

Niestety, wczoraj wieczorem nieznanymi sprawcami, zapewne sowieccy dywersanci lub pospolici rabusie, profesor miał bowiem cenną kolekcję znaczków i lubił się nią chwalić, zamordowali profesora w jego własnym domu, dla niepoznaki podpalając mieszkanie.

Pierwszy zauważyłem pożar, ale przybyłem zbyt późno, by ocalić cokolwiek, z wyjątkiem tego - von Baysen wskazał dokumenty.

- Zdziwiający zbieg okoliczności - mruknął Koch, wbijając zimny wzrok w esesmana.

- To prawda - zgodził się von Baysen znad kieliszka, bez mrugnięcia okiem, wytrzymując świdrujące spojrzenie przełożonego.

Miał w tym dużą wprawę, a poza tym, choć gra szła o nieporównywalnie większą stawkę, cenna kolekcja znaczków też była nie do pogardzenia.

Spokojnie upiłneco trunku i odstawił lampkę.

Ręka mu nie drżała.

- Jaka ma pan pewność, że profesor nikomu oprócz pana nie zwierzył się ze swego odkrycia?

- Całkowitą.

To nie był człowiek przewidujący.

W przeciwieństwie do niego, Herr Gauleiter.

Przesłanie było jasne: "Wiem, co ci chodzi po głowie, sukinsynu.

Alenicz z tego.

Zabezpieczyłem się i nie wyślizgasz mnie z tego interesu".

Mimo iż w tym momencie stawiał życiową jedną kartę, mówił zupełnie beznamyślnie.

W głębi duszy czuł pogardę dla parweniuszy takich jak Koch i jemu podobni.

Nazizm bardzo mu odpowiadał, miał tylko jedną wadę, którą Helmut odbierał jako krzyżującą niesprawiedliwość - wynosił go górę dorobkiewiczów.

Tymczasem staropruska szlachta, z siedemsetletnią tradycją, jak von Baysenowie, klepała biedę i zajmowała poślednie stanowiska, zmuszona podlegać miernotom z pospólstwa.

Teraz miał niepowtarzalną okazję zmienić i nie zamierzał wypuścić tej szansy z garści.

Wóz albo przewóz.

Zapadła cisza, która miała zdecydować o jego losie.

-- Pan mi się podoba, von Baysen - powiedział w końcu Koch, zdobywając się na cień uśmiechu.

- Zasięgnąłem panu informacji.

Powodzenie z dobrej pruskiej rodziny, rozpoczęte studia

uniwersyteckie, Porzucony dla służby Fuhrerowi i ojczyźnie, piękna karta wojenna.

Zdaje się, Herr Hauptsturmführer, że pańskie Sonderkommando miało

na Ukrainie, w czasie gdy byłem tam szefem administracyjnym, najlepszymi ze wszystkich Einsatzgruppen1.

W Babim Jarze koło Kijowa w czterdziestym pierwszym roku w kilka dni rozstrzelaliście.

- Czterdzieści cztery tysiące Żydów, Herr Gauleiter, i toniecałe.

Niema się czym chwalić.

Ale potem doszli jeszcze Polacy, Ukraińcy, Cyganie.

W sumie blisko siedemdziesiąt tysięcy Żydów i podludzi.

- Całkiem przyzwoity wynik.

Kto był pańskim dowódcą, doktor Otto Rasch?

- Nie.

ss-Standartenführer Paul Blobel.

- Racja.

A zatem, wracając do naszej sprawy.

Jak pan widzi dalsze kroki?

Z tego tekstu - stuknął palcem w pergamin - wynika, że w pierwszej odnalezienie owe bliźniacze pektorały.

A to nie zapowiada się prosto, skoro ostatnio, i to tylko jeden z nich, był widziany w 1410 roku.

- Poradzę sobie, Herr Gauleiter.

Trzeba przetrząsnąć pod tym kątem wszystkie archiwa w Prusach Wschodnich, państwowej i prywatnej, a równolegle rozpocząć penetrację budowli krzyżackich i ich pozostałości.

Trochę się tym dawniej interesowałem i wiem, że templariusze używali tajnych znaków.

Musimy takie odnaleźć.

Będę potrzebował odpowiednich ludzi i wolnej ręki w poszukiwaniach.

Koch kiwnął głową.

- To się da zrobić.

Uczynię pana swoim pełnomocnikiem z szerokimi kompetencjami i przydzielę zespół, którego skład sam pan sobierze.

- Dziękuję.

I jeszcze jedno: być może będzie trzeba rozszerzyć poszukiwania na obszar Generalnego Gubernatorstwa.

Polacy powycięstwie pod Tannenbergiem nieudanym oblężeniu Marienburga, z całą zdobyczą wrócili do Krakowa.

Może tam łatwiej trafię na ślad pektorału von Tettingena.

- Z tym będzie gorzej.

Tonie moja jurysdykcja- Koch zmarszczył brwi i skubnął wąsik.

- Ale pomyślę o tym i odezwę się do pana w swoim czasie.

I na koniec: będzie pan składał regularne meldunki mnie i tylko mnie, czy to jasne?

- Tak jest.

Złożone z esesmanów, SD-manów, gestapowców i kripowców Grupy Operacyjne (podzielone na Einsatzkommando i Sonderkommando) hitlerowskiej policji bezpieczeństwa sipo i służby bezpieczeństwa SD, organizowane przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) do siania terroru na terenach okupowanych, masowej eksterminacji mieszkańców podbitych ziem oraz przede wszystkim likwidacji Żydów.

64

- Zatem do dzieła, Herr Hauptsturmführer.

Powodzenia.

- Heil Hitler!

- von Baysen poderwał się sprężysto i wyrzucił przed siebie rękę.

Wolfsschanze, 17 listopada 1944 (piątek)

- Znalazł pancos!

- wrzasnął Koch wprost do ucha von Baysena, przekrzykując szum motoru.

- Nic!

- odkrzyknął esesman.

- Sporządziłem jedynie listę zamków krzyżackich, które udało mi się zbadać!

- podał złożoną kartkęgauleiterowi, który bez przeglądania wsunął ją niedbale do kieszeni płaszcza.

Trzęsąc się z zimna, zajęli miejsca w kabinie niewielkiego samoloturozpoznawczo-łącznikowego typu Storch.

Prawdziwa zima dopieromiała nadejść,ale już teraz zapowiadała się na jedną z najsroższychw ostatnich latach.

Wystartowali bez problemu.

Mimo to von Baysenowiżołądek podszedł do gardła.

Lataniez pewnością nie było jego żywiołem.

Chętnie poznałby cel podróży, alewiedział, że i tak nie otrzymałbyodpowiedzi.

Po kilku minutach zorientował się, że lecą na południe.

Co prawdasowieci wstrzymali ofensywę, ale czasy, gdy Luftwaffe niepodzielnie panowała w powietrzu, skończyły się bezpowrotnie.

Dlatego Storch trzymał się poniżej pułapuchmur i von Baysenowi wydawało się, że lada chwila roztrzaskają się ojakieś wysokie drzewo albowieżę kościelną.

Obsługujący karabin maszynowy strzelec siedzący z tyłu kabinybynajmniej nie uspokajał von Baysena.

Przeciwnie - pogłębiał w nimklaustrofobiczne poczucie osaczenia, choć wsumie w sześciuosobowym Storchupodróżowali tylko w czterech.

Na szczęścielot trwał niedługo.

Zajął godzinę, amoże nawet mniej.

Pierwsze podejście do lądowania nie powiodło się i vonBaysen omalsię nie porzygał, ale drugie byłoJuż pomyślne i samolot pokołował po niewielkim lądowisku międzygęstym lasem a jakąś drogą, i wreszcie znieruchomiał.

Tylko śmigłobracało się jakiś czas, aż i ono ustało.

Dokładnie w tej samej chwili,gdy żołądek von Baysena wróciłna swoje miejsce.

' Wilczy Szaniec, umocniona tajnakwatera Hitlera w latach 1941-1944, położona niedalekoRastenburga (dziś Kętrzyn).

- Wie pan, gdzie jesteśmy?

- spytał Koch, kiedy opuścił samolot, a z naprzeciwka nadjeżdżał samochód osobowy eskortowany przez ciężarówkę pełną uzbrojonych po zęby esesmanów.

- Nie - skłamał von Baysen.

Był już kiedyś w Rastenburgu i rozpoznał to miasto z lotu ptaka, gdy schodzili do lądowania.

Dlatego domyślił się, dokąd przylecieli.

- W głównej kwaterze Fiihrera - wyjaśnił Koch.

- Na pewno niczego się pan nie dowiedział o tej relikwii?

Niech pan pamięta, że po szeregach Hauptsturmführerach, nawet tak przewidujących jak pan, nieszczęśliwe wypadki chodzą równie łatwo jak po profesorach uniwersyteckich.

- Niczego.

Przykro mi, Herr Gauleiter - von Baysen nie dał się zastraszyć, zwłaszcza że akurat nie miał nic do ukrycia, choć sam wolałby,

żeby było inaczej.

- Nocóż, będzie się pan tłumaczył Fiihrerowi.

I dla nas obu, a zwłaszcza dla pana, dobrze by było, aby to się panu udało.

Wsiadli do samochodu i pojechali leśną drogą, co kilkaset metrów mijając drewniane wieże obserwacyjne ze strażnikami na platformach.

Las dookoła sprawiał wrażenie gęstej puszczy, lecz von Baysen wiedział, że wiele drzew jest sztucznych - wykonanych z rur i pokrytych igielitową siatką imitującą liście.

Fachowym okiem rozpoznawał otaczające ich zewsząd zasieki i pola minowe.

Gdyby nie zwolnili, mógłby się niedomyślić, że dotarli namiejsce.

Tylko teren był tutaj bardziej pagórkowaty, bowiem nadziemne części bunkrów pokrywała darni, na której rosły krzewy i małe drzewa.

Wszędzie rośli się odzłonięci ubrani w ochronne mundury.

Wszystko razem sprawiało raczej przygnębiające wrażenie i von Baysenowi, a znał się

na tym (zwłaszcza na obozach), przypominało skrzyżowanie klasztoru z obozem koncentracyjnym.

Zaprowadzono ich do jednego z bunkrów, gdzie zostali poddani drobiazgowej rewizji.

Zresztą nieostatniej.

Von Baysen domyślił się, że te zastrzeżone środki bezpieczeństwa podjęto po lipcowym zamachu pułkownika von Stauffenberga, któremu na szczęście nie udało się zabić Fiihrera.

Było coś nieuchwytnego w panującej tu atmosferze.

Może zbyt dużo zaaferowania na twarzach mijanych ludzi, może lekka nerwowość w ich krzątaniu.

Wreszcie von Baysen zrozumiał- bez paniki, lecz niewątpliwie przygotowywano się do ewakuacji.

Ostateczne zwycięstwo naprawdę oddalało się.

W przeciwieństwie do Armii Czerwonej.

Podługiej wędrówce przez ponure betonowe korytarze zostali przyjęci przez Fiihrera w sali konferencyjnej, gdzie oprócz niego obecny był tylko osobisty sekretarz, Marti" Bormann.

No i oczywiście dwóch esesmanów przy drzwiach, zeschme-isserami gotowymi do strzału.

- Heil Hitler!

- von Paysen wyprężył się we wzorowym powitaniu.

Nigdy dotąd nie widział wodza z tak bliska, pomijając kroniki filmowe.

Dlatego trochę zaskoczył go Jego niski wzrost ale poza tym był to ten sam Fuhrer, którego kochali wszyscy prawdziwi Niemcy To przenikliwe spojrzenie, czoło pomarszczone od trosk o ojczyznę i ta niesamowita wewnętrzna siła emanująca, z całej postaci.

Oto człowiek, który niezależnie od przejściowych trudności powie Niemcy ku ostatecznemu zwycięstwu.

Da Bóg, ze znaczącą pomocą von Baysena.

W przeciwieństwie do innych junkrów, mających iustosunkowanych, nie gardził Hitlerem.

Nie mógł sobie na to pozwolić.

Głęboko wzruszony, ze złością ujął podaną dłoń.

Hitler nie zaproponował gościom, by usiedli, ale ponieważ sam też stał, von Baysen nie poczuł się urażony zwłaszcza że wódz nie dał mu czasu do namysłu, od razu przechodząc do rzeczy

- Gauleiter Koch zapoznał mnie z pańskim odkryciem, Herr Hauptsturmführer.

Czy tę nadzwyczajną relikwię już odnaleziono?

- Jeszcze nie, mein Führer, ale nie tracę nadziei.

- I bardzo dobrze.

Pan jest wierzący?

- Wierzę w pana, mein

Führer, i w Tysiącletnią Rzeszę oraz w to, że

Bóg, jeśli jest, z pewnością sprzyja Niemcom.

Pasujące jak ulał do otoczenia, ponure dotąd oblicze Hitlera rozpuściło się.

- Otóż to, trafił pan w sedno!

Bóg jest po naszej stronie!

Ja także w to

głęboko wierzę.

Dlatego ufam, że on pozwoli mi na czas skonstruować Wunderwaffe, a panu odnaleźć wszechmocną relikwię.

A wtedy drzyjcie Żydzi, podludzie i wszyscy ci zawistnicy na Zachodzie, którym niew smak są Wielkie Niemcy!

Zmiażdżymy was!

Ten czas jest już bliski, widzę to!

Widzę nowy porządek!

Nowy niemiecki ład panujący nacałym

bożym świecie!

Oczy rozjarzył mu dziwny blask, twarz spurpurowiała, dłonie zacisnęły się w

pięści, a głos(podniósł aż do krzyku.

Wtem ostygł tak nagle, Jak się rozpałił, i spytał już całkiem spokojnie:

- A swoją drogą, czy pan wie lub domyśla się, co to za relikwia? Czyżby święty Graal?

- Przypuszczam, meinFührer, że skoro posiada aż taką moc, musi to być jakaś rzecz należąca do Chrystusa.

Coś w rodzaju świętego Graala, choć raczej nie on.

Jednak nic innego na razie nie przychodzi mi na myśl.

67

- Hm.

Co pan zamierza?

- Zdajesię, że zacząłem poszukiwania od złego końca.

Chciałbym teraz pogrzebać w polskich źródłach.

Najlepiej w Krakowie, bo tam mają najstarszą bibliotekę.

- Dobrze.

Herr Bormann wypisze panu skierowanie do Krakowa wraz z listem polecającym do Generalgouverneura Franka.

Może pan się tam udać choćby dziś.

No, nie rób takiej zbołałejminy, Koch.

Twoje oddanie sprawie zostanie docenione i nagrodzone.

A panu, Herr Sturmbannführer, życzę powodzenia.

Tylko uwiń się pan szybko.

- Sturm.

bann.

fiihrer?

- wyjąkał von Baysen, doskonale udając zdziwienie; w gruncie rzeczy spodziewał się tego, a zamierzał osiągnąć znacznie więcej.

- Nie przesłyszał się pan.

Rozkaz z awansem znajdzie pan razem ze skierowaniem do Krakowa.

Oraz zoryginalnym pergaminem Tettingena.

Może się panu jeszcze przydać.

Odesłaliśmy go do ekspertyzy do Berlina zaraz potem, jak gauleiter Koch przysłał go tutaj kurierem.

Fachowcy porównali pergamin z innym zachowanym dokumentem sygnowanym przez Tettingena i wysłali z powrotem.

To niewątpliwie autentyk.

Zatem złapała panić, która oby zaprowadziła do kłębka.

Dlatego tu dziś jesteście, Baysen.

Trzecia Rzesza potrzebuje wizjonerów, ludzi myślących niekonwencjonalnie, choćby inni uważali ich za fantastów.

Takich ludzi jak ja i pan, Sturmbannführer.

A teraz wybaczcie, panowie.

Obowiązki wzywają.

Kraków, 26 czerwca 2010 (sobota)

- Miał rację - powiedział Tomasz przy śniadaniu, kończąc relacjonowanie przeczytanego fragmentu pamiętnika.

- Ten Helmut był kawał sukina syna.

Pał sześć tysięcy Żydówi podludzi, ale żeby jeden nadczłowiek drugiego nadczłowieka pogrzebaczem.

A fe!

Wyrazy współczucia z powodu takiego przodka, Anno Mario.

- Obejdzie się - odparła Niemka zimno.

- Zdaje się, że wyczuwam w twoim głosie nutę stosownej wyższości.

Moje gratulacje z powodu posiadania niewątpliwie samych szlachetnych przodków i w związku z tym nieskażonych genów.

- Przepraszam.

Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało - zaczerwienił się.

68

- To było małostkowe, Tomaszu - surowo zganiała go ciotka.

- Nikt nie jest mniej skłonny uwalniać Niemców od odpowiedzialności za zbrodnię wojenną odemnie.

Ale ani grzechów, ani zasług się nie dziedziczy.

Powinieneś to wiedzieć.

- Przecież przeprosiłem.

- Nie szkodzi, proszę pani - łagodziała dziewczyna.

- Cioci, ile razy mam ci powtarzać.

- Dobrze.

A zatem, proszę cioci - uśmiechnęła się nieznacznie - nicna temat Helmuta nie jest w

stanie mnie poruszyć ani zdziwić.

Alenie mam także zamiaru biczować się z jego powodu.

Chociaż to był prawdziwy potwór.

A babka Elza nie lepsza.

Przypominała żonę Hansa Franka i innych hitlerowców.

Jak one nie przyjmowała do wiadomości ani wojny, ani zbrodni i nie miała nic przeciwko korzystaniu z krwawych łupów.

Po wojnie spieniężyła złoto, futra i klejnoty, które przysyłał jej mąż, i z tego żyła, bynajmniej nienękana żadnymi wyrzutami sumienia.

Ten klaser, o którym mowa w pamiętniku, mój ojciec dostał od matki w prezencie na osiemnaste urodziny.

Zaraz odesłał go do Wiednia Szymonowi Wiesenthalowi, z przeznaczeniem na dofinansowanie jego centrum dokumentacji zbrodni hitlerowskich.

I wyprowadził się domu.

Nie zerwał z matką kontaktów, ale już nigdy do niej nie wrócił.

Dawał korepetycje i miał sieróżnych dorywczych prac, dopóki nie skończył studiów.

- To był dobry człowiek - westchnęła Michalina.

- Szkoda, że umarł, zanim zdążyliśmy się poznać.

- Został zamordowany - sprostowała Anna Maria z naciskiem.

- Toróznica.

- Słusznie.

Tomaszu, nie wiesz, czy policja znalazła już tego człowieka z portretu?

- Dzwoniłem w tej sprawie do Tadeusza, ale powiedział tylko, że jeszcze nic nie wiadomo.

Musimy się zbroić w cierpliwość przynajmniej do Poniedziałku.

Po śniadaniu rozdzielili się.

Katz pojechał na Podgórze.

Dzielnica, do niedawna zaniedbana i trochę lekceważona, ostatnio zrobiła się bardzo modna, zwłaszcza wśród turystów zagranicznych poszukujących nietuzinkowych atrakcji.

Dziennikarz zamierzał zebrać tam materiał do dużego reportażu dla poczytnego niemieckiego miesięcznika.

Anna Maria wyraziła ochotę na spacer po okolicy, więc Tomasz czuł się w obowiązku jej towarzyszyć, chociaż soboty zwykle przeznaczał na realizację

swego hobby.

Musiała to wyczuć, bo gdy szli aleją lipową w stronę kopca Kościuszki, powiedziała:

- Nasza obecność pewnie dezorganizuję życie.

- Mylisz się.

Ciotka jest zachwycona, że ma odmianę.

- Ale do Niemców żywi urazę.

- Jak większość wojennego pokolenia.

Ciebie jednak polubiła.

A Katz tak jej się bezwstydnie podlizuje, że gotowa go niedługo usynowić, a mniewydziedziczyć.

Roześmiała się.

- On to potrafi.

A poważnie: chybaciocia się nie obrazi, jeśli zaproponuję jej pieniądze zagościny?

- Nawet nie próbuj.

Ona makasyjak lodu.

W latach pięćdziesiątych udało się jej odzyskać dużą działkę w Przegorzałach, bezprawnie odebraną po wojnie przez komunistów.

Sprzedła ją firmie deweloperskiej z takim zyskiem, że nie zdąży tego wydać, choćby żyła drugie tyle, co daj Boże.

Na straganie przed cmentarzem kupił kilka żółtych zniczy i donicę złotych chryzantemami.

Grób Bażyńskich, zbudowany w okresie międzywojennym, znajdował się zaraz za starą kaplicą cmentarną i wyróżniał od sąsiednich wysmakowaną, surową elegancją.

Pochylona głowa Chrystusa w koronie cierniowej, wysubtelniona przez korozję, z zadumą spoglądała w dół.

Grób był zadbany, lecz bez przesady.

W niczym nie przypominał tych, które nudzące się starszuszki, o poczuciu jestetyki zaczerpniętym z wystaw w supermarketach, zamieniły w gigantyczne bombonierki.

Anna Maria umiała to docenić.

- Piękny.

-Owszem.

Andrzej Wajda, ten który zdobył Oscara za całokształt twórczości, wykorzystał go w swoim filmie Katyń.

Postawił go stryjeczny pradziadek, ojciec cioci Misi 1.

W nagrodę Bóg powołał go do siebie zanim zdążył przepuścić cały majątek w karty.

Kiedy Tomasz zapalił znicze i modlił się za dusze zmarłych, Niemka odczytywała inskrypcję na tablicy z czarnego marmuru.

Znalazła między innymi Stefana Bażyńskiego, zmarłego w 1952 roku i Jerzego Bażyńskiego, zmarłego w roku 1988.

Przy obudzie identyczne dodatkowe informacje.

- To twój ojciec?

- spytała, gdy Tomasz skończył się modlić.

' W rzeczywistości jest to grób (faktycznie wykorzystany w filmie Katyń) krewnych żony autora: Kaczmarczyków, Batuków i Jaskowskich; spoczywa w nim m. in. Michalina Kaczmarczyk, prototyp powieściowej Michaliny Bażyńskiej.

70

- Tak.

Zginął, gdy miałem osiem lat.

- Co znaczą te napisy?

- "Ofiara reżimu komunistycznego".

Dziadek i ojciec zginęli z łapyt samych oprawców.

Dziadek zapłacił za uczestnictwo w AK, ojciec za działalność w Solidarności.

Któregoś dnia wyszedł z domu i zaginął.

Dwa dni później znaleziono go utopionego w Wiśle.

Śledztwo wykazało, że był pijany i pobity.

Przez niezidentyfikowanych towarzyszy libacji.

Taki drobiazg, że ojciec nigdy się nie upijał i nie zadawał z menelami, nie

miał najniższego znaczenia.

- Nie próbowaliście wznowić procesu?

- I co by to dało?

Komuchy mają do dziś wielu obrońców i uchodzą za "ludzi honoru".

Jeszcze niedawno mordercy z UB i SB otrzymywali wieloletnie emerytury, podczas gdy rodziny ich ofiar wegetowały w nędzy i nadal wegetują.

Taki kraj.

Bohaterom stawia się pomniki.

Pod warunkiem, że w porę umrą.

- A matka?

- spytała po dobrej chwili, niezbędnej każdemu obywatelowi Zachodu na, itak z góry skazaną na niepowodzenie, próbę ogarnięcia polskiej mentalności.

- Nie widzę jej tu.

Żyje jeszcze?

- Zmarła dziewięć lat temu.

Jest pochowana w Warszawie, dokąd przenieśli ją z drugim mężem, gdy miałem szesnaście lat.

- Zostawiła cię samego?

- Była przecież ciocia Misia.

Po maturze miałem pojechać na studiada Warszawy, ale tak się nie stało.

- Nigdy niemyślałeś, żeby się przeprowadzić na swoje?

- Jakoś się nie złożyło.

Wyczuła, że poruszyła czułą strunę, i nie drażyła dalej.

Poszli zwiedzić cmentarz, który zachwylił ją swoją urodą.

Musieli nadłożyć drogi, by ominąć uroczystość pogrzebową.

Tłum ciemno ubranych żałobników otaczał otwarty grób, nad którym ksiądz żegnał zmarłego.

Tomasz pochwycił urwany fragment przemowy:

- ...

Każdego z nas toczeka.

Każdemu przyjdzie kiedyś stanąć przed obliczem Pana.

Obyśmy wówczas.

Mimo iż Tomasz zachwalał rozciągający się z kopca widok nacał miasto, nie chciała tam pójść.

Obiecałeś zaprowadzić mnie do zakładu pogrzebowego.

Podrapał się w głowę.

- W sobotę?

Będzie ciężko.

W pobliżu nie ma żadnego, to mały cmentarz.

Przy Rakowickiej jest, zdaje się, kilka zakładów.

Może któryś będzie

71.

czynny.

Nie lepiej załatwić to telefonicznie?

Z reguły mają całodobową dyżury, nawet w weekendy i święta.

- Wolałabym osobiście.

Wobec tego zeszli do pętli tramwajowej niespełna pół godziny później wysiadali przy cmentarzu Rakowickim.

Minęli kilka zakładów ka-

mieniarskich z wystawionymi na zewnętrznych drzwiach swojej produkcji.

Pierwszy z brzegu zakład pogrzebowy, "Ostatnia Droga", był zamknięty, ale na drugim, o jeszcze piękniejszej nazwie "Łąki Raju", wisiała wywieszka: "pn.

-pt. 7.

00-15.

00, sob.

8.00-14.

00".

- Bingo!

- powiedział Tomasz.

Pchnął przeszkłone drzwi i przepuścił przed siebie Annę Marię.

Zakład mieścił się w nowoczesnej okazałej willi, o elewacji utrzymanej w stosownych szarościach.

Całe rozpasanie zawierało się w formie.

Projektant najwyraźniej nie lenił się na uczelnianych wykładach i udałomu się w jedną budowlę zawrzeć całą historię architektury.

Pokój przyjęć miał za sobą jednolity charakter.

Terakotowa ciemnozielona posadzka łagodnie przechodziła w trawiastą zieleniąki wymalowanej na ścianach.

Kwiaty w soczystych barwach syciły oko, motyle i ptaki fruwały nad nimi wprowadzając atmosferę uduchowionej lekkości.

Z kolei błękitne niebo na suficie zaludniały przebiegające gołymi nóżkami anioły w

zwiewnych szatach, zaopatrzone w rozmaite instrumenty dęte i szarpane, unosząc myśliwida w górne rejony.

Zamiast jednej wiszącej lampy, oświetlenie tworzyły rozsiane pomiędzy aniołami małe lampki imitujące gwiazdy.

Takiego arcydzieła nie powstydziliby się z pewnością sam Eugeniusz Korzonek.

Za nowoczesnym biurkiem, pomalowanym, jakżeby inaczej, na pastelową zieleń, królowała młoda osoba w białej bluzce i czarnym żakiecie.

Był to jedyny żalobny akcent w całym pomieszczeniu.

Na widok wchodzących kobiet przerwała pochłaniającą ją pracę polegającą na malowaniu długich paznokci czerwonym lakierem.

Potrząsając bujnymi czarnymi włosami, dziewczę przyoblekło twarz w profesjonalny uśmiech i spytało:

- Witam państwa.

Czym mogę służyć?

Bażyński z trudem oderwał się od kontemplowania grabnych, długich nóg widocznych spod biurka.

Poważalsztukę, ale umiał także docenić dzieła natury.

Wtem kątem okajrzał anioła, gapiącego się nań z góry ostrzegawczo.

Wyglądał na zazdrosnego i gotowego zrzucić rywalowi nagłową okazałą harfę.

Tomasz instynktownie cofnął się nieco.

Stracił przez to znakomity widok, ale odzyskał rezon.

72

My w trochę nietypowej sprawie.

- bąknął.

Z wdziękiem poruszając palcami, by przyspieszyć wysychanie lakieru, dziewczę wyrzuciło z siebie nieprzerwaną strugę, niczym wiosenna powódź, która przerwała tamę:

- Nasza firma istnieje już od piętnastu lat.

Świadczy pełny zakres usług w dziedzinie grzebalnictwa.

Od A do Z, że się tak wyrażę, czyli od momentu zgonu nieodżałowanego zmarłego do

chwili spoczynku jego trudzonych szczątków w matce ziemi.

Służymy wszelką poradą w kwestii organizacji pochówku i dostarczamy wszelkie konieczne akcesoria.

Na życzenie wypożyczamy żałobnikom stosowne stroje w dowolnych rozmiarach, jak i samych żałobników, płci obojga, wżądanej liczbie i wieku.

Zapewniamy uroczystości skromne, lecz wysmakowane albo luksusowe, na najwyższym poziomie.

Z udziałem kapłanów dowolnego wyznania, orkiestr, kapel i chórów w dowolnym muzycznym i religijnym stylu.

Od marszy żałobnych i nokturnów po gospel.

Mogą być także ulubione utwory zmarłego, odtwarzane lub na żywo.

Według życzenia.

Musiła wcisnąć jakiś ukryty przycisk, bo pomieszczenie wypełniła wyciszona melodia żałobnego marsza.

- Jak się państwu podoba?

- ogarnęła audiowizualną całość okrągłym gestem, błyskając czerwienią paznokci.

- Wspaniale.

- wyjąkał Tomasz.

- Aż mi żal, że chwilowo nie wybieram się na tamten świat.

- Jeśli musicz opuścić ziemski padół, to tylko z firmą "Łąki Raju".

Tomasza dewiza - powiedziała dziewczyna z dumą.

- Jeszcze żaden z klientów nie poskarżył się na jakość naszych usług.

- Bo nie organizujecie seansów spirytystycznych - mruknął Tomasz pod nosem, a głośno powiedział: - Nie wątpię.

Tej pani - wskazał milcząca Anna Maria, z kamienną twarzą kontemplującą fragment malowidła na plafonie, przedstawiający anioła o wydętych policzkach, z zacięciem dmącego w złotą trąbkę - zmarł nagle ojciec.

Oboje to cudzoziemcy.

Pragniemy wiedzieć, czy państwo podjęlibyście się przetransportowania szczątków do Niemiec.

- Oczywiście- przerwała mu, szacując wzrokiem Niemkę bynajmniej nie jak potencjalną klientkę, ale jak kobieta kobietę.

- To żaden problem.

Do Niemiec, innego kraju Unii lub dowolnego miejsca na świecie.

Życzenie klient jest dla nas rozkazem.

To też dewiza firmy.

Oferujemy szeroki wybór trumien w najlepszym gatunku.

Dębowe, jesionowe, sosnowe, nawet z mahoni lub hebanu.

Proste albo wyszukane.

Inkrustowane

lub intarsjowane.

Bogato zdobione dodatkami mosiężnymi albo chromowanymi, albo.

- Chodzi raczej o kremację.

-No problem.

Tylko dłużej potrwa, bowiem najbliższa spopielnia znajduje się w Rudzie Śląskiej.

Procedura jest następująca:ciałow trumnie (na ogół prostej sosnowej, ale to także zależy od życzeniazleceńodawcy) sprowadzamy tutaj.

Rodzina drogiego zmarłego dokonuje identyfikacji i podpisuje zlecenie kremacji.

Trumna jest przyświadcachzamykana i odsyłana naszym transportem do Rudy.

Po spopieleniu szczątki przekłada się do urny.

Oferujemy szeroki wybór urn: metalowe, drewniane, gipsowe, ceramiczne, plastikowe.

W przeróżnych kształtach i kolorach.

Nowoczesne, tradycyjne i nawet egzotyczne.

Aktualnie na topie są urny portretowe w stylu Moczika.

Pisze się Mochica.

To była takakultura w Peru przed Inkami.

Na życzenie artysta może nadać urnie rysy drogiego zmarłego.

Proszę.

To pełna oferta.

Tumają państwo wzory urn, a tu trumien, na wszelki wypadek.

Uniosłam się zza biurka, podając Bażyńskiemu dwa foldery z obfitego pliku zalegającego blat, a przy okazji dając mu możliwość obejrzenia górnej partii dolnych kończyn, której krótka czarna spódniczka nie miała! żadnej szansy osłonić.

Z korzyścią dla patrzącego.

- Ile trwa cała procedura?

- spytał, przekazując foldery Annie Marii.

- I ile kosztuje?

- Dwa dni.

Koszt: dwa tysiące pięćset.

Ale jeśli przedstawić państworachunek z pochówku na cmentarzu, wówczas zwraca koszty.

- Tokonieczne?

- Jest urzędowy obowiązek pochówku na cmentarzu.

Ale - mrugnął porozumiewawczo - i tak urnę odbieracie państwo u nas, a my musimy ją wydać.

Potem klient może zrobić z nią, co chce.

Na przykład przewieźć w torbie do innego kraju albo wysypać prochy w ogrodzie, albo postawić urnę na kominku.

Najwyżej przypadnie zwrot pieniędzy z ubezpieczenia

Przełożył Annie Mariina angielski zdobyte informacje, po czym zwrócił się do pani:

- Przekonała nas pani.

Jeśli będziemy załatwiać tę sprawę, to tylko w firmie "Łąki Raju".

Na odchodnym obrzucił pożegnalnym spojrzeniem długonogą czarnulę, która odwzajemniła mu się wyrazem twarzy dalekim od dziewiczej niewinności.

- Masz dziewczynę?

- spytała Anna Maria w drodze na przystanek.

74

- Aktualnie nie.

A czemu pytasz?

- Bo gapiłeś się na tę panią tak pożądliwie jak Schröder na łapówkę od Putina.

- Nie bądź zazdrosna.

Poza tym nie zaimponujesz mi waszą korupcją.

To mydziejemy w tym względzie europejski prym i nikomu go nie oddamy bez walki.

Przyjrzał jej się z ukosa.

Profil klasyczny.

Kąciakiust kusząco podwinięte w górę.

Dobra figura.

Tylkote workowatespodnie.

Był jeden razw Niemczech i uderzyło go wtedy dziwaczneupodobanie Niemek dospodni.

Nierozumiał, jak można dobrowolnie wyrzekać się seksapilu,skoro i tak się go nie miało wnadmiarze (Anny Marii tona szczęście niedotoczyło).

Panienka z zakładu pogrzebowego przynajmniej uczciwieobnosiła swoje walory na widoku.

No i włosymogły być dłuższe.

Pozatym podobała musię coraz bardziej.

- Co takna mnie patrzysz?

Ty też nie jesteś w moim typie.

- Szkoda, bo właśniezacząłem się przekonywać do brunetek.

Utrudzonydźwiganiem zrobionych po drodze sprawunków, których listę dostał od ciotki, pchnął furtkęramieniem i przepuścił dziewczynę.

- Wejdziemy przez garaż, jeśli ci to nie przeszkadza.

Przełożył zakupy do lewej ręki, prawą pogrzebał w kieszeni, wyjąłklucz i zaczął otwierać drzwi do garażu.

- Myślałam, że nie masz samochodu.

-Bo chwilowo nie mam.

Dałem kumplowi do przeglądu.

Niby nicmu niejest, znaczy samochodowi, ale zadwa tygodniereszam w Polskęi niechciałbym, żeby mi się po drodze rozkraczył.

Rzeczywiście, garaż był pusty.

Tomasz zamknął drzwi izapalił światło.

Ściany były wytapetowane zdjęciami willisów i wranglerów, od czasówdrugiej wojny światowej po najnowsze.

Na kilku fotografiach dziewczynarozpoznałaBażyńskiego.

Tosamego, to w towarzystwie dziewcząt, najczęściej postawnej blondyny, albo z kolegami.

Raz w tle widniały jeziora, innym razem góry lub zabytkowe budowle.

Masz dzipa?

- Yhm.

Najpierw miałem zabytkowego willisa, ale w końcu się rozleciał.

Sprzedalem go koledze, który ma warsztatsamochodowyi lubi majsterkować.

Teraz mam wranglera YI z 1995 roku.

Też staruszek, ale trzyma się świetnie.

Po mieście jeżdżę nim rzadko, bo żre jak cholera.

Toczemu sobie niekupisz drugiego auta?

Zaśmiał się krótko, jakby powiedziała coś zabawnego.

- Z czego?

Z nauczycielskiej pensji?

Tego dżipa dostałem od ciot-;

ki pomaturze.

Pamiętaj, że u nas zarabia się ze czteryrazy mniej niżu was, a niektóre ceny są wyższe.

Nie mam nawet pełnego etatu, ai tochyba stracę po naszym wczorajszym występie.

Moja szefowa nie gustujew nowoczesnej sztuce ani we mnie.

- Zmień pracę.

-Łatwo ci powiedzieć.

Nie mam twojego talentu.

Po studiach próbowałem zaczepić się na uczelni, alenic z tego nie wyszło.

- Dlaczego?

-Z powodu polityki prorodzinnej.

- Nie rozumiem.

-Bo to polska specjalność: popieranie krewnych, znajomychi kole- [siów.

Mnie z asystentury też wygryzł zięć dziekana.

- Może był zdolniejszy.

Nie przyszło ci to do głowy?

- Może i był,alenidostałem szansy, by się o tym przekonać.

Wciążmam niedokończoną pracę doktorską o średniowiecznej sztucesakralnej.

'Pewnie już nigdy jej nie skończę, bo ipoco.

Nie stać mnie naobronę,'a ciotki niechcę naciągać.

Aniczekać na spadek po niej.

Trochę pisuję do różnych gazet.

Takie tam sensacyjki.

Coś wrodzaju artykułów twojegoojca, tylko na mniejszą skalę.

Nieplacą dużo, ale zawsze coś skapnie. W tym roku złożyłem podanie na ASP.
Może coś z tego wyjdzie, chociaż nie mam większych nadziei.

- Czyty aby się nie rozdrabniasz?

Mógłbyś zostać świetnym artystą albo wybitnym wykładowcą.

Mało komu udaje się topolaczyć.

- Może masz rację.

Sam widzę, że drepczę w miejscu.

Zawodowo i w ogóle - przyznał.

- Myślałem o wzięciu udziału w amerykańskiej loterii wizowej.

Chciałem się ubiegać o "zieloną kartę".

Prawie wszyscy moi znajomi już się porozjeżdżali po świecie.

Chwilowo zrezygnowałem, ze względu na ciotkę.

Ma tyłkomnie.

Trochę się oszukiwał i wiedział o tym.

Zdawał sobie sprawę z wieloswoich słabości, ale nic z nimi nie robił od lat.

Zgasił światło i przeszło sutereny.

Cały jeden kąt zajmowała istna zbrojownia.

Na stojaku, znajdowała się pełna zbroja płytowa, dwie tarcze opierały się o regał,
na podłodze leżał stos rozmaitej broni.

- Bawisz się w rycerza?

- w jej głosie wyczuł nutę rozbawienia.

- Historia średniowiecza to moje hobby.

Należę do Bractwa Rycerskiego - odpowiedział z lekką urazą.

- To nie zabawa, tylko historiana

76

żywo, a dla niektórych sposób na interesującą różnorodność.

W połowie lipca, jak co roku, mamy pod Grunwaldem inscenizację słynnej bitwy.

- Domyślam się, że chodzi o pierwszą bitwę pod Tannenbergiem.

- Dla nas zwycięstwo pod Grunwaldem, dla was klęska pod Tannenbergiem.

Bitwa rozegrała się między tymi miejscowościami.

Każdastronawybrała sobie nazwę,która jej bardziejpowiadała.

- Żeby ktoś mógł zwyciężyć, ktoś innymusiprzegrać - odparła filozoficznie.

- Zresztą pod tym samym Tannenbergiem podczas pierwszejwojny światowej
feldmarszałek Hindenburg odniósł świetne zwycięstwonał Rosjanami.

Obejrzał zbroję.

- Cholera.

Tego się obawiałem.

Muszę jąprzeciścić.

Dawnomiałemsię do tego zabrać.

Wewnątrznymi schodami przeszli do części mieszkalnej.

Michalinaodbywała poobiednią drzemkę w swojej sypialni.

W kuchni na blacieleżała kartka: "Obiad w lodówce, przygrzejciesobie.

Izagospodarujciewieczór we własnym zakresie.

Okropnie boli mnie głowa".

Wypakowalizakupy iposzli na górę.

Słyszac kroki naschodach, Katz wystawił głowę zza drzwi.

- Jesteście nareszcie.

Co zrobimy tak pięknie rozpoczętym dniem?

Może wybralibyśmy się wieczorem do jakiegoś klubu?

Tomasz spodziewała się, że Anna Mariaodmówi z powodu żałoby, alerzuciła
tylko:

- Dobrze.

Nie mam ochoty samotnie bić się z myślami przez caływieczór - i otworzyła drzwi do
swego pokoju.

- Dawno nie byłem w żadnym klubie- stwierdził Tomasz.

- MuszęzadzwońićdoTadka Jareckiego, żeby cośdoradził.

Wszystko mi jedno, nie zamierzam się bawić - oznajmiła AnnaMaria i zniknęła
zadzwiami.

Zatem dowieczora -powiedział dziennikarz, kiwnął Bażyńskiemu i też zamknął
drzwi.

O ósmej wieczorem, kiedy troje młodych ludzi opuściło willę, brodaczPoszedł za nimi.

Ale kiedy tylko zniknęli w drzwiach klubu nocnego, pojął, że ma oto doskonałą sposobność i sporo czasu dorealizacji zamierzonego planu.

Wrócił naSalwator.

Jednakmusiał trochę poczekać.

77.

O dwudziestej drugiej staruszka nareszcie poszła spać.
I tak wcześniej jak naobyczaję panujące w tym domu.
Willapograżyła się w ciemnościach.
Tylko przed wejściem paliła się samotna lampa.
Dwaj policjanci w samochodzie nudzili się i słuchali radia.
Nie zauważyli czarnej sylwetki przemykającej ku domowi od strony ogrodu na tyłach.
Stare jabłonie i śliwynie przepuszczały tu światła padającego z latarni ulicznych.
Ogród tonął w kompletnych ciemnościach.
Kucając i nie używając latarki, czarna postać przez chwilę grzebała przy zamku w drzwiach, po czym wślizgnęła się do wnętrza.
Pół godziny później wyszła tą samą drogą.
Jeden z policjantów właśnie robił obchód.
Ale i tym razem nie spostrzegł cienia, który minął go na wyciągnięcie ręki i rozplynął w mroku.

Michalina leżała w ciemnościach z otwartymi oczyma.
Nie wiedziała, co ją obudziło, lecz bardzo się bała.
Zdawało jej się, że ktoś chodzi pod dom.
Nie była jednak pewna, czy to jej się nie przyśniło.
Nie wpadła w panikę, bo też nigdy nie traciła głowy, dlatego nie zapaliła lampki nocnej.
Bóg wie, ile czasu leżała nieruchomo, wsłuchując się w ciszę.
Spokój ducha odzyskała dopiero, gdy w drzwiach wejściowych zgrzytnął klucz i rozpoznała znajome głosy.
Wtedy nagle z niej zeszła w jednej chwili usnęła.

- Siedzisz tu już od ponad godziny i ani razu nie zatańczyłeś - zauważyła Anna Maria, sadwiąc się na sąsiednim stołku przy barze.

Nocny klub mieścił się w obszernych piwnicach fantazyjnej dziewiętnastowiecznej kamienicy przy Alejach, zaprojektowanej przez Talowskiego albo jakiegoś naśladowcę.

Bar zajmował środkową część.

W położonych amfiladowo piwnicach z prawej, podzielonych na boksyz drewnianymi przepierzeniami, przy prostych dębowych ławach pito, gadano i obściskiwano się.

Na lewo, w największej piwnicy, odbywały się tańce.

Dobiegała stamtąd głośna muzyka i migotanie kolorowych świateł.

- Ty też nie.

- Niejestem w nastroju.

- A ja niejestem w tym dobry.

- A w czym jesteś?

78

- W upijaniu się.

Napijesz się ze mną?

Skinęła głową.

Tomasz przywołał barmana.

Był to wielki, zwalisty typ z ponurą gębą, ostrzyżony na głacę.

Beznamiętnie jak krowa trawę żuł wykalaczkę, przerzucając ją językiem z jednej strony szerokich ust na drugą.

Bażyńskiego naszła ochota, żeby wepchnąć mu ją w gardło, ale wystarczył jeden rzut okana włochate, pokryte tatuażami wielkiej laska, leniwie wycierające szklanę, by ów niewczesny pomysł opuścił go szybciej, niż się pojawił.

- Co podać?

- zapytał barman zadziwiająco wysokim głosem jak natak potężnego mężczyzny.

- Dla mnie to samo, a dla pani.

- Żubrówka - zadysponowała, wymawiając to jak "zobrowka".

Kiedy barman postawił przed nimi kieliszki, Bażyński opróżnił swój jednym haustem.

Niemka upiła tylko połowę.

- Twój przyjaciel policjant szaleje na parkiecie z jakąś blondynką - poinformowała, obserwując, jak Tomasz gapi się tępo w puste szkło.

- Zauważyłem.

- Znasz ją?

-Kiedyśznałem.

Po dłuższej chwili milczenia znów spróbowała:

- Zdaje się, że przyście tutaj to nie był najlepszy pomysł.

-Nic minie jest.

Po prostumyśle.

- Oczym?

-O różnych sprawach.

Na przykład o tym, o czym napisałw swoimpamiętniku twój zbrodniczy dziadek: o templariuszach, Krzyżakachitajemniczej, potężnej relikwii.

Dla mnie tojedna wielka bzdura.

- Nie wierzysz, że Helmut faktycznie trafił na ślad świętego Graalaalbo na coś w tym stylu?

-Wątpię.

Zapomniałaś, że twój ojciec zlokalizował świętegoGraalana Wawelu?

- uśmiechnąsiękrzywo, obracając w palcach pusty kieliszek.

-Więc raczej coś w tymstylu.

- Ojciec nie był ogarnięty gorączkązłota.

-Nie wątpię.

Alesamo odnalezienie jakiegokolwiek cząstkizaginionegoskarbu templariuszyprzyniosłoby sławę jego odkrywcy.

To byłby fakt,a nie tylko zrzeczna kompilacja jak w przypadku historyjki ze świętym Graalem.

Tomogło go skusić.

- Myślisz, że dlatego zginął?

- spytałapoważnie.

-Bo ktoś chciał go uprzedzić?

- Nie wiem.

Może.

Cała ta historia nie brzmi serio.

- Śmierć mojego ojca była naserio.

-To prawda.

- Mogę zatem mieć do ciebie prośbę?

-To zależy.

- Chcę się dowiedzieć, kto i dlaczego zamordował ojca.

A na razie jedyny ślad prowadzi w głąb historii, na której się nie znam, ale ty tak.

Może spróbowałbyś doszukać się w tej sprawie sensu historycznego punktu widzenia?

Tomasz zawahał się.

Nie lubił się aż tak angażować ani deklarować.

Przyparto do muru zwykle potrafił się zrećnie wycofać.

Jednak takataktyka nie przyniosła mu sukcesu.

Miał już trzydzieści lat i jescz niczego w życiu nie osiągnął, chociaż miał wielkie ambicje.

Porabyłato odmienić, jeśli nie zamierzał na dobre pograć się we frustracji.

Zwłaszcza że martwił się otę dziewczynę.

- Czy ja wiem.

- zaczął jak zwykle.

-Bardzo ci na tym zależy?

- Jak naniwymnym na świecie.

-Skoro tak, mogę spróbować.

Dla ciebiwyszystko.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, przechyliła i pocałowała go wpoliczek.

Wtem poczuł klepnięcie w ramię.

Obrócił się.

Ujrzał roześmianego i nieco zdyszanego Jareckiego, prawą ręką obejmującego w pasie partnerkę.

Była to efektowna blondynka.

Brwii rzęsy, sztucznie przedłużonego monstualnych rozmiarów, miała przyczerniona dla kontrastu.

Dotego patrzące uwodzicielsko chabrowe oczy i grubo pociągnięte karminem usta.

Na tejsamej barwy obcisłą suknię zużyto mniejwięcej tyle materiału, co na śliniak dla niemowlaka.

- Niespodzianka, co?

- śmiał się policjant, nie zauważając lodu w oczach Bażyńskiego.

- Anżeliki nie muszą cichyba przedstawiać?

- Pójdę już.

Zobaczę, co z Adamem - Anna Maria zeskoczyła ze stołka, obrzucając blondynkę taksującym spojrzeniem.

Ta, mrużąc oczy, zrewanżowała się jej tym samym, po czym pieszczotliwym gestem dotknęła piersi Jareckiego i powiedziała słodko:

- Tadziu, bądź dżentelmenem i zajmij się panią.

Kiedy oboje odeszli, zajęła stółek, niedawno okupowany przez Niemkę, przy okazji pokazując nogi jeszcze dłuższe niż brunetki z "Łąk Raju".

Barman zbliżył się natychmiast, dostając takiego ślinotoku, że wykałaczkawypłynęła mu z ust.

- Panisobie życzy - zakwilił.

80

Whisky on the rocks.

A dla mnie to samo, co przedtem - rzucił

Tomasz.

Barman zignorował go, czekając na potwierdzenie, a przy okazji zapuszczając żurawia w głąb nawpół obnażonego biustu blondynki.

Dopiero ponaglony jej niecierpliwym machnięciem, oddalił się z ociąganiem Nadal pamiętasz, co lubię.

To miłe - zaszcebiotała, kładąc swoją

dłoń na spoczywającej na blacie ręce Bażyńskiego.

- Jeszcze nie mam sklerozy.
- Mógłbyś być bardziej uprzejmy.
- Mógłbym, ale mi się nie chce.

Dziś zrobiłem sobie wolne.

Barman postawił przed nimi trunki.

Znow miętosił w gębie wykałaczkę.

Tomasz był ciekaw, czy ma zapas, czy podniósł starą z podłogi.

Sięgając pokieliszek, strząsnął dłoń dziewczyny ze swojej.

- Ile to minęło, odkąd się rozstaliśmy?

Dwa lata?

- spytała, upijając whisky i zostawiając na krawędzi szklanki krwawy ślad.

- Nie pamiętam.

-Kłamiesz.

Sam powiedziałeś, że jeszcze nie masz sklerozy.

To prawda.

Kłamał.

Kiedy go rzuciła dlasynalka lokalnego kacyka, wzbogaconego na szemranych interesach, liczył każdy samotny dzień, ba!

nawet godziny.

Trwało to dobry rok.

W końcu mu przeszło, choć niecałkiem.

Dopiero niedawno przestał o niej myśleć na okrągło.

- Czego chcesz, Anżelik?

Nigdy nie lubi jej imienia.

Wydawałomu się pretensjonalne, zwłaszcza że kazała je wymawiać z francuska, z akcentem na środkowej zgłosce.

A może kiedyś lubił, tylko potem znieubił.

Już naprawdę pamiętał.

- Dobry wieczór!

Dobrze się pan bawi?

Odwrócił się.

Brunetka z zakładu pogrzebowego.

Uczepiona ramieniobarczystego szatyna, spoglądając na Tomasza z miną bankiera, który przyłapał włamywacza z ręką w swoim sejfie.

- Dziękuję.

A pani?

- Fantastycznie - przytuliła się do szatyna, który objął ją w łado.

-Idziemy potaćzyć.

A państwo?

Zerknęła ciekawie na blondynkę, która burknęła:

- A my nie.

Brunetka wzruszyła ramionami i pociągnęła partnera, odwracając się przez ramię i puszczać do Bażyńskiego oko.

Pomachał jej na pożegnanie.

- Odkąd to gustujesz w brunetkach?

-Od niedawna.

A tę poznałem dziś w zakładzie pogrzebowym.

W okujej błysnęło.

Ścisnęła mu dłoń.

- Ostatnio dużo o nasmyślałam.

-Nie ma już "nas".

- Nie mów tak.

-Cóż to, twój bogaty narzeczony, jak mu tam, Kutasiński?

ciężucił?

A może zbiedniał?

Albo wybył za granicę?

Gdzieś czytałem, że należący do konkurencyjnej sitwy prokurator dobrał się do tyłka jego tatusiowi.

- Nie bądź wulgarny, Tomaszu.

I nie Kutasiński, tylko Chojewski.

Odeszłam od niego.

Skarbie, powinniśmy spróbować jeszcze raz.

- Daj spokój.

Z nami wszystko skończone.

Na próżno tracisz ze mną czas, Anżelik.

Ciocia Misia wciąż trzyma się krzepko.

To niew jej sprawie odwiedzałem trupiarnię.

I nie przepisała jeszcze na mnie swego majątku, jeśli przypadkiem cię to interesuje.

Zabierz stąd swoje wdzięki, bo trwonisz je zupełnie niepotrzebnie.

A licznik bije.

I biedny Tadek czeka.

Tylko pamiętaj, że uczciwi policjanci to gołodupcy.

Puściła jego dłoń i z twarzą wykrzywioną ze złości zsunęła się zestółka.

Nawet teraz prawie dorównywała mu wzrostem.

- Jesteś pijany.

Pogadamy innym razem.

- Nie ma o czym.

- Tak ci się zdaje.

Wcale mnienie znasz.

Ja zawsze biorę to, na comam chęć, Tomaszu.

Szkoda cię dla tej Niemki.

Zresztą dobrze.

Poczekam.

Może jej się uda zrobić z ciebie mężczyznę, a wtedy ja się po ciebie zgłoszę.

Oddaliła się dumnie wyprostowana.

Spojrzenia wszystkich facetów przy barze wbiły się w jej pośladki niczym rzutki w tarczę, a barmanowiznów wypadła wykałaczką.

Pozostawiony sam sobie, Bażyński znów zajął się pić i rozczulaniem nad sobą.

Już zaczynał żałować, że uległ Annie Marii i dał się wciągnąć w zwariowaną historię.

- Templariusze.

Skarby.

Święty Graal i inne cuda niewiary.

W co ja wdepnąłem?

W jakiś pieprzony Kod Leonarda da Vinci?

- mruknął pod nosem, a głośno zadysponował: - Świętą Krew raz!

- A cóż takiego?

- zdziwił się barman.

- Nie wiesz?

Wódka, syrop malinowy i tabasco.

- To się nazywa Wściekły Pies - odparł barman z wyższością.

- Nie jesteś na bieżąco, koleś.

Teraz to się nazywa Święta Krew.

Podaj dalej.

Ejże, o informacjimówię.

Drinka zostaw.

82

po niejkiej chwili znów przywołał barmana.

Dużego Bafometa.

- A to co znowu?

- spytałośilek, tym razem z nutą niepewności

w głosie.

-Żubrówka z sokiem jabłkowym, a cóż by innego?

- Znaczy Tatanka?

-Znaczy Bafomet.

Co to,ogłuchłeś?

Wróc do szkoły dla barmanów,bosię kompromitujesz, kolego.

Zdezorientowanybarman, już się niczemu nie dziwiąc, w milczeniupodał drinka, a potem następane: Rycerza Świątyni(wytrawne martiniz wódką - wstrząśnięte, niez mieszane), Aqua Templique (Woda Świątynna - wódka z lodem).

Świętego Graala (złota tequila z pomarańcząi cynamonem), Piątek Trzynastego(rum z colą i limonką), a na koniecKlucz Salomona (przez zapóźnionych w rozwoju zwany Krwawą Mary).

- Zostawcie mnie.

Wcale nie jestem pijany.

Sam pójdę- bronił sięTomasz, gdywe trójkę opuszczali klub grubopo północy.

Ale gdy zastosowali się do jego życzenia, zatoczył się i byłby upadł,gdyby go nie podtrzymali.

Anna Maria zatrzymała taksówkę, lecz Tomasz za nic nie chciałdo niej wsiąść,prosząc, żeby go podsadzilinasiodło, i usiłując samodzielnie wdrapaćsię na dach samochodu.

To niespodobało się taksówkarzowi, który rzucił wiązanke i odjechał.

Chwycilizatem Bażyńskiego z obu stron i powlekli przez skrzyżowanie, a potemna przelaj przezBłonia.

Brodacz też miał pracować noc.

Ponieważ w wili Bażyńskich uwinął się szybko, postanowił wrócić pod klub.

Ot, nagle wpadło mu to dogłowy.

Niemiał żadnego planu.

Zdawał się na łut szczęścia i kierował impulsem.

Wiedział, że za plecami niektórzy nazywali go Świrem, lecz olewał to.

To, że wciąż żył odnosił sukcesy, dobitnie wskazywało, kto miał rację.

Przypomniał sobie wystawioną na życzenie przełożonych bełkotliwą opinię biegłego:

"Osobowość dyssocjalna (wysoko amoralna i socjopatyczna).

Wyjątkowo niski próg zachowań agresywnych, w tym grubo ponadnormatywna skłonność do czynów gwałtownych.

Brak kontroli nad emocjami.

Niska tolerancja na frustrację.

Uciekanie się do pozornie prawdopodobnej racjonalizacji zachowań, które powodują konflikty z otoczeniem.

". I tym podobne bzdety.

Ten konował zrobił

z niego psychola i zwichnął mu pięknie zapowiadającą się karierę.

Aż zatrząsał się zezłości nawspomnieniechwili, gdy udało mu dotrzeć dowłasnych akt osobowych.

Ale odnalazł sukinsyna po latach i odpłaciłmu się z nawiązką.

Otrząsał sięze wspomnień i wrócił do rzeczywistości.

Założył,żetamci będą wracać tą samą trasą, więc za mostem na Rudawie skręciłw prawie niezabudowaną ulicę biegnącą wzdłuż rzeki.

Gdy znalazł sięnawysokości zagajnika porastającegobrzeg inadrzeczną skarpe, dostrzegł' w dali zbliżające się wolnodwie osoby podtrzymujące trzecią.

W słabym oświetlniu widział ich dokładnie, ale wyczuł, że to ci, o których muchodziło.

Schował się za drzewo, w razie czego gotów udawać pijakaoddającego moc.

W tej chwili zkepę krzaków wytoczyła się raczej niż wyskoczyła czwórka mężczyzn i zastąpiła tamtym drogę.

- Ej, ty!

- warknął ochryplejeden z czterech wyglądających niemaljednakowo napastników, błyskając Niemcowi przed nosemnożem sprężynowym.

-Wyskakujz kasy, zabierajkumpla i spadaj.

Laska zostaje.

Dziennikarz posłusznie kiwnął głową i puścił ramię Bażyńskiego.

Dziewczyna nie była gow stanie utrzymać sama, więc Tomasz opadłna czworaki, coś mamrocząc do siebie.

Katz udał, że sięgapo portfel, po czym pochwycił uzbrojoną dłoń iszarpnął.

Chrupnęła łamana kość.

Napastnik zawył.

Ale wycie urwało się nagle, gdy kolano Niemca spotkało sięz kroczeniem tamtego.

Krzyk uwiązł mu w gardle, gdy walił się na ziemięze zmiażdżonymi jądrami.

Kompan, który rzucił mu się na pomoc, nadział się na fachowy prawy prosty, który usunąłmu z gęby nos i połowęzębów.

Zalany krwią zbyt łapczywie tykał powietrze, by głośno wyrazić swój ból, chociaż wyraźnie miał na to wielką ochotę.

Tymczasem dwójce pozostałych niemal udało się zaciągnąć Annę Marię w zarośla, mimo iż broniła się dzielnie.

Widać było, że ma pojęcie samoobronie, ale dwóm mężczyznom, chociaż podpitym, musiała ulec.

Kiedy jednak Katz wkroczył do akcji, w jednej chwili było po walce.

Dwóch leżało, rżąc, dwóch, kulejąc, umykało ku rzece.

Teraz dopiero Bażyńskiemu udało się przybrać w miarę dwunożną postawę. W ręku trzymał znalezione gałęzie i wymachiwał nią niezdarnie nad głową, wołając:

- Naprzód, temp.

ep..

lariusze!

Baissant!

84

- Zabierajmy się stąd - zakomenderowała Anna Maria, dając znak Katzowi, żeby znów podparł Bażyńskiego.

Lecz Tomasz nie dał sobie pomóc.

Potrząsnął gałęzią niby mieczem wypiął Pierś:

- Fugas chrustas, sprośne pohańce.

Ha!

Po czym, podpierając się gałęzią jak laską, potoczył się naprzód, upadając podrodze za ledwie dwa razy, i to wyłącznie z powodu dziur w chodniku.

Na szczęście tuż przed domem stracił animusz i dał się grzecznie położyć w ubraniach na łóżku, nie budząc przy tym ciotki.

Usnął niemal natychmiast.

W pewnej chwili obserwując mustarcie brodacza witała w głowie myśl, że mógłby się wmieszać w awanturę i zdobyć zakładniczkę.

Wrazie czego jej zniknięcie poszłoby na konto chuliganów.

Ale widząc wyczyny towarzysza dziewczyny, odłożył ten pomysł na lepszą okazję

oddalił niepostrzeżenie.

A przynajmniej tak mu się zdawało.

Paryż, 18 marca 1314 (poniedziałek)

Wysokistos, zbudowany na paryskiej wyspie Cite na wprost katedry Notre Dame, wyrzucał w niebo kłęby gryzącego dymu.

Geoffroy de Charnay, prowincjałowi Normandii, przyniósł on szybką śmierć przez uduszenie.

Nic nie czuł, kiedy ogniste jęzory dotarły do stóp przywiązanych do jednego pala skazańców.

Ale Jakub de Molay, ostatni wielki mistrz potężnego do niedawna zakonu templariuszy, wciąż żył i poruszał

ustami, może modląc się o łaskę szybkiej śmierci, a może złorzecząc sprawcom.

Z miejsca, w którym stał, nie można było tego rozstrzygnąć.

Zresztą ogłuszały go wrzaski tłumu.

Gawiedź oglądająca kaźń wyła i tupiała z rozkoszy.

Nic bowiem nie sprawia takiej radości prostaczkom, jak widok upadku możnych tego świata.

Sam także wrzeszczał i potrzasał zaciśniętymi pięściami, nie chcąc się wyróżniać.

Główny doradca królewski Wilhelm Nogaret, który wraz ze swym panem królem Filipem Pięknym opracował plan zagłady Zakonu Rycerzy Świątyni, wszędzie

miał swoich szpiegów.

Kresu polowania na templariuszy bynajmniej jeszcze nie odtrąbiono, więc przybycie tu było zarazem szaleństwem, nierozważą i złamaniem ślubu posłuszeństwa, a co gorsza - narażeniem na niepowodzenie arcyważnej misji, którą mu powierzono. Lecz niemógł postąpić inaczej.

Guichard de Beaujeu dobiegał trzydziestki, jednak z chwilą gdy dla niepoznaki ogolił twarz, wyglądał na nieopierzonego młodzika.

Nic bardziej mylnego.

Żaden ze współbraci nie przewyższał go ćwiczeniem ani rozumem.

Studia teologiczne na Sorbonie rzucił dopiero przed siedmiu laty, gdy rozpętała się gonimka templariuszy.

Od tego czasu uczył się rzemiosła rycerskiego od Hiszpanów, Anglików, Niemców, Saracenów - odkogo tylko się dało.

Nagle, przez trzask płonących bierwion, szum płomieni, skwierczenie palonych ciał i gwar tłuszczy przebił się krzyk konającego de Molaya, ostatkiem sił wołającego wielkim głosem:

- Hańba!

Hańba!

Patrzcie, jak giną niewinni.

Hańba na was wszystkich!

Bóg was osądzi, papieżu Klemensie, rycerzu Wilhelmie Nogareciei ty, królu Filipie!

Zapamiętajcie dobrze te słowa, chciwcy, bowiem nigdy nie dostaniecie tego, czego pożąacie: Cór tuum, thesaurus tuus!

I Zanimrok minie wzywam was nasąd boży po sprawiedliwą karę.

Bądźcie przeklęci!

Kiedy było już po wszystkim, de Beaujeu dał się ponieść tłumowi, po czym odłączył od niego w dogodnym momencie.

Marzył o chwili, kiedy będzie mógł zrzucić z siebie łachmany włożone dla niepoznaki.

Dusił się od własnego smrodu inie mógł doczekać kąpieli.

Dotarłszy do niewyróżniającego się niczym domów Dzielnicy Łacińskiej, w pierw rozglądął się uważnie.

Był przekonany, że po drodze niktgo nie śledził, ale wołał się upewnić.

Ujął żelazne kółko i zakłatał do bramy w umówiony sposób.

- Nareszcie jesteś!

- Hugo de Sonnac, najlepszy przyjaciel Guichardai jak on potomek rodu zasłużonego dla zakonu, odetchnął z ulgą.

- To było szaleństwo.

- Wiem.

Gdzie pozostali?

- Czekają.

Przez dobrze ukryte w ścianie drzwi zeszli do obszernej piwnicy pełniacej funkcję świetlicy.

Tu zgromadziło się jedenastu mężczyzn w różni Tam skarb twój, gdzie serce twoje (lać.
).

86

nym wieku, ale wszyscy silniejsi krzepcy.

Najlepsi z tych, którym udało się wymknąć sieci zarzuconych przez prześladowców Rycerzy Świątyni.

Sam ich wybrał.

Tylko jedno go niepokoiło - feralna liczba.

Polowanie na templariuszy rozpoczęło się wszak o świcie 13 października 1307 roku i dotego w piątek, dniu, w którym Chrystus umarł na krzyżu.

"Który z nich był nowym Judaszem?

", pomyślał, wodząc wzrokiem po zebranych.

- Czy ktoś, wbrew rozkazowi, chciał stąd wyjść pod moją nieobecność?

- zwrócił się do Sonnaca.

- Tylko Ives.

Spojrzenia pozostałych spoczęły na Ivesie de Plessis, dwudziestopięcioletnim młodzieńcu, który zarumienił się jak dziewczyna.

- Chciałem jedynie cię ubezpieczyć - wyjaśnił.

De Beaujeu przyglądałmu się z namysłem.

De Plessis początkowo odwzajemniał spojrzenie, wreszcie jednak spuścił wzrok i pobałdł.

- W porządku, nic się nie stało.

Wierzę ci - rzekł wreszcie Guichard.

Napięcie zelżało.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, na oblicze tego i owego powrócił uśmiech, a na twarz de Plessisa rumieniec.

I wtedy nieduży obusieczny sztylet z płaskim trzonkiem bez jelca, wytrząśnięty z rękawy przysnął z ręki de Beaujeu i utkwiał w gardle młodzieńca.

Była to sztuczka, której Guichard nauczył się od asasynów, kiedy przez kilka lat bawił w Ziemi Świętej, rozpaczliwie poszukując sposobu na ratowanie zakonów przez eliminację jego głównych wrogów rękami wynajętych zabójców.

Lecz niedobitki asasynów, islamskiej sekty zawodowych morderców, chowające się niczym szczury w górskich kryjówkach, w niczym nie przypominały odważnych do szaleństwa wojowników z czasów Starca z Gór.

Nauczył się od nich jedynie przeróżnych sztuczek z bronią, jak choćby tej ze sztyletem, oraz udawania dowolnej osoby, w jaką zapragnąłby się wcielić.

Ugodzony templariusz podniósł ręce do gardła, lecz obwisły mu w połowiedrogi, i martwy zwał się na posadzkę.

- Pogrzebcie go w najdalszym lochu.

I szybko wróćcie.

Wyjawię wam, PO co was tu zebrałem - powiedział de Beaujeu do oniemiałych towarzyszy.

Wszyscy oprócz de Sonnaca ochoczo rzucili się wypełnić polecenie, byle tylko zniknąć z oczu swemu bezlitosnemu przywódcy.

On zaś zastanawiał się, czy w obliczu zdradzieńcy zmienić kryjówkę, ale uznał,

żeniem potrzeby.

Znajdowali się w rejonie starych rzymskich term i znali katakumby na wylot.

Cała armia królewska mogłaby ich tu bezskutecznie szukać miesiącami.

- Skąd wiedziałaś, że Ives był zdrajcą?
- zadając pytanie, Hugo unikał wzroku przyjaciela, a głos mu drżał nieznacznie.

- Nie wiedziałem.

Ale nie mogłem ryzykować.

- Mogłeś rozegrać to inaczej.

-Nie.

Złożyliśmy przysięgę.

Teraz już wszyscy wiedzą, co ich czeka, jeśli co do joty nie będą wykonywać moich poleceń.

Ciebie toteż dotyczy.

Domyślał się, co czuje Hugo, ale nie przejął się tym.

Czasy, gdy był młodym, wrażliwym klerykiem, miłującym Boga i ludzi, minęły bezpowrotnie.

Od dawna utwardzał swe serce, aż skamieniało.

Jego ludzie też musieli się tego nauczyć.

Niczyje życie, włącznie z jego własnym, nie miało znaczenia.

Liczyło się tylko powodzenie misji.

Mogli ją wykonać jedynie straceńcy gardzący bytem swoim i cudzym.

Kraków, 27 czerwca 2010 (niedziela)

Obudził się wcześnie.

Głowa pękała mu z bólu.

Ścisnął ją dłońmi, żeby mu się nie rozpadła na kawałki, zwłóknął się zółtka, otworzył okno, żeby wywietrzyć z pokoju odór nie całkiem przetrawionego alkoholu, i przeszedł do łazienki.

Paw puszczone do klozetu i zimny prysznic przyniosły mu pewną ulgę.

A jednak w takim właśnie stanie, z wciąż rękającym koziółki żołądkami pulsującą czaszką dokonał najpoważniejszej analizy swego dotychczasowego życia, które w dużym stopniu zmarnował na uzalanie się nad sobą.

Wymyślanie wykrętów i usprawiedliwień.

Pechowiec raczej niż nieudacznik.

Bohaterem jak dziadek i ojciec nie został, bo przyszło mu żyć w plastikowych czasach.

Kariery nie zrobił, bo w tym kraju bez znajomości to niemożliwe.

Nie ożenił się, bo.

Mniejsza z tym.

Może gdyby musiał się przebijać z samego dołu, jak Jarecki, byłoby inaczej.

Alen nie musiał.

Może innemu by wystarczyło to, co mimo wszystko osiągnął, alen nie jemu.

Noblesse oblige.

Bazę miał daną, a jednak nie potrafił jej wykorzystać do wybitcia się.

Efekt?

Kierat.

Nudy.

Rutyna.

Poczucie niespełnienia.

I oto dostał od losu, czy też opatrności wielką szansę.

Mógł za jednym zamachem zdobyć dziewczynę, chyba nareszcie tę jedyną, i rozwikłać pasjonującą sprawę, a potem ją opisać i zyskać sławę, o której zawsze marzył.

Jeśli to zmarnuje, pozostanie mu tylko seppuku.

88

Ubrał się cicho i wymknął z pokoju.

Cały dom jeszcze spał, ale wolał nie ryzykować.

Na palcach zszedł po schodach i przekradł się do biblioteki.

Dopiero gdy zamknął za sobą obite dźwiękochłonnym materiałem drzwi, odetchnął z ulgą.

Przystąpił do roboty, o której nie przestawał myśleć od wczoraj, i tak się w niej zapamiętał, że nie zarejestrował ani pukania, ani wtargnięcia Anny Marii do swojego sanktuarium.

- Tu jesteś!

- powiedziała, gdy spojrział nanią podkrążonymi oczyma.

-Wreszcie cię odszukaliśmy.

Jak się czujesz?

Faktycznie musiał wyglądać dziwnie.

Zmarnowany po nocnym pijaństwie, siedzący na podłodze pośrodku wielkiej biblioteki, z porozkładanymi dookoła pootwieranymi książkami.

- Nic mi nie jest.

Z wyjątkiemkaca.

- Czego?

-Katzenjammer.

Tak to się chyba nazywa po waszemu.

Bardzowczoraj narozrabiałem?

- W normie.

Nie przejmuj się.

Ciotka nic nie wie.

Powiedziałamjej, że się struleś.

Zresztą zaraz pośniadaniu wyszła do kościoła.

Ty teżpowinieneś coś zjeść.

- Później.

Po robocie.

- Aco robisz?

-To, o co mnie prosiłaś.

-I znalazłeś coś?

- Owszem.

Wszystko wam powiem, jak skończę.

Zamyśliłaś się.

- Gdzie u was można wynająć prywatnego detektywa?

-A czemu pytasz?

- Bo niechcę siedzieć bezczynnie, a policja jak dotąd niewiele zrobiła, żeby znaleźć mordercę ojca.

-Niewiedzą wszystkiego.

Ta sprawa może być trudniejsza i głębiej zanurzona w przeszłości, niż się komukolwiek zdawało.

- Tym bardziej potrzebuję fachowej pomocy.

-Wątpię, czy ją uzyskasz.

Raz tylko widziałem w gazecie anons, który brzmiał mniej więcej tak: "Detektyw - wywiad, obserwacja".

Dotego numer telefonu.

Ale podejrzewam, że ogłaszałeś jakiś spec od podsłuchu, podglądania i robienia kompromitujących zdjęć rozwodowych.

Były esbek albo emerytowany gliniarz.

Żaden błyskotliwy Philip Marlowe czy Lew Archer.

Tacy są może w Ameryce, ale nie u nas.

Był kiedyś taki jeden, gwiazda telewizji, która emitowała programy o jego

89.

spektakularnych akcjach.

Ale moim zdaniem więcej w tym było hucpyi autoreklamy niż rzetelnego dochodzenia.

Poza tym facet zniknął nagle z ekranu i przepadł bez wieści.

Pewnie wyciągnęli mu jakieś brudy z przeszłości.

- Szkoda.

Niedługo po jej wyjściu zjawił się dziennikarz.

Z dwoma puszkami zimnego żywca.

- Pomyślałem, że się przyda - uśmiechnął się.

- W każdym razie zawsze pomaga.

- Uratował mi pan życie - Bażyński porwał puszkę, otworzył i od razu wypił połowę.

- Adam - Niemiec popijał małymi łykami dla towarzystwa.

- Tomasz - Bażyński stuknął swoją puszką w puszkę dziennikarza i zachłannie dopił resztę, aż piana pociekła mu po brodzie.

Starł ją grzbietem dłoni i odstawił puszkę.

- Anna Maria mówiła, że znalazłeś coś ciekawego - Katz wskazał otwarte książki.

- Sporo, ale jeszcze muszę trochę poszperać.

- To ja nie przeszkadzam.

Aha.

Mógłbym skorzystać z twojego laptopa?

Chciałem przesłać do Niemiec część materiału.

- Kiedy tylko zechcesz.

Skończył pracę przed jedenastą, akurat żeby zdążyć na jedyną mszę, o 11.15, w ulubionym kościele Najświętszego Salwatora.

Ani Katz, ani Anna Maria nie poszli razem z nim.

Niemka nie rwała się także do przygotowania obiadu, zamiast tego proponując wspólne wyjście do restauracji.

A mimo to Michalina, dla której obowiązkiem była i niedzielny domowyobiad były świętością, nie skomentowała tego ani słowem.

Dostało się zato jemu.

I to akurat za niewinność.

- Podobno spotkałeś się wczoraj z tą Angeliką czy Andżelą, czy jak tam było te dziewczysze naimię.

- To przypadek.

Przyszła do klubu z Tadkiem Jareckim.

- Nie wierzę w takie przypadki.

Ta dziewczyna to nicpotem.

Pamiętasz, jak cię ostrzegałam przed jej wyrachowaniem?

I co, na czyjewyszło?

- Daj spokój, ciociu, to już przeszłość.

Było, minęło.

- Oby.

A teraz słuchajcie.

Może uznacie to za starcze lęki, ale jestem pewna, że wczoraj, po waszym wyjściu, ktoś kręcił się po domu.

Przestraszyłam mnie.

90

Miała worki pod oczyma i twarz ściągniętą zmartwieniem.

Nie tylko Tomasz, który znał ciotkę i wiedział, że nie zdarza jej się mieszać snu z jawą, ale także Niemcy potraktowali słowa staruszki z powagą.

- Nie chciałem pani niepokoić - odezwał się Katz - ale nie wolno nam odtąd ukrywać niczego związanego z bezpieczeństwem.

W nocy, gdy wracaliśmy z klubu, zostaliśmy napadnięci.

Tu niedaleko, nad rzeką.

- Rudawą - wtrącił speszony Bażyński, który dopiero teraz, jak przez mgłę, przypomniał sobie co nieco nocnych wypadków.

- poradziłem sobie z napastnikami - Niemiec uspokoił Michalinę, która już

przyłożyładłoń do serca.

- Było ich czterech,na wpół pijanych.

Początkowo myślałem, żeto przypadek, zwykła huligańska zaczepka.

Ale potem zobaczyłempiątego, niebiorącego udziału w napadzie, jakumykał chyłkiem.

Dlatego wydaje mi się, że to było zaplanowane.

Zapewnektós chciał porwaćAnnę Marię.

Może przypuszcza, on lub oni,że ojciec jej coś powiedział, ichce to z niej wydusić.

Albowymienić ją zainformacje.

Na szczęścieznalazł sobie marnych wykonawców.

Narazie się obroniliśmy, ale pora sobie uświadomić, że wdepnęliśmy w poważnąafere i jeśli nie zachowamy ostrożności, możemy skończyć jak profesorvon Baysen.

Popatrzyli po sobie z napięciem.

- To wszystkowina mojej rodziny -powiedziała Anna Maria.

- Toprzez nas macie kłopoty.

- Nie opowiadaj bzdur - ofuknęła ją staruszka.

- Owszem, boję się, aleod czasówwojny nie zdarzyło mi się przeżywać nic równie ekscytującego.

Zamiast się nawzajem bezsensownie obwiniać, złapmy prawdziwego winowajcę.

- Jutroporozmawiam zJareckim - obiecał Tomasz.

- Też mi ochrona,skoro nie zauważyli włamywacza.

Aswoją drogą, czego onmógłszukać?

Wyglądana to, że nicnie zginęło.

- Podejrzewam, że na razie policja wie tyle co my albo mniej.

Błądzimy po omacku i nasiprześladowcymają nad nami przewagę.

Dlatego powiedz, cociekawego wyszperałeś dzisiaj wksiążkach - powiedziałKatz.

- Najpierw niechciocia powie, czy dokończyła tłumaczenie pamiętnika?

-Jeszcze nie.

Ale obiecuję, że zabiorę siędo tego jak najprędzej.

Zatem Katz przyniósł kawę, a Tomasz poszedł do biblioteki po książkii przytaszczył

do salonu cały stos.

91

- Na prośbę Anny Marii spróbowałem naukowo podbudować rewelacje Helmuta von Baysena.

I nadal sprawa potężnej relikwii wydaje mi się najbardziej niewiarygodna w całej tej zwariowanej historii.

- Myślisz, że testament von Tettingena jest sfalszowany?

- zdziwiła się Anna Maria.

-Ale kto i pociągałby to uczynić?

I kiedy?

- Gdybyśmy go mieli, można by to sprawdzić.

Ale myślę, że jest prawdziwy, skoro potwierdzili to berlińscy naukowcy.

- Dlaczego więc jakdotąd nikt oprócz ciebie nie miał wątpliwości?

-dociekała Katz.

- A kto miał mieć?

Krzyżacy pragnący podboju Litwy i Polski czy hitlerowcy dążący do panowania nad światem?

Wszyscy oni byli ogarnięci żądzą władzy i wierzyli w to, co chcieli wierzyć.

W cudowny talizman, zapewniający powodzenie posiadaczowi i sprowadzający zagładę na jego wrogów.

- Czymże więc jest ta rzecz?

- spytała Michalina, równocześnie wskazując Katzowi barek.

- Nie wiem.

Może to jakiś saraceński fetysz przywieziony z Palestyny?

Tylko w fetysze też nikt rozsądny nie uwierzy.

Może to zwykła legenda.

- Ale legenda nie unicestwiła całkiem sporego oddziału wojska - trzeźwo zauważyła Anna Maria.

- To prawda.

Nie twierdzą, że na wszystko mam odpowiedź.

- Jednak profesor von Baysen, który ostatecznie znalazł się na rzeczy, chyba uznał

sprawę za wartą zachodu, skoro nie zniszczył pamiętnikaswego ojca - rozważał Katz, wracając od barku z butelką i szkłem.

-Fakt - zgodził się z nim Tomasz.

- Idąctropem pamiętnika,wszedłkomoś w paradę.

Jest w tej sprawie zresztą więcej zagadek.

Rozważmy jepo kolei.

Na początek kwestia powierzenia skarbu templariuszy Krzyżakom.

- Według ciebie to nieprawdopodobne?

- zapytał Katz, rozlewająctrunek.

- To akurat hipoteza nienowa i tak samodobra jak inne.

Najpierwkilka słów o templariuszach, powołanychdo istnienia w 1118 roku, dziewiętnaście lat po zdobyciu Jerozolimy przez krzyżowców podczaspierwszej krucjaty.

Król Jerozolimy Baldwin ii oddał im na główną siedzibęskrzydło swego pałacu, przylegające do dawnego meczetu Al-Aksa, zbudowanego wmiejscu świątyni Salomona.

Stąd nazwa: Pauperes CommilitonesChristi Templique Salomonici, czyli Ubodzy Rycerze Chrystusa

92

i Świątyni Salomona.

Ubogimi szybko być przestali.

Obsypywani przywilejami przez papieży idarowiznami przez królów, posiadli wielkie dobraziemskie, przysparzające im ogromnych dochodów.

Nie gardzili innymiźródłami zysków.

Komandoria Tempelhof niedaleko Berlina prowadziłaniezwykle intratny i sławny burdel, stąd podobno dawniej w Niemczechdomy publiczne określano mianem Tempelhof.

Dysponowali flotą przewożącą odpłatniepielgrzymów i towary, parali się też zalegalizowanymkorsarstwem.

Od słynnegokorsarza, templariusza banity Rogera de Flor,pochodzi ponoćnazwa

pirackiej flagi: wesoly Roger.

Ale przede wszystkim prowadzili rozlegla dzialalnosc finansowo-bankowa.

Po upadku Akki i ostatecznym wypędzeniu chrześcijan z Ziemi Świętej w 1291 roku, przenieśli się na Cypr, a potem do Francji.

Ich bogactwo i potęga zaniepokoiły w końcu papieżowi wzbudziły chciwość króla francuskiego Filipa Pięknego, który doprowadził do kasaty zakonu i rozpoczął prześladowanie templariuszy, w większości pochodzących z Francji i tam mających najwięcej zamków i posiadłości.

Rycerzy zakonnych torturowano i palono na stosach.

Wreszcie, w 1314 roku, spalono ostatniego wielkiego mistrza Jakuba de Molaya, który umierając, przeklął swych prześladowców.

Klątwa się spełniła, acz więcej, skarbów, na które tak liczył król Filip, nigdy nie odnaleziono.

Upił kilka łyków kawy, zakrywając dłonią kieliszek, do którego Katz chciał mu nalać brandy.

- Teraz Krzyżacy.

Pozazdrościwszy Włochom zakonu joannitówi Francuzom zakonu templariuszy, w 1190 roku Niemcy założyli swój zakon: Ordo Fratrum Domus Hospitalis Sanctae Mariae Theutonicorum "Jerusalem, Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie.

Dziewięć lat później podniesiony do rangi zakonu rycerskiego.

Od czarnego krzyża na białych płaszczach nazywano ich cruciferi.

Krzyżakami.

Wypędzenie krzyżowców z Ziemi Świętej przypadło na czasy czwartego wielkiego mistrza Hermana von Salzy, który dom główny musiał przenieść do Wenecji, ale marzył o lepszej siedzibie.

Co prawda król węgierski Andrzej II wygnał Krzyżaków z Siedmiogrodu, przygarnął ich jednak książę mazowiecki Konrad, który w 1226 roku nadał Krzyżakom ziemię chełmińską zagrożoną przez najazdy pogańskich Prusów i obiecał nowe nadania z ziem pruskich.

w 1228 roku przybyło nad Wisłę, na wprost dzisiejszego Torunia, za ledwie dwóch rycerzy z małym poczem i założyli w konarach gigantycznego dębu pierwszą drewnianą twierdzę: Yogelsang, Ptasi Śpiew.

93.

Dwa lata później Krzyżacy przekroczyli Wisłę, zbudowali Toruń, potem Elbląg i inne grody, w szybkim tempie dokonując podboju całych Prus.

Ale do prawdziwej potęgi wciąż im było daleko.

Znów przerwał.

- Nie nudzę was?

Zgodnie pokręcili głowami.

- To wszystko wyczytałem w książkach profesora von Baysena o templariuszach i Krzyżakach - popukał palcem w leżące przed nim wolumeny.

- Azresztą są to rzeczyna ogół dobrze znane.

Teraz będzie ciekawiej.

Nagle i niespodziewanie na początku XIV wieku państwo krzyżackie nad Bałtykiem staje się prawdziwym mocarstwem.

W 1309 roku Krzyżacy wydzierają Polsce Pomorze Gdańskie i przenoszą stolicę do nowo zbudowanego Malborka, do którego z Wenecji przeprowadza się wielki mistrz Zygfryd von Feuchtwangen.

Był to początek krzyżackiego "złotego wieku", trwającego równo sto lat, dokleśki pod Grunwaldem.

- Sądysz, że ów nagły wzrost potęgi Krzyżacy zawdzięczali przejęciu skarbu templariuszy?

- spytał Katz.

- To prawdopodobne.

Skąd wzięliby środki na budowę ogromnych, najnowocześniejszych w Europie zamków, zakup najnowszego uzbrojenia i zaopatrzenia?

Uważajcie, teraz przeczytam wam coś z książki profesora von Baysena Dzieje zakonu krzyżackiego.

Chodzi o motywy, kierujące przeprowadzką domu głównego z Wenecji do Malborka.

O, mam.

"Z jednej strony, proces przeciwko templariuszom, który rozpoczął się w 1307 roku i doprowadził do licznych uwięzień i przesłuchań, a w końcu do zniszczenia

najstarszego zakonu rycerskiego, położył się cieniem narzeczywistości zakonów rycerskich i ostatecznie zagroził obu pozostałym wielkim korporacjom.

Ponadto roztrząsano plany mające prowadzić do zjednoczenia wszystkich zakonów rycerskich, które z kolei zagroziłyby samostanowieniu zakonu krzyżackiego.

Wprawdzie w Wenecji zakon krzyżacki nie był bezpośrednio wystawiony na ingerencję papieża, ale w razie wątpliwości pozostałby bez ochrony"¹.

Zamknął książkę i spojrzał wymownie na słuchaczy.

- Na razie widzę jedynie związek między upadkiem templariuszy przenoszonymi krzyżackiej stolicy do Marienburga - zauważyła Anna Maria.

- Oskarbie ani słowa.

¹ W rzeczywistości cytatów pochodzi z książki Klausa Militzera Historia zakonu krzyżackiego, tłum.

Ewa Marszał i Jerzy Zakrzewski s., Kraków 2007, s.

136.

94

- To prawda - zgodził się Tomasz.

- Teraz więc przeczytam wam fragment z innej książki profesora von Baysena Dzieje i upadek Rycerzy Świątyni dotyczący skarbu templariuszy: "Skarb ten - być może wraz z archiwum Zakonu (bo w ręce króla wpadły tylko nieliczne dokumenty) - został zapewne wywieziony z paryskiego templum w nocy z 12 na 13 października 1307 roku i już to ukryty w podziemiach zamku w Gisors, już to przetransportowany do Szkocji: możliwość taką pozwalają brać pod uwagę zeznania brata Jana z Chalons z czerwca 1308 roku"¹ - przewrócił kilka kartek, gdzie była druga zakładka.

- "To brat Jan de Chalons właśnie zeznał, że brat Gerard de Villers, preceptor Francji, który uniknął aresztowania 13 października 1307 roku, uciekając w pięćdziesiąt koni, wsiadł na statek-galerę i odpłynął w nieznanym kierunku"².

Zaczekajcie chwilę - odnalazł kolejną zakładkę i czytał dalej: - "Co więcej, z zeznań torturowanych rycerzy wiadomo, że w noc poprzedzającą aresztowanie templariuszy (12 października 1307 roku) paryską Tempie opuścił transport skrzyń zawierających cały skarb wielkiego wizytatora Francji

(totumthesaurum Hugonis Peraldi), który załadowano na osiemnaście statków zakotwiczonych na Sekwanie"³.

No i co wy na to?

- To już brzmi bardziej zachęcająco - łaskawie zgodziła się starsza pani, po czym mocno uszczupliła zawartość koniakówki pod pozorem konieczności zwilżenia sfatygowanego gardła, bowiem naprzemiennie z Katzem tłumaczyli Annie Marii słowa Tomasza.

- Choć nadal Francję od Prus dzieli kawał drogi.

Tomasz zaczął przekładać książki, wreszcie znalazł to, czego szukał. Był to artykuł wycięty z jakiejś gazety i złożony na czworo. Rozłożył go i wygładził.

- Tu mam artykuł naszego rodzimego badacza wszelkich tajemnic, Zygmunta Świącickiego, zamieszczony w "Dzienniku Polskim" przed kilkoma laty. Posłuchajcie: "

skarbów Rycerzy Świątyni poszukują amatorzy w Szkocji, Hiszpanii, Afryce Północnej, a nawet na tajemniczej Wyspie Dębów (Oak Island) na atlantyckim wybrzeżu Kanady. Doktor goś z tych miejsc miał ponoć zawiązać konwój żaglowców, który puścił francuski port La Rochelle, uwożąc uratowany przed zakusami - "olewskich siepaczy skarbiec templariuszy.

Jedna z hipotez zakłada,

w rzeczywistości jest to cytata z książki Jerzego Prokopiuka Proces templariuszy.

Warszawa os.

s. s.ó.

2 Tamże, s.

82-83.

3 niżej, ^!

95.

że flotylla ta zawinęła do Gdańska, który dokładnie w tym samym czasie, w 1309 roku, znalazł się pod panowaniem Braci Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego bliskich Rycerzom Świątyni.

Za tą ostatnią hipotezą przemawiałby gwałtowny wzrost potęgi ekonomicznej i militarnej Krzyżaków właśnie w pierwszej połowie XIV wieku.

Wtedy to ich niewielkie państewko egzystujące z trudem gdzieś na peryferiach ówczesnego cywilizowanego świata jedynie przy poparciu krzyżowców z Europy Zachodniej, przemienia się nagle w nowoczesny, dysponujący wielkimi zasobami finansowymi, zwycięski w starciach z sąsiadami organizm polityczny. Czy tego gwałtownego skoku cywilizacyjnego niezawdzięczają bracia z czarnymi krzyżami nam, zastrzykowi wielkiej gotówki ofiarowanej im przez braci w płaszczach z krzyżami czerwonymi?

"1.

- Fiu, fiu - świsnęła Michalina przez szparęw górnych jedynekach, jedynekach jej własnych zębach, pozostawionych przez naturę zapewne w tym celu; po czym, czkając z wdziękiem, podsunęła Katzowi lampkę do napełnienia.

- No, teraz jesteśmy w domu.

- To tylko hipoteza - zastrzegł Bażyński.

- Alesam powiedziałeś: tak samo dobra jak inne - zauważył Katz.

- Poza tym potwierdza, że Helmut von Baysen, kosztem biednego profesora Plotzkiego, faktycznie mógł wpaść na jakiś trop.

- Tylko że w pamiętniku jest mowa raczej nie o całym skarbie, tylko konkretnie o relikwiach.

W tym jednej szczególnej, o niezwyklej mocy, skoro Helmut porównał ją do Wunderwaffe - powiedziała Anna Maria.

- I tak zatoczyliśmy koło i znów doszliśmy do relikwii - zabrał głos Tomasz.

- Na razie ustaliliśmy, że po pierwsze: kontakty między templariuszami a Krzyżakami na początku XIV wieku są prawdopodobne.

Podrugie: skarb templariuszy wywieziono z Francji, jednorazowo lub etapami, i być

może powierzono Krzyżakom, w całości lub w części.

A teraz mam dla was nowinę: ostatnia partia depozytu, uwaga: podjęta już po śmierci de Molaya!

mogła rzeczywiście zawierać relikwie, i toz tych najrzadszych i najcenniejszych.

- A widzisz, niedowiarku!

W takim razie relikwie naprawdę trafiły do Prus.

Pamiętnik niekłamie.

Fiu, fiu - staruszka pociągnęła sporyłyk.

- Ciekawe, gdzie zostały ukryte i czy są tam jeszcze?

' W rzeczywistości jest to cytat z książki Zdzisława Skroka Skarby Polski, Warszawa 2002, s.

51.

96

- Tego oczywiście nie wiadomo.

Być może pergamin z wyznaniem von Tettingena zawierają jakąś wskazówkę, ale go nie mamy - powiedział Tomasz, a Anna Maria już otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz zaraz zamknęła je z powrotem.

- Za to chyba wiem, kto je mógł przywieźć.

Udałomu się zaabsorbować całą ich uwagę.

- Podobno pisał o tym znany historyk Louis Charpentier w Tajemnicach templariuszy, lecz nie mam akurat tej książki.

Za to znalazłem Księgę skarbów Roberta Charroux, który, powołując się na Charpentiera, pisał - wziął do ręki kolejną książkę, otworzył w założonym miejscu i zaczął czytać: - "Kiedy Jakub de Molay zrozumiał, że król zmierza do całkowitego unicestwienia zakonu, podjął pewne działania dla zachowania tradycji i wzniosłej fundamentalnej wiedzy.

Kazał przywołać do więzienia swego siostrzeńca, młodego księcia Guicharda de Beaujeu, o którego powołaniu do zakonu wiedział, i dokonał jego tajemniczenia.

"1.

Paryż, 4 kwietnia 1314 (poniedziałek)

- Macie czas do świtu.

Potem kończę służbę.

Paryską Tempie, potężną warownię templariuszy igłówną siedzibę zakonu po utracie Jerozolimy, król Filip Piękny zamienił na więzienie dla Rycerzy Świątyni.

Jakub de Molays spędził tu ostatnie miesiące swego życia, już nie jakowielki mistrz potężnego zakonu, lecz więzień poddawany okrutnym torturom.

Guichard de Beaujeu położył dłoń na ramieniu dowódcy straży.

- Kiedy skończymy, pojedź z nami.

Tamten uśmiechnął się smutnie i pokręcił głową.

- Nie mogę.

Kto wie, kiedy znów będę miał okazję pomóc któremuś z naszych.

Nie, Guichardzie, ty masz swoje zadanie, ja swoje i obaj musimy wypełnić, co nam Bóg przeznaczył.

Prędzej czy później zorientują się, że jesteś jednym z nas.

To tylko kwestia czasu.

Wiesz o tym.

To sam mógłbym powiedzieć o tobie.

Idźcie już.

Dopilnuję, by wam nie przeszkadzano.

Pamiętaj, o świecie musicie stąd zniknąć.

"O Den Charroux, Księga skarbów, tłum.

Joanna Galewska, Warszawa 1992, 5.

37-38.

97.

Odszedł.

Po chwili usłyszeli zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

Zostali sami w ogromnej świątyni, której monumentalna konstrukcja wspierała się na jednym centralnym filarze.

Nie darmo uważano templariuszy zawyśmienionych architektów, spadkobierców sławnego Hiram, budowniczego świątyni jerozolimskiej w czasach króla Salomona.

Dlatego tak chętnie używali murarskich symboli: cyrkla, kielni

i pionu.

-Odwalcie tępytę - polecił swoim ludziom, wskazując zejście do krypty wielkich mistrzów.

- Tylko bez hałasu.

Pochwili w świetle pochodni ujrzeli schody wiodące w mroczną czeluść.

Na wszelki wypadek pozostawił jednego z braci nagórze, poczym poprowadził pozostałych do krypty.

Tam, w kamiennych sarkofagach, spoczywały zwłoki kilku ostatnich wielkich mistrzów zakonu, z wyjątkiem przedostatniego, Tybalda Gaudina, który został pochowany na Cyprze, dokąd zakon był zmuszony się przenieść po utracie ostatnich skrawków Ziemi Świętej.

- Przyświećcie - rozkazał, po czym rozpoczęli wędrówkę po krypcie, ścierając kurz zinskrypcji na nagrobkach.

- To tu - powiedział, nie bez wzruszenia wodząc palcem po wyrytych literach i odczytując nazwisko: Wilhelm de Beaujeu.

Wilhelm de Beaujeu był dwudziestym pierwszym i zarazem trzecim od końca wielkim mistrzem templariuszy, stryjem Guicharda i szwagrem de Molaya, wuja Guicharda.

Zginął w 1291 roku podczas beznadziejnej obrony Akki, a ponieważ wkrótce zakon musiał opuścić ostatnie przyczółki w Palestynie, zaś siedziba na Cyprze nie była jeszcze gotowa, jego ciało przewieziono do paryskiej Świątyni.

Guichard od miesięcy starał się o królewskie zezwolenie na przeniesienie ciała stryja

do rodzinnego grobowca w Beaujeu i wczoraj nareszcie, za olbrzymią łapówkę, jeotrzymał.

Potężny ród de Forez, z którego wywodzili się de Beaujeu, zoczył zbyt wiele, by zignorować ich życzenie.

Zwłaszcza że nikt, nawet najbliższa rodzina, nie podejrzewał, iż Guichard nie tylko duszą sercem należy do templariuszy, ale też został namaszczony na następcę de Molaya, który powierzył mu Misję.

- Zdejmijcie wieko.

Nawet w dziesięciu nie było łatwo ściągnąć kamiennego wieka ozdobionego rzeźbą rycerza w pełnej zbroi i tunice z krzyżem na piersi.

Sapiąc i stękając, zdjęli je wreszcie i oparli o sarkofag.

Rozwinęli przyniesione ze sobą liny, przeciągnęli pod dębową trumną i wydobyli ją

98

na wierzch.

De Beaujeu wyjął sztylet i wsunął w szczelinę, by otworzyć trumnę.

- Na co czekacie, pomóżcie - zwrócił się do towarzyszy, stojących bez ruchu z niewyraźnymi minami.

- Niegodzi się naruszać spokoju umarłych.

- bąknął któryś.

- To wróży nieszczęście.

Uśmiechnął się lekko, wspominając swą wizytę u uwięzionego wuja, na którą także uzyskał pozwolenie dzięki staraniom rodziny.

To wówczas de Molay formalnie dokonał inicjacji i ostrzeżenia, odebrał od niego przysięgę o przestrzeganiu reguł zakonu i zdradził mu Tajemnicę.

"W grobie twego stryja Wilhelma - powiedział, upewniwszy się, że niktich nie podsłuchuje - nie ma jego ciała.

Został pochowany na Cyprze.

Trumna zaś zawiera największy skarb zakonu, którego wartości nie da się przeliczyć na żadne pieniądze.

To archiwum Świątyni: dziesiątki pergaminów, ksiągi papirusów, greckich,

łacińskich, hebrajskich, arabskich, egipskich nawet, kryjących tajemnice ludzkości, których dziś nie potrafimy odczytać, ale być może zdołają to uczynić następne pokolenia.

Dotychczas bezcenne relikwie zdobyte na niewiernych i przywiezione z Ziemi Świętej. Temu, kto je posiada, dadzą niezwyciężoną moc.

"Czemuż naszego zakonu nie zdołały ocalić przed zagładą?

", wtrącił z powątpiewaniem.

"Bo zgrzeszyliśmy.

Zbyt wielu braci złamało regułę i Bóg się od nas odwrócił.

Ale po nas przyjdą inni, bardziej godni łaski, i to dla nich musisz ocalić ten skarb przed zachłannością króla Filipa i jemu podobnych sług szatana".

- Doroboty, mamy mało czasu - ponaglił pozostałych.

Z ociąganiem przystąpili do dzieła i wkrótce mogli ujrzeć spoczywający w trumnie nieforemny kształt spowity całunem.

Ten i ów przeżegnał

się pospiesznie.

- Spokojnie - rzekł.

- Tam nie miała.

- A co jest?

- spytał de Sonnac.

Powiedział im.

Byli związani przysięgą.

Musiał im ufać, skoro tylko działając razem, mogli dokonać rzeczy prawie niemożliwej - wywieźć z Francji najcenniejszą rzecz na świecie.

Aby przekonać największych niedowiarków, częściowo rozwinął płócienne taśmy opasujące całun, pokazując im pomniejsze pakunki, które skrywał.

Zasunęli wieko sarkofagu, usunęli ślad swojej pracy i opuścili kryptę, zabierając ze sobą urnę.

Zamknęli wejście do podziemi.

Kazał im postawić trumnę pod jedną z dwóch kolumn wspierających kościelny chór.

"Największego

99.

skarbu nie skrywa wszak trumna twego stryja - wspomniał słowa deMolaya - lecz kolumny zdobiące chór Świątyni.

Kapitele obracają się wokół własnej osi, zaś kolumny są wydrążone.

Znajdziesz w nich korony królów jerozolimskich, menorę króla Salomona, złote figurki czterech ewangelistów, które ongi zdobiły Święty Grób, drzazgi prawdziwego krzyża, na którym umarł Chrystus, oddane nam w zastaw przez łacińskiego cesarza Bizancjum Baldwina II w 1240 roku i nigdy niewykupione, oraz wiele innych".

- Pomóż mi - rzekł do Hugona, wchodząc na trumnę i próbując poruszyć głowicę zwieńczającą kolumnę.

Wspólnymi siłami zdjęli najpierw jeden, potem drugi kapitel, położyli kolumny na posadzce i wydobyli z nich kilka zawiniątek, równie starannie opakowanych jak poprzednie.

Bez rozwijania włożyli je do trumny i wszyscy ciasno spowili całunem, na powrót nadając mu grubszą kształt ludzkiego ciała.

Następnie umocowali wieko, postawili kolumny, nałożyli głowice i tuż przed świtem opuścili Tempie.

Prawie pustymi o tej porze ulicami podążyli ku bramie.

Trumna spoczywała na wyścielonym słomą furgonie, drugi wóz wypełniały beczki.

Templariusze, ubrani w skromne stroje podróżne, z kolczugami pod odzieniem, nie odróżniali się od innych podróżnych: kupców, pątników czy rycerzy, co dzień w takim czy innym celu przemierzających drogi Francji i ulice Paryża.

Jeden de Beaujeu nosił wystawniejszy strój, dlatego że wobec możnych żołnierze bywali mniej dociekliwi.

Jakożi strażnicy przy bramie, którą właśnie otwierano, nie czynili żadnych trudności.

Sprawdzili jedynie królewskie zezwolenie, rzucili okiem na trumnę, przeżegnali się i życzyli szerokiej drogi.

Beczki ichnie

zainteresowały.

Dopóki widać było wieże miejskie, jechali na południe, jakby rzeczywiście kierując się w stronę Rodanu.

Pod wieczór, gdy miasto zostało daleko za nimi, dotarli do dużego zajazdu, leżącego na rozstaju dróg, gdzie spożyli wieczerzę i gdzie, jak było umówione, czekało na nich dwanaście wierzchowców oraz następnych sześć furgonów, po brzegi wyładowanych sianem, które wraz z zaprzęgami, lecz bez woźniców, de Sonnac z polecenia de Beaujeu zamówił u karczmarza kilka dni wcześniej.

- Ktoś za nami jedzie?

- spytał Guichard Hugona, którego wysłał na rekonesans.

- Nikogo nie widziałem.

- To nic nie znaczy.

Wysłałeś list Nogaretowi?

100

- Jak kazałeś.

Jutro po południu posłaniec ma mu go doręczyć.

Możesz mi powiedzieć, co byłow liście?

- Napisałem mu, co wieziemy.

I podrobiłem podpis Ivesa de Plessisa.

Ty naprawdę oszalałeś!

- Hugo patrzył na przyjaciela ze zgrozą niedowierzaniem.

- Bynajmniej.

Kiedyś wszystko ci wyjaśnię.

Cała dwunastka, ścigana ciekawskim wzrokiem gospodarza zajazdu, zaintrygowanego, że goście niezamierzają przenocować, wyszła na zewnątrz.

- Wiecie, co macie robić - powiedział de Beaujeu do towarzyszy.

- Noc będzie jasna, musicie ujechać, ile się da.

Pościg wyruszy dopiero jutro, więc macie jeszcze cały dzień, bo nie dościgną nas przed zmierzchem.

Potem ukryjcie gdzieś furgony, zatoczycie koło i podążycie za nami.

Spotkamy się za trzy dni w oberży "Pod odyńcem" za Amiens.

Gdybyście tam nie zastali, zaczekacie dzień, lecz nie dłużej, a potem niech każdy próbuje wydostać się z Francjina własną rękę.

Rozdzielili się natrójki i cztery pary wozów ruszyły każdą swoją stroną.

Kraków, 28 czerwca 2010 (poniedziałek)

- Jest tam kto?

Tadeusz Jarecki stał przed otwartym garażem i zaglądał do środka.

- Właż!

Policjant przecisnął się obok dziapa.

Teoretycznie samochód był polakierowany naczerno, ale pierwotną barwę potraktowano jako podkład.

Boki karoserii wypełniały wizerunki rozmaitych herbów rycerskich w kartuszach z labrami, zwieńczonych pękami pawich piór i klejnotami.

Natomiast maskę pokrywały panoplia w postaci napierśnika, pęków proporców, mieczy, szabli i toporów bojowych.

- Widzę, że już odzyskałeś wóz?

- powiedział, wchodząc do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie Bażyński zajmował się czyszczeniem swego rycerskiego ekwipunku.

Musiał zanurkować pod cztero- czy pięciometrową kopią opartą kosem o ścianę i slalomem przemknąć się między dwoma przyłbicami! fragmentami pancerza, których nawet nie potrafił nazwać.

101.

- Owszem, Rysiek odstawił go nie dalej jak godzinę temu.

Po drodze stwierdził, że akumulator jest do wymiany.

Jutro przywiezie nowy.

Wybacz, że nie podam cireki - Tomasz pokazał brudne dłonie.

- Przeżyję.

Kiedy wyruszacie pod Grunwald?

- Około 10 lipca, może trochę wcześniej.

- Niemcy jadą z tobą?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Myślę, że za parę dni wrócą do siebie.

- Zależli ci za skórę?

Dla takiego mizantrop jak ty takinajzd musibyć wstrząsem.

- Nie.

Sam jestem zaskoczony.

A dziś na przykład wybrali się dokądś samego rana i mają wrócić dopiero wieczorem.

Dlaczego nazwałeś mnie mizantropem?

Policjant zignorował pytanie.

- Przekaż panie von Baysen, że najdalej do końca tygodnia będzie mogła odebrać ciało ojca.

- Dobrze.

Jak tam śledztwo?

Nie wstając, stopą podsunął policjantowi niski stołek na trzech nogach, podobny do tego, na którym sam siedział.

- Postępuje - odparł Jarecki, nieufnie przejeżdżając palcem po siedzisku, zanim spoczął.

- Aha.

Tajemnica dochodzenia i tym podobne duperele.

Nie piernicz, tylko gadaj jak człowiek.

- Wiemy już, kim jest mężczyzna z twojego portretu.

-No?

- Armand de Fronsard, marszałek paryski.

Specjalność: odnajdywanie cennych dzieł sztuki.

Zaginionych podczas ostatniej wojny, ale też naprzykład zatonionych przed wiekami galeonów.

Ma na koncie kilka spektakularnych akcji.

Zadaje się dziwnymi ludźmi.

Zwykle balansuje na krawędzi prawa, ale tylko raz powinięłam się nogą, dawno temu.

I dlatego znalazł się w archiwum Interpolu.

-Ciekawe.

- No nie?

Paryska policja przesłuchiwała go na naszą prośbę.

Nie wypiera się znajomości z von Baysenem.

Twierdzi, że chciał coś odkupić od profesora, który jednak nie chciałmu tego sprzedać.

Przybył do Krakowa śladem, żeby mu złożyć ostateczną, ponoć bardzo korzystną propozycję.

Ten nie chciał z nim gadać przez telefon, więc zaczepił go na Plantach.

To też nic nie dało, pokłócili się tylko, więc zaraz następnego dnia wsiadł w samolot i wrócił do Francji.

Nic nie wiedział o zabójstwie.

102

- Uwierzyli mu?

- Raczej tak.

Mokra robota nie jest w jego stylu, nigdy też nie był oskarżony o zastraszanie, czy też szantażowanie potencjalnych klientów.

Zwykle osiąga cel za pomocą pieniędzy lub podstępem.

Nie ma szans, żeby Francuzi nam go wydali na podstawie wątpliwych poszlak.

No, chyba że Baysenówna coś sobie jednak przypomni.

Wystarczy, żeby nam powiedziała, czego ten Fronsard chciał od jej ojca.

Mielibyśmy jakiś punkt zaczepienia.

Pogadasz z nią?

- Okay

- A może już jej się coś wysnęło na ten temat?

- rzucił Bażyńskim badawcze spojrzenie.

Tomasz z niezwykłym skupieniem wodził irchową szmatką po ostrzumieczya trzymanego w lewej ręce.

Rozpuszczone włosy, kręcące się jak Banderasowi w Masce Zorro, opadały mu na oczy.

Dmuchał, a gdy tonie pomogło, zniecierpliwionym gestem odgarnął włosy z czoła, przy okazji zostawiając na nim brudną smugę.

- Nie.

- A powiesz mi, jak się wysnie?

- Pocięło cię?

Mam dla ciebie szpiegować własnych gości!

Idź się utop.

- Cholera, Tomek, to dla mnie szansa.

Czuję przez skórę, że w tej sprawie jest coś niezwykłego.

Ale jeśli szybko na nic nie wpadnę, odbiorą mi ją jak amen w pacierzu.

Pomóż mi.

Bawił się podniesionym spodłogi morgensternem.

- Jeśli będę mógł.

I odłóż to, do diabła, chyba że masz za dużo zębów.

Taka broń w rękach laika to szpital lub dentysta.

Chyba nie gniewasz się o Anżelę?

Zeszliśmy się jakiś czastemu, zupełnie przypadkiem.

Wiesz, że zawsze mi się podobała, ona akurat była wolna, no i tak samo wyszło.

- zakręcił ostatnie koło koleczastą kulą nalańcuchu i odłożył broń na miejsce.

""Po co się tłumaczysz?

Przecież mi jej nie odbiłeś.

Od dawna nic mnie z nią nie łączy.

Macie moje błogosławieństwo, jeśli na tym zależy, mogę nawet być drużbą na waszym ślubie.

- No i super.

Rażno podniósł się ze stołka.

To Jak?

Powiesz mi, jak się czegoś dowiesz?

Przecież obiecałem.

A teraz usiądź jeszcze na chwilę i posłuchaj.

Powiedział o wypadkach wczorajszej nocy.

103.

- Ta wasza ochrona jest do niczego - dokończył.

-Ochrona jest dobra.

Tylko nasz przeciwnik jeszcze lepszy.

Chyba że jednak twojejciotce coś się przywidziało?

- Na pewno nie.

Przecież ją znasz.

Nadrabiaminą i udaje, że nic się nie stało, ale od wczoraj nie rozstaje się z laską i nie chce sama zostawać w domu.

- Mówisz, że nic nie zginęło.

-Nie.

Jeszcze wczoraj sprawdziliśmy dokładnie.

Nic.

Czy to ma sens?

Policjant przejechał dłonią po łysince.

- Oczywiście, że ma.

Bo mógł nic nie zabierać, tylko zostawić.

Zapewne podsłuch.

Coś go jednak spłoszyło i nie zrealizował zamiaru, skoro włamanie nastąpiło przed północą, a nie udane porwanie von Baysenówny po północy, czyli zaraz potem.

Inaczej to wszystko razem faktycznie nie miałyby za grosz sensu.

Ten człowiek to musi być jakiś gotowy na wszystko desperat.

I bardzo mu się spieszy.

Wkrótce powinien znów uderzyć.

Doskonale.

Robi się coraz ciekawiej.

- Ciebie to cieszy?

- zdumiał się Bażyński.

Komisarz spojrział na niego z powagą.

- Powiem ci coś, Tomaszu.

Kiedyś chciałem być prawnikiem.

Żeby wyrwać się z tego cholernego dołu, w jakim dorastałem.

A cwana papugawyciągakupę kasy i jeszcze ma odpowiedni prestiż.

Wiesz, kto mnie z tego wyleczył?

Ty.

-Ja?

- Pamiętasz, jak w liceum na polskim urządziliśmy sąd nad Makbetem?

Ja byłem obrońcą, ty oskarżycielem.

Szło mi doskonale, aż nagle wyskoczyłeś z herbowym sztyletem, prawdziwym corpus delicti, i w jednej chwili obaliłeś całą moją linię obrony.

Cały ty, Tomcio Chytrusek, zawsze trzymający w rękawie jakiegoś asa - Bażyński chciał coś wtrącić, ale Jarecki tylko machnął ręką.

- Nie chowam urazy.

Itak pewnie z mojej adwokackiej kariery nic by nie wyszło, bo mafia prawniczenie dopuszcza obcych do konfitur.

Zostałem policjantem i nie żałuję.

Nie chwaląc się, jestem dobrym gliną.

Jak wywęszę trop, to nie odpuszczam.

Złapię mordercę profesora i dowiem się, o co w tym chodzi.

Możesz mi wierzyć.

Jeszcze żaden bandzior mi się nie wymknął.

Wstał.

- Tym razem sam wybiorę najlepszych ludzi do waszej ochrony.

Ale itak musicie na siebie uważać.

Nie wychodzić w pojedynkę i nie włączyć

104

się nocami po zakazanych miejscach.

No i nie ukrywać przede mną niczego.

Żadnych sekretów, sztuczek i asów z rękawa.

Jasne?

Inaczej flakiwamwypruję.

Na odchodnym rzucił już znacznie lżejszym tonem:

- I wiesz co?

Z kucem ci do dupy, ale bez niego jeszcze bardziej!

Umknął na zewnątrz tą samą drogą, którą przybył.

Tomasz rzucił zanim brudną szmatą, alenie trafił.

Po chwili usłyszał odgłos samochoduruszającego sprzed domu.

Pracował zapamiętałe do późnego popołudnia, rozmyślając przytym nad sprawą zabójstwa profesora.

Miał trochę wyrzutów sumienia, że zataił przed Jareckim to, co już wiedziałna tentemat.

Ale z drugiej strony, to nie była jego sprawai dopóki AnnaMarianie podjęła decyzji, miał związane ręce.

- O Boże!

- Michalina obronnym gestem uniosła w górę łaskę, natknąwszy się na niego, kiedy zmęczonywracał napoddasze.

-Ale mnieprzestraszyłeś!

Gdzie żeś się podziewał cały dzień?

- W zbrojowni.

-A,oporządzałeś swoje żelastwo.

- Właśnie.

-Nie ma dziś obiadu, ale mogę zrobić jajecznicę.

- Dobrze.

Zejdę, tylko się wykapię.

- Gdziesą nasi goście?

- spytała, kiedy Tomasz skończył posiłek.

-Powiedzieli mi tylko, że zjedzągdzieś w mieście.

- Nie wiem, nie spowiadałimi się.

-Miładziewczyna, ta Anna Maria.

Chociaż na bakier z wiarą i o gotowaniu nie ma pojęcia.

Zupełnie jak nie Niemka.

Swoją drogą, możesz to lepiej.

No i chyba cię polubiła.

Najwyższy czas, byś się ustatkował.

Ja nie będę żyła wiecznie.

Może nawet nie miałabym nic przeciwko temu, żeby się u nas zadomowiła dobrze.

Do licha, gdyby jeszcze parę dni temu powiedziano mi, że będę rada, słysząc, iż wkuchni ktoś przy dziecku mówi po niemiecku, nie uwierzyłabym.

- Chyba nic z tego.

Ona mi się podoba, nawet bardzo, no ale za parę dni wyjedzie.

- No i co?

Wyjedzie i wróci, jeśli się o to postarasz.

A na twoim miejscu zrobiłabym wszystko, żeby w ogóle nie wyjeżdżała.

Tylko musisz jej okazać, że ci na niej zależy.

Z poprzednich dziewcząt zbyt łatwo rezygnowałeś.

Przez ciebie.

los.

- Nieprawda!

Twój ojciec nikogo się nie pytał, kiedy żenił się z twoją matką.

Postawił rodzinę przed faktem dokonanym i już.

A ty co?

Oświadczyłeś się chociaż którejś?

- Jakoś nigdy nie doszliśmy do tego etapu - bąknął.

- Właśnie!

Każda dziewczyna lubi wiedzieć, na czym stoi.

A mężczyzna powinien wiedzieć, czego chce.

Tej Andżeliki, chociaż nie podobałam się, to mi nawet było żal, kiedy widziałam, jak ją traktujesz.

Wcale się nie dziwię, że cię w końcu rzuciła - prychnęła.

- Zejdźmy jużże mnie.

- Niech ci będzie, ale jeshczedotego wrócimy.

Nie będę beczynnienpatrzyła, jak marnujesz sobie życie.

A teraz powiedz, czy dzwoniłeś na policję.

Nie mogę bez końca oglądać się za siebie i podskakiwać przy każdym skrzypnięciu podłogi.

- Tadek Jarecki byłu mnie niedawno.

Przydzielą do naszej ochrony najlepszych ludzi, ale niemożemy niczego przed nimi ukrywać.

Aha.

Wiedzą już, kim jest człowiek z mojego portretu.

To francuski marchand, Armand de Fronsard.

- Złapali go?

To on zabił profesora?

- Nie złapali, tylko przesłuchali.

W Paryżu.

Chyba nie on zabił.

Chciały tylko, jak się zdaje, kupić od profesora pamiętnik Helmuta von Baysena.

No ale policja nawet tego nie wie na pewno.

I w tym cały problem.

Zaczynam myśleć, że powinniśmy przekonać Annę Marię, żeby ujawniła policji, do czego wspólnie doszliśmy.

- Porozmawiam z nią o tym przy okazji.

A propos, Tomaszu, przetłumaczyłam następną partię pamiętnika.

Zabrał kartki do siebie.

Około dwudziestej trzeciej usłyszał na schodach rumor.

To Niemcy wracali z wycieczki.

Ale nie wyszedł do nich.

Pochłonął go pamiętnik.

Kraków, 29 grudnia 1944 (piątek)

Drzwi gabinetu dentystycznego przy Reichstrasse 112 otworzyły się gwałtownie do gabinetu wtargnęli dwaj mężczyźni.

Druga dwójka została w poczekalni.

Karmelicka.

106

- Heil Hitler!

- wyrzucił rękę w hitlerowskim pozdrowieniu jeden z intruzów, przystojny blondyn o pociągłej twarzy.

- Heil!

- piszący coś przy biurku dentysta uniósł się z krzesła i automatycznie oddał pozdrowienie, widać jednak było, że jest zaskoczony.

- Przepraszam, ale panowie chyba nie byli umówieni.

Chociaż przybysz wyglądali na gestapowców po cywilnemu, czyli dokładnie tak jak on, von Baysen - usadowiony w fotelu dentystycznym tyłem do drzwi - instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo.

Przybyłtu po informacje o nieuchwytnym groźnym bandycie o pseudonimie Halszka, a przy okazji chciał zrobić coś z bolącym zębem.

A teraz poraz pierwszy w życiu był śmiertelnie wystraszony i zrozumiał, jakczuli się ci bezbronni pechowcy,którzy znaleźli się w jego mocy i których najego widok oblewał zimny pot.

Wtej chwili to on pocił się jak szczurw pułapce.

Kurczowo zaciśnięte na poręczach foteladłonie zbieleły muzwysiłku.

Patrząc w lustro przedsobą, wyraźnie zobaczyłwszystkieskazyi musze odchody na taflioraz krople potu na własnej twarzy, zbierającesięu nasady nosa.

Nawet cztery włoski wystające z nozdrzy i krostę nabrodzie.

A także wyrok w zimnych oczach blondyna o moment wcześniej,nież dotarło to do dentysty.

Ten pojął wszystko dopiero wówczas, kiedyw rękach obu intruzówpojawiłysiępistolety z tłumikami.

Eugeniusz Polak, dentysta, jeden najlepszycch konfidentów gestapo, był bardzo ostrożny.

Przez specjalne okienkow gabinecie mógł obserwować wszystkich wchodzących, a w mieszkaniu miał porozmieszczane dzwonki alarmowe.

Dzięki temu uniknął kilkuzamachów na swoją osobę.

Spróbował sięgnąć do alarmu zamocowanego pod blatem, ale blondyn o zimnychoczach doskoczył i brutalnieodepchnął go odbiurka.

- Wiesz, kim jestem?

- spytał.

- P..

porucznik Halszka - wystękał dentysta drżącymi wargami.

- Zgadza się, kapusiu.

Słyszałem, że się mną interesujesz, ioto jestem.

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej zostałeś skazany na śmierć zawydanie Szwabom wielu dobrych patriotów.

-Łaski!

- krzyknął konfident, opadając na kolana i składając dłonie jak do modlitwy.

-Powiem wam, kim jestten czło.

Już wyciągał dygocącą rękę, by wskazać von Baysena, gdy Halszka bez słowa strzelił mu dwukrotnie w serce.

Wystrzały zabrzmiały jak-kaszlnięcia.

Volksdeutsch wolno zgiął się wpół, potem stuknął głową Podłogę i wreszcie zwałił martwy na bok.

Von Baysen obserwował to

107.

w lustrze.

Pot ściekał mu z czoła i nosa strumykami.

Koszula lepiła się do ciała.

W nadziei dezwał się nerwowo tik.

- Prusak!

- lufą pistoletu, z której jeszcze unosiła się smużka dymu, blondyn wskazał von Baysena swemu towarzyszkowi.

-Sprawdź, co to za jeden.

Smukły brunet podszedł do fotela i na odlew trzasnął w twarz von Baysena, z jednej i drugiej strony.

- Papiere!

- zażądał.

Drżącymi palcami von Baysen wyjął z kieszeni fałszywe dokumenty i podał brunetowi.

- Z papierów wynika, że to kupiec, niejaki Wolf - zameldował tamtędy.

- Zastrzelić go?

Widząc w lustrze wpatrzony w siebie wzrok dywersanta, von Baysen zamknął powieki.

- Zostaw go - powiedział Halszka 1 podłuższym namyśle.

- My nie zabijamy cywilów.

Zamiast kuli rozrywającej tkanki von Baysen poczuł jedynie uderzenie w głowę, gdy Prusak ogłuszył go kolbą pistoletu.

Kiedy ocknął się, niewiadomo po jakim czasie, po AK-owcach nie było śladu.

Tylko trupna podłoga, spod której wylała się kałuża już przysychającej krwi, świadczyło tym, że niedawno w gabinecie.

Dopiero po półgodzinie von Baysen doszedł do siebie na tyle, że mógł zadzwonić na Schlesienstrasse 2 do kolegów z Sipo, a dopiero po następnej godzinie i złożeniu zeznań, opuścił gabinet dentystyczny.

Cieszył się życiem, więc zrezygnował z tramwaju i poszedł piechotą do końca

Reichstrasse.

Przeszedł skrzyżowanie i przy Invalidenplatz4 skręcił w Aussenring5.

Śnieg skrzypiał mu podbutami.

Szedłskrajem parkuKrakowskiego,

' Jan Kowalkowski "Halszka", żołnierz AK, odpowiedzialnyza likwidację konfidentówi wiele innych akcjidywersyjnych.

Opisana egzekucja dentysty Eugeniusza P.

naprawdę się odbyła, a brali w niej udział także "Orsza", "Pik", "Sardynka" i "Kozaczek".

Zaś oszczędzony "kupiec Wolf"okazał się wrzeczywistości zbrodniarzem z katowni na Pomorskiej,Heinrichem Hamannem, czego "Halszka"do końca życia (zm. w 1967 roku) nie mógł sobie darować.

2 UlicaPomorska, gdzie pod nr 2, w "DomuŚląskim", mieściła się siedzibasipo.

3Sicherheitspolizei - PolicjaBezpieczeństwa powstała z połączenia gestapo (GeheimeStaatspolizei - TajnaPolicja Państwowa) i kripo (Kriminalpolizei - Policja Kryminalna)ipodporządkowana partyjnej Służbie Bezpieczeństwa - SD (Sicherheitsdienst).

4 Plac Inwalidów.

sAlejeTrzech Wieszców.

108

wdychając dopłuc rześkie zimowe powietrze irozmyślając, jak cienka linia oddziela życie od śmierci.

Teraz, gdy opadł zeń strach, przepelniała gościekłość.

Jak teśmiecici, cipodludzie, te słowiańskiebydłeta śmiały napędzić mu stracha!

Jemu, von Baysenowi, nie tylko przedstawicielowirasypanów, ale też potomków rodu, który już od xiii wieku gromił takich jakoni!

Splunął zobrzydzeniem.

Jeszczemu za to zapłaca, jak nie ci, to inni.

Cudowne ocalenieprzypisywał łasce boskiej i uważał za dowód, żeBóg,o ile istnieje,z pewnością stoi po stronie Fihrera, a nie tychgłupichuntermenschów.

Mimo postępów wojsk sowieckich była zatem nadzieja na ostateczne zwycięstwo. Mógł się do tego przyczynić, czyż Bóg mu dziś tego jasno nie okazał? Wystarczyło jedynie odnaleźć cudowną relikwię.

Minąwszy siedzibę rządu Generalnego Gubernatorstwa w dawnym gmachu AGH, podążył w kierunku nieodległego budynku Biblioteki Jagiellońskiej. Zaraz na początku wojny zamknięto ją dla Polaków, udostępniając niemieckim naukowcom i dziennikarzom z "Krakauer Zeitung". Przemianowaną na Bibliotekę Państwową, przejął następnie Ostinstitut.

- Ach, Herr Sturmbannführer von Baysen!

Witam, witam - dyrektor biblioteki doktor Gustaw Abb, przeniesiony do Krakowa z berlińskiej Biblioteki Uniwersyteckiej, na widok przybysza dźwignął swój tłusty zad, z entuzjazmem unosząc dłoń w oficjalnym pozdrowieniu.

- Mam nadzieję, że znalazł pan dla mnie to, o co prosiłem, Herr Direktor - nieczekając na zaproszenie, von Baysen rozwalił się wygodnie w fotelu naprzeciwko.

- Ostrzegalem pana, że mój czas jest cenny, a sprawą żywo interesuje się sam Generalgouverneur.

- My tutaj także gorliwie służymy Führerowi i Tysiącletniej Rzeszy, Herr Sturmbannführer - skwapliwie zapewnił Abb; jego mięsiste wargi rozciągnęły się w służalczym uśmiechu.

- Jednak praca bibliotekarza jest żmudna i.

- ujrawszy wzrok esesmana, dokończył szybko: - A więc mam to dla pana.

Wstał, zdjął z półki jakiś gruby wolumen i położył przed von Baysenem.

To jeden z tomów piętnastowiecznego dzieła wydrukowanego w 1702 roku w Lipsku: Annales seu Cronicae inclyti Regni Poloniae I Jana Długosza, polskiego kronikarza.

O, tutaj - przewrócił karty i wyjął zakładkę - jest napisane, że Krzyżacy nie obawiali się starcia z Polakami w 1410 roku, ufając iż, cytując: "dzięki temu, że posiadają pewne relikwie

Pamiętniki albo Kroniki sławnego Królestwa Polskiego (łac.

).

świętych, żaden wróg ich nigdy nie pokona".

A tu - przekartkował kilkanaście stron - jest mowa o odnalezieniu ciała wielkiego mistrza Ulrichavon Jungingena przez niejakiego Jurge, giermka rycerza Mszczuja zeSkrzynna.

Rozpoznał on zwłoki po złotym pektorale z relikwiami, który pokazał królowi Jagielle.

- I to wszystko?

- vonBaysen nie zdołał ukryć rozczarowania.

Abb rozłożył pulchne dłonie owypielegnowanych paznokciach, przyciętych na jednakową długość trzech milimetrów.

- Na razie tak.

Mogę jeszcze dodać, że w ręce Jagielle dostał się także ołtarzyk polowy z relikwiami, przed którym wielki mistrz modlił się krótko przed przegraną bitwą pod Tannenbergiem, czy też Grunfelde, a który król podarował kapitule gnieźnieńskiej. Kiedy pod koniec xviii wieku nastąpił kres dawnej Polski, władze pruskie przekazały ołtarzyk do zamku Marienburgu, gdzie było jego miejsce i gdzie jest do dziś'.

- On mnie nie interesuje.

Dyrektor podszedł do szafki, skąd wyjął butelkę i dwa kieliszki.

- Napijesię pan?

Prawdziwy hennessy, rzadkość w dzisiejszych czasach.

- Chętnie.

Za ostateczne zwycięstwo!

Sącyli koniak w milczeniu, wreszcie Abb powiedział:

- Więcej optymizmu, Herr Sturmbannfuhrer.

Poleciłem mojemu asystentowi, bardzo bystremu młodemu człowiekowi, na dodatek znającemu język polski, aby przeglądał wszystkie publikacje z działu cracovianów pod kątem grunwaldzkich relikwii.

Kiedy tylko coś znajdzie, natychmiast pana powiadomię.

- Trzymam zasłowo.

Heil Hitler!

- von Baysen wstał, wyrzucił dłoń, skinął głową bibliotekarzowi i wyszedł, niefatygując się zamknięciem zasobą drzwi.

Kraków, 29 czerwca 2010 (wtorek)

Pół dnia Tomasz spędził w Klubie Jeździeckim "Masztalerz" w Swoszowicach. Prowadziło go małżeństwo czterdziestolatków, Agata i Jerzy Radziszewscy. Dorobiwszy się w USA, wrócili do kraju.

Prowadzili

' Po drugiej wojnie w sensacyjnych okolicznościach przeniesiony z Malborka (Marie-"burga) do Muzeum Narodowego w Warszawie.

110

świetnie prosperującą firmę informatyczną, należał do setki najbogatszych Polaków.

Dlatego ich było na utrzymywanie stadniny, traktowanej jako hobby.

Miłością dokonali zarazili się w Ameryce.

Jerzy był poza tym starszym Krakowskiego Bractwa Rycerskiego "Królewscy Kopijnicy", którego członkowie, w tym Bażyński, dzięki temu mieli na czym jeździć. Bractwo dysponowało nawet specjalnymi ciężarówkami do transportu koni, wożąc je na ważniejsze turnieje rycerskie.

Pod tegoroczny Grunwald oczywiście także.

Dlatego Tomasz musiał omówić z Radziszewskimi to i owo.

A przy okazji odwiedzić swego ulubieńca, siwego ogiera Witezia.

- Jesteś nareszcie!

- ucieszyła się Michalina na jego widok.

-Głodny?

- Radziszewscy poczęstowali mnie obiadem.

-To dobrze, bo znalazłam coś ciekawego i czekamy na ciebie jak na szpilkach.

Zaciągnęła go do salonu, pokazała leżący na stole pamiętnik Helmuta von

Baysenai powiedziała głosem, w którym pobrzmiwało podniecenie:

- Miałam się właśnie zabrać do tłumaczenia ostatniej partii wskazanej przez

profesora, kiedy spostrzegłam coś niezwykłego.

Proszę, Tomaszu,

zobacz sam.

Włożyłam w to miejsce zakładkę.

I zaznaczam, że nie chodziło o treść.

Tomasz zastosował się do polecenia.

Wertował pamiętnik inicjegoszczególnego nie zauważył.

- Ha!

- rzekła staruszka z uśmiechem zadowolenia.

- Pan Katz był równie spostrzegawczy.

Może Annie Marii powiedzie się lepiej.

Bażyński oddał pamiętnik dziewczynie.

Niemka przemogła odrazę

i zmusiła się do przegładnięcia kilku kartek w sąsiedztwie
zaznaczonego miejsca, ale nie przykładła się do tego.

- Nic tu nie widzę niezwykłego.

Jeśli w ogóle można tak powiedzieć o tym.

dziele.

- Ach, ci młodzi - westchnęła staruszka.

- Tomaszu, podaj mi okulary.

A ty.

Adasiu - musi niedawno dojść do pełnej konfidencji, bo jeszcze dwa dni temu był
"panem Adamem" - zajrzyj do barku, czy aby nie znajdzie się tam kapeczka moich
kropelek na serce.

znalazła się bez trudu, jako że niedalej jak przedpołudniem

Michalina osobiście uzupełniła zapasy.

Dzięki temu mogła się nawet podzielić

i z nimi.

Nikt nie odmówił.

Z sercem nie ma żartów.

Tomaszu, otwórz pamiętnik na stronie pięćdziesiątej ósmej i odczytaj numer na następnej.

- Pięćdziesiąt dziewięć - przeczytał Bażyński.

-I co w tym dziwnego?

- Weź teraz w palce tę kartę i porównaj z innymi.

Nie tak!

Tożto papier, a nie twoje żelastwo!

Delikatnie, opuszkami palców.

Jejku, nie byłam takapodniecona od czasów, kiedy twój dziadek, a mój brat wciągnął mnie do konspiracji podczas wojny.

Byłam łączniczką i nosiłam meldunki- wyjaśniła nauzytek Niemców.

- No i co?

Wiesz nareszcie, o co chodzi?

- Ta kartka jest jakby grubsza - stwierdził Tomasz.

-Niejakby, tylko na pewno!

- powiedziała Michalina z tryumfem pociągnęła bardzo długi i bardzo zdrowotny łyk brandy.

-To są dwiesklejone kartki.

Aż dziw, że nikt wcześniej na to nie wpadł.

- Ale przecież numeracja się zgadza.

-I treść też, z tego co zdołałam się zorientować.

Jaki stąd wniosek?

- Może skleily się przypadkowo wcześniej albo były sklejone fabrycznie i Helmut tego nie zauważył - podsunął Katz.

-Albo po prostu polepiły się sosem albo budyniem, a Helmutowi szkoda było już zapisanej stronicy i to zignorował - zauważyła Anna Maria.

- Jakoś mi na takiego nie wygląda - skrzywiła się starszuszka i dokończyła kropelek.

- Moim zdaniem zrobiło celowo, żeby ukryć w środku jakąś wiadomość.

- Spróbujmy torozkleić - zaproponowała Anna Maria.

- Najlepiej pod parą.

- To zły pomysł- zaprotestował Katz.

- Atrament możesz rozmyć.

Chyba że ciocia już odczytała, co trzeba?

- Jeszcze nie.

-Więc sami widzicie - Niemiec wzruszył ramionami.

- Musimy poczekać.

- Możemy spróbować jerozciąć - myślała głos Bażyński i zwrócił się do

Katza: - Masz żyletkę?

-Nie używam.

- Jateż nie.

Ale mam bardzo ostrą brzytwę po dziadku, która mi służyła nóż do papieru.

Kiedy Tomasz wrócił z brzytwą, obstawili go dookoła i z napięciem przyglądali, jak usiłował wsunąć ostrze między sklezione kartki.

Wreszcie mu się to udało.

Może po kwadransie z mądrej, benedyktyńskiej roboty rozdzielił jeden narożnik.

- To chyba mąka - powiedział, zeskrobując drobinki i oglądając je z uwagą.

- Albo celowo zrobił z niej klej, albo używał pamiętnika do

112

wałkowania ciasta.

Sami zdecydujcie, co wygląda bardziej prawdopodobne.

Na szczęście kartki były poklejone tylko przy brzegach.

Ale i tak, zanim skończył, poziom kroplinasercowych stopniał do połowy butelki, zaś ogólna zdrowotność znacznie się poprawiła.

Dokładnie wskrobał resztki zaschniętej na kamień mąki i odjął ręce od pamiętnika.

- I co?

I co?

-Michalina wysuwała chudą szyję, kiepsko widząc, bo z emocji zaparowały jej okulary.

-Nic.

- Jak to nic?

-Po prostu nic.

Odsłoniętestronice świeciły absolutną pustką.

Kraków, 30 czerwca2010 (środa - noc)

Tomasz,który cały dzień spędziłna bieganiu po mieście w sprawach związanych z wyjazdem pod Grunwald, skończył sprawdzaćpoczte elektroniczną i sam powysyłał wiadomości do kumpli z Bractwa Rycerskiego.

Do wyjazdu zostało niewiele czasu, a sporo rzeczywymagało jeszcze dogrania.

Nadodatek był bliski utratygiernka,swego byłego ucznia, który w tym roku zdał maturę.

Był przy tymniestetyzapałonym grotolazemi aż się palił skorzystać zniepowtarzalnej okazjiwyjazdu z ekipą speleologów do Meksyku na początkulipca.

Z drugiej strony sześćsetlecie wielkiej bitwy też nie trafiało sięco roku i Tomaszbył wściekły, choć rozumiał, że chłopak miał dylemat.

Jeszcze się wahał i nie odmówił ostatecznie, ale przez niego zapięć dwunasta Bażyńskimógł się obudzić z ręką wnocniku, znaczy - bez giermka.

A w takkrótkim czasie znalezienie innego kandydata"yłoprawieniemożliwe.

Zirytowany, spostrzegłna pulpicie niezidentyfikowany plik i włączył go odruchowo.

Dopiero po chwili przypomniał sobie, że pozwolił Katzowi skorzystać ze swego komputera, a ten widocznie zapomniał skasować plik.

Nie chciał być wścibski, lecz już byłoza późno.

Wciągnęło go.

Był to film video, kręcony głównie na Kazimierzu i Podgórzu.

Dokumentował dosłownie wszystko, co zostało po krakowskich Żydachwiązało się z nimi, aprzy tym czynił to w wysoce profesjonalny

i wręcz artystyczny sposób.

Poruszony, zamknąłplik i wyłączył laptopa.

Wtedy usłyszał jakiś szmer za drzwiami.

Zdrętwiał.

Potemsięgnął na biurko po sztylet, służący mu za nóż do papieru, a raczejzwykłą ozdobę, bo jeśli faktycznie trzeba było coś przeciąć, dziadkowabrzytwa nadawała się lepiej.

Był to ten sam sztylet, októrym w poniedziałek wspominał komisarz.

Zakradł się napalcach iprzyłożył uchodo drzwi.

Nie pomyliłsię.

Schody znów skrzypnęły.

Wziął głębokioddech i jednym szarpnięciem otworzył drzwi, drugą ręką unosząc sztylet do ciosu.

Nocna lampka na biurkunie oświetlała dostatecznie drugiegokątapokoju,dlatego pierwotniewydało mu się, że zobaczył ducha.

Dopieropo chwili rzekomyduch przybrał postać stojącej za progiem staruszkikoszuli nocnej i staroświeckim czepku na głowie,z wytrzeszczonymize strachuoczyma i ustami otwartymi do krzyku, który jednak nie byłw stanie wydobyć się ze ściśniętego gardła.

Wsunął pospiesznie sztyletzapasek i złapał Michalinę akurat w momencie, gdy ugięły się podnogi.

Zataszczył ją na fotel, odłożył sztylet namiejsce, zamknął drzwii dopiero wtedy spytał z wyrzutem:

- Co ciociatu robi?

Jest druga wnocy!

Coś się stało?

- Nic - wyszeptała z trudem.

-Myślałem, że to włamywacz.

Ale mnie ciocia przestraszyła!

- A ty mnie nie?

Zaraz zażyję kropelek, bo serce mało mi nie wyskoczyło z piersi.

Jeśli szybko nie złapią tego mordercy, wykończymy się nerwowo.

- Czemu tłucze się ciocia w nocy po domu niczym marek po piekle?

- Eureka, Tomaszu!

- zawołała podekscytowana Michalina, zupełnie doszedłszy do siebie, i wcisnęła mu w rękę plik kartek.

- Co to jest?

- Resztą tłumaczenia pamiętnika Helmuta von Baysena.

Nie mogłam spać, to przetłumaczyłam.

- I co tam ciocia znalazła?

- Następną wzmiankę o twoim dziadku, ale przy okazji wpadłam na coś.

- Na co?

- Powiem wam przy śniadaniu.

Dobranoc.

- Odprowadzę ciocię.

- Nie trzeba.

Już wszystko w porządku.

- No to dobranoc.

Niech ciocia uważa na schodach.

114

Kręcąc głową, Tomasz rzucił kartki na łóżko i poszedł do łazienki.

Zamiast miłej lektury przed snem, w rodzaju kulinarnych wyczynów hrabiego Draculi albo Hannibala Lectera, znów czekało go spotkanie z

odrażającym Sturmabführerem Helmutem von Baysenem.

Kraków, 16 stycznia 1945 (wtorek)

W siedzibie Sipo na Silesienstrasse od rana wrzało jak wulu.

Poprzedniego dnia wszystkie instytucje otrzymały rozkaz ewakuacji w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Gestapowcy i kripowcy, partyjniacy z SD, mundurowi esesmani z Einsatzgruppen i cywilni pracownicy miotalisę, porządkując dokumenty.

Pakując jedne, paląc drugie, segregując prywatnerzeczy.

Wszystko przeznaczone do zabrania ładowano na podstawione pod Dom Śląski ciężarówki i auta osobowe.

Po sławnym niemieckim porządku nie było śladu.

Nagle na biurku von Baysena zadzwonił telefon.

Esesman podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Herr Sturmbannführer!

- w głosie dyrektora Abba oprócz zdenerwowania brzmiała także satysfakcja naukowca, który rozwiązał trudny problem.

- Mam coś dla pana!

Mój asystent, o którym panu wspominałem, znalazł wczoraj wieczorem w książce Karola Estreichera Kraków, przewodnik dla zwiedzających z 1934 roku, na stronie sześćdziesiątej pierwszej, przy opisie kościoła Świętego Floriana na Kleparzu, następujący passus, cytuję: "W skarbcu szereg cennych aparatów kościelnych, wśród nich relikwiarz krzyżackiego komtura, zdobyty pod Grunwaldem i ofiarowany przez Jagiełłę".

Koniec cytatu.

Czy nadal jest pan tym zainteresowany?

- Już nie.

Ale dziękuję za pamięć.

Heil Hitler!

- Heil Hitler!

- usłyszał w pozbawionej entuzjazmu odpowiedzi.

- Dozobaczenia po ostatecznym zwycięstwie - tym razem w głosie bibliotekarza niewątpliwie dał się słyszeć nieskrywane szyderstwo.

Von Baysen z wściekłością cisnął słuchawkę na widelki.

Zum Teufel!

Akurat teraz!

Dlaczego choćby nie wczoraj?

Wbrew temu, co zasugerował Abbowi, aż trząśł się z emocji.

Nareszcie!

Tyle miesięcy poszukiwań jednak nie poszło na marne!

Jego dedukcja i intuicja okazały się prawidłowe.

Trafił na trop, tyle że za późno.

Zadumał się ponuro, po czym podjął decyzję.

Wstał, zdjął czarnyskórzany płaszcz z wieszaka, narzucił

"

na ramiona, nasadził czapkę i wychodząc przez sekretariat, rzucił doporządkującej szafy z aktami sekretarki, Froulein Enike:

- Wychodzę.

Wrócę za jakieś dwie godziny.

Pierwotnie chciał wziąć służbowy samochód, ale nie mógł znaleźć ani jego, ani kierowcy.

Widać ktoś z wyższego dowództwa zarekwirował auto, chwilowo lub na dobre.

Machnął ręką i wyszedł na ulicę.

Wartownik przy bramie odwrócił się, udając, że go nie widzi.

Co to się ostatnio porobiło!

Gdzie się podziała aryjska dyscyplina?

Na ulicy było jeszcze gorzej.

Niemieckich patroli jak na lekarstwo, a jeśli się zdarzały, to dziwnie potulne i zagubione.

Reichsdeutsche i volksdeutsche o pobladłych twarzach wynosili z domów cenniejszy dobytek, ładując go na czołowe pojazdy iszykując się do ewakuacji.

Rozglądali się przy tym czujnie dookoła i nasłuchiwali przytłumionego głosu wystrzałów armatnich.

Za to autochtoni - przeciwnie.

W spojrzeniach mijanych przechodniów widział jeszcze maskowaną radość i już nieskrywaną nienawiść.

Przeklęci untermenschen! Jeszcze kilka dni temu nie ośmieliliby się spojrzeć mu w twarz, kuliliby się ze strachu, schodzili z drogi albo chowali w szczurze dziury, gdzie ich miejsce.

Czekajcie, łotry!

Posmakujecie jeszcze dobroci waszych sowieckich wyzwolicieli i zatęsknicie do niemieckiego ładu!

A my i tak niedługo wrócimy.

Mimo postępu Armii Czerwonej i taktycznego cofania się armii niemieckiej naz góry

upatrzonepozycje, von Baysenwciąż wierzyłw ostateczne zwycięstwo.

Jego morale było niezachwiane.

Wunderwaffe Fihrera i jego, Helmuta von Baysena, wszechmocna relikwia,zdołają jeszcze diametralnie odmienić obrazwojny.

Pograżony wrozmyślaniach nawet nie zauważył, jak doszedł do Schustergasse1.

Wtem naprzeciwko spostrzegł mężczyznę, który najego widokskrecił gwałtownie Wnajbliższą bramę, aleta okazała się zamknięta.

VonBaysen wydobył z kabury pistolet.

- Haiti Hdnde hoch!

Mężczyzna odwrócił się i uniósł ręce dogóry.

W jego wzroku niebyłostrachu tylko rezygnacja.

Niewątpliwie był to ten sam bandyta, którytowarzyszył Halszce, gdy tamten likwidował dentystę.

Prusak.

On teżmusiałrozpoznać von Baysena, inaczej nie próbowałby zejść muz oczu.

VonBaysen rozważał przez chwilę, czy nie odprowadzić jeńcana AdolfHitler Platz2, gdzie mieściła się siedziba władz Distriktu Krakau3, ale

1 Szewska.

2Rynek.

' W pałacu Pod Baranami

116

odrzucił tę myśl.

O tej porze i tam zapewne przygotowaniado ewakuacjiszły pełną parą i nikt nie miałby głowy do zajmowania się jakimśpodrzednym bandytą.

Jak na złość nigdzie nie było też patrolu.

Esesmankipiał z wściekłości, ale poczucie obowiązku przeważyło.

A poza tym miałwielką ochotęodpłacić temuPolakowi za lanie, jakie mutamten sprawił,istrach, którego gorzki smak von Baysen czuł do tej pory.

Nie mówiąco bolącym zębem, którego od tamtego czasu nie miał okazji wyrwać.

Zastrzelenie Prusaka podczas próby ucieczki nie dałoby mu wystarczającej satysfakcji.
W tej sytuacji relikwiarz musiał jeszcze trochę poczekać.

- Idziemy!

Szybko!

W nieco ponad kwadrans obaj znaleźli się w siedzibie gestapo na Silesienstrasse.

- Inga!

Znajdź Hansa i Jiirgena.

Mają tu przyjść natychmiast!

- polecił sekretarce, wchodząc do swego gabinetu i prowadząc przed sobą jeńca.

Kiedy zostali sami, wyrzucił Polaka w twarz lufą mausera, aż tamten zalał się krwią, zatoczył na biurko, po czym osunął na podłogę, wypluwając po drodze dwazęby.

- Przydałby ci się teraz dentysta, co, polska świnio?

- esesman schował broń, pochylił się i jednym szarpnięciem postawił jeńca do pionu.

- Zanim z tobą skończę, nie będziesz miał ani jednej całej kości.

Żaden nędzny untermensch nie będzie bezkarnie policzkował von Baysena!

Z czego się śmiejesz, gównojadzie!

- Pan naprawdę nazywasie von Baysen?

- odparł Polak doskonałą niemieczyzną, acz trochę niewyraźnie z powodu rozbitych ust.

- W takim razie jesteśmy spokrewnieni.

Nasz wspólny przodek, Jan von Baysen-Bażyński, w 1454 roku w imieniu stanów pruskich poprosił króla polskiego o przyłączenie Prus do Polski.

A pięćset lat później my dwaj, jego potomkowie, stoimy po przeciwnych stronach barykady.

Czy to niezabawny zbieg okoliczności, kuzynie?

Lecz von Baysen nie widział w tym nic zabawnego.

Poczerwieniały natwarzy zaczął gmerać przy kaburze upasa, gdy weszło dwóch gestapowców, za którymi sekretarka Inga cicho zamknęła drzwi.

Kiedy nowo przybyli się meldowali, von Baysen wolno odjął dłoń od kabury.

- Przytrzymajcie go!

- rozkazał.

Fachowo z obu stron pochwycili Bażyńskiego niczymw kleszcze.

Von Baysen zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło, po czym podszedł do więźnia, rozpiął mu na piersiach cienki prochowiec i sięgnąwszy w głąb marynarki, wydobył Ausweis.

117.

- Stefan Bażyński, inżynier - przeczytał na głos.

Upuścił dokument na podłogę, po czym szybko, raz po raz, zadał jeńcowi dwa ciosy w nerki.

Bażyński jęknął.

Von Baysen wymierzył muciosw żołądek z lewej pięści, następnie z prawej poprawiłw podbródek.

Głowa AK-owca odskoczyła jak piłka, alenie stracił przytomności.

Wciążw jego wzroku nie było strachu.

Jedynie pogarda.

- Tyle na temat naszego pokrewieństwa, kuzynie - warknął esesman.

- Jako zadatek.

A teraz.

Wtem drzwi otworzyły się gwałtownie iw drzwiach stanął esesmanw hełmie, na który miał założone motocyklowe gogle.

Za nim widać było sylwetkę przestraszonej Frdulein Emmke.

- Sturmbannfuhrer Helmut von Baysen?

- stwierdził raczej niż spytał, równocześnie wykonując powitalny gest i przepisowo stukając obcasami.

- Obersturmfiihrer Otto von Mayerbach.

Z rozkazu Generalgouverneura mam pana zabrać na Wawel.

Niezwłocznie.

- Aleja.

- Niezwłocznie.

Oddałem pańskiej sekretarce stosowne pismo.

Czekam na pana przed budynkiem.

Wyrzucił dłoń naprzód, wrzasnął: Heil Hitler!

trzasnął obcasami, obrócił się na pięcie i wyszedł.

- Zabierzcie go na dół - polecił von Baysen dwóm gestapowcom, wskazując Bażyńskiego.

-Co z nim zrobić?

- Zastrzelić.

Niestety, na nic innego nie ma już czasu.

Zostawszy sam, podszedł do sejfu wściana i do wyjętej z szafy podręcznej walizki zaczął przekładać najcenniejszą zdobycz, jaką udało mu się zgromadzić podczas krótkiego pobytu w Krakowie (poprzednie trofea, w tym kilka pięknych futer i cenna kolekcję znaczków, sukcesywnie odsyłał żonie Elzie do Berlina): woreczek złotych zębów, mniejszy drogich kamieni i największy, zawierający złote precjoza i monety oraz nieduży, ale bezcenny szkic Furera.

Większość była żydowska, zagrabiona ofiarom obozu koncentracyjnego w Płaszowie, sprowadzanych tam z getta w Podgórzu przed wysłaniem ich do Auschwitz lub zamordowaniem na miejscu.

Ale nie tylko.

Sporą część stanowiły łapówki od zrozpaczonych krewnych Polaków aresztowanych przez gestapo i przetrzymywanych przy Silesienstrasse lub w więzieniu na Montelupich.

Von Baysen nigdy nie odmówił wzięcia łapówki, lecz nikogo nie uwolnił.

Miał swoje zasady.

I cel, którym było odbudowanie znaczenia starego, ale ostatnio mocno podupadłego rodu von Baysenów.

Nawet jeśli jemu to się nie uda, uczyni to jego syn Ernest.

Będzie miałna trochę środków.

Zamknął walizkę, włożył płaszcz i nie żegnając się z sekretarką, wkładającą właśnie do pieca kolejną stertę dokumentów, opuścił gabinet.

Na korytarzu usłyszał jakieś krzyki i serię z automatu, a na pierwszym piętrze, przy wybitym oknie, zobaczył grupę ciekawskich, otaczających

jego dwóch podwładnych: Jiirgena z niewyraźną miną i Hansa z rozbitym nosem.

Przepchnął się do nich.

- Co się stało?

-Więzień uciekł, Hen Sturmbannfuhrer - powiedział zmieszany Jiirgen, unikając wzroku przełożonego.

- Nogi się podnim uginały, ledwie się włożył, trzeba go było podtrzymywać, aż tu na półpiętrze zaprawił Hansa bykiem w gębę, mnie, za przeproszeniem, kopnął w jajai rzucił się łbem naprzód do okna.

Puściłem za nim serię w powietrze, bo na dole było pełno naszych i nie chciałem przypadkiem kogoś trafić, ale wszystkim się wymknął i przepadł w parku.

Z całym szacunkiem,

Herr Sturmbannfuhrer, lecz już dawno meldowałem, że krata w tym oknie jest obłuzowana i.

Von Baysen nie słuchał dłużej.

Obrócił się na pięcie i odszedł.

Miał większe martwienie.

Co powie Generalgouverneur, kiedy się dowie, że von Baysen nie odnalazł relikwiarza-pekorału będącego kluczem do

odnalezienia cudownej relikwii.

A tyle obaj pokładali w tym nadziei.

A co gorsza, zawiódł samego Fihrera.

-Głowa do góry, Herr Sturmbannfuhrer - generalny gubernator Hans Frank poklepał pocieszająco esesmana po ramieniu, gdy następnego dnia o czternastej wsiadali razem do mercedesa, by opuścić Kraków w jedynym jeszcze możliwym kierunku ucieczki: na Śląsk.

- To miasto

musi być niemieckie.

Niedługo tu wrócimy.

I wtedy dokończy pan swoje poszukiwania.

Kraków, 30 czerwca 2010 (środa)

- Te sklezione kartki wcale nie były puste!

- wypaliła Michalina przy śniadaniu.

, - Oczywiście - zgodził się z nią Tomasz, wbijając zęby w chrupiącą bułkę.

- Co też te komputery robią ludziom z oczami.

Co tam zresztą.

my, młodzi.

Pamiętam, jak niedawno pewien nasz wybitny mąż stanu, waląc wiaderkiem w głowę swego przeciwnika, który sychnął mu piaskiemza kołnierz, wołał na całą piaskownicę:

"Nikt nam nie wmówi, że białe jest białe!

".

- Nie kpij sobie ze mnie, Tomaszu.

Chodziło mi o atrament sympatyczny.

- Ha!

- zabulgotał Katz, krztusząc się przetykanym kęsem.

- To możliwe - zgodziła się Anna Maria.

- Gdzieś o tym czytałam.

Z czego się robiło taki niewidzialny atrament?

-Z octu- powiedziała Michalina.

-Przypomniałam sobie, jak w szkole pisywałyśmy z koleżankami całe sekretne listy.

- Albo z soku cytrynowego - uzupełnił Tomasz.

-Jak to się odczytuje?

- spytała Anna Maria.

- Trzeba podgrzać papier - wyjaśnił Bażyński.

Mimo woli udzieliło im się podekscytowanie staruszki i uwinęli się z posiłkiem błyskawicznie.

Potem Tomasz przyniósł z kredensu srebrny świecznik, zapalił świece i uroczysto postawił lichtarz na środku stołu.

- Tylko ostrożnie - przypomniała mu ciotka, kiedy brał do ręki otwarty pamiętnik.

-Postaram się.

Potrwało chwilę, nim wyregulował odległość.

W lewej ręce trzymając pamiętnik, w drugiej kartkę z jedną pustą stroną, wodził nią nadpłomieniem okrągłymi ruchami.

Kiedy skończył, mało mu nie wyrwał pamiętnika z rąk.

- A nie mówiłam!

- krzyknęła tryumfalnie Michalina.

Środkiem strony, z góry na dół, biegł rząd brązowych liter.

Jedne uwidoczniły się wyraźnie, inne były blade i prawie nieczytelne.

El.vBt.

Br.Gl.

vSd.Lc.

vLt.Rs.

vMh.Nd.

vOs.

120

PH.V

Jh.Rn.

vOr.

An.vSs.

Mr.y

Bg.

St.v

- Co to może być?

- Michalina wyraziła ogólne zaniepokojenie.

- Licho wie - odparł Tomasz.

- Można drugie stronie znajdziemy jakieś wskazówki.

Ale podgrzanie drugiej kartki przyniosło jedynie kolejny ciąg liter:

Chr.Gb.

vGr.vSch.

Pp.En.

PM.V

Rh.

Kg.Sh.

v1h.vBw.

Mw.vSw.

Dr.vTch.

vSn.Lp.

Sl.vLb.

- Ktoś ma jakiś pomysł?

- spytał Tomasz, zdmuchując świece.

Nikt się nie zgłosił.

- Na każdej stronie jest równo po dwadzieścia zapisków - zauważyła Michalina po przerwie.

- Może to ma jakieś znaczenie?

Tomasz bezradnie wzruszył ramionami.

- Skoro idziemy tym tropem, to na pierwszej stronie jest pięćdziesiąt znaków, a na drugiej pięćdziesiąt dwa wtrącił Katz.

- I co z tego wynika?

121.

- To robota dla jakiegoś kryptologa - powiedziała Anna Maria.

Dziennikarz był innego zdania.

- Nic nie wskazuje nato, by Helmut znał się na szyfrach.

To nie może być bardzo skomplikowane, trzeba jedynie znaleźć klucz.

- To cinowina!

- prychnęła Anna Maria.

- Jesteś dzisiaj w formie.

- Spokojnie - łagodził Tomasz.

- Skoro Helmut zadał sobie trochę trudu, by ukryć ten zapis, musi on być dość istotny.

Z drugiej strony ukrycie nie było specjalnie wymyślne.

- Ale jakoś nikt wcześniej na to nie wpadł.

A mieli to w rękach Ruscy, NRD-owcy, profesor von Baysen i Bóg wie kto jeszcze - przypominał o swoich zasługach Michalina.

- Nikt cioci nie odbiera laurów - ugłaskał staruszkę Bażyński.

- Chodzi mi jedynie o to, że Adam ma rację.

To jakiś zapis pomocniczy, ważny, ale w sumie raz na tyle, żeby go tylko zgrubsza zakamuflować.

Zobaczycie, że rozwiązanie będzie proste, kiedy już na nie wpadniemy.

- Chciałeś chyba powiedzieć: jeśli - wtrąciła Anna Maria.

- Mnie to się wcale nie wydaje takie proste.

Próbowałam poskładać z tych liter jakieś wyrazy, ale nie układają się w żaden logiczny ciąg.

- Może trzeba spróbować z przeskokiem albo od tyłu.

- myślał na głos Katz.

- A mnie się zdaje, że to mogą być nazwiska - powiedziała Michalina.

- Ciekawa hipoteza.

Dlaczego ciocia tak sądzi?

- spytał Tomasz.

- Z powodu tego "v" jak "von" dopisanego tu i tam, ale bez

wyraźnego porządku.

- Napierwszej stronie "v" występuje dość regularnie.

- Ale nie idealnie.

A na drugiej stronie już zupełnie nie.

Myślę, że to mogą być nazwiska osób, które Helmut zatrudnił do poszukiwania skarbu na terenie Prus Wschodnich.

Znając go, niewykluczone że przewidywałich likwidację.

- To możliwe - potaknął Katz.

- Może nawet niektórych zdażył zlikwidować.

Wtedy "v" nie znaczyłoby "von", tylko od fajkowanej pozycją liście.

- Jak na fajkę, "v" jest zbyt równe - zaprotestowała Anna Maria.

- Gdybyś rzuciła okiem na pamiętnik, zobaczyłabyś, że Helmut pisał wyjątkowo starannie.

Wszystkie litery stoją równo jak wojsko na paradzie.

To był prawdziwy niemiecki pedant - zauważył Tomasz.

122

- I kto to mówi!

- parsknęła drwiąco Michalina.

- Ja tylko lubię porządek - obruszył się Bażyński.

- Co w tym złego?

A pisze jak kura pazurem.

- Dobra.

Zostawmy to na razie.

Pozwolisz, że to sobie przepiszę.

Można coś wpadnę - łagodził Katz.

- Zrób cztery kopie.

Niech każdy pogłównuje - zaproponowała

Anna Maria.

- Okay.

- W takim razie zostawmy to na razie, a zajmijmy się czymś innym - powiedział

Tomasz, z tylnej kieszeni spodni wyjmując złożone kartki.

'Pozwolicie, że zapoznam was z ostatnim fragmentem pamiętnika.

W miarę dokładnie streścił im tekst.

-I co wy na to?

- A więc Helmut jednak w końcu trafił na ślad.

No, no - Katz potarł nasadę nosa.

- Ale miał pecha - dodał Tomasz.

- Można rzec, że padł usamej mety.

- Dzięki twojemu dziadkowi - powiedziała z dumą Michalina.

- Opowiadałam wam, że mój brat Stefan nosił okupacyjny pseudonim Prusak?

Był prawą ręką sławnego porucznika Halszki.

- Jest jednak na świecie jakaś sprawiedliwość - stwierdziła Anna Maria.

- Wyobrażam sobie, jak Helmut musiał cierpieć, będąc tak blisko celu, który oddalił musieć bezpowrotnie.

Przypomnij, Tomaszu, co odkrył asystent doktora Abba.

Bażyński odszukał wspomniany fragment i przeczytał nagłos:

- "..

w książce Karola Estreichera Kraków, przewodnik dla zwiedzających z 1934 roku, na stronie sześćdziesiątej pierwszej, przy opisie kościoła Świętego Floriana na Kleparzu, następujący passus, cytuję: W skarbcu szereg cennych aparatów kościelnych, wśród nich relikwiarz krzyżackiego

komtura, zdobyty pod Grunwaldem i ofiarowany przez Jagiełłę.

Konieccytatu".

Odłożył kartkę i dodał:

- Mamy tę książkę w domowej bibliotece.

Sprawdziłem.

Wszystko się zgadza.

- To znaczy, że w kościele Świętego Floriana naprawdę znajduje się krzyżacki relikwiarz?

- tym razem Anna Maria poraz pierwszy wyglądała na naprawdę podekscytowaną.

Nie podniecaj się tak- zgasił ją dziennikarz.

- Nie wiadomo, czy to ten von Tettingena.

123.

- Ja tam wcale nie słyszałam o żadnym grunwaldzkim relikwiarzu Świętego Floriana - wtrąciła Michalina.

- Amieszkam w Krakowie już prawie od wieku.

- Bo na co dzień znajdujesię w skarbcu i jest eksponowany bardzo rzadko - wyjaśnił Tomasz.

- Widziałeś go?

- Owszem.

Zupełnie niedawno, podczas Nocy Kościołów.

I muszę was rozczarować.

Relikwiarz jest, jeśli dobrze pamiętam, datowany na 1365 rok.

I należał do komtura, który nazywał się Heinrich von Bode, a nie Werner von Tettingen.

- Szkoda - westchnęła Michalina.

- Bo już myślałam, że naprawdę mamy coś konkretnego.

Wiecie, co wam powiem?

Szukanie skarbów wciąga jak chodzenie po bagnie!

- Powiedziałaś: von Bode?

- w głosie Anny Marii brzmiało napięcie.

- Tak.

Słyszałaś już gdzieś to nazwisko?

- zdziwił się Tomasz.

- Nie.

Może.

Nie wiem.

Tomaszu, koniecznie muszę zobaczyć ten relikwiarz.

Możesz to załatwić?

Patrzyła tak błagalnie, że nie miał wyjścia.

- No dobrze, mogę zadzwonić do proboszcza.

Historycy sztuki mają pewne przywileje.

Kiedy chciałybyście tam wybrać?

- Najlepiej zaraz.

-Wątpię, żeby poszłotak gładko, ale spróbuję.

Wykonałem kiedyś dla proboszczapewną ekspertyzę.

Mam nadzieję, że mnie jeszcze pamięta.

Przeprosił ichi wyszedł zadzwonić.

- I co?

- spytała Anna Maria bez tchu, gdy wrócił po paru minutach.

- Nikt nie odbiera telefonu.

Ostatecznie są wakacje, a księża to też ludzie.

- Pojedźmy tam, proszę.

A nuż się uda.

- Skoro sobie tego życzysz.

Rzuciłamu się na szyję i wyściskała tak, że aż się zarumienił.

Michalinie to się wyraźnie spodobało, natomiast z miny Katza trudno byłocokolwiek wyczytać.

W każdym razie, gdy Tomaszubierał się w sieni czekał na dziewczynę, zjawiała się razem z dziennikarzem.

- Porobię zdjęcia- powiedział, widząc niezbyt zachęcający wyraz twarzy

Bażyńskiego.

-Nie wiem, czy dostaniesz zgodę.

124

Nie zostanę w domu sama -oznajmiła stanowczo Michalina.

- Ciągle mam wrażenie, że z jakiegoś kąta wyskoczy na mnie bandyta.

Jadę z wami.

Nie przesadzaj, ciociu.

W dzień nic ci nie grozi.

Miej trochę zaufania do policji.

Zrób sobie coś wymyślnego na obiad, to cię zajmie.

My zjemy na mieście.

Poza tym musimy się rozdzielić.

To utrudni śledzenie naszemu prześladowcy

Zrobimy tak - zaproponował Katz - ty pojedziesz samochodem, ja z Anną Marią tramwajem.

Tylko zachowuj się naturalnie.

Dopóki wróg myśli, że nic nie podejrzewamy, jest pewny siebie i łatwiej popełni błąd.

- Dobrze - zgodził się Tomasz.

- Przy okazji przetestuję dżipa.

Punktualnie w południe spotkamy się pod plebanią za kościołem.

Poszli do garażu.

Tomasz wyjął z samochodowego schowka plan miasta i pokazał im lokalizację kościoła Świętego Floriana.

Katz otworzył mu bramę.

Przepychając się Alejami, jak zwykle o tej porze niemożliwie zatłoczonymi, chociaż nie była to wcale godzina szczytu, Tomasz po raz pierwszy się nie nudził.

Jechał jak wariat i zdawał sobie sprawę, że dla innych uczestników ruchu drogowego jest nim z pewnością.

Nikt normalny nie jeździłby autem, które rzucało się w oczy tym więcej tak, jak nagi Murzyn nabiegunie.

Ryzykując stłuczkę, ignorując wściekłe trąbienia klaksonów i groźne miny kierowców (coo nim myśleli, mógł bez trudu wyczytać z ruchu warg), wpychał się nagle z jednego pasa na drugi, obserwując przy tym lusterko wsteczne i zostawiając innym troskę o uniknięcie kolizji.

Ale nie zauważył, by któryś kierowca naśladował jego manewry.

Żaden samochód nie przykleił mu się do tyłka.

Albo nie miał ogona, albo ten, który go śledził, naprawdę znalazł się na rzeczy.

Albo po prostu Tomasz nie nadawał się nadetektywa i przydałby się fachowiec.

Przy okazji postanowił poruszyć sprawę z Jareckim.

Miał sporo szczęścia, znalazłszy miejsce do zaparkowania przy placu Matejki.

Jak zwykle widok osobliwie pomalowanego dżipa przyciągnął gromadkę gapiów, którzy patrzyli na niego dziwnie, gdy wysiadał z auta.

Nie przejął się tym.

Był przyzwyczajony.

Obojętnie minął bazylikę Świętego Floriana i podążył do Galerii Krakowskiej, gdyż uznał, że w tym gigantycznym centrum handlowym, którego zresztą nie znosił, najłatwiej zgubić ogon.

Dotarłszy do galerii, przepychał się między zagonionymi ludźmi w różnym wieku i obojga płci, z obłędem w oczach szukającymi jedynej i неповtarzalnej okazji, by, jak się wyraził pewien

kabareciarz, za pół ceny kupić coś, czego normalnie nie wzięliby zadarmo.

Sam też wchodził do przeszklonych sklepów i udając zainteresowanie towarem, dyskretnie obserwował zatłoczone korytarze.

Tak rozległe, że można by na nich, bez specjalnego utrudnienia komunikacji, rozegrać symultanicznie turniej halowej piłki nożnej.

Ale nie dostrzegł niczego podejrzanego.

Ściągnął za to na siebie kilka nieufnych spojrzeń obsługi i klientów, których zdziwił widok samotnego faceta żywo zainteresowanego damską bielizną.

Zerknął na zegarek i opuścił galerię wyjściem przez perony.

Zatoczył koło i wszedł na teren kościoła boczną furką w okalającym bazylikę murze.

Anna Maria czekała już obok plebanii pod tablicą upamiętniającą Jana Pawła II, który przez kilka lat był wikariuszem w kościele Świętego Floriana, mającym status akademickiego.

Minął dziewczynę obojętnie, okrążył kościół, wyszedł przez główną bramę i wrócił do bocznej, napotykając nadchodzącego właśnie Katza.

- I co?

- spytał Niemiec.

- Nic.

A u was?

- Też nic.

Ale to o niczym nie świadczy, jeśli mamy do czynienia z prawdziwym fachowcem.

Przez domofon dowiedzieli się od dyżurującego księdza, że proboszcz wyjechał służbowo na kilka dni, a nikt inny nie jest upoważniony do otwierania skarbcza.

Mimoto Katz miał ochotę obejrzeć bazylikę.

Kościół był prawie pusty, nie licząc kilku zatopionych w modlitwie staruszek.

Nawę od prezbiterium oddzielał sznur, ale Bażyński zauważył otwarte drzwi do zakrystii, odpiął przegrodę i skinął na Niemców, by poszli z nim.

W zakrystii urzędowała starsza zakonnica, przekładając jakieś drukarki robiąc zapiski na kartce papieru.

- Niech będzie pochwalony - powitał ją Tomasz.

- Przeprowadziłem turystów z Niemiec, siostrze.

Bardzo im się podoba bazylika, jednak chcieliby obejrzeć relikwiarz grunwaldzki.

- To najcenniejsza rzecz w naszej świątyni - powiedziała dumą.

- Ale bez zgody proboszcza nie można wchodzić do skarbcza.

Przykro mi.

Dodam tylko, że mamy również relikwie świętych Floriana i Walentego.

Na walentynki kościół przeżywa istne obłędemłodzieży.

Szkoda, że w inne dni znacznie mniejsze.

Ale cóż, takie czasy.

- Nie ma co narzekać, siostrze - pocieszył ją Tomasz po polsku.

- W Niemczech ludzie chodzą do kościoła najczęściej w środy i soboty, przed losowaniem totolotki.

A w niedzielę tylko co dziesiąty katolik fatyguje się

126

na mszę.

Czy tam jest skarbiec?

- wskazał drzwi po lewej stronie wejścia

do zakrystii

- Tak.

- Przydałoby się lepsze zabezpieczenie.

- Ee, u nas jeszcze nie było włamania.

Poza tym najcenniejsze rzeczy

i taksą w sejfie.

- Mimo wszystko lepiej nie kusić losu.

Zwłaszcza że pewnie sejf jest starego typu?

- Chyba tak.

Nie znam się na tym.

Przed opuszczeniem świątyni zostawili siostrzyczce suty datek i w nienajlepszych humorach poszli na obiad do restauracji przy placu Matejki.

- Koniec zwiedzania, zarazamy kościół - siostra zakonna³ przerwała rozmowę z jakąś babiną, surowo spoglądając na przybysza, który wtargnął do zakrystii.

- Ja.

Widziałem, jak niedawno wychodził stąd trzy turysty, i myślałem.

- Aa, cudzoziemiec?

- siostra domyśliła się po akcentach, że brodatnie był rodakiem, chociaż po polsku mówił zupełnie zrozumiale.

Niemiec

zresztą celowo trochę kaleczył język, którym posługiwał się już niemal z dawną wprawą.

- Ja, znaczy tak.

Z Holland.

Dobry katolik.

By chciałem zwiedzić kościół.

Jak tamte.

- Tamci chcieli, żeby pokazać im skarbiec i słynny relikwiarz grunwaldzki. Wszyscy nic, ino by chcieli go oglądać, jakbyśmy w bazylicy mieli cennych zabytków.

- A czy ja.

- To niemożliwe bez zgody księdza proboszcza - zakonnica pokręciła stanowczo głową.

- To samo powiedziałam tamtym.

Niech pan sobie zwiedzić kościół.

Jest bardzo stary.

Z XII wieku.

Kiedy papież Lucjusz III zszedł do katakumb rzymskich i spytał, który ze spoczywających tam świętych chciałby pojechać do Polski, święty Florian sam się zgłosił.

A potem, kiedy chciano szczątki powieźć na Wawel, tak zaciął tyły, że ich końmi nie

poradzono ruszyć z tego miejsca - tupnęła nogą

Wg Arkadiusz Stępień, Niemca portret własny, "Dziennik Polski" z03.
07.2009.

127.

w posadzkę.

- I trzeba było postawić kościół.

Może pan sobie o wszystkim poczytać za jedyne siedem złotych.

Jeśli znajdę.

Przekopała stosik leżących na stoliku świętych obrazków i religijnych czasopism i wyciągnęła spod nich nieduży przewodnik'.

- O, na szczęście jeden się ostał.

- A ten relikwiarz też tam znajdę?

- Jakżeby nie.

Wszystko jest akuratnie opisane.

Zapłacił banknotem dziesięciozłotowym, odebrał resztę i na odchodnym przypomniał sobie właściwą formułkę:

- Bóg zapłać, siostrze.

Z nostalgią wspominał szkolenia odbyte przed ćwierćwieczem, kiedy towarzysze niemieccy byli gotowi udzielić polskim komunistom bratniej pomocy w rozprawieniu się z solidarnościową opozycją.

Chodziło zwłaszcza o kielznanie Kościoła i niepokornych księży.

Niestety, polscy towarzysze odrzucili bratnią pomoc, a potem skompromitowali się sprawą Popiełuszki.

Gdyby to jemu powierzono to zadanie, nie zbłądziłby się jak ten dureń Piotrowski.

Kłoss był naprawdę dobry, ale ogólnie rzecz biorąc, polska SB znacznie ustępowała sprawnością niemieckiej Stasi.

Z drugiej strony trzeba przyznać, że Niemcy są o wiele bardziej zdyscyplinowani niż Polacy i łatwiej nimi kierować.

Rządzili naziści, społeczeństwo o chętnie im się podporządkowało.

Rządzili komuniści, obywatele współpracowali aż miło.

A Polakom zawsze się coś nie podobało.

Możenie większości, ale całkiem sporej bandzie malkontentów i wichrzycieli, złośliwie wtykających kije wszprychy koła historii.

Westchnął.

Mimowszystko były to piękne czasy.

Aż żał, że nie wrócą.

- Az Bogiem, z Bogiem, dobryczłowieku -pożegnała go zakonnica.

Uśmiechnął się miło w odpowiedzi, myśląc, że chętnie skreśliłby jej kark.

Ledwo wyszedł przed bazylikę, niecierpliwie otworzył książeczkę i zaraz na czwartej stronie znalazł fotografię relikwiarza.

- Bingo - powiedział.

- Mam cię!

Wracając do domu, Tomasz zajrzał do skrzynki pocztowej.

Pośród reklamowego śmietnika znajdował się jeden list.

Był krótki.

Bazyńskizdażył go przeczytać jeszcze w przedpokoju.

Niemcy poszli do swoich

' Chodzi o: Michał Rożek, Bazylika św.

Floriana w Krakowie, Kraków 2004.

128

pokojów.

Kroki na schodach musiały obudzić z drzemki Michalinę, bo wystawiła głowę zza drzwi.

Z pokoju dochodziły odgłosy dramatycznego dialogu.

"Czy ty mnie kochasz, czy już nie kochasz?"

", pytał z żarem głos żeński, "Kocham", odpowiadał bez żaru głos męski.

"Tylko tak mówisz, a naprawdę kochasz Jolkę".

"Nie kocham Jolki, kocham ciebie".

"Jak bardzo mnie kochasz?"

". "Bardzo cię kocham, zadowolona?"

". "Jakbyś mnie bardziej kochał, nie spotykałbyś się z Jolką".

"Jolka dla mnie nic nie znaczy, kocham tylko ciebie".

"Kochasz ją, wiem to od Stefy, która jest zazdrosna, bo się w tobie kocha".

"Nie kocham Jolki, ile razy mam ci powtarzać!

? Stefy teżnie kocham i mało mnie obchodzi, czy ona mnie kocha, czy.

"

- Jak było?

-Marnie.

Chyba nikt nasnie śledził, ale z oglądania relikwiarza wyszły nici.

Proboszcz wróci dopiero zakilka dni, a my nie mamy tyle czasu.

Trzeba znaleźć inny sposób.

Umówiliśmy sięwieczorem w bibliotece,żebyo tym pogadać.

A ty znów oglądasz jakiś serial.

- Niejakiś, tylko kultowy.

Wszyscy googładają, więc i ja muszę, boniemiałabym o czym rozmawiać ze znajomymi.

Poza tym liga w lipcuniegra, to co mam oglądać?

A zresztą to już nie ta Wiselka, co z przełomu latczterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego stulecia: z Kohutem,Graczem i tym małym zwinnym Jaskowskim,który z Legią na wyjeździeustrzelił hat-tricka.

-rozmarzyła się.

- Co tam masz?

-pokazała list,któryTomasz wciążtrzymał w ręku.

- List od stryja Jakuba.

Jest w szpitalu.

Ma raka.

Wie, że jak co rokuwybieram się pod Grunwald.

Prosi, bym przy okazji zaglądnął doWarszawy i go odwiedził.

Chce mi coś ważnego powiedzieć.

- Spotkasz się z nim?

-Chyba tak.

Ostatecznie jest moim chrzestnym.

Jakub, młodszy brat Jerzego, był nie tylko chrzestnym Tomasza, aleiojczymem.

Ożenił się z jego matką rok po śmierci swego brata.

Michalina nigdy tego obojgu nie wybaczyła.

Kiedy Tomasz dorósł, zrozumiał, że podejrzewała, iż był kochankami jeszcze za życia Jerzego.

Pamiętał dziką awanturę, która zakończyła się przeprowadzką matki i stryja do Warszawy.

Przez ścianę nie słyszał dobrze, o co chodziło, a podsłuchiwać pod drzwiami się nie odważył.

Lubił Jakuba, który jak mógł starał się zastąpić mu ojca, jako naukowiec historyk zaszczerpił mu zainteresowanie tym przedmiotem, ale rozstania, nawet z matką, która strasznie płakała, nie przeżył tak boleśnie, jak można było oczekiwać.

Nawet sam się temu dziwił.

Może podświadomie także miał żal do matki i stryja.

Odwiedził

ich w Warszawie tylko dwa razy i nigdy nie poruszali bolesnego tematu.

Od śmierci matki nie spotkał się ze stryjem.

Bez konkretnego powodu.

Po prostu tak wyszło.

- Zrobisz, jak zechcesz - wzruszyła ramionami.

- Powiesz mi w końcu, dlaczego tak go nienawidzisz?

- Mam swoje powody.

Zniknęła za drzwiami, jakby w obawie, że zechce ją dalej wypytywać.

Do biblioteki też nieprzyszła.

Kiedy Niemcy rozsiedli się wygodnie w fotelach, Tomasz położył przed nimi dwutomowy katalog z jubileuszowej wystawy "Skarby Archidiecezji Krakowskiej", zatytułowany Wawel w 2001.

- Co to ma być?

- spytała Anna Maria.

- Tu mamy opis i zdjęcie relikwiarza grunwaldzkiego z kościoła Świętego Floriana.

Nie udało nam się obejrzeć go na żywo, lecz lepsze to niż nic.

Otworzył tom z ilustracjami i odszukał właściwą fotografię.

Pochylili się nad kartą.

Relikwiarz miał kształt wieżyczki, czy też miniaturowej baszty zrobionej z przezroczystego cylindra nakrytego stożkowym złotym daszkiem podpartym na trzech złotych skarpach osłaniających pojemnik.

Daszek wygrawerowano w drobne łuski imitujące dachówki.

Na szczycie zamocowano kwiaton w postaci żółdzia ujętego w dębowliscie.

Od dna pojemnika odchodził trzon, a całość stała na podstawie w formie trójliścia, wokół której biegł łaciński napis.

- Anno domini m.

ccc.

sexagesimo v.

comparata est monstrancia Ula perdominum henricum de bodę commendatorem in schonsee - powiedział Tomasz.

- To znaczy, że fundatorem relikwiarza był w 1365 roku Henryk von Bode, komtur Schonsee, czyli Kowalewa Pomorskiego.

Jak wynika z opisu, relikwiarz zdobyto pod Grunwaldem, a podarował go kościołowi król Jagiełło, być może za pośrednictwem przyszłego biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego, który jako młody sekretarz królewski uczestniczył w bitwie grunwaldzkiej.

- A co znaczy ten napis za szkłem?

- Katz wskazał zapisane paski papieru albo pergaminu wewnątrz cylindra, obiegające czerwoną materią wypełniającą pojemnik.

- To nie szkło, tylko cienko wydrążony kryształ górski - sprostował Bażyński.

- W średniowieczu nie umiano jeszcze wykonywać tak czystego szkła, bez bąbelków powietrza.

Niestety, napis nie sposób odczytać' Kraków 2000.

130

fo minuskuła i w dodatku bardzo zniszczona.

Nawet dobrze zachowana jest trudna do odczytania.

Wygląda jak ciąg podobnych do siebie, zagęszczonych kresek.

Wiadomo tylko, że napis musi zawierać informację, czyje to relikwie.

Aby go odczytać, trzeba by rozebrać relikwiarz, a i tak nie ma gwarancji.

Byłaby to daremna profanacja.

- A gdyby powiększyć fotografię?

- Można spróbować.

Tomasz wyjął z szuflady biurka lupę i pochylił się nad kartą.

Anna Maria zaglądała mu przez ramię.

Może po dziesięciu minutach odłożył lupę.

- To na nic.

Światło lampy błyskowej odbiło się od kryształu.

A i bez tego tekst jest wystarczająco niewyraźny.

- Nic nie potrafisz odczytać?

- spytała rozczarowana.

- Tyle co nic.

Za dużo tu ubytków.

Tekst był prawie siedemset lat wystawiony na działanie światła, które go nie oszczędziło.

Miejscami wyblakł, miejscami zanikł zupełnie.

I jeszcze te refleksy.

To na nic - powtórzył zniechęcony i odłożył lupę.

Dziewczyna wybuchnęła:

- Zresztą to bez znaczenia.

Niby wszystko się zgadza, ale tonie może być ten relikwiarz!

- Dlaczego?

- spytał Tomasz.

- I co niby się zgadza?

- Przypomina monstrancję albo kielich mszalny, a pectoral noszona na piersi!

- Wiedziałem, że będziesz rozczarowana.

Dlatego woląłem, byś zobaczyła na własne oczy, chociaż od razu mogłem wam pokazać tę fotografię.

Ale głowa do góry.

Myślę, że cylinder został dolutowany do trzonu później, może za sprawą Zbigniewa Oleśnickiego.

Młody wówczas przyszły biskup krakowski brał udział w bitwie grunwaldzkiej i dopuścił się nierycerskiego czynu, haniebnie atakując przeciwnika od tyłu.

Najpierw więc papież musiał Oleśnickiemu udzielić dyspensy za złamanie reguły rycerskiej.

Może w ramach pokuty Oleśnicki ufundował relikwiarzowi nową, cenniejszą oprawę?

- A napis na podstawie?

- wtrącił przytomnie Katz.

Mógł być pierwotnie na spodzie cylindra i został po prostu powtórzony na stopie

rozbudowanego relikwiarza.

Zatem wracamy do napisu za szkłem czy kryształem.

Jak myślisz,

gdybyśmy dysponowali dobrymi ujęciami i spróbowali je poddać komputerowej obróbce, czy to bypomogło?

131.

Tomasz potarł nos.

- Chyba jeszcze nikt tego nie próbował. To najlepsze zdjęcie tego relikwiarza, jakie znam. Gdybyśmy mieli jeszcze lepsze, kto wie...

- Co tam macie ciekawego? - spytała Michalina, wchodząc do biblioteki.

Tomasz pokazał jej zdjęcie relikwiarza.

- Co to jest?

- Relikwiarz z kościoła Świętego Floriana.

- Wygląda zupełnie jak nasz klejnot rodowy.

- O czym ty mówisz, ciociu?

- O tym relikwiarzu, a o czym? Mamy coś podobnego, tylko bez tego - I nachyliła się nad fotografią i kantem dłoni odcięła puszkę od trzonu.

Niemcy spojrzeli po sobie z napięciem. Oczy im błyszczały. Tymczasem osłupiały

Tomasz dociekał:

- Jak to się stało, że nic o tym nie wiedziałem?

- Bo ostatni raz był używany przed wojną przez twego pradziadka, który nosił go na piersi podczas uroczystych przemarszów bractwa kurkowego na świętego Stanisława i w Boże Ciało.

- Naprawdę masz go jeszcze?

- Oczywiście. Właściwie teraz to twój klejnot. Od niepamiętnych czasów przechodził w rodzinie z ojca na syna, choć należał do kobiet.

- To dlaczego nosił go pradziadek?

- A która kobieta nosiłaby coś takiego? I do czego? W sam raz za to pasował do szlacheckiego kontusza.

- Więc dlaczego należał do kobiet?

- Bo w pradawnych czasach podarował go którejś Baysenównie rycerz na białym koniu. To taka stara legenda. Opowiadała mi ją prababcia, kiedy miałam z sześć albo najwyżej osiem lat. Już prawie nic nie pamiętam. Ale ponoć gdzieś pod koniec xviii wieku Anastazja von Baysen- Bażyńska, notabene przyjaciółka księżnej Izabeli Czartoryskiej, idąc z duchem czasów, spisała tę legendę w konwencji romansu...

- Mamy to?

- Nie uchowało się. Nawet nie zdążyłam tego przeczytać. Musiało się zawieruszyć podczas wojny albo zaraz potem.

- Ale klejnot na pewno jest? Staruszka uśmiechnęła się.

- Nie bój się. Jest. Kiedy po wojnie ubecy przyszedli aresztować twego dziadka, a przy okazji rekwirowali, co się dało, schowałam go w brzuchu największej lalki. Do dziś tam siedzi. Już po nią idę. A ty możesz przynieść resztę kropelek na serce. Przydadzą się.

Poszła do sypialni i za chwilę wróciła z ubraną w staroświecką sukienkę z aksamitu wielką, ohydłą plastikową lalką bez szyi, za to z dużą głową na pękatym korpusie. Brązowa farba z wytłoczonych włosów częściowo oblaźła, podobnie jak niebieska z jednego oka, przez co koszmarek żywo przypominał pana Zagłobę w fazie noworodka, ale już z bielmem na oku. Tomasz doskonale pamiętał, jak w dzieciństwie bał się tego potworka, królującego na komodzie pośrodku poźółklej, koronkowej serwety.

- Zdejmij jej głowę - powiedziała Michalina, wręczając mu lalkę. - Tylko ostrożnie, bo to rodzinna pamiątka.

Lalka, w swoim czasie (prehistorycznym, kiedy jeszcze nikomu nie śniło się o Barbie) marzenie wszystkich dziewczynek, miała ruchome kończyny. Można też było obracać głowę, dlatego Tomaszowi, acz z niemałym trudem, udało się ją w końcu oddzielić od korpusu. Odsłonił się spory otwór, ale i tak zbyt mały, by zdołał wsunąć do środka rękę. Tak długo manipulował jednak zdekapitowaną zabawką, aż z otworu wysunął się gruby złoty łańcuch.

- Wow! - skomentował Katz.

Ostrożnie ciągnąc za łańcuch, Tomasz wydobył przymocowaną doń na zawieszce

złotą tuleję.

- Wow! - powtórzył Katz.

- Nie wygląda jak tamten relikwiarz - zauważyła Anna Maria.

- Trzeba go rozkręcić - podpowiedziała Michalina.

- Zaraz - powiedział Tomasz, oglądając złoty pojemnik. Był on pokryty delikatnym ornamentem roślinnym.

- Tu jest coś napisane.

- Niemożliwe - zdziwiła się staruszka. - Pierwsze słyszę.

- A jednak. To znów minuskuła i dlatego tak trudno ją wypatrzeć pośród tych listków i gałązek.

Kiedy wziął do ręki lupę, obstąpili go ciasno. Zapalił biurową lampkę i w jej świetle wolno obracał tuleję lewą ręką, w prawej trzymając lupę. wreszcie odłożył jedno i drugie.

- I co? Wiesz, co tam jest napisane? - drżąc z podniecenia, spytała Michalina.

! Chyba tak. No to przestań się z nami droczyć i mów.

132

133

- Cór tuum.

-Co to znaczy?

- Serce twoje.

-Mówi ci to coś?

- Owszem.

Takie były podobno ostatnie słowa de Molaya: Cór tuum, thesaurus tuus.

Czyli: Tam skarb twój, gdzie serce twoje.

- Fiu, fiu -świsnęła staruszka.

- Ciepło, ciepło.

A teraz gorozkręć.

Tomasz zastosował się do polecenia.

Nie było to łatwe zadanie, ponieważ bał się uszkodzić pojemnik.

Jakoś jednak udało mu oddzielić wieczko z łańcuchem od reszty.

Odsłonił się pakunek owinięty w delikatną irchę.

Wyjął całość i odwinął zamsz.

Pokazała się mała krysztalowa baszta nakryta stożkowatym daszkiem pokrytym złotą łuską.

Na oko relikwiarz liczył sobie zedwadzieścia centymetrów wysokości, z czego połowa przypadała na daszek, połowa na cylinder, którego średnica miała jakieś pięćcentymetrów.

- Są identyczne - Anna Maria wskazała fotografię w albumie.

-Bliźniacze pectorały wskazujące drogę do skarbu- dodał dziennikarz.

- Miałaś rację, Tomaszu.

Stopę i trzon dodano później.

Bażyńskiznów wziął pectorał do ręki.

Obrócił go dnem do góry.

- Ciekawe.

Na spodziemamy jakieś litery.

Przyłożył lupę do oka.

- "g" "de" "b", "a" "d" i rok: MCCCXIV.

-Czyli Guichardde Beaujeu, Anno Domini 1314?

- domyślił sięKatz.

- Na to wygląda.

Co więcej, napis na paskach pergaminuwewnątrzkryształuzachował się owiele lepiej niż na relikwiarzu z kościołaŚwiętego Floriana.

- Dasz radęgo odczytać?

- spytała Anna Maria.

- Powinienem.

Nie teraz, oczywiście.

W każdym razie jedno jestpewne: mamy niezbity dowód na to, że historia skarbu templariuszywiąże siębezpośrednio z historią naszej rodziny.

Być możeprofesor vonBaysen też doszedł do takiego wniosku i dlatego przybył do Krakowa.

No cóż.

Nareszcie ruszyliśmy z miejsca.

Odkryliśmy całkiem sporo, alewciąż poruszamy się po omacku.

Przydałby się jakiś drogowskaz.

- Zaczekajcie!

- zawołała dziewczyna i wybiegła zbiblioteki.

Kiedy po chwili wróciła zdyszana,podała Tomaszowipapierowy rulon.

- Co to jest?

- spytał.

- Być może właśnie ten drogowskaz, którego nam potrzeba.

134

Rozwinął papier i wyjął zwój pergaminu.

Wystarczyło mupobieżnierzucić okiem na dokument, by zorientować się, co zawiera.

- Testament von Tettingena!

Skąd go masz?

- Ojciecznalazłgo podczas wymiany okładek w pamiętniku, po czymukrył w

schowku w lasce.

Pamiętasz, jak napisał do mnie, że aby rozszyfrować pamiętnik, trzeba się "podeprzeć" dodatkowymi informacjami.

Wiedział, że domyśle się, gdzie ich szukać.

- Długo się domyślałaś.

-Wpadłam nato od razu, tylko nie wiedziałam, czy zechcesz się zaangażować i czy można ci ufać.

- A teraz już nie masz wątpliwości?

Czy raczej Adam spośród swych licznych lingwistycznych talentów nie posiadał znajomości łaciny?

Katzi uniósł brwi, rozłożył ręce i spojrzał na Bażyńskiego niewinnie, jakby chciał powiedzieć: "Mnie za to nie wiń, nie maczałem w tympalcówi też widzę to pierwszy raz".

- Jedno i drugie.

A przede wszystkim chcę wiedzieć, za co mój ojciec zapłacił życiem.

Idowiem się.

Z twoją pomocą lub bez.

Wybieraj - położyła dłoń na pergaminie.

- Co tak wszyscy na mnie patrzycie?

- obruszył się.

-Macie jakieś wątpliwości?

Usiadł na krześle i przybliżył pergamin do oczu.

- Ciężka sprawa.

Ten tekst też nie zachował się w idealnym stanie, a ja nie jestem takim błyskotliwym łacinnikiem jak profesor Plotzkeczytwój ojciec.

- Ale poradysz sobie?

-Zapewne.

Posiłkując się słownikiem.

Tylko to musi trochę potrwać, nie uporam się z tym na poczekaniu.

- Ile ci to zajmie?

-Nie wiem.

Dobę.

- Poczekamy.

Nie mamy wyjścia.

Nagle zgasło światło.

Najszybciej zareagował Katz.

- Na podłogę!

Już!

Padli plackiem.

- Ktoma testament?

- szepnął Niemiec.

- Ja - odparł równie cicho Bażyński.

A pectorał?

Ja - miauknęła nieswoim głosem Michalina, narówni wystraszonaco

Podniecona.

135.

- Nie podnosić głów! - zakomenderował dziennikarz. Podczołgał się do okna, na moment uniósł głowę ponad parapet, po czym szybko ją opuścił i zasunął story.

- Świeci się na ulicy i w sąsiednich domach. Podejrzana sprawa. Tomasz, oddaj pergamin Annie Marii i chodź ze mną. A wy, moje panie, leżycie tu plackiem i czekacie na nasz powrót. Jasne?

- Mój Boże, czy to się nigdy nie skończy? - zajęczała staruszka. - Co robi policja?

- Może ktoś ich unieszkodliwił. Anno Mario, masz komórkę?

- Nie wzięłam z pokoju.

- Ja też nie - dodał Tomasz.

- Cholera, ja tak samo - westchnął Katz. - Trudno. Wychodząc, zamkniemy drzwi na klucz. Gdyby ktoś się dobijał, wybijcie szybę jakąś książką i wrzeszczcie na cały głos. Ktoś powinien usłyszeć, jeszcze nie jest tak bardzo późno. Tomasz, idziemy.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie drzwi, reporter szepnął:

- Zostań tu. Nastaw uszy jak zając i nie ruszaj na krok. Ja obejdę dom. Wracając, gwizdnę cicho, żebyś wiedział, że to ja.

- Dlaczego ty? Ja znam tu każdą dziurę w podłodze.

- Ale ja lepiej znam się na tropieniu - uciał Niemiec i rozpląnął się w ciemnościach. Bażyńskiemu czas dłużył się niemiłosiernie. W końcu nie wytrzymał i ruszył w kierunku przeciwnym do tego, w którym udał się Katz. Obejście domu zajęło mu dobre pół godziny, zwłaszcza że, szczególnie na początku, poruszał się powoli i ostrożnie. Kiedy już znacznie spokojniejszy wracał do biblioteki, ktoś ścisnął go za gardło, podciął nogi i obalił na deski.

- Masz farta, że wymacałem twojego kuca. Jeśli cię trochę poturbowałem, sam jesteś sobie winien - burknął Katz i pomógł mu wstać. - Miałeś się nie ruszać spod drzwi. Twoje szczęście, że to nie był napad, tylko zwykła awaria. Po drugiej stronie domu też wszędzie jest ciemno.

- Wiem - odparł Bażyński i zapalił czołówkę. - Kiedy dotarłem do swojego pokoju, zadzwoniłem na pogotowie energetyczne. W połowie osiedla padło zasilanie. Za jakąś godzinę do dwóch powinni się z tym uporać. Zabrałem to - pokazał sztylet za pasem i podał Niemcowi ręczny reflektor - i latarki, ale na wszelki wypadek ich nie zapalałem.

Chociaż awarię naprawiono już po półgodzinie, a Michalina, dzieląc się szczerze z bliźnimi, skutecznie ukoła nadwerężone nerwy konia-

kiem, to na dobre uspokoiła się dopiero wtedy, gdy Niemka zgodziła się z nią spać tej nocy w jednym pokoju. Tomasz, również wytrącony z równowagi, do białego rana zajmował się tłumaczeniem.

Ten sam impuls, który poprzedniej nocy kazał mu iść nad Rudawe, tym razem przywiódł go pod kościół. Zamek przy bocznym wejściu ustąpił łatwo. Wślizgnął się do wnętrza. Co prawda za dnia nie zauważył żadnego systemu alarmowego, którego nie można by bez większego trudu zneutralizować, ale i tak był zaskoczony marnym zabezpieczeniem świątyni, bądź co bądź kryjącej wiele cennych dzieł sztuki. Może zresztą zastanowiłby się nad tym, że mimo wszystko za łatwo mu idzie, gdyby nie to,

że znów prześladowała go wizja palm i orzeźwiającej kąpieli w lagunie. Z trudem ją odpędził. Coraz częściej mu się to zdarzało i w coraz mniej odpowiednich momentach. Kiedyś będzie musiał za to drogo zapłacić. Cóż, jeśli już o zabezpieczeniach mowa - ze skarbcem na pewno pójdzie trudniej. Nałożył noktowizor i z przyzwyczajenia zachowując ostrożność, poruszał się bezszelestnie wzdłuż ściany. Kryjąc się między ławkami, przebiegł na drugą stronę bazyliki. Nacisnął klamkę drzwi prowadzących do zakrystii. Ustąpiły z ledwie dosłyszalnym skrzypnięciem. To już było coś więcej niż przypadek. Brodacz miał istic zwierzęcy instynkt, który zastępował mu chłodny umysł i logiczne rozumowanie, ale jeszcze nigdy go nie zawiódł. Sięgnął pod pachę i wyjął pistolet z tłumikiem. Lekko pchnął drzwi. Nagle oślepił go błysk światła. Zapewne był to promień niewielkiej latarki, ale w okularze noktowizora sprawiał wrażenie wybuchu supernowej. Równocześnie usłyszał jakby puknięcie i kula przeleciała mu koło ucha tak blisko, że aż go zapiekło. Pospiesznie oddał na- oślep trzy strzały i rzucił się do ucieczki. Ściagała go wąska smużka światła, i kolejna kula odłupała kawałek muru tuż przy jego głowie. Nie odwracając się, strzelił za siebie jeszcze parę razy i skoczył między rzędy ławek z wysokimi oparciami. Poruszając się na czworakach, kluczył niczym zając. Przeskoczył przez ostatnią ławkę, w którą zagłębiły się dwie kule, trzecia z wizgiem zgórowała. Coś wbiło mu się w ramię. Syknął z bólu. Wreszcie wypadł z kościoła, zamknął za sobą drzwi, przekręcił w zamku wytrych i dopiero wtedy odetchnął z ulgą. Rozejrzał się czujnie. Żywego ducha. Pobiegnął pod mur okalający kościół, gdzie było najciemniej > zdjął kominiarkę i noktowizor, kucnął i przeladował magazynek. Wyrwał

136

137

dużą drzazgę sterczącą mu z ramienia i prowizorycznie zatamował krew.
Bolało jak cholera.

Nieznany przeciwnik napędził mu stracha.

Kto to mógł być?

Przecież niepolicjanci, bo byłoby ich więcej i obstawiliby cały kościół.

Tylko jeden człowiek przychodziłmu na myśl.

Towarzysz dziewczyny, ten sam, który nad rzeką rozprawił się z czterema przeciwnikami.

Konieczni trzeba się dowiedzieć, coto za jeden.

A zresztą nie trzeba, bo teraz on zabawi się w myśliwego.

Dopiero popółgodzinie oczekiwania zorientował się, że był idiotą.

Przecież kościół miał drugie wyjście.

Cóż, jego domeną było działanie, nie myślenie.

Jeszcze dopadnie tamtego.

Oddali się czym prędzej bocznymi, pustymi o tej porze ulicami.

Przebyte emocje podnieciły go i wydobyły na wierzch patologiczną stronę jego natury.

Przepelniała go żądza mordy.

Okolice Montreuil, 10 kwietnia 1314 (niedziela)

Z za zakrętu wyłoniła się gromada zbrojnych.

Z grubsza licząc, co najmniej setka.

Dwunastu templariuszy było zgubionych.

Tylko cud mógł ich ocalić.

Guichard de Beaujeu zeskoczył z furgonu.

Wóz był mocno przechylony na bok, ponieważ brakowało mu koła i tarasował trakt, wąską wstęgą wijący się przez gęsty las, który dochodził aż do odległego stąd o zaledwie milę Montreuil.

Dalej już było tylko morzei wolność.

Tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

Ludzie de Beaujeu gorączkowo uwijali się przy uszkodzonym furgonie, wypinając zaprzęg i niespokojnie popatrując co chwila za siebie.

Jeden Guichard był zupełnie spokojny.

Gdy trzy dni temu omijali Amiens, zakradł się do miasta w przebraniu.

I dowiedziało tym, że byli poszukiwani w całej Francji, a z Paryża wyruszył za nimi silny oddział wojsk królewskich, który w pierw zgubił tropi krążył nie wiadomo gdzie, lecz ostatnio był widziany w Beauvais, a więc niedaleko.

Guichard uśmiechnął się zimno.

Nawet gdyby teraz przyszło im zginąć, i tak było warto.

W to, że w końcu zostaną doścignięci, nie wątpił ani przez chwilę.

Rzucił okiem na towarzyszy.

Miał nadzieję, że go nie zawiodą w godzinie próby.

Spojrzał w słoneczne niebo.

Dzień był piękny.

Za ładny na umieranie.

Ale nad morza nadciągał czarny obłok zwiastujący rychłą zmianę pogody.

138

- Za długo zwlekaliśmy, Guichardzie - jeden Hugo de Sonnac ośmielił się powiedzieć dowódcy w oczy to, co myśleli wszyscy.

- Nawet tego ranamogliśmy sporo ujechać, gdybyś nie zamarudził przy wozie.

- Wiem, co czynię, Hugonie.

Zaufajmi.

A przede wszystkim pokładaj ufność w Bogu, Panu naszym, którego wyroki są niezbadane.

Tymczasem przybysze, jakby zaskoczeni odnalezieniem ściganych, w pierw zatrzymali się jak wryci, poczym zaczęli się przegrupowywać przed ostatecznym atakiem.

Wszyscy byli w pełnych zbrojach i z kopiami.

przewodził im człowiek w kosztownym czerwonym płaszczu.

On jedennie miał kopii ani hełmu.

Oderwał się od pozostałych, podjechał niespiesznie, a gdy zbliżył się do uciekinierów na dwadzieścia kroków, stanął.

- Wzywam Guicharda de Beaujeu!

- zawołał gromko.

Guichard postąpił naprzód.

Rozpoznał tamtego.

Nie był zaskoczony.

Spodziewał się, że właśnie on przyprowadzi pogoń.

- Tu jestem!

- Awiesz, kim ja jestem?

- Jesteś Wilhelm de Nogaret, łotr bez czci i wiary.

- Poddajcie się, apozwolę wam odjechać - odparł tamten, ignorując brzę.

- Masz na to moje słowo.

- Słowowiarołomcy.

Wolimy zginąć tutaj w walce, niż zameczeń w lochach lub spaleniu na stosie jak nasi towarzysze.

- Chcę tylko tego, co wieziecie.

Oddajcie mi to dobrowolnie.

To wasza jedyna szansa.

- Przyjdź tu i sam sobie weź.

- Tak uczynię.

Odwrócił się i odjechał ku swoim, którzy zaczęli formować szyk bojowy.

Guichard wyciągnął rękę, w którą Hugo wsunął płonąca pochodnię.

Wdrapał się na wóz.

Za chwilę zeskoczył z niego i stanął obok, doskonale widoczny zarówno przez swoich, jak i tamtych.

Opadł na kolana, wznosił ręce do nieba, na którym nagle pojawiły się ciemne, burzowe chmury, i zawołał wielkim głosem:

- Ojcze wniebiesiech!

Ty, który dozwoliłeś naszemu zakonowi cieszyć się widokiem swego oblicza,

spójrzysz oto łaskawie na Twe wiernesługi, a gniewną twarz obróć ku zdrajcom,
wiarołomcom i mordercom, którzy nas prześladują!

Ocal sprawiedliwych i ukaż niegodziwców!

Błagam Cię o to ja, Guichard de Beaujeu, rycerz Twojej Świątyni!

De Beaujeu wyglądał w tym momencie niczym Mojżesz błagamy Jahwe o
zniszczenie ścigających Naród Wybrany Egipcjan albo

139.

Amalekitów i wiedział o tym.

Podniósł się z kłęczki dosiadł wierzchowca.

Templariusze, na których błaganie dowódcy uczyniło wielkie wrażenie, w milczeniu ruszyli z kopyta, zostawiając za sobą uszkodzony furgon i eskortując drugi, toczący się szybko, gdyż ciągnęły go teraz dwa zaprzęgi.

Guichard odwrócił się za siebie w chwili, gdy pościg dopadł porzuconego wozu, zagrażającego drogę.

Rycerze stracili impet i stłoczyli się w bezładną kupę.

W tej chwili zagrzmiało potężnie, błyskawicą rozdarła niebo pierwsze krople deszczu zabębniły po hełmach.

- To znak!

Szybciej!

- wrzasnął de Beaujeu do swoich i sam także dał koniom ostrą drogę.

Nagle w niebo buchnął starotestamentowy słup ognisty, po czym wszystko dookoła spowijała chmura gęstego czarnego dymu.

- Jeszcze szumi mi w uszach - poskarżył się Hugo, gdy razem z Guichardem ostrożnie podjeżdżali do miejsca, gdzie niedawno stał furgon, a teraz widniał ogromny lej.

Po wozie nie zostało śladu, zato wszędzie poniewierały się zakrwawione ludzkie szczątki, kawałki zbroi i trupy końskie.

Pokaleczone zwierzęta kwiczały przeraźliwie, jakiś człowiek bez nóg próbował pełznąć, nim znieruchomiał.

Inny wył z bólu, spoglądając na kikuty rąk, z których buchała krew.

- Armagedon.

- szepnął Hugo; z jego bladej jak śmierć twarzy woda ściekała strumyczkami.

- Co to było, Guichardzie?

- Widziałeś przecież.

Bóg wysłuchał moich prośb.

Zapomniałeś, żerzeł On sprawiedliwym: nie lękajcie się?

- To Nogaret!

- wykrzyknął de Sonnac, rozpoznając ciało wposzarpanym czerwonym płaszczu, spoczywające daleko od innych.

- Jeszcze żyje!

- Nie dziwi mnie to - rzekł de Beaujeu, podchodząc do rannego.

- Tentchórzliwy pies jak zawsze trzymał się z tyłu.

Pochylił się nadleżącym, który nie nosił na ciele wyraźnych obrażeń, jeśli nie liczyć wgniecenia pancerza na piersi i odrobiny spienionej krwi na ustach.

- Ale długo nie pociągnie.

Zapewne mażłamał kilka żeber i przebite płuco - dodał.

- Niechaj zdycha, byle zdążył złożyć relację swemu panu z tego, co tu zobaczył.

Ranny drgnął i otworzył oczy, w których de Beaujeu ujrzał to samo, co w oczach swoich podkomendnych, Hugona niewylęczając: lęk i nabożność.

Należną człowiekowi, któremu Bóg jawnie okazał swą łaskę.

- Co to było?

- wystękał.

140

- Kara boska, wiarałomny pies.

I znak.

Pamiętasz, jak "spojrzał Jahwe ze słupa ognia i ze słupa obłoków na wojsko egipskie i zmusił je do ucieczki"?

- odparł Guichard.

- Nie dostaniesz tego, pociąg przybył.

Najcenniejszej relikwii w całym chrześcijaństwie.

Ani ty, ani twój niegodziwy pan, król Filip, ani papież Klemens.

Zabieramy to źródło bożej mocy z sobą i powierzmy, komu zechcemy, albo ukryjemy tak, że nikt tego nie odnajdzie aż do skończenia świata.

Ale wszystkie łotryna ziemi, marzące o panowaniu nad światem, podobne do was trzech, nigdy nie ustają w poszukiwaniach.

Będą się gryzły jak psy walczące o kość i umierały z powodu niemożności spełnienia

swych żądz.

I zestrachu, że kto inny posiada w sobie mocną relikwię.

To zemsta, moja i mistrza de Molaya, za to, coście zgotowali naszemu zakonowi.

- Co to za relikwia?

De Beaujeu pochylił się do ucha królewskiego doradcy coś szepnął- Niemoże to być!

-blady jak śmierć Nogaretz trudem powstał złapał de Beaujeu za rękę.

- Jeszcze wątpisz, człowieku małej wiary?

- Guichard strząsnął dłoń Nogaretai pokazał mu pobojowisko, na którym templariusze wymierzali coup de grace ciężko rannym i konającym rycerzom oraz dobijalizdychające zwierzęta.

-Cóż innego unicestwiło twój oddział i co jest zdolne zniszczyć każdą ziemską armię?

W tej chwili jeden z templariuszy podszedł do Guicharda.

-Dwóch przeżyło.

Obaj lekko ranni.

Co z nimi zrobimy?

- Przyprawadźcie ich.

I znajdźcie jakieś konie.

- Co chcesz z nami uczynić?

- spytał Nogaret.

- Odesłać, żebyście dali świadectwo mocy relikwii nad relikwiami.

Itak nie zostało ci woleżycia, rycerzu Wilhelmie.

Wróc do swego pana i powiedz mu, że nigdy nie spełni się jego pragnienie.

Nie zostanie rycerzem.

Mało tego, straci nawet to, co już ma.

I umrze przeklęty.

Żegnaj.

Spotkamy się w piekle.

Udało się złapać dwa konie, które przeżyły masakrę, uciekły do lasu po czym wróciły.

De Beaujeu kazał jednemu z rycerzy zabrać ze sobą Nogareta, który nie był w stanie samodzielnie utrzymać się w siodle.

My też ruszajmy, póki czas - polecił Guichard swoim ludziom, z niepokojem spoglądając w las, podpalony ognistym podmuchem.

Biblia Tysiąclecia, Poznań 1965, Wj 14,24 (komentarz s.

86: "Słup ognia czy słup błokuto znak obecności Jahwe prowadzącego swój naród").

141.

Niepotrzebnie się martwił.

Burza ustatatak samo nagle jak nadeszła, ale ulewa była tak obfita, że nie tylko przemoczyła ludzi do suchej nitki, lecz nasączyła wilgocią wszystko dookoła, więc groźba rozprzestrzenienia się pożaru praktycznie nie istniała.

- Teraz już wiesz dużo - powiedział do wciąż oszołomionego de Sonnaca, wskazując na siodło i dając znak do odjazdu, po czym dodał: - Kiedyś wyjawię ci więcej.

Kiedy las się skończyli ujrzeli morze, przeżył moment zwątpienia.

Aleni dotarli do brzegu, zza zarośniętego sosnami cypla wyłonił się okręt.

Gdy na maszt wciągnięto biało-czarną banderę z czerwonym krzyżem, templariusze zaczęli krzyzczeć i wymachiwać z radości.

Pierwszym człowiekiem, którego de Beaujeu zobaczył, jako ostatni wchodząc na pokład, był Gerard de Villers, preceptor Francji, jedyny z dostojników zakonu, który uniknął aresztowania feralnego 13 października 1307 roku.

W nocy z dwunastego na trzynastego w wielu skrzyniach przetransportował z paryskiej Tempie cały skarb wielkiego wizytatora Francjina osiemnaścioru zakonników zakotwiczonych na Sekwanie, a stamtąd pożegłował do Szkocji.

Stąd brała się wściekłość i rozczarowanie króla Filipa, w którego ręce wpadły nędzne ochłapy zamiast głównego skarbu.

Odkąd de Beaujeu podjął się misji, byli z de Villerssem w stałym kontakcie.

- Nareszcie - rzekł de Villers, przyciskając do piersi Guicharda.

- Spóźniliście się.

Wypatrujemy was od trzech dni.

Już się bałem, że wcześniej pojawią się królewskie okręty.

Mimosiwny uścisk miał wciąż krzepki.

- To Nogaret się spóźnił.

Musieliśmy na niego czekać dwa dni.

- Hugo zdążył mi już powiedzieć, jak wyborny miałeś koncept z tymi czterema parami furgonów.

-Aż zadobry.

Niewiele brakowało, by nas w ogóle nie znaleźli.

- Dokąd teraz?

-Jak było ustalone.

Stary templariusz położył młodemu rękę na ramieniu i rzekł poważnym tonem:

- Może już wystarczy, synu?

Wróćmy razem do Szkocji i.

- Nie -uciał de Beaujeu.

- Przysięgałem, że doprowadzę dzieło dokońca lub zginę.

- Jak chcesz.

Ty tu rządzisz.

De Villers odwrócił się, by wydać rozkazy sternikowi.

142

Awinion, 20 kwietnia 1314 roku (sobota)

Klemens w nerwowo przechadzał się po swoim gabinecie w ponurejwarowni, specjalnie dla niego wybudowanej w tej nędznej mieścinie nad Rodanem.

Nie tęsknił za Rzymem, opanowanym przez możne rodynieprzychylne papieżom, lecz nękały go coraz większe wątpliwości, czysto szlachetnie uczynił, powierzając sobie i cały Kościół "opiece" króla Francji.

Opiece, którą część kardynałów wprost nazywała "niewolą awiniońską" i o co obwiniała właśnie jego.

Ale nie to było główną przyczyną nękającego go zdenerwowania i pogarszającego się każdego dnia samopoczucia.

Wciąż tłukły mu się w głowie, hucząc niby kościelne dzwony, słowa de Molaya, wedle wielu świadków wypowiedziane w momencie męczeńskiej śmierci: "Klemensie i ty, Filipie, wiarałomcy danego słowa, wzywam was obydwo na sąd boży!

Ciebie Klemensie do czterdziestu dni, ciebie Filipie w przeciągu roku!

Bądźcie przeklęci!

".

Nikt lepiej od niego nie wiedział, jak niesprawiedliwe były zarzuty wobec

templariuszy.

Uległ naciskom króla Francji, jak niemal zawsze czynił, i teraz tego żałował.

Ale było już za późno.

Przyłożył dłoń do serca, które tukało się jak ptak w klatce.

"Boże, nie karz mnie zato, uczyniłem jedynie zmyślanie o dobru Twojego Kościoła!

"

- Wasza świętobliwość, przybył goniec z Paryża.

Powiada, że masprawę niecierpiącą zwłoki - pukanie i głos sekretarza przerwały mu niewesołe rozmyślenia.

- Niech wejdzie.

Kiedy sekretarz dyskretnie zamyka drzwi, zdyszany przybysz podrożnym, zakurzonym stroju, przyklęknął i pocałował podaną dłoń.

- Wasza świętobliwość, mam ważne wieści od jego ekscelencji Guillaunie de Bauffeta, biskupa Paryża.

Tak straszne, że nie odważył się ich przelać na pergamin.

- Mów!

- zażądał papież.

- Dwa tygodnie temu opuścił Paryż Guichard de Beaujeu, siostrzeniec Jakuba de Molaya, uwożąc w nieznanym kierunku bezcenne skarby.

na próżno od tak dawna poszukiwane przez króla Filipa.

Jest ponoć wśród nich najcenniejsza relikwia w całym chrześcijańskim świecie, mająca dar czynienia cudów, spełniania prośb i dająca posiadaczowi niezwyciężoną moc.

Istnieje kilka wersji, nieco się różniących, ostatnich słów de Molaya.

143.

- Bzdura!

- przerwał mu Klemens niecierpliwie.

Skąd jego ekscelencja ma pewność, że templariusze mieli świętego Graala?

Toż gdyby tak było, nie ulegliby przecież mocy króla Filipa.

- Nie wiadomo, czy chodzi o świętego Graala, czy o coś jeszcze potężniejszego.

Zostało to coś znalezione w Ziemi Świętej przez pierwszych templariuszy i zdeponowane u Starca z Gór.

A ponieważ Mongołowie przed półwieczem zniszczyli stolicę asasynów, a ich samych zdiesiątkowali i rozproszyli, dlatego Guichardowi de Beaujeu zajęło kilka lat odnalezienie depozytu.

Wrócił za późno.

A teraz chce się zemścić na królu Filipie za klęskę zakonu i zapewne uwozi relikwię do cesarza albo ma inny diabelski plan.

Tak w każdym razie przypuszczał pan de Nogaret, gdy wyruszał w pościg.

- Skąd jego ekscelencja ma tak dokładne informacje?

- wtrącił papież powątpiewaniem.

- Od sekretarza pana Nogareta, który jest wiernym sługą Kościoła.

- A skąd Nogaret dowiedział się o wszystkim?

- Ponoć miał informatora wśród ludzi de Beaujeu.

- Powiedziałeś, że pan de Nogaret wyruszył w pościg za zbiegami.

Tedy już po wszystkim?

- Pan Nogaret nie żyje, wasza świątobliwość.

Umarł z ran 11 kwietnia.

Dzień wcześniej, na czele setki zbrojnych, dopadł zbiegów nad brzegiem morza.

Za sprawą owej relikwii uniósł się w górę ognisty słup, który w jednej chwili pochłonął cały pościg.

W tym momencie objawił się słup błoku, a głos z Nieba zawołał: "Biada, po trzykroć biada krzywdzicielom dzieci moich, w których mam upodobanie!"

".Tak zgodnie powiadają świadkowie, a wieść owa obiegła już Paryż
lotem błyskawicy.

Ocalał bowiem, lubo rannych, za ledwie trzech rycerzy, w tym pan de
Nogaret, których de Beaujeu odesłał do króla, by dali świadectwo.

Ponoć król Filip zamknął się w komnacie z umierającym panem de Nogaretem i
długorozprawiali przy zamkniętych drzwiach.

Kiedy król opuścił komnatę, wyglądał na starca, który sam jest bliski śmierci.

Długo po tym, jak odesłał posłańca, klęczał z głową opartą o pulpit, na przemian
modląc się i rozmyślając.

Święty Graal.

Czy to niegochodzi?

Nie negował tego całkowicie, lecz przeczuciemowiło mu, że to fałszywy trop.

Jednak cóż innego mogłoby mieć taką moc?

Nic nie przychodziło mu namyśl.

Potał czoło.

Nagle oblał go zimny pot,

Zmarł 29 listopada 1314 roku.

144

a skołatane serce wywinęło kozła.

Już wiedział.

Chryste, tylko nieto!

A więc torturowani templariusze mówili prawdę!

Tylko że tajemnicza głowa, zwana Bafometem, której rzekomo oddawali cześć,
nie była żadnym obrazem Mahometa ani samego szatana!

Jak wszyscy, z nim na czele, mogli być tacy ślepi!

"Dobry Jezu, czemu nie oddałeś tego w ręce swego najwierniejszego sługi i
następcy Twego ukochanego ucznia, świętego Piotra!

W moją ręce.

Ileż dobrego mógłbym uczynić dla Twojej chwały i dobra Kościoła!

A oto ten jawny cudi najdroższy skarb wpadnie albo w łapy chciwego i okrutnego

Filipa Pięknego, albowiem wiele lepszego następcy cesarza Henryka VII Luksemburskiego, do którego wyniesienia sam się przyczyniłem.

A teraz o koronę cesarską, po śmierci Henryka w ubiegłym roku, zawzięcie walczyli Wittelsbachowie i Habsburgowie.

Ten z nich, któremu dostanie się bezcenna relikwia, z pewnością sięgnie po cesarską koronę i zapanuje nad światem, a także zdoła przejąć całkowitą kontrolę nad Kościołem.

Apokalipsa!

Templariusze wiedzieli, co czynią, chroniąc tę świętość w bezpiecznym miejscu.

Boże, Boże, jakże srogo mnie karzesz za to, co uczynił i do czego doprowadził.

"Serce biło mu jak oszalałe, coraz mocniej i mocniej.

Aż nagle przestało.

Kraków, 1 lipca 2010 (czwartek)

- Co to się porobiło w Krakowie!

- westchnęła Michałina, przeglądając ulubioną gazetę, "Dziennik Polski", i przeczytała nagłós:

Z ostatniej chwili: Dziś, we wczesnych godzinach porannych, na ulicy Świętego Filipa, na odcinku między kościołem Świętego Floriana a Rynkiem Kleparskim, znaleziono ciała dwóch mężczyzn.

Zostali zidentyfikowani jako Marian R, pseudonim Lewy, lat 19 oraz Patryk W., pseudonim Kiler, lat 22.

Obaj zginęli od ciosów zadanych ostrym narzędziem.

Mariana P.

ugodziono w samoserce, Patryk W.

miał przecięte gardło.

W obu przypadkach śmierć nastąpiła natychmiast.

Przypuszczalny czas zgonu: między 24.00 a 2.

00. Za wcześnie jeszcze na ostateczne wnioski, ale podejrzewasz porachunki gangsterskie.

Obaj zabicibyli już bowiem karani, a według niepotwierdzonej informacji policja

dysponuje zeznaniem świadka, który rzekomo widział, jak zamordowani wyszli z bramy jednej z kamienic i zaczepili przechodzącego ulicą niezidentyfikowanego mężczyznę.

Po czym padli na chodnik, zaś mężczyzna oddalił się spokojnie w kierunku ulicy Długiej.

Mamy nadzieję, że Jutro będziemy mieli dla naszych czytelników więcej informacji o tym podwójnym zabójstwie, nie pierwszym z użyciem ostrego narzędzia ostatnimi czasy w naszym mieście.

145.

- Spójrzcie!

- zawołał Katz, uporawszy się nareszcie z komputerową obróbką zdjęć.

Powiększone ujęcia relikwiarzane na ekranie komputera prezentowały się dużo wyraźniej niż fotografia z książkowego katalogu.

- Lepsze?

- upewniła się Anna Maria, patrząc na Bażyńskiego z nadzieją.

- Trochę - potwierdził.

- To - pokazał czubkiem palca - wyglądają jak "s", zapewne "s" jak "sanctus", czyli święty.

To zaś może być "ep.

" albo "ap.

", czyli "episcopi" albo "apostoli", i odnosić się do biskupa lub apostoła, zresztą jedno nie wyklucza drugiego.

Zwłaszcza że, według tradycji, ten relikwiarz zawiera partykuły apostołskie.

Możesz spróbować powiększyć w tym miejscu?

- spytał Katza.

- Spróbować mogę - odparł dziennikarz i zajął się manipulowaniem klawiszami i myszką.

- Tyle.

Lepiej już nie będzie, bo tracimy ostrość.

- Być może to tutaj, na środkowym pasku - Tomasz z natężeniem wpatrzył się w ekran - to "pauli", ale równie dobrze "parti".

Znaczy Paweł, a raczej Pawła lub particula, czyli szczątki.

- I to wszystko?

- w głosie Anny Marii zabrzmiało ogromne rozczarowanie.

- Wszystko.

Nic więcej nie da się odczytać.

W sumie nie dowiedzieliśmy się wiele ponad to, co było do przewidzenia.

Że mamy do czynienia z relikwiami jakiegoś biskupa i/lub apostoła zarazem,

którymbyć może jest święty Paweł.

Przykro mi.

Trąć oczy z niewyspania, dopił kawę i rzucił:

- Pewnie chcecie wiedzieć, co wyczytałem z testamentu von Tettingena.

Nie jest tego dużo, mimo iż pracowałem prawie do świtu.

Posłuchajcie.

Rozprostował kartkę papieru, pełną gryzmołów i skreśleń, i zaczął czytać:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Bogu Najwyższemu niechaj będą dzięki, że mnie, niegodnemu swemu słudze, oddwóch lat pogrążonemu w szaleństwie, w nieskończonej swojej dobroci zechciał przywrócić rozum na te ostatnie chwile, które mi jeszcze pozostały na tym łez padole.

Ufam, że On uczynił to po to, bym dał świadectwo Jego mocy.

W 1364 roku, jako młodzianniespełna dwudziestoletni, podjąłem służbę dla naszego zakonu w Schönsee, gdzie komturem był Heinrich von Bode, rycerz sławiony wielomadzielnymi czynami, acz już sterany.

Von Bode polubił mnie bardzo i był dla mnie jak ojciec, a kiedy niedługo umierać mu przyszło, wezwał mnie do swego łóża i wyjawiał niesłychaną historię, która wydarzyła się, gdy był w moim wieku.

Nie ukrywał, że zaskarbiłem sobie jego sympatię i zaufanie, ponieważ wielce przypominałem mu jego samego w owym czasie'

146

Działo się to wiosną 1314 roku.

Von Bode służył wówczas pod komendą mego imiennika Wenera von Orselna, który niedawno został komturem Marienburga.

Był on zaufanym ówczesnego wielkiego mistrza Karla von Triera.

Wielki mistrz miał w zakonie wielu wrogów, którzy planowali jego obalenie.

Dlatego przybycie do Gdańska statku templariuszy, którzy przywozili kolejną partię skarbu, by powierzyć ją pieczy naszego zakonu, było wyborną okazją dla wielkiego mistrza, by wzmocnić swą pozycję względem buntowników.

Do poufnych negocjacji z templariuszami został wyznaczony von Orseln, który zabrał ze sobą Heinricha von Bodego i jeszcze drugiego najbardziej zaufanego rycerza, którego dyskrecji był pewny.

Zatrzymali się w gospodzie pod miastem, bo von Orseln nie chciał się pokazywać na zamku, nie ufając komturowi gdańskiemu Dawidowi von Cammersteinowi.

Następnego dnia, 17 maja, von Orseln samotnie wyruszył na spotkanie z templariuszami.

Nie powiedział towarzyszom, dokąd się udaje, podał jedynie, że to niedaleko, mila tam i mila z powrotem, i powinni się gospodziewać przed zmierzchem.

Jako i wrócił o czasie, acz w bardzo złym humorze.

Nazajutrz przybyli templariusze.

Było ich tylko siedmiu, ale wszyscy wyglądali na srogich rębaczy, zaprawionych w boju.

Dowodził nim młody człowiek o groźnym spojrzeniu niesamowitych, jakby martwych oczu.

Nazywał się Guichard de Beaujeu.

- Guichard de Beaujeu!

- zawołała Anna Maria.

- Siostrzeniec de Molaya!

- A więc to prawda.

Guichard de Beaujeu dotarł ze skarbem templariuszy do Gdańska - dodała Michalina.

- Na to wygląda - zgodził się Tomasz.

- Czytaj dalej - ponaglił Katz.

Nie chcąc po ciemku przeprować się przez Wisłę, von Orseln zarządził nocleg w starym, opuszczonym młynie.

W nocy nie mógł spać, a widząc, że von Bode też nie śpi, wyjawiał mu, iż templariusze przywieźli bezcenne skarby, w tym menorę króla Salomona, koronę chrześcijańskich królów jerozolimskich, a także fragment jednej z tablic Mojżeszowych.

Ale najcenniejsza była tajemnicza relikwia o wielkiej mocy.

Podobno za jej sprawą ogromny słup ognia w jednej chwili pochłonął pościg,

który król francuski wysłał za templariuszami.

Sława owej relikwii, sprowadzającej klęskę nawrogów jej posiadacza, już rozeszła się po świecie.

Zginął bowiem dowodzący pościgiem w imieniu króla pande Nogaret, na wieść o tym umarł nagle papież Klemens, a król Filip ciężko zaniemógł i medycy dawali mu najwyżej kilka miesięcy życia.

Co to była za relikwia, nikt nie wiedział.

Podjezwano, że święty Graal, ale prawdę znaleźli tylko templariusze.

Walczący o koronę cesarską Wittelsbachowie i Habsburgowie dali by zaniawiele, ale w myśl umowy zawartej między wielkimi mistrzami bratnich zakonów rycerskich, de Molayem i von Feuchtwangenem, templariusze przywieźli ją do Prus jak poprzednie skarby.

Podjezwając wszak, że ich wcześniejszy depozyt został zdefraudowany, tym razem się zabezpieczyli.

Podjąć skarb, a zwłaszcza ukrytą osobno wszechmocną relikwię, można było tylko za pomocą bliźniaczych pektorałów.

Jeden z nich dostał von Bein, a drugi spoczywał bezpiecznie na piersi de Beaujeu, który, czekając w Gdańsku

na von Orselna, zamówił owe relikwiarze u miejscowego złotnika.

Po czym osobiście zaopatrzył je w inskrypcje zawierające ukrytą wskazówkę, jak odnaleźć tajemniczą relikwię, za co zaręczył rycerskim słowem.

Wielkiemu komturowi bardzo na niej zależało, gdyż uczyniłaby nasz zakon niezwyciężonym, ale, jak zwierzył się von Bodemu, nie miał złudzeń.

W Marienburgu bowiem nie byłoskarbu templariuszy, który w samej rzeczy został już obrócony na potrzeby naszego zakonu.

Reakcję templariuszy łatwo było przewidzieć.

Von Orseln wyznał też von Bodemu, że dosypał templariuszom do wina nasennego specyfiku, i poprosił go w zaufaniu, by pomógł mu spenetrować ich kwaterę.

Jednak templariusze byli ostrożni.

Nie tknęli ani naszego wina, ani jadła, korzystając z własnych zapasów.

A w nocy czuwali na zmianę.

Mimo to dało się stwierdzić, że ani w jukach, ani przysobie nie mieli cudownej relikwii.

Nazajutrz, podczas przeprawy przez rzekę, wielki komtur, o twarzy ponurej i zmizerowanej po bezsennej nocy, odebrał od von Bodego przysięgę, że ów wiernie wykona rozkazy, obojętnie co by się stało.

W drodze do Dirschau von Orseln rozmawiał z Beaujeu, ale von Bode nie dosłyszał o czym.

Widocznie niedoszli do porozumienia, bo.

- To tyle na razie.

Jeszcze nieprzetłumaczyłem reszty.

Ostry dźwięk telefonu w przedpokoju przerwał im rozważania.

Tomasz poszedł odebrać.

- To Jarecki.

Niemógł się domnie dodzwonić, bo zostawiłem komórkę w pokoju - oznajmił po powrocie.

- Formalności skończone.

Anno Mario, zadzień, dwa możesz odebrać ciało ojca.

Jutro komisarz do nas wpadnie, chciałby jeszcze z tobą porozmawiać.

- O czym?

- Tego nie wiem.

Pewnie będzie chciał wiedzieć, czy nie przypomniawsz sobie czegoś.

- Nie mam mu nic do powiedzenia.

- Przemyśl to sobie.

Masz czas do jutra.

Zadumał się, biorąc do ręki rodzinny relikwiarz i przypatrując mi się intensywnie.

Katz rozlał brandy do kieliszków.

Tomasz wypił swoją porcję machinalnie, jakby to była zwykła wódka.

- O czym myślisz?

- zapytała go Michalina, ożywiona po zażyciu

"kropelek".

- O tym, w jaki sposób jeden z bliźniaczych pektorałów trafił do naszej rodziny.

Szkoda, żen nic więcej nam już nie powie.

Dlatego chętnie poznałbym tę legendę o rycerzu na białym koniu.

- Kiedy mówię ci, że rękopis zaginął.

'Tczew; zdobyty przez Krzyżaków w 1309 roku i odzyskany przez Polskę w roku 1466'

148

- A może nie?

Profesor von Baysen odzyskał pamiętnik Helmuta, kiedy zainteresował się aktami Stasi i zgłosił do Instytutu Gaucka.

Dlaczego my nie możemy sprawdzić w IPN-ie, czy nie uchowały się nasze dokumenty zarekwirowane przez UB?

A właściwie, czemu nie pomyśleliśmy o tym wcześniej?

- Ee.

Daj spokój, szkodzacho.

Trzeba pisać podania, wypełniać formularze i czekać Bóg wie ile czasu.

- Zadzwoń do Roberta.

Wiesz, Golińskiego - nestorka rodu Golińskich była przyjaciółką Michaliny, dlatego Tomasz i Robert znali się od dzieciństwa, chociaż nie utrzymywali bliskich kontaktów.

- Był dziennikarzem, ale od roku czy dwóch pracuje w ipN-ie.

Może znajdzie sposób, żeby ominąć procedury.

- Powiadam ci, zostaw to.

Tomasz zmarszczył brwi.

Upór staruszki go zaintrygował.

- Dlaczego nie chcesz, żebym zajrzał do naszych akt?

- Zaraz: nie chcesz.

Nie chcę, żebyś się fatygował po próżnicy.

- Mimo to tak właśnie zrobię - odparł i wstał, mówiąc; - Przepraszam, ale idę zadzwonić do Roberta, a potem muszę się wyspać.

Nie budźcie mnie na obiad.

Adamie, można cię prosić nachwilę?

- Jesteś uparty jak twój ojciec.

Żebyś tylko nie pożałował - pożegnał go ciotka grobowym tonem.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Bażyński przyparł Katz do muru.

- Skąd miałeś tak doskonałe fotografie relikwiarza grunwaldzkiego?

- Z internetu.

- Nie kłam.

W internecie niema nawet jednego marnego zdjęcia.

Sprawdziłem to wcześniej.

- To sprawdź teraz.

- Nie graj ze mną w kulki.

Jeżeli tamsą, to znaczy, że tyje zamieściłeś.

Rany boskie!

- ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się twarzy Niemca, równie zmizerowanej po

nieprzespanej nocy jak jej własna, poczym ze zgrozą opuścił wzrok na ręce tamtego.

-Włamałeś się w nocy do kościoła Świętego Floriana, wykradłeś relikwiarz, a kiedy wracałeś, napadło cię tamtych dwóch oprychów i.

- Nie bądź idiotą- zgasił go Katz.

-I nie szukaj tak melodramatycznie krwi na moich rękach, bo jej tam nie znajdziesz.

Owszem, włamałem się

do kościoła i skarbca, to było banalne!

ale niczego nie ukradłem.

Zrobiłem tylko na miejscu zdjęcia.

Zapewniam cię, że nie zostawiłem żadnych śladów.

- Tak czy owak, to przestępstwo.

Niemiec sapnął z irytacją.

- Ty chyba wciążnie zdajesz sobie sprawy, w co wdepnąłeś.

To nie jest zabawa dla grzecznych chłopców.

Wiedz, że nasz przyjaciel też zjawił się kościele.

Uprzedziłem go o godzinę najwyżej, a potem przepłoszyłem.

Tylko dlatego relikwiarz wciąż jest na swoim miejscu, a dwóch bandziorów gryzie ziemię, bo zaczepili większego od siebie psychopatę.

Więc mi

nie pieprz o etyce.

- Kim ty właściwie jesteś?

- Facetem, który wie, czego chce, marobotę dowykonaniai zrobiwszystko, żeby osiągnąć cel.

Tobie też radzę się określić, albo dać sobie tym spokój.

Jeszcze czas się wycofać.

Potem może być za późno.

Odwrócił się napięcie i zniknął zadrzwiami.

- Proszę.

Wszedł Katz i zamknął zasobą drzwi.

Anna Maria zgasiła papierosa

w doniczce i wróciła do pokoju.

Na znak dany przez dziennikarza przymknęła drzwi balkonowe.

- Nie zamierzasz chyba niczego powiedzieć policji?

- spytał.

- Zastanawiam się.

- Nie możesz tego zrobić.

Nietak się umawialiśmy.

- Wynikły nowe okoliczności.

- Nasza umowa się nie zmieniła.

- Powiedz raczej: szantaż.

-Nie przesadzaj.

Miałaś wybór.

- Wciążmam.

-Wiesz, co to oznacza.

- Wiem.

Dlatego się zastanawiam.

Strasząc, nie ułatwiasz mi decyzji.

- Chciałemci jedynie przypomnieć o konsekwencjach nieprzemyślanych kroków.

Przecież dobrze ci życzę.

Pochwyciłją za ramię i próbował przyciągnąć do siebie.

Wyrwała mu się.

- Łapy przysobie.

-Kiedyś to lubiłaś.

- To było kiedyś.

Jeszcze nie wiedziałam, kim jesteś i jaki jesteś.

- A teraz wolisz Bażyńskiego?

150

A

- Skąd cito przyszło do głowy?

-Bo mam oczy.

I widzę, że ty też coraz bardziej musię podobasz.

- Nie mów, że jesteś zazdrosny.

Przecież dlaciebie to tylko praca.

- Może nie tylko.

Może kiedyś tak było.

Możechciałbym to naprawić.

Może powinnaś daćmi drugą szansę.

Wyczuła szczerłość wjego głosie, ale to jej nie poruszyło.

Nikogotakbardzo nie kochała, ito pierwszą, największą miłością, inikt jej tak bardzo nie zawiódł.

Takie rzeczy można z czasem wybaczyć, lecczapomnieć -nigdy.

- Nie będziemy dyskutować o moich prywatnych sprawach.

Dla ciebieto zamknięty rozdział.

- Jacię jedynie ostrzegam.

Mentalnie to jeszcze chłopiec i nie wiadomo, czy kiedykolwiek dorośnie.

Jeśli chceszmu matkować, nie mojasprawa.

Tylkonie myl niezaspokojonego instynktu macierzyńskiegoz miłością.

- Zbytek troski.

Zwłaszcza że gdyby nie ten chłopiec, jak go nazywasz,wciąż nic byśmy nie wiedzieli.

- Nie przeczę, że ma głowę na karku idużawiedzę.

Nie mam nicprzeciwko niemu, ale oncię nie obroni, jeśli zajdzie takapotrzeba.

- W przeciwieństwie do ciebie.

-Owszem.

Dlatego teraz spakujesz najniezbędniejszerzeczy iza kwadrans zmywamy się cichaczem.

Zamówilem jużnawet dwa pokoje w hotelu niedaleko stąd.

- Dlaczego?

-Bosię o ciebie martwię.

Niepokoi mnie nasz prześladowca.

Zachowuje siędziwnie, dlatego jest nieprzewidywalny i tym groźniejszy.

Pomyśl tylko: kto o zdrowych zmysłach zabija potencjalnie główne źródłoinformacji?

Myślę o zamordowaniu twego ojca.

Potem to włamanie dodomu,idiotyczny napad nad rzeką, no i naszenocne spotkanie w kościele, o którymci opowiadałem.

Odnoszę wrażenie,że ten facet nie mawspólników ani sensownego planu,krąży tylko wokół nas jak samotny wilk, licząc na łut szczęścia i od czasu do czasu folgując żądzy mordy.

Czasem zachowuje się jak zawodowiec, to znów jak kompletny psychol.

"Żałuję, że poprzedniej nocy nie udało mi się go zabić.

Może uda się tej.

Liczysz, że pójdzie za nami?

Mam nadzieję.

Jeżeli mnie rozpoznał w kościele, będzie chciał mnie zabić. A ciebie już raz próbował porwać.

Więc mam posłużyć za przynętę?

Piękne dzięki za taką troskę.

151.

Zaufaj mi.

Nie mam zamiaru narażać cię bardziej niż to konieczne.

Ileto potrwa?

Daję sobie dwie, góra trzy noce.

Najpóźniej w niedzielę wrócimy.

Kiedy Tomasz szedł na kolację, Niemców jeszcze nie było.

Po pół.

godzinie Michalina wysłała go gości.

- Sam?

- zdziwiła się, gdy wrócił.

- Sam.

Nie ma ich.

Zniknęli jak kamfora.

Michalinacieżko osunęła się na fotel.

- Zostali porwani!

A myśmy nic nie słyszeli!

Mój Boże, teraz kolejna nas.

- Nie tragizuj, ciociu.

Nic im się nie stało - podał jej kartkę z krótką treścią: "Nie martwcie się o nas.

Niedługo wrócimy".

- Chwała Bogu, bo już się obawiałam najgorszego.

Coś taki markotny?

Aaa, rozumiem.

Jesteś zazdrosny o Adama.

Uspokój się.

Byli kiedyś parą, lecz to już przeszłość, sama mi powiedziała.

Widać, że on ją wciąż kocha, ale ona jego już nie.

- A mnie jeszcze nie.

- Więc to zmień.

-Jak?

- A skąd, u licha, mam to wiedzieć?

- zirytowała się.

Podczas posiłku była milcząca i zamyślona.

Jeszcze raz próbowała goodwieść od wizyty wipN-ie, co jedynie umocniło w nim wolę dotarcia do rodzinnych akt i pamiątek, jeżeli faktycznie przetrwały.

Odszukałw internecie stronę instytutu.

Kierując się wskazówkami Roberta Golińskiego, znalazł wzory odpowiednich formularzy do wniosków i wydrukował je na swojej nie najnowszej drukarce.

W podwójnej liczbie, ponieważ postanowił skorzystać z okazji zapoznać się z aktami zarówno dziadka, jak ojca.

Wziął długopis i zaczął wypełniać stronę po stronie, bo i tak nie mógł odesłać papierów drogą elektroniczną.

IPN wymagał bowiem, by wnioski o udostępnienie akt przysyłać pocztą lub dostarczać osobiście do regionalnych oddziałów.

Szło mu mozolnie, zwłaszcza gdy zaczął wypisywać "dane dotyczące osoby zmarłej najbliższej wnioskodawcy".

Z ojcem nie miał problemów, ale jeśli chodzi o dziadka, musiał sięgnąć do najniższej szuflady biurka, gdzie przechowywałocalałe dokumenty rodzinne.

Nie było tego wiele.

152

Dreńczyło go pytanie: jaką tajemnicę ukrywał przed nim Michałina?

Ale ponieważ niczego nie wymyślił, zajął się testamentem Krzyżaka, co wkrótce pochłonęło go bez reszty.

- Pan Katz?

- Przy telefonie - odparł, rozpoznając głos recepcjonisty.

Zerknął na zegarek.

Było już po północy.

- Dzwoniłem do pańskiego pokoju, lecz nikt nie odbierał, więc pomyślałem, że może pan być upanny von Baysen.

Przepraszam, jeśli przeszkadzam, ale prosił pan, żeby natychmiast pana powiadomić, gdyby ktoś o państwa wypytywał.

Nie tylko prosił, ale także poparł prośbę banknotem o nominalną wartość sto euro.

- ...

no więc miałem tu przed chwilą wizytę mężczyzny, który podawał się za poszukującego dwójki międzynarodowych przestępców inspektora Interpolu.

Opis pasował do państwa.

Musiałem mu podać numery państwa pokoi, bo widział was wychodzących do naszego hotelu.

Przerwał mu.

- Idzie tu?

- Nie.

Poszedł sobie, zapowiadając, że jeszcze wróci, i zakazując informowania kogokolwiek o jego wizycie pod rygorem sankcji karnych.

- Jak wyglądał ten rzekomy inspektor?

- Przeciętnego wzrostu, barczysty, w średniej klasy ciemnym garniturze, z prochowcem przerzuconym przez ramię i kapeluszem wciśniętym głęboko na oczy. Zauważyłem jedynie, że miał brodę.

Nazwiska nie zapamiętałem, ale mówił z obcym akcentem, a legitymacja wydawała się prawdziwa.

- Zapewne ma takich kilka.

To prywatny detektyw nasłany przez moją zazdrosną żonę.

Zresztą zapewne sam się pan tego domyślił.

- Ale.

- Jestem panu bardzo wdzięczny.

Nie pogńiewa się pan, jeśli ran dotamtej setki dołączy jej siostrabliźniaczka?

W takim razie do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i wtedy zobaczył, że dziewczyna nie śpi.

- Zaczęło się - powiedział i dokręcił tłumik do pistoletu.

153.

Mierzeja Wiślana, 11 maja 1314 (sobota)

- Chryste!

- krzyknął Jean de Beaufort, gdy potężna fala oderwała go od masztu i porwała ze sobą.

Guichard de Beaujeu rzucił mu się na pomoc.

Zdołał złapać de Beauforta za tunikę, ale został ze strzępem odzieży w ręku imógł jedynie bezsilnie patrzeć, jak towarzysz odbija się od burty, daremnie usiłując pochwycić śliskie drewno, i znika w odmętach.

Do końca życia miało przesładować widok przerażonych oczu Jeana.

To już piąty.

Trzech zginęło, walcząc z kaprami, piratami bałtyckimi, którzy zaatakowali ich między Rugią a Bornholmem.

Templariusze bili się jak szatani, lecz tylko swemu niezwykłemu okrętowi i jego zwrotności zawdzięczali ocalenie.

Gdyby to była normalna nieruchawa kogga, wszyscy dali by gardła.

Dwadni temu dopadł ich potężny sztorm i odtąd gnał nieustannie na wschód.

Sześciu majątków zmyło z pokładu i dlatego ci z rycerzy, którzy lepiej od innych znosili chorobę morską, opuścili w miarę bezpiecznego pomieszczenia pod wysokim rufowym kasztem, by pomóc załodze.

Poprzedniego dnia zginął pod spadającą reją kolejny członek drużyny Guicharda.

Zostało ich tylko siedmiu.

Czepiając się czego tylko się dało, de Beaujeu dotarł szczęśliwie do sterówki, gdzie Hugo de Sonnac pomagał szyprowi utrzymać statek na powierzchni.

A wymagało to nieliczej sztuki.

Jednak ogorzała, broda i twarz szyprowa wyrażała żadną emocję.

Flamand Erwin van der Elst znał całe wybrzeże Bałtyku i Morza Północnego jak własną kieszeń, dwukrotnie przeżył zatopienie okrętu, na którym pływał, w walce z kaprami stracił prawie oko, widział wieloryby wielkie jak domy i bałwany wyższe od katedr, i nic nie mogło go zdziwić ani wystraszyć.

Kilka lat temu los zetknął go z Villerssem.

Za namową van der Elsta stary templariusz zamówił w Amsterdamzie nowy typ okrętu, których budowę właśnie rozpoczęli niderlandzcy konstruktorzy, i uczynił Flamandą jego kapitanem.

Trójmasztowy holk, z dwoma prostokątnymi żaglami rejowymi i skośnym łacińskim bezanem, większy równocześnie smuklejszy i zwrotniejszy od koggi, miał na burtach wypisane miano: "Baussant" 1.

Takie samo jak nosił sztandar Zakonu Rycerzy Świątyni i jak brzmiało ich zawołanie - Zmyło Jeana!

- wrzasnął Guichard doucha Hugonowi, przekrzykując wycie wichury i łoskot fal przewalających się przez pokład.

[Godny, piękny.

154

Szyper łypnął jedynym okiem na de Beaujeu i rzuciłmu prosto w twarz tubalnym głosem:

- Sztormustaje!

Za kwadrans będzie po wszystkim!

Byle tylko do tego czasu nie wyrzuciło nas na brzeg!

Po czym to poznał, Bóg jeden wiedział, templariusz zaś z całą pewnością nie. Dla niego burza wciąż szalała w najlepsze, ołowiane niebo wisiało nisko, łącząc się ze wzburzonym morzem w jeden przerażający i wszechogarniający żywioł. Okrętem miało na wszystkie strony.

A jednak po pewnym czasie zaszła jakaś zmiana.

Na razie prawie nieuchwytna, ale nawet niedoświadczone ucho było w stanie wychwycić jakby łagodniejszą nutę w wyciu wichury.

- Tam!

- van der Elst wyciągnął rękę.

- Ład!

Niewiele brakowało.

- Gdzie jesteśmy?

Flamandwzruszył szerokimi barkami.

- Któż to wie!

Mogłona szapędzić aż do Kłajpedy, ale myśle, że to -pokazał palcem nagle światło w oddali, które to pojawiało się, to znikło - Pillau albo Balga.

W tej chwili Hugo złapał Guicharda za ramię.

- Patrz!

Statek!

Wszyscy trzej ujrzeli dużą łódź wiosłową, pozbawioną żagla i połowy masztu.

Pędziła na grzbiecie wielkiej fali, celując prosto w burtę holku.

Do ułamka masztu było przywiązanych dwoje ludzi.

Jeden miał na sobie jaskrawoczerwoną szatę.

Kiedy zbliżyli się tak bardzo, że zderzenie stało się nieuniknione, ujrzeli, bo

nie usłyszeli, że jeden z tamtych, siwy i brodaty, porusza ustami, jakby coś krzyczał.

Drugi milczał, zwracając ku ogromniejszemu w oczach wielkiemu

okrętowi blada twarz okoloną długimi włosami, mokrymi i ciasno przylegającymi do policzków.

Był bardzo młody.

Guichard i Hugon porzucili ster i ślizgając się po mokrym pokładzie, pobiegli w kierunku prawej burty.

W tym samym momencie usłyszeli trzask i lekki wstrząs, gdy łódź całym pędem wbiła się w poszycie holku.

Złapali się relingui odczekali, aż fala przewali się nad nimi, po czym wyjrżeli za burtę.

Starszy z rozbitków cudem zdołał się złapać jakiejś liny wiszącej z okrętu, szczątki łodzi obijały się o burty statku, ale po drugim jednak nie było śladu.

Wtem kilka sążni dalej zobaczyli czerwoną plamę.

Zniknęła zaraz, by znów się pojawić.

Dziś Bahijsk.

155.

- Wciągnij starego!

- rozkazał de Beaujeu Hugonowi, po czym zaczął się mocować z butami, potem odrzucił pas ze sztyletem i skórzany kubrak.

- Co robisz!

- krzyknął deSonnac.

-To szaleństwo!

Próbował powstrzymać przyjaciela, ale Guichard wciąż miał w oczach ostatnie spojrzenie nieustraszonego boju Jeana de Beauforta, pełne rezygnacji i niewypowiedzianej grozy.

Wyrwał się Hugonowi i skoczył do wzburzonego morza.

Zetknięcie z tonią wywołało w nim szok.

Oblewany wcześniej na pokładzie nieskończoną liczbą razy, nie spodziewał się, że woda Bałtyku jest aż tak lodowata.

Zupełnie inna niż w Morzu Śródziemnym, w którym nauczył się pływać i nurkować.

Zimno prawiego sparaliżowało.

Przemógł się i wściekłymi wymachami rąk zaczął walczyć z żywiołem.

Sztorm być może faktycznie ustawał i na okręcie dało się to odczuć, ale nie tutaj, w samym środku kipieli.

Wiekimi nęły, nim dotarł w miejsce, gdzie jak mu się zdawało, ostatni raz widział czerwoną plamę.

Rozpaczliwie wmagając się z napierającymi falami, walczył już tylko o własne życie.

I przegrywał.

Kraków, 2 lipca 2010 (piątek)

- Cześć.

Jest panna von Baysen?

- Cześć.

Nie ma.

Jarecki zmarszczył brwi.

- Jaja sobie robicie?

Cholera, uprzedzałem przecież, że chcę z nią pogadać.

Gdzie jest?

- Nie wiem.

- Kiedy wróci?

- Też nie wiem.

Zmyli się wczoraj z Kaczem po cichu.

Ale zdaję się, że mają jutro zakładzie pogrzebowym "Łąki Raju" załatwić formalności związane z pochówkiem jej ojca, więc powinni się wkrótce objawić.

Wejdziesz, co tak stoisz w progu.

- Spiesz mi się.

Powiedz jej, że bez zgody prokuratora i naszej, nie załatwi.

Zadzwoń do mnie, jak się namyśli.

Macie czas do niedzieli.

Jak nie, w poniedziałek dostanie wezwanie i skończy się taryfa ulgowa.

I niech nie próbuje cichaczem wracać do Niemiec, boją się ściągniemy lotniska - dodał z pogrózką w głosie.

156

- Przekażę.

A propos, ciągle macie dom pod obserwacją?

Policjant się skrzywił.

- A co, tak bardzo rzucają się w oczy?

- Nie, dlatego pytam.

- No to ci powiem, że miałem wczoraj w tej sprawie telefon do komendy.

Dzwoniła twoja dobra znajoma sąsiadka.

- Jaka sąsiadka?

- Apolonia Korzonkowska, wdowa po nieodżałowanym artyście Korzonku.

Jasny gwint, co to za wścibskie babsko!

"Panie oficerze, dzwonię od koleżanki, chociaż to kosztuje, bo uważam za swój obywatelski obowiązek powiadomić - relacjonował, parodiując głos staruszki - że od kilku dni, bo ja, proszę pana, codziennie rano i wieczorem chodzę na cmentarz

Salwatorski odwiedzać grób mojego świętej pamięci męża, zatem od kilku dni o każdej porze dnia i nocy (wiem, bo wczoraj specjalnie wybrałam się na spacer o północy - czasem to spałabym cały dzień, a czasem w ogóle spanie mnie odchodzi - żeby to sprawdzić) w okolicy zbiegu ulic Świętej Bronisławy i Gontyny widzę ten sam biały samochód.

Nie znam się na markach aut, ale ma z przodu takie jakby zet albo leżącą błyskawicę w kółku i rejestrację KR 1283?

, a w nim siedzi zawsze jeden mężczyzna albo dwóch mężczyzn.

Wyglądają bardzo podejrzanie.

Co oni tam robią?

Czy aby czegoś nie knują?

Może szykują napad rabunkowy?

Pan wie, na tym osiedlu ludzie mają po domach obrazy i inne cenne rzeczy, jeszcze sprzed wojny.

Jakby co, to proszę pamiętać, że ja ostrzegałam".

I co ty nato ?

Musiałem jej wyjawić, że to nasi ludzie i mają ważne zadanie do wykonania, mianowicie polują na hieny cementarne, bo niedałaby spokoju.

- Czy ci dwaj nas śledzą?

- Tylko pilnują domu.

A czemu pytasz?

: - Bo ktoś za nami łązi.

Tak przynajmniej twierdzi Katz.

Policjant zmarszczył brwi.

- Ciekawe.

Ten Niemiec to też interesujący jegomość.

Próbowaliśmy zasięgnąć o nim informacji, ale oprócz tego, że faktycznie skończył prawo, ale nie praktykuje w zawodzie i jest dziennikarzem, czy raczej reporterem, nic więcej o nim niewiadomo.

Przez ostatnie kilka lat jeździł po świecie, ale co robił wcześniej, zaraz po studiach,

diabli wiedzą.

Możesz sobie wymyślić ten ogon?

Po co miałby to robić?

- W każdym razie o tym też z obojgiem chętnie bym pogadał.

A swoją drogą, obserwacja waszego domu przez całą dobę kosztuje i absorbuje

157.

zbyt wielu ludzi.

Jeśli nic się nie wydarzy w najbliższym czasie, ściągniemy ochronę.

Zwłaszcza że wasza współpraca przedstawia wiele do życzenia.

No, będę leciał.

Dyrekcja krakowskiego oddziału IPN mieściła się na Reformackiej, tuż obok dużego gmachu, zajmowanego dawniej przez nieboszczkę partię komunistyczną.

Taki swoisty chichot historii.

Ale archiwum znajdowało się w Wieliczce, w dawnym dworze rodziny Konopków.

Po prawie godzinnej jeździe Tomasz zaparkował i wysiadł z dżipa.

Pałac Konopków, który pamiętał jako ruinę, odnowiony za unijne pieniądze na potrzeby IPN-U w 2002 roku, prezentował się okazale.

Fachowym okiem oszacował go napóźnobarokowy lub wczesnoklasycystyczny.

Pokryty czerwona dachówka mansardowy dach współgrał z jasnym frontem piętrowej budowli ozdobionej portykiem.

Razem z zadbanym otoczeniem tworzył harmonijną całość.

Zgłosił się na portierni u umundurowanego strażnika z pistoletem w kaburze u pasa i czekał kwadrans na Golińskiego.

Robert Goliński był niewysokim szatynem z starszannie przystryżoną brodą, rzucającym poważne spojrzenia zza grubych okularów.

Ostatnio zasłynął serią publikacji ujawniających dawnych esbeków, wciąż aktywnych w biznesie i polityce, nobliwych i ogólnie szanowanych obywateli, chlubę ni

Rzeczypospolitej.

Nie przysporzyło mu to przyjaciół, zwłaszcza że nie kierował się żadnymi partyjnymi wskazówkami i wycinał chwasty zarówno z prawej, jak i z lewej strony sceny politycznej, duchownych także nie oszczędzając.

Gołębie na Plantach gruchały, że i jego niedługowytą i w nagrodę za bezkompromisowość odeślą na zieloną trawkę.

Przywitaliszę, Tomasz podpisał się w książce wejść, odebrał swój dowód osobisty od strażnika i dostał plakietkę identyfikacyjną, którą przypiął sobie do kurtki,

po czym dał się poprowadzić na piętro obszernego dworu.

Wszędzie lśniła jednolitą bielą, czystością i nowością.

Na białych drzwiach nie było wizytówek, a jedynie kartki z wykazem osób upoważnionych do wejścia.

Niektóre drzwi miały zabezpieczenia i otwierały się wyłącznie po wsunięciu karty elektronicznej do czytnika.

Przez sekretariat weszli do niewielkiego gabinetu, wyposażonego w nowe brązowe meble'

- Kawę, herbatę?

-Dziękuję.

Przejdźmy od razu do sedna.

158

- Jak chcesz.

Możesz tu zostawić swoje rzeczy.

Przyniosłeś wypełnione

formularze?

-Tak.

- Zdajesz sobie sprawę, że normalnie na wgląd do akt czeka się miesiącami?

Nie tak łatwo je zlokalizować, nie mówiąc o anonimizowaniu kopii.

Przeszli do sekretariatu, gdzie przy dużym biurku zarzuconym papierami, którego sporą część zajmowały dwa porządne komputery, rezydowała żeńska kopia Golińskiego (bez brody), acz starsza od niego, co odróżniało ją od większości tu zatrudnionych, zazwyczaj młodych, a nawet bardzo młodych osób.

Szatynka miernej urody, o poważnym spojrzeniu zza grubych szkielec.

Jej cerabarwą przypominała pożółkły zestarzony papier, świadcząc o doskonałym przystosowaniu niewiasty do środowiska pracy.

Efekt mimikry dopełniała kwaśna mina.

- Pani Joanna przejrzy formularze, a ja pójdę do referatu udostępniania zobaczyć, czy już mają coś dla nas.

Co cię interesuje, sprawa dziadkaczy ojca?

- Obie.

I wszystko inne.

Zwłaszcza rodzinne pamiątki.

- Chcesz je odebrać?

- A można?

- Można.

Natomiast z akt na razie dostaniesz kopie do wglądu.

Pani Joasiu, przygotuje pani odpowiednie papiery?

- No nie wiem, to wbrew procedurom.

- marudziła, patrząc na Tomasza bez sympatii.

Przypominałam zasuszoną dziewicę, od co najmniej dziesięciu lat uwięzioną w wieży daremnie czekającą na swego rycerza.

- Dyrektorowi by się nie spodobało.

- Pani Joasiu, proszę to zrobić dla mnie.

A poza tym rozmawiałem o tej sprawie z dyrektorem.

Nie dzwonił jeszcze do pani?

Surowe spojrzenie zasuszonej dziewicy złagodniało i cząstka ciepła objęła także Tomasza.

- No dobrze.

Dokument tożsamości poproszę oraz dwa dokumenty potwierdzające pokrewieństwo zgon osoby, której akta mają być udostępnione.

Pół godziny trwało wypełnianie papierów i użeranie się Tomaszowi upierdliwą panią Joanną, na którą jego osobisty urok działał mniej więcej tak, jak na niego obiecanki polityków - spływał niby woda po gęsi.

Z ulgą przyjął pojawienie się Golińskiego.

Gotowy?

To chodź.

Pani Joasiu, poproszę papiery.

Sam je zaniosę do referatu udostępniania.

- Ale panie Robercie!

- zaprotestowała sekretarka.

- Pan Bażyński dostarczył dokumentu potwierdzającego jego pokrewieństwo w linii prostej od Stefana Bażyńskiego.

- Tłumaczę tej pani - wyjaśnił Tomasz, pilnując się, by niezgrzytać zębami - że przyszedłem tu właśnie po to, by odzyskać taki i inne dokumenty dziadka.

- Pani Joanno - powiedział Goliński, bezceremonialnie wyjmując kobiecie z rąk papiery - skoro obecny tu Tomasz Bażyński jest synem Jerzego, a Jerzy był synem Stefana, jak to jasno wynika z tego tu - stuknął palcem w odpowiedni dokument - aktu urodzenia, to jakie ma pani jeszcze wątpliwości?

- Ale przepisy.

Wyszli, przerywając litanię utyskiwań.

Zeszła na parter.

- To czytelnia.

Wyżej mamy osobną dla dziennikarzy i naukowców.

Tutaj ludzie dostają akta do wglądu.

Niech cię nie zmylą te cztery biurka.

Na ogół wolimy, by klienci oglądali akta pojedynczo, bo różnie reagują.

Wypełniłeś "wniosek o wydanie niezanonimizowanych kopii dokumentów" czy "wniosek o udostępnienie do wglądu zanonimizowanych kopii dokumentów"?

- Oba, na wszelki wypadek.

I jeszcze "wniosek o wydanie przedmiotów znajdujących się w archiwum IPN".

Tak jak mi poradziłeś przez telefon.

- Dobrze.

Przedmioty będziesz mógł odebrać od razu, do zanonimizowanych akt sobie zajrzysz na miejscu, a niezanonimizowane odbierzesz później, jeśli ci się uda dostarczyć naukowemu podkładkę.

Poczekaj chwilę, bo muszę oddać formularze kolegom i wziąć od nich namiary na wasze akta.

- Co właściwie znaczy: zanonimizowane?

-Wyczyszczone z nazwisk osób trzecich.

Poszedł do sąsiadującego z czytelnią pomieszczenia, gdzie przez otwarte drzwi widać było krzątających się pracowników.

Tomasz został w czytelni.

Pokój był zaopatrzony w lustro weneckie, z drugiej strony którego była wnęka z kserokopiarką.

Bażyński domyślił się, że lustro instalowano jedynie z troski o silnie reagujących czytelników.

- No to teraz do referatu gromadzenia.

Czyli do archiwum - powiedział wracający Goliński.

Małe magazyny, zabezpieczone pancernymi drzwiami (z czerwoną tabliczką: "Nieupoważnionym wstęp wzbroniony") i stalową kratą, mieściły się w piwnicach, w starej części, pamiętającej powstanie pałacu w końcu XVIII wieku.

160

- W tych klitkach - Goliński pokazał liczne drzwi w korytarzu - trzymamy mikrofilmy i takie tam różnego rodzaju. Na przykład sztandary ORMO przywiezione z jakiejś komendy policji.

Nie bardzo wiadomo, co z tym badaniem zrobić, no to przechowujemy.

A oto główny magazyn.

Poszli do nowo dobudowanej części magazynowej.

W pierwszym pomieszczeniu były biurka, za którymi urzędowało dwóch pracowników w zielonych kitlach.

Za nimi pod ścianą stały otwarte regały, na których leżały akta przygotowane do wydania.

- Macie to, o co prosiłem?

- spytał Goliński.

- Tak - jeden z młodzieńców zdjął półki dwa szare kartonowe pudła i położył na biurku.

- To akta twojego dziadka - powiedział Goliński do Bażyńskiego.

-Dobra, Janku, odnieś to do referatu udostępniania.

A Ciebie, Zenku, poproszę, byś mi znalazł to - podał drugiemu jakąś kartkę.

- Topografia: magazyn 001, regał 48 półka 009, metr 30.

- mruknął Zenek, młodziano wyglądzie d'Artagnana, zerkając na kartkę.

- Proszę za mną, panowie.

Główny magazyn (001) był ogromną halą, wymalowaną białą i błyszczącą nowością, jak wszystko w tym gmachu, z rzędami metalowych popielatych regałów i antypoślizgową podłogą tej samej barwy.

Przy wejściu stały niebieskie wózki na akta.

- Jezu!

- westchnął Tomasz na widok istnego labiryntu tworzonego przez niekończące się rzędy regałów.

- Mamy tu sześć kilometrów akt!

- pochwalił się Zenek.

- I pięćdziesiąt podwójnych regałów.

Czterdzieśmiósmi będzie na samym końcu.

Wszystkie regały były wypełnione tysiącami żółtych kopert i tekturowych pudeł.

W powietrzu unosił się charakterystyczny, duszący zapach starego papieru.

Kluczyli między regałami niczym wędrowcy uliczkami średniowiecznego miasta.

- Rany!

Jak wy się w tym orientujecie?

- Widział pan, że mamy system - odparł Zenek.

- A poza tym kwestia wprawy i doświadczenia.

Stop!

Jesteśmy na miejscu.

Faktycznie regał miał na boku niebieską liczbę: 48.

Pracownik zwolnił rękę i obracając trójramiennym pokrętle, rozdzielił regał na dwie połowy.

Potem podniósł przenośne aluminiowe schodki i poszedł na koniec regału po akta.

161.

- Każda półka - wyjaśniał tymczasem Goliński Bażyńskiemu - majeden metr.

W sekcji jest ich dziewięć, licząc od dołu.

- Ej, odbierzcie to ode mnie!

- zawołał z głębi Zenek.

- Czy to akta mojego ojca?

- spytał Tomasz.

- Nie, inne.

Do sprawy, którą się aktualnie zajmuję.

Chciałem ci poprostupokazać, jak działa system wyszukiwania akt -odparł Goliński.

- Te dotyczące twego ojca już odrana sąw referacie udostępniania, gdzie je kopiują i anonimizują.

To piekielnie żmudnarobota i nie magwarancji, że zdążą się z tym dziś uporać, mimo iście wariackiego tempa.

Docień to.

- Doceniam.

Czemu zawdzięczam takie nadzwyczajne potraktowanie?

- Twojej ciotce.

Kiedy na mojej babci konowały postawiły krzyżyk, twoja ciocia, dzięki swoim znajomościom, w ekspresowym tempie załatwiła jej operację u najlepszego specjalisty w kraju i niewątpliwie uratowała życie.

Wiedziałaś o tym?

Parę minut później wrócili do czytelnii.

Zanieśli przyniesione pudłado pracownii, a wzięli stamtąd akta Stefana Bażyńskiego i położyli nabiurku.

Akta Jerzego Bażyńskiego byływciąż kopiowane.

- Twój dziadek zmarł w 1952 roku, jeśli dobrze pamiętam?

- spytał Goliński.

- Tak.

Oficjalna wersja: natyfus plamisty.

Rodzina dostała ciało w zaplombowanej trumnie, której nie wolno było otworzyć.

- To i tak mieliście szczęście.

Wieleosóbdo dziś nie wie, gdzie sązwłoki ich krewnych.

Przypomnij sobiesprawę Ognia.

- Wiesz, cojest w tym najbardziej paradoksalne?

To, że dziadkowiudało się uciec gestapowcom w 1945, a siedem lat później w tym samymmiejscu zakatowali go rodacy, jeśli bolszewikówmożna nazwać tymmianem.

- Niektórzy do dziś mają ich za prawdziwych patriotów.

Dom Śląski, w którym Polakównajpierw mordowali hitlerowcy, a potem komuniści, jest symbolicznym dowodem, że między oboma systemami można postawić znak równości.

Szkoda, że mało ktoma tego świadomość.

Spójrz, to należało dotwegodziadka.

Powinien zdać po wojnie, ale widocznie zachował jako pamiątkę.

Dla ubeków był to koronny argument, że znalazł dozbrojnego podziemia szykującego się do obalenia najlepszego z ustrojów.

Wyjął z jednego pudła pistolet.

Tomasz wziął go do ręki ze wzruszeniem.

To tą bronią udentystyjego dziadek wyciął w gębę Helmuta vonBaysena.

162

- To samopowtarzalny sauer 38H, kaliber 7,65milimetra.

Z magazynkiem na osiem naboii.

Oczywiście terazrozładowany, ale wciążsprawny.

Już poprzednio to mnie uderzyło.

Topierwszy taki wypadek, żeby brońznajdowała się w naszych aktach.

Zwykle ubecy odrazu ją sobie zabieralialbo niszczyli.

Jeśli go odbierzesz, będziesz musiał wystąpić o pozwoleniena broń.

Bażyński odłożył pistolet.

Oprócz niego były w kartonachinne pamiątki: plik świadectw szkolnych i rozmaitych dokumentów, zktórychnajstarsze, jak zdążył się pobieżnie zorientować, sięgałyxviii

wieku.

Były też trzy albumy ze zdjęciami, a w osobnej teczce znalazł gruby plik po żółtych kartkach oprawionych w jedwab, z tytułem na pierwszej stronie: *Niestłuchana opowieść rodzinna o rycerzu na białym koniu i pięknej dziewczycy*, spisana na wieczną rzecz pamiątkę przez Anastazję de Baysen-Bażyńską w roku Pańskim 1801.

- Dziwię się, że pani Michalina nie odebrała tych rzeczy - powiedział Goliński.

- Była tu?

Powinien być zaskoczony i jeszcze poprzedniego dnia by był.

A teraz nawet go nie zdziwiło, kiedy Goliński powiedział "już poprzednio to mnie uderzyło", co oznaczało, że musiał mieć z tym wcześniej do czynienia.

- Pięć lat temu.

Właśnie zacząłem pracę w instytucji była moją pierwszą klientką.

Pewnie moja babka ją przysłała.

Pamiętam, że bardziej interesowały ją akta twego ojca, ale nie uzyskała do nich dostępu, bo prawo ściśle reguluje, jaki rodzaj pokrewieństwa do tego upoważnia.

Jednak dzięki tej wizycie akta dziadka masz już gotowe, a dotyczące ojca łatwiej było zlokalizować.

Inaczej w żaden sposób nie udałooby się udostępnić ci tych akt w tak krótkim czasie.

Oprócz dobrych przyjaciół masz także kupę szczęścia.

Zostawię cię teraz, żebyś w spokoju przeglądała sobie te akta, i zobaczę, czy już ci skserowali następne.

Odlóż potem to, co chciałbyś zabrać.

Wziął ze sobą oryginały akt Stefana Bażyńskiego, zostawiając Tomaszowi kopie, wykonane kilka lat temu dla Michaliny.

Wrócił po ponad godzinie z kserokopiami akt Jerzego Bażyńskiego.

Kiedy po raz kolejny zajrzał do pokoju, Tomasz wciąż siedział za stołem, całkowicie pochłonięty lekturą, na luźnych kartkach sporządzając notatki.

Wycofał się dyskretnie.

Po następnej godzinie nic się nie zmieniło, ale przerwał Bażyńskiemu.

Musisz już kończyć.

Za półgodziny zamykamy.

Już skończyłem.

163.

Tomasz wziął ze stołu notatki i wstał.

Był blady jak śmiertelny całuni chwiał się na nogach jak pijany.

- Zostaw resztę jak jest.

Ja to uporządkuję - powiedział Goliński.

Pomógł Bażyńskiemu zebrać rodzinne pamiątki i zadbał, by formalności związane z ich odbiorem trwały krótko.

Odprowadził Tomasza do

wyjścia, silnie podtrzymując go pod ramię.

- Pamiętaj, Tomaszu - odezwał się do milczącego Bażyńskiego - zeczęsto zapominamy, iż głównymi winnymi i prawdziwymi zbrodniarzami byli ubecy i esbecy oraz ich zwierzchnicy z PZPR.

To ich powinniśmy bezwzględnie ścigać, ujawniać i rozliczać.

Ludzie zmuszeni przez nich do współpracy, to jednak ofiary.

- Czytałeś te akta?

-Nie.

Ale setki innych.

I domyślam się, co w nich znalazłeś.

Mogę ci na pociechę powiedzieć, że należy rozróżniać, co poszli na współpracę.

Jedni byli szantażowani, na przykład grożono im porwaniem dzieci.

Tych można zrozumieć, zwłaszcza jeśli ich donosy nikomu nie zaszkodziły.

Inni powiadomili towarzyszy albo kurie i prowadzili podwójną grę.

Tych należy podziwiać.

Był też niestety tacy, którzy donosili chociaż, bo na przykład nie dostaliby paszportu na ważny dla kariery wyjazd zagraniczny albo chcieli komuś zaszkodzić.

I dla tych nie ma sprawiedliwienia.

Dlatego lustracja jest niezbędna i powinna być zrobiona już dawno, tak jak to uczynili Niemcy po przyłączeniu NRD.

Bezpozbicia się upiorów przeszłości nigdy nie uda się zbudować przyzwoitej teraźniejszości, opryszłości nie wspominając.

Twój przypadek, jeśli wolno wiedzieć, należy do której kategorii?

- Do najgorszej.

- No cóż.

Tomasz, pogrążony w dziwnym amoku, odebrał zrak znajomego plecaczka z odzyskanymi pamiątkami, uściśnął dłoń Golińskiego i opuścił gmach.

Nie pamiętał, jak dotarł do domu.

- Zjesz obiad?

Ciotka musiała go wypatrywać, bo czekała na niego w sieni.

- Nie będę nic jadł.

Nie przełknąłbym.

Dlaczego mi nie powiedziałaś!

- Wybuchnął.

- Bałam się, jakto przyjmiesz.

Poza tym nie miałam pewności.

- Niejestem dzieckiem.

Powinnaś była mi powiedzieć.

- Wybacz starej kobiecie, która chciała ci oszczędzić przykrości.

- Powiedz mi jedno, bo tego w aktach nie znalazłem: czy ona wiedziała?

164

W oczach staruszki widniało współczucie równie wielkie, jak ból w głosie Tomasza.

- Nie wiem.

Nigdy nie miałam odwagi zapytać, a akt nie chcieli mi wydać.

- Ale podejrzewałaś prawdę?

- Od początku.

Dlatego zrobiłam to, co zrobiłam.

Wybaczysz mi?

- Tobie nie mam czego wybaczać.

- I nie gniewasz się na mnie?

- Nie, ale teraz potrzebuję spokoju.

Ociężałym krokiem poszedł na górę do siebie.

Plecak rzucił w ką.

Położył się na łóżku, założył ręce pod głowę i leżał jak trup, martwym wzrokiem gapiąc się w sufit.

Rozmyślał.

Nawet nie zauważył, jak zapadł zmierzch i w pokoju pociemniało.

Nareszcie wstał, wyjął akta z plecaka i rozłożył je na biurku.

Ręce mu się trzęsły.

Oddzielił papiery dziadka od tych dotyczących ojca.

Te ostatnie posegregował chronologicznie i pochylił się nad pierwszą kopią.

1986 czerwiec.

Warszawa - Informacja dotycząca Solidarności Walczącej, opracowana w MSW, tajna

Solidarność Walcząca jest organizacją o programie ekstremistycznym, zdecydowanie antykomunistycznym, z tendencjami dostosowania przemocy w walce politycznej.

Program sw odznacza się - w stosunku do innych struktur konspiracyjnych i grup antysocjalistycznych - największą agresywnością.

W odróżnieniu od Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej Lecha Wałęsy sw odrzuca możliwość kompromisu z władzą, motywując to powodami moralnymi i racjonalnymi, sw na tle innych grup konspiracyjnych wyróżnia się prężnością organizacyjną oraz ścisłym przestrzeganiem zasad konspiracyjnych (osoby nowo wstępujące są sprawdzane, muszą posiadać rekomendacje członków wprowadzających, składają przysięgę).

Poza Wrocławiem, gdzie znajduje się centrum kierownicze, czyli Rada sw z Kornel Morawieckim na czele, istnieją ogniska organizatorskie w wielu miastach, a także grupy działania m.

in. w Krakowie, gdzie szczególną aktywnością wyróżnia się Jerzy Bażyński [].

Od samego początku działalności konspiracyjnej Kornel Morawiecki, w przeciwieństwie do Władysława Frasyniuka, wypowiada się za stosowaniem bardzo

ostrych formWalki, ujawniając się również jako zwolennik terroru politycznego.

[...]

]

Źródło: AIPN Kr, 022/111)6, k.

48-52,mps.

Druga brzmiała następująco:

1986 sierpień 30, Kraków - Meldunek nr365 o założeniu soji'

kryptonim, Krety", sygnowany przez zastępcę naczelnika Wydziałum wusw w Krakowie kpt.

[...]

], tajne specjalnegobaczenia

W nomenklaturze SB: Sprawa Operacyjnego Rozpracowania.

165.

W dniu 15 viii 1986 r.

założonosprawę operacyjnego rozpracowania krypt[onim]"Krety" na: nr rej [estracyjny] KRA 53 385 - Bażyński Jerzy, s.

Stefana, ur.

2 vi 1951 r.

Kraków, Piasty wykładowca ASP, żonaty, jeden syn.

Adres: Kraków, ul.

Gontyna 98.

Na bazie materiałów uzyskanych z wiarygodnego źródła informacji ustalono, iż wyżej]

wymieniony] prowadzi nielegalną działalność w ramach organizacji Solidarność Walcząca.

Celem prowadzonego rozpracowania krypt[onim] "Krety" jest udokumentowanie tego Wrogiem działalności, rozpoznanie konspiracyjnych kontaktów i doprowadzenie do likwidacji nielegalnej struktury.

Sprawę prowadzi: ppor.

[...]

Źródło: AIPN Kr,054/1610, k.

i, mps.

Następna wysunęła się z pominięciem kolejności, jakby sama zapraszała do przeczytania.

SS maj 16, Kraków - Uzupełnienie meldunku nr 220 do SOR kryptonim . Krety", sygnałne przez zastępcę naczelnika Wydziału ni wusww Krakowie, mjr.

[...]

], tajne specjalnego Baczenia

w dniu 4 maja br.

przeprowadzona została rozmowa profilaktyczno-ostrzegawczą figuranta sprawy Katarzyną Bażyńską, c.

Romana i Janiny z d[omu] Wnuk,r- 81 1953 r.

Wrocław,mająca nacelu zwiększenie wysiłku wychowawczego wymienionej stosunku do jej syna Tomasza (uzyskano wiarygodną informację, że Tomasz Bażyński, - malował hasła prosolidarnościowe na murze szkoły w okresie przed i-majowym).

Katarzyna Bażyńska zobowiązała się do takiego zachowania,jednak jak ustalono, zarazPotemwyjechała z mężem do Wrocławia, syna zostawiając pod opieką stryja.

Treść powyżej rozmowy Katarzyna Bażyńska przekazała mężowi,który z kolei podzielił się swymi uwagami z TW [.

] nr rej [estracyjny] KR/19156 pseudonim] "Lesio" i/lub "Historyk", który zaraz przekazał informację naszym organom z uwagą, że figurant nie szczędził pod adresem w wyżej wymienionych] służbów ogólnie uznawanych za niecenzuralneOdgrażał się, że "już niedługo na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści".

Prowadzący: ppor.

Źródło: AIPN Kr, 051/1518, k.

6, mps.

Oczy mu się zaskliły.

Patrzył w kartę i nie widział liter.

Za to przyPomniął sobie, jak to było.

Cała klasa druga a pod kierunkiem wychowawczyni zajmowała się malowaniem na kartach z bloku rysunkowego obrazków związanych ze Świętem Ludzi Pracy, którymi potem zamierzano umaić salę lekcyjną.

Przeważał motyw gołąbka pokoju (zgałązką oliwną w dziobie)na czerwonym tle.

Panipodchodziła kolejno do każdego dziecka i albo głaskaniem po głowie wyrażała swoją aprobatę, albo sugerowała poprawki.

Stanąwszy przy ławce Tomasza, uchodzącego za najlepszego plastyka w klasie, osłupiała.

Zamiast gołąbka na biało-czerwonym tle przeżył się dumnie biały orzeł bez pardonu

dziobiący

166

powalona wrone, aż sypało się wokół czarne pierze.

Obrazek uzupełniał napis "solidarycą": "wRON-a1 Orła nie pokona".

Wracając do domu z obniżonym zachowaniem i stosownym wpisem do dzienniczka, wzywającym rodziców do szkoły w trybie pilnym, Tomasz zabrał kawałek kredy, z pomocą której sprofanował nasz szkolny mur ideą świętapaństwowego: "i MAJA - ŻEWNE JAJA!

".

Ojciec najpierw przełożył go przez kolano i dał parę klapsów, tłumacząc, że "rzewne" pisze się przez "rz" oraz że dzieci nie powinny używać zwrotów zasłyszanych od rodziców, zwłaszcza tych, których znaczenie nie rozumieją, a przede wszystkim - że nie należy bawić się na murach.

Acz zgodził się z argumentem Tomasza, że większość murów jest i bez tego szpetna i odrapana.

Zaś po wizycie matki w domu zmodyfikował swój wyrok, który od tamtej pory brzmiał następująco: nigdy nie pisz po murach przyświadcach, bo nie wiadomo, który z nich jest kapusiem.

Niedługo potem Tomasz stracił ojców i wspomnienia o nim coraz bardziej się zacierają.

Chyba że tak jak teraz coś sprawiało, iż stawały przed oczyma jak żywe.

Nie mógł czytać dłużej.

Poskładał papiery, schował je do dolnej szuflady, podparł się na łokciach i wpatrzył w okno.

Brak ojca stanowił mniejszy problem.

Jakoś się z nim czasem uporał, chociaż patrząc chłodnym okiem, musiał przyznać, że być może wywarło to większy wpływ na jego charakter, niż dotąd przypuszczał.

Zarówno dziadek, jak i ojciec byli twardymi, a przy tym szlachetnymi mężczyznami, pełnymi szczytnych ideałów, mającymi jasno określone cele życiowe i niezbaczącymi z wytyczonej drogi wbrew wszelkim przeciwnościom losu.

Tomaszaki nie był, chociaż wzbierał się przed określeniem "mięczak".

Niemniej posagowe postacie ojca i dziadka przytłaczały go i wpędzały w kompleksy, z którymi usiłował walczyć z umiarkowanym powodzeniem.

Było jednak coś znacznie gorszego, coś z czym nigdy się nie uporał.

Ba! Nawet nie próbował, upychając ten problem w najdalszych zakamarkach podświadomości.

Niedawno nareszcie odważył się przyznać przed samym sobą, iż w głębi duszy zawsze podejrzewał, że matka zdradzała ojca.

I nie chodziło jedynie o zdradę małżeńską.

A coś takiego nie mogło nie odbić się na psychice dorastającego chłopca.

Nie potrzebował psychologa, by uświadomić sobie, że to mogło być podłożem jego kłopotów

' WRON - Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (szyderczo przezywana Wroną), nazwaneżymu komunistycznego rządzącego bezpośrednio po wprowadzeniu stanu wojennego 13 xii 1981 roku.

z dziewczynami.

I tego, że w gruncie rzeczy żadnej nie szanował, a w konsekwencji nie był w stanie żadnej zatrzymać przy sobie na dłużej.

Dopiero teraz dojrzał do tego, by wyświetlić tę niszczącą go wątpliwość w myśl zasady: co nas nie zabije, to nas wzmocni.

Inaczej ewentualny związek z Anną Marią nie miał przyszłości, jak wszystkie poprzednie.

Wizyta w IPN-ie był pierwszym krokiem w dotarciu do prawdy.

Teraz czekał go następny, jeszcze trudniejszy.

Okolo północy pozbiierał się na tyle, że mógł się zająć testamentem von Tettingena.

Sięgnął po słownik łacińsko-polski i zabrał się do pracy.

Brodacz znów sterczał po drugiej stronie ulicy Kościuszki i nadal się wahał. Katz dobrzego określił.

Był jak samotny wilk.

Łowy były jego żywiołem.

Polując, mógł przez kilka dni inocy z rzędu zadowalać się minimalną dawką snu i pożywienia, niezmordowanie krążąc wokół swoich ofiar i czekając na dogodny do uderzenia moment.

Policjanci niczego nie zauważyli, lecz od razu dostrzegłoby je Niemców wymykających się z willi tylnym wyjściem.

Rozdzielenie się śledzonych nie było münarekę.

Nie mógł się przecież rozdzielić.

Pożałował, że jednak nie dopuścił Klossa do spółki.

Humor mu się poprawił, gdy okazało się, że Niemcy przeniesli się za ledwie kilka przecznicy dalej.

Widocznie pokłócili się gospodarzami.

Mimo to jego niemal zwierzęcy instynkt nakazywał mu ostrożność.

Wrócił na kwaterę, by spośród dostarczonych przez Klossa dokumentów wybrać

odpowiedni, należycie go spreparować, przybrać postaćinspektora Interpolu i dopiero wtedy zjawić się w hotelu.

Kusiło go, bynatchmiasz wykorzystać zdobyte informacje i załatwić sprawę od ręki. Ale zdołał się pohamować.

I całe szczęście, bo recepcjonista zaraz porozmowie z nimchwycił za telefon. Obserwował to zza przeszkłonych drzwi.

I wycofał się rakiem, przypominając sobie kule świszczące mukoło uszuw kościele Świętego Floriana.

Jak doświadczony basior nie tykaszatrutej przynęty, choćby byłazastawiona nie wiadomo jak umiejętnie, tak on wyczuwał pułapkę z podobną nieomylnością.

A jednak tej nocywrócił tu, jakby przyciągany przezniewidzialnymagnes.

168

Katz jużdrugą noc czatował w pokoju dziewczyny, którą odesłałtaksówką na dworzec, upewniwszy się, że niebyła śledzona.

Z własnej pościeli zrobiłtumor, zgrubsza przypominający ludzką sylwetkęi umieścił go w łóżku Anny Marii.

Światło nocnej lampki skierował w bokaby łóżko pozostawało w półmroku.

Sam siedział wfotelu w najciemniejszym kącie, tak jak poprzedniej nocy, icierpliwie czekał.

On takżebardzo długopotrafił obywać się bez spoczynku.

Około drugiej wreszcie coś usłyszał.

Wpierw myślał, że to złudzenie.

Że napięte nerwy płatają mu figła.

Ale potemledwiesłyszalny szmerpowtórzyłsię.

Jednak dobiegał nie stąd, lecz zza ściany.

Z jegopokoju.

To było logiczne.

Morderca musiał go wyeliminować, jeśli chciał dobrać się do dziewczyny.

Kiedy się zorientuje, że nie ma go w pokoju, przyjdzie tutaj.

Postanowił go uprzedzić.

W samych skarpetkach przebiegł przez pokój i ostrożnie wyjrzałna korytarz.
Żywego ducha.
Dyskretnie rozmieszczone lampki dawałniewiele światła.
Zakradł się pod swój pokój.
Dopiero teraz wyjął nawierzch skrywany pod koszulą pistolet z tłumikiem, a lewą
rękądotknąłdrzwi.
Łatwo ustąpiły.
Były niedomknięte.
Ruchem łasicy wślizgnął siędo wnętrza.
Ciemniejszy od nocnej czerni cień pochylał się nad komodąiprzeglądał
wysunięteszuflady.
Katz napiąłmięśnie i skoczył.

Okolice Dirschau, 30 maja 1314 (czwartek)

Odkąd przeprawiłsięprzezWisłę, Werner von Orseln nie odezwałsię słowem.
Przez całą drogę bił się z myślami, był bowiem człowiekiemprawym i uczciwym.
Dlatego właśnie jegoupodobał sobie wielki mistrzKarol z Trewiru,który przerażony
rozprężeniem i upadkiem moralnymZastany w zgromadzeniu po swoim
poprzedniku, dążył do moralnegouzdrowienia zakonu.
Napotkał jednakna silny opór, który groził wręczbuntem i obaleniem wielkiego
mistrza.
Na czeleopozycjonistów stalikomtur chełmiński Otto vonLutterberg, wielki szpitalnik
Friedrich vonWildenberg i wielki marszałek Heinrich von Plótzkau, okrutnik
wsławionyzdobyciem Pomorza Gdańskiego, zaufany poprzedniego wielkiegoMistrza
von Feuchtwangena.
Kiedy więc Karol z Trewiru wyznaczył

von Orselna do pertraktacji z de Beaujeu, komtur Malborka dostrzegł wielką szansę na wzmocnienie pozycji wielkiego mistrza i własnej.

Dawało ją posiadanie niezwyklej relikwii, której sława już dotarła nad Wisłę.

Któż ośmieliłby się zbuntować przeciw właścicielowi cudownej rzeczy, zdolnej błyskawicznie wyprawić na tamten świat całą armię?

Była jeszcze jedna myśl, którą von Orseln odsuwał od siebie, lecz stale wracał jak diabelski podszept: gdyby ją miał, zostałby z pewnością następnym wielkim mistrzem.

Ale to wszystko i tak były mrzonki.

Z prostego powodu.

Skarb templariuszy, depozyt w dobrej wierze oddany Krzyżakom na przechowanie, został przez nich sprzeniewierzony.

De Beaujeu miał rację.

Von Orseln, komtur Marienburga, wiedział o tym najlepiej, chociaż nie maczał w tym palców ani on, ani von Trier.

Kiedy bowiem przed kilkoma tygodniami objął swój urząd, napotkał pustki w skarbcu.

Przeniesienie stolicy z Wenecji do Marienburga, budowa nowego domu głównego, podbój Pomorza, zaspokojenie roszczeń Brandenburczyków oraz opłacenie przychylności papieża i cesarza pochłonęły krocie i nie powiodłyby się, gdyby von Feuchtwangen bez wahania nie rozdysponował depozytu.

Nie ma poprzedniego skarbu, nie będzie następnego ani wszechmocnej relikwii.

A swoją drogą, co to może być?

Co ma aż taką moc?

Poprzedniego dnia kazał młodemu Heinrichowi von Bodemu, któremu nie tylko broda, ale nawet wąs nie chciał się jeszcze puścić, by dyskretnie sprawdził jak itemplariuszy.

Żadnego relikwiarza tam nie było.

Może de Beaujeu nosił relikwię przy sobie?

A może faktycznie gdzieś ją ukrył.

W takim razie pozostało już tylko jedno.

Odsuwał to jako ostateczność jak długo się dało, lecz nie mógł już czekać.

Pod wieczór powinni dotrzeć do Marienburga, a tam wszystko się wyda.

W gruncie rzeczy od początku brał taką ewentualność pod uwagę i dlatego przedzierali się mało znanymi traktami, omijając większe zamki i miasta.

Im mniej świadków, tym lepiej.

Zawstydzony, podjął ostatnią próbę znalezienia innego wyjścia.

Zwolnił, przepuścił kilku swoich ludzi i zaczął czekać, aż de Beaujeu się nim zrówna.

- Zastanawiałeś się, bracie de Beaujeu, co będziesz robił potem, kiedy już się przekonasz, że wasz depozyt przetrwał w nienaruszonym stanie?

Zabierzesz go ze sobą?

- zagaił.

- Czyż wówczas przywoziłbym wam następny?

Nie, wypłacę jedyną należną odsetkę za dotychczasową pieczę.

A reszta skarbów niechaj nadal bezpiecznie spoczywa pod waszą opieką.

Przynajmniej do czasu, aż nasz zakon znajdzie sobie nową siedzibę.

- Gdzie, jeśli wolno wiedzieć?

- Ponoć daleko na zachodzie, za oceanem, jest nowy, nieznaną ląd, do którego już kiedyś dopływały nasze okręty.

Może tam?

Brat de Villers zamierza niedługo podjąć rozpoznawczą wyprawę.

- A ty?

Dokąd od nas pojedziesz?

Do Francji?

Słyszałem, że uznanym za niewinnych i tym, którzy dobrowolnie poddali się decyzji papieża, przyznano pensje i pozwolono mieszkać w dawnych domach Świątyni bądź w innych klasztorach, byle w niewielkiej liczbie.

Jeśli do roku nie stawisz się przed synodem, ogłoszą cię heretykiem i nigdy nie będziesz mógł wrócić do kraju.

A może zamierzasz pojechać do Szkocji, aby razem z de Villerssem odtworzyć waszą

wspólnotę albo szukać nowej siedziby za oceanem?

Czy raczej wstąpisz do joannitów?

Ze ślubów zakonnych nie zostaliście wszak zwolnieni.

Acz ponoć niektórzy z was pobrali sobie konkubiny, a nawet pożenili się.

- Jeszcze nie zdecydowałem - uciał de Beaujeu, który od kilku dni nie mógł spać, myśląc tym samym.

- A może przystaniesz do naszego zakonu?

Zagwarantowałibyśmy tobie i twoim towarzyszom odpowiednio wysokie godności.

Może nawet wspólnie objęlibyście którąś z komturii na pograniczu z Litwą.

Mielibyście wówczas sposobność do tego, do czego zostaliście, jak zresztą i my, powołani: do nawracania pogan.

Templariusz doskonale pojmował przebiegłą grę Krzyżaka.

Wstępując do ich zakonu, dążyłby do przyzwolenia na zawłaszczenie depozytu.

Była to zaważona próba przekupstwa.

Dość kusząca zresztą.

Ale to nie wchodziło w grę.

De Beaujeu zbyt wiele się nasłuchał o nieprawościach Rycerzy Maryi.

Zbyt wiele w drodze na oglądał się śladów brutalnej pacyfikacji Pomorza sprzed kilku laty.

Zbyt wielu przerażonych ludzi uciekało na ich widok w las, żeby choć przez chwilę poważnie rozważyć propozycję von Orselna.

Z rycerzami, którzy nosząc krzyż na płaszczach, bez litości mordowali chrześcijan, nie było mu podrodze.

Poza tym dręczyło go, zwłaszcza nocami, jedno pragnienie - przed śmiercią chciał jeszcze raz kogoś zobaczyć.

Tylko zobaczyć.

Dotknął pancerza w miejscu, gdzie na sercu nosił otrzymaną na pożegnanie białą różę.

Szczerze pragnął zakończyć misję.

Ostatnimi laty karmił się tylko zemstą.

Był jak wypalony pień, Próżny w środku i nieodczuwający żadnych ludzkich uczuć.

Wystarczy

Istnieje hipoteza, jakoby na długo przed hiszpańskimi konkwistadorami templariusze docierali aż do Meksyku; mogłoby to tłumaczyć nieprawdopodobną wprost ilość srebra, którym dysponowali.

170

171.

już tego.

Modlił się, by Krzyżak mówił prawdę.

Mógłby wówczas pozbyć się swego brzemienia, które zaczęło go nieznośnie przygniatać.

- Rozważę to.

Krzyżak kiwnął głową ze zrozumieniem.

Wszystko było już jasne.

Jednym płynnym ruchem dobywszy miecza, ciężko i zdradziecko de Beaujeu, ale ten był na to przygotowany.

Odbił cios i sam uderzył potężnie.

Zaskoczony von Orseln w ostatniej chwili zastawił się tarczą, lecz natarcie było tak silne, że nie zdołał utrzymać się w siodle i zwałił ciężko na ziemię.

Towarzysze Guicharda także nie próżnowali.

Zasypani bełtami przez knechtów, zbili się wokół i odgryzali morderczo skutecznie.

Kiedy jeden z nich celował z kuszy, drugi zaś łaniał tarczą.

W jednej chwili zabili pięciu knechtów i jednego sarianta, po czym odrzucili kusze i z okrzykiem "Baussant!

" skoczyli na pozostałych.

Ale jeden był ciężko ranny i za chwilę spadł martwy z wierzchowca, drugiemu zwiła bezwładnie prawa ręka, zaś dwóch Krzyżaków w białych płaszczach i pozostali sarianci stawiali silny opór.

Rozproszeni knechci zdążyli powtórnie napiąć kusze i wznowili ostrzał.

Znow zginął, trafiony prosto w twarz, templariusz, a kolejny został ranny.

Poległ też jeden Krzyżak i następny sariant, ale opór templariuszy słabł.

Wtem na grupę knechtów jak burza wpadł od tyłu Guichard de Beaujeu i w jednej chwili, rozdając sztychy tak szybkie, że prawie nie dostrzegali, zabił trzech.

Pozostali z wrzaskiem podali tył i uciekli do lasu.

Niczym anioł śmierci de Beaujeu stanął w strzemionach i wznosząc miecz w górę,

starł się z jednym z Krzyżaków, który w walce stracił tarczę i hełm, i niemal odwalił mu głowę od karku.

Krew bryznęła niczym woda z fontanny i zachlapała templariusza, który już odwrócił się, by odeprzeć atak ostatniego z sariantów.

Po chwili było po bitwie.

Ostatni Krzyżak, młody Heinrich von Pode, leżał na ziemi i jęczał, ciężko ranny lub tylko oszołomiony. Templariusze pokonali trzykrotnie silniejszych przeciwników, lecz zostało ich jedynie czterech.

Piąty dogorywał w agonii.

Raptem usłyszeli tętent i na drodze pokazał się idący w skok nowy oddział krzyżacki, prowadzony przez dwóch rycerzy w białych płaszczach.

Może mieli się tu spotkać z von Orselnem, a może natknęli się przypadkiem na zbiegłych knechtów i od nich dowiedzieli się o bitwie.

Czterech templariuszy uścisnęło się po raz ostatni.

Ramię w ramię ruszyli w stronę naprzeciw nadjeżdżającym - Oprócz de Beaujeu.

Werner von Orseln pozbił się bowiem po upadku, dosiadł jednego z bezpańskich koni i żądaniem zajął drogę Guichardowi.

Ale nie miał szczęścia.

Albo po raz pierwszy natrafił na przeciwnika znacznie przewyższającego go

172

doświadczeniem.

Pęknięty w połowie miecz nie zatrzymał ciosu.

Nie uczynił także zbroja, choć osłabiła uderzenie, które zatrzymało się na żebrach.

Ranny Krzyżak oraz drugi spadł z konia.

Guichard de Beaujeu zamierzał ruszyć na pomoc towarzyszom, ale właśnie w tej chwili ze śmiertelnego okrzyku wyrwał się jeden templariusz.

Zdołał się odsadzić może na dziesięćkońskich długości, kiedy, uporawszy się z pozostałą dwójką, ruszono za nim w pościg.

- Już po mnie!

- zawołał Hugo de Sonnac do czekającego nańprzyjaciela.

-Ratuj się, Guichardzie.

Krew rzuciłamu się z ust i opadł na szyję wierzchowca, po czym jużmartwy zsunął się wprost pod kopytakonia de Beaujeu.

Tenzawróciłw miejscu i pomknął w las.

- Strzelaj!

- wrzasnął von Orseln do von Bodego, który doszedł dosiebie itrzymał w rękach nabitą kuszę zabitego knechta.

- W plecy?

Wielki komtur wyrwał mu broń.

Bełt pomknąłdo celu.

- Trafiony!

- krzyknął młody Krzyżak.

Ale pościg znalazł jedynie kilka kropel świeżej krwi na paprociachi zgubił trop.

Wiele dni patrolo,które von Orseln rozesłał z Marienburgana wszystkie strony, na próżno szukały zbiega po lasach i osadach, nimwreszcie zaniechano poszukiwań.

Guichard de Beaujeu zniknął, jakbyrozpłynął się w powietrzu.

A razem z nim marzenia wielkiego komtura o zdobyciu niezwyklej relikwii.

Kraków, 3 lipca 2010 (sobota)

Wykończony całonocnapracą i wcześniejszymiemocjami, nie odrazu zareagował na pukanie.

Anna Maria weszła do pokoju, zostawiającdrzwi uchylone.

- Tomaszu, śpisz?

-Już nie.

Zamknij drzwi.

- Z której strony?

-Z tej.

Obrócił się na bok i zerknął na zabytkowy budzik marki KienzleTam.

O cholera, alepóźno.

Usiadł na łóżku i przetarł oczy.

Drzemka w ubraniu bynajmniej gonie odświeżyła.

- Wyglądasz jak zombie.

-I tak się czuję - klepnął w miejsce obok siebie.

-Siadaj.

- Chcesz otym pogadać?

- usiadła tak blisko, że poczuł ciepło jej ciała; sam był zimny jak nieboszczyk.

- Nie, aledobrze, że jesteś.

Powinienem cię przeprosić.

- Mnie?

Za co?

- Za to, że faktycznie odczuwałem wobec ciebie coś w rodzaju wyższości.

Z powodu Helmuta.

Wiesz, na zasadzie stereotypu: dobrzy Polacyi źli Niemcy.

Bażyńscy kontra von Baysenowie.

To było głupie i Boziamnie pokarała.

Okazało się, żei my mieliśmy w rodzinie czarna owcę.

- Dziś się otym dowiedziałeś?

-Wczoraj.

Trzepnęłamnie.

Pracowałem całą noc, żeby się nieczulić, ale jakoś nie mogę przestać o tym myśleć.

Objęła go.

- Biedny Tomasz.

Pamiętam, jak.

Przerwała, jakby nagle ugryzła się w język.

-Co?

- Nie, nic.

Po prostu wiem, jak to jest.

Skorzystał z okazji i pocałował ją w usta.

Nie broniła się, ale w jej pocałunku nie było namiętności.

Chwilę siedzieli w milczeniu, po czym zdjęła swoją rękę z jego pleców oraz jego rękę ze swoich i wstała.

- Zejdiesz na dół?

- Za chwilę.

Muszę skoczyć pod prysznic.

Cieszę się, że już wróciłaś.

Gdzie byłaś, jak cię nie było?

- W Auschwitz.

Adam powiedział, że każdy przynajmniej raz w życiu powinien tam pojechać.

I miał rację.

- Był z tobą?

- Nie.

Powiedziała mu o pułapce zastawionej w hotelu.

- Nie miał prawa cię narażać!

- Przecież nic mi nie groziło.

Poza tym chcę pomścić ojca.

To jest dla mnie w tej chwili najważniejsze.

Adam o tym wie i liczy, że jak mi w tym pomoże, to do niego wrócę.

- A wrócisz?

- Nigdy.

- Zatem mam szansę?

174

Zwichrzyła mu włosy.

- Lubię cię.

Ale szybki seks mnie nie pociąga, a na coś poważniejszego zabraknie nam czasu.

Mam nadzieję, że mimo to nie odmówisz mi pomocy?

- Możesz na mnie liczyć.

Skończyłem tłumaczenie testamentu Tettingena.

Kiedy zejdę na dół, to o tym pogadamy.

Czy Adam wciąż jest w hotelu?

Uśmiechnęła się.

- Nie.

Dlatego tu jestem, bo zadzwonił rano, że mogę już wracać.

Sam został radiowozem dostawiony do waszego domu tuż przed moim przyjazdem.

Przywiózł go komisarz Jarecki.

Opięrzył za samowolne oddalenie i utrudnianie śledztwa, ale przy okazji pogratulował.

Okazało się, że Adam co prawda nie zdołał pochwycić mordercy, lecz za to łapał na gorącym uczynku nieuchwytnego złodzieja, który od tygodni okradał krakowskie hotele.

- A propos Jareckiego.

Dał ci czas do jutra.

Zastanowiłaś się, co mu powiesz?

- Jeszcze nie.

- Myślę, że możesz mu oddać pamiątnik.

Nie jest już do niczego potrzebny.

Może policjantom uda się odczytać te zaszyfrowane strony, a my zyskamy na czasie.

Potem pomyślimy, co dalej zrobić z tym fantem.

- Dobrze.

Poszła do drzwi.

- I jeszcze jedno - rzucił.

Zatrzymała się z dłonią na klamce.

- Tak?

- Dzięki.

- Nie ma zaco.

- Jest.

Bardzo mi pomogłaś.

. nagle von Orseln dobył miecza i rzucił się na templariusza.

Rozpętała się bitwa.

Nasi'Bieli wielokrotną przewagę, a mimo to wielu poległo.

Jednak zabili wszystkich templariuszy okrom de Beaujeu, który srożył się niczym diabeł wcielony, po czym zdołał umknąć, chociaż von Orseln, lubo ranny, wypuścił za nim niechybny bełt.

De Beaujeu zniknął bez śladu, a von Orseln nigdy nie odzyskał pogody ducha. Gnębiła go myśl, że ktoś mógł zawładnąć wszechmocną relikwią i sprowadzić klęskę na nasz zakon.

-Jeszcze bardziej ciążyło mu poczucie winy z powodu zdrady i mordu, którego się dopuścił.

175.

Toteż gdy został wielkim mistrzem, zajął się duchową odnową zgromadzenia, które zapoprzednich wielkich mistrzów uległo rozprzężeniu.

To wywołało niechęć niektórych braci.

Jak wiadomo, Werner von Orseln zginął 18 listopada A.

D. 1330, zamordowany przez obłąkanego brata Hansa von Endorfa przed Złotą Bramą Zamku Wysokiego w Marienburgu.

Jednak Heinrich von Bode, który przez te wszystkie lata wiernie towarzyszył von Orselnowi, podejrzewał spisek starszyny.

Konający wielki mistrz przekazał von Bodemu jeden z bliźniaczych pektorałów z zaleceniem, by nie ustawał w poszukiwaniach drugiego i za wszelką cenę próbował zdobyć cudowną relikwię i obrócić jej moc ku chwale naszego zakonu.

Von Bode usiłował wypełnić wolę zmarłego, lecz bezskutecznie.

A umierając, wyjawiał tajemnicę i obarczył tym brzemieniem mnie, któremu ufał, jak wcześniej von Orseln jemu.

Aby uczcić pamięć brata, który wszystkie siły oddał zakonowi i nigdy nie splamił rycerskiego honoru, kazałem na spodzie pektorału wyryć inskrypcję poświęconą memu mentorowi.

Odtąd nigdy nie rozstawałem się z pektorałem, ale i mnie nie udało się odnaleźć drugiego.

Nikomu nie wyjawiałem sekretu okrom wielkiego mistrza Ulricha von Jungingena, który poległ wraz z innymi braćmi w straszliwej bitwie pod Tannenbergiem.

Mnie jednego dobry Bóg ocalił swym niezmiernym miłosierdziem, lubo obdarzył szaleństwem, słuszną karą za pychę i tchórzostwo.

W ostatnich dniach żywota pozwolił mi odzyskać zmysły, tuszę, iż po to, bym dał świadectwo prawdy, co niniejszym czynię za pośrednictwem brata kapłana, mego spowiednika, który spisuje te słowa.

Cudowna relikwia z pewnością istnieje i niebywałą klęskę naszego zakonu jej mocy przypisać należy.

Nie mainnego wytłumaczenia, jeno nie pojmuję, jakim sposobem wpadła w ręce Polaków.

Mojeocalenieto takóž jej sprawaz udziałem pektorału, który straciłem, alektóry zatrzymałcios polskiego rycerza.

Nie jest to święty Graal, jak mniemano.

Stojąc przed obliczem Pana, jasno widzę, czym jest owa relikwia.

Widzę też, jaki los Bóg zgotowałnaszemuzakonowi, ioczymoje są pełne łez.

Boże, Boże, bądź miłościwmnie grzesznemu i przyjmij mą udręczoną duszę do siebie, bym mógł stanąć przed Twoim obliczem z czystym sercem.

Najpokorniejszy Twój sługa, Werner von Tettingen Dańw Elbingu, 2 sierpnia roku Pańskiego 1412

- I co wy na to?

- Tomasz zakończył czytanie i dopił mocną kawę.

- Cóż, teraz wiemy już chyba wszystko - powiedziała Anna Maria.

- Z wyjątkiem drobiazgu: gdzie jest owa nadzwyczajna relikwia i pozostałe - zauważył Katz.

- Wciąż też nie wiemy, co to za relikwia - dodał Bażyński.

- A ja się w tym wszystkim gubię - poskarżyła się Michalina.

- Może ktoś mi to poukłada po kolei.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli na Tomasza, który westchnął ciężko i potarł czoło.

- Niech wam będzie.

Nie jestem dzisiaj w najlepszej formie, ale spróbuję podsumować, co już wiadomo.

Nasza historia zaczęła się w 1314 roku, kiedy to Guichard de Beaujeu, siostrzeniec spalonego nastosiewielkiego

176

mistrza de Molaya wywiózł z Francji resztki, ale za to bezcenne, słynnego skarbu templariuszy.

Były wśród nich najwartościowsze relikwie całego chrześcijaństwa, a także jedna obdarzona potężną mocą.

Udowodniłato, unicestwiając pościg, który za uciekającymi z Paryża templariuszami poprowadził doradca króla Francji, Wilhelm de Nogaret.

- W związku z opisem tego wydarzenia przyszło mi coś do głowy.

- wtrącił Katz.

- Mnie też - przerwał mu Tomasz.

- Zapewne pomyśleliśmy o tym samym.

- O czym?

- dociekała Michalina.

- Na początku, jak Adam, myślałem, że templariusze z rozmysłem, w naukowy sposób wzmocnili działanie relikwii, by stworzyć mit o jej potędze, choć nie mam jasności po co.

Dlatego uznałem tę historię zawierutną bujdę i oszustwo - przyznał Tomasz.

- Ale teraz już sam niewiem, co o tym myśleć.

Wróćmy więc do rzeczy.

Guichard de Beaujeu siadł ze skarbem na okręt i przyplłynął do Gdańska z zamiarem powierzenia relikwii Krzyżakom.

Jednak był ostrożny, ponieważ podejrzewał, że Krzyżacy zdefraudowali poprzedni depozyt, więc ukrył gdzieś skarb.

- O milę od miasta - uzupełnił Katz.

- Właśnie.

- To znaczy tysiąc osiemset metrów z hakiem?

- spytała Anna Maria.

- Więcej.

Tyle ma mila morska.

Milalądowa w dawnych czasach nie'ta ustaloną miarą.

Na przykład polska liczyła około siedmiu kilometrów, a węgierska dziesięć.

Nie wiem, ile miała mila pruska, lecz łatwo

to sprawdzić'.

Nie sądzę jednak, by więcej niż dziesięć kilometrów.

- Czy domyślasz się, jakie miejsce wchodzi w grę?

- staruszce błysnęły oczy.

- Nie mam pojęcia.

Trzeba wziąć mapę, od centrum starego Gdańska określić krąg liczący około dziesięciu kilometrów i zastanowić się, jakie miejscowości można brać pod uwagę.

- To wydaje się proste.

- Nic nie jest proste, kiedy przychodzi do konkretów.

Ale zostawmy to na razie.

-- Zwłaszcza że owanajbardziej interesująca relikwia została umieszczona osobno - wtrącił Katz.

-I bez bliźniaczych pectorałów nie sposób do niej trafić.

Około 7,5 kilometra.

177.

- Odczytałeś już napis na naszym pektorale, Tomaszu?

- spytała Michalina.

Bażyński wzniosł oczy do sufitu.

- Litości, ciociu.

Nie wszystko naraz.

- Zastanawia mnie - wtrąciła dziewczyna - skąd templariusz wzięty, żeby ukryć relikwię w obcym kraju, obmyślić zaszyfrowaną wiadomość i zamówić bliźniacze pektorały u gdańskich złotników?

- Nie możemy wykluczyć, że zostały przygotowane jeszcze we Francji, a namiejscu wykonano jedynie drobne zabiegi związane z dostosowaniem szyfru do tutejszej topografii.

Zresztą zanim von Orseln został powiadomiony o przybyciu templariuszy i dojechał do Gdańska z Malborka, musiało upłynąć trochę czasu.

Powiedzmy - tydzień.

Poza tym niewiemy, czy okręt templariuszy niezawinął wcześniej do jakiegokolwiek miejsca na bałtyckim wybrzeżu.

Pomijam dość nieprawdopodobną hipotezę, że w grę wchodzi posiadłości templariuszy na Zachodnim Pomorzu: Banie, Rurka, a zwłaszcza Chwarszczany, w których dodziś szuka się ich skarbu.

Jakże jednak Krzyżacy mogliby go stamtąd podjąć?

Nie, to muszą być Prusy albo Pomorze Gdańskie.

Na przykład nie daleko od Gdańska, Skarszewy, czterdzieści, pięćdziesiąt kilometrów na południe od Gdańska.

Był tam w XIV wieku zamek joannitów, a pamiętajcie, że do tego zakonu wstąpiła większość templariuszy po rozwiązaniu ich zgromadzenia.

Nie dziwiłbym się, gdyby de Beaujeu skorzystał z pośrednictwa joannitów w negocjacjach z Krzyżakami.

- Ale te Ska.

Skra.

Skarszewy leżą conajmniej cztery, albo nawet pięć ówczesnych mil od Gdańska - zauważyła Anna Maria.

- Nawet jeśli von Orseln celowo wprowadził w błąd von Bodego, to czy jest możliwe, by w ciągu jednego dnia obrócił tam i z powrotem?

- Teoretycznie tak.

Biorąc pod uwagę ówczesny standard, dziennie przebywano maksymalnie dziesięć, dwanaście mil węgierskich, ale moim zdaniem wrócić w tym samym dniu, i to przed zmierzchem, byłoby mucieżko, nawet gdyby wziął luzaka, o czym jednak w wyznaniu von Tettingena nie ma ani słowa.

Ale przecież wiemy, że najpotężniejszą z relikwii ukryto osobno.

De Beaujeu nie zamierzał doprowadzić do niej von Orselna, zanim nie upewnił się, że ten jest godny zaufania.

Zatem możemy przyjąć taką roboczą hipotezę: to ona mogła być wcześniej powierzona joannitom w Skarszewach, zaś pozostałe relikwie umieszczono znacznie bliżej Gdańska i tam udał się von Orseln.

- Wciąż nie wiemy, jakim sposobem jeden z bliźniaczych pectoralów-wskazówek trafił do naszej rodziny - dociekała Michalina.

- Znalazłeś coś w starych szpargałach?

Bażyński otworzył tekturową teczkę, którą przyniósł ze sobą.

Wokół

uniósł się zapaszek stęchlizny.

- Muszę was rozczarować.

Prababka Anastazja nie była polską Jane Austen, niestety.

Przyznaję bez bicia, że przebijanie się przez jej zawiły styl zmęczyło mnie bardziej niż drwala wyrabianie przecinki w lesie.

Ktomi niewierzy, niech sam spróbuje.

Przekartkował plik, na oko liczący dobre pięćdziesiąt kart dzisiejszego formatu A4, zapisany drobnym, starannym pismem z ozdobnymi zawijasami, i podsunął go w stronę pozostałych, ale nikt nie pokwapił się sięgnąć po manuskrypt.

- W skrócie historia wygląda tak -kontynuował.

- Żyła-była sobiew zamierzchłych czasach cudnej urody dziewica szlachetnego roduimieniem Anna Maria.

- O! - wyrwało się Niemce.

-Owszem - pokiwałagłową staruszka.

- Od wieków było zwyczajem w naszej rodzinie, że nadawano to imię najstarszej córce.

Nie wiadlaczego.

- Toczemu ty masz inne?

- spytałTomasz.

- Gdybyś pilniej studiował dzieje naszej rodziny i dokładnie obejrzał drzewo genealogiczne, wiedziałbyś, że miałam siostrę bliźniaczkę, która zmarła zaraz po urodzeniu.

Ale wróćmy do rzeczy.

- Otóż AnnaMaria dojrzała już do zamęścia, ale odrzucała wszystkichkandydatów, których proponował jej ojciec, możny rycerz.

Codziennie, w białej sukni, wianku na głowie iz świeżo uciętą białą różą w dłoniwychodziła za to na brzeg morza, czasem zaś z wiernym starym sługawypływała w morze w małej łodzi i wypatrywała tego jedynego, jejprzeznaczonego.

Stara piastunka bowiem, poganka zplemienia Prusów,wywróżyła jej pięknego królewicza z zamorskich krain, który na białymkoniumiał sięwyłonić morza i wybawićją z łapgroźnego smoka.

- To jakieś brednie - zirytował się Katz.

-Ostrzegalem was.

Chcecie słuchać dalej?

- Chcemy!

- chórem odparły kobiety; każda w innym języku, bowiemJak zwykle odprawiali językowe łamańce i Katz tłumaczyłstaruszczech angielskiego na polski albo dziewczynie z polskiego na niemiecki, kiedy Bażyński przechodził na język ojczysty.

178

i79.

- Pewnego pochmurnego dnia, gdy Anna Maria i stary sługa wypłynęli w morze, nagle wzburzyło się ono i z odmętów wyłonił się straszliwy smok.

Jednym machnięciem zębatego ogona rozbił łódź, potem pożarł sługę (jednym kłapnięciem), a na koniecabrał ochoty na dziewicę, która utrzymywała się na wodzie ucepiona szczątków łodzi.

Już-już ją dopadał, gdy nagle niewiadomo skąd pojawił się piękny jak anioł rycerz bez hełmu, za to w błyszczącej srebrnej zbroi, dosiadający skrzydlatego białego rumaka, który pędził po morzu, muskając powierzchnię kopytami. Rozgorzała zażarta walka, z której rycerz wyszedł zwycięsko.

Pokonany smok poszedł na dno, zaś rycerz porwał dziewicę w objęcia i odwiózł bezpiecznie na brzeg.

- I żyli długo i szczęśliwie - zaśmiał się Niemiec.

- Nie przerywaj!

- rozzłościła się Anna Maria.

- Prababka Anastazja nie pisała scenariuszy do Hollywood, co mimo jej grafomaństwa uznałbym za plus - powiedział Tomasz.

- Owszem, młodzi wyznali sobie miłość od pierwszego wejrzenia.

Rycerz podarował dziewicy złoty pektorał z relikwiami, który nosił na piersi, ona zaś jemubiałą różę, której nie zdążył razem z właścicielką pożreć zły smok.

Potem ułożyli się na białym piasku i znużeni usnęli w pół objęci.

Dziewczyne obudziły krople deszczu.

Niebo zasłaniały czarne chmury, morze było wzburzone, biały koń zniknął.

Rycerz spoczywał nieruchomo na wznak.

Martwy.

Biała róża, którą położył sobie na sercu, była cała czerwona od krwi z rany, którą zadał mu smok.

Sercedzewicy pękło z rozpaczy i padła nieżywa na ciało ukochanego.

Znaleziono ich tak potem i pochowano

we wspólnej mogile.

Zaległo milczenie.

Nawet Katz nie odważył się śmiać, a Michalina miała łzy w oczach.

- Już zapomniałam, jaka to piękna historia - powiedziała.

- W związku z tym coś mi się przypomniało.

Otonajstynniejszy z naszego rodu, Janvel Hanusz vel Hans von Baysen-Bażyński, rozczarował się do Krzyżaków i stanął na czele Związku Pruskiego z powodu złamania słowa przez wielkiego mistrza Kuchmeistera.

Kiedy bowiem ów wysłał go z poselstwem do Portugalii, Jan powierzył mu opiekę nad swą narzeczoną.

Ale kiedy wrócił do Malborka, okazało się, że dziewczyna została wydana za innego rycerza.

Myślę, że nigdy o niej nie zapomniał i dlatego na tajnych dokumentach związkowych pieczętował się "rózą, która była na pierścieniu

- No dobrze - odezwał się Katz.

- Założmy, że tym rycerzem był Beaujeu, który zdołał uciec Krzyżakom, ale wkrótce zmarł od ran.

To by

180

się mogło zgadzać i tłumaczy, jak w waszej rodzinie znalazł się relikwiarz, ale nic poza tym.

Dalej nie wiemy, co z relikwią.

Von Bode sprawdził dokładnie.

Nielicząc pektorału de Beaujeu, udający się do Marienburga templariusze nie mieli przy sobie żadnej relikwii.

Więc i tę najcenniejszą, zwłaszcza ją, musieli ukryć, zanim doszło do spotkania z Krzyżakami.

- Poza tym - dodał Bażyński - Bażyny, ówczesna siedziba naszego rodu, nie leżą nad morzem.

Zatem to tylko legenda i wymyślanie na jej podstawie jakichkolwiek teorii

byłoby głupotą i stratą czasu.

Co zrobimy resztą wieczoru?

- Psiakrew!

- Katz palnął się w czoło.

- Na śmierć zapomniałem, że komisarz Jarecki już za nas zdecydował.

Mamy w trójkę stawić się w restauracji hotelu "El Dorado" najpóźniej o dziewiątej.

Obecność obowiązkowa.

Żadne usprawiedliwienia nie będą przyjmowane.

To jegosłowa.

- Nie zostanę sama w domu - oznajmiła stanowczo Michalina.

- Przynajmniej dopóki w okolicy grasuje ten morderca.

- Komisarz to przewidział i kazał solennie zapewnić, że na tę noc specjalnie wybrał dopilnowania domu swoich najlepszych ludzi - oznajmił Niemiec.

- A czy przypadkiem dzisiaj nie maw telewizji finału ósmej edycji programu Gwiazdy tańczą na rurze, przepraszam!

na linie?

- spytał Tomasz podstępnie.

- Z udziałem tego przystojniaka, zapomniałem nazwiska.

Trąbią o tym w radiu i gazetach od tygodnia.

Podobno to najważniejsze wydarzenie medialne od czasu lądowania człowieka na Księżycu.

- Racja!

Zatem idźcie sobie, drogie dzieci, z Bogiem.

Tylko nie wracajcie za późno i zachowujcie się godnie.

- I co?

- spytał starszy sierżant Zenon Kacperski z ustami pełnym imbrykiem z salcesonem, strzepując okruchy ze spodni na podłogę.

Salceson, golonka i żeberka były ulubionymi potrawami sierżanta, co odbijało się na jego okrągłej sylwetce i pucołowatym obliczu.

W związku z tym na egzaminach sprawnościowych wypadał dość blado, ale patrzono

na to przez palce, ponieważ w swojej specjalności, mimo niedostatków
wykształcenia, których uzupełniać nie miał ambicji, był wybitnym fachowcem.
A przy tym człowiekiem pogodnym i flegmatycznym

181.

usposobienia oraz nieskończonej cierpliwości, dlatego w dziedzinie obserwacji i śledzenia nie miał sobie równych w Komendzie Miejskiej. Zwłaszcza że sterczenie godzinami w jednym miejscu lub jeżdżenie (założeniem nie przepadał) całymi dniami za podejrzanymi po mieście nie było tym, co koledzy sierżanta lubili najbardziej.

- Nic, spokój - odparł aspirant Cyprian Nowak, gramoląc się do samochodu po zakończonym obchodzie.

Stanowili dziwną parę.

O ile sierżant był korpulentny i raczej niski, o tyle aspirant chudy i dość wysoki.

Podoficer dobiegał czterdziestki, aspirant miał dwadzieścia dwa lata.

Kacperski zamierzał przejść na emeryturę w stopniu sierżanta sztabowego.

Nowak, który w policji zaczepił się po maturze, żeby uniknąć wojska, od roku studiował zaocznie prawo i w przyszłości planował przystąpić do egzaminu na stopień oficerski.

Sierżant lubił sobie podjąć i chętnie częstował partnera.

Aspirant, ponieważ był wegetarianinem i na widok i zapach mięsa robiło mu się słabo, nie chcąc urazić partnera, grzecznie odmawiał, tłumacząc się niedyspozycją żołądkową i pogryzając dietetyczne sucharki.

Kacperski mógł godzinami siedzieć w fotelu samochodowym, tylko od czasu do czasu dla relaksu zabawiając się jakąś nieskomplikowaną grą na komórce.

Najbardziej lubił tę z samolocikiem (jako dziecko chciał być pilotem, ale potem mu przeszło) strzelającym do wszystkiego, co się ruszało na niebie.

Nowak nosił i podczas takich akcji jak ta chciał mu się wyć.

Kiedy tylko miał chwilę wytchnienia, sięgał po podręcznik albo robił sobie w myślach powtórkę, albo wyobrażał sobie, że mieszkająca w obserwowanym domu ładna brunetka opala się nago na balkonie, kiwając na niego, by się przyłączył.

- Która godzina?

- głosił sierżanta wybił go z przyjemnych marzeń.

- Już po północy - Nowak zerknął na podświetlany cyferblat, prawą ręką odkręcając szybę, by wypuścić z samochodu duszący zapach sal

cesonu.

- Dopiero?

- westchnął podoficer, zakończywszy konsumpcję.

-Jakten czas się wlecze.

Rozważając, którągrę wybrać, z poczucia obowiązku obrzuciłczujnym wzrokiem obserwowanąposesję.

Od kolegówz poprzedniej dwunastogodzinnej zmianydowiedział się, że troje młodych opuściło willeokoło ósmej, zaś staruszka, już na ich zmianie, przedjedenastą zgasiłatelewizor i poszła spać.

Dom wyglądał jak wymarły, świeciła się tylkolampa przed wejściem.

182

Panie sierżancie- zagadnął Nowak.

- Od prawie tygodnia sterczymy tu jak palanty i nic się nie wydarzyło.

Czy to ma sens?

- Nie filozofuj, mały, tylko licz nadgodziny- poradził muKacperskii włączył pasjansa.

Wskupieniu układał wirtualnekarty, kiedy aspirant znówmuprzerwał.

- Widziałem jakieśbłyski.

Podoficer zniechęcią oderwał wzrokod ekranu komórki.

- Gdzie?

-W sypialni starszejpani.

Pokilku dniach znali na pamięć topografię okolicy i rozkład domu, więc Kacperski natychmiast przeniósłspojrzenie we właściwemiejscie.

Już chciał wytknąć partnerowi, że ma zwidy, gdy sam ujrzał serię błysków, ledwo widocznychprzez zasłonę zakrywającą okno.

- Cholera, faktycznie.

Co jest, u diabła?

- Może starsza pani obudziła się próbuje zapalić nocną lampkę?

- zasugerowałNowak.

-Albo coś w kontakcie nie łączy?

Albo jestzwarciem całej instalacji?

- Hm.

Jakieś dziwnie regularne te błyski.

W istocie, błyskało w określonym porządku.

Najpierw trzy krótkiebłyski, potem trzy długie iznów trzy krótkie.

I jeszcze raz to samo.

-Kurna, dziwne.

- zdumiał się powtórnie sierżant.

(Aspirant nie odpowiedział, bo właśnie myślał intensywnie, usiłującobie cośprzypomnieć.

Był prawdziwym dzieckiem swojej epoki, wychowanym na telewizji i komputerach, jednak w dzieciństwie i wczesnejmłodości zdarzyło mu się przeczytać kilka książek.

I w jednej z nichspotkał się jużz czymśpodobnym.

Oco tam chodziło?

Brodacz bez najmniejszych problemów wślizgnął się do domu tąsamą drogą co poprzednio.

Przyświecając sobie miniaturową latarką,dającą promień światła nie większy od pięćdziesiątowej monety, sprawnie i bezszelestnie poruszał się po dużym domu.

Dzięki poprzedniejwizycie i regularnej obserwacji znałukład pomieszczeń nie gorzej oddomowników.

Wiedział też, że Bażyńskinie miał zwyczaju zasuwac na noc zasłon w swoich pokojach.

Dlatego nadrobiłza niego to niedopatrzenie i poczuł się swobodniej.

Nie na tyle, by zaświecić lampkę stojącą

na biurku, na to był za ostrożny (w końcu policjanci pilnujący domu podobnie jak on zauważyli, że troje lokatorów wyszło), lecz w sam razby zmniejszyć czujność i towarzyszące jej napięcie.

Spokojnie odszukał zainstalowane uprzednio pluskwy i wrzucił je do kieszeni.

Starczy tej inwigilacji.

I tak zmitrężył już czasu aż nadto - prawie tydzień w jednym miejscu.

Co, jak wiedział z doświadczenia, nigdy nie było bezpieczne.

Odsłuchajeszczę tylko ostatnie nagrania.

Jeśli nic ciekawego się nienagrało, będzie musiał przedsięwziąć bardziej radykalne środki.

I to jak "najprędzej, a zaraz potem zmywać się stąd jak najdalej.

Podszedł do biurka i westchnął z zadowoleniem, znajdując na wierzchu wszystko, co go interesowało, poukładane w idealnym porządku i opisane.

"Pedant - pomyślał z uznaniem o Bażyńskim.

- Zupełnie jaknie Polak".

Aż sapnął z rozkoszy na widok starego pergaminu.

Testament von Tettingena!

Nareszcie!

Wyjął mały, lecz niesłychanie czuły aparat cyfrowy i porobił zdjęcia wszystkim znalezionym dokumentom i papierom z notatkami.

Zajął mu to sporo czasu, ale się nie przejmował.

Poprzedni młodzi balowali niemal do białego rana i miał prawo sądzić, że tym razem też nieprędko wrócą do domu.

A w razie czego poradzi sobie.

Mimo przekopania wszystkich szuflad nie znalazł pamiętnika Helmuta von Baysena, jednaknie zmartwił się tym zbyt, ponieważ i tak znał jego treść.

Zaintrygowały go mapy turystyczne z zakreślonymi czerwonym flamastrem miejscowościami.

Je też sfotografował.

Potempoukładał wszystko starannie jak tylko się dało, z powrotem rozsunał story i zszedł na dół.

Zdjął podsłuch obu pokoi na pierwszym piętrze, następnie udał się na parter, do salonu.

"Scheifie!

", zaklął bezgłośnie, gdy pod stopą skrzyknął mu któryś zestopni drewnianych schodów.

Michalina mogła zasnąć.

A to dlatego że bardzo ją rozczarowało rozstrzygnięcie finału programu Gwiazdy tańczą na linie jej faworyt, przystojny i wysportowany aktor Feliks Bodziak (bohater niezapomnianego serialu kryminalnego Ksiądz Robak na tropie), zajął za ledwie drugie miejsce.

W pozycji zwisu głową w dół ze związanymi na plecach rękoma, w trakcie konkurencji zjadania dyndającego na żyłce banana, dał się o włos wyprzedzić szympansowi Koko. To było niesprawiedliwe i jury nie powinno do tego dopuścić.

Przecież powszechnie

184

wiadomo, że spośród wszystkich małp szympansy są najinteligentniejsze. powinni wystawić kapucynkę albo makaka.

Na domiar, nie było kropelek, którymi Michalina zwykle koila nerwy.

Zaś żadnych pastylek nie chciała brać.

Jeszcze tego brakowało, by na stare lata została lekomanką!

Jak tenieszczęsne istoty, które spotykała w przychodni.

Przewracała się więc z boku na bok w wielkim małżeńskim łóżu swoich przodków, nieco tylko mniejszym odtreningowego boiska piłkarskiego i też wyłożonym trawą, tyle że morską.

I nagle, nie wiadomo dlaczego, przeżyła swoje déjà vu - nabrała przeświadczenia, że nie jest w domu sama.

Nie słyszała powrotu młodych, więc to nie mogli być oni.

A słuch miała dobry.

Nie miewała też zwidów, strachów i omamów, przeczuć i widzeń właściwych dla osób w jej wieku.

I to mimo iż uwielbiała kryminały, wciągały ją filmy Hitchcocka, nie gardziła też horrorami.

Alenie mieszała fikcji z rzeczywistością i nie dręczyły jej nocne koszmary i dzienne lęki.

Dlatego ufała swoim zmysłom.

Ktoś kręcił się po domu.

O, skrzypnęły schody.

Tak jak poprzednim razem.

Doskonale wiedziała, że to musiał być piątostopień od dołu.

Skrzypiał, odkąd sięgała pamięcią.

Ale tylko wtedy, gdy nań nastąpiono, nigdy sam z siebie.

Kto inny na jej miejscu, nawet o wiele młodszy i sprawniejszy, wpadłby w histerię, zaczął wołać pomocy albo rzucił się do telefonu wzywać policję.

Ale nie Michalina Bażyńska.

Zbyt wiele naczytała się i naoglądała kryminałów, by nie wiedzieć, jak groźni potrafią być włamywacze, kiedy się ich zaskoczy.

Bała się jak lichy i gdyby na noc nie wrzuciła sztucznej szczęki doszklanki z wodą, pewnie podzwaniałaby zębami, ale jej umysł wciąż pracował trzeźwo.

Cichutko odrzuciła kołdrę, usiadła na łóżku (raczej - łożu), które nieskrzypnęło, ponieważ zamiast sprężyn miało materace wypchane trawą (morską).

Z oparcia (nieco tylko mniejszego od barokowej fasady kościoła Sióstr Norbertanek, lecz uderzająco podobnego) za głowę ostrożnie zdjęła swoją laskę, żałując, że nie była zakończona ostrym stalowym bolcem, tylko gumową nasadką, i bosy na palcach podkradła się pod drzwi.

Uniosła laskę ponad głowę i wstrzymując oddech, przystawiła ucho do drzwi.

W tym samym momencie zdobyła absolutną pewność, że człowiek PO drugiej stronie zrobił to samo.

Swoimi napiętymi zmysłami wyłowiła bowiem ciche jak tchnienie sapnięcie.

Adrenalina uderzyła jej do głowy, lecz nie wpadła w panikę.

Dosłownie zamarła w bezruchu i w ogóle przestała oddychać.

Straciła rachubę czasu.

Nie wiedziała, jak długo tak stała, kiedy nagle ogarnęło ją przeświadczenie, że
włamywacz już

sobie poszedł.

Ale czy opuścił dom?

A jeśli niespodzianie wrócą młodzi, zaskoczą go, a on zacznie strzelać?

Nie martwiąc się już o własne bezpieczeństwo, zakradła się znów do łóżka, odwiesiła laskę, usiadła, włączyła nocną lampkę i zaczęła nadawać sygnał sos: trzy krótkie błyski, trzy długie i znów trzy krótkie.

Odczekała chwilę i powtórzyła sekwencję.

I znowu.

Miała nadzieję, że policjanci wciąż obserwują dom, jak obiecali, i że znają alfabet Morse'a.

Kacperski właśnie podjął decyzję, że ruszy tyłek z wozu i spróbuje zbadać osobliwe zjawisko, zaś Nowak miał nakońcu języka rozwiązanie zagadki, gdy nagle coś niczym dzięcioł z bocianim dziobem zastukało energicznie w tylną szybę samochodu, aż obaj detektywi podskoczyli z wrażenia.

Pierwszy ochłonął podoficer, w lusterku wstecznym ujrzał jakiś babcię atakującą auto końcem zwiniętego, czarnego parasola niby matador szarżujący ze szpadą na byka. Ale nim zdążył wyrazić swe oburzenie na takie traktowanie państwowego sprzętu, starszka już wetknęła siwą głowę przez otwarte od strony aspiranta okno.

- A panowie z policji długo tak jeszcze będą siedzieć, czekając niewiadomo na co?

- spytała tonem, w którym brzmiało nieskrywane nieukontentowanie.

- A pani to szybko nam porysowała, obywatelko!

- upomniała ją sierżant.

- A jak inaczej miałam panów oficerów wybudzić z letargu?

- A w ogóle, skąd pani wie, że jesteśmy z policji?

- spytał aspirant.

- I co tu pani robi po nocy, zamiast spać?

- dodał sierżant.

- Odczuwania to jesteśmy my.

- Ja to już chyba kiedyś słyszałam: "Śpij spokojnie, ORMÓ' czuwa".

Ażaraz potem ukradziono nam rower z balkonu - szydziła babina.

-Marki Ukraina był, znaczyrower.

Bardzosolidny.

A że panowie z policjii że polujecie na hieny cmentarne, to mi powiedział mój dobry znajomy.

pan komisarz Jarecki z Komendy Wojewódzkiej, kiedy go poinformowałam (bo wtedyjeszcze nie wiedziałam, o co chodzi,za co panówprzy okazji przepraszam), że tacy jedni, bardzo podejrzani, ciągiem wystają w tym miejscu dniami inocami.

Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej - paramilitarna organizacjakomunistyczna.

186

- Kurczę, to ona doniosła na nas do centrali, że wyglądamy na porywaczy, włamywaczy, podglądaczy alboi innych zbrodzców - jęknął

Nowak.

- Jakie znowu hieny?

- stęknął Kacperski.

... A co do moich nocnych spacerów- ciągnęłaniezrażona staruszka - to nikomu nic dotego.

Ja swojeprawa znam.

Kiedy nie mogęspać, spaceruję sobieaż do cmentarza i zpowrotem, i ktomi zabroni?

Zwłaszcza że tu na Salwatorze jest pochowany mój świętej pamięćimążEugeniusz

Korzonek, wybitny artystamalarz.

Panowie może onim

słyszeli?

- Nie!

- starszy sierżant stracił cierpliwość, co mu się praktycznie niezdarzało.

-I może nam pani wreszcie powie, czego od naschce?

- Jak to?

Toć to chyba jasne?

- zdumiała się Apolonia Korzonkowa.

-W tym domu - pokazała parasolem - ktoś wzywa pomocy.

- Skąd pani wie?

-Bo mój mąż, proszę pana oficera, w czasie wojny obsługiwał radiostację.

Partyzancką!

Odbierał i wysyłał meldunki.

Oni stukali, on słuchał.

On stukał, oni słuchali.

To się nazywa alfabet morsa.

Bóg jeden wie czemu, bo przecież mors to taka foka.

I mnie tego trochę nauczył.

Dlatego wiem, że taki sygnał, cogo nadano z tamtego okna, znaczy sos, czyli:

ratunku!

- Alfabet Morse'a!

sos!

- przypomniał sobie aspirant.

-Zgadza się.

- I teraz dopiero pani mi to mówi!

- sierżant złapał mikrofon i rzucił do słuchawki: - 310-00 zgłoś się dla 310-11.

Powtarzam: 310-00 dla 310-11.

Cholera, baza, ogłuchliście?

Znowu linia przeciążona, spróbuję na kanale kryminalnym - rzucił do Nowaka.

- Matka dla Obcego.

Skąd mam wiedzieć, jaki Obcy?

Czy to ja wymyślam te durne kryptonimy?

Tu Zenek.

Zgłaszam prawdopodobne włamanie do obserwowanego domu.

Starszej pani wewnątrz przypuszczalnie grozi niebezpieczeństwo.

Nadał sos.

Co to znaczy?

Ratunku, oczywiście!

W alfabecie Morse'a.

Tak, Jak ta foka.

Jak?

Za pomocą lampy.

Tak, zabezpieczymy oba wyjścia, ale może być potrzebne wsparcie.

Proszę o pozwolenie wkroczenia do domu w razie konieczności.

Dziękuję.

Odwrócił się do partnera, gmerając podpachą w poszukiwaniu starego, pocziwego P 64.

Kiedyś nosił broń przy pasie, ale to było w zamierzchłych czasach, gdy jeszcze mógł dopiąć marynarkę na brzuchu.

Ręce mu trochę drżały ze zdenerwowania.

- Słyszałeś.

Biegnij od tyłu, ja przypilnuję frontu.

Broń masz?

187.

Poblady Nowak kiwnął głową.

Jeszcze nigdy do nikogo nie wystrzelił, a na strzelnicy wyniki miał takie sobie.

Schylił się po pistolet przypięty nad kostką.

- Jezu, naoglądałeś się amerykańskich filmów - skomentował Kacperski.

- No, dobrze.

Jakbyco, postaraj się strzelać celnie.

To może być zabójca tego niemieckiego profesora.

Powodzenia, mały.

A pani niech natychmiast się stąd oddali w bezpieczne miejsce!

Żwawo jak na swoją tuszę wygramolił się z wozu i pobiegł ku drzwiom wejściowym, a w tym czasie jego partner już zniknął za węglem.

- To wszystko?

- spytał Jarecki, odstawiając szklanek z whisky, upił ąw połowie, i biorąc do ręki pamiętnik Helmuta von Baysena.

- Tak.

Nadeszła pocztą na nasz adres już po śmierci profesora von Baysena - odparł Bażyński.

- Kiedy?

- W zeszły wtorek albo w środę.

- W czwartek - uściślił Katz.

Policjant omiół całą trójkę ciężkim wzrokiem.

- A wy mówicie mi o tym dopiero teraz.

Pięknie.

- Nie wiedzieliśmy, że to może mieć znaczenie.

Komisarz rzucił w Tomasa spojrzenie o miękkości kamienia i ciężarze gatunkowym maczugi.

- Oczywiście.

Nie wiedzieliście, że w sprawie o morderstwo wszystko może mieć znaczenie.

- Ale nie bezpośrednio.

- A teraz wiecie, że ma?

- Nie.

Ale chęć zagarnięcia pamiątek mogła stanowić motyw zbrodni.

- Doprawdy?

Wiecie, jak to się nazywa?

Zatajanie informacji mających istotne znaczenie dla śledztwa.

W sprawie morderstwa z premedytacją!

To jest karalne, do kurwy nędzy!

Klienci zajmujący sąsiednie stoliki zastygli ze sztućcami, kieliszkami albo szklankami niesionymi do ust i jęli się gapić na policjanta ze zgorzeniem lub niesmakiem.

Zresztą być może ten ostatni spowodował jedzenie, zaskakująco marne w porównaniu do renomy, jaką cieszyła się ta znana restauracja, mieszcząca się w hotelu o tej samej nazwie.

188

- Tadziu, nie złość się, bo zbrzydniesz - atrakcyjna blondynka pieszczotliwym gestem położyła komisarzowi wypielegnowaną dłoń na ramieniu i lekko je ścisnęła, mrugając okiem do Bażyńskiego.

Do tej pory zajmowały się z Anną Marią wymianą banalnych uprzejmości i spojrzeń ostrych jak samurajskie miecze.

- A boszlagmnie trafia, kiedy coś takiego słyszę!

- usprawiedliwiał się policjant, ale żołądkować nie przestawał.

- Zwłaszcza gdy topaskudne żarcie zjada mi ścianki żołądka.

Cholera, toż w Krakowie są dziesiątki, ba!

setki przyzwoitych lokali z dobrym jedzeniem, o połówętańszym niż w tym blichciarskim przybytku, gdzie wszystko wygląda i smakuje, jakby szef kuchni przepuściło już raz przez siebie i podkuchennych.

Że też ty, Anzeli, zawsze musisz wybierać takie pretensjonalne knajpy!

- Bo są modne.

I można w nich spotkać ludzi z klasą.

- Akurat!

Raczej z kasą.

Wiecie, kto jest właścicielem tej budy?

Byłycinkciarz i esbecki kapuś, potem posełi radny, a obecnie szanowany biznesmen i mecenas kultury.

W rzeczywistości bandzior.

Ksywka Toni.

Członek słynnego w latach dziewięćdziesiątych gangu Krakowiaka.

Tego, co to był wielbicielem Ojca Chrzestnego i swoim podwładnym kazał całować się w rękę.

Na pewno słyszeliście o zamordowaniu znanego karateki Andrzeja Frysiaw 1996.

Fryś pracował dla naszego przyjaciela jako ochroniarz.

Krakowiak kazał go zamordować wynajętym Ukraińcom, też karatekom.

Było to ostrzeżenie dla jego szefa, któremu zachciało się samodzielności.

Krakowiak od czterech lat siedzi, skazany na dwadzieścia pięć lat.

Nasz milusiński też siedzi.

O, w tamtym kącie.

Razem ze sławnym mecenasem Wojtczakiem, który wyciągnął go z pierdła, i słynnym psychiatrą profesorem Czaplińskim, który załatwił mu żółte papiery.

Patrz ananas - podniósł rękę i pomachał tamtym przyjaźnie.

Anżelika szarpnęła go za ramię.

[- Przestań się wygłupiać i pluć jadem.

Lepiej się napij, to ci ulży.

- A żebyś wiedziała, że tak zrobię!

- wypił whisky jednym haustem i skinął na wyfraczonego oberkelnera, czujnie obserwującego ich stół.

- Panie starszy, jeszcze raz to samo!

Kiedy kelner udał się zrealizować zamówienie, przewertował pamiętnik.

- Co to za gówno?

- spytał opryskliwie, ale już z mniejszą złością.

- Pamiętnik dziadka panny von Baysen, hitlerowskiego zbrodniarza -

odparł Bażyński.

- Pierwotnie był oprawiony w ludzką skórę.

189.

- Cholera!

Najpierw podłe żarcie, a teraz to na deser - policjant pospiesznie odłożył pamiętnik.

- Właśnie.

Nie jest to rzecz, którą chciałoby się pochwalić, zwłaszcza przed policją.

- Co w nim jest?

Ma kogoś, kto wolałby, aby nie ekszumowano jego niechlubnej przeszłości, zakopanej cztery stopy pod ziemią w jakiejś białej mogile?

- Nic z tych rzeczy.

Choć diabli wiedzą, nie znamy całości.

Myślę jednak, że to, co może was zainteresować, znajduje się na dziesięciu stronach przy końcu.

Tu masz tłumaczenie - podał mu kilka ponumerowanych kartek.

- Zachowałeś kopertę?

- Jaką kopertę?

- No przecież w czymś to musiało zostać wysłane.

- Chyba wyrzuciłem.

Ale pamiętam, że z pieczętki wynikało, iż przesyłkę nadano na Poczcie Głównej w sobotę.

- Cholera, ta koperta mogła nam coś powiedzieć.

Skąd wiecie, że profesor nadał ją osobiście?

- Z listu, który ciocia Misia pewnie wciąż ma.

Ona niczego niewyrzuca.

- Jedyna rozsądna osoba w waszej dwuosobowej rodzinie.

Kto to tłumaczył?

- Policjant wskazał pamiętnik.

- Pan Katz?

- Nie.

Ciotka.

Dlatego tak długo trwało.

Skończyła dopiero wczoraj.

Kłamstwa zawsze gładko przechodziły Tomaszowi przez gardło, dlatego nawet się nie zarumienił.

Co nie znaczy, że lubił kłamać.

Ale rumienił się ze zgoła innych powodów.

Nagle poczuł na udzie dotyk gołej stopy, której ruchliwe palce masowały muskórę.

Blondynka naprzeciwko siedziała z niewinną miną, porzuciwszy pantofel pod krzesłem, jednak na ustach błąkał jej się porozumiewawczy uśmiešek, a podmalowane oczymówiły: "Wiem, że kłamiesz, kochanie, lecz nikomu nie powiem, jeśli będziesz grzecznym chłopcem".

Cofnął nogę.

Mężczyźni chyba niczego nie zauważyli, ale Niemka zbyt szybko uciekła z oczami, gdy na nią spojrzął.

Zarumienił się.

Na szczęście w tej chwili nadszedł kelner i postawił przed Jareckim następną whisky, mówiąc wyniośle:

- Służę łaskawemu panu.

Równocześnie w imieniu właściciela prosi, by raczył pan powściągnąć język.

To szanowany lokal i nasi goście są przyzwyczajeni do takiego słownictwa.

Jeśli się pan nie zastosuje, będziemy zmuszeni poprosić pana o opuszczenie restauracji albo wezwać policję.

190

- Wal się, przerośnięty pingwinie.

A twój pan razem z tobą.

Powiedz mu, że policja już tu jest.

Zapomniałeś, Paluch, kto cię zapuszkował przed dwoma laty za posiadanie narkotyków?

Uważajcie, żeby to ja nie załatwił wam nalotu.

Czym teraz pokątnie handlujecie?

Nadal dragami, czy może przeczuciliście się na produkcję lewych fajek, bo to ponoć

obecnie najbardziej chodliwy towar?

Kelner oddalił się jak zmyty, a komisarz zagaił:

- O czym to mówiliśmy?

A, o tłumaczeniu.

Czemuż to językowo zdolniony pan Katz się tym nie zajął, żeby było szybciej?

- Bo przesyłka była zaadresowana do Michaliny Bażyńskiej i Michalina Bażyńskiego miała prawo uczynić z nią, na comiała ochotę.

Dlatego przestań nas straszyć karą za utrudnianie śledztwa i ukrywanie dowodów i zacznij się zachowywać jak człowiek i kumpel, a nie jak buc.

Miałeś coś przynieść na wymianę, zapomniałeś?

Jarek siedział naburmuszony, bębniąc palcami po stole.

- No, mister Hyde, bądź dla odmiany dobrym gliną.

To ci dorzucę coś gratis - kusił Tomasz.

- I nie przypominę, że jeśli będziecie bezzasadnie przedłużać wydanie zwłok, to konsul niemiecki dobiedzie się wam wreszcie do tyłków i wybuchnie międzynarodowa afera.

- Misiaczkule - zaszczebiotała Anzjelika i pogłaskała komisarza po bogiej czuprynie.

- Nie daj się prosić.

- Nie mów do mnie misiaczkule.

Wiesz, że tego nie znoszę - warknął, poprawiając fryzurę nerwowym gestem, ale potem dodał, już udobruchany: - No, dobrze.

Dostaniecie zgodę prokuratora.

Jutro pannavon Baysen może odebrać ciało ojca i zrobić z nim, co chce.

Ale biada wam, jeśli jeszcze coś przede mną ukrywacie.

A teraz gadaj, co to za gratiska.

Tomasz wziął doreki pamiętnik i otworzył go na stronach zszyfrem, po czym opowiedział, jak doszło do jego odkrycia.

- Hm.

Niezły cwaniak z ciebie.

Też migratiska!

Myślisz, że moglibyśmy to przeoczyć?

- mruknał policjant.

-Ale swoją drogą ciekawe,coto może być.

Nie robicie mniew konia?

- obrzucił całą trójkę podejrzliwym spojrzeniem.

-Może już wiecie, co to znaczy?

- Nie - zapewnił go Bażyński.

- Liczymy na waszych ekspertów.

- Ha!

Tu was mam, mądrale!

I pewnie zaraz mamy was powiadomić?

- Byłoby miło.

A zresztą; bezłaski.

Może się założymy, kto pierwszy złamie szyfr:

wy, Adam, czyli pan Katz,czyja?

- O co?

- spytałJarecki, aKatzochoczo kiwnął głową na znak zgody.

Oflaszkę.

Litrową.

Zwycięzca decyduje z jaką zawartością.

191.

Mężczyźni złączyli dłonie nad stołem, a kobiety przecięły zakład.

W tej chwili w neseserze Jareckiego zadzwonił telefon.

-Cholera!

Nawet w czasie wolnym człowiek niema spokoju.

Przepraszam was.

Ale kiedy przyłożył komórkę do ucha, natychmiast przestał się złościć.

- Tak.

Tak.

Dobrze.

Zaraz tam będziemy.

Zbierzcie ekipę.

Wiem, że jest sobota.

Postarajcie się.

Odłożył telefon.

- Jesteście autem?

-Nie.

Chcieliśmy się przespacerować- odparł Bażyński.

- Dobrze.

Zaraz podjedzie tu radiowóz i zapakujecie się ze mną.

- Co się stało?

-Było włamanie do waszego domu.

Ucierpiało dwóch funkcjonariuszy.

Twojej ciotce nic się nie stało.

Kelner!

Rachunek.

- Pan pozwoli, komisarzu, że ja go ureguluję - odezwał się Katz.

- Narazie mnie płacą zapracę w euro, a panu w złotych.

- Nie ma mowy.

To ja was tutaj zaprosiłem.

- Kiedy nalegam.

Naprawdę zrobi mi pan przyjemność.

- Skoro tak.

-A co ze mną?

-odezwała się Anżelika.

- Przykro mi, kochanie.

Weź mój samochód.

Potem go odbiorę - podał jej kluczyki.

- A nie mogłabym pojechać z wami?

Proszę.

- Nie ma mowy.

-Ale.

- Koniec dyskusji.

Anżelik naprawdę nazywała się Aniela Karska.

Pochodziła z dobrej znanej, lecz podupadłej rodziny.

Może zresztą tak znowu marnie sytuowanej, ale na pewno niewystarczająco jak na potrzeby dziewczyny filmowej urodzie, wymagającej stosownej oprawy.

Zacząła od zmiany imienia na użytek znajomych.

Było to pod koniec podstawówki lub na początku liceum, akurat gdy w telewizji wznawiali nadzwyczaj popularny w swoim czasie francuski cykl filmów o seksownej markizie Angélique. Nie była głupia, więc szybko pojęła, że nie ma zdolności wystarczających do kariery naukowej lub samodzielnego zarobienia naprawdę dużych

192

pieniędzy.

Zacząła zatem szukać odpowiedniego kandydata na męża.

Wcale nie była puszczałką.

Co to, to nie.

Dodatkowo, miała już dwadzieścia siedem lat, w jej życiu było zaledwie kilku mężczyzn.

Uważała, że mariaż urody z dużą kasą to całkiem uczciwy układ.

Komisarzbynajmniej nie był szczytem jej marzeń, lecz chwilowo nie miała

alternatywy.

Pokilku nieudanych podejściach doróżnych kierunkówstudiów, którychnazw nawet dziś nie pamiętała, wplątała się w podejrzane towarzystwoi gdyby nie Jarecki, byłoby z nią krucho.

Zresztątrochę się bała komisarza,który wpółświatku miał fatalną opinięnieprzekupnego psa posokowca.

Ekssenator Chojewski, przyjaciel i biznesowy partner właścicielaEl Dorado, mimo swoich koneksji został za sprawąJareckiego aresztowany zaprodukowanie i dystrybucję narkotyków, a młody Chojewski, z którymchodziła, zmuszony do wyjazdu i ukrywania się za granicą.

- Pani wybaczy - kelner przerwałjej rozmyślenia.

- Szef prosi paniąna zaplecze.

Nie potrzebowała przewodnika.

Zabrała torebkęi dla wprawy kręcąc biodrami, opuściła salę.

Grubas o byczym karku czekał na nią w swoimkantorku,gdzie ubijał większość ciemnych interesów.

- Czegosię dowiedziałeś?

- warknąłbez wstępów.

Z wierzchu i na zewnętrzny użytek ogładzony, w gruncie rzeczy pozostał zwykłym chamem.

Nie przejęła się niegrzecznym powitaniem.

Usiadła z wdziękiem na twardymkrześle, założyła nogę na nogę,niespiesznie zapaliła papierosa i wydmuchnęła mu w nos dym, wiedząc, żegotakim zachowaniemirytuje.

- Sporo.

-Oby to była prawda.

Bo na raziemam w związku z tobą same koszty,a jeszcze niczego ciekawego nie dostałem w zamian.

Czemuten kutasdzisiaj tuprzyszedł i się awanturował?

Chciał mnie sprowokować?

- To jazaproponowałam twój lokal.

Żeby sprawdzić, jak zareaguje.

-I co?

- Wściekł się.

Powiedział, że mu spieprzę akcję, bo nabierzesz podejrzeń.

Uległ, kiedy się uparłam.

- Paluchowi wspomniał coś o fajkach.

Wiesz, o co chodzi?

- Wiem, że w poniedziałek z samego rana szykuje się wielki nalot na jakąś nielegalną fabrykę papierosów gdzieś pod Krakowem.

-Kurwa mać!

- grubas poczerwieniał i walnął pięścią w stół.

-Jak onto wyniuchał!

I to akurat teraz, kiedy na transport czeka ogromna partia towaru, warta fortunę.

Chce mnie wykończyć!

Zabiję skurwysyna!

193.

Wyjął z kieszeni komórkę, wystukał numer, po czym wrzasnął do mikrofonu:

- Faja!

Mamy dwadzieścia cztery godziny na zlikwidowanie interesu, więc zaczniemy się zwijać!

Jutro rano do was przyjadę.

Szarpnął szufladę, wyjął plik banknotów i bez liczenia cisnął na blat przeddziewczyną.

- Bierz.

Tym razem faktycznie zasłużyłaś.

Przeliczyła pieniądze, wrzuciła je do torebki i podniosła się.

- Zawsze do usług.

Kiedy gomijała, uszczypnął ją w pupę i chrząknął jak knur.

- Łapy przy sobie - syknęła.

- Tego nasza umowa obejmuje.

Apolonia Korzonek bynajmniej nie zamierzała się nigdzie oddalać.

Taka gratka, jak trafiała jej się tej nocy, była miłą odmianą w codziennej rutynie.

Przewyższała nawet zeszłoroczną gorszą awanturę na spotkaniu założycielskim Towarzystwa Nieustającej Modlitwy o Pokój, Miłość Bliźniego i Powszechne Braterstwo, którą rozpętały dwie szacowne członkinie, Zyta Glińska i Patrycja Kwik, o to, która jest bardziej godna przewodzić dostojnemu zgromadzeniu.

Przy okazji usiłujący rozdzielić antagonistki ksiądz proboszcz stracił parę guzików u sutanny, a słownictwo pani Korzonkowej wzbogaciło się kilka nowych terminów, których znaczenia mogła się tylko domyślać, i to również było ekscytujące przeżycie. Ale nie umywało się do obecnego.

Korzystając z okazji, że obaj detektywi w pośpiechu zostawili otwarte drzwi samochodu, pani Apolonia usiadła na siedzeniu od strony pasażera, przodem do willi, ujęła parasol oburącz niby karabin lub pikę, wystawiła go wojowniczo przed siebie i zajęła się obserwacją wydarzeń, czując się niby widz w teatrze.

Dzięki temu mogła złożyć wyczerpującą relację komisarzowi, który mniej więcej pół

godziny później, wraz zbrakującątrójką mieszkańców, zjawił się na miejscuzdarzeń.

- No więc siedzę ja sobie, panie komisarzu, i rozmyślam, co mogło sięstać z moim ulubionym gołębiem Gienkiem, no wie pan, tym brązowymBo od dwóch dni nie przylatuje.

Może go kot zjadł albo jakieś wstrętnechłopaczyska przetrąciły skrzydło?

Ach,te dzisiejszedzieci.

Za moichmłodych lat.

- Pani Korzonkowa, na rany Chrystusa, znowu pani zaczyna?

194

Siedzieli w salonie (przezMichalinę nazywanym bawialnią).

Komisarzprzy stole, mając przed sobą włączony dyktafon i robiąc od czasu do czasunotatki w notesie.

Naprzeciwko drobna staruszka wewdowiej czerni,popijającaniemożliwie słodką herbatkę i promieniująca zadowoleniem,żeznajduje się w centrum zainteresowania.

Na antycznej kanapie (przezMichalinę nazywanej sofą), niby kury na jednej grzędzie,przycupnęłaczwórka domowników.

Michalina szeptała coś Tomaszowi na ucho, onobejmowałją ramieniem.

Po całym domu, iluminowanym jak nigdy,kręciła się ekipatechników.

- Dobrze,już dobrze.

Dumam zatemi patrzę równocześnie, boja mam, proszę pana, takie coś, co się uczenie nazywa rozdzielczościąuwagi, aż tu naglezza węgła wychodzi policjant.

Ten młodszy,co pobiegł na tyły.

Aleidzie tak dziwnie, zataczając się jak pijany.

A przecież nic nie pił, bobym wyczuła.

Oho!

Już ja zawsze wiedziałam, kiedymój świętej pamięćimaż strzeliłsobiejednegoz kolegami, choćby niewiem jak.

- Pani Korzonkowa!

-Toć mówię, jak było!

I trzymał się za gardło, jakby sięduził.

Apotempadł naziemię jak podcięty.

Ten drugi oficer stał wtedy przy drzwiach wejściowych i próbował dostać się do domu.

Ale zobaczył to samo co ja i pobiegł w kierunku kolegi.

W ręce miał pistolet.

Widziałam dobrze, bo przed domem pali się lampa.

Aż tu raptem zza domu wyskoczył taki jeden, całkiem czarny.

To znaczy ubrany na czarno, a nie Murzyn.

Nawet ręce miał czarne, a na głowie taką maskę z dziurami na oczy i usta.

- Kominiarkę?

Babina zmarszczyła brwi.

- Czy ja wiem?

Na cylinder kominiarski to mi raczej nie wyglądało.

Prędzej na skarpetę.

- To właśnie nazywa się kominiarką.

- Aha.

Piękny fortepian!

- zachwyciła się nagle wielgachnym instrumentem.

- Jak ja lubię muzykę!

Bo mój mąż Eugeniusz, świętej pamięci, to miał akordeon i tak na nim grał na festynach, proszę państwa, tak grał, że.

- Pani Apolonio!

- Na czym to ja skończyłam?

Nowi więc ten policjant stanął jak wryty i wycelował w tego bandytę.

A ten jak nie skoczy na niego!

W życiu czegoś takiego nie widziałam!

Po prostu frunął w powietrzu nogami naprzód

i wykopał temu oficerowi pistolet z dłoni jedną nogą, a drugą uderzyłgo w pierś.

Oficer poleciałw tył, a ten łobuz zdążył go jeszcze walnąćpięścią w twarz.

Policjant upadłi leżałnieruchomo.

Wtedy w dłoni tegoczarnego pojawił się nóż, zupełnie nie wiem skąd, jakby wyskoczył muz rękawa.

Pochylił się nad oficerem.

Wtem zobaczył mnie w otwartym

 auciei hyc.

 Przerwała i napiła się herbaty.

 - I co paniwówczaszrobiła?

Niespodziewanie staruszka zmieszała się.

 - Wstyd powiedzieć, ale nic.

Wrzasnęłam tylko ze strachu, wypuściłam z ręki parasol, zatrzasnęłam drzwi od samochodui rzuciłam sięwstecz.

Łokciem przypadkowouderzyłamw środek kierownicy i wtedytrąbnał ten, jak mutam, klakson, aż mnie ogłuszył.

No to nacisnęłamjeszcze raz iznowu.

W domu obok zapaliły się światła w oknach.

Aw tegołobuza jakby piorun trzasł!

Szarpnął się w tył jak oparzony i pognałw boczną ulicę.

W którą, to jużpokazywałam takimujednemu miłemu panu od was.

Ito by było na tyle.

A najśmieszniejsze, że właściwie nikt niezareagował na to moje trąbienie.

Tylko jeden pan, z tego domu obok, krzyknał przez otwarteokno: "Przestań hałasować, gówniarzu, bozewwepolicję!

", i zaraz zgasiłświatło.

 - Dziękujępani.

Osobiście dopilnuję, by otrzymała pani z komendylist gratulacyjny.

Świetnie się pani spisała.

Pani Bażyńska również - Jarecki zwrócił się do Michaliny.

- Pomysł z nadaniem sosbył znakomity.

Która z pańwezwała pogotowie i policję?

- Ja - odparła Michalina.

- Kiedy pani Korzonkowa zadzwoniła do drzwi i powiedziała, że na zewnątrz leżą nieprzytomni policjanci.

Coz nimi, panie komisarzu?

- Kiepsko, ale będą żyli.

Aspirantowi Nowakowi lekarz jeszcze w ambulansie zrobił tracheotomię.

- Tra.

co? - spytała pani Korzonek.

- Rozciął gardło i wprowadził rurkę do zmiażdżonej tchawicy, bo inaczej biedak byłby się udusił.

A starszy sierżant Kacperski złamał nos i dwa żebra.

- Mój Boże - westchnęła Michalina.

- Że też akurat w takiej chwili mam w domu nic na uspokojenie.

- Ja mam!

- pochwaliła się pani Korzonek i zaczęła szukać w torebce.

- Ale ja nie miałam na myśli pastylek.

196

- Ja też - zarumieniła się wdowa po artyście Eugeniuszu Korzonkui wydobyla płaską, srebrną piersiówkę o ćwierćlitrowej pojemności.

- Topo moim mężu świętej pamięci.

Czasem noszę w niej odrobinę koniaczku na rozgrzewkę w chłodne noce albo jak serce zaczyna mi pikać.

A teraz czuję żepika.

Jedną rękę położyła na sercu dla uzyskania pewności, drugą przyłożyła piersiówkę do ucha i lekko potrząsnęła, po czym powiedziała zmartwiona:

- Dławszystkich niestarczy.

-Nie szkodzi, myśmy już dziś swoje wypili - odparł Jarecki i wstał.

-Niech się panie nie krępują.

Kiedy Michalina podniosła się, by przynieść koniakówki z kredensu, do pokoju weszło trzech policjantów w cywilu.

Ten, który niósł małą walizkę, powiedział:

- Skończyliśmy, szefie.

Pardon, panie komisarzu - poprawił się, zapewne przez wzgląd na cywili.

- Znaleźliście coś?

- Nic.

Zero.

Sukinsyn, pardon, osobnik, był w rękawiczkach.

To zawodowiec.

- Dobra.

Jesteście wolni.

Jutro chcę dostać raport.

- Zrobi się.

Policjanci wyszli, zaś Jarecki kiwnął na trójkę z kanapy.

Podeszli doniego.

- Ja też będę niedługo leciał.

Chcę, żebyście teraz pobieżnie, a w dzień dokładnie, rozejrzeli się po domu i sprawdzili, co zginęło.

Dla odmiany policjant usiadł na kanapie i zajął się przeglądaniem notatek, a potem przesiadł się do fortepianu i kilkakrotnie uderzył na próbę klawisze.

Tomasz i dwójka Niemców udali się na górę.

Adam i Anna Maria wrócili po paru minutach.

Komisarz siedział przy instrumencie i grał Etiudę rewolucyjną Chopina z taką pasją, że obie staruszki słuchały jak zaczarowane.

Skończył, zamknął klawisze i spytał:

- No i co?

-U nasniczego nie brakuje- powiedział Katz.

-Nie ma też żadnych śladów, żeby czegoś szukano.

- Na pewno?

-Raczej tak.

- Upewnijcie się jeszcze zadnia.

Na Tomasza przyszło im czekać dłużej.

197.

- Obszedłem cały dom, od piwnic po strych.

-I co?

- I nic.

-Nic nie zginęło?

- Naoko nic.

-Ciekawe.

- Może zobaczył przezokno policjantów i to go spłoszyło?

- zasugerował Katz.

- Prędzej przyszedł po pamiętnik i gonie znalazł - zauważył Bażyński.

-To najbardziej prawdopodobne - zgodził się z nim Jarecki.

- Że niebył to zwykły złodziej, to pewne.

Zapewne to on zasztyletował profesora.

Tym razem chyba nie przybył nikogo mordować, ale potem zmienił zdanie.

Mógł zabić moich ludzi i obie starsze panie, gdyby nie interwencja nieocenionej pani Korzonkowej.

Nasz włamywacz to znakomicie wyszkolony profesjonalista, choć wygląda na nieznaczącego, przezco jest jeszcze bardziej niebezpieczny.

Niewykluczone, że obserwował dom od dłuższego czasu.

W każdym razie wiedział, że wyszłicie.

Znalzałem wasze zwyczaje i założył, że prędkiem wrócicie.

Istnieje też opcja, której - przyznaję - nie brałem poważnie pod uwagę: że włamał się tu już wcześniej, żeby założyć wam podsłuch.

A dziś przyszedł pomysłkować zabrać pluskwy, bo niczego nieznaleźliśmy.

To znaczy, że zakończył inwigilację albo faktycznie się spłoszył.

Policjanci nadal będą pilnować domu, ale wy też miejcie oczy dookoła głowy.

To zuchwały drań może wrócić.

Niewykluczone, że niezamierzał zabijać profesora, ale go poniosło, kiedy von Baysen odmówił mu czegoś.

A teraz uważa, że uzyska to od was.

Pójdę już.

Wpadnę tu wieczorem albo jutro.

Może będę już coś wiedział albo wy na coś traficie.

Do widzenia.

Machnął im na pożegnanie, starszki pocałował dwornie wdłonie.

- Pani Korzonkova, jeśli pani sobie coś przypomni, proszę mnie powiadomić.

Wyszedł.

Wdowa po malarzu dopiłakoniak i też się podniosła.

Zakręciła pustą piersiówkę i wrzuciła ją do torebki.

- Miło było państwa poznać.

Aha.

Pani Michalino, bowolno mi chyba wracać się do pani po imieniu?

Otóż przyszło mi do głowy, że może przyszłaby pani jutro wieczornym nabożeństwie na spotkanie naszego Kółka Różańcowego?

Nieraz widywałam panią na mszy niedzielnej, ale przecież aktywny chrześcijanin nie powinien się ograniczać tylko do tego, nieprawdaż?

198

- Eeee.

- wyjąkała Michalina, która była osobą bardzo pobożną, lecz z rozrywek preferowała seriale, mecze i kryminały, więc zaczęła się wykręcać: - Oczywiście.

To znaczy chętnie.

Mogę przyjść, lecz nie obiecuje, że będę to czyniła regularnie.

Wie pani, nieto zdrowie.

Nie jestem wszak tak młoda jak pani.

- Rozumiem.

Ale od czasu do czasu miło byłoby się spotkać.

Przecież jesteśmy prawie sąsiadkami.

- Ma pani absolutną rację - odparła Michalina, odprowadzając nową przyjaciółkę do wyjścia i ukradkiem posyłając młodzieży zrezygnowane spojrzenie.

Otworzył drzwi i cicho wślizgnął się do domu.

Nie miał dużo czasu, ale nie wpadł w panikę.

Nigdy nie wpadał.

Wierzył, że z każdej opresji potrafi się wykaraskać.

Trochę żał mabyło tak dobrej meliny, lecz mówię trudno.

I tak był najwyższy czas, by się stąd wynosić.

Jedynie, czego naprawdę żałował, to że nie zabił tamtych czworga, skoro już sprawy się tak potoczyły.

I kto mu w tym przeszkodził?

Jakaś starucha!

Naprawdę się starzał.

Podczas ataku na policjanta strzeliło mu coś w pachwinie.

I nie dziwota.

Chociaż dbał o kondycję, pięćdziesiątka na karku robiła swoje.

Dawno powinien albo nie żyć, albo przejść na emeryturę.

Był tak rozdrażniony, że tylko jedno mogło go ukoić.

Zdarł z głowy kominiarce wpechnął ją do kieszeni.

Utykając, poszedł do kuchni, której rozkład znał już na pamięć, i nie zapalając światła, otworzył lodówkę.

Była ogromna, ponieważ właścicielka dzieliła ją lokatorami.

Sięgnął po ulubioną kielbasę krakowską ("Trzeba przyznać tym Polaczkom, że wędliny mają najlepsze na świecie"), odgryzł potężny kęs, po czym popił zmrożoną wódką prosto z gwinta.

- Gdzie byłeś?

Omam nie podskoczył.

Znow dał się zaskoczyć.

Co się z nim działo?

W drzwiach stała gospodyni.

W słabym świetle wciąż otwartej lodówki widział jej skąpy negliż, kiepsko osłaniający mało apetyczne ciało.

BezPeruki i makijażu wyglądała na znacznie więcej niż pięćdziesiąt lat,doktórych się przyznawała.

Po to tyłkochał się z nią przezcały wieczór,żeby potem spała jakzabita.

A ta tłucze się jak nocny marek.

- Uprawiałemjogging.

Jak co wieczór.

- O tejporze?

199.

- Wcześniej byłem zajęty czym innym, pamiętasz?

Czemu nie śpisz?

- Obudziły mnie jakieś hałasy za oknem.

Nie wiesz, co się tam stało?

- Chyba ktoś się włamał do sąsiadów.

Przyjechała policja i pogotowie.

Postałem tam chwilę dlatego wróciłem tak późno.

Idź do łóżka, zaraz

do ciebie przyjdę.

Myślał, że będzie go wypytywać o szczegóły, ale jej co innego byłow głowie.

Zalotnie rozchyliła peniar, musnęła palcem blat kuchennego stołu i wsparła się o niego pośladkami.

- A może tak, skoro już tu jesteśmy, zrobilibyśmy coś wyjątkowego?

Już miał na nią wrzasnąć i wysłać do wszystkich diabłów.

Ale zmienił

zamiar, gdy jego wzrok padł na chłodziarkę.

Właściwie po co kładać

nieuniknione?

Zamknął lodówkę i powiedział:

- Coś wyjątkowego?

Wedle życzenia.

Kraków, 4 lipca 2010 (niedziela)

Była trzecia w nocy, kiedy odnalazł właściwy podjazd.

Niedział na ślepo.

Trafił w to miejsce trzy dni temu, kiedy objeżdżał okolicę, szykując się na taką właśnie okoliczność.

Była to spora działka na peryferiach miasta, w Przegorzałach, położona na stoku.

Wysoka zarośnięta skarpa oddzielała ją od ruchliwej ulicy Księcia Józefa, a właściwie drogi prowadzącej na Śląsk.

Za dnia w prześwitach między krzakami widać było Wisłę płynącą równoległe doszosa.

Całość okalała zardzewiała siatka, a posadzone przy niej iglaki tworzyły niemal nieprzeniknioną ścianę, zasłaniającą przed okiem wścibskich sąsiadów.

Tych jednak prawie nie było, bowiem na jedynej granicznej posesji nie stał żaden dom, tylko rekreacyjna ażurowa altana.

Bardzo mu to odpowiadało.

Miał tu idealny azyl, gdyż działka wyglądała na nieużywaną od dawna.

Drewniana nie toczka, nie ogrodowa altana była zabita na głucho, zaś na zdezelowanej siatkowej bramie, zamkniętej na łańcuch z solidną kłódką, wisiała ręcznie wypisana tabliczka z napisem NA SPRZEDAŻ i numerem telefonu.

Zaciągnął ręczny hamulec, wyskoczył z auta, obcegamiprzeciął kłódkę zawiesił ją na siatce, po czym otworzył oba skrzydła.

Nie ustąpiły bezoporu, skrzypiąc przeraźliwie.

Wjechał do środka i stanął w jedynym prawie równym miejscu.

Zgasił silnik, wyłączył światła, wyjął latarkę i wyszedł z wozu.

Zamknął bramę, zerwał tabliczkę z napisem NA SPRZEDAŻ

200

i z powrotem zawiesił kłódkę od zewnątrz, co wymagało pewnej gimnastyki palców.

Świecąc podnogi, aby nie wpaść w gęsto rozplenione pokrzywy i liczne doły, poszedł w kierunku domu, do którego wchodziło się pod drewnianych schodach przez małą werandę obrośniętą winoroślą.

Już był przy drzwiach, gdy usłyszał wewnątrz jakiś ruch.

Ledwo zdążył uskoczyć w bok.

Otwarte drzwi zasłoniły go zupełnie.

Ktoś wyszedł na werandę.

- Wracajże, Franek, zwidziało ci się - rozległ się ze środka przepity głos.

- Kiedyś ciemno słyszałem.

Jakby auto - upierał się Franek, usiłując przebić wzrokiem, zapewne mętym, bo i jego

głos był przepity, egipskieciemności.

- Eee tam, od pół roku żoden tu nie zaglondoł i nagle komuś zachciałoby się przyjeżdżać po nocy?

- powątpiewał trzecigłos.

- Chono, będzie jesce po łyku - zachęcał czwarty.

Franek chciał się zastosować do dobrej rady, ale nie zdążył.

Brodacz jedną ręką zatkał mu usta, drugą wbił nóż w bok.

Bezszelestnie ułożył zwiotczałe ciało na werandzie i wszedł do wnętrza.

Przy miniaturowym stole, na którym stały trzy puste flaszki i jedna na wpół pełna butelka taniego wina oraz puszka pełniąca funkcję popielniczki, przy dogasającym ogarku świecy umieszczonym na wieczku do stoika siedziało trzech meneli.

- No to cyk - powiedziała siedzący tyłem i przytknął flaszkę do ust, po czym nie odwracając się, podał butelkę wstecz.

- Twoja kolej.

Franek.

Ino zamknij te cholerne drzwi, bo wieje po krzyżach.

Zarośnięty jak neandertalczyk menel, z brodą d la Robinsona Cruzo pod koniec pobytu na bezludnej wyspie, siedzący na wprost wejścia, pierwszy rozpoznał w przybyszu obcego.

Mętne spojrzenie nabrało wyrazu.

Otworzył usta, ale nic nie powiedział, bo ciśnięty nóż przebił mu serce.

Zwalił się na lepkie od brudu deski.

Jego kompan obok niczego nie zauważył, gdyż leżał z głową na blacie i chrapał.

Natomiast trzeci zastygł, gapiąc się na martwego towarzysza wielkimi jak spodki oczyma, po czym wolno odwrócił głowę wzrok.

- Smakowało?

- spytał brodac z życzliwą ciekawością.

Wyjął z ręki zdrtwiałego zezgrozy menela butelkę, złapał ją za szyjkę, "bił o kant stołu przejechał tulipanem po oczach włóczęgi.

Ten ryknął przeraźliwie, a wówczas brodac uderzył go kłykciami zaciśniętej pięści w

grdykę.

Krzyk ucichł w momencie kolejny trup zsunął się ze stołka.

Morderca przestąpił ciała podszedł do trzeciego biesiadnika, który wciąż

201.

smacznie spał.

Chwycił go oburącz za głowę i jednym zdecydowanym szarpnięciem skrzył śpiącemu kark.

- Scheifie!

- zaklął, z obrzydzeniem rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu, niemożliwie brudnym i zagraconym, w którym stężenie smrodu przekraczało wszelkie dopuszczalne normy unijne, a nawet krajowe.

- Prawdziwi podludzie.

Zatykając nos, pochylił się nad Robinsonem, wyjął nóż, wytarł w zatłuszczoną koszulę tamtego i wsunął dopochwy na przedramieniu.

Po' kolei przeciągnął trupy w najdalszy kąt izby, na koniec dołączając do pozostałych tego z werandy.

Zdmuchnął świecę i z ulgą wyszedł na zewnątrz, zostawiając otwarte drzwi.

Pełną piersią zaczerpnął świeżego powietrza.

Był zadowolony i nareszcie w pełni zrelaksowany.

Pogwizdując, zszedł z werandy i poszedł do auta.

Wyjął z bagażnika karimatę i puchowy śpiwór, które zapobiegliwie kupił sobie niedawno w markecie obok innych turystycznych akcesoriów.

Naciągnął na samochód zielony pokrowiec, po czym ułożył się obok auta.

Po chwili spał snem sprawiedliwego.

Nieboz wolna rozjaśniał brzask wstającego dnia.

- Dzień dobry!

Zaskoczony brodacz oderwał się od pogłębiania dołu, który ktoś kiedyś już wykopał, pewnie na śmieci albo kompost.

Za siatką, ledwie widoczny w szparze między tujami, widniał grubas w samych szortach, z pucołowatym obliczem, na którym malował się życzliwy uśmiech.

Zabójca wbił szpadel w ziemię, otarł pot zczoła i burknął:

- Dobry.

- Kupił pan tę działkę?

- Owszem.

-Nareszcie.

Aż żal było patrzeć, jak marnieje.

Kiedyś widziałem tunawet jakichś meneli.

Cieszę się, że znów będę miał sąsiada.

- Ja też.

-To pański samochód?

- grubas kiwnął głową w kierunku zasłoniętego wozu.

Brodacz spojrział ostro, ale uspokoił się, widząc, że tamten mruży oczy krótkowidza.

Pokrowiec był zielony i zdaleka zlewał się z tłem.

-Tak.

- Jakiej marki?

202

- Opel corsa.

Pogratulował sobie w duchu, że zerwał się ze snu jak tylko słońcemocniej zaświeciło mu w oczy i odrazu na wszelki wypadek wymienił tablice rejestracyjne, po czym znów zasłonił auto.

- Ja mam trzyletnią renówkę.

Pansam?

- Sam.

-Ja dzisiaj też.

Ale w najbliższą sobotę zamierzamy zżonąurządzić tutaj grilla.

Będzie paru znajomych.

Przyjdzie pan?

Zapoznalibyśmy się.

- Postaram się przyjść.

-Świetnie!

No to do soboty - grubas oderwał się od siatki, lecz zachwilę wrócił.

- Panwybaczy, niechciałbym być wścibiński, ale wyczuwam pana lekki obcyakcent.

Czy może jest pan cudzoziemcem?

- Długo pracowałem za granicą.

-Aha.

Oczywiście.

To do zobaczenia!

Tym razem oszedł na dobre.

Jednak dopiero po godzinie opuścił swoją parcelę.

Brodacz wykorzystał ten czas, by zaspokoić głód wiktuałami, które zabrał, opróżniając lodówkę; jedzenia miał na dobry tydzień.

Wodę na herbatę zagotował na palniku dokręconym do małej butli gazowej.

Teraz działał szybko.

Wrzucił do dołu w pierw stare tablice rejestracyjne, potem po kolei trupy meneli zawinięte w śmierdzące koce, na koniec wywalił dosłownie wszystko z domku, z wyjątkiem stałych sprzętów.

Zakopał tencały cuchnący stos pod półmetrową warstwą ziemi.

Potem przyniósł z bagażnika wiadro, środki czyszczące, mop i szczotki i zabrał się do szorowania i odkażania wnętrza.

Skończył przed wieczorem.

Ale tę noc postanowił jeszcze spędzić na dworze, zostawiając drzwi i okna domku otwarte na przestrzał.

Na werandzie urządził sobie piknik.

Ciszę nocną przerywały jedynie przejeżdżające dołem samochody i bzykające wściekle komary, ale mu to nie przeszkadzało.

Zjadł kolację, wypił szklankę wódki.

Zanim poszedł spać, odsłuchał najnowsze nagrania z podsłuchu w Willi Bażyńskich.

Przegląd porobionych zdjęć odłożył na jutro.

Już dawno nie miał tak pracowitego dnia.

Zdawał sobie sprawę, że znów igra z ogniem, ale to właśnie go najbardziej podniecało.

Upewnił się, czy ma pod ręką pełną skrzynkę wody mineralnej.

To byłonajważniejsze.

Do snu ukołysało go jego wielkie marzenie: luksus, palmy i mnóstwoprzejrzystej wody w środkui dookoła.

Potrzebował do tego, bagatela,kilku, najlepiej okrągłych dziesięciu milionów euro.

Zdobędzie je.

Jużnaprawdę niedługo.

203.

Kraków, 5 lipca 2010 (poniedziałek)

Po spokojnej, wręcz leniwej niedzieli, nowy tydzień zaczął się mocnym akordem.

Rano przed domem naprzeciwko powstał bieżący bieg.

Było pogotowie, policja i gromada gapiów.

Od razu przypomniła im się sobotnia noc.

Ale policjanci, wśród których nie było nikogo znajomego, nie puszczali pary z ust, więc nie wiedziano nic pewnego.

Ktoś widział jednak wynoszone ze środka jakieś zwłoki w czarnym worku.

Bażyński usiłował dzwonić do Jareckiego, ale telefon komisarza milczał.

Niedziwił się temu, bowiem w "Dzienniku Polskim" Michałina znalazła następującą informację:

Jak dowiedzieliśmy się od rzecznika prasowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie st.

insp.

Piotra Wolskiego, wczoraj w godzinach przedpołudniowych policjanci wtargnęli do nielegalnej fabryki papierosów zainstalowanej w jednej z miejscowości pod Krakowem.

Zaskoczenie było całkowite.

Pracownicy i nadzorujący ich gangsterzy nie stawiali oporu.

Skonfiskowany towar i wyposażenie fabryki oszacowane na kilkadziesiąt milionów złotych.

Po ostatnich znaczących podwyżkach cen papierosów, ich nielegalna produkcja i dystrybucja, a także eksport na Zachód przynoszą bowiem zyski większe nawet od narkobiznesu, ponieważ pod znanymi markami papierosów kryją się fałszywki produkowane z najtańszego tytoniu sprowadzanego z Ukrainy.

Dlatego proceder ten opanowały wielkie gangi.

Najbardziej zaskakujące jest jednak to, iż według niepotwierdzonych informacji, na miejscu przestępstwa schwytano także szanowanego krakowskiego biznesmena

Antoniego K.

, do którego jakoby należała nielegalna fabryka.

Próbowaliśmy zasięgnąć informacji u źródła, czyli kierującego całą operacją komisarza Tadeusza Jareckiego, lecz był on nieuchwytny.

- Jak było?

- spytał Michalinę, gdy późnym wieczorem wróciła z spotkania Bractwa Różańcowego.

- Lepiej nie dociekaj, bo cię wydziedziczę.

- Wiadomo już, co się stało po sąsiedzku?

Przechodziłaś tam tędy.

- Niczego się nie dowiedziałam, ale mam przeczucie, że jak tak dalej pójdzie, to niedługo wszystkich w okolicy znajdą pomordowanych w własnych domach - wieszczyła ponuro.

- To okropne wrażenie nie czuć się bezpiecznie na swoich śmieciach.

Na ulicy zresztą też co krok oglądam się za siebie.

Tomnie wpędzi do grobu, jeśli się szybko nie skończy.

Dłużej tak niewytrzymam.

Tomasz dawno nie widział jej tak przygnębionej.

Ale po dobrej kolacji i lampce koniaku humor jej się poprawił.

- Teraz wy mówcie, co nowego.

- Ty najpierw - Tomasz wskazała dziewczynę.

204

- Byliśmy z Adamem w zakładzie pogrzebowym.

Wszystkie formalności już załatwione.

Urna będzie do odebrania w środę.

- I co dalej?

- przerwała jej Michalina.

- Jak to co?

Wrócimy do Niemiec.

Już i tak nadużyliśmy waszej gościnności.

- Bzdura!

- powtórnie wpadła jej w słowo staruszka.

-Dzięki wampoczułam, że życie zaczyna się po dziewięćdziesiątce.

Możecie mieszkać, ile chcecie, i przyjeżdżać, jak tylko przyjdzie wam ochota.

Zawsze będziecie mile widziani.

A swoją drogą, moje dziecko, pocotaszczyć z sobą urnę tak daleko?

To przynosi nieszczęście.

Nie lepiej pochować ojca naszym rodzinnym grobowcu na tutejszym cmentarzu?

- Nie zastanawiałam się nad tym.

- odparła Niemka zaskoczona.

- Ależ ciociu - wtrącił się Tomasz.

- Może Anna Maria chce pogrzebać ojca przy jego matce albo żonie?

Cóż bardziej natural.

- Nie!

- zawołała dziewczyna z taką pasją, że oboje Bażyńscy spojrzeli na nią z zaskoczeniem.

Ponieważ jednak Anna Maria nie kwapiła się z wyjaśnieniem, Michalina powiedziała pośpiesznie:

- Więc tym bardziej mój pomysł zasługuje na rozważenie.

Wszystkie formalności biorę na siebie.

- Dziękuję.

Pomyślę o tym.

Tomasz sięgnął do pudełka, które ze sobą przyniósł, wyjął pectorali powiedział:

- Odczytałem napis z pergaminowych pasków wewnątrz relikwiarza.

Spójrzcie.

Położył przed nim na stole kartkę zapisaną wyraźnymi literami:

particula s[ancti] crucis/

ex antiqua theca extracta cum s[antissimis] reliquiis /de spina, clavo purpura

et columna /salyatoris nostri/hic reposita /a[nn]omccccriy

- Co to znaczy?

- spytała Michalina.

- Szczątki świętego krzyża/ zastarej teki wyjęte z najświętszymi relikwiami / korony (cierniowej), gwoździa, purpury (szaty) i kolumny (bierzmowania) / Zbawiciela naszego / tu złożone / w roku 1314.

- Fiu, fiu - świsnęła Michalina.

- To znaczy, że jesteśmy w posiadaniu szczątków krzyża, na którym umarł Chrystus!
Jejku!

Toż panie z Kółka

205.

Różańcowego, z jejmością Korzonkową na czele, zzielenieją z zazdrości, kiedy im o tym powiem.

Oczywiście, gdy będzie już po wszystkim - zastrzegła.

- Jak myślisz, Tomaszu, czy nie stosownie byłoby podarować ten relikwiarz jako wotum do kościoła Najświętszego Salwatora albo do Norbertanek?

Złote etui moglibyśmy sobie zostawić na pamiątkę.

- Dobra myśl.

Do realizacji w sposobniejszym czasie.

- Pojmujesz coś z tego?

- zapytał Katz.

- Jeśli bliźniacze pektorały miały być wskazówką do odnalezienia cudownej relikwii, musi w tym tekście być jakiś klucz.

- Wydaje mi się, że go znalazłem.

Zauważcie, że w drugim trzecim wierszu wytluszczyłem niektóre litery.

Patrząc przez lupę w dobrym świetle, zauważyłem bowiem, że mają nieco inną barwę od pozostałych.

To tylko założenie i nie podpisałbym się pod tym, gdyby to miała być oficjalna ekspertyza, ale wydaje mi się, że o ile całość napisano pospolitym czarnym inkaustem, to te kilka liter raczej brązowym, może nawet krwią.

Dawniej zapewne bardziej się wyróżniały.

Po kolei brali do ręki pektorał i oglądali z uwagą.

- Ja tam różnicy nie widzę - powiedziała Anna Maria - ale wierzę ci na słowo.

- I co z tego wynika?

- dociekał dziennikarz.

- Ano jeśli je połączymy, otrzymamy coś takiego - Bażyński odwrócił kartkę, na której było napisane:

VERA.

NACLAN.

- Nic z tego nie rozumiem - poskarżyła się Michalina i podsunęła Katzowi

koniakówkę do uzupełnienia.

-Verapocinie znaczy prawdziwy lub prawdziwa.

A słowo nadań albo inne zaczynające się w ten sposób nie istnieje w języku łacińskim.

- To znaczy, że zabrnęliśmy w ślepią uliczkę - zmartwiła się Niemka.

-Niezupełnie.

Pamiętacie ostatnie słowa deMolaya?

Cór tuum, thesaurustuus.

Czyli: Tam skarb twój, gdzie serce twoje.

Na złotej osłonie naszego relikwiarza-pektorału wyryte są pierwsze słowa: Cór tuum.

Logiczne zatem wydaje się domniemanie, że na niezachowanej oprawie krzyżackiego relikwiarza z kościoła Świętego Floriana znajdowała się druga część zdania.

A skoro tak, to na drugim trzecim pasku pergaminu wewnątrz tegoż pektorału, niestety, dziś nie do odczytania, powinno być dopełnienie słów, których początek już znamy.

Templariusze służyli co

prawda z zawitych tekstów i tajemniczych szyfrów, ale nie sądzę, by deBeaujeu miał czas na takie zabawy.

Dlatego według mnie vera określa relikwie, a nadań odnosi się do miejsca, gdzie została ukryta.

- Sprytnie - pochwalił Niemiec.

- Niemniej fakt pozostaje faktem:

nadal nie wiemy, ani czym jest owa niezwykła relikwia, ani gdzie jej szukać.

- Owszem, lecz na początek dobre to.

Cały czas tłucze mi się coś pogłowię w związku z tym vera, ale nie mogę się skupić.

To jednak tylko kwestia czasu, gorzej z nadań coś tam.

Sprawdziłem i nie ma w Polsce miejscowości zaczynającej się w ten sposób.

Może była kiedyś w Prusach?

Może gdy rozszyfrujemy zapiski Helmuta poczynione sympatycznym atramentem, znajdziemy wskazówkę.

A propos, odczytałeś je już?

- Jeszcze nie, a ty?

-Też nie - skłamał.

- Mam zamiar dzisiajsiędo tego zabrać.

- Powiem wam coś - oznajmiła Michalina, z nieskrywanym podnieceniem.

- Czuję, że jesteśmy na dobrym tropie iwkrótce znajdziemy tęczec, obojętnie czym ona się okaże.

Aim bliżej jesteśmyrozwiązani zagadki, tym bardziej jestem podekscytowana.

- Jateż - przyznała Anna Maria.

-I ja -wyznał dziennikarz.

- Chcecie wiedzieć prawdę?

- Tomasz zawiesił na chwilę głos.

-Jarównież!

Odczekał chwilę idodał:

- A teraz posłuchajcie mnie z uwagą, bo to ważna sprawa i musimy dziś podjąć decyzję.

Jarecki przysłał człowieka, żeby zabrał moje auto.

Nie wiem po co.

Przyjedzie tu nim jutro i przez tego policjanta stanowczo zapowiedział, że tym razem mamy go potraktować poważnie i niczego nie ukrywać.

Uważam, że powinniśmy go wszystko wtajemniczyć.

- We wszystko?

- przerwała mu Anna Maria i popatrzyła na Katza, który zmarszczył brwi i już otworzył usta, lecz Tomasz nie pozwolił sobie odebrać inicjatywy.

Poprzedniego dnia wiele sobie przemyślał i miał plan.

Skoro jego głównym przeciwnikiem w staraniach o względy dziewczyny był czas, postanowił go sobie dać.

- Przede wszystkim ustalmy, na czym nam najbardziej zależy.

- Nie ruszę się stąd, dopóki morderca mojego ojca nie zostanie złapany - powiedziała stanowczo Niemka.

- Ale już na drugi dzień mnie

206

207.

tu nie będzie.

Poszukiwanie skarbów mogę wam zostawić.

To bardzo ciekawe zajęcie, przyznaję, lecz mam swoją robotę.

Tego się obawiał.

Na szczęście znalazł sojusznika.

- Mów za siebie - zripostował Niemiec.

- Mnie od tej sprawy nawet wołami nie odciągną.

Lepszego materiału dziennikarskiego nigdzie nieznajdę.

- Ja także się w to wciągnąłem i nie chcę, by policja odstawiła nas na bocznicę.

Z drugiej strony oni naprawdę mogą nam uniemożliwić jakiekolwiek działanie pod pozorem utrudniania śledztwa.

Dlatego mam propozycję korzystną dla obu stron.

I mogę wam obiecać, że tylko jeśli Jarecki ją przyjmie, powiemy mu, co dotychczas odkryliśmy.

- Pod takim warunkiem możemy się na to zgodzić - odparł Katz po namyśle.

- Zatem mogę w waszym imieniu prowadzić negocjacje?

- Zgoda.

- W takim razie polej.

Kraków, 6 lipca 2010 (wtorek)

Komisarz przybył późnym popołudniem, zapewne prosto z komendy.

Był bardzo zmęczony i ponury niczym chmura gradowa.

Uklonił się Michalinie, rzucił niedbale pozdrowienie pozostałym i z ulgą klapnął w fotelu, wcześniej ciskając Tomaszowi kluczyki od samochodu.

- Dżip stoi przed domem.

Tomasz złapał kluczyki w powietrzu i wsadził do kieszeni.

- Zjesz coś?

- Nie jestem głodny.

- Ale napijesz się?

- Mowa!

Czy wyglądam na chorego?

- Wyglądasz na skonanego.

Zresztą nie dziwota po tym, co otobieczycaliśmy w prasie.

- Jestem skonany, co nieznaczy, że odmówię drinka.

Siedzieli naprzeciw sobie, oddzieleni tylko niską ławą.

Komisarz samotnie, czworo domowników na sofie i sytuacja jako żywo przypominała przesłuchanie.

Zwłaszcza że Jarecki nic nie mówił, popijał tylko whisky małymi łykami i spoglądał na nich srogo.

- Jak podejrzewałem, w dzipie Tomka zainstalowano lokalizator GPS - odezwał się w końcu.

- Ukryty tak sprytnie, że sam nigdy by go nie znalazł.

Może działać do dwudziestu dni.

- Co to jest lokalizator?

- spytała Michalina.

- Takie małe urządzenie, w tym przypadku pełniące funkcję nadajnika.

Bajer wielkości pudełka zapalek, ważący zaledwie pięćdziesiąt gram.

Pozwala namierzyć pojazd z dowolnej odległości z dokładnością do pięciu metrów.

Trzeba jedynie mieć loggera, czyli odbiornik, który zapisuje trasę w pamięci i po podpięciu do komputera potrafi ją odczytać.

Jeszcze lepsze i wygodniejsze są aplikacje jak np. track zainstalowane w komórce.

Wystarczy wydać prostą komendę, by co kilkadziesiąt sekund otrzymać SMS-a z dokładnym położeniem samochodu i jego prędkością.

Jednym SMS-em można też przełączyć opcję na "monitoring", zadzwonić na Gps-a i słyszeć wszystko, co dzieje się w okolicy urządzenia.

- Zdjęliście to świństwo, mam nadzieję.

- Oczywiście, że nie.

Tak się nie robi.

Tego urządzenia nie kupisz w żadnym sklepie.

To najwyższej klasy sprzęt, dostępny zazwyczaj jedynie służbom specjalnym.

Nasz włamywacz to nie tylko profesjonalista.

Toprzypuszczalnie super specwyszkolony przez jakieś tajne służby.

Piekielnie sprawny i niebezpieczny.

A najdziwniejsze, że przy tym zachowujesz czasem zupełnie irracjonalnie, jakby był niespełnaronozumu.

Wiecie,;co się stało naprzeciwno?

- wskazał okno.

- Niestety - powiedziała z żalem Michalina.

- Wczoraj nie chciano nas poinformować, a dziś nie kupowałam gazety.

- Ale wie pani, czyja to willa?

- Pani Grażyny Kaczorowskiej.

Wynajmuje mieszkania studentom.

- Już nie.

Po włamaniu u was kazałem funkcjonariuszom popytać sąsiadów, czy nie zauważyli kogoś obcego w okolicy.

Ktoś wspomniało nowym lokatorze pani Kaczorowskiej, jakimś brodaczu w nieokreślonym wieku, który rzadko wychodził z domu, w każdym razie za dnia.

Odwiedziliśmy ją wczoraj.

Nie mogła nam nic powiedzieć, ponieważ ktoś pchnął ją nożem w serce, a potem wcisnął ciało do opróżnionej chłodziarki.

Była zupełnie naga, a tuż przed śmiercią odbyła stosunek seksualny.

Z powodu tej cholernej chłodziarki ciężko dokładnie ustalić czas zgonu, ale jest prawie pewne, że nastąpił poprzedniej nocy lub nad ranem.

Ten sukinsyn, bo nie mógł to być nikt inny, zresztą rana w ciele Kaczorowskiej jako żywo przypomina tę zadaną profesorowi von Baysenowi oraz jednemu z dwóch bandytów zabitych niedawno przy placu

208

209.

Matejki, ma stalowe nerwy.

Zanim się ulotnił, zdążył pousuwać wszystkie ślady swojej obecności.

Powycierał dosłownie każdą rzecz, której mógł potencjalnie dotykać.

Nawet łazienkę przejechał odkurzaczem, a potem zlał prysznicem.

W sumie nie mamy niczego, z wyjątkiem paru fragmentarycznych odcisków palców, które wcale nie muszą należeć do niego.

Aha, na trawniku przed domem znaleźliśmy świeży odcisk opony.

Ktoś widział to auto, ale nie rozpoznał marki ani numerów rejestracyjnych.

Wiemy tylko, że przypuszczalnie jest ciemnej barwy, może bordowe, boodrobinę lakier tego koloru znaleźliśmy na niewielkim otarciu drzwi garażowych.

No inajważniejsze: z pokoju, który przypuszczalnie zajmował morderca, doskonale widać waszą willę.

- Więc byliśmy obserwowani co najmniej od paru dni?

- upewnił się Tomasz.

- Może nawet od śmierci profesora von Baysena.

Profesor miał opróżnione kieszenie.

W świetle tego, co już wiemy, raczej nie uczynili tego złodzieje, tylko morderca.

Pewnie znalazł tamna wasz namiar.

Swego czasu wykluczyłem, że podczas pierwszego włamania włamywacz mógł przyjść do waszego domu, aby założyć pluskwy.

Pierwotnie zdawałam się, że to zbyt śmiała hipoteza, bo ani w telefonie, ani w innych najbardziej prawdopodobnych miejscach nic nie znaleźliśmy.

Poza tym zaraz potem nastąpiła próba porwania panny von Baysen.

Te działania z punktu widzenia logiki raczej się wykluczały, chyba że były dziełem dwóch konkurujących ze sobą sprawców lub gangów, jednak nic na tonie wskazywało i nie wskazuje.

Zresztą niedawno, przy innej okazji, złapaliśmy sprawców tamtego napadu nad Rudawą.

To drobne rzeźmieszki i pijaczki.

Nikt ich nie wynajmował.

Teraz zatem jesteśmy zdania, że nasz zabójca włamał się do państwa w sobotnią noc po coś, o czym się dowiedział w wyniku podsłuchiwania waszych rozmów, a przy okazji zdjął pluskwy, które wcześniej zainstalował.

Widocznie już wie to, na czym mu zależało, albo postanowił zmienić metodę inwigilacji.

Widzicie ten obraz?

- pokazał bardzo ładną akwarelę autorstwa Jerzego Bażyńskiego, przedstawiającą kościół Najświętszego Salwatora i zajmującą poczesne miejsce na ścianie ponad kanapą.

- To co technicy sobotniej nocy wzięli za przypadkową rysę w kurzu pokrywającym obraz, może być właśnie śladem po pluskwie.

- To pluskwy są takie małe?

- spytała naiwnie Michalina, która wiedziała oczywiście, co to są "pluskwy", ale wychowała się na kryminałach i książkach sensacyjnych z połowy wieku, kiedy aparat szpiegowski

210

była rzadziej używana i miała rozmiar walizki, a co najmniej mydelniczki, zaś pluskwy - pudełko zapalek.

- Dzisiejsze urządzenie do podsłuchiwania można umieścić w dziurce od guzika, a kamery do przekazywania obrazu i ewentualnie dźwięku, zaopatrzone w minisystem CCTV, nie są większe od guzika.

Da się je zamontować za obrazami, w gniazdkach, kablach, wizjerach albo w długopisie.

Można je zdalnie uruchamiać pilotem tylko na czas inwigilacji i takie nazywamy śpiochami.

Albo weźmy podsłuch kwarcowy 5 KV.

To profesjonalny nadajnik kwarcowy o zasięgu półtora kilometra.

Można go uruchomić głosem, co wydłuża czas działania tej zabawki do około trzech dób.

- Coraz lepiej.

To znaczy, że wszystko, co zrobiliśmy lub powiedzieliśmy w tym domu w ostatnich dniach, jest znanem mordercy profesora - zauważył Tomasz.

- Trzeba się z tym liczyć.

Dlatego musimy wiedzieć, do czego doszliście.

Czujcie się jak na przesłuchaniu i gadajcie jak na spowiedzi, tylko bardziej szczerze, a może dostaniecie najniższy wymiar kary.

Tylko nie wciskajcie kitu, że już wszystko mi powiedzieliście, bo się zdenerwuję.

Przypominam wam, że w artykule 233 Kodeksu Karnego jest napisane, że kto zeznaje nieprawdę lub zataja prawdę, podlega karnej karze pozbawienia wolności do lat trzech.

- Wolnego.

Czy to oficjalne przesłuchanie?

- Narazie nie.

Zazwyczaj nie popijam z podejrzanymi.

- No to się wypchaj.

Zwłaszcza że, o ile dobrze pojąłem, zostawiliście Gps-a w moim aucie, żeby wam posłużył na wabia.

Jarecki wcale się nie zmieszał.

- Można takując.

Zakładamy, że zabójca nie przestanie was śledzić, dopóki nie osiągnie celu, chyba że faktycznie dowiedział się już wszystkiego, na czym mu zależało.

A to najprostszy sposób, żeby go pochwycić.

Jeśli nie jedyny.

Co nie znaczy, że zrezygnowaliśmy z innych.

Nasi ludzie jeżdżą po okolicy i dyskretnie się rozglądają.

Nie powiedziałem wam jeszcze, że nie oceniam panią Korzonkową, kiedy nad ranem wracała od was, o mało nie potrafił jakiś pirat drogowy.

Jechał w śniowym Fordem Focusem (pani Korzonek akurat zna tę markę, bo jej sąsiad ma taki sam) na warszawskich numerach, które oczywiście zapamiętała.

Sprawdziliśmy.

Tablice rejestracyjne są fałszywe.

Zatem jest prawdopodobne, że to może być auto naszego człowieka.

Notabene i w zaufaniu, zdecydowaliśmy przyznać jej mość nagrodę pieniężną.

Zasłużyła sobie na to za całokształt.

Już o tym wie i nawet pochwaliła się, na co ją przeznaczy.

Na nagrobek dla męża, wielkiego

211.

artysty.

A gołąb Gienek, żyjąca kopia nieboszczyka Korzonka w wersjibonsai, odnalazł się, jeśli kogo to interesuje.

Widocznie bawiła ksiutach.

- Tak czy siak jestem wam potrzebny.

-Maszzamiar uchylać się od pomocy?

- Chcę pomóc, ale pod warunkiem, że pozwolicie nam brać czynny udział w śledztwie.

Do samego końca.

- Zwariowałeś.

To niemożliwe.

- To konieczne.

Inaczej nic ci nie powiem.

Zwłaszcza że nie ma tobezpośredniego związku z morderstwami.

- Ja to ocenię.

-Jak, jeśli ci niczego nie powiem?

I jutro pojedę pod Grunwald.

Anasigoście wrócą do Niemiec.

Jak nas powstrzymasz?

- Nie leć ze mną w ch.

znaczy wkulki.

Ostrzegam cię ostatni raz.

Uwierz mi, że nie ma sposobu, aby cywili dopuścić do sprawy takiej jak ta.

- To znajdź sposób.

Patrzyli nasiebie twardo, nastroszeni jak dwa koguty.

Anna Maria, której nikt nie tłumaczył, wodziła niespokojnym wzrokiem od jednego do drugiego.

Niespodziewanie to komisarz się poddał.

- Co w ciebie wstąpiło?

Pierwszy razwidzę, żebyś się tak stawiał.

Nodobra, pomyślę nad tym.

Tylko tyle mogę ci obiecać.

Ale nie róbcie sobie żadnych nadziei.

A teraz gadaj, co wiesz.

- Najpierw powiedz, czy odczytaliście szyfr Helmuta von Baysena?

- Dla naszych ekspertów to bułka z masłem - komisarz wyjął z kieszeni złożoną kartkę.

- Awam się udało?

Dziennikarz z uśmiechem pokazał identyczną kartkę i położył ją na ławie.

Tomasz podszedł do fortepianu, zdjął zeń dwie przyniesione wcześniej mapy i dorzucił do puli.

Wybrana na jurora Michalina najpierw rozprostowała kartkę Niemca.

Było na niej odręcznie napisane tylko jedno zdanie: "Są to skróty nazw miejscowości w Prusach Wschodnich, zapisane po niemiecku, zaś "v" oznacza zamki, które Helmut von Baysen lub jego ludzie zdołali spenetrować".

Z kolei na mapach turystycznych (Warmii i Mazur oraz Pomorza Gdańskiego) niektóre miejscowości zakreślono czerwonym flamastrem.

Najpełniejszą informację, porządnie wydrukowaną, zawierała kartka policjanta:

El.v = Elbing = Elbląg (sprawdzony) Bt.

= Barten = Barciany Br.

= Braunsberg = Braniewo Gl.

v = Gilgenburg = Dąbrówno (sprawdzony)

212

Sd. = Soldau = Działdowo Łc.

y = Lyck = Etk (sprawdzony) Lt.

= Lötzen = Giżycko Rs.

"v Rastenburg = Kętrzyn (sprawdzony) Mh.

= Mohrunen = Morąg d.

v == Neidenburg = Nidzica (sprawdzony) Os.

= Osterode = Ostróda

PH."V = Preufiisch Holland = Pasłek (sprawdzony)Jh.

= Johannisburg = PiszRai.

v= Rhein = Ryn(sprawdzony)Or.

= Ortelsburg = SzczytnoAli.

v ss Angerburg = Węgorzewo (sprawdzony)Ss.

= Seehesten =SzesznoI(4r.

v = Marienburg = Malbork (sprawdzony)Bg.

= Birgelau = BierzgowoSt-v = Strasburg = Brodnica (sprawdzony)

Chr. = Christburg = DzierzgońGb-v = Gollub= Golub (sprawdzony)(3r.

v = Graudenz = Grudziądz (sprawdzony)Sch.

= Schönsee = KowalewoPp.

=Papau = Papowo BiskupieEn.

= Engelsburg = PokrzywnoPM.

V = Preufiisch Mark = Przezmark (sprawdzony)Rh.

= Rehden = Radzyń ChełmińskiRg.

=Roggenhausen = RogoźnoSh.

v = Stuhm = Sztum (sprawdzony)lh.

v= Thorn = Toruń (sprawdzony)Bw.

=Biitow= BytówMw.

v = Mewę = Gniew (sprawdzony)Sw.

= Schwetz= ŚwiecieDŁV = Dirschau = Tczew (sprawdzony)Tch.

v = Tuchel = Tuchola (sprawdzony)Sn.

= Schóneck = SkarszewyLp.

=Liping = LipieniekSl.

v = Schlochau = Człuchów (sprawdzony)Lb.

= Lauenburg =Lębork

- Kto wygrał?

- zaciekała się Anna Maria.

- Chyba remis - odpowiedziała staruszka, jeszcze raz porównującmiejsowości

zakreślone na mapach z tymiz policyjnego wykazu.

-Jak na to wpadłeś?

- spytałBażyńskiego Katz, ubiegając Jareckiego,który już otwierał usta.

213.

- Naprowadziła mnie wzmianka w pamiętniku i twoja uwaga, że "v" może oznaczać pozycje odfajkowane - odparł Tomasz i ruszył do barku, wyjmując stamtąd niezaczętą wielką flaszkę Jasia Wędrowniczka i dwieszklaneczki.

- Zauważcie, że to black label, więc nie chleciejcie wodę - postawił szkło na ławie, po czym otworzył butelkę, rozlał do trzech szklanek, bo komisarz zdążył już opróżnić swoją i powiedział: - Jesteście mi winni po pięćdych.

No to siup!

- Hola!

- upomniała się Michalina.

- A my?

- A wy niby za co?

Staruszka dała znak dziewczynie, która podniosła się z tylnego siedzenia i wyciągnęła złożoną kartkę.

Rzuciła ją na blat.

Katz rozwinął

papier i przeczytał na głos:

- "Chodzi o krzyżackie zamki, które Helmut zbadał lub zamierzał zbadać".

- No i co?

- tryumfowała Michalina.

- Wystarczył nam z Anną Marią

jeden wieczór, żeby sobie z tym poradzić.

Kaszka z mleczkiem.

Tomasz bez słowa poszedł pobrakujące szklanki.

- Bez łaski - zawołała za nim staruszka.

- Sami sobie wypijcie te męskie
siuśki.

Nalej nam brandy.

- No dobra, a teraz mówcie, o co w tej sprawie chodzi - stanowczo powiedział Jarecki, odstawiając ledwie napoczętą szklanę.

-Przeczytałeś pamiętnik?

- spytał Bażyński.

- Ja nie.

Ale mam tłumaczenie, a ono w tych fragmentach, które od ciebie dostałem, pokrywa się waszym.

- Więć wiesz, że chodzi o skarb templariuszy ukryty gdzieś na ziemiach należących dawniej do Krzyżaków.

-Wierzysz w te bzdury?

Ja też w młodości czytałem Nienackiego.

O ile pamiętam.

Pan Samochodzik już znalazł ten skarb.

W Kortumowie,

jeśli się nie mylę.

- Też tak myślałem, ale zmieniłem zdanie.

Tomasz znów powędrował do fortepianu i przyniósł materiały, które położył przed sobą i w miarę opowiadania podawał Tadeuszowi.

Kiedy skończył, wszystkie szkła były opróżnione.

- Cholera, nie miałem pojęcia, że mamy w Krakowie coś takiego - Jarecki stuknął palcem w fotografię przedstawiającą relikwiarz krzyżacki z kościoła Świętego Floriana.

-I co teraz o tym wszystkim sądzisz?

214

- Samnie wiem.

Zresztą moje zdanie nie ma znaczenia.

Ważne, że ten popapraniec, który zabił profesora, najwyraźniej w to wierzy i jest gotów na wszystko, by osiągnąć cel.

Wezmę te materiały, jeśli pozwolicie, a na wasz pectorał zaraz wystawię pokwitowanie.

- Tylko żeby do nas wrócił- zastrzegła Michalina.

- Nieuszkodzony.

- Oczywiście.

Natychmiast, jak tylko zbadają go nasi eksperci.

Coś jeszcze?

- uniósł sięna łokciach, jakbychciał się już zbierać.

Tomasz kiwnął głową.

Spią się wewnątrznie, chociaż na zewnątrzudawał spokój.

Wiele budował na projekcie, który zamierzał teraz przedstawić.

- Pojutrze lubnajdalej w piątek zabieram ze sobą giermka i wyjeżdżam na Mazury na obchody sześćsetnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem.

To postanowione i diabła zje, kto spróbujemnie zatrzymać.

Jeśli macie ochotę, możecie pojechać ze mną, miejsca w dżipie wystarczy-zwrócił się do Niemców.

Spojrzeli po sobie zaskoczeni.

- Po co?

- spytałKatz.

- Bo ciocia Misia jest już na skrajnerwowego załamania, z koleiAnna Maria chce miećpewność, że zabójca jej ojca zostaniezłapany.

A jest prawie pewne, że wyruszyza nami, skoro podrzucił midoauta GPS.

Muszę się wamteż przyznać do czegoś.

- poskrobał się w głowęz zakłopotaniem.

-Ja też odszyfrowałem stenogram Helmutajuźdawno i odrazu zaznaczyłem na mapach wskazane miejscowości.

Niepowiedziałem wam wtedy, ale kiedy po ostatnim włamaniu poszedłem do siebie sprawdzić, czy coś nie zginęło, odrazu wiedziałem, że ktoś ruszał rzeczyna biurku, w tym mapy icałą dokumentację związanąz tą historią.

- Włamywacz mógłporobić zdjęcia- zauważył Jarecki.

- Przy dzisiejszym stanie techniki to nie problem.

- Też tak myślę.

-Rychło wczas mi tomówisz.

- Wiem.

Ale możemy to obrócić na swoją korzyść.

-Jak?

- Skoro wciąż nas podsłuchuje, wystarczy wsamochodzie rzucićmimochodem nazwę celu naszej wycieczki.

Policjant zmarszczył brwi.

- Masz coś konkretnego na myśli?

-Mam.

To - wskazał punkt namapie.

215.

Wszyscy się nad nią pochylili, a Jarecki odczytał nazwę:

- Szestno.

-Po niemiecku Seehesten - potwierdził Tomasz.

- Jedno z miejsc oznaczonych przez Helmuta, ale przez niego niesprawdzonych.

Potencjalne miejsce ukrycia skarbu.

Znam je.

Są tam ruiny zamku krzyżackiego z XIV wieku.

Właściwie same piwnice schowane w gęstym lesie i ledwo widoczne.

Stosunkowo łatwo tam wejść, ale wracać trzeba tą samą drogą.

Tymczasem mnie udało się odkryć sekretne wyjście.

Jeśli zdołamy tam zabić mordercę profesora, znajdzie się w pułapce.

- Jak to sobie wyobrażasz?

- Wchodzimy do lochów, rzekomo, aby wykopać to, co zostawili tam templariusze.

Morderca włączy za nami.

Idziemy prosto do wyjścia, o którym nikt nie wie, opuszczamy piwnice, policja zamyka wejście i wyjście, morderca znajduje się w pułapce.

Kurtyna.

No, co o tym sądzicie?

Niemcy znów wymienili spojrzenia.

- Wchodzimy w to - zdecydowała Anna Maria.

Tomasz się rozpromienił.

- Świetnie.

Potem wam powiem, co musicie ze sobą wziąć.

A ty co

nato, Tadek?

- Prywatnie pomysł mi się podoba.

Ale to raczej nie przejdzie.

- Dlaczego?

-Bo policji pod żadnym pozorem nie wolno narażać życia cywili.

Aleskoro ciobiecałem, przemyślę to sobie i jutro dam wam ostateczną odpowiedź.

Kraków, 7 lipca 2010 (środa)

Telefonoderwał go odporządkowania sprzętu, który miał zostać wyekspediowany następnego dnia, i wprawił we wściekłość.

Sprawdził się najgorsze - w przeddzień wyjazdu został bez giermka.

Jeszcze niezdażył ochłonać, gdy zjawił się komisarz.

Przysunął sobie zydel i ogarnął brojownię lekko ironicznym spojrzeniem.

Bażyński wiedział, że Jarecki uważa jego hobby za dziecinadę, i to też go wkurzało.

- I co?

- burknął.

- Nic się od wczoraj nie zmieniło w przepisach.

Nie można was oficjalnie włączyć do sprawy.

Za duże ryzyko.

216

- A jeśli chcemy ryzykować?

Możemy nawet podpisać odpowiednie oświadczenia o działaniu na własną odpowiedzialność czy coś podobnego.

- Zapomnij o tym.

Tego się nie praktykuje.

- Dlaczego?

-Bo nikt nie będzie wam w stanie zagwarantować stu procentowego bezpieczeństwa.

Bażyński zacisnął usta.

- Zamierzam złapać dla Anny Marii mordercę jej ojca i rozwikłać zagadkę tajemniczej relikwii.

A potem napisać o tym bestseller, który da mi sławę i pieniądze.

Pierwszy raz w życiu chcę zgarnąć całą pulę i nikt mi w tym nie przeszkodzi.

Jarecki przyglądał mu się zmrużonymi oczyma, z dziwnym uśmiechem na ustach.

- Nie poznaję cię.

Zawsze brakowało ci tego jednego: determinacji w dążeniu do celu.

- Teraznie zabraknie.

-No, no.

I kto to mówi.

Mięczak, za którego musiałem się bić w liceum - wziął doreki opartyo ścianę miecz i machnął nim niewprawnie.

- Założę się, że tym też nigdy tak naprawdę nie walczyłeś.

To znaczytak, żeby zabić - zaśmiał się suchoi pogardliwie odrzucił oręż, którybrzęknął, spadając na betonową posadzkę.

- Korzonkowa wprowadziłado waszejsprawy element groteski, ale niech to cię nie zmyli.

Przypominam, że macie przeciw sobie desperata, który już zabiłco najmniejczteryosoby.

- To mnie nie powstrzyma.

Ty też ani nikt inny.

Możeszto powtórzyćswoim szefom.

Żegnam.

Ale policjant nie ruszyłsię z miejsca.

I niespodziewanie się uśmiechnął, tym razem szerzej.

- Miło mi słyszeć, że nie zmieniłeś zdania.

Już wczoraj wyczulemtenton w twoim głosie, ale myślałem, że to tylko chwilowy kaprys.

A tu proszę; za jednym zamachem chcesz zostać bohaterem jaktwoj ojcieci dziadek i zdobyćsławę jakprofesor vonBaysen.

Brawo!

Skoro tak, to ci powiem, że poinformowałem szefów o tym, co zamierzacie.

Że niby dowiedziałem się tego, jak to się u nas mówi, metodami operacyjnymi.

Wy robicie swoje, policja udaje, że nie wie co, ale śledzi podejrzanego i w odpowiedniej chwili wkracza do akcji, ratując tyłki nieświadomymniebezpieczeństwa

cywilom.

Takie rzeczy sięrobi.

Oczywiście, będzie

217.

trzeba błyskawicznie opracować plan, jak my to nazywamy, kombinację operacyjną z uwzględnieniem wszystkich okoliczności oraz powołać grupę operacyjno-dochodzeniową.

-I co?

- Zgodzili się.

Jest tylko mały problem.

-Jaki?

- Odebrali mi tę sprawę.

Formalnie jestem zawieszony w czynnościach służbowych.

Za samowolkę: zajmowanie się inną sprawą, od której też zostałem w swoim czasie odsunięty.

A przy okazji narażenie na niebezpieczeństwo osób trzecich, konkretnie - Anżelik.

- Nic z tego nie rozumiem.

I co teraz?

- Nic.

Popilnuję was jako wolny strzelec.

Dawno nie miałem urlopu i właśnie go od jutra zaczynam.

A propos, czy dzwonił już do ciebie Paweł, twój giermek?

Tak?

No więc ja go zastąpię.

Waszej "drużynie pierścienia" przydasie się fachowasła.

Tomasz przyglądałmu się z niedowierzaniem.

- Ty draniu!

Przekonałeś chłopaka, żeby wybrał ten cholerny Meksyk zamiast Grunwaldu!

- Nie gorączkuj się.

Nie tylko przekonałem Pawła, ale nawet pożyczyłem kasę, żeby mu pożyczyć na wyjazd.

Dzięki temu wszyscy mają to, czego chcieli.

Więc przestań marudzić.

Ja też widzę w tej sprawieni samowity potencjał trampolinę, która może wyrzucić mnie w górę.

Najlepiej do Komendy Głównej, bo tu mnie już nie lubią.

Dlatego nie popuszczę.

Bażyńskich wilę przetrwał to, co usłyszał, po czym poszedł do kąta, wrócił z jakimś pakunkiem i rzucił go policjantowi na kolana.

- Co to jest?

-Zobacz.

Komisarz rozpakował paczkę wyjął żółtą tunikę z czerwoną wiewiórką trzymającą w łapach orzech.

Takie samo godło widniało na dwóch tarczach wiszących na ścianie.

Hełm turniejowy, który Bażyński polerował przed nadejściem policjanta, też miał w klejnocie wiewiórkę pomiędzy dwoma czarnymi trąbami podobnymi do bawolich rogów.

- To herb Bażyńskich, Achinger albo Wiewiórka 1 - wyjaśnił Tomasz.

- Powinna pasować.

Potem przymierzysz zbroję i dostaniesz resztę kwipunku.

W wolnej chwili wprowadzę cię w rolę, żebyś nie dał plamy

' Niem.

Eichhornchen.

218

i aby twoje wcielenie było choćby z grubsza wiarygodne.

Przekonaś się, że to nie taka łatwa zabawa, jak ci się zdaje.

- Podołam.

Został jeszcze jeden drobiazg.

Anżelik też jedzie z nami.

Bażyńskiaż usiadł zwrócenia.

- Żartujesz.

- Bynajmniej.

Wiem, co o niej myślisz, ale się mylisz.

To żenieskończyła żadnych studiów, nie znaczy, że jest głupia.

A to że cię rzuciła, tyłkoten faktpotwierdza.

Powiem więcej.

Zamierzam się z nią ożenić.

Jestefektowna, elegancka, zadbana, umie się znaleźć, ze znanej krakowskiejrodziny.

Taka żona możebardzo ułatwić mężowi karierę, zwłaszcza nasalonach w stolicy.

Ona jeszcze o tym nie wie, ale właśnie podczas naszejwyprawy mam zamiar ją do tego projektu przekonać.

- Posłuchaj.

-Nie, to ty posłuchaj - powiedział twardym tonem komisarz.

- Janigdy nie odpuszczam.

Nawet jeśli trzeba trochę nagiąć prawo.

Dlategotak często podpadam.

Pamiętasz Toniego, właściciela El Dorado?

Wywinał mi się w zeszłym roku i przysiągłem sobie, że jeszcze dopadnęskurwysyna.

Wpadło wówczasparu innych, w tym Chojewski junior,były chłopak Anżelik.

Na dziewczynę właściwie nic nie mieliśmy, mogłasię beztrudu wykręcić sianem.

A jednak zgodziła się pracować dla mnie.

Poza protokołem, bo odebrano mi tę sprawę.

A to wymagało jaj,wierzmi.

Wtedy w sobotę specjalnie sprowokowaliśmyToniego, żeby wykonałjakiś nerwowy ruch iby potem go capnąć na gorącymuczynku.

Tymrazem już się nie wykręci.

Wątpię, żebychciał się na mnie mścić, aleniemykluczone, że jego cyngiel Rycho z paroma żołnierzami gania terazpo mieścieza Anżelik, żeby nie mogła świadczyć przeciw Toniemu.

Nawszelki wypadek wolęzabrać dziewczynę z miasta, przynajmniej na jakiśczas, więc twójplan bardzo mi odpowiada.

- Bujasz.

Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach.

- Nie tylko.

Moi bezpośredni szefowie są w porządku, ale góra na nich naciska i nie mogą mnie kryć, bo naruszyłem jakieś pół tuzin przepisów.

Niemam nic do stracenia.

Potrzebna mi duża i głośna sprawa, żeby wrócić do łask.

No jak, zagramy razem?

- Pod jednym warunkiem.

Że nie zapomnisz, kto jest szefem, a kto giermkim.

- Tak jest, sir.

219.

- ...

dlatego zegnamy cię, bracie, mając ufność w Bogu, że przyjmietwą duszę do swego królestwa.

Byłeś bowiem dobrym mężem, ojcem i przyjacielem.

Stoisz więc oto przed obliczem Pana naszego z czystym sercem i Onz pewnością przygarnie cię do swego serca.

Spoczywaj

w pokoju.

Ksiądz pokropił trumnę i oddalił się od otwartej mogiły, do której grabarze zaczęli opuszczać zwłoki.

Jakaś kobieta głośno zaszlochała.

Tomaszowi wydało się, że przeżywa déjà vu.

Znów pogrzeb, znów ten sam ksiądz, co przed kilkoma dniami, znów podobna mowa pożegnalna.

I słowa, które już słyszał.

-Eureka!

- wyrwało mu się bezwiednie, bo nagle spłynęło nań olśnienie i niezdolną zapanować nad emocjami.

Nie tylko Anna Maria i Michalina, z którymi przyszedł, ale wszyscy żałobnicy spojrzeli na niego ze zdumieniem, a niektórzy z niesmakiem.

Wycofał się pospiesznie.

Michalina podeszła do księdza i coś cicho powiedziała.

- Dzień dobry.

Tomasz odwrócił się i zobaczył panią Korzonek.

Uklonił się.

- To państwa krewny?

- spytała, brodą wskazując grób, na który grabarze nasuwali płytę.

- Nie, a pani?

- Też nie.

Oglądam nagrobki.

Bo wie pan, policja przyznała mi nagrodę.

Dołożę ją do oszczędności i przeznaczę na pomnik dla mojego męża świętej pamięci.

Zasłużył sobie na to.

Tylko nie wiem, z jakiego kamienia byłby najlepszy i jaką figurą go ozdobić.

Może pan mi poradzi?

Z kłopotu wybawiło go nadejście Michaliny z księdzem.

Ujrawszy Korzonkową, ciotka wzdygnęła się i zrobiła ruch, jakby chciała zerwać się do ucieczki, ale było już późno.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - wdowa po murarzu-malarzu grzecznie pozdrowiła duchownego, po czym zaraz frontalnie zaatakowała Michalinę: - Niebo mi wprost panią zesłało, pani Michalino!

Mówiłam właśnie panu Tomaszowi, że.

Bezlitośnie zostawili Michalinę na pastwę Korzonkowej i uciekli z księdzem. Zaprowadził ich do starej, dziewiętnastowiecznej kaplicy. nieużywanej od kilku lat, odkąd wybudowano nową, znacznie przestronniejszą. Otworzył kluczem drzwi i zapalił światło.

- Można złożyć urnę tam, przy ołtarzu.

Nikt jej tu nie ruszy.

Spokojnie doczeka do pogrzebu.

220

Tomasz z ulgą pozbył się opakowanego w elegancki papier ciężaru. Podziękowali duchownemu, który pospieszył na następne nabożeństwo żałobne, po czym udali się na ratunek Michalinie.

- Co cię tak poruszyło?

- spytała staruszka, kiedy wracali do domu, zostawiwszy wdowę nadal poszukującą inspiracji między nagrobkami.

- Wiem już, czym jest cudowna relikwia.

- To mów!

- W domu.

Katz, który razem z dziewczyną odebrał rano urnę z zakładu pogrzebowego, a potem został w domu, zrobił im herbatę.

- Powiniennem na to wpaść dawno - zaczął Tomasz.

- Przecież już von Tettingen pisał, że stojąc przed obliczem Pana, doznał iluminacji, czym naprawdę jest cudowna relikwia, którą przywieźli ze sobą templariusze.

Tymczasem dopiero dziś, gdy ksiądz użył tych samych słów.

- No to czym jest?

- zniecierpliwiła się podnieconą do najwyższych granic Michalina.

- Prawdziwym wizerunkiem Pana.

Jak powiadali Grecy: Eikon Archeiropoietos.

Obrazem niestworzonym ludzką ręką.

Legendarnym, zaginionym w złupionym podczas czwartej krucjaty

Konstantynopolu mandylionem, czy też veraikonem, chustą świętej Weroniki.

Łacińskie vera i greckie eikon, razem: prawdziwy obraz.

- To niemożliwe - zauważyła Anna Maria.

- Chusta świętej Weroniki, jak powszechnie wiadomo, od wieków znajduje się w Watykanie, w specjalnie dla niej wybudowanym filarze świętej Weroniki w Bazylice Świętego Piotra.

- Właśnie - potwierdziła Michalina.

- I jeden raz w roku, na Wielkanoc, jest pokazywana wiernym.

Widziałam w telewizji.

- Macie rację i zarazem nie macie jej - powiedział Bażyński.

- Myślisz o badaniach Paula Baddego?

- wtrącił Katz.

- Tak.

Powiedz im.

- Paul Badde, Niemiec i mój kolega pofachu, czyli też dziennikarz, a przy tym wybitny watykanista, zaprzyjaźniony z papieżem Benedyktem xvi, niedawno wydał książkę Boskie oblicze.

Opisał w niej swoje badanie tylko nad całunem turyńskim, ale i chustą świętej

Weroniki.

- I do jakiego doszedł wniosku?

- dociekała Michalina.

- Że chusta watykańska to prawie na pewno kopia oryginału, do czego, jak się zdaje,

kościół jest skłonny się przyznać.

To co obecnie znajduje się w filarze, to zwykle płótno z ledwo widocznym malowidłem.

221.

Na domiar nie pasuje do oryginalnych obustronnie oszklonych ram, które się zachowały.

Prawdziwa chusta dawnotemu zaginęła w tajemniczych okolicznościach.

- A zatem.

- Towca nie znaczy, że w posiadanie oryginału weszli templariusze i przywieźli go do Prus - sprostował Tomasz.

- Też Niemka, trapistka, siostra Blandyna Schlömer, udowodniła, że chusta świętej Weroniki od ponad trzech stuleci jest przechowywana w kościele Kapucynów pod wezwaniem Oblicza Bożego we włoskim miasteczku Manoppello.

- Skąd wiadomo, że to oryginał?

- spytała Anna Maria.

- Ponieważ znajdująca się na niej twarz Chrystusa jest identyczna z tą z całunu turyńskiego - wyjaśnił Katz.

- Jest tylko jedna różnica.

Jezus zchustyma oczy otwarte, a na całunie zamknięte.

Tłumaczy się to w ten sposób, że na całunie odbiło się ciało Chrystusa zmarłego, a napołożonej na wierzchu w miejscu twarzy chuście zmarłych powstało.

- Poza tym - dodał Bażyński - oryginał jest obustronny i idealnie pasuje do ram z Watykanu.

No i znajduje się na bisiorze, czyli morskim jedwabiu.

To od czasów starożytnych najcenniejsza tkanina, pozyskiwana z macicy perłopławów.

Z niej utkany był efod, czyli szata arcykapłana świątyni Salomona.

Co więcej, wizerunek na chuście mieni się wszystkimi kolorami tęczy, łącząc w sobie niemożliwe pogodzenie cechy hologramu, fotografii, malowidła i rysunku.

Nadto, jeśli kilka osób równocześnie spogląda na wizerunek, każda widzi obraz inaczej.

Kiedy jednak na chustę pada światło, obraz znika, a tkanina robi się przezroczysta.

I najważniejsze - na bisiorze nie da się niczego namalować, ponieważ ten materiał absolutnie nie przyjmuje żadnych barwników.

Azatem to prawdziwy Eikon Archeiropoietos.

Obraz niestworzony ludzką ręką.

Oblicze Pana.

- No dobrze, ale jeśli w Manoppello jest prawdziwy veraikon, to co przywiózł Krzyżakom de Beaujeu?

- zastanawiała się Michalina.

- Z początku wydał mi się to jedną wielką mistyfikacją, którą de Molay i jego siostrzeniec wymyślili w sobie tylko znanym celu - powiedział Tomasz.

- Jednak, po zastanowieniu, doszedłem do wniosku, że.

Kto pamięta, o co głównie oskarżano templariuszy?

- O oddawanie czci odrażającemu bożkowi o imieniu Bahomet czy jakoś tak podobnie - odparła Anna Maria.

- Bahomet albo Bafomet.

Miał postać tajemniczej głowy.

Przyznał się do tego natorturach.

Brat Raynier de Larchant, giermek, zeznał

222

inkwizytorom: "Była to głowa z brodą.

Czcili ją, całowali i nazywali swoim.

Zbawicielem".

Ale jeśli ukryli w ten sposób przed oprawcami prawdę?

- Czyli co?

- Że nie był to żaden Mahomet, Behemot, Lucyfer, bożek, szatan czy inny złoty cielec, tylko Prawdziwy Obraz?

Stąd Baphomet:

Odzworowanie-obrazu-Pana 1.

Jego oblicze.

Może rzeczywiście w Manoppello' jest veraikon, a templariusze weszli w posiadanie mandylionu, który też, określali mianem veraikonu?

- Co "to jest mandylion?"

- spytała dziewczyna.

- Prawosławny odpowiednik katolickiego veraikonu.

Od greckiego mandylion, ręcznik albo chusta.

Podobno chory na trąd Abgar, król Edessy, wysłał do Jezusa posłańca z prośbą o uzdrowienie.

Jezus nie mógł przybyć osobiście, odbił więc na chuście swoje oblicze, które uzdrowił króla.

Po jego śmierci nastąpiła reakcja pogaństwa w Edessie i wizerunek zamuroowano dla bezpieczeństwa.

Odnaleziony w VI wieku, w 944 roku został przewieziony do Konstantynopola.

Po spłądowaniu miasta przez krzyżowców w 1204 roku mandylion zaginął.

- Aczy przypadkiem całun turyński to nie mandylion?

- spytała niepewnie Michalina.

- Chyba coś takiego kiedyś słyszałam.

- To tylko jedna z interpretacji.

Milczeli, dopijając herbatę i przetrawiając zasłyszane informacje.

- No dobrze - powiedziała wreszcie Anna Maria.

- Założmy, że VERA z ciocięgo pektorału to rzeczywiście początek słowa veraikoni, że NA CLAN oznaczamy miejsce jego okrycia, którego wciąż nie znamy.

Tak czy siak lista Helmuta jest bezużyteczna.

Zatem i nasze poszukiwania w krzyżackich zamkach nie mają sensu.

Skoro de Beaujeu chciał ukryć mandylion przed Krzyżakami, nie schował go w którejś z ich warowni.

To idiotyzm.

- Ale zabójca twego ojca o tym nie wie.

Nawet jeśli nas podsłuchiwał, to znalezienie mapy zaciemniły mu obraz.

Jeśli więc teraz wyruszymy na północ, z pewnością podążą za nami - zauważył Katz.

- Poza tym nie zapominajcie, że były jeszcze inne relikwie.

Nie wiem jak wy, ale ja nie pogardziłbym fragmentem tablic Mojżeszowych, koroną królów Jerozolimy czy menorą Salomona.

Opisałbym to odkrycie, popławił się światowej sławie i skąpał w desze za prestiżowych nagród.

Objaśnienie za: Jerzy Prokopiuk, Proces templariuszy, Warszawa 2005, s. 137.

23E3.

- Ale przecież pozostałe relikwie zostały ukryte nie dalej jak milę od Gdańska - zauważyła Michalina.

- To ogranicza zakres poszukiwań.

Nie musicie się szwendać po całych Mazurach i zaglądać do wszystkich pokrzyżackich ruin.

- Niekoniecznie - zaprotestował Tomasz.

- A kto powiedział, że skarb jeszcze tam jest?

Któż bronił Krzyżakom go przejąć, skoro od początku wiedzieli, gdzie szukać?

Mogli go potem przewieźć w dowolnym miejscu, nad którym mieli pełną kontrolę.

- To prawda.

- Zatem nie ma co dłużej deliberować, tylko trzeba się szykować do wyprawy.

Jutro przyjedzie ciężarówka z naszego bractwa, na którą wrzucę ryszunek rycerski, aresztę załadujemy do dzipa.

Powiem wam, co musicie z sobą zabrać, i przejdziemy się po sklepach.

Brakujący ekwipunek dokupimy na miejscu u rzemieślników i przekupniów.

Będziecie mieli okazję zobaczyć prawdziwe średniowieczne targowisko.

- A ja?

- Pożaliła się Michalina.

- Kiedy Jagiełło ruszał na wojnę, królowa Anna Cylejska też została w domu.

Będziemy do ciebie codziennie dzwonić i zdawać relację.

Siedział za stołem, na którym paliła się nocna lampka, i po kolei składał poszczególne elementy w całość, wcześniej rozłożoną na części.

Zawsze dbało o szczegóły i dlatego wciąż żył, choć większość tych, z którymi zaczynał, zginęła przed trzydziestką.

Robota była prosta, łatwa i przyjemna, ponieważ austriacki Glocktopistolet niezwykły pod każdym względem.

Nie tylko praktycznie niezniszczalny, ale i onajprostszej na świecie konstrukcji, zawierającej jedynie trzydzieści trzy elementy.

Umiał się posługiwać prawie każdą bronią, długą i krótką, jednak ten model lubił

najbardziej.

Kiedy załadowywał dwurzędowy magazynek nasiedemnaście nabojów 9x19 milimetrów, usłyszał coś i nie podnosząc głowy, rzucił półgłosem:

- Wejdz.

Wsunęła się do pokoju.

- Jak mnie usłyszałeś?

Stąpałam na palcach.

- Ja, moja droga, słyszę nawet pająka, który w tej chwili przebiega zamną po ścianie.

- Dlaczego zatem nie schowałeś tego?

- wskazała pistolet.

224

- Bo wiedziałem, że to ty.

Poznałem po krokach.

Zamknij drzwi powiedz, po co przyszłaś.

Przypomniałaś sobie dawne czasy i chcesz się kochać?

- obrzucił łakomym spojrzeniem zgrabne, wysportowane ciało obleczone w kusząkoszulę nocną.

Oparła się o zamknięte drzwi.

- Daj spokój.

- To o co chodzi?

- Nie wiem.

Nie mogę spać.

Chyba się boję.

- Czego?

Nasz Tomasz wszystko doskonale obmyślił, żeby wilk, czyli policja, był syty i owca, czyli my, cała.

Lepiej nie dało się tego załatwić, przyznaję bez bicia.

Mamy to, czego chcieliśmy.

- Ty chciałeś.

-A tobie już nie zależy na pomszczeniu ojca?

- Sama nie wiem.

Chybanie zdawałam sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Ale teraz, kiedy ten straszny człowiek zabił następną osobę, a cztery inne mało.

- Spokojnie.

Pod moją opieką nic ci nie grozi.

A widzisz, że jestem dobrze przygotowany.

- Dawno miało to zapytać.

Skąd masz broń?

Nie przewoziłeś jej chyba samolotem?

Uśmiechnął się.

- To Glock.

Prawie cały z tworzywa sztucznego, moplenu.

Ale jednak kilka części metalowych, w tym lufę.

Nie odważyłbym się go przemycić.

- To jakim sposobem.

- Och, już podczas naszego pierwszego spaceru po mieście doręczono mi go w publicznej toalecie razem z paroma przydatnymi gadżetami.

Jeśli masz większych zmartwień, to idź się położyć i pomyśl sobie przed snem, jaka miła wycieczka nas czeka.

I to z niespodziankami, bo idę o zakład, że twój sprytny daleki krewniak nie powiedział wszystkiego, co wie lub czego się domyśla, i trzyma parę asów w rękawie.

- Myślisz?

- Jestem pewny.

I to będzie twoje zadanie: wydusić z niego, co się da.

No, co robisz tak aminę?

Przecież go lubisz.

Lubię, ale.

A on pożera cię wzrokiem, kiedy myśli, że nikt nie patrzy.

Prześpisz się

z nim raz i drugi, i zaraz ci wszystkowypiewa.

Jesteś okropny.

Cham!

225.

- Ale za to jaki w łóżku!

Nie zapomniałaśchyba?

No co, może jednak dasz się skusić?

- końcem lufy wskazał posłanie.

-Noc dziś jest

dość chłó.

Ale nim dokończył zdanie, jej już nie było.

Schwetz1,9 lipca 1410 (środa)

Do zamkowego refektarza, gdzie przy suto zastawionych stołach radziła starszyczna, energicznym krokiem wszedł gospodarz, komtur świeckiHenryk von Plauen.

Porywczy, wyniosły i zuchwały, niezawahał się

przerwać posiedzenia.

- Mistrzu!

-rzekł bezceremonialnie, przerywając wielkiemu mistrzowi w pół zdania.

- Przybył poseł od polskiego króla, a zaraz ponim goniecz Lidzbarku.

- Z czym przybywają?

-Poseł zproponycją pokoju, ale nasz człowiekpowiada, że rankiemPolacy przekroczyli granicę i podeszlipod Lidzbark.

- A tozdradzieckiepsy - ryknąłkomtur tucholski Henryk von Schwelborn,z rozmachem waląc pucharem o stół, aż wino bryznęło na siedzącegoobok wielkiego marszałka.

- To my tu jak głupcy czekamy na niego nadWisłą, a on tymczasem wślizgnął się do nas niczym lis do kurnika!

Iksiążęta mazowieccy przepuścili polskie wojsko?

Nie boją się naszej zemsty?

- Jak do tegodoszło?

- spytał spokojnie Ulrich von Jungingen.

- Ponoć 30 czerwca siły polskie przeprowiły się podCzerwińskiem pomoście

zbudowanym na łodziach, ponieważ książęta mazowieccy poparli Jagiełłę.

Już nad drugim brzegu Wisły do Polaków i czeskich najemników dołączyli Litwini, Rusini, Mołdawianie, a nawet Tatarzy.

Nasi szpiedzyszacują ich liczbę ogółem na blisko trzydzieści tysięcy.

- Christ!

- jęknął pobladły wielkiszatny i komtur dzierzgoński zarazem, Albrecht von Schwarzburg, od początku przeciwny wojnie, który pełen złych przeczuć opuszczał Christburg.

- Jest ich więcej niż nas.

- Tchórz cię obleciał, bracie?

- wykrzywił obrzękłe od trunków oblicze von Schwelborn.

' Świecie; stare polskie (pomorskie) miasto, zagarnięte przez Krzyżaków w 1309 roku

iodzyskanew roku 1466.

2 Dzierzgoń.

226

- Spokój, bracia!

- stanowczo zarządził von Jungingen, gestem nakazując von Plauenowi zajęcie miejsca przystole.

- W tej sytuacji propozycja pokojowa ze strony Jagiełły to jawny fałsz i mydlenie oczu.

Chytry litewski lis chce się zaasekurować wobec papieża i cesarza.

- Ciągnąc ze sobą Tatarów!

- zaśmiał się wielki marszałek Fryderyk von Wallenrode, a pozostali muza wtórowali.

- Odplącimy muza to, a także książętom mazowieckim za ich zdradę.

Nic nie zmoże naszego zakonu, ponieważ nikt na świecienie ma tylu tak cennych relikwii jak my, przeto żaden wróg nigdy nas nie pokona.

Bóg jest z nami!

- stwierdził stanowczo wielki mistrz.

- Święta prawda!

- wyrwał się nieproszony wielki szpitalnik i komturel błański, Werner von Tettingen, gładząc relikwiarz-pektorał, który nosił zawieszony na piersi na grubym złotym łańcuchu.

- Odkąd nasz zakon został zaszczerpiony na tych ziemiach - ciągnął von Jungingen - nigdy żaden z królów ani książąt nie odważył się tak jak ten najechać naszych ziem z tak zawziętym wojskiem. Toteż żadne namowy, szczere czy fałszywe, niemogą nakłonić nas do zawarcia pokoju!

- Tak jest!

Wojna!

- chóralnie rozległo się po zgromadzeniu.

Tylko jeden graf Jan von Wende, komtur Mewę', niebrał udziału w ogólnym poruszeniu, poczym, gdy nastąpiła cisza, rzekł z powagą:

- Pomnijcie, bracia, że choć obaj Luksemburgowie wzięli od nas pieniądze, czterysta tysięcy florenów!

to jakoś nie słychać, by najechali Polskę.

Widać lękają się Jagiełły.

Goście z Zachodu także przybyło znacznie mniej niż zazwyczaj.

Dlatego pewny pokój uważam za lepszy od spodziewanego zwycięstwa.

Zgromadzeni zaczęli buczeć, z niechęcią spoglądając na Wendego, a Henryk von Schwelborn krzyknął:

- Mam ja dwa nagie miecze, które każę ze sobą nosić dopóty, póki ich w polskiej krwi nie ubroczę!

Wielki szpitalnik i jeszcze większy pyszałek von Tettingen przyciął Wendemu:

- Mogłeś, komturze gniewski, z takim nastawieniem, jakim udajesz wyraz tutaj, pozostać w domu i pod dachem, odpowiedniejszy do pielęgnowania słabych braci niż do rzemiosła wojennego.

- Racja!

- ryknęli bracia, nie kryjąc swej pogardy i gniewu wobec Vonn Wendego.

Gniew; stary gród pomorski, w rękach krzyżackich w latach 1276-1464/227.

Ale ten się nie uląkł.

W przeciwieństwie do większości pozostałych, pochodził bowiem z hrabiowskiego rodu, a w zakonie piastował stanowisko wielkiego komtura, czyli zastępcy wielkiego mistrza podczas pokoju.

Śmiało wygarnął Tettingenowi:

- Choć doradzam pokój i gorąco gosobie życzę, to jednak jeżeli zezwoleniem Bożym przyjdzie podjąć walkę, będę walczył wytrwale, tak jak przystało człowiekowi szlachetnej krwi.

Ty zaś zważ dokładnie, co, jaki w jaki sposób doradzasz, i strzeż się najbardziej tego, żebyś rozprawiając chwale w tych ścianach o wojnie, nie uciekał z przyszłej walki jak zając w szyszaku!

A teraz idę do swoich ludzi, bo jak miemam, wyruszamy,
nie zwlekając.

Wstał i wyszedł, a wielki mistrz zakończył posiedzenie:

- Do broni, bracia, na koń!

Jak słusznie rzekł brat von Wende, musimy wyruszyć natychmiast, nim uparty wróg spustoszy naszą ziemię.

Zostanie jedynie brat Heinrich von Plauen, by pilnować, aby jakiś polski zagonnie przeszedł Wisły i nie zaszedł nas od tyłu.

W Bogu nadzieja, że przyrzeczone przyjaciom rogów!

Kiedy wszyscy wyszli szykować się do wymarszu, on podążył do kaplicy.

Modlił się długo.

Tak jak długo czekał na tę wojnę.

Wobec rosnącej potęgą połączonych unią Polski i Litwy, próba sił była nieunikniona.

Ale gdy wojna stała się faktem, nagle ogarnęły go wątpliwości, czy słusznie czyni, wystawiając na szwank całą przyszłość zakonu.

Pokonanie Polaków wierało przed zakonem niewyobrażalne perspektywy, ale z drugiej strony klęsk mogła go kosztować zbyt wiele.

Nie chciał być grabarzem sławy niezwyciężonych dotąd Rycerzy Maryi.

Niepokoilo go postawa Jagiełły.

Nigdy dotychczas nie zetknął się z tak upartym i przebiegłym przeciwnikiem.

Nie chciał i nie mógł się do tego publicznie przyznać, ale wtargnięcie wojsk polskich i litewskich do Prus nappełniło go trwogą i po raz pierwszy podkopało niezachwianą dotąd wiarę w zwycięstwo.

Czyżby ten dzikus Jagiełło wiedział coś, o czym jemu nie było wiadomo?

A może dysponował jakimiś mocnymi pogańskimi czarami, które dawały mu tak wielką pewność siebie?

W dość ponurym nastroju opuszczając kaplicę, natknął się na czekającego nań Tettingena.

- A co ty tu robisz, bracie Wernerze?

Czy możesz oglądać lekowi opatrunków, które winniśmy ze sobą zabrać?

- A po co?

To co już dawno temu kazałem załadować, w zupełności wystarczy.

Lepiej zabrać więcej łańcuchów i powrozów dla jeńców.

228

- Chciałbym mieć twoją pewność zwycięstwa - westchnął von Jungingen.

- Tymczasem dręczą mnie złe myśli.

- Niesłusznie, mistrzu - odparł gorąco wielki szpitalnik.

- Sam rzekłeś, że Bóg jest po naszej stronie, gdyż nikt nie posiada więcej cenniejszych relikwii niż my.

Anie wiesz jeszcze wszystkiego.

Spójrz na ten relikwiarz.

Z dumą pokazał Jungingenowi wiszący na piersi pektorał.

- Cóż w nim takiego osobliwego?

- To dzieło templariuszy.

Wiesz, bracie, że w czasach wielkiego mistrza Zygrfryda von

Feuchtwangen przejęliśmy powierzony nam w depozyt skarb templariuszy, w tym najcenniejsze relikwie?

Dopiero od tego czasu nasz zakon stał się niezwyciężony.

- Wszyscy to wiedzą.

-Ale niktniewie, że templariusz,któryw 1314 roku przyplłynął donas ze skarbem swego zlikwidowanego zakonu, ukrył w niewiadomymmiejszucze jedną relikwię, najpotężniejszą zewszystkich.

Któraw jednej chwili unicestwiła ścigającego wojsko króla francuskiego.

Drogędo niej wskazują dwa bliźniacze pektorały.

To jeden z nich - wskazałaswoją pierś.

- Należał do von Orselna, który umierając, powierzył gobratu Heinrichowi von Bode.

Ten zasięzostawił go mnie, gdymjakomłodzieniec na zamku w Schönsee1

rozpoczął dopiero służbę dla zakonu, a ja na spodzie kazałem wyryć inskrypcję ku jego pamięci.

Nikomudotąd o tymniemówiłem, bom grzesząc pychą, miał nadzieję samemuodnaleźć bliźniaczy pektorał i odszukaćwszechmocną relikwię.

Ale nieudało mi się, choć szukałem wszędzie.

- Poco mi to mówisz!

- przerwał mu Jungingen zpobladłą nagletwarzą.

- Nie pojmujecie, mistrzu?

Toć odnaleziona czy nie, owa bezcenna relikwia, obdarzona tak ogromną mocą, wciąż znajduje się gdzieśw Prusach.

A skoro tak, tedy niestraszni nam Polacy razem z Litwinami,a choćby isamym szatanem!

Spojrzałz tryumfemna wielkiegomistrza, ale ten tylko przeżegnałsię, długo milczał, wzdychając, wreszcieprzemówił:

- Obyś nie wyrzekł tych słów w złą godzinę.

Czy nie przyszło ci dogłowy, że być może twoja niezwykła relikwia wcale nie została ukrytaw Prusiech?

Może jakimś zbiegiem okoliczności wpadłaniedawno w ręcePolaków?

Czyżnie z tego powodu Jagiełło tak śmieie sobie poczyną, jakby

KowalewoPomorskie.

był zupełnie pewien zwycięstwa?

Nie dodałeś mi ducha, bracie.

Wprost przeciwnie.

Zostawił Tettingena zrozdziawionymi ustami i odszedł zgarbiony, jak człowiek, na którego barkach spoczęło zbyt wielkie brzemię.

Kraków-Warszawa, 9 lipca 2010 (piątek)

- Wiecie, co dziś za dzień?

- zagaił Tomasz, kiedy nareszcie udało mu się wyjechać z Krakowa.

- Piątek - odpowiedziała siedząca obok Anna Maria.

- Nie stać cię na trudniejsze zagadki?

- I tak nie zgadłaś.

- 9 lipca - z tylnego siedzenia odezwał się dziennikarz, ledwo widoczny spod bambetli, które nie zmieściły się w części bagażowej.

- Właśnie.

A 9 lipca, dokładnie sześćset lat temu, wojska polsko-litewskie wraz z sojusznikami przekroczyły granicę z Prusami na wysokości Lidzbarku.

Całkowicie zaskoczyli tym Krzyżaków, którzy spodziewali się naszych raczej od strony Pomorza.

Był to genialny manewr Jagiełły, bo przeniósł wojnę i jej skutki na teren przeciwnika.

- Cwaniak był z tego Litwina - zauważył Katz.

- A żebyś wiedział.

Polacy, którzy początkowo lekceważyli go trochę jako dzikusa i prymitywa, zdążyli się o tym przekonać, a teraz przyszlakolej na Krzyżaków.

Pierwszy sukces odniósł już wtedy, gdy sprowokował wielkiego mistrza do wypowiedzenia wojny, co nastąpiło w sierpniu poprzedniego roku.

W ten sposób w oczach świata to Krzyżacy okazali się agresorami.

Co prawda sprawili mużaraz potem psikus, niespodziewanie zdobywając Ziemię Dobrzyńską, ale odkuł się niecow czerwcunastępnego roku, markując szturm na Toruń i pałac okoliczne wioski, przez co urządził wielkiemu mistrzowi i gościom

cesarskim, wieczerzającym akurat na toruńskim zamku, "piękne, lecz przykre widowisko", jak się wyraził kronikarz Długosz.

Noi utwierdził Krzyżaków w mniemaniu, że główny atak też przyjdzie z tej strony. Ale właściwą robotę wykonał tak zwany międzyczasie.

Niby dzikus, lecz na dyplomacji znał się jak mało kto.

I taką zrobił propagandę w całej Europie, że poparł go papież Aleksander V i nikt, nawet wielki sympatyk Krzyżaków, król angielski Henryk IV, nie odważył się ich wesprzeć.

Dlatego pod Grunwald

230

przybył wyjątkowo mało rycerzy z Zachodu.

Poza tym Jagiełło przez całą zimę gromadził zapasy i dozbrajał wojsko polskie, tak że w niczym nie ustępowało krzyżackiemu.

No ino koniec kazał staroście radomskiemu Dobrogostowi Czarnemu z Odrzywołu, który do tego zatrudnił majstra Jarosława, zbudować most pontonowy doprzepawy przez Wisłę.

Zadzwonił telefon.

Bażyński wyjął go z kieszeni i rzucił Katzowi.

- Odbierz.

To pewnie Anżelika.

Nie chcę z nią gadać.

Powiedz, że

mam obie ręce zajęte, ogłuchłem na oboje uszu i dostałem pycianajęzyku.

Albo sam coś wymyśl.

Dawno nie był tak zirytowany, jak tego ranka, kiedy z samochodu Jareckiego, nowiutkiej kii Sorento, którą komisarz dopiero co zaczął

spłacać, wysiadła blond Wenus, uśmiechnęła się do niego promiennie i zawołała radośnie:

- Hello!

Ależ się cieszę na tę wycieczkę!

- Tamnie ma pięciogwiazdkowych hoteli, Anżelik.

W ogólnie hoteli.

Za to są komary.

A śpię w namiotach.

- Jeszcze mnie nie znasz, Tomaszu - odparła słodko.

- W razie potrzeby potrafię się przystosować do wszystkiego.

Spójrz.

Określiła się ruchem zawodowej modelki, by mógł sobie dokładnie obejrzeć strój, którego nie powstydziliby się żadna heroina survivalowego serialu.

Musiał przyznać, że prezentowała się w nim wyjątkowo apetycznie.

Na chwilę wróciły wspomnienia i poczuł, że spodnie zrobiły

mu się za ciasne.

Ale otrząsnął się szybko.

Było, minęło.

Machnął więc ręką, burknął: "Niemoja sprawa", i wsiadł do dżipa.

- Okay - powiedział Katz do telefonu po wysłuchaniu wiadomości i wyłączył aparat.

- To był komisarz.

Trzymaj się jakieś dziesięć kilometrów za nami.

Grupa operacyjna jedzie przed nami w mniej więcej tej samej odległości.

Na razie nic się nie dzieje.

Nie pojawił się żaden ford focus,

wiśniowy czy bordowy.

Będą obserwować.

Cholera, ale tu niewygodnie.

- To się przesiądź.

- Nie głupim.

Ta twoja była zje mnie na surowo, o ile komisarz wcześniej nie zastrzelił z zazdrości.

; Jechał jednojezdniową krajową siódmką, przecinającą całą Polskę z południa na północ i będącą równocześnie międzynarodową trasą Ł77.

-Jak na główną drogę łączącą starą stolicę z nową, to jest raczej kiepska - grymasiła Anna Maria, rozpuszczona niemieckimi standardami.

- Żałuj, że jej nie widziałś jeszcze kilka lat temu - odparł Tomasz.

- Albo któreś z bocznych dróg po zimie.

Ser szwajcarskimógłby zzielenieć

231.

z zazdrości na widok takich dziur.

Było kiedyś stare, sięgające jeszcze XVI wieku, porzekadło na określenie rzeczy nieistniejących: "Polskimost i niemiecki, znaczy protestancki, post".

Ale trzeba przyznać, że w kwestii dróg imostów jest już w Polsce dużo lepiej. Na przykład w ciągu ostatnich dwudziestu lat udało nam się wybudować pięć kilometrów autostrad.

W sumie.

Zobaczysz, że już twoje prawnuki śmigną tędy

w mgnieniu oka.

- Bardzo pocieszające.

Pół godziny później Katz zauważył:

- Wyprzedził nas bordowy Ford Focus.

- Na krakowskich numerach - potwierdził Tomasz.

- Ktoś widział

kierowcę?

- Kiedy nas mijał, patrzył w przeciwną stronę - stwierdził dziewczyna.

- Myślicie, że to coś świadczy?

- Może, ale nie musi.

Samochodów tej marki są pewnie w tej chwili

na tej drodze dziesiątki.

Trochę przesadził.

Wyjechali bardzo późno, teraz było już po dwudziestej, z wolna zapadał zmierzch i ruch stopniowo zamierał.

Za Jędrzejowem dostali potwierdzenie, że bordowy Ford wciąż znajduje się między nimi a prowadzącym wozem policyjnym.

Jednak niedługo potem podejrzany Ford zwolnił i tym razem oni go wyprzedzili.

Ale znów nie udało im się obejrzeć kierowcy.

Po około półtorej godzinie od wyruszenia z domu, co było i tak dobrym wynikiem, wjechali na kielecką obwodnicę

i niedługo mieli miasto zasobą.

- Jak ładnie - zachwyciła się Anna Maria, kiedy przed nimi pojawiły się partie lasu dochodzące miejscami aż do drogi, a po prawej zamajaczyły góry.

- W dzień widok musi być jeszcze piękniejszy.

- To Puszcza Świętokrzyska - wyjaśnił Tomasz.

- A tam Góry Świętokrzyskie.

Niewysokie, ale malownicze.

Z naprzeciwka nadjechała z wielką szybkością biała kiacee'd, mrugnęła światłami i pognała dalej.

- Widzieliście?

- zdumiał się Bażyński.

- To chyba byli nasi policjanci.

- Napewno - potwierdziła Niemka.

- Rozpoznałam kierowcę.

- Coś musiało się stać.

Możemy powinniśmy stanąć albo także zawrócić?

- myślał Tomasz na głos, po czym spróbował dodzwonić się do Jareckiego, ale telefon komisarza milczał jak zaklęty.

- Jedziemy dalej - zdecydował.

232

- Zerknij wstecz - powiedział Jarecki do Karskiej.

- Nie przez ramię!

Dolusterka.

Widzisz tego czarnego mercedesa guarda?

- No.

I co z tego?

- Jedzie za nami od samego Krakowa.

- No to co?

Mam zapamiętać rejestrację?

- Nie trzeba.

Po prostu nie podoba mi się.

Takimi opancerzonymi muzykami jeżdżą vip-y albo gangsterzy.

Toni ma taką.

I przed chwilą minął nas van.

Chrysler voyager.

Wielki jak stodoła i czarny jak noc żywych trupów.

- Nie bądź przesądny.

Czarne auta to nie czarne koty.

- Niby tak, ale nie wiesz, kogo widziałem przy oknie z prawej strony.

Zdaje się, że Rycho.

Dziewczyna wyraźnie pobiła pod grubym makijażem.

Rycho był kuzynem Zdzicha, egzekutora Krakowiaka.

Zdzicho odsiadywał dożywocie.

W trakcie procesu jemu i jego bossowi udowodniono zabicie co najmniej czterech osób oraz planowanie mordu na następnych trzech:

policjancie, prokuratorze i świadku koronnym.

Toni i Rycho stanowili również dobrany duet i byli pojętymi uczniami swoich mistrzów.

- Spokojnie, mała.

Mogłem się pomylić.

Poza tym nie wierzę, by Toni naprawdę chciał nas skasować.

Przynajmniej tak ucieszczanej drodze - policjant pogłaskał ją po policzku, po czym zeschowka przydeszczając wyjął pistolet i wsunął sobie za pasek.

- To tylko tak na wszelki wypadek.

Zwolnił.

Czarny mercedes także przyhamował, zachowując wciąż taką samą odległość.

Przyspieszył.

Czarne monstrum także.

- W schowku od twojej strony są zapasowe magazynki.

Wyjmij jeitrymaj w pogotowiu - powiedział, starając się nieokazać zdenerwowania;
do tej porynie mógł uwierzyć, by Toni naprawdę zamierzał gozlikwidować.

- I zadzwoń do 290-13.

Potrzebujemy wsparcia.

Niechnatychmiast zawracają i gnają do nas pełnym gazem.

Wiem, że nie powinienem tego robić, ale tylko oni mogą nam teraz pomóc.

- A Tomasz?

-Nie wiadomo, czy Staszeknagnie dla mnie rozkazy- operacją "Mazury"
dowodził przyjaciel Jareckiego, nadkomisarz StanisławKowalski.

- Jeśli tak, to Tomasz ma pecha.

Będzie musiałradzić sobie sam.

Ty jesteś dla mnie ważniejsza.

Jacię w to wplątałem i ja cię z tego wyciągnę.

233.

Zerknęła na jego skupioną, przystojną twarz.

Nie kochała go.

Jeszcze.

Nie odpowiadał jej wyobrażeniom o przyszłym mężu: bogatym i ustosunkowanym. Była z nim, bo podał jej pomocną dłoń, gdy znajdowała się w szoku po aresztowaniu starego Chojewskiego i ucieczce jego syna.

"Emanował siłą i zdecydowaniem.

Przy nim czuła się bezpiecznie, chociaż wykorzystał jej ukrytą żyłkę awanturniczą, by wciągnąć ją w niebezpieczną grę.

Wiedziała, że jest bezwzględny i gotów na wiele, byle dopiąć celu.

Ale najwyraźniej jednak podobała mu się, lubił ją i zależało mu na niej.

Wyczuwała to, a kobiety w takich sprawach nigdy się nie mylą.

Ona też myślała o nim coraz cieplej, chociaż się przed tym broniła.

Z praktycznego punktu widzenia Bażyński mimo wszystko wydawał się lepszym kandydatem na męża.

Nagle przed maską wyrosła im ściana w postaci tyłu czarnego wana.

Równocześnie limuzyna podjechała bliżej i uderzyła w ich tył, przypierając się do chryslera.

Wszystkie trzy samochody, niczym szpilem, zaczęły skręcać w boczną drogę.

Wstrząs rzucił Anżelik naszybę.

Na szczęście była dobrze zapięta.

Jarecki z całej siły wcisnął pedał hamulca.

Na moment udało mu się powstrzymać znacznie cięższego i mocniejszego mercedesa.

- Trzymaj się!

- krzyknął do dziewczyny.

Wiedział, że w pojedynku na szosie nie ma żadnych szans.

Wykorzystał więc powstałą chwilowo lukę i gwałtownie odbił w prawo, wprost do rowu biegnącego wzdłuż szosy.

Kontrolowany poślizg sprawił, że lądowanie nie było takie straszne, jak się obawiała. Samochód ugrzązłco prawda, przechylony pod kątem 45, ale nic im się nie stało, nie licząc paru siniaków komisarza, który znalazł się na spodzie.

- Otwieraj, zmykaj w tamte krzaki, zaszyj się w mysiej dziurze i niewychylaj nosa, nim cię niezawołam.

Szybko!

Półmrok byłich sprzymierzeńcem.

Wypełzył z auta za dziewczyną, odebrał od niej dodatkową magazynkę i przygięty do ziemi, pognał rowem co sił w nogach.

Po kilkudziesięciu metrach, na których pobił chyba światowy rekord, padł w trawę i wystawił ostrożną głowę.

Pozbawiona oporu limuzyna skoczyła gwałtownie naprzód i wbiła się w tył vana.

Oba auta stanęły.

Z chryslera wysypało się na pobocze pięciu mężczyzn, klnąc głośno i soczyście i rozcierając guzy.

W mercedesie uchyliła się zaciemniona szyba i błysnęła białą groźną twarzą, którą Jarecki rozpoznał natychmiast.

Rycho!

Gangster zawołał donośnie:

234

- Jarecki!

Wiem, że mnie słyszysz, złamasie!

Nie próbujciez tą zdzirować do miasta ani wchodzić namwięcej w paradę!

To jest pierwsze i zarazem ostatnie ostrzeżenie!

Dowozu i w drogę!

Ta ostatnia komenda odnosiła się do pasażerów vana.

, którzy karnie siedli do samochodu i zawrócili z kopyta.

W tej chwili nadjechała białakia cee'd.

Na widok limuzyny zaczęła hamować, ale poślizg zrzucił ją narozpędzającego

sięchryslera.

Odbiła się od o wiele cięższego auta ikoziołkując, wpadła do rowu tuż obok ukrytego tam Jareckiego.

Kiedy obaczarnesamochody oddalały się pospiesznie, komisarz wyciągał swoichposzkodowanych kolegów z rozbitego auta.

Kwadrans potem, gdy nadjechały wezwane telefonicznie przezAnżelikę pogotowie, straż pożarnai przedstawielelekalnej policji, Tadeuszrozmawiał z nadkomisarzemKowalskim, jedynym z grupy operacyjnej, który nie odniósł obrażeń.

- No to koniec operacji "Mazury" - mruknął tamten smętnie.

- Mamwracać do Krakowa, teraz Warszawa przejmie sprawę.

Przynajmniej chłopakom nic nie będzie.

Wyliżą się raz-dwa.

A i tak w komendzie dostanęopierdol, że hej.

Iznowu z twojego powodu.

Który tojuż raz?

I możebyś mi, do jasnej cholery, wytłumaczył, co tu robisz?

Znów bawisz sięwkwowboja?

No, tym razem to już przegiąłeś.

Na twoim miejscuw ogłoszenie pokazywałbym się wkomendzie.

W tej chwili ostrozahamowała przed nimi kia sorento z Anżeliką za, kierownicą.

Samochód prawie nie ucierpiał podczas lądowania w rowie,

urwał siejedynieprzedni zderzak i lusterko od strony kierowcy Nurkującw otwarte drzwi.

Jarecki rzucił w przelocie:

- Tak zrobię!

Sorry, Winnetou.

Pogadamy kiedy indziej, teraz muszęszybkodogonić Bażyńskiegoand company.

Powiedz staremu, że zaopiekuję się nimi w imieniu służby.

Kilometrdaalej zamienili się miejscami i komisarz polecił dziewczynie:

- Połącz się z Tomaszem dowiedz, co tam u nich.
- Ścigaj podejrzanego - poinformował po chwili.
- Kurwa mać!

Daj mikomórkę!

- ryknął i wyrwał jej telefon, równocześnie dając gaz do dechy.

W połowie drogi między Kielcami a Skarżyskiem Kamienną, w samym środku Puszczy Świętokrzyskiej, stanęli w niedługim korku.

Nie przepuszczano samochodów z naprzeciwka, zapowiadało się dłuższe oczekiwanie.

235.

- Wypadek - powiedział zrezygnowany Bażyński, a Katz rozpakowała kanapki, którymi podzielił się z pozostałymi.

Może po kwadransie rozległ się ostry dźwięk syreny i zaczęły ich doganiać dwa radiowozy jadące na sygnale, z błyskającymi kogutami.

"na dachach.

Karambol musiał być potężny.

W tej chwili zza paru autstojących za dziupem wyprysnął bordowy ford i zaczął uciekać przed wozami policyjnymi.

Ujrzawszy naszczyt wzgórza kolejny radiowóz karetkę pogotowia, kierowca forda skręcił gwałtownie w lewo, dodał gazu i dosłownie przefrunął nad rowem ograniczającym drogę.

Przez chwilę zdawało się, że resory nie wytrzymają i auto ugrzęźnie albo się wywróci, lecz tak się nie stało.

Za moment już mknęło przez łąkę w stronę lasu, podskakując na wertepach.

Jeden z nadjeżdżających z tyłu radiowozów podjął pościg, ale zawiesił się w rowie, a drugi nawet nie próbowaliś w jego ślady.

- To nasz człowiek, Tomaszu!

- zawołał Katz.

-Za nim!

Bażyński wahał się tylko przez moment.

Odkąd na dobre zerwał z cechującym go do niedawna asekurancetwem, stał się zupełnie innym człowiekiem.

Po prostu ryzykantem.

Zagrała w nim żyłka myśliwego, po za tym miał okazję zademonstrować możliwości swego dziupa i popisać się na oczach Anny Marii.

Przy zmianie biegu przypadkowo dotknął dłonią udadziewczyny.

Nie cofnęła nogi i nic nie powiedziała, a jego aż elektryzowało.

Pomyślał, że dawnoniczyje towarzystwo niesprawili mu takiej przyjemności.

Mógłby tak, z Anną Marią u boku, podróżować w nieskończoność.

Jak to możliwe, że kiedyś przedkładał duże jasne ponad małe czarne?

Gdzie on miał oczy?

Teraz więc tymochotniej ruszył do boju, niczym prawdziwy rycerz.

- Trzymajcie się!

Bez większego trudu pokonał rów, po czym pomknął za fordem, który pokonał już połowę drogi do puszczy.

W szarości zmierzchu byłby im może zniknął z oczu.

Ale w terenie nie mógł wyłączyć świateł ani mierzyć się zdżipem i kiedy dotarł dościany lasu, ścigający mieli do niego zaledwie sto metrów straty i zbliżali się szybko, już go łapiąc w zasięgu swoich reflektorów.

- Dopadniemy go w puszczy.

Nawet jeśli szczęśliwie trafi na jakąś leśną drogę - oznajmił podniecony Tomasz.

Wtedy zadzwonił telefon.

Katza przyłożył komórkę do ucha.

Kiedy ją dołożył i wyłączył, minę miał niewyraźną.

- Dzwonił komisarz - powiedział.

236

- Co mówił?

- Nie chcesz usłyszeć wszystkiego.

Mamy natychmiast wracać.

Torozkaz.

Z Tomasza uszło powietrze.

Psiakrew, czy rozsądnemu facetowi potrzydziestce godzi się postępować tak nieodpowiedzialnie i to tylko po to, by popisać się przed dziewczyną jak małolat?

Ale kiedy zerknął na nią ukradkiem, wyzbył się wątpliwości.

Było warto.

Małotego - czuł, że stać go na wiele więcej.

Szczęście opuściło brodacza, mimo iż nanie nie zasługiwał.

Już ujrawszy karetkę, zorientował się, że to nie była zasadzka na niego, lecz zwykły wypadek drogowy.

Niepotrzebnie spanikował.

Puszczaliśmy nerwy.

Najwyższy czas przejść na emeryturę i resztę życia spędzić na opalaniu się na swojej wymarzonej tropikalnej wyspie.

Ale żeby to osiągnąć, musiał pomyślnie zakończyć tę sprawę.

Na razie jednak miało kłopoty.

Oczywiście rozpoznał dżipa, który go omal nie dopadł.

Był ciekaw, czy Bażyński wiedział, kogo ściga, czy uczynił to spontanicznie, chcąc przed szerokim audytorium pochwalić się swoim idiotycznie wymalowanym⁴¹; wozem i własnymi umiejętnościami.

Ostatecznie im ich zabrakło lub

auto się zepsuło, bo od kwadransa nie widział go w lusterku wstecznym.

W Niemczech pewnie już zablokowano by wszystkie drogi, otoczono las, a na niebie wisiałoby kilka helikopterów.

Na szczęście byli w Polsce.

Tutejsza policja borykała się z wieloma trudnościami, a o helikopterze mogła tylko pomarzyć.

Być może mieli taki w Warszawie, ale zanim gościami, minie dobra godzina.

Typowy leśny dukt przeszedł nagle w nieutwardzoną drogę, ale o niebo szerszą i wygodniejszą, no i biegnącą we właściwym kierunku.

Westchnął z ulgą i przyspieszył, rozglądając się przy tym na boki.

Gęsta puszcza otaczała go z każdej strony.

Nigdzie nie widać było żywego ducha.

Bardzo mu to odpowiadało.

Przez nikogo niepokojony dotarł w pobliże miejsca, gdzie leśny trakt dochodził do szosy E/7, łączącej się nieco dalej z obwodnicą Skarżyska.

Tu jednak, teoretycznie już w granicach miasta, było niemal zupełnie bezludzie.

Rzucił okiem na mapę.

Odbił wlewo, gdzie obrosniętą kępami zarośli płynęła rzeka Kamienna.

Przy niewielkim moście, właściwie kładce, zatrzymał samochód i zgasił

237.

światła.

Za pomocą latarki błyskawicznie powrzucał wszystkie niezbędne rzeczy do plecaka. Ustawił odpowiednio samochód, po czym wyjął bagażnika pełny kanister i starannie oblał benzyną wnętrze forda.

Potem otworzył wlewpaliwa i wsunął doniego zaimprovizowany knot\ z krawata, też nasączonego benzyną.

Zapalniczką podпалиł krawat, który' zajął się natychmiast,po czym zepchnął samochód do rzeki.

Wóz toczył.

, się gładko, wreszcie zapłonął jak pochodnia.

Zbiornik paliwa wybuchłtuż przed tym, jak auto wpadło do wody.

Schowanyw krzakach odczekał paręminutna wypadek, gdyby zjawili się jacyś ciekawscy,zwabieni

błyskiem ihałasem.

Skoro nic takiego nie nastąpiło, zarzucił plecak na grzbiet i pogwizdując pod nosem, pomaszerował przed siebie.

Kwadranspotem, przeciąwszyjakieś peryferyjne osiedle, o tej porze prawie całkowicie wyludnione,wyszedł na ulicę Wojska Polskiego, prowadzącą na zachód i przechodzącąw krajową drogę na Końskie.

Wiedział, że najpierw będą go szukać nagłównej trasiewarszawskiej.

Na granicy miasta i wsi Bliżyn oddalił sięneco od drogi na jakąś łąkę ipod sporą lipą rozbił biwak, ze smakiemzajadając prowiant, który zapobiegliwiewcześniej przyszykował na drogę.

Wyglądał jak prawdziwy tramp, który zrobił sobieprzerwę w podróży,rozkoszując się ciepłymwieczorem.

Potem wyjął komórkę i najpierw połączył się z Gps-em zamontowanym w dziupie Bażyńskiego.

Z zadowoleniem stwierdził, że nie stracił kontaktu.

Tamci chyba wciąż stali w korku.

Doskonale.

Wyłączył monitoring i wystukał numer.

Kiedy usłyszał sygnał, powiedział, siląc się nadowcip, co nie było jego mocną stroną:

- Mister Stanley?

Tu doktor Livingstone.

Znów musisz mi pomóc.

- Dobra, dobra.

Nie nudź.

Wiem.

Ale dziesięcioma milionami chybanie pogardzisz?

Dobrze słyszałeś.

Właśnie tyle proponuję.

To jak, wchodzisz w to?

- Nie złotych, ani nawet nie dolarów; Euro.

Usatysfakcjonowany?

- Nie, nie tylko za podwiezienie.

Za współpracę.

Tasprawa mnie przerosła.

Powiem ci wszystko, jak się spotkamy.

Uważaj, podaję namiary.

-

- Dobra.

Czekam.

238

Warszawa, 10 lipca 2010 (sobota)

Przyjaciel Tomasz z czasów licealnych, Andrzej Plater, zrobił karierę w biznesie.

Zaraz po studiach ekonomicznych zaczął od małej firmy oprogramowania komputerowego, którą wchłonęło większe konsorcjum z centralą w Warszawie, a Plater został jednym z prezesów.

Kupił sobie apartament w stolicy, na Mokotowie, do Krakowa i rodziny wracając na weekendy.

Od lat regularnie w lipcu wyjeżdżał na urlop, a ponieważ zbiegało się to zwykle z grunwaldzkimi obchodami, Bażyński korzystał wówczas z jego warszawskiego mieszkania, do którego dostał klucze.

Apartament miał trzy pokoje, więc pomieścili się w nim całą piątką.

Dotarli tam późno i w podłych nastrojach.

Gdy Katz z uporem Syzyfa szukał telewizji sensownego programu, a dziewczyny kolejno okupowały łazienkę, Jarecki wyciągnął Bażyńskiego na balkon i z wysokości dziesiątego piętra, patrząc na mało zajmującą panoramę blokowiska, powiedział:

- Poproszono mnie, żebym rano zgłosił się Komendzie Głównej, skoro nasi wypadli z obiegu.

Z mojej zresztą winy.

- Przykro mi.

- I powinno, ale z innego powodu.

Cholera, co was podkusiło, żebyścigać tego drania!

Nie ma jak zasrani cywile bawiący się policjantówi złodziei!

Ocipiałeś?

Przecież nawet niewiadomo, czy to był on.

- Ale gdyby był, już byśmy go mieli i byłoby po sprawie - bronił się Tomasz, który dopiero teraz uświadomił sobie, że gdyby tak się stało, cały jego misterny plan wziąłby w łeb; tak to jest, gdy się bezmyślnie podąża za instynktem.

- Gówno prawda!

Powiem ci, co by było: jeśli to był on, pożarłby by was nasurowo i o tej porze już nocowałibyście u aniołków.

W izolacji cędlakretynów.

- I kto to mówi!

Facet, który miał nas pilnować, a zamiast tego o małonie urządził sobie strzelaniny z gangsterami.

- Ja przynajmniej miałem z czego strzelać.

Co byś zrobił, pieprzony bohaterze, gdybyściego dopadli?

Wyzwałskurwiela na udeptaną ziemię rozbroił?

Nawet miecza nie miałeś przy sobie, kretynie.

Osiągnąłeś tyle, żeś go ostrzegł, że siedzimy mu na ogonie.

- Jeśli to on.

Sam powiedziałeś, że nie ma pewności.

A poza tym wcale nie musiał mnie rozpoznać.

- Nawet ślepiec nie pomyliłby twojego zajebicie pstrokatego dżipaz innym wozem cyrkowym.

Jesteś z siebie zadowolony?

239.

- Co teraz zrobisz?

- spytał Tomasz po chwili ciężkiego milczenia.

- Nic się nie zmieniło.

Wciąż masz giermka.

Będę sobie patrzył z boku, jak jakiś nut z centrali prowadzi sprawę i zbiera laury.

- Może nie będzie tak źle.

Może kumplowi byłbym skłonny powiedzieć coś, czego nie wyjawiałbym obcemu facetowi z Komendy

Głównej.

Policjant spojrzał na przyjaciela z ukosa.

- Stary numer, co?

Cholera, powinienem pamiętać z dawnych czasów, że nasz sprytny Tomcio Chytrusek zawsze trzyma w zanadrzu jakiegoś asa.

Jak wtedy z tym herbowym sztyletem.

Coś zataiłbym razem, przyznaj się.

- W swoim czasie.

I obiecuję, że będziesz pierwszym, który się dowie.

Może się jeszcze okazać, że to jednak komisarz Jarecki rozwikła tę sprawę, a nie jakiś stołeczny nut.

Poszli spać w nieco lepszych humorach.

Rano się rozdzielili.

Policjant pojechał do komendy, kobiety wybrały się na zakupy, Katz na zwiedzanie, a Tomasz do Centrum Onkologii na Ursynowie czy Imielinie.

Nie znał dobrze Warszawy i granice dzielnic muszę zlewały.

Odnalazł Blok Operacyjny na Oddziale Onkologicznym Kliniki Nowotworów

Układu Chłonnego przy ulicy, nomen omen, Roentgena.

Kupił w automacie obuwie ochronne, dowiedział się w recepcji, dokąd ma iść i jak trafić, poczym wsiadł do windy.

Idąc długim korytarzem, sprawdzał numery nadrzwiach.

Sala, której szukał, znajdowała się na końcu.

Zapukał i wszedł.

Pokój był dwuosobowy, ale łóżko po prawej stało puste, natomiast natym po lewej spoczywał wynędzniały mężczyzna, z zamkniętymi oczyma wychudłą twarzą o niezdrowej barwie.

Tomasz przyglądał mu się bezsłowa dobre kilka minut, aż chory otworzył oczy.

- Jesteś - szepnął.

- Tylko po to by opowiedzieć ci bajkę.

Chcesz posłuchać?

Nie czekając na potwierdzenie, wyjął z kieszeni kilkakrotnie złożone kartki zaczął:

(1986, po 15 września, Kraków) - Uzupełnienie informacji w SOR kryptonim „Krety” isygnowane przez zastępcę naczelnika Wydziału ni wusw w Krakowie kpt.

[...]

]

Uzupełnienie w SOR kryptonim]”Krety”, nr rej[estracyjny] KR/IS 177.

Zagrożenie: wroga działalność konspiracyjna.

Nadzór: Wydział mwusw.

W dniu 15 ix 1986 r.

w budynku wusw w Krakowie przeprowadzono rozmowę ostrzegawczą z figurantem sprawy Bazyński Jerzy, numer rej[estracyjny] KR/IS 698, niedawno

240

zwolniony] z ASP w Krakowie zatrudniony] w prywatnej firmie konserwującej dzieła sztuki, który prowadzi wrogą działalność w strukturze konspiracyjnej - Ogniwo sw w Krakowie.

Celem przeprowadzonej rozmowy było uwiarygodnienie ozi' uplasowanych w tej strukturze oraz wykazanie aktywowi struktury, iż SB nie orientuje się w szczegółach faktycznej jej działalności.

Z informacji uzyskanych od Tw2ps[eudonim] "Lesio" lub/i "Historyk" (nr rej [estracyjny] KR/19156) wynika, iż figurant³ sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim] "Ośmiornica"⁴ nr rej [estracyjny] KR/17 426 Bazyński Jerzy (KR/IS

698)na podstawie rozmowy z funkcjonariuszem doszedł do mylnego wniosku, że SB nie jest zorientowana w działalności Ogniw w Krakowie i poprzez prowadzenie rozmów z członkami tej struktury dąży do wypracowania bezpośredniego dotarcia do osób spośród jej kierownictwa.

-Podoba ci się?

- spytał troskliwie.

-Pamiętasz, jak zaśmiewałeś się, czytając Lesia Chmielewskiej?

Poleciłeś mi potem tę książkę.

Poczekaj - zauważyłem, że chory chce coś powiedzieć - jeszcze nie skończyłem.

Słuchaj dalej.

19 czerwca 20, Kraków- Wyciąg informacji od TW pseudonim "Lesio" lub/i, "Historyk" z dnia 15 czerwca, opracowany przez por.

[...]

}, tajne specjalnego znaczenia

W dniu 14 VI 1988 r.

uczestniczyłem w zebraniu krakowskiego ogniw Solidarności Walczącej, które odbyło się w domu Jerzego Bażyńskiego, Kraków, ul.

Gontyny 98.

W domu oprócz starej ciotki, Michaliny Bażyńskiej, nie było nikogo, bowiem żona Jerzego zabrała ich małoletniego syna do kina.

Okolo godz.

12.00 zaczęliśmy schodzić członkowie ogniw, w składzie: [.

]. Kiedy zebraliśmy już wszyscy, Jerzy Bażyński zaproponował następujący porządek obrad: zaprzysiężenie nowego członka oraz członka rady SW, rozliczenia finansowe, sprawy organizacyjne - kolportaż oraz poligrafia, kierunki działania.

Poprzyjęciu programu spotkania nastąpiło zaprzysiężenie [.
] na członka organizacji SW.

Jerzy podał mi do zapoznania się serwetkę z treścią "Roty" 5.

Następnie przyniósł świeczkę wszyscy wstaliśmy, układając po jednej dłoni (jedna na drugiej nad świeczką).

Jerzy czytał treść "Roty" (identycznajak ta, którą sam składałem i przesłałem w jednymz poprzednich sprawozdań), a [.

] powtarzała nim.

Następnie nastąpiło zaprzysiężenie drugiego stopnia -[.

] powtórzył za Jerzym następujące słowa: "Ja żołnierz sw przysięgam", PO czym został poinformowany, że za zdradę jest kula w łeb.

Na dowód, że to nie żarty,

' ozi - osobowe źródło informacji.

1 TW -tajny współpracownik.

' Figurant- osoba inwigilowana i rozpracowywana przez SB.

4 Autentyczny kryptonim operacji SB, której celem było rozpracowanie i likwidacja sw.

s Chodzi o rotę przysięgi sw (z jej treścią można się zapoznać w: Solidarność Walcząca w dokumentach.

Tom i- w oczach SB, wybór, wstęp i oprac.

Łukasz Kamiński, Wojciech Sawicki, Grzegorz Waligóra, Warszawa 2007, s.

140; z tej publikacji pochodzą wszystkie zamieszczone tu i tylko odrobinę zmienione donosy i raporty).

241.

Jerzy wyjął z szuflady biurka broń swego ojca AK-owca, pistolet typu parabellum, i pokazał, że jest załadowana.

Zgaszono świecę i wszyscy pogratulowaliśmy [

] wstąpienia dorady

i zapoznaliśmy z jej stanem osobowym.

[...

]

Na koniec Jerzy zapowiedział stanowczo, że najwyższy czas, żeby od słów przejść do czynów.

Z okazji nadchodzącego państwowego święta 22 lipca zaproponował podrzucenie kilku "koktajli Mołotowa" do krakowskiej siedziby wusw, aby, jak się wyraził, "te skurwysyny posmakowały, co ich niedługo czeka".

Oznajmił, że aby nikogo innego nie narażać, jest gotów to uczynić sam, a w razie wypadki zastrzeli się własnego pistoletu, wcześniej, cytując: "zabierając ze sobą do piekła tyle tych czerwonych świń, ile się da".

Próbowaliśmy.

go odwieść od tego zamiaru, ale był zdecydowany go skutecznie.

Udało się jedynie mówić, by z ostateczną decyzją zaczekał do uzgodnienia akcji z centralą we Wrocławiu naszego następnego zebrania, które wyznaczono na 11 sierpnia w tym samym miejscu.

- Wiedziałem, że kiedyś się tego dowiesz.

Miałem tylko nadzieję, że zdążę do tej pory umrzeć - powiedział chory jeszcze ciszej niż poprzednio.

- Ale nie umarłeś, skurwysynu.

W przeciwieństwie do mojego ojca.

Dlatego posłuchasz jeszcze tego:

1988, Lipiec 14, Kraków - Plan likwidacji struktury sw, sygnowany przez naczelnika Wydziału m wusw w Krakowie ppłk.

[...

], tajne specjalnego znaczenia

Z oceny sytuacji operacyjnej zawartej w zatwierdzonym przez z[astęp]cę szefa wuswz dn[ia] 8 vii 1988 r.

planie działań do sprawy krypt[onim] "Ośmiornica" wynika, iż z organizatorem nielegalnej organizacji p[od] n[azwą] Solidarność Walcząca Kornelem Morawieckim utrzymują bądź mogą utrzymywać kontakty osoby ujęte w tej ocenie, w liczbie sześciu, planujące zakłócić obchody święta 22 lipca.

Biorąc powyższe pod uwagę, zgodnie z punktem u ramowego planu działań, przystąpić do równoczesnego dokonania przeszukań i zatrzymań niżej podanych osób po otrzymaniu z Wydz[iału] ii Biura Studiów MSW hasła "Sowa".

W związku z powyższym planuje się:

1. W dniu 1988.

, o godz.

grupa w składzie:

1....

2. por.

[...]

],

3. por.

[...]

],

4. st[arszy] kpr.

[...]

]

dokona przeszukania i zatrzymania Jerzego Bażyńskiego, zamieszkałego]

Kraków, ul.

[...]

]. UWAGA: wg wiarygodnych informacji uzyskanych od TWps[eudonim] "Lesio" nr rejestracyjny] KR/19 156, figurant jest osobą desperowaną i może być uzbrojony w broń palną, dlatego zaleca się funkcjonariuszom zachowanie szczególnej ostrożności

podczas zatrzymania osobnika.

Za procesowe udokumentowanie czynności odpowiedzialny jest oficer Wydz[iału] Śledczego, natomiast za zatrzymanie kierownik grupy por.

[...]

].

W celu realizacji nakreślonego planu likwidacji przewidujecie wykorzystanie następujących sił i środków:

i. 8 oficerów Wydz[iału] Śledczego.

242

2. 21 oficerów operacyjnych.

3.7 środków transportu.

Dodatkowo: i radiostacja stacjonarna, a kierownicy grup - radiostacje nasobne (6 sztuk),,.

]

Za realizację planu likwidacji odpowiedzialny jest naczelnik Wydziału m ppłk

[.

].

- I co ty na to, esbecki kapusiu?

"...

za zradę jest kula w łeb.

Nadowied, że to nie żarty, Jerzy wyjął z szuflady biurka broń swego ojca AK-owca, pistolet typuparabellum, i pokazał, że jest załadowana".

"W razie wpadki zastrzelisz z własnego pistoletu, wcześniej, cytuję: zabierając ze sobą dopiekła tyle tych czerwonych świń, ile się da".

Tygnido!

Ojciec nie miał pistoletu podziadku, bo skonfiskowali go ubecy.

I nie był to parabellum, tylko sauer.

Łgałeś jak pies nawet swoim mocodawcom, żeby tylko przedstawić go jako gotowego na wszystko desperata.

Od początku zakładałeś, że go zamordują, jak Staszka Pyjasa, księdza Popiełuszkę i tylu

innych.

- To był wypadek - wpadł mu w słowo chory.

- Mieligo jedyniearesztować.

Zaskoczyli go po północy na moście Dębnickim.

Stawiałopór, a potem im sięwyrwał i skoczył do rzeki.

- Stul pysk!

Wystawiłeś go!

Ojciec czuł się w wodzie jak ryba.

To onnauczył mniepływać.

Twoi kumple musieli go pobićdo nieprzytomności, skoro utonął.

Więcmi tu nie pierdol głodnychkawałków.

Znajdę te esbeckie psy i doprowadzę przed sąd, choćbym miał na to poświęcić resztę życia.

-Nie fatyguj się.

Ichdowódca strzelił sobie w łeb, kiedy go negatywnie zweryfikowali w latach dziewięćdziesiątych i zwolnili ze służby bezuznania przywilejów.

- Chyba sięrozpłaczę.

-Po co tu przyszedłeś, skorowszystko wiesz?

- Żebypopatrzeć, jak zdychasz.

I po to żeby się dowiedzieć, czy mojamatka o wszystkim wiedziała.

Amoże nawet.

- Coś długo z tymzwlekałeś.

-Za długo.

Byłem tchórzem.

Bałemsię prawdy.

Omali niezniszczyłemsobie przez to życia.

- A ja, któremu życzysz śmierci, mam ci pomócpoprawić samopoczucie?

Dobrze, niech tak będzie.

Jestem ci to winien.

Oczywiście, że0 niczym nie wiedziała.

Myślisz, że wtedy wyszłaby za mnie?

A przecieznajpierw była mojądziewczyną.

Ale gdy poznała twego ojca, zakochałaś?
w nim bez pamięci.

Dlatego twoje podejrzenie, że ona też mogła

243.

na niego donosić albo zdradzać go ze mną, jest niedorzeczne.

Obrażaj pamięć.

Wstydz się.

Co ja się musiałem nabłagać, żeby zechciała za

mnie wyjść.

Przerwał, ciężko dysząc, po czym kontynuował:

- Jerzy robił wielkie wrażenie na wszystkich, którzy go poznali.

Jazawsze byłem w jego cieniu.

Wiesz, ile mnie kosztowało codziennie nanichpatrzeć?

Albo słuchać, jak się kochają za ścianą, i gryźć palce?

Kiedysię urodziłeś, wyobrażałem sobie, że jesteśmoim synem.

Pamiętasz, jakopowiadałem ci o historii, pomagałem wlekcjach albo czytałem bajki,bo twego ojca, pieprzonego bohatera, wiecznie nie było w domu?

- znówdyszał, widać było,że mówienie go bardzo wyczerpuje.

- Pamiętam, dlatego teraz nie odłączęci kroplówki.

-Michalina coś przeczuwała odpoczątku.

Nie znosiła mnie.

Dlatego w końcu kazała nam się wynosić z domu, grożąc mi, że w przeciwnym razie publicznie wyjawi swoje podejrzenia.

Ale twoja matka była niczego nieświadoma.

Bardzo przeżyła rozstanie z tobą.

Nie rozumiała,dlaczego mamy cię zostawić i przetransportować do Warszawy.

Do czasu.

W końcu mnie zapytała.

Powiedziałem jej prawdę, tłumacząc się, że zrobiłem to, co zrobiłem, tylko i wyłącznie z miłości do niej.

Że niełatwo mi z tym żyć.

Że i wtedy, i potem czułem do siebie obrzydzenie i tak będzie do samego końca.

Niezrozumiała.

Od tego czasu po prostu gasła w oczach, aż wreszcie umarła.

Poprostu.

Nie odezwawszy się do mnie ani słowem przez cały ten czas.

To była dla mnie największa tortura.

Posłuchaj!

- szponiasta, żółta jak pergamin ręka zacisnęła się na dłoni Tomasza, nim zdołał ją cofnąć.

-Ja już stąd nie wyjdę, chyba że nogami do przodu.

Proszę cię tylko jedno.

Nie mam w Warszawie przyjaciół, a chciałbym, by choć jedna bliska osoba odprowadziła mnie ostatnią drogę.

Uczyń mi tę łaskę.

I pochowaj mnie przy niej.

Tylko

o to cię proszę.

Nie możesz mi odmówić!

Wykrzyczała ostatnie słowa, ponieważ Tomasz już był za drzwiami.

Pojechał na Powązki.

Zazwyczaj od paru lat każdą wizytę w Warszawie zaczynał od odwiedzenia grobu matki.

Tym razem było inaczej, bo wcześniej musiał zdobyć pewność.

Modlił się dłużej niż zwykle, gdyż byłomu wstyd, że w nią zwątpił.

Że przez chwilę porównywał ją w myślach do żony Pawła Jasienicy.

Poza tym szukał rady w kwestii pochówku stryja, którego imię i nazwisko widniało obok matczynych.

Brakowało jedynie daty śmierci.

I ciała w grobie.

Kiedy wrócił do apartamentowca w mieszkaniu nie był nikogo oprócz Anny Marii.

- Anzeliik pojechała do centrum rozglądnać się zaciuchami, amnieto nie kręci.

Kupiłam sobie mrożonapizzę.

Zjesz pół?

- zaproponowała, wkładając ciasto do piekarnika.

-Dziwnie wyglądasz.

Gdzie byłeś?

Stał się coś?

Padł na wersalkę, oparł się o miękkie poduszki i opowiedział jejwszystko.

- Kain zabił Ablai jeszcze skurwiel ma czelność twierdzić, że z miłości!

Zapomniał o tym, że gdy ojca za konspirację wylali z pracy ledwowiązaliśmy koniec z końcem, wspierani przez dobrych ludzi, on dzięki swym protektorom robił karierę na uniwersytecie, którą chlubnie zakończył w Warszawie.

Następny "autorytet moralny".

Ciekawe, po trupach iluzakapowanych kolegów dotarł na szczyt - wyrzucił z siebie zdenerwowany.

Usiadła przy nim i objęła go opiekuńczo.

- A jednak może nie całkiem skłamał.

Miłość topotęga - pogłaskała go po dłoni.

- Biedny Tomasz.

Wiem, coczujesz.

- Czyżby?

-Nie wierzysz mi?

Słusznie dostrzegłeś w Matkach córki watekosobisty.

Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że moja matka umarła, kiedy byłam mała?

Skłamałam, tak jakto robiłam od dzieciństwa, bo mi było wyczejnie wstyd.

Ma na imię Helga.

Była studentką ojca.

Nie wiem, czemu za niego wyszła.

Na pewno nie z miłości, bo nie jest do niejzdolna.

Myszę, że potrzebowała przykrywki, którą dawała jej pozycja żony jeszcze niestarego,

zdolnego i już znanego naukowca pacyfisty.

Mnie urodziłazapewnetylko po to,żeby ojciec dał jej święty spokój.

Nigdy się mną nieinteresowała.

Nie widziałyśmy się od dwudziestu lat.

Jeszcze na studiachzwiązała się zRAF-em1 i tylko tym żyła.

Wiesz, co to był RAF?

- Frakcja Czerwonej Armii.

Niemiecka lewacka organizacja terrorystyczna.

Powiązanaż kim i czym tylko się dało, na przykład palestyńskimCzarnym

Wrześniem,włoskimi Czerwonymi Brygadami i francuskąAction Directe.

W razie potrzebymogłiliczyzna azyl u Stasi w dawnej

NRD.

- Nie załapała się do grupy Baader-Meinhof,którą rozbito w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, ale przystąpiła do tak zwanego drugiego (albonawet trzeciego, już sama nie wiem) pokolenia RAF - ciągnęła.

- W 1985 rokuuczestniczyław zabójstwie Ernsta Zimmermanna,

RAF - niem.

RotęArmee Fraktion, ang.

Red Army Fraction.

Działałaod lat siedemdziesiątych xx wieku do 1988 roku, miała na koncie szereg krwawych zamachówterrorystycznych i morderstw na tle politycznym.

245.

szeffa koncernu zbrojeniowego MTU w Gauting.

Jeszcze w tym samym roku razem z Birgit Hogefeld zabrały do swojej kwatery i zamordowały amerykańskiego żołnierza, żeby zdobyć dokumenty umożliwiające dostęp do bazy lotniczej Rhein-Main Air Base, gdzie zabiły kolejno dwie osoby.

A ich koledzy podłożyli tam bombę i spowodowali wybuch, który pochłonął następne ofiary.

Ujęto ich i osądzono.

Hogefeld posiada przynajmniej do przyszłego roku, ale matka na mocy amnestii wyszła z więzienia pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

- Gdzie jest teraz?

- dla odmiany to Tomasz objął coraz bardziej podenerwowaną dziewczynę.

- Po uwolnieniu pojechała do Palestyny.

Do swoich arabskich przyjaciół, u których się kiedyś szkolila.

Nie jest już młoda, ale nic się nie zmieniła.

Jak jej wciąż dumne z siebie koleżanki, które po wyjściu z więzienia napisały książki i mają całkiem spore grono fanów.

A matka w czasie ostatniej intifady w Strefie Gazy z bronią w ręku dała się złapać Izraelczykom.

Wkrótce zostanie skazana na śmierć i zapewne długo wykonają wyrok, boudowodniono jej skrytobójcze zamordowanie oficera i dwóch rabinów, chyba że.

- Że zrobisz, co ci każą- dokończył za nią, kiedy urwała nagle.

- Czy

Adam ma z tym coś wspólnego?

W jej oczach zobaczył zaskoczenie i strach.

- Skąd wiesz?

- Domyśliłem się.

Nietrudno było.

Przede wszystkim wygląda na to, że obojętnie co was kiedyś łączyło, teraz jego obecność działa na ciebie jak Anżeliki na mnie.

A mimoto jesteście nierozłączni.

Poza tym na cmentarzu Remuh odczytał napis na nagrobku rabina, choć do znajomości hebrajskiego się nie przyznał.

Właśnie odczytał, a nie przeczytał o tym, jak twierdził, bo zauważyłem, że czytał napisy na innych nagrobkach w synagodze.

No i interesuje go wszystko o polskich Żydach, nie tylko czasów Holocaustu, choć głównie.

Jest Żydem?

- Ze strony matki.

Odkrył swoje korzenie w szkole średniej, a podczas studiów prawniczych pojechał do Izraela odwiedzić dziadków.

Tam zwerbował go Mossad.

Wziął dziewczynkę, odbył szkolenie, a potem wrócił do Niemiec.

Pracę reportera, a faktycznie jest w tym dobry, daje możliwość penetracji różnych środowisk na całym świecie.

Na zlecenie swoich przełożonych zainteresował się naszą rodziną, gdy matka po wyjściu z więzienia wyjechała do Palestyny.

Byłam wtedy młoda, głupia i kompletnie zielona, a on czarujący i diabelnie przystojny.

Zresztą znasz go.

Owinał mnie sobie wokół palca.

Ale kiedy stwierdził, że ani ja, ani ojciec nie mamy z działalnością matki nic wspólnego, stracił zainteresowanie.

Aż do teraz.

O co im chodzi?

- Nie wiem skąd, ale oni też dowiedzieli się o pamiętniku dziadka, skarbie templariuszy i o tym, co zawiera.

Przypuszczam, że w końcu ich nie obchodzi.

Natomiast chętnie odzyskaliby fragmenty tablic Mojżeszowych, menorę Salomona i inneżydowskie świętości.

Zresztą wcale niejestem przekonana, czynaprawdę Mossad jest w to zaangażowany, czyAdam działała własną rękę albo w porozumieniu z zupełnie kim innym.

Jest nadgorliwy jak każdy neofita i popiera ortodoksów, chociażniezauważyłam, by był szczególnie religijny. Mam nadzieję, że rzekomaśredniowieczna korona chrześcijańskich królów Jerozolimy okażesię starożytnąkoroną pierwszychkrólów Izraela.

Gdyby naród izraelski odzyskał swoje skarby, miałyoby to ogromne znaczenie religijno-patriotyczne i propagandowe zarazem.

Słyszałaś o Jerozolimskim Instytucie Świątynnym?

-Nie.

- Ja też.

Dopiero Adam mi o nim powiedział.

Instytut zamierzazbudować na Wzgórzu Świątynnym, między meczetem Al-Aksaa Kopułana Skale, TrzeciąŚwiątynię.

- Tam gdzie według muzułmanów Abraham miał złożyć ofiarę z Ismaela, czy teżIzaaka, aMahometunieść się do nieba'?

Poszaleli?

Chcą doprowadzić do trzeciej wojny światowej?

No właśnie.

To jest problem, z powodu którego nawet w samym Izraelu idea ta ma wielu przeciwników.

Ponoć jednak Bóg potrzebuje domu.

Trzecia Świątynia musi więc być odbudowana i wyposażona według pradawnych rytuałów, aby mógł pojawić się Mesjasz i odkupić naródżydowski, który po Holokauście nareszcie sobie na to zasłużył.

Gdyby powiedzło się o dzyskanie skarbów ważnych nie tylko dla Żydów, ale dla wszystkich ludów Pisma, zrozumiano by, że ten największe skarby ludzkości

wymagają stosownej oprawy w postaci Trzeciej Świątyni.

Adam przynajmniej mocno w to wierzy.

Nie wiedziałam, co stało się z matką, dopiero on mi to powiedział w dniu, w którym poinformowano mnie o śmierci ojca.

Zawarliśmy układ.

Jeżeli mu pomogę dotrzeć do skarbu, jego mocodawcy wypuszczą moją matkę i nie wystąpią wobec niej z oskarżeniem.

' Wzgórze Świątynne, wraz z meczetem Al-Aksa, Kopułą na Skale oraz grota w Skale, gdzie ponoć ukryta jest "studnia dusz", stanowi trzecie pod względem ważności (po Mekce i Medynie) sanktuarium islamskie.

246

247.

Głos jej zdrzał i popłakała się jak dziecko.

Pierwszy raz widział ją tak rozklejoną.

Przytulił ją jeszcze mocniej, ale odsunęła się, jak tylko

doszła do równowagi.

- Możecie to dziwi - dokończyła, ocierając łzy - że mi jeszcze na niej zależy.

Sama jestem zaskoczona.

Wątpię, czybym ją w ogóle rozpoznała.

Poza tym to bezwzględna morderczyni.

I najgorsza z matek.

A jednak nie mogłabym znieść myśli, że ją powieszono czy rozstrzelano, a ja nie. uczyniłam nic, żeby temu zapobiec, chociaż mogłam.

Nie wiem, jak tonazwać.

Wiem jedynie, że ojciecby sobie tego życzył.

Kochał ją, chociaż zabijała ludzi, a nim pogardzała, przyprawiała mu rogi, zwichnęła karierę naukową, dlatego dla chleba musiał zacząć pisać różne sensacyjne historie, a na koniec porzuciła nas oboje.

Dlatego powiedziałam, że miłość to

potęga.

- Ej!

- klasnął w ręce.

- Dość tego smęcenia.

Ostatecznie dziś spadł

mi z serca kamień, który nosiłem przez piętnaście lat.

Dlatego jest mi

lekkonaduszy.

Spójrz!

Zerwał się i zaczął wirować po pokoju w jakimś dzikim tańcu.

W końcu porwał i ją.

Kręcili się zapamiętali, aż stracili równowagę i padli nadywan.

Przyciągnął ją do siebie.

Nie opierała się.

Powiedziała tylko:

- Pamiętaj, że masz do czynienia z być może genetycznie skażoną wnuczką zbrodniarza i córką morderczyni.
- A ty z bratankiem zdrajcy i bratobójcy.

Będzie z nas dobrana para.

Pasujemy do siebie idealnie.

Jak dwie połówki tej samej monety: Bażyńscy

i von Baysenowie.

Pierwszy pocałunek był długi i namiętny, następne szybkie i łapczywe.

Ich ręce zaczęły błaznić pocałach.

Głaskał ją po plecach, potem po piersiach, aż poczuł, że nabrzmiały, a sutki pod bluzką stwardniały.

Podniecony do najwyższych granic ściągnął jej bluzkę, onarozpięła muspodnie.

I wtedy zabrzmiał dzwonek u drzwi.

- Rany boskie, pizza się przypala!
- zawołała Anna Maria.

Szybko zapięła bluzkę i pognęła do kuchenki, a Tomasz poszedł otworzyć, w biegu zapinając spodnie.

- Hej!
- powitała gowracając zakupów Anżelika, uśmiechając się szeroko.
- Przeszkodziłam w czymś?
- znaczącym spojrzeniem objęła Niemkę wyciągającą z piekarnika dymiącą pizzę i rozchełstanego Bażyńskiego włosami w nieładzie.

- W niczym.

Uciałem sobie drzemkę.

-Aha.

Wesoła jak szczygieł, zaraz zaczęła przymierzać nowe ciuchy, wdzięcząc się i pozując przed wielkim lustrem w przedpokoju niczym siostry Kopciuszka przed balem księcia.

- I jak?

- spytała Tomasz, włożywszy długą wieczorową suknię.

- Świetnie.

Gdybyś ułamek tej uwagi co swojemu wyglądowi poświęcała innym sprawom, byłabyz ciebie idealna dziewczyna.

Po co cita kiecka?

- Jak to?

Przecież będą tam chyba jakieś bale?

Ostatecznie gdzieś cerze, tam i damy.

- My jedziemy na bitwę, kobieto!

Owszem, wieczorami będą imprezy, ale raczej przy ognisku.

Nie chcesz chyba uwędzić tego ciucha?

O iskry nie musisz się obawiać, bo dziur w nim raczej wypalić się już nie da, taki jest ażurowy.

- Jesteś okropny!

- Zjesz kawałek pizzy?

O ilecoś ocalało - w całym pokoju rozchodził się swąd spalenizny.

- Dzięki, jadłam wmieście.

Idę do łazienki.

Ociekam potem, tak idzieś upał.

Kiedy usłyszał szum prysznic, dosiadł się do Anny Marii i ocalonych szczątków pizzy, jako tako nadających się jeszcze do jedzenia.

- Posłuchaj, co wymyśliłem.

Porozmawiam z Adamem.

Dam mu to, naszym zależy Mossadowi, ale dopiero wtedy, kiedy twoja matka znajdzie się w Niemczech.

To będzie układ między naszą trójką, pozostali nie muszą o tym wiedzieć.

Popatrzyła na niego dziwnie i ścisnęła jego rękę.

- Niebezpieczny z ciebie człowiek.

Adam miał rację, podejrzewając, że wiesz więcej, niż przyznajesz.

To prawda.

Zaangażował się w tę sprawę tak bardzo, że uważał ją za swoją.

Wiedział, że Katz, a jeszcze bardziej Jarecki zechcą przejąć nadnią kontrolę, i nie zamierzał do tego dopuścić.

Mieli bezporównaniawieksze doświadczenie, ale on dysponował rozległą wiedzą.

To był jego atut i zamierzał go wykorzystać.

Sztuka polegała jedynie na tym, aby nie pociągać za sznurki zbyt widocznie, ale i tego szybko się uczył.

Naprawdę był innym człowiekiem niż jeszcze miesiąc temu.

- A ty miałaś to ze mnie wyciągnąć?

- Tak, ale jak widzisz, nie bardzo się sprawdziłam w roli Maty Hari.

Naprawdę wiesz, gdzie jest skarb?

- To tylko hipoteza, ale bardzo prawdopodobna.

249.

- A jeśli Adam jej nie kupi?

-Zostaw to mnie.

Czy jest ktoś, kto rozpoznałby twoją matkę?

I mógłby ją odebrać lotniska?

- Jej towarzysze z RAP-u, no ale ich nie znam i nie chcę znać.

Możemoja chrzestna matkaMarta Lorentz?

To lekarka i przyjaciółka ojca z młodości.

Podkochiwała się w nim.

Znała matkę.

Myślę, że rozpoznałaby ją.

I odbierze, jeśli ją oto poproszę.

- To uprzedź ją, żeby była gotowa.

Kiedy matka wyląduje w Niemczech, a ta lekarka ją rozpozna i przejmie, wtedy powiem Katzowi wszystko, co wiem.

Chwyła go za rękę, a w jej oczach znów pojawił się lęk.

- Uważaj, negocjując z nim.

Jest uzbrojony.

I twardy, choć na tonie wygląda.

- To zupełnie tak samo jak nowy ja.

Spokojnie, dogadamy się.

Pochyliła się i pocałowała go, ale gdy chciał ją pochwycić, wymknęłam się i uciekła akurat w chwili, gdy zjawiskowo odstrzelona Anżelik wyłoniła się z łazienki.

Wkrótce zjawił się Katz.

Zmęczony, lecz zadowolony.

- Byłem w Warszawie parę razy, więc tym razem darowałem sobie zwiadywanie.

Wstąpiłem za to do Muzeum Powstania Warszawskiego.

Coś fantastycznego!

Klasa światowa.

Łaziłem po nim pięć godzin i nawet niezauważyłem, kiedy mi zleciały.

- To jedynarzecz, która wyszła pewnemu znanemu politykowi.

I tak wykonał o sto procent normy więcej niż inni.

AMuzeum Powstania faktycznie możemy się pochwalić.

Jarecki przywłókł się na ostatku.

- Jest gorzej, niż przypuszczałem -oznajmił z grobową miną.

- Śledztwo przejęło CBS1.

Pieprzeni cebosie.

Specjaliści od międzynarodowych afer.

Zadzierają nosa jak fedzie w Stanach.

Nasz człowiek nazywa się Konrad Czarnecki.

Starszy inspektor.

Szycha.

Wszyscy tam biegają wkoło niego na czterech łapkach, bo to podobno najlepszy kumpeli prawaręka szefa szefów w tej chrzanionej instytucji.

Niby grzeczny, ale zimny jak kryba.

Zresztą sami zobaczycie, bo się na jutro rano zapowiedział z wizytą.

Chciał mnie odesłać do domu, ale kazałem mu się wypchać.

Niespodobało mu się to, jednak po telefonie do Krakowa zmiękła mu rura.

Oj, da on nam jeszcze popalić, mówię wam.

' Centralne Biuro Śledcze - jednostka organizacyjna Komendy Głównej Policji, istniejąca od 2000 roku, zajmująca się rozpoznawaniem i zwalczaniem przestępczości zorganizowanej.

250

Po zakrapianej kolacji humor mu się nieznacznie poprawił.

Właścicielami zasiąść do brydża, kiedy zadzwonił czyjś telefon.

- To mój - powiedział Tomasz i odebrał.

- Dziwne - powiedział, gdy skończył rozmawiać.

- Dzwoniła ciocia Misia.

Miała to zrobić wcześniej, ale spotkała panią Korzonkową i zagadały się, a potem zapomniała.

Jakiś człowiek zadzwonił do niej z Balic i koniecznie chciał się z nią spotkać.

Mówił, że to ważna sprawa, wręczycia i śmierci, i że specjalnie przyleciał do Polski, żeby mnie ostrzec.

Zmartwił się, gdy go poinformowała, gdzie jestem.

Powiedział, że jak najszybciej spróbuje dotrzeć do Warszawy, żeby koniecznie na niego czekał.

I poprosił o mój numer komórkowy.

- Dała mu?

- zdziwił się Katz.

- Dała, bo mówił po francusku i przedstawił się jako Armand de Fronsard, marszałek paryski, podejrzewany o zabicie profesora von Baysena.

Twierdził, że jest niewinny, wie, kto to zrobił, ale powie tylko mnie, kiedy się spotkamy.

- Armand de Fronsard!

- wykrzyknął Jarecki, nagle ożywiony.

- Człowiek z twojego portretu pamięciowego!

- Właśnie.

W tej chwili telefon znów zadzwonił.

Tym razem Tomasz rozmawiał znacznie dłużej.

A raczej słuchał, odpowiadając tylko jednosylabami, i to po angielsku.

W pewnej chwili rzucił komórkę z wściekłością, aż odbiła się od oparcia tapczanu i spadła na dywan.

- Kurwa mać!

Wysiadła!

W takiej chwili!

Że też zapomniałem francję podładować!

Durny ćwok!

- To był on?

- spytała Anna Maria, gdy się wykrzyczał.

- Tak.

Godzinę temu przyleciał do Warszawy.

Przed chwilą zameldował się "Sobieskim".

Wie o naszej ekspedycji, diabli wiedzą skąd.

Pewnie też ma swój wywiad albo ciotuchna się wygadała, do czego za nic się nie przyzna.

Chce się do nas przyłączyć.

W zamian wyjawia nazwisko mordercy profesora i opowie o początkach całej sprawy.

Umówiliśmy się na jutro o dziesiątej w hotelu.

Zresztą słyszeliście.

Na dowód dobrej woli powiedział, że nasz prześladowca był kiedyś agentem.

I właśnie wtedy siadła komórka!

Cholerny pech.

- Pójdiesz na to spotkanie?

- zapytał Katz.

- To może być pułapka.

- A mam wyjście?

Zabiorę Tadka, bo nie zastrzegł, że bym był sam.

Ty musisz zostać.

Trzech na jednego to już byłaby przesada.

Mógłby się spłoszyć.

Jasny gwint, a miałem nadzieję, że jutro o tej porze już będziemy w drodze!

251.

Komisarz wyjął z kieszeni swoją komórkę i zaczął się macać po kieszeniach.

- Gdzie ja, cholera, wsadziłem kartkę z numerem tego kutafona z CBS?

Nie ma rady, trzeba fiuta powiadomić.

Raz, że jakmówił pan Katz.

- Adam- sprostował dziennikarz, unosząc w górę pełny kieliszek.

-Za przyjacielski front antycebosiowy!

- Tadek - policjant przełożył swoją rękę, także uzbrojoną w napelnione szkło, przez rękę Niemca i przepili do siebie, po czym chuchnąli kontynuował: - Adam ma rację.

To może być pułapka zastawiona przez mordercę albo jego współnika.

A poza tym z inspektorem Czarneckim nie ma żartów, sami się przekonacie.

Znalazł numer i zaczął naciskać klawisze.

Warszawa, 11 lipca 2010 (niedziela)

Czterogwiazdkowy hotel "Jan ni Sobieski" znajdował się na Ochocie przy dużym skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich z trzema innymi głównymi ulicami.

Już z daleka wyróżniał się przyciężkawą bryłą, zapewne stylizowaną na świetlaną epokę Franza Josefa I.

Oraz, jak się wyraził Jarecki, zajebistą różowo-błękitną kolorystyką.

To wspólne dzieło polsko-austriackich budowniczych miało upamiętniać odwieczną przyjaźń i bojgę bratnich narodów.

Zadziergniętą w czasach, gdy polski król uratował Austriaków (i wszystkim Europejczykom) skórę pod Wiedniem w 1683 roku, broniąc ich przed Turkami.

A przypiętą później, kiedy wdzięczni Austriacy ochoczo wzięli udział w rozbiorach Polski, żeby uchronić Polaków przed nimi samymi.

Tomasz pomyślał przelotnie, że król Jan ni pewnie przewraca się teraz w swoim wawelskim grobie, widząc, jakie postępy poczyniła ostatnimi czasy islam w Europie, i to na własne życzenie Europejczyków, którzy wyparli się chrześcijańskich korzeni.

Przeczytał kiedyś, że w jakiejś publicznej szkole niemieckiej zwolniono nauczyciela, bo uczennica tureckiego pochodzenia, wyznawczyni islamu, nie życzyła sobie, żeby

uczył ją mężczyzna.

Gdyby Sobieski to przewidział, z pewnością nie chciałoby się taszczyć swego wielkiego cielska pod Wiedeń, zwłaszcza że w domu czekała na niego ponętna królowa Marysieńka i mógł spędzić czas znacznie przyjemniej.

252

W obszernym hallu w wygodnym fotelu, odziany w doskonale skrojony, ciemny garnitur, siedział postawny mężczyzna, który podniósł się na ich widok. Jarecki pociągnął za sobą Bażyńskiego w jego stronę.

- Inspektor Konrad Czarniecki z CBS, a to szef naszej ekipy, Tomasz Bażyński.

Podali sobie dłonie.

Inspektor miał silny uścisk, zupełnie siwe, prawie białe włosy, choć wyglądał na niewiele ponad pięćdziesiątkę, ostre rysy twarzy i dziwne oczy o nieokreślonej barwy tęczy w oczach, jakby wyblakłych i wodnistych.

To nadawało jego spojrzeniu nieco niesamowity wyraz, peszący rozmówców.

Nadobitek policzek przecinała mu niewielka, lecz widoczna blizna.

Podeszli do recepcji, nad którą umieszczono logo hotelu: s w koronie i husarskie skrzydło.

Recepcjonista miał natwarzy profesjonalny grymas imitujący uśmiech, a w służbowym uniformie więcej błyszczących guzików niż sowiecki generał orderów.

- Który pokój zajmuje Armand de Fronsard?

Byliśmy umówieni - powiedział Bażyński.

Recepcjonista otaksował go wzrokiem i najwidoczniej zakwalifikował do podrzędniejszych gości, na których nie oplaca się marnować ciężko wypracowanego uśmiechu, więc usunął go z wizerunku.

- Monsieur Armand de Fronsard - w przeciwieństwie do Tomaszawymówił nazwisko z właściwym akcentem i tonem pełnym wyższości - uprzedził, że spodziewa się wizyty przed południem.

Ale tylko jednej osoby.

Inspektor błysnął policyjną gwiazdą, z orłem atakującym ośmiornicę na tle biało-czerwonej Polski i napisem na dole: Centralne Biuro Śledcze.

- Inspektor Czarnecki z CBS, Zarząd Operacji Specjalnych, Wydział do
Zwalczania Przestępczości Kryminalnej.

A to komisarz Jarecki z Komendy Wojewódzkiej w Krakowie.

Więc jaki to numer?

Pod wpływem jego nieruchomego spojrzenia recepcjonista natychmiast stracił
rezon.

Uniform na nim jakby obwisł, guziki przestały błyszczeć.

Nawet nie sprawdził służbowej legitymacji policjanta.

- 385.

Do tamtej windy proszę.

Młody boy zawiózł ich na górę i wskazał właściwe drzwi.

Wisiała na nich tabliczka: NIEPRZESZKADZAĆ.

Tomasz zapukał.

Nic.

Zapukał powtórnie, mocniej.

Znowu nic.

Nacisnął klamkę.

Drzwi ustąpiły.

- Nie podoba mi się to - powiedział Czarnecki.

Powstrzymał Bażyńskiego i pierwszy wszedł do pokoju.

Tomasz przestąpił próg jako ostatni i kiedy zamknął drzwi za sobą, uderzyła

253.

go panująca w pomieszczeniu cisza.

Niby nic dziwnego, bo okna były zamknięte, a drzwi dźwiękoszczelne, ale wydała mu się złowieszcza.

No i ten osobliwy zapaszek unoszący się w powietrzu mimo włączonej klimatyzacji. Natomiast sam pokój był niczego sobie, wyposażony we wszelkie udogodnienia typu telewizor, telefon, radio, dostęp do internetu i mini-barek.

Na oko w sam raz czterogwiazdkowy, choć Tomasz nie miał skali porównawczej. Anżelik z pewnością by się spodobał, tego był pewien.

Wtargnięcie intruzów nie poruszyło gospodarza, który nakryty pościelą po uszy i obrócony do nich plecami, spoczywał na wysuniętym na środek pokoju szerokim łóżku.

Inspektor skinął na Bażyńskiego, który podszedł do posłania, chwycił śpiącego z ramienia i potrząsnął nim.

- Monsieur de Fronsard, pobudka - zerknął na zegarek.

- Już kwadrans po dziesiątej.

Śpiący drgnął.

- Dobra, odsuń się pan - polecił inspektor, wyjmując z kieszeni marynarki rękawiczki.

- I proszę odtąd już niczego nie dotykać.

Obszedł łóżko, zrzucił pościel z leżącego, po czym kiwnął na pozostałych.

- Podejdźcie tu, panowie.

Tylko ostrożnie.

Francuz miał otwarte usta i oczy.

Z pewnością nie żył.

- To na pewno on?

- spytał Czarnecki.

- Tak - odparli jednocześnie Bażyński z Jareckim, bez żadnych wątpliwości rozpoznając człowieka z portretu pamięciowego.

- Dostał trzy kule w samo serce - powiedział inspektor, rozchylając szlafrok, w

który nieboszczykbył ubrany i pokazując nieduże rany orazmnóstwo zakrzepłej krwi pod ciałem.

- Zimny trup.

Rigor mortis1 wpełnym stadium.

- W takim razie zastrzelono go najpóźniej o trzeciej w nocy - stwierdził komisarz.

-Raczej przed północą.

Chyba właśnie wziął kąpieli szykował siędospania - inspektorpokazał równo złożoną piżamę na nocnym stoliku.

- Mój Boże - westchnął Tomasz.

- Fronsard zadzwonił do mnieo dziewiętej, a wkrótce potem został zamordowany.

Szybki jest tenzabójca.

Czy toten sam, który zabił profesora Baysena?

- Napewno.

I ten sam, który śledził panów w drodze do Warszawy.

Notabene samochód, którysię posługiwał,a potem go podpalił, spłonął

' Stężenie pośmiertne (termin medyczny).

254

tak dokumentnie, że praktycznie nie da się z niegopobrać żadnych śladów - rzekł inspektor.

- Nie wiem, anijakzabójca ominął nasze patrolei przeniknął do Warszawy, ani jak dowiedział się tak szybko o przyjeździe Fronsardai jakim cudem udało mu się go zaskoczyć, te zamki mająpotrójne zabezpieczenie, ale śledztwo z pewnością to wyjaśni.

- A jednak profesora zasztyletowano, a Francuz został zastrzelony - powątpiewał Jarecki.

-Pamiętajcie, panowie, że Fronsard go dobrze znał i z pewnościątrzymałby się poza zasięgiem rąk i noża, stądkonieczność użycia bronipalnej.

Co potwierdza, że mamy do czynienia z doskonale wyszkolonymprofesjonalistą, który wie wszystko o zabijaniu - orzekł Czarnecki z całkowitą pewnością w głosie.

- To by się zgadzało - mruknął Bażyński.

- Nim przerwało nampołączenie, Fronsard zdążył mi powiedzieć, że tamten był agentem.

Zapewne jakichś służb specjalnych.

- Komisarz powtórzył mi tę rozmowę.

A może pan przypomniał sobie coś jeszcze?

- Nie.

Więcej miałmi powiedzieć podczas spotkania.

- No to już nie powie - stwierdził inspektor, spoglądając na nieboszczyka jakby z pretensją.

-I dalej nie wiemy, kim jest sprawca i nawet jak wygląda.

Ale rychło nam się to wyjaśni, już moja w tym głowa.

Jednakże poszukiwany przez nas człowiek jest wyjątkowo niebezpieczny i należy go uważać jak najszybciej.

Komisarz Jarecki wspominał, że zamierzacie państwo spenetrować ruiny krzyżackiego zamku w Szestnie.

Kiedy wyruszą?

- Chcieliśmy dziś po południu, żeby być tam przed zmrokiem.

Wtedy odpad problem ewentualnych turystów.

- Dziś to niemożliwe.

Nie tylko z jego powodu - wskazał martwego Francuza.

- Potrzebuję trochę czasu na przygotowanie.

A teraz wybaczenie, panowie, lecz muszę wezwać ekipę.

Możecie odejść.

Mam nadzieję, że macie alibi na dzisiejszą noc?

Żartowałem.

Aha, komisarzu.

Rano przyszedł fax z Krakowa.

Dokładnie przed tygodniem nasz poszukiwany, zapewne chcąc zdobyć bezpieczną melinę, kiedy wypłoszyliście go z poprzedniej, zabił czterech meneli na działce

rekreacyjnej w jakichś Przegorzałach.

- Skąd wiadomo, że to jego robotą?

- Wczoraj na działce pojawił się dawno tam niewidziany właściciel, a właściwie jego syn, bo ojciec niedawno zmarł.

Od zdziwionego sąsiada,

255.

właśnie urzą-dzaj ącego grilla, dowiedział się o człowieku z brodą, który kilka dni wcześniej przyjechał samochodem na parcelę i podając się za nowego właściciela, kopał głęboki dół.

- Jak wyglądał?

-W tym- sęk" że ów sąsiad to krótkowidz, nie miał akurat okularów nanosie, za to tamten miał nasuniętą głębokona oczy bejsbolówkę, spod której widać byłoby tylko czarną brodę.

I jeszcze jedno: mówił popolsku z cudzoziemskim akcentem.

Zaniepokojony właściciel natychmiast powiadomił policję, a policjanci rozkopali dół i znaleźli rozkładające się trupy trzy porżnięte nożem i jednego ze złamanym karkiem.

Zaś na trawie i ziemi odkryto stosunkowo świeże ślady opon.

Rozstawosi i inne parametry auta, jakie dało się wyczytać ze śladów wskazują dość jednoznacznie na forda focusa.

Odcisnięty fragment bieżnika na posesji na Salwatorze, gdzie zamordowano właścicielkę, pasuje do tegoż Przegorzała.

Ma pan jeszcze wątpliwości, czy to nasz człowiek?

Nie?

W takim razie pamiętajcie, że z tym facetem nie ma żartów.

Fronsard mógłby coś o tym powiedzieć, gdyby był ostrożniejszy.

Miłej niedzieli.

A jutro.

Zdaje się, że przypadkowo będę w Mrągowie.

Może nawet spotkamy się, na przykład na stacji benzynowej?

Wypatrujcie zielonego volvo.

Panie Bażyński, gdyby pan, zupełnie przypadkowo, miał przysobie plan podziemi zamkowych, z zaznaczonym wejściem i wyjściem z lochów, to może i mnie nasłaby ochota zwiedzić ruiny w Szestnie.

Tomasz wymacał w kieszeni spory notes, który zwykle razem z ołówkiem zabierał ze sobą w teren, na wypadek gdyby zachciało mu się jakichś plenerowych

szkiców.

Wiele swoich wypraw uwiecznił w ten sposób, ponieważ nie przepadał za fotografowaniem.

Błyskawicznie wykonał schematyczny rysunek, po czym, wychodząc, zostawił kartkę na stole.

Spotkali się w restauracji.

Dostali stolik w osobnym pomieszczeniu.

Mimo to spytał:

- Czy tu jest bezpiecznie?

- Zależy jak na to patrzeć - Rosjanin rozciągnął grube wargi w pseudouśmiechu i przejechał chustką po lśniącej potem łysinie.

- Lokal należy do gruzińskiej mani.

Ale z właścicielem przyjaźnię się od niepamiętnych

256

czasów, więc dla nas bezpieczniej już być nie może.

Kiedy to ostatni mieliśmy okazję pogwarzyć sobie w cztery oczy?

Nie pamiętam.

Stirlitz był obecnie pracownikiem Ambasady Rosyjskiej w Warszawie.

Oficjalnie zatrudniony jako "doradca techniczny".

Naprawdę zaś reprezentował interesy Gazpromu w Polsce.

I zajmował się tym, na czym znał się najlepiej - wywiadem i kontrwywiadem gospodarczym.

Niespotykali się z Klossem, to było zbyt ryzykowne.

Czasem widywali się jedynie z daleka na ulicy.

Utrzymywali wyłącznie kontakt telefoniczny.

Teraz być może mieli znów zagrać w jednej drużynie.

Jak za dawnych, dobrych czasów.

- Zresztą - głos mu stwardniał - nie ja zabiegałem o spotkanie.

Domyślamsię, że chodzi o Brunnera.

- Tak.

Jeszcze wczoraj był w Krakowie, teraz jest w Warszawie, ale wkrótce wyrusza na Mazury.

- Co znowu zmalował?

- Narozrabiał jak cholera.

W swoim stylu.

Zostawił za sobą chyba dziesięć trupów cywili i paru uszkodzonych funkcjonariuszy.

Ściga go policja w całej Polsce.

Na szczęście jak dotąd nic o nim nie wiadomo, nawet jak wygląda.

Ale to nieistotne, wszystko jest pod kontrolą.

Ważne, że podobno można zgarnąć mnóstwo kasy.

To znaczy według Brunnera - zastrzegł szybko.

- On sam chce z tego wyciągnąć dziesięć milionów euro.

Uroił sobie, że kupi za to jakąś wyspę na morzach południowych i osiedzi tam na emeryturze.

Wariat.

- Do czego ja jestem wam potrzebny?

- Bo Brunner nie doszedł do porozumienia z kupcem i właśnie go uziemił.

Teraz musielibyśmy znaleźć nowego kontrahenta, a to niełatwe.

Towar jest nietypowy, sam się przekonasz - był coraz bardziej zakłopotany.

- Ale dla ciebie to nie problem.

Przy twoich kontaktach.

Dlatego tobie pomyślałem.

- Dawaj szczegóły.

Teraz jestem poważnym biznesmenem.

Muszę wiedzieć, czy ryzyko się opłaca.

Polak obawiał się reakcji Rosjanina na historię, która, patrząc obiektywnie, wyglądała zgoła fantastycznie, ale Stirlitz słuchał uważnie, powstrzymując się od komentarzy.

Akurat gdy relacja dobiegła końca, zapukano i śniadolicy kelner wniósł litrową flaszkę

dobrzezmrożonejBelvedere oraz czarny kawior na zakąskę, po czym skłonił się niski
wyszedł bezszelestnie.

257.

- No to zdrowie!

- wznosił toast były esbek, gdy towarzysz rozlał trunek do szklaneczek.

-Za spotkanie po latach!

Proszczaj razsudok, wstręt i siapad stalom¹.

- Zdarowie- odparł bez entuzjazmu łysoń.

-I jak?

- Oczeń charoszaja.

Najlepsza wódka na świecie.

- Nie o to pytałem.

-Przez ciebie tracę cenny czas.

Powinieneś wiedzieć, że nie interesuję mnie szukanie eldorado, obojętnie: na Mazurach czy nad Amazonką.

- Bo nie wiesz wszystkiego.

Wspólnie odsłuchaliśmy ostatnie nagranie, które Brunner zrobił z podsłuchu w samochodzie tego Bażyńskiego.

Wiadomo już, czym jest ta cudowna relikwia.

To mandylion!

- No i co z tego?

-Jaktoco?

Przypomnij sobie teorię Trzech Rzymów²!

Rzym, Konstantynopol, Moskwa;' chwatit.

Czwartego centrum cywilizacji europejskiej nie będzie.

Rosjanin na sekundę zamarł z łyżeczką kawioru niesioną do ust.

- Mów jaśniej.

-Wiedziałem, że to cię ruszy!

-- tryumfował Polak, który gruntownie przemyślał sobie argumentację.

- Idea imperium już się przeżyła, choćby batiuszka Putin co roku nasadzał sobie na łeb nową Czapkę Monomacha³.

Ale przewaga prawosławia nad katolicyzmem, Moskwy nad Watykanem!

przywództwo nadcałym światem chrześcijańskim, to idea, którą śmiało można odkurzyć, pokazać krajowi i światu w nowym, atrakcyjnym opakowaniu.

Pomyśl.

Cóż bardziej porwie naród i zaimponuje światu, jaknie wystawiony na Kremlu, odnaleziony po setkach lat mandylion, prawdziwywizerunek Chrystusa, największa świętośćprawosławia?

Hosanna!

Widomy znak łaski pańskiej dla trójcy przywódców: premiera Putina, prezydenta Miedwiediewa i patriarchy Cyryla i.

I jakież cudowny lekna wewnętrzne bolączki i spadek międzynarodowego prestiżu! A jak wdzięczny byłby batuszka Putin szczęśliwemu znalazcy mandylionu.

Z premedytacją wysunął ten ostatni argument, wiedząc, jaką atencją tamten darzy Putina, który przecież kiedyś był jednym z nich, a nawet znali go osobiście.

'Żegnaj rozsądku, spotkam się pod stołem - toast rosyjski.

2 Teoria stworzona na przełomie xv i xvi wieku przez mnicha Filoteusza z Pskowa.

3 Czapka Monomacha, Złota Czapka - insygnium carów rosyjskich (kopia obdarowano Putina na pięćdziesiąte urodziny).

258

Rosjanin nie odpowiedział od razu.

Myślał, machinalnie wyżerając

cały kawior.

Potem przepił.

Raz idrugi.

- Charaszo.

Porozmawiam o tym z kimś.

Tyle mogę obiecać.

Polak już wdychu świętował swój sukces.

Sam lekceważył wszelkie symbole, w istnienie mandylionu też nie bardzo wierzył, dlatego wolą się asekurować.

Gdyby Stirlitz w to nie wszedł, zlikwidowałby Brunnera i zapomniał o całej sprawie. Ale skoro Rosjanin to kupił, grzechem byłoby nie skorzystać z okazji. Może w tej zwariowanej historii było coś realnego, czego on za cholerę nie dostrzegał?

- Pamiętaj, że chcemy trzydziestumilionów do podziału na trzech.

Myślę, że to uczciwa cena.

Ostatecznie tyle się płaci za byle piłkarza.

Zresztą możemy zwiększyć pulę.

My dwaj.

- Co masz na myśli?

- Likwidację Brunnera.

To poważny kłopot i stałe zagrożenie, a już jest niepotrzebny.

Damy policji trupai będą zadowoleni, a my zyskamy spokój.

Możemy załatwić.

- Niet!

- rzucił ostro Rosjanin.

- Nie zgadzam się.

Myślałem, że się przyjaźnicie.

On też tak myśli.

Pamiętam, jak się kiedyś wstawiłeś zanim, kiedy pułkownik Łysenko chciał go wywalić ze szkolenia.

- Bardziej nienawidzi dopułkownikaniż z sympatii do Brunnera, który już wtedy świrował.

Łysenko był prawdziwym skurwysynem.

- Możeo tym nie wiesz, ale Brunner uratował mi życie.

Podczas naszej interwencji w Afganistanie'.

Zawsze pociągały go awantury.

Jakimś cudem zdołał zaczepić się przy naczałstwie jako doradca z bratniej Stasi.

W czerwcu 1988 roku dostałem się w łapy mudżahedinów2.

Wiesz, jakie tokutasy i do czego byli zdolni.

Wiedział.

Jak również, że chłopcy KGB też nie byli lepsi.

Trzymali jeńców w śniegu w kilkustopniowym mrozie, od czasu do czasu polewając ich wodą.

Stłoczonym w małych pomieszczeniach podrzucali odbezpieczone granaty.

By wydusić mężczyzn zeznania, oblewali ich dzieciomręce naftą i podpalali albo wyrzucali ich nagie kobiety z helikopterów.

- ...

no więc dopadli mniei zawlekli.

Właśnie, Bóg jeden wiedział gdzie.

Już na drugi dzień modliłem się o szybka śmierć.

- przerwał i popatrzył przed siebie zamglonym spojrzeniem, jakby stanęły mu w oczach

' W latach 1979-1989 ZSRR interweniował w Afganistanie w celu umocnienia i utrzymania

władzy przez tamtejszych komunistów, zainstalowanych ustępujących rządów z poparciem

Moskwyrok wcześniej i infiltrowanych przez KGB.

2 Mudżahedini - fanatyczni bojownicy, fundamentaliści islamscy.

259.

tamte chwile, a Kloss był przezroczystry.

- Nasi położyli na mnie lachę.

Wyprawaw tę dziką okolicę była zbyt ryzykowna.

Uratował mnie Brunner.

Suczy syn olał rozkazy ipodjął poszukiwania na własną rękę.

Tylkotakiemu wariatowijak on mogło się to udać- kręcąc głową z podziwu,pociągnął prosto z gwinta.

- Zawsze miał nieprawdopodobnego nosa,i jakiś taki zwierzęcyinstynkt.

Wytropiłmelineę tych świń i rozpierdoliłw drobny mak.

Trzeba było towidzieć!

Wyglądał jak pieprzony Rambo!

A potem.

Sprzęt jak zwykle zawiódł i nie mógł sięskontaktować z naczalstwem.

Zarzucił więc mnie na plecy, bonie mogłem chodzić.

Szliśmyprzez pustyniętrzy dni, ostatniegonie mając jużani kropli wody.

Jezu!

Tego się nie da opisać anizapomnieć.

Cały czas miałprzed oczami oazę.

To nie była fatamorgana, tylko wmówił sobie, że onatam jest tuż-tuż, żeją widzi, że dojdzie i tylko to dodawało mu sił.

Apo wszystkim całkiemśńksował.

To od tej pory roi mu się ta wyspa zpalmami.

I zawsze mapodrękamnośćwomineralnej.

- Nie wiedziałem.

-To dowiedz się jeszcze - dodał, rozlewając resztę wódki dostakanów - że gdybym musiał wybierać, z wasdwo w pierwszej kolejnościżlikwidowałbym ciebie.

Zdrowie!

Szestno, 12lipca 2010 (poniedziałek)

Ponad dwieście kilometrów dzielących Warszawę od Mrągowaprzejechaliw

trzy godziny z kawałkiem, co było przyzwoitym wynikiem.

Domiasta dotarli późnym popołudniem.

Drogi nie były nadzwyczajne, ale trasa malownicza.

Już kiedy jechali przez Kurpie i Puszcę Piską, krajobraz miejscami był piękny,

ale dopiero gdy za Spychowem, miejscu sławnym dzięki Sienkiewiczowskiemu

Krzyżakom i powieściowemu Jurandowi, wjechali w Krainę Tysiąca Jezior, zrobiło się naprawdę urokliwie - gdziekolwiek sięgnąć woda i las.

Zanim przebyli ostatnie trzydzieści kilometrów, Tomasz zdążył się pokłócić z Anną Marią.

Zaczął się zupełnie niewinnie.

- Jak tupięknie!

- wykrzyknęła dziewczyna w pewnym momencie.

- Zdaje się, że niedawno zaliczono ten region do współczesnych cudów świata.

Dziwnie się czuję, gdy pomyślę, że to była kiedyś ziemia niemiecka.

- A wcześniej pruska - przypomniał Bażyński.

- Krzyżacy w 11 wieku wyrznęli połowę Prusów, a resztę zniewolili.

Zdaje się, że ostatni

260

używający pruskiej mowy wymarli na początku XVIII wieku.

Dziś tylko niektóre nazwy geograficzne przypominają o rdzennych mieszkańcach tej ziemi.

- Postęp wymaga ofiar - wtrącił Katz z tylnego siedzenia.

- Cywilizacja nigdzie na świecie nie udało się zaprowadzić bezboleśnie.

- Tylko że niektórzy zaprowadzali ją boleśniej od innych.

- Czytałam niedawno książkę Isabel Denny The Fall of Hitler's Fortress City 1 - powiedziała dziewczyna.

- Wstrząsająca.

Właśnie stąd, z dawnych Prus Wschodnich, zimą 1945 roku musiały uciekać w strasznych warunkach setki tysięcy Niemców.

Słyszeliście o zatopieniu "Wilhelma Gustloff'a"?

Kto nie był wystarczająco szybki, tego mordowała rozpasana, pijana dzicz rosyjska. Kobiety i dziewczyny były gwałcone, potem przybijane do drzwi stodół i bestialsko mordowane, dzieciom roztrzaskiwano głowy ościany, chorych wyrzucano przez okna, dewastowano cmentarze i przetrząsano trumny.

- Może Ruscy pamiętali, co wyprawiali u nich zdyscyplinowani, trzeźwi i cywilizowani Niemcy?

- sarknął Tomasz.

- Czytaliście Wilki Kirsta?

Nie? Szkoda.

Akcja toczy się właśnie w Prusach Wschodnich podczas drugiej wojny i tuż przed nią. Głównym bohaterem jest chłop Materna.

Wiecie, ilu w jego okolicy wtedy mieszkało antyfaszystów?

Tylko on.

On jeden miał odwagę przeciwstawić się nazistom.

Jemu jednemu nie po.

dobal się Drang nach Osten.

I tylko takim jak Materna współczujecie później ponieważ.

"Wilki" zasłużyły na to, co ich spotkało.

- Skoro tak stawiasz sprawę, to nie mamy o czym gadać.

Zamilkła i nie odzywała się aż do Mrągowa.

Na dużym skrzyżowaniu zajęchali na stację benzynową.

Na parkingu stało kilka aut, w tym zielone volvo z zaciemnionymi szybami, a obok beżowy opel.

Czterech pasażerów oplaw niedbałych pozach opierało się o maskę.

Wyglądali jak klony.

Barczyści, krótko ostrzyżeni, w skórzanych kurtkach i okularach przeciwsłonecznych.

Na pierwszy rzut oka ochroniarze jakiegoś

' W Polsce ukazała się w tłumaczeniu Mariana Baranowskiego jako Upadek twierdzy Hitlera (Warszawa 2008).

2 Liniowiec pasażerski, przerobiony podczas wojny na pływający szpital, którym próbowano się ewakuować z Prus Wschodnich dziewięć tysięcy uciekinierów;
30.

01.1945 roku w rejonie Gdyni statek został zatopiony przez rosyjską łódź podwodną, utopił się około osiem tysięcy osób.

3 Hans Hellmut Kirst (1914-1989) - pisarz niemiecki, autor m. in. Fabryki oficerów wspomnianych Wilków (Die Wolfe), wydanych w Polsce w 2001 roku w tłumaczeniu Barbary Tarnas.

201.

gangstera.

Albo tajniacy rodem z trzeciorzędnego filmu amerykańskiego lub pierwszorzędnego polskiego.

Na widok dżipa jeden z nich podniósł

do twarzy komórkę i coś powiedział.

- No to jesteście w terenach wymarłych Galindów, w polskiej stolicy country, Mrągowie.

Dawnym Sensburgu, przez Polaków zwanym Ządzborkiem, podlegającym wójtowi krzyżackiemu w Szestnie.

Chodźmy do baru czegoś się napić, bo kolację zjemy w Szestnie - oznajmił Tomasz.

- Zaprosiłbym was do "Starej Chaty", restauracji w najstarszym w mieście budynku, zbudowanym z niewypalanej cegły, ale nie mamy

nato czasu.

- Nie jestem głodna - odburknęła Anna Maria, lecz wyszła z samochodu rozprostować kości.

Ponieważ akurat nadjechali Jarecki z Karską, weszli do środka w czworo.

Czarnecki już tam był.

Na ich widok dopił coca-colę i poszedł do toalety, dyskretnie dając znak Tomaszowi. Jarecki zostawił dziewczynę i poszedł z Bażyńskim w ślad za inspektorem, który czekał na nich przy

umywalce.

- Na pewno w podziemiach jest tylko jedno wejście i jedno wyjście?

-

spytał bezżadnych wstępów.

- Z tego, co mi wiadomo, tak.

To drugie sam odkryłem - odparł

Tomasz.

- Dobra.

Wchodźcie do środka i czym prędzej idźcie do wyjścia.

Jak tylko będziecie na zewnątrz, my wkroczymy do akcji.

Dlatego niemarudźcie i broń Boże nie próbujcie sami go łapać!

Jasne?

- Jak słońce.

Ci ludzie na parkingu to pańscy?

- Owszem.

A co, rzucają się w oczy?

- Nie bardziej niż Murzyni na śniegu.

- To najlepsi, jakich mogłem dostać w tak krótkim czasie.

- A jeśli tamten nie wejdzieza nami?

- dociekał komisarz.

- Albo już

tam jest?

- Jeśli was śledził i podsłuchiwał, to zapewne wie, dokąd zmierzacie.

Zwłaszcza że pan Bażyński był uprzejmy zapoznać go ze swoją mapą.

Alechyban nigdy tu nie byli nie zna tych ruin.

Jednak na wszelki wypadek poślę jednego z moich ludzi, żeby wcześniej sprawdził podziemia.

Musicie tylko dać nam trochę czasu.

Wyszedł, a oni skorzystali z możliwości, jakie oprócz umycia rąk dawała toaleta.

Potem zamówili po mineralnej dla siebie Niemca oraz colę dla Anżeliki.

262

- A gdzie Anna Maria?

- spytał komisarz.

- Obraziła się na mnie - wyjaśnił Tomasz.

- O co poszło?

- O historię najnowszą.

- Ty to wiesz, o czym gadać dziewczynami, niech mnie diabli.

- Yhm- wtrącała Anżelika, popijając cołodrobnymi łydkami.

- Tomasz zawsze lubił popisywać się swoją wiedzą.

Nie mogłam tego wytrzymać.

Ileż można słuchać o przeszłości tym podobnych nudziarstwach?

- Tobie akurat by się przydało - odciął się Tomasz.

- Bo całą twoją wiedzę dałoby się spisać na znaczku pocztowym.

- Niektórym to nie przeszkadza, prawda misiu?

- położyła wypięgniętą dłoń na ręce Jareckiego.

- Nie.

Z kolei niektórym nadmiar wiedzy rzuca się na mózg - odparł policjant.

Bażyński zauważył, że od ich ostatniego spotkania w restauracji nadłoni blondynki przybył nowy, okazały pierścionek, który musiał nie licho nadzarpnąć budżet komisarza.

- Nie mów do mnie misiu - mruknął Jarecki, lecz dość łagodnie jak na siebie, po czym rzucił lojalnie: - Anżelik ma wiele innych zalet.

- Wiem.

Umie zagotować wodę na herbatę.

- Czep się tramwaja!

I niewkurzaj mnie!

- zirytował się policjant.

- Co cię ugryzło?

Jesteś dziś niemożliwie upierdliwy,

- Masz rację.

Przepraszam cię, Anżela.

Zabierajmy się stąd.

Tam ten typ pewnie już nas znalazł, a szeryf i jego ludzie zajęli stanowiska.

Został jeszcze chwilę, by dokupić parę butelek mineralnej.

Kiedy dotarł do samochodu, Anny Marii tam nie było.

Z przodu siedział Katz.

- Przesiadła się do wozu Tacka - wyjaśnił.

- A ja skorzystałem z okazji.

Tomasz bez słowa rzucił zakupy na tylne siedzenie i ruszył gwałtownie, aż zapiszczały maltretowane opony.

Jednak zaraz zwolnił do przepisowych pięćdziesięciu na godzinę.

- Tam widać wieżę Bismarcka, a to przed nami, to wieża ratuszowa z początku XIX wieku - z powrotem wczuł się w rolę przewodnika, gdy przejeżdżali przez miasto.

- Daj spokój - poradził mu Katz.

- Przecież wiem, co ciągniecie.

- Nie chciałem, żeby tak wyszło.

- Naskoczyłeś nanią.

- I teraz mi głupio.

Ale już słuchać nie mogę, jacy to ci Niemcy biedni.

Niedługo faktycznie gotowi wmówić światu, jak sztywni ciocia Misia,

263.

że ostatnią wojnę światową wywołali Marsjanie, Żydzi wymordowali się sami w polskich obozach zagłady, a najbardziej poszkodowani byliniewinni Niemcy. Aw ogóle, gdyby Polacy nie stawiali się głupio w 1939, świat byłby dziś o wiele piękniejszy i lepiej urządzony.

- Nie przesadzaj.

Ja też uważam, że kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

Niemcy wywołali nie tylko swoje demony i ponieśli za to słuszną karę.

Ale jej chodziło o zwyczajny, ludzki wymiar nieszczęścia i cierpienia, niezależny od nacji i stopnia winy

- Wiem.

O tobie też wiem.

Pochwilnie w milczeniu Katz zapytał:

- Skąd?

Ona ci powiedziała?

- Sam się domyśliłem.

Pamiętasz film o Żydach, który nakręciłeś w Krakowie?

Miał bardzo osobisty i emocjonalny charakter.

Zapomniałeś od razu wykasować plik z mojego komputera, a ja trafiłem na niego przypadkiem.

Poza tym na cmentarzu Remuh zdradziłeś się znajomością hebrajskiego, od Anny Marii wczoraj dowiedziałem się reszty.

- Cholera.

Nie wolno jej było.

- Nie obawiaj się.

Nikomui nie powiem.

Umilkli.

Na poboczu pojawiła się tabliczka z napisem: SZESTNO 5 km.

- Ico zamierzasz teraz zrobić?

- w głosie Katza nie było nerwowości, tylko czysta ciekawość.

- Sprzedać ci informację o miejscu ukrycia skarbu templariuszy.

Zwyszkimi relikwiami oprócz domniemanego oblicza Pana.

- To pewne?

-Nicnie jest pewne.

I niczego nie obiecuję.

Ale jestem przekonany, że tam zostało to ukryte.

Jeśli nawet nie bezpośrednio przez templariuszy, to później przez Krzyżaków.

- Ile chcesz zamian?

-Nie ile, tylko kogo.

Matki Anny Marii.

Dostarczcie ją do Niemiec, a kiedy zaufana osoba potwierdzi odbiór, powiem ci wszystko, cobyśmi czego się domyślam.

- Dlaczego mam ci wierzyć?

-Bo dam ci słowo honoru.

Rycerskie, a także harcerskie.

Za młodu byłem harcerzem.

Wierz lub nie, ale nigdy nie złamałem danego słowa.

- Polegaj jak na Zawiszy, co?

- uśmiechną się ironicznie agent Mossadu.

-Gdybym cię tak dobrze nie poznał, to pomyślałbym, że masz mnie za idiotę.

No cóż, sir Tomaszu, umowa stoi.

Nie podskakujesz z radości?

264

- Za łatwo mi poszło.

Gdzie tkwi haczyk?

Bystry chłopiec.

Wiesz, że jeśli zechcemy, możemy ją zawsze odnaleźć i zabić na miejscu lub porwać jak Eichmanna?

Ale nie zrobimy tego.

Nie osądzimy jej nawet, a tym bardziej nie skazemy na śmierć.

Tobiemogę powiedzieć dlaczego.

Annie Marii nie mogłem.

Dlaczego?

Bo to roślina.

Kiedy nasi żołnierze wyciągnęli ją z budynku, który zresztą sama wysadziła w powietrze, myśleli, że nie żyje.

Liczne urazy wewnętrzne i wgniecenie czaszki.

Udało się ją odratować, ale uszkodzenie mózgu okazało się trwałe i nieuleczalne.

- Wiedziałeś o tym, a mimo to szantażowałaś Annę Marię?

- Musiałem.

Stawka jest zbyt wysoka.

Słyszałeś o planach wybudowania w Jerozolimie, na górze Moria, Trzeciej Świątyni?

- Anna Mariami opowiedziała.

- pierwszą, zbudowaną przez Salomona przed trzema tysiącami lat, zburzył

Nabuchodonozor II w VI wieku przed narodzeniem Chrystusa.

To wówczas zaginęła Arka Przymierza z tablicami Mojżeszowymi.

Drugą wspaniale rozbudował i wykończył Herod Wielki.

Tę zburzyli Rzymianie po powstaniu żydowskim w 70 roku chrześcijańskiej nowożywejery.

Został po niej jedynie Mur Zachodni znany w Europie jako Ściana Płaczu.

Obecnie Jerozolimski Instytut Świątynny pragnie zbudować na Wzgórzu Świątynnym, między meczetem Al-Aksa a Kopułą na Skale, Trzecią Świątynię.

Wspaniale by było wyposażyć ją w zaginione przedwiekami święte przedmioty.

Gdy wpadłem na trop pamiętnika Helmuta von Baysena, uznałem to za znak.

Obiecałem rabbiemu Izraelowi Arielowi, przewodniczącemu Instytutowi Świątynnemu i członkowi wskrzeszonego Sanhedrynu, że spróbuję je odnaleźć.

To powinno zamknąć ust przeciwnikom budowy Trzeciej Świątyni, których nie brak nawet w Izraelu.

Komu jak komu, ale tobie nie muszę chyba tego tłumaczyć.

Przecież jesteście jedynym starym europejskim narodem, który nie ma swoich sygnali, bo w 1795 roku Prusacy w ukradli i zniszczyli.

- Nic mi do waszych świętości.

Ale nawet jeśli je odnajdziesz, to co dalej?

Spróbujesz przemycić do Izraela?

- O to się nie martw.

To już będzie sprawa między naszymi rządami.

Od dłuższej chwili jechalidrogą wojewódzką 591, biegnącą między dwoma jeziorami, Juno i Salet.

Kiedy na horyzoncie zamajaczyły zabudowania starego dworu, odbili w prawo, w stronę wsi z widoczną zdaleka wieżą kościelną.

Zajechali pod zajazd mieszczący się naprzeciwko

265.

oddalonych od centrum wsi ruin zamkowych ze sterczącym w górę i obrośniętym krzakami fragmentem wieży czy baszty, albo po prostu muruz jednym samotnym oknem, czerniejącym z dala jak oko Cyklopa.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Tomasz, parkując dzipa.

Katz chciał wysiąść, lecz Bażyński go powstrzymał.

- Wyjaśnijmy sobie jeszcze jedno.

Kochasz ją?

Agent nie odpowiedział od razu.

- Tak.

Ale skrzywdziłem ją kiedyś i drugiej szansy nie dostanę.

Uważaj,

żebyś ty nie zmarnował swojej.

Lubię cię.

Będę was chronił.

Reszta zależy

od ciebie.

Wysiedli akurat, gdy na parking zajechała kia Jareckiego.

Oprócz ich

samochodów przedzajazdem stał tylko jeden wóz i nie było to zielonevolvo.

Całą piątką weszli do restauracji i złożyli zamówienie.

- Jak myślicie, czy on też już tu jest, ten okropny zabójca?

zapytała

Karska, popatrując dookoła z udawaną trwogą.

- Jeśli jest, to na pewno nie zamierza nam pomachać powitanie - powiedział Jarecki.

- Więc nie musisz się tak teatralnie rozglądać.

- To dokogo należy auto przed zajazdem?

- Spytałem o to właściciela.

Do małżeństw z dwójkiem dzieci.

Wybrali się nazwiedzenie ruin.

Niedługo powinni wrócić.

Wtedy mypójdziemy.

- A co się stanie, kiedy za nami poleżą inni turyści?

- Nie ma ich tutaj zbyt wielu - wtrącił Bażyński.

- I dzień powoli się

kończy.

Za godzinę zaczną się zmierzchać.

- A poza tym to już zmartwienie inspektora, żeby nikt postronny nie wmieszał się do zabawy - dodał komisarz.

- Jeśli się boisz, Anżelik, wynajmiemy pokój izaczekasz tu nanas.

To

nawet byłoby jakieś zabezpieczenie na wypadek, gdyby coś poszło nie tak - dorzucił Tomasz.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

Idę z wami.

Bażyński wzruszył ramionami i zajął się jedzeniem.

Kiedy wyszła zewnątrz, na parking nie było już obcego samochodu.

Na końcu

wyszedł Jarecki.

- Uprzedziłem gospodarzy, że możemy szybko niewrócić, bo wybieramy się na nocny rajd po okolicy.

Jeszcze tego brakowało, żeby podnieśli

alarm i ściągali nam na głowy lokalne gliny - wyjaśnił.

Korzystając z resztek dobrego światła, skompletowali ekwipunek i rozpoczęli wędrówkę na wzgórze zamkowe.

Wkrótce zagłębili się w lesie.

266

Był całkiem gęsty, a do ruin prowadziła wąska ścieżka.

Promienie zachodzącego słońca z trudem przebijały się przez zieloną ścianę

listowia, rzucając światliste smugi na kamienne podstawy i resztki ceglanych murów, wyzierające z ziemi tu i ówdzie.

Tomasz prowadził ich pewnie w kierunku sporego kamiennego rumowiska.

- To tu- oznajmił, rzucając plecak na trawę.

-Gdzie?

Nic niewidzę - poskarżyła się Anżelika.

- Bochaszczę maskują otwór.

Praktycznie tylko miejscowi znają to wejście i mało kto więcej.

A otworu z drugiej strony nikt.

Odkryłem go przypadkowo w zeszłym roku.

- Jak?

- Idąc za nietoperzami.

- Faj!

Rozgarnął gałęzie i faktycznie, we fragmencie muru, zbudowanego z polnych kamieni i cegły i zarzuconego stertą luźnych głazów, ukazał się otwór.

- Tędy mamy się przecisnąć?

- niedowierzała blondynka.

- To niemożliwe.

- To łatwe.

Wyjście jest znacznie ciaśniejsze.

- Pójdę przodem - zaofiarował się Katz, jedyny posiadacz silnego ręcznego reflektora; pozostali mieli czołówki.

- Zaczekaj - Bażyński złapał go za ramię, z niepokojem spoglądając na potężny głaz znajdujący się w sąsiedztwie wjazdu.

- Nie podoba mi się to.

W zeszłym roku nie było go tu.

- Przyjrzyj mu się - powiedział Jarecki i ostrożnie wspiał się na rumowisko.

Obejrzał głaz dokładnie, a potem zniknął patrzącym z oczu.

Wrócił

po kilku minutach.

- Ktoś go stoczył albo sam się sturlał całkiem niedawno.

Tam wyżej jest parę zgniecionych krzaków i połamanych gałęzi, które stanęły muna drodze.

Liście są dość świeże, ale raczej nie dzisiejsze.

Moim zdaniem wczorajsze -niżając głos, dodał: - Nie mógł tego zrobić nasz brodac, bo nie miałby pojęcia, gdzie szukać.

Chyba że mówiliście o tym przedwczoraj w samochodzie, a on podsłuchał, przybył tu przed nami i teraz może czai się w środku?

- Nie.

O podziemiach mówiliśmy bardzo ogólnie - odparł Tomasz.

- Pewnie to sprawka bawiących się dzieci - powiedziała milcząco dotąd Anna Maria.

- Dobrze, że nic im się nie stało.

267.

Ponieważ było to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie, po kolei znikali w otworze.

Ostatniw mroczną czeluść zagłębił się policjant.

Wcześniejrozglądnał się dyskretniedookoła.

Jeżeli inspektor ijegoludzie gdzieś tu byli, to zupełnie niewidoczni.

Co dobrze świadczyło o ichprofesjonalizmie.

Wpełził doruin w tym samym momencie, gdy zgaśł

ostatnipromieńsłońca.

Początkowo korytarz był tak niski, że musieli się poruszać na czworakach.

- Widzę ceglana ścianę,a w niej dziurę - zawołał półgłosemprowadzący Katz.

-Uważaj, teraz trzeba będzie się zsunąć w dół - ostrzegł idący za nim

Bażyński.

Różnica poziomów wynosiła jakieśpółtorametra,więc spuścili się

na rękach, a potem pomogli dziewczynom.

Kiedy dołączył donichJarecki, Katz zatoczył rękąkrąg.

Światło reflektora wydobyło zciemności zarys sporego pomieszczenia z łagodnie łukowatym, kolebkowym

sklepieniem.

- Weszliśmy przez zasypane resztki dawnej wieży bramnej.

A teraz

jesteśmy w piwnicach zamkowych.

Ponoć Krzyżacy przechowywali tumiedzy innymi czterdzieści dziewięćkuf piwa - objaśnił Tomasz.

- Co to są kufy?

- spytałaAnżelika.

-Wielkie beki.

- Dobrze, że o tym wspomniałeś - ucieszył siękomisarz.

- Co powieciena mały browarek?

Mam w plecaku sześciopak.

- Zostaw go napotem.

Dalej będzie mniej wilgotne i przytulniejsze pomieszczenie.

Tam możemy zrobić sobie krótki odpoczynek.

- Ile ta kupa gruzu możemy mieć lat?

- zapytał Katz.

- I kto tozniszczył?

- Zamek Seehesten powstał w XIV wieku.

Nie był duży, lecz pełnił ważną funkcję strażnicy w tej części Prus Dolnych.

Tutejszy krzyżacki wójt-prokurator podlegał komturowi wodległej Bałdze, a jemu z kolei miasto Sensburg, dzisiejsze Mrągowo.

Głównym zadaniem prokuratora było ściąganie podatków i prowadzenie działalności gospodarczej: młynów i folwarku.

Zajazd, przed którym zostawiliśmy samochody, stoi na fundamentach dawnego młyna krzyżackiego.

Zamek przetrwał wszystkie zawieruchy wojenne, a w XVIII wieku został po prostu rozebrany.

No

dobrze.

Komu w drogę, temu czas.

- Którędy?

- chciał wiedzieć Katz, ponieważ z piwnicy odchodziło

kilka korytarzy.

268

- Poświeć tam - polecił mu Tomasz, a kiedy światło padło na krzyż zrobiony kredą na murze, powiedział: - Sam porobiłem te znaki. Zaprowadzą nas prosto do wyjścia.

Mimo to dwa razy pobłądzili w labiryncie korytarzy.

Wąskich przełazów i ślepych nisz, aż wreszcie Bażyński przejął prowadzenie. Dotarli do wspomnianej przezeń przytulniejszej piwnicy i urządzili sobie krótką przerwę na zużycie zawartości plecaka policjanta.

- No i gdzie ten skarb?

Szczerze powiedziawszy, mam dość łażenia po tych norach - poskarżyła się Anżelika.

- Fúj!

- wierzgnęła nogą rozgniatając dorodny okaz stonogi.

- Tu są robaki!

Ohyda!

Chodźmy stąd!

Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Jeżeli mordercę śledził, powinien już być w podziemiach.

- Niecodalej jest pomieszczenie architektonicznie różne od pozostałych -
skłamał głośno Tomasz.

- Myślę, że mogłoby być dziełem templariuszy.

Tam się rozejrzemy.

Poprowadził ich do wyjścia.

Tylko że wyjścia nie było.

- Zasypane!

- stwierdził Bażyński, zaskoczony widokiem kamieni blokujących otwór.

- I co teraz?

- Katz wyraził na głos, co nurtowało wszystkich

- Wiktor?

Co u was, zajęliście pozycję?

- kucająca dużym bukiem, skąd z pomocą noktowizora miał widok na wejście do
lochów cichorzucił do komórki inspektor Czarnecki.

- Jak to niema?

Musi być.

Mam to na planie czarno na białym. Napewno jesteście we właściwym miejscu?

- Zasypane kamieniami?

To je odwalcie.

- Jak to na pół dnia roboty?

Daję wam godzinę i ani minuty dłużej.

Wyłączył telefoni wówczas usłyszał szelest za plecami.
Zaczął się odwracać, równocześnie sięgając po pistolet.

269.

- Nie da się tego usunąć?

- spytała Anna Maria.

- Możemy spróbować - odparł Tomasz.

Ponieważ podłoże podnosiło się jak pochylnia, kazał pozostałym wycofać się w bezpieczne miejsce, po czym szarpnął najbardziej wystający kamień.

Ledwo zdążył uskoczyć nabok, gdy w ślad za pierwszym posypały się następne.

Mimo to otwór pozostał zablokowany.

- Nicz tego - oznajmił, wracając do reszty towarzystwa.

- Wygląda nato, że wyjście zostało zawałone kilkoma tonami kamieni.

Musimy wracać.

Spojrzeli po sobie niepewnie.

Jeśli morderca czaił się gdzieś zanimi,

sytuacja nie przedstawiała się ciekawie.

- Dobra - powiedział w końcu Jarecki, smętnie przyglądając się swojej komórce.

- Inspektor miał mipuścić sygnał, gdyby zauważył, że ktoś wchodzi za nami.

Tylko zapomnieliśmy obaj, że pod ziemię sygnał raczej nie dotrze.

Zatem idę przodem i będę sprawdzał wszystkie zakamarki podrodze.

Niech nikt nie waży sięmnie wyprzedzać.

Wydobył pistolet.

Nikt nie zdążył nerwowo zareagować, bo nagle usłyszeli szum, jakby gdzieś puściła tama i wody potoku zmierzały w ich kierunku.

I to góra.

Za chwilę oprócz szumu dało się słyszeć jakieś dziwne dźwięki, jakby popiskiwanie.

Coś furknęło im nad głowami.

Potem drugiej kolejne.

- Co to!

- krzyknęła Anżelika.

- Zgasić latarki, przygiąć się i jazda!

- zawołał Tomasz.

Popędzili przed siebie i biegli na oślep, dopóki Karska się nie wywróciła.

Wtedy wszyscy stanęli.

Bażyński nasłuchiwał kilka chwil.

- Okay.

Włączył światło.

- Moja noga - jęknęła blondynka, trzymając się za kostkę.

- Co to było?

- zapytała Anna Maria.

- Nietoperze.

Obudziły się, włączyły radary i wyruszyły na żer.

A raczej taki miały plan.

Podczas gdy Niemka pomagała Anzelice rozmasować stopę, Tomasz skinął na mężczyzn, a gdy podeszli do niego, powiedział szeptem:

- Myślałem, że ktoś jednak znalazł wyjście i zasypano otwór dla bezpieczeństwa turystów albo miejscowych dzieciaków.

Ale skoro powczorajszej nocy wleciały tu nietoperze i chciały opuścić lochy tą samą drogą, co my, to może oznaczać tylko jedno.

- po krótkiej przerwie sam sobie odpowiedział: - Że jeszcze dziś przedświtem wyjście było otwarte.

Ktoś się solidnie napracował od rana.

Nie mówcie nic dziewczynom, ale.

270

Przerwał mu przeraźliwy wrzask.

- Cholera, Anzeli, co znowu ci się stało?

- zirytował się komisarz.

- Kiedy coś wielkiego przebiegło mi po nodze!

Katz poświecił swoim reflektorem i zobaczyli ogromnego szczura, który zastygł w miejscu, pochwycony w krąg światła.

Karska znów zaczęła histerycznie wrzeszczeć.

- Anżelik, daj spokój, to tylko zwierzę - uspokajał ją Jarecki.

- Bandziorów się nie bałaś, a zwykły szczur cię przeraża?

Katz sięgnął do kieszeni.

Szczęknął otwierany nóż sprężynowy.

Błyskawicznie skoczył i przebił na wylot szczura, który ani pisnął.

- No i po strachu - powiedział, wyjmując nóż, wycierając go chusteczką higieniczną i chowając z powrotem.

- Jeżeli nogą w porządku, to możemy iść.

Im prędzej się stąd wydostaniemy, tym lepiej.

Dotarcie do wejścia zajęło im sporo czasu, ponieważ komisarz, zgodnie z zapowiedzią, sprawdzał każdą ślepą odnogę.

Kiedy dotarli wreszcie do celu, czekała ich następna niespodzianka.

- Szlag by to trafił!

- Tomaszowi puściły nerwy.

- Czuję, że z tym cholernym głazem będą kłopoty!

Cholerny głaz, sam lub z czyjąś pomocą, stoczył się z góry i na amen zablokował wejście.

Byli uwięzieni.

Anżelika już otwierała usta, gdy

policjantką zgasił:

- Wystarczy, kochanie.

Dziś już wyprodukowałaś swoją normę decybeli.

Daj nam pomyśleć w spokoju.

Stało na tym, że Jarecki z bronią pilnował tyłów, Bażyński na czworakach robił za podstawę, na którą wspiął się Katz, próbując wypchnąć głaz na zewnątrz.

Po kilku próbach zrezygnował.

- Nic z tego.

Jest zaciepki, a nie mam jak się zaprzeć.

- Podajcie mu mój czekan.

Jest przy plecaku - stęknął Tomasz.

Ale próba podważenia kamienia też spełzła nanicznym.

Było zaśzamało miejsca, by dwie osoby równocześnie napały na głaz.

- No to jesteśmy w pułapce - stwierdził Katz, zeskakując z Bażyńskiego.

-Właśnie - potwierdził tenostatni.

- A miał być kto inny.

Zdajesię, że zostaliśmy wystrychnięci na dudka.

I to przez więcej niż jedną

osobę.

- Dlaczego tak uważasz?

-Bo po pierwsze, nasz prześladowca nie wygląda na obdarzonego poczuciem humoru, a po drugie, sam nie zdołałby zastawić tej pułapki.

271.

- Pocieszmy się, że tu przynajmniej nikt nas nie zaskoczy - Jarecki próbował znaleźć dobrą stronę niewesołej sytuacji, w jakiej się znaleźli.

-A ponieważ cała akcja i tak wzięła w łeb, poraskończyć tę zabawę.

Przełożył pistolet do lewej ręki, wyjął komórkę i wystukał numer.

Potem znów i jeszcze raz.

\- Cholera!

-sapnął.

- Czarniekinie odbiera.

Co jest, kurna, grane?

U Może ciągle niema zasięgu?

Spróbuję później.

%, Dziewczyny usiadły na plecach, w których miały tylko swetry i nic więcej.

Podzielili się sprawiedliwie ostatnią puszką piwa.

- Przydałaby się flaszka czegoś mocniejszego - westchnął policjant.

-Pająk!

- wzdrygnęła się Anna Maria i strzepnęła z ramienia włochatego stwora.

Katz zgasił reflektor, by oszczędzić baterie, które były na wyczerpaniu, i ciemności rozświetlały jedynie zimne światełkaczółówek.

Siedzieli smętnie w milczeniu, oparci o zimny mur, czekając nie wiadomo na co.

Anżelika chciała się przytulić do Tomasza, ale on potraktował ją obcesowo.

- Tadek siedzi po lewej - sarknął i odsunął się stroną Niemki, lecz ta też się przesunęła.

Jarecki ponowił próbę połączenia się z inspektorem.

Znów bez skutku.

Za to udało mu się połączyć z kumplem z Krakowa.

- U mnie świetnie, zacząłem urlop.

Właśnie sobie siedzę z przyjaciółmi i jest zajebiście.

Do zo!

- zakończył.

-Dziwne - mruknął, chowając komórkę.

- Zasięg najwidoczniej jest.

Co tak patrzycie?

Miałem wезwać Krakowa brygadę specjalną, żeby nas uwolniła?

I bez tego wyszliśmy na idiotów.

- Cii.

Słuchajcie!

- powiedział Katz.

Zza głazu dało się słyszeć szum ulewy i stłumione odgłosy grzmotów.

- Burza - stwierdził Bażyński.

- Choćbyśmy wrzeszczeli ile sił w płucach, i tak nikt nas nie usłyszy.

Mimo to spróbowali.

Niejeden raz.

- To na nic.

Przyjdzie nam tu siedzieć całą noc albo i dłużej i zeżrą nas pająki -

chlipnęła blondynka.

- Tadziu, może byś wystrzelił na alarm?

- Oszalałeś?

I jak bym się potem tłumaczył?

Że bałem się ciemności i strzelałem pająkom na postrach?

- A może skorzystamy z okazji i spróbujemy poszukać skarbu?

- za'proponował Katz.

-Lepsze to niż siedzieć bezczynnie i słuchać deszczu.

- Ciesz się, żeci nie leje za kołnierz - zauważył Jarecki.

-Nie matu żadnego skarbu - pogodził ich Bażyński.

W zeszłym roku naprawdę obejrzałem dokładnie wszystkie kąty.

-Słuchajcie!

- Anna Maria podniosła w górę palec.

Mimo szumu ulewy usłyszeli na zewnątrz ludzkie głosy.

Po chwili gład

tarasujący wejście wyraźnie drgnął.

Patrzyli na to jak zahipnotyzowani.

Komisarz ścisnął rękojeść pistoletu.

Grunwald, 14 lipca 2010 (środa)

Uwolnili ichosiłkowaci podwładni inspektora.

Kiedy deszcz złapał ich podczas odgrzebywania zasypanego wyjścia z podziemi, a z przelężonymi zdołali się skontaktować, porzucili beznadziejną robotę i wrócili do szefa.

Znaleźli go nieprzytomnego w krzakach.

Jeden zajął się cuceniem, a pozostali, nie bezkłopotu, odwalili głaz blokujący wejście do lochów.

Anna Maria sprawnie acz prowizorycznie opatrzyła inspektorowi krwawiącą ranę na głowie.

- Gotowe - powiedziała.

- To tylko zadrapanie.

- Zaszedł mnie od tyłu - wyjaśnił, odzyskawszy świadomość, - Dałem się zaskoczyć jak dziecko.

Jarecki zapytał go, dlaczego żaden z jego podwładnych, jak było umówione, nie sprawdził wcześniej podziemnej trasy.

- Zabrakło nam czasu.

Po drodze strzeliła mi opona w aucie.

Dwarazy!

Jak pech, to pech.

Ledwo zdążyliśmy się rozlokować przed waszym nadejściem.

Ale na pytanie, w jaki sposób tajemniczy brodac zdołał dotrzeć tam jeszcze przed wszystkimi, i to na tyle wcześniej, by samemu lub z współpracownikami przygotować pułapkę, nie umiał odpowiedzieć.

Podobnie jak na pytanie, dlaczego skończyło się tylko na strachu i niegroźnej ranie.

Podejrzewał, że zabójca albo przestraszył się zbyt licznej grupy przeciwników, albo pragnął jedynie popisać się swoim sprytem, zadrwić z prześladowanych i

zademonstrować im, kto kontroluje sytuację rozdaje karty.

Przemoknięci do suchej nitki wszyscy razem udali się do zajazdu, by u
szykując się właśnie do spania właściciela wynająć pokoje na noc.

Nazajutrz zrana cebosie zabrali swego szefa, który jak najszybciej chciał pojechać
pod Grunwald, by poszukać gdzieś kwater, zanim

272

273.

okolicę zaleje tłum turystów, a po drodze wstąpić do jakiegoś szpitala oględziny. Umówili się na spotkanie na miejscu.

Pozostała piątka, kuwściekłości Bażyńskiego, i tak kilka dni później, musiała odczekać do południa, bo wyczerpana nocnymi wrażeniami Anzelika za nic nie chciała wcześniej wstawać, potem zjedli obiad w restauracji na dole, a w drodze pod Grunwald pobieżnie zwiedzili jeszcze Olsztyn.

Do obozowiczowskiego dotarli późno i ledwo starczyło im czasu, by rozlokować się przed zmierzchem.

Nawieczorne ognisko i spotkanie z niewidzianymi

od roku przyjaciółmi wybrał się tylko Tomasz.

Odrana krążyli w piątkę po zajmującym niekiedy starego amfiteatru podgrodzium, położonym w sąsiedztwie obozu rycerskiego.

Wokół placu, ustawione w półkole, stały drewniane kramy średniowiecznych rzemieślników rozmaitych specjalności: garncarzy, powroźników, stolarzy, kapeluszników, mieczników, łuczników, a nawet krawców. Ci ostatni szczególnie ich interesowali, ponieważ jedynie Bażyński i Jarek mieli odpowiednie stroje.

A warunkiem pobytu w grodzie było noszenie strojów epoki.

Kat bez trudu i zbędnych ceregieli obkupił się w najbliższym kramie, począwszy od bielizny, czyli długiego płóciennego giezła i równie długich białych gacek, po sukienkę zielonej barwy, także obcisłe ni to rajtuzy, nispodnie oraz brązowy kaptur.

U szewca dokupił skórzane ciżmy, u pasamona solidny pasek, u którego uwiesił sztylny nabytek u miecznika.

Dłużej mu zeszło u łucznika.

W końcu wybrał łuk najmocniejszym naciągiem, do tego dwanaście strzał i kołczan do zawieszania na plecach.

- Tylko nie strzel sobie w stopę - zażartował Bażyński, kiedy agent napinał nowynabyteki wypróbowywał naciąg.

- Spokojna głowa.

Robin Hood mógłby mi czyścić ciżmy.

Wilhelm

Tell też, tylko żeswoją kuszęzostawiłem w domu.

Dziewczyny byłybardziejwybredne.

Przeszli więc do centrum osady, gdzie stały namioty rzemieślników, służące im zarówno za mieszkanie, jaki, po podwinięciu płachty z jednej strony, za stragan.

Największy z nich był dosłownie zawalony damską odzieżą i na dodatek miał wydzieloną ubieralnię z dużym metalowym zwierciadłem.

Anna Maria wybrała sobiedwubarwny strój pazia, z różnokolorowymi nogawkami, obcisłą bordową suknię, do tego toczek z welonem od święta i zwykłą opaskę na co dzień oraz granatowy sukienny płaszcz-pelerynę z kapturem na wieczorne chłody.

Natomiast Anżelika przewróciła kram dogóry nogami i nic odpowiedniego nie znalazła.

Minęli zatem kuźnię, gdzie półnagi kowal

274

popisywał się swoją sztuką ku uciesze grupki widzów, i poszli dalej, pokamiennych stopniach wspinając się na koronę amfiteatru.

Na szczycie wzgórza stał, zbudowany przed pięćdziesięciu laty, pomnik Zwycięstwa Grunwaldzkiego w postaci granitowego obelisku, niedaleko którego góziło w niebo jednaście trzydziestometrowych masztów symbolizujących sztandary polskich i litewsko-ruskich chorągwi biorących udział w sławnej bitwie.

Część składową pomnika stanowił także amfiteatr wraz z pawilonem Muzeum Bitwy pod Grunwaldem, którego zwiedzanie odłożyli sobie jednak na później.

Od obelisku w dół wiodły kamienne schody, od których odchodziła wyasfaltowana aleja prowadząca do nowego amfiteatru i takiegoż budynku recepcji, specjalnie zbudowanych nasześćsetną rocznicę bitwy, parkingu, urządzeń sanitarnych, pola biwakowego, obozu harcerskiego oraz budynków gastronomicznych.

Wzdłuż alei ciągnęły się oznakowane działki, na których niedługo miało stanąć kilkaset

stoisk zrozmaitymiartykułami pamiątkowymi.

Na razie tylko niektóre były już zagospodarowane, bo też głównej fali turystów spodziewano się dopiero w piątek i sobotę.

Większość wystawców w tej komercyjnej części grunwaldzkiego pola z historycznością, a często nawet dobrym smakiem, nie miała nic wspólnego.

Przeważała plastykowa tandeta i rozmaite bzdury, ale trafiały się wyjątki.

Należał do nich między innymi stragan ze średniowieczną odzieżą, prowadzony przez miłą starszą panią, która najwidoczniej nie należała do żadnego bractwa rycerskiego lub rękodzielniczego albo nie zgłosiła się w porę i dlatego zabrakło dla niej miejsca w historycznym podgrodziu.

Mężczyźni zostawili tu kobiety i poszli do baru napiwo.

Na razie turystów kręciło się niewiele, wypili więc w towarzystwie grupki rycerzy po dwa piwa i wrócili pod stragan, gdzie musieli czekać jeszcze pół godziny, zanim Anżelika zdecydowała się na wspaniałą brokatową suknię z trenem i wysoką szpiczastą czapkę z długim welonem.

Komisarz z bólem w oczach sięgnął po portfel, który i bez tego niepekaty, ścieniał po zakupie do grubości naleśnika.

Kiedy jednak nareszcie usatysfakcjonowana blondynka wyciągnęła fundatora namiętnie, cień uśmiechu wrócił mu na twarz.

Zbyt objuczeni zakupami nie mieli już ochoty na spacer do ruiny kaplicy, choć Tomasz ich do tego zachęcał.

- Zbudował ją i zaopatrzył w napis: "Pamięci 100 000 poległych" trzy lata po klęsce następcy poległego Ulricha von Jungingen, Henryk Von Plauen.

Stała w pobliżu ogromnego głazu narzutowego, przy którym Jakoby zginął Ulrich, który Niemcy zwali odtąd "kamieniem wielkiego

mistrza".

Dla Polaków natomiast był to i jest nadal "kamień Jagiełłowy", jako że ponoć przy nim Jagiełło odpoczywał po bitwie i tu składano przed nim zdobyte sztandary.

A opodal są pozostałości krakowskiego pomnika grunwaldzkiego, zburzonego przez hitlerowców w 1939 roku.

Nie dali się jednak namówić, obiecując sobie zaglądnąć tam nazajutrz, więc wrócili do obozu rycerskiego na obiad, który już pachniał się na ogniskach w wielkich kotłach.

Podrodze Bażyński dokupił glinianych naczyń i drewnianych łyżek dla swoich gości, ponieważ w grodzie wszystkim musiało być zgodne z duchem i realiami średniowiecza.

Przeszli przez podgrodzie, za którym właściwie ulokował się obóz rycerski.

Był ogromny, ponieważ jak szacowano, tego szczególnego roku liczba przybyłych rycerzy i osób towarzyszących grubo przekroczyła pięć tysięcy.

Każda chorągiew miała swój wyznaczony teren.

Najbliżej znajdowały się oboje dwóch głównych i największych chorągwi: krakowskiej (królewskiej) i wielkiego mistrza, ponieważ tylko tutaj mieli wstęp turyści chcący podpatrywać codzienne życie rycerstwa.

Pozostałe chorągwie rozbiły się dalej, a najdalej te bractwa, które przybyły z wierzchowcami, ponieważ musiały mieć łatwy dostęp do wody i paszy.

Bractwom konnym jako jedynym organizatorzy zwracali koszty przyjazdu, gdyż niewiele polskich bractw dysponowało wierzchowcami, a jeszcze mniej takimi, które były oswojone z bitewną wrzawą i mogły być zakwalifikowane do inscenizacji.

Posiadali je rycerze z zamku w Gniewie (gdzie konie stanowiły element stałej ekspozycji), z Ogrodzieńca, Chełmna, Wejherowa, Rewia Konna z Warszawy i niewielu więcej.

Grupa konna z Opolszczyzny dokonała dużego wyczynu, całą drogę z Byczyny pod Grunwald przemierzając wierzchem.

Tam właśnie się skierowali, na plac zajmowany przez macierzyste bractwo

Tomasza - Królewskich Kopijników, dowodzonych przez Jerzego Radziszewskiego. Właściciel stadniny, który pod Grunwald przybył z żoną Agatą, nazywała się teraz Radzim Koniar ze Swoszowic herbu Strzemię, podobnie jak Tomasz stał się Tomkiem Lisem z Bażyn herbu Wiewiórka.

Po sąsiedzku rozbiła się konna grupa Niemców.

Jeszcze poprzedniego dnia doszło do niezwykłego spotkania, gdy Anna Maria w potężnym rycerzu z siwą brodą i w czarno szmelcowanej zbroi rozpoznała Augustavon Mansdorfa, autentycznego barona i uniwersyteckiego wykładowcę, który przyjaźnił się z jej ojcem.

Był interesującą postacią.

Jego przodkowie wywodzili się z Prus Wschodnich, ale on w niczym nie przypominał stereotypowego pruskiego junkra.

Do 1989 roku nie przyjeżdżał w rodzinne kąty, boi nie było co oglądać.

Dwór i ziemię po

276

von Mansdorfach komuniści upaństwowili, swoim zwyczajem, utworzyli w tym miejscu PGR, doprowadzając kwitnący kiedyś majątek do ruiny.

Kiedy przed kilku laty nadarzyła się okazja, von Mansdorf nie awanturował się i nie powoływał na dawne prawo do majątku, tylko po prostu, zaniewielkie pieniądze, wykupił od gminy zniszczony dwór ze zdewastowanym otoczeniem.

Odtąd spędzał tam z rodziną każde wakacje, stopniowo przywracając ojcowiznie minioną świetnośći powoli wrastając w okolicę.

Nauczył się nawet kilku polskich słów, a najlepiej wychodził mu toast: na zdrowie!

Potrafił też prawie bezbłędnie odśpiewać Górala, czy ci nie żal?

czym lubił się popisywać, a głos miał jak dzwon.

Razem z żoną, synem, który był jego giermkim, i córką w wieku Anny Marii zajmowali okazały namiot wymalowany w czarno-złote pasy, do którego zaprosili dziewczynę.

Teraz więc skierowała się w tamtą stronę.

- Ciężka sprawa, ale nie trać nadziei - mruknął Katz i klepnął Bażyńskiego

pocieszająco w ramię.

Tomasz dysponował dwoma niedużymi namiotami z białego płótna, wyposażonymi bardziej niż skromnie w stertę słomy do spania i siedziska sprasowanej w sześcian słomy.

Do jednego wprowadził się z Katzem, drugi odstąpił Jareckiemu i Anżelice.

Wszyscy razem, już przebrani jak należy, spotkali się przy wspólnym ognisku.

Okazało się,

że organizatorzy przydzielili Bażyńskiego i von Mansdorfa do jednej chorągwi - wielkiego mistrza.

- Cóż, ostatecznie von Baysenowie w 1410 roku stawali po stronie krzyżackiej - skomentował to Tomasz, bynajmniej nie zaskoczony.

Praktyka dzielenia bractw, zwłaszcza konnych, ale nie tylko, była często spotykana podczas grunwaldzkich inscenizacji, ponieważ chodziło o zachowanie proporcji liczebnych, a jeźdźców zwykle bywało niewielu - około czterdziestu. Tym razem grupa była wyjątkowo liczna, ponad stuosobowa.

Największą reprezentację wystawili oczywiście Polacy, ale trafił się jeden Ukrainiec (w cywilu biznesmen i milioner), kilku Włochów, tyłuż Finów, paru Francuzów, ze dwa tuziny Niemców, a nawet jeden Amerykanin, i to Murzyn, co wyglądało dość zabawnie, oraz Nowozelandczyk.

Międzynarodowe towarzystwo rozmawiało głównie po angielsku.

- Jak rozpoznacie podczas bitwy, kto jest kim?

- zainteresowała się Anna Maria.

- A nawet bardziej mnie ciekawi, jak oni to robili sześćset lat temu, skoro nie wszyscy po krzyżackiej stronie nosili białe płaszcze z czarnymi krzyżami.

- Jagiełło zarządził, żeby polscy rycerze przepasali się słomianymi powrościami i używali bojowego zawołania: Kraków, Wilno.

I my w sobotę zrobimy tak samo, chociaż prawie wszyscy się znamy - odparł Tomasz.

- Weźmie pan udział w niedzielnym joustingu?

- spytał Tomasz

niemiecki baron.

- Mam taki zamiar.

- Co to jest jousting?

- zapytała Anżelika.

- Turniej konny i pieszy.

Gonitwa na kopie, pojedynki na miecze i topory.

Od niedawna jest w programie obchodów rocznicowych.

Rycerze zbierają w takich imprezach punkty, które potem się sumuje i ustala ranking - wyjaśnił Bażyński.

- Nie każdy może wziąć udział w joustingu.

Trzeba mieć odpowiednią turniejową zbroję razem z przyłbicą i inną sprzęt, na przykład specjalne łamiwe kopie.

- Kto wygrał w zeszłym roku?

Tomasz chrząknął.

- Ja.

Ale rzadko bywam na takich zawodach, więc mam niski ranking.

Za to pan baron, jeśli się nie mylę, w nim prowadzi.

- Jestem drugi - skromnie sprostował Niemiec - ale w niedzielę zamierzam wyjść na czoło.

Mam nadzieję, że spotkamy się w decydującym starciu.

- Byłby to dla mnie wielki honor - odparł grzecznie Tomasz.

Po jedzeniu towarzystwo rozdzieliło się.

Kobiety poszły wziąć udział w trwających od wtorku warsztatach tańca dworskiego, a

potem chóralnego śpiewu gregoriańskiego, Katz zabrał łuk i wybrał się na zawodystrzeleckie dla takiego jak on pospólstwa, natomiast Bażyński i Jareckirazem z innymi rycerzami i ich giermkami zebrali się, by omówić choreografię sobotniej bitwy.

Wbrew pozorom była to poważna sprawa, której nie można było zostawić przypadkowi.

Próbą generalną jak zwykle miała się odbyć w piątek.

Anżelice nauka śpiewu gregoriańskiego szybko się znudziła i gdzieś się zawieruszyła.

Anna Maria wracała zatem do namiotów sama.

Zapadł zmierzch.

Im bliżej było obozowiska bractw konnych, tym mniej

' Jousting- potykanie się na kopie (czasem także miecze i topory), współczesna kontynuacja średniowiecznych pojedynków turniejowych, w której wyniki są punktowane.

Odbywa się pod egidą Międzynarodowego Stowarzyszenia Joustingu.

278

spotykała ludzi.

Towarzystwo poznikało w namiotach, szykując się do spoczynku lub przeciwnie - upojnej nocy.

W pewnej chwili wydało jej się, że idą za nią dwa cienie.

Przystanąła i obejrzała się.

Cienie też stanęły.

W takiej odległości, że nie widziała ich dobrze.

Poszła dalej.

Kiedy znów zerknęła za siebie, były znacznie bliżej.

Zerwała się do biegu i wtedy naprzeciwko zobaczyła drugą dwójkę tarasującą jej drogę, a za sobą słyszała tupot nóg.

Już miała skoczyć w bok, kiedy ktoś chwycił ją za ramię i powiedział zdyszany mgłosem:

- Cotał pędzisz?

Z trudem cię dogoniłam.

Skończyły się nareszcie kościelne pienia?

Co tak patrzysz, jakbyś zobaczyła ducha?

Po raz pierwszy widok Anżeliki sprawił Annie Marii autentyczną przyjemność.

Oddechnęła z ulgą i serdecznie podjęła blondynkę pod ramię.

Cienie rozpląnęły się w mroku.

Do późna bawiono się przy ogniskach, odpiwa, wina i mocniejszych trunków nie stroniąc.

Jarek zabrał ze sobą z Krakowa gitarę, a ponieważ znał sporo utworów

Jacka Kaczmarskiego i kilka historycznych piosenek Jacka Kowalskiego, a także rozmaitych i ponadczasowych pikantnych przyśpiewek, robił zaduszę towarzystwa.

- I jak ci się podoba?

- po szybkiej toalecie w zimnej wodzie spytał Tomasz Adama, gdy kładł się spać.

- Dłownie super.

- Jak ci poszło strzelanie?

- Napięcie strzałów trzy dychy i dwie dziewiątki.

- Faktycznie jesteś w tym dobry.

- Z kuszy idzie milepiej.

- Po przerwie dodał: - Kontaktowałem się z firmą.

Rozważają twoją propozycję.

Za dwa, trzy dni dostanę decyzję.

Bażyńskinie odpowiedział.

Katz myślał, że zasnął, ale gdy pół godziny później usłyszał go wciąż przewracającego się na legowisku, zagadnął:

- Niemożesz spać?

- Myślę.

- O czym?

Albo raczej o kim?

Gnębi cię sprawa z Anną Marią?

- To przede wszystkim.

Ale wciąż mi się zdaje, że pomiąłem coś istotnego w kwestii ukrycia weraikonu, czy też mandylionu.

Coś oczywistego, co jednak stale mi umyka.

- Postaraj się zasnąć.

Może we śnie znajdziesz rozwiązanie.

279.

Mierzeja Wiślana, ii maja 1314 (sobota)

Błyskawicznie opadał sił.

Kiedy udało mu się wynurzyć izaczerpnąć tchu, wiedząc, że to po raz ostatni, coś uderzyło go boleśnie w bok.

Resztką masztu z rozbitej łodzi.

Kurczowo pochwycił belkę, nie pozwalając jej sobie wyrwaćzywiołowi.

Chwilowobył uratowany.

Poprawiającuchwyt, natrafił nacoś miękkiego irównocześnie ujrzał czerwoną materię.

Drugi rozbitek wciąż był przywiązany do masztu, ale nie zdradzałznak życia.

Niedługo potem morze wyrzuciło obu nabrzeg.

Templariusz zmobilizował resztkę sił, by powracająca fala nie porwałaich z powrotemw otchłań.

Pełznąc na czworakach, niczym wół pociagowy włókł zasobą belkę i młodzieńca w czerwonym stroju, aż dotarł na pagórek, doktórego woda już nie sięgała.

Chwilę leżał, dysząc ciężko, po czym poderwał się ukląkł przyrozbitku, nieruchomym jaktrup.

Odgarnął muwłosy z twarzy i zdumiał się delikatnością rysów.

Ale jeszcze większezaskoczenie przeżył,przyłożywszy ucho do piersi tamtego, by sprawdzićbicie serca.

Domniemany młodzieniec okazał się dziewczyną!

Bardzomłoda, szesnasto , najwyżej siedemnastoletnią, szczupłajak chłopiec, lecz niewątpliwie kobietą, i to zcałkiem foremnymi piersiami.

De Beaujeu wpierw odskoczył jak oparzony, przypominając sobie swoje ślubyi wszystkie okropności, jakichnasłuchałsię o niewiastach jako źródłach grzechu i "naczyniach szatana".

Jednak przemógł się i wymacawszyw piachu dużą muszlę, jej ostrą krawędzią najpierw przepiłował sznur, uwalniając dziewczynę od belki.

Potem ułożył jąna wznak na piachu, przyklęknąłobok i zaobserwowanymkiedyś sposobem ratowania topielców, ujął dziewczynę za nadgarstki.

Składając i rozkładając jej ramiona, równocześnie ugniatał przepone.

Z ust topielicy wypłynęło kilka strużek wody, lecz nadal wyglądała na martwą.

Już miał się poddać, gdy nagle kaszlnęła, a potem krztusząc się i ciskając głową naboki, wyrzuciła z siebie chyba z galon wody.

Na końcu uniosła powieki i potoczyła wokół nieprzytomnym spojrzeniem.

Dając jej czas na przyjscie do siebie, wstał i rozejrzał się dookoła.

Było tak szaro i tak ponuro, że nie dał się określić, czy to południe, czy już wieczór.

Sztorm faktycznie ustał i morze nieco się uspokoiło, lecz góra wciąż hulał wiatr, a dołemszumiały fale, przewalając się przez wąski i długi cypel albo półwysp, na którym wylądowali.

"Baussanta" nie było widać, zapewne burza pognała go dalej.

Dostrzegł natomiast kilka

280

świejących punktów po drugiej stronie, na stałym lądzie, oddzielonym od półwyspu kiszkowatą zatoką.

Nie wyglądała ona na głęboką, lecz de Beaujeu i tak nie miał zamiaru się przez nią przeprowiać.

Byłby wyczerpany imiał na głowie dziewczynę.

Nagle dotarło do niego, że tylko cudem udało im się uratować.

Opadł na kolana i żarliwie jął dziękować Bogu za ocalenie.

Nie wątpił, że On uczynił to tylko po to, by pozwolić mu na dokończenie misji.

Zaszczekał zębami i poczuł, że razem z spadkiem wewnętrznego napięcia powróciło poczucie przenikającego do szpikowatości zimna.

Podskoczył kilka razy, wymachując przy tym rękoma, poczym puścił się biegiem w stronę jedynej kępy zarośli, jaka znajdowała się w zasięgu wzroku.

Pośrodku niej znalazł trzy drewniane budy.

W tym jedną z dachem zerwanym przez wichurę.

Może były to bogle chaty rybaków, którzy przed sztormem uciekli na stały ląd, a może zwykłe szałas, służące im za letnie schronienia lub suszarnie ryb.

Kiedy wrócił do dziewczyny, oddychała, lecz wciąż była bardzo blada, spojrzeniemiała półprzutomne i trzęsła się jak osika, dzwoniąc zębami. Musiał coś zrobić, jeśli nie chciał zatrzymać się w pół drogi: uratowawszy ją od utopienia, pozwolił wyziębic się na śmierć. Zarzucił sobie bezwładne ciało na ramię i cosił w nogach popędził ku chałupom. Wybrał jedną naoko najsolidniejszą tam złożył swoje brzemię na wiązce słomy w kącie. W drugiej chacie znalazł dwie skóry focze, kiepsko wyprawione i cuchnące. Otrzepał je, wytrząsając robactwo, i okrył nimi dziewczynę, a sam, korzystając z resztek marnego światła, wpadającego przez liczne dziury i niczym nie osłonięty otwór wejściowy, spróbował znaleźć hubkę krzesiwo. Daremnie. Usiadł więc obok dziewczyny na pieńku i oparł się o ścianę z wątłych bierwion ze szparami niechlujnie uszczelnionym chemi sianem. Nędzno było schronienie, lecz lepsze niż żadne. Z dziwną zachłannością kontemlował widoczny spod okrycia profil dziewczyny, podziwiając zgrabny nos i długie rzęsy. Było to dla niego zupełnie nowe doświadczenie. Nigdy dotąd nie interesował się kobietami.

- Z..

zzim.

nno mmi - odezwała się nagle, po czym wystawiła głowę spod skór foczych.

Spojrzeniemiała wciąż półprzutomne.

Tęczówki chabrowe.

Nagle wzrok jej się wyostrizył.

- Kim jesteś!

- zawołała z przestachem, smukłymi palcami ściskając focze skóry pod szyją.

Mówiła dziwnym językiem, nie podobnym do żadnego z tych, które znał, mimo to domyślił się, o co pytała.

- Guichard de Beaujeu.

- Krzyżak?

Gość krzyżacki?

Tym razem przeszła na niemiecki.

- Francuz.

Nie musisz się mnie obawiać, panienko.

To ja wyciągnąłem

cięż morza.

- Chwała Bogu.

Już myślałam, że dostałam się w moc brodaczy.

Znaczy Krzyżaków.

To straszni ludzie.

Jej francuski przedstawiał wieledożyczenia, tak jak jego niemiecki,
niemniej był zrozumiały.

Powiedział to.

- Mój ojciec jest kupcem, a ja mu pomagam.

Dlatego mówię trochę po francusku i łacinie.

Ale lepiej po niemiecku, prusku i polsku, bo moja matka, Jedautówna z domu,
wywodzi się z ludu Prusów, babka zasięze strony matki jest córka pomorskiego
rycerza.

W domu mówimy po niemiecku i prusku, a z babką czasem po polsku.

- Bardzo to skomplikowane.

- W tych stronach to zwyczajna rzecz.

- Ojciec panny jest Niemcem?

- Z Lubeki.

Brat jego, biskup warmiński Heinrich Fleming, ściągnął go do Prus i nadał
stodzieśc włók na polach Baysen albo Bażyny opodal Wormdittl.

Dlatego piszemy się von Baysen.

Mam dwóch braci: Henryka i Alberta.

A ja jestem AnnaMaria vonBaysen, do usług waszej miłości.

Jeszcze wam nie podziękowałam za uratowanie życia, panie rycerzu.

Chciałam stać, lecz zadygotała, legła z powrotem i owinęła się szczelnie skórą, włosem dośrodką.

- Ależ śmierdzą!

- Nic lepszego nie było.

Niemożemy też rozpalić ognia, bo niema

czym.

- Trudno.

Ważć jesteście z tego wielkiego, osobliwego statku, o który

rozbiła się nasza łódź?

- Tak.

- Czy mój ojciec żyje?

- Ostatnio widziałem go uciepionego liny.

Tuszę, że mój przyjaciel

zdołał go wciągnąć na pokład.

- Bogudzięk!

Szkoda mi jeno załogi.

Kiedy wypływaliśmy z Gdańska, jeszcze tak nie wiało.

Szyper zaręczał, że dopłyniemy bez przygód.

' Ormeta, miasto lokowane w 1313 roku, pierwsza siedziba biskupów warmińskich; zachowały się pozostałości (piwnice) zamku biskupiego z XIV wieku.

282

- Kiepski był zatem z niego żeglarz.

- Nie należy źle mówić o umarłych.

Ale prawda, że gdyby ojciec przezornie nie przywiązał nas do masztu, i my już byśmy nie żyli jaktamci biedacy.

Zamilkła, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

On w tym czasie ukradkiem znów studiował jej twarz, teraz zasmuconą, z natury jednak pogodną.

Świadczyły o tym wesołe iskry w oczach i usta, z kącikami figlarnie uniesionymi. Zapewne umiała cieszyć się życiem i nawet chwilowe troski nie były w stanie zabić przepelniającej ją wewnętrznej radości.

Byli jak ogień i woda.

On sercemiał czarne, zalane goryczą żądzą zemsty.

Nosił w sobie zarodek rychłej śmierci i dawno pogodził się z jej nieuchronnością.

Teraz jednak naszyły go niewczesne wątpliwości, czy droga, którą wybrał, była słuszną.

Wiedział, że to bliskość Anny Marii tak na niego wpłynęła.

Dziewczyna zburzyła jego spokój, ale nie potrafił się na nią gniewać.

Cierpliwie wysłuchiwał jej historii.

Albert Fleming popłynął do Gdańska, aby poskarżyć się wielkiemu mistrzowi, który niedawno zjechał tam z Marienburga, na wielkiego szpitalnika, komtura Elbinga

Friedricha von Wildenberga, który uciskał osadników podatkami, mimo iż

von Baysenowie nie podlegali jego jurysdykcji, tylko biskupa warmińskiego.

Nic nie uzyskał, gdyż wielki mistrz Karol z Trewiru nie chciał się powołać do takiego drobiazgu, narazić wielkiemu szpitalnikowi, z którym i bez tego był w konflikcie.

Zlecił więc sprawę swemu zaufanemu Wernerowi von Orseln, a ten gładko zbył Fleminga, niczego nie obiecując.

Porozumiewali się dziwną mieszanką niemieckiego, francuskiego i łaciny, ale szło im całkiem dobrze.

Dziewczynę, kiedy tylko wspominała Krzyżaków, przepelniała oburzenie.

W 1308 roku jako dziecko bawił się ojcem na targu w Gdańsku.

Akuratw tym czasie, kiedy Brandenburczycy najechali Pomorze i zajęli Gdańsk.

Polska załoga sędziego Boguszy, broniąca się w zamku, wezwała na pomoc

Krzyżaków, ponieważ król polski Władysław Łokietek był zajęty sprawami na południu swego państwa.

Komtur chełmiński Giinter von Schwarzburg, idąc brzegiem morza, zaskoczył

Brandenburczyków i wyparł ich z miasta.

A potem zdradziecko opanował zamek, wypędził polskich rycerzy, po czym ruszył do miasta.

13listopada, Anna Maria miała nigdytej daty nie zapomnieć, brodaczeurządzili rzeź polskich i pomorskich rycerzy, a takżemieszczan gdańskich,w tym kobiet i dzieci. Byli wśród nich Niemcy, którzy zawinili jedynietym, że sprzyjali Brandenburczykom, a nie Krzyżakom.

Wyciągano ludzi

283.

z kościołów i domów.

Dziewczyna widziała brzemiennie niewiasty, którym rozpruwano łona.

Gdyby nie pewien polski rycerz, który zginął w ich obronie, dając im sposobność ucieczki, zabiliby ją i jej ojca.

Rok później zajęli całe Pomorze Gdańskie, srożąc się okropnie.

 Słuchał z uwagą, ponieważ te sprawy żywo go interesowały.

Kiedy przerwała w pół zdania, dłuższą chwilę nie zorientował się, że usnęła.

Zamyślił się.

Siedział w ciemnościach na niewygodnym pniu, słuchał wiatru ze swistem przeciskającym się przez szpary i dumął.

Gdzieś w środku nocy dopadło go zmęczenie.

Poczuł się senny i zmarznięty.

Wiatr musiał już rozgonić chmury, bo tu i ówdzie przez dziury w dachu zaglądała do chaty księżycowa poświata.

Wstał, z trudem rozprostowując kości, podszedł do śpiącej i poprawił okrycie.

Leżała zwinięta w kłębek jak dziecko.

Ogarnęła go tkliwość, której w sobie nie podejrzewał.

Usiadł bok na słomie i oparł się plecami o ścianę.

Obudził się przytulony do piersi dziewczyny, obejmując ją prawą ręką.

Zawstydzony, zaraz cofnął rękę, ale po raz pierwszy oddzieciństwa czuł się lekko i szczęśliwie.

Przez szpary w mszeniu wpadały do wnętrza promienie słońca.

Wstał cicho, opatulił Annę Marię i wyszedł na zewnątrz.

Jak na zawołanie z porannej mgły wynurzył się "Baussant" płynący wzdłuż mierzei.

 Grunwald, 15 lipca 2010 (czwartek)

 - Pobudka, śpiochy!

 Katz ziewnął i obrócił się na drugi bok.

Bażyński przetaił oczy.

Do

namiotu zaglądało słońce oraz komisarz z Anżeliką.

- Wstawaj, Tomciu- powiedział policjant.

- Musisz mnie podszkolić.

Wczoraj na waszej naradzie czułem się jak na tureckim kazaniu.

Ruchy!

Sześćset lat temu pięćdziesiąt tysięcy ludzi właśnie o tej porze ochoczo szykowało się do wzajemnego wyrzynania.

Szkoda marnować czas na

wylegiwanie.

- Nie marnowałem czasu.

Rozmyślałem.

Zdaje się, że już wiem, gdzie

szukać veraikonu.

- Bomba!

Mów.

- Spokojnie.

Powiem w swoim czasie, kiedy się to wszystko przewali.

I tak niewybierzemy się tam wcześniej jak w poniedziałek.

Zniecierpliwiona dziewczyna pociągnęła Tadeusza za rękaw.

284

- Na obiad pojedziemy do Ostródy albo Olsztyna, obiecaj mi.

Dość już mam tego podłego zarciaz kotła, i to na glinianych michach.

I spania w barłogu.

Cholera jasna, nawet w majtkach mam słomę!

No i to mycie w lodowatej wodzie!

Muszę wziąć porządną kąpiel.

- Ależ zlotko.

- Jarecki próbował ją objąć.

Wywinęła mu się i syknęła ze złością:

- Żadnych wykrętów.

Albo zrobisz, jak mówię, albo jeszcze dziś wracam do Krakowa, a wy dalej jak dzieci bawcie się w rycerzy i poszukiwaczy skarbów.

Żałosni idioci!

Tupnęła nogą, odwróciła się na pięcie i odeszła zagniewana.

- Dzwonił inspektor.

Kręci się tu gdzieś zesoimi ludźmi i, jak się wyraził, trzyma rękę na pulsie, choć nadalnie wpadł na trop zabójcy.

Jakby mnie ktopytał, to dupa nie policjant.

Ma pojęcie o policyjnej robocie jak Clouseau z Różowej Pantery albo ja opowiadaniu zakonnym.

No ale co siedziwić.

Typowy karierowicz ze stołycy.

Na ra, zobaczymy się na śniadaniu - rzucił komisarz i pobiegł za blondynką.

Dzień upłynął im pracowicie.

Najpierw, podczas gdy Katz zabawiał się łukiem, Bażyński odbył z Jareckim przyspieszony kurs obowiązków giermka i elementarny walki na miecze, potem razem z Anną Marią i rodziną barona trenowali jazdę konną.

Witeź, najwyraźniej z wzajemnością lubiący Tomasza, z werwą ochotą spełniał wszystkie polecenia i jak zwykle sprawował się doskonale.

Komisarz po pierwszych niepewnych ruchach, spowodowanych nieznaną wierzchowcą, okazał się nienajgorszym jeźdźcem.

W końcu kiedyś razem z Bażyńskim należeli do Krakowskiej Harcerskiej Drużyny Konnej.

Anna Maria w dzieciństwie wraz z ojcem bywała u baronostwa, przy okazji pobierając lekcje hippiki, więc teraz coraz śmielej radziła sobie z klaczą, uprzejmię odstąpioną jej przez baronową.

Po obiedzie całe rycerstwo społem udało się na ostatni już i największy koncert muzyki dawnej, na którym artyści w historycznych strojach popisywali się znajomością instrumentalnych i wokalnych utworów z epoki, a także własnymi stylizowanymi aranżacjami.

Anżelika poszła z wszystkimi niechętnie isiedziała naburmuszona, gdyż komisarzjednak nie zabrał jej do hotelunadobry obiad i kąpiel, jak się spodziewała. Tomasz przypuszczał, że zabrakło mu funduszów, a wstydził siępożyczaćod przyjaciół na fanaberieswojej dziewczyny.

Ale ponieważKarska dzięki urodzie istrojowi godnemu księżniczki z bajkiprzyciągała wiele zachwyconych męskich i niechętnychkobiecych spojrzeń, humor

285.

jej się od razu poprawił i nawet wyglądała na pogodzoną z losem i spartańskimi warunkami.

Doczasu.

- Gdzie Anżelik?

- spytał w pewnym momencie Jarecki.

Rozglądali się pilnie, lecz dziewczyny nie było.

Zniknęła.

Rozżalona na cały świat, a Jareckiego i Bażyńskiego w szczególności, wlokła się alejką, trzymając w garści rąbek sukni, którą i tak co rusz zamiatała zakurzony asfalt.

Zostawiła w namiocie niewygodną wysoką czapkę i teraz raziło ją zachodzące słońce.

Była spocona, brudna i porządnie głodna.

Marzyła o odrobinie cywilizacji.

Alejka była dziś bardziej zatłoczona niż wczoraj.

Przybyło straganów na poboczach, pojawiła się pierwsza większa fala turystów.

Jedni rozbijali namioty na wyznaczonej łące, a ci, którzy już się z tym uporali, krążyli po kolicach. W barzenie było tłoku, a i tak niczego nadzwyczajnego do zjedzenia czy picia.

Ze łzami rozczarowania w oczach miała się właśnie wycofać, gdy z dala uklonił się jeden z gości.

Poznała go i podeszła do niego, kręcąc kształtnym tyłkiem tak, że pozostałym klientom baru piwo pociekło z otwartych gąb, zwłaszcza że w górnych partiach sukni też była należycie wypełniona, a dekolt taki duży, na ile odważył się krawiec

i pozwalały historyczne realia epoki.

- Panins.

- Cii - Czarniecki przyłożył palec do ust.

- Zapomniała pani?

Jestem

tu incognito.

- A ja jestem skonana.

- Proszę spocząć - policjant poderwał się z miejsca i podsunął jej stołek.

- Pani widok to prawdziwa uczta dla oczu.

- Dżentelmen - obdarzyła go łaskawym uśmiechem i zalotnie poprawiła włosy.

- Nie tak jak moi koledzy.

- A propos, co u was słychać?

- Nic ciekawego.

Niemka wyniosła się do swoich, faceci bawią się w rycerzy, a ja nudzę się jak mops.

Aha, Tomasz najmił dzisiaj, że wie, gdzie ukryto ten vera coś tam, ale na razie nie powie, bo teraz najważniejsza jest bitwa.

No iczy nie dzieciak?

Bardzo mnierozczarował.

Myślałam, że ten wyjazd będzie doskonałą okazją, żebyśmy się znowu zeszli, ale już go skreśliłam definitywnie.

Nie zauważa mnie, a Jeśli, to tylko po to żeby się wyzłośliwić.

Mamgo w nosie.

To już Tadek Jesto wiele lepszy

286

Tylko nudny iskapy.

A co u pana?

Złapał już pan tego.

- podchwyciła jego ostrzegawcze spojrzenie - człowieka?

- Jeszcze nie.

Ale wężymy.

Moiludzie stale krążą w tłumie.

Co dla

pani zamówić?

- Nic.

Miałam nadzieję, że faktycznie zjem tu coś lepszego od tegoświństwa,którym karmiaw obozie, i napiję się dobrego alkoholu, ale niczego.

Żeby tu była choć porządna łazienka!

- Wiepani co?

Udało nam się wynająć całydom.

Niedalekostąd,jakieś dwa, trzy kilometry.

Samochodem pięć minut.

A po drodze jestprzyjemnaknajpka.

Zapraszam panią na dobrą kolację.

A potem oddamdispozycji łazienkę, na jakdlugo pani zechce.

Posłała mu powłóczyście spojrzenie spod grubo pokrytych tuszem rzęs.

- Zgoda.

Tylko w odwrotnej kolejności: najpierw łazienka.

I niechpansobie niczego nie wyobraża.

Nie jestem z tych.

A na noc musi mnie

pan odwieźć z powrotem.

- Oczywiście.

Wybaczy pani, lecz muszę dokądś zadzwonić - przepuścił ją przodem, po czymwyjął komórkę, wystukał numer i rozmawiałchwile tak cicho, że nicnie usłyszała.

- No, gotowe.

Możemy jechać - otworzyłdrzwi od strony pasażera i gestemzachęcił ją do zajęciamiejsca.

Anna Maria zobaczyła, że Bażyński, któremu od dłuższej chwilikleiły się oczy i na wpół drzemał, wymyka się ukradkiem z koncertu.

Jarecki poszedł dużo wcześniej, aby poszukać Anżeliki.

Urażona dumawciąż dawała o sobie znać, leczdziewczyna postanowiła zapomnieć kłótni i rozmówić się wreszcie z Tomaszem.

Widziała po ukradkowych spojrzeniach, jakie jej rzucał, gdy myślał, że nie patrzy, że żałujerzuconych w emocji słów, które wprowadziłyzgrzyt między nimi.

Ktoś musiał zrobić pierwszy krok do zgody.

Dlatego przeprosiła towarzystwoi przez wyludniony obóz pobiegła za Tomaszem, po drodze mijając kilka ognisk, przy których produkowali się zwolennicy mocnych trunków i śpiewów głośniejszych oraz nowocześniejszych od prezentowanych

na koncercie.

Dochodząc do namiotu, zobaczyła, że właśnie z niego wychodził.

Na wpół obnażony i z lnianym ręcznikiem przerzuconym przez ramię.

Prowizoryczne toalety dla rycerzy i osób towarzyszących, urządzone na wojskową modłę zainstalowane w głębi lasu, składały się z szeregu

287.

toi-toi oraz rury zaopatrzonej w kilkanaście kranów, z których zimnawoda spływała do blaszanego koryta.

Tam się myto oraz zaopatrywano wodę do picia dla ludzi i koni.

Postanowiła poczekać przed namiotem na jego powrót.

Usiadła na beli słomy, lecz zaraz poderwała się z miejsca, gdy doszedł ją przerwany w połowie krzyk i odgłosy gwałtownej walki.

Pobiegł w tym kierunku.

Niczego nie podejrzewający Tomasz, którego czujność przytępiło niewyspanie, dochodził akurat do kiepsko oświetlonej polowej łaźni, puste w tej porze, kiedy z krzaków wyskoczyły cztery postacie w ciemnych pelerynach przeciwdeszczowych, z kapturami nasuniętymi głęboko na oczy, i rzuciły się na niego.

Był nabosaka, więc nawet nie mógł powitać napastników soczystymi kopniakami. A zanim zdążył wrzasnąć, ktoś złapał go za gardło i ścisnął jak w imadle, ucinając krzyk w zarodku.

Mimo to Tomasz nie poddawał się.

Przygiął się gwałtownie, strącając z grzbietu jednego napastnika, a drugiego zaprawił węgę pięknym prawym sierpowym, rozkwaszając mu nos.

Jednak trzeci wyrznął go potężnie w żołądek i Tomasz raptownie zatęsknił za bliskim kontaktem z matką ziemią.

Upadłby z własnej woli, gdyby czwarty nie podciął mu nog od tyłu.

Ktoś zakleił mu usta plastrem, kto inny zaczął krępować ręce i nogi.

Wtem jak piorun kulisty coś wpadło pomiędzy nimi i rozdało na prawo i lewo rękami i nogami.

Anna Maria!

Wrzeszcząc wniebogłosy, skoczyła jednemu z napastników na plecy.

Upadli oboje.

Mężczyzna znalazł się na dole.

Chrupnęła łamanakości rozległ się rozdzierający jęk.

Kompan poszkodowanego chciał kopnąć dziewczynę w głowę, lecz cios przyjął na siebie Tomasz, który korzystając z zamieszania, uwolnił się z pęt i zerwał plaster.

Trzeci napastnik podniósł z ziemi gruby kij

i zamierzył się na niego.

- Niet.

' Żywiom jewo brat'!

- krzyknął, widząc to kątem oka, czwarty,

atakujący dziewczynę; chwilę nieuwagi przyplącił ciosem w szyję, który mało nie oderwał mu głowy.

Ten z kijem wciąż jeszcze trzymał go w górze, kiedy rozległ się świst i strzała wbiła mu się głęboko w udo.

Padł jak ścięty, nawet nie jęknął.

Pozostali dwaj porwali go pod ramiona i uciekli w ciemność.

Zataczając się, podążył za nimi czwarty, ten ze złamaną ręką.

- Co tak późno?

- marudził Tomasz, siedząc tyłkiem w błocie i masując obolałe gardło.

- I nie trzeba było tyle pić.

Celność ci się pogorszyła.

- Mądrała!

Sam spróbuj strzelać przy takim nędznym świetle.

A pozatym nie chciałem go zabić.

Liczyłem, że uda nam się wziąć go żywcem.

Jak oni chcieli wziąć ciebie.

- Dzięki - zwrócił się Tomasz do dziewczyny.

- Ten krzyk był pierwsza klasa, a rzuty i ciosy wyglądały naprawdę profesjonalnie.

Gdzieś się

tego nauczyła?

- Na kursie samoobrony.

Poza tym staram się dużo ćwiczyć w wolnych chwilach.

To mnie odpręża- odparła wciąż zdyszana Anna Maria.

- Było ich czterech.

Nie macieskojarzeń?

- Tonie byli ludzie Czarneckiego, jeśli ich miałaś na myśli - powiedział Tomasz.

- Ten trafiony strzałą miał brodę, dobrze widziałem.

A innymówił po rosyjsku.

Trzeba powiadomić inspektora.

Inspektor zjawił się jednak osobiście kwadrans później, szarmanckoodprowadzając zaginioną blondynkę.

- Zaraz wezwę moich chłopców i pójdziemy tropem napastników.

Nie będzie to trudne, skoro jeden jest ranny.

Znakomicie się wszyscy

państwo spisaliście.

- To zasługa panny von Baysen - wyjaśnił Tomasz.

- Bez niej dorwaliby mnie jak niemowlę.

Objął ją czule, a onanie cofnęła się.

- O ile rozumiem, chciała pana porwać, nie zabić?

- dociekał inspektor.

- Tak.

Kiedy jeden z nich zamierzał mnie palnąć w głowę, drugi na niego krzyknął.

Po rosyjsku.

- Ciekawe.

No cóż, chyba muszę panu przydzielić stałą ochronę.

- Nie trzeba -przerwała mu Niemka.

- Od teraz wprowadzam się tutaj i będę czuwała nad Tomaszem.

No co się tak gapicie?

Adam, przesuń swoje posłanie do Tomka i znajdźcie jakąś płachtę na przepierzenie.

Niemyślcie, że pozwolę wam się podglądać.

Idę po swoje rzeczy.

I wyszła.

-Z całym szacunkiem dla panny von Baysen, ale.

-zaczął inspektor,

- Zna techniki karate, judo, ju-jitsu i diabli wiedzą czego jeszcze -przerwał mu Bażyński.

- Mapą lepszych ochroniarzy?

- Cóż.

W takim razie, jeśli można, pożyczylbym dobrą latarkę i poszedł obejrzeć miejsce walki, zanim nadciągną moi ludzie.

Jutro zapoznam państwa z efektami poszukiwań.

I spiszę wasze zeznania.

Dobranoc.

Niedługo potem, razem z resztą rycerstwa, nadszedł komisarz.

Kląw żywy kamień, że ominęłogo okazja do bitki i rozprawy z nieuchwytnymi prześladowcami.

A jeszcze bardziej denerwowała go eskapada Anżeliki, która nie omieszkała pochwalić się uczynnością i gościnnością okazaną jej przez inspektora.

Już usypiając, Tomasz słyszał jeszcze odgłosy kłótni dobiegające z sąsiedniego namiotu.

Samczuł się wyśmienicie.

Najadł się trochę strachu, jednak opłaciło się odebrać mały wycisk.

Co prawda wolałby Annę Marię na miejscu Adama okupującego sąsiednie wyrki i chrapiącego donośnie, ale i do dziewczyny miał teraz bliżej niż dalej.

Grunwald, 16 lipca 2010 (piątek)

Od rana wokół pomnika panował duży ruch.

Ku uciechu licznie przybyłych turystów, rycerze popisywali się pojedynkami w parach, trenując wcześniej ustalone poszczególne elementy bitwy.

Swoich fanów miała także grupka peruwiańskich Indian Aymara, jeszcze poprzedniego dnia w kolorowych ponczach prezentująca tradycyjną muzykę andyjską, a dziś udająca Indian preriowych opiewających białego jeńca przy palu męczarni.

Tortury, nawet pozorowane, zawsze cieszyły się dużym zainteresowaniem tłumu, a sukces artystyczny i komercyjny Boliwijczyków wskazywał, że oglądalność przyszłego programu TV, w którym przed kamerami będzie się kogoś żywcem obdzierało ze skóry, na głowę pobije dotychczasowy rekord jednego z odcinków show Gwiazdy tańczą na linie.

Tego, w którym popularnej gwiazdzie, znanej głównie z reklamowania rewelacyjnych środków do skutecznej pielęgnacji włosów, spadła z głowy

peruka, a jej partnerowi zważenia bokserki pękły w kroku.

Jednak wielki turniej łuczniczy, mimo iż nie strzelano do żywego celu, również zgromadził spory tłum, zarówno widzów, jak uczestników.

Katz był niepokojony, ponieważ przy ostatnim strzale pękła mu cięciwa, zanotował niedolot i zajął za ledwie drugie miejsce, przez co ton musiał

postawić piwo Jareckiemu pozostałym, a nie odwrotnie.

- Dzwonił Czarnecki - przypomniał sobie komisarz przy drugim

kuflu, rzecz jasna glinianym.

- Ślady krwi doprowadziły cebosido szosy.

Tam trop się urwał.

Inspektor powiadomił miejscową policję, by nasiliła kontrolę drogową.

Ale nie spodziewa się rezultatu, zbyt wielu zmotoryzowanych turystów zdąży pod Grunwald.

W takim tłoku łatwo się rozplątać

w powietrzu.

Lepiej rokuje zarządzona kontrola szpitali i prywatnych gabinetów.

Ponoć Adam zdrowo przypieprzył temu Ruskowi.

Broczył krwią jak zarzynana świnia.

Mój Boże, jak długo to będzie się jeszcze ciągnąć?

- zmartwiła się Anna Maria.

- A jeśli ponowią atak?

- spokojnie - pocieszył ją policjant.

- Poradzimy sobie.

Poza tym nie jesteśmy zdani tylko na siebie.

Na wszelki wypadek nie wolno nam jednak ani na chwilę zostawiać Tomasza samego.

W głębi duszy nie był taki spokojny, jak to okazywał.

Nieuchwytnym mordercą, który na domiar złego miał co najmniej trzech współników, wciąż był nawolności i wciąż im zagrażał, a zwłaszcza Bażyńskiemu.

Niewystawiało to policji dobrej oceny.

Czuł się współwinny, bo i on uprawiał w tej chwili typową partyzantkę, bardziej pasującą do prywatnego detektywa niż funkcjonariusza, nawet na urlopie.

Dziwiło go jednak, że i CBŚ najwidoczniej zaakceptowało taki stan rzeczy, sprzeczny z żelazną zasadą policji - pod żadnym pozorem nie narażać życia cywili.

Cóż, kimżebył, żeby krytykować Czarnieckiego, zwłaszcza iż miał nadzieję, że dzięki znajomości z nim po zakończeniu tej sprawy zdoła się zaczepić w CBS i przenieść do Warszawy.

Zgasił niepokój piwem.

Na chwilę.

po południu nastąpił gwóźdź dzisiejszego programu - prezentacja bractw icałych chorągwi na placu amfiteatralnym.

Dopiero teraz można było w pełnej krasie w jednym miejscu podziwiać kilka setek zgromadzonego, bajecznie kolorowego rycerstwa, dotychczas rozproszonego po całym obozie.

To naprawdę robiło wrażenie.

Zwłaszcza jeśli ktoś świadomił sobie, że sześćset lat temu w tym samym miejscu spotkało

się dziesięciokrotnie więcej wojowników.

Następnie rycerze odmaszerowali na miejsce bitwy, by zgodnie z drobiazgowym scenariuszem odbyć próbę generalną przed jutrzejszą inscenizacją. - Wrócili dopiero o zmierzchu, solidnie zmęczeni, co bynajmniej nie oznaczało, że ta noc będzie spokojniejsza od poprzednich.

Przeciwnie.

Wielu zaraz po bitwie wybierało się do domów i należało godnie pożegnać się z przyjaciółmi.

Spapraliście sprawę - powiedział Kloss.

/Mieliśmy tylko pół godziny na zorganizowanie akcji.

Poza tym kto mógł przewidzieć, że wpierdział nam się w paradę pieprzona mistrzyni.

karate i cholerny Robin Hood.

Nie uprzedziłeś nas - odbił pałeczkę Stiriitz.

- Przez ciebie straciliśmy Igora.

- Umarł?

- Jeszcze nie, ale stracił mnóstwo krwi.

Jurij był w wojsku pielęgniarzami robi co może.

Jednak wygląda to kiepsko.

- Może ściągniemy jakiegoś zaufanego lekarza?

Rosjanin spojrziała na niego zimno.

- Wszystko musi pozostać między nami.

Nie narażę naszej operacji

na fiasko z powodu Igora.

Jego życie nie jest tyle warte.

- Cholerny Katz!

Niech go diabli!

- wtrącił się milczkiem popijający

wódkę Brunner.

- Coo nim wiesz?

Kloss, do którego było skierowane pytanie, wzruszył ramionami,

- W naszych aktach nie figuruje.

Może wy coś na niego macie?

- zwrócił się do Rosjanina.

- Sprawdzę- odparł Stiriitz.

-Kurwa!

- westchnął Kloss, nalewając sobie wódkę do szklanki.

-

Szkoda tej okazji.

Lepsza się nie nadarzy.

Mielibyśmy już tego Bażyńskiego w garści, atak będą jeszcze ostrożniejsi.

Od poniedziałku trzebą będzie znowu zacząć ich śledzić i diabli wiedzą, jak długo to potrwa.

A do tego czasu jesteśmy tu uziemieni.

No to siup, nate smutki!

Wszyscy trzej stuknęli się pełnymi stakanami, jak za dawnych, dobrych czasów.

- Przyszło mido głowy - oznajmił Brunner - jak możnadorwać Bażyńskiego i zmusić godo gadania przed poniedziałkiem.

- Aż się boję- sarknął Kloss.

- Niechzgadnę.

Potrzebujesz helikoptera, bo chcesz zrobić dywanowy nalot, rozwalić ilu się da pieprzonych chrycerzy i porwać Bażyńskiego ze środka obozu na oczach tłumu?

- Prawie trafiłeś - uśmiechnął się chytrze Brunner i wyjaśnił im swój plan.

Rosjanin wahał się.

Plan upraszczał sprawę i zaoszczędzał im czasu.

Jednak był ryzykancki, a nawet szalony, zresztą jak większość pomysłów Brunnera.

Ale Polaki Niemiec przegłosowali go.

Zastrzegł tylko:

- Dobrze, ale jeśli coś pójdzie nie tak, nie chcę już znać żadnych waszych pomysłów.

Zrobimy to po mojemu.

292

Griinfelde, 15 lipca 1410 (wtorek)

- Dlaczego nie następują?

Na co czekają?

- niecierpliwił się komtur

tucholski Henryk von Schwelborn.

Znajdowali się na rozległym błoniu między trzema wioskami: Grunfelde 1,

Tannenbergiem² i Logdau³.

W dali zólcili się na polach łany zboża, którego jeszcze nie zdążyły stratać końskie kopyta, i dymiły podpalone grupki chałup krytych strzechą.

Niemal dokładnie pośrodku między wrogimi wojskami rosło sześć wielkich dębów, które obsiedli gapie, mając stamtąd doskonały widok i niemal gwarantowane bezpieczeństwo.

Krzyżacy, którzy poprzedniego dnia zajęli stanowiska, powstrzymując dalszy marsz wrogich wojsk w głąb ich państwa, byli teoretycznie w lepszej sytuacji, ponieważ sami wybrali miejsce bitwy i nakazali ciurom wykopać wieczorem na przedpolu zamaskowane wilcze doły.

Ale tylko teoretycznie, co okazywało się właśnie teraz.

Jeszcze nie było południa, a upał już stał się niemożliwy do wytrzymania.

Rycerze pocili się pod stalowymi zbrojami, zgłoszono kilka przypadków omdleń, zdarzyły się także wypadki śmiertelnego udaru.

Tymczasem Polacy czekali w cieniście, choć rzadkim lesie i wciąż zwlekali ze szturmem.

- Mistrzu, ty płaczesz?

- zauważył wstrząśnięty wielki komtur Jan

graf von Wende.

Ulrich von Jungingen, światowiec lubiący rozrywki, nawet tańce z damami, a przy tym pobożnością i rycerskością przewyższający większość współbraci, siedział wyprostowany w siodle i wodził wzrokiem od swoich chorągwi, od dawna ustawionych w bojowym szyku, do polsko-litewskich oddziałów widocznych na wzgórzu pod lasem.

Po brodatym obliczu spływał ciurkiem.

Zapytany, zdjął z dłoni stalową rękawicę, otarł

wilgotne oczy i odparł:

- Żal mi krwi chrześcijańskiej, której morze zostanie wylane dzisiejszego dnia.

Zarówno naszej, jak wrażej, bo i u nich nie brak ludzi prawdziwej wiary.

Jeden Bóg wie, bracia, który z nas zobaczy jeszcze

zachódslónca.

Werner von Tettingen, który od ichostatniej rozmowy zaczął pogardzać wielkim mistrzem, bo zdawało mu się, że wyczuł w jegopostawiesłabość i zwałpnie, krzyknął zuchwale:

' Oryginalna nazwa niemiecka, spolszczona jako Grunwald (po litewsku-Zalgiris).

2Stębark.

3 Łodwigowo.

293.

- Mistrzu, zacznijcie wreszcie zachowywać się jak na prawego męża przystało, a nie jak baba, i rozpocznijcie nareszcie bitwę, dając świadectwo odwagi, a nie niegodnego was tchórzostwa!

- Troszcz się raczej o własną odwagę, bracie Wernerze - odparł surowo von Jungingen - abyś, gdy dojdzie do walki, nie poniósł klęsk z tym większą hańbą, im z większą pychą wynosisz się teraz ponad innych.

Radźcie, bracia, co mamy czynić, by wywabić nieprzyjaciół z lasu i zmusić do bitwy, zanim słońce spali nas tużewcem.

- Trzeba wysłać harcowników - zaproponował wielki marszałek.

- Lepszy byłby pozorowany atak - doradził wielki komtur.

- A może nie dostaje im broni?

- Szydził komtur tucholski von Schwelborn.

- Poślijmy im tedy moje dwa nagie miecze, aby zachęcić tych tchórzów do walki!

- To zły pomysł, bracie Heinrichu - zganił go wielki mistrz - i świadectwo pychy niegodnej chrześcijańskich rycerzy.

Takie szyderstwo i naigrawanie się z przeciwnika, z którym przyjdzie stoczyć śmiertelny bój, nie może być mile Bogu.

Oby nie kazał nam za to drogo zapłacić.

Ale zuchwały pomysł von Schwelborna spodobał się starszyźnie, w związku z tym wysłano do polsko-litewskiego obozu dwóch posłów z nagimi mieczami.

A słońce nieubłaganie wznosiło się na błękitnym nieboskłonie, oblewając zarem wszystko, co żyło.

Do południa brakowało niewiele.

Grunwald, 17 lipca 2010 (sobota)

- Jak widać?

- Wspaniale - odparła Anna Maria, trzymając przy oczach całkiem dobrą wojskową lornetkę, którą Katz za niewielkie pieniądze kupił na straganie u Rosjan czy Ukraińców.

Stali na skraju platformy widokowej, mając pomnik za plecami, a przed sobą jak na dłoni rozległobłonie, na którym, po pirotechnicznych popisach puszkarzy, strzelających (na niby) kamiennymi kulami z prymitywnych armat, potykali się właśnie harcownicy.

Kilka tysięcy rycerstwa, uszeregowanego w dwiema armie, czekało w szyku bojowym.

Widok zapierał dech w piersiach.

Dookoła, za linami odgradzającymi walczących, kłębił się mnogi, stu tysięcy widzów oraz uwijały ekipy telewizyjne

294

z kamerami.

Łożę honorową zapewniali lokalni notabli oraz grupa polityków z Warszawy, którzy nie mogli przepuścić doskonałej okazji doprzypomnienia się wyborcom i wygłoszenia patriotycznych farmazonów.

Był to jednak za ledwie drugi rzut wybrańców narodu.

Pierwotnie spodziewano się zarówno prezydenta, jak premiera.

Ale jak zwykle pokłócili się i nie przyjechali żaden.

Poszło o wizję.

Prezydent chciał poważnej akademii, patriotycznie zaangażowanej, demaskującej odwieczny niemiecki "Drang nach Osten", któremu tylko dzielna i osamotniona Polska potrafiła postawić tamę, równocześnie skutecznie opędzając się od imperializmu rosyjskiego prącego na Zachód (choć Bóg jeden wiedział, rzecz jasna oprócz prezydenta, co miał piernik do wiatraka, czyli Rosjanie do Grunwaldu A.

D. 1410).

Z kolei premier optował za wspólną, radosną imprezę, prawdziwie europejską, w duchu unijnej miłości i braterstwa.

W rodzaju niedawnej angielsko-francuskiej inscenizacji bitwy morskiej pod Trafalgarem.

Żeby jedna strona nosiła tuniki wesoło żółte (jak słońce), a druga - pogodnie niebieskie (jak niebo).

Żebybito się napoduszki, a w przerwach płaśały cheerleaderki w strojach toples.
I żebybitwa zakończyła się remisem.

Dzięki nieobecności politycznych liderów oraz kwiatu wazeliniarskiego dziennikarstwa polskiego, Grunwald 2010 miał szansę przejść do historii jako impreza udana pod każdym względem.

- Daj popatrzeć - poprosiła Anżelika.

Niemka podała jej lornetkę.

- Widzę Tomasza!

- zawołała po chwili blondynka.

- I Tadka!

Ojejku!

W tym momencie Jarecki, bez pardonowo zaatakowany przez giermka

towarzyszącego potężnemu rycerzowi w czarnej zbroi, spadł z konia.

; - Brawo, Tomasz!

- krzyknęła, gdy Bażyński, jakby w pomście za

porażkę swego przybocznego, wytrącił czarnemu rycerzowi miecz z dłoni; i przystawił sztych do gardła.

- Niezbyt to zgodne z prawdą historyczną - uśmiechnął się towarzyszący dziewczynom Katz.

- Ten rycerz w czarnej zbroi to sam Zawisza Czarny z Garbowa herbu Sulima.

Zwykle przedstawia się go w czarnej zbroi, choć zapewne przydomek pochodzi od tego, że po prostu był

brunetem.

- A czemu to niby jakiś Zawisza nie mógłby przegrać z Tomaszem?

- obruszyła się Anna Maria.

- Bo był niezwyciężony.

Służył cesarzowi Zygmunutowi Luksemburskiemu, przyjacielowi Krzyżaków, ale gdy przyszło z nimi do wojny,

lojalnie zgłosił się do wojska na wezwanie Jagiełły.

Kiedyś cesarz zabrał go ze sobą do Perpignan, aby na wielkim turnieju zmierzył się z najlepszym rycerzem zachodniej Europy, Janem z Aragonii.

Zawisza zmiotł go z siodła w pierwszym starciu.

Zginął kilkanaście lat po Grunwaldzie, w bitwie z Turkami pod Golubacem, dając czas cesarzowi na ucieczkę łodzią na drugą stronę Dunaju.

Cesarz podesłał potem łódź swemu ulubieńcowi, żeby też uratował życie, ale Zawisza odprawił czółno, bo nie chciał zostawić towarzyszy.

Nie darmo w Polsce jest symbolem niezłomności i szlachetności.

- Ej, czemu przerwali?

Nic się nie dzieje.

Wszyscy tylko stoją i gapią

się na siebie - poskarżyła się Karska.

- Bo tak było naprawdę.

Polacy specjalnie zwlekali ze szturmem,

siedząc w lasach, a Jagiełło co rusz kazał odprawiać mszę świętą, żeby zademonstrować swoją pobożność.

W tym czasie Krzyżacy smażyli się

na otwartym polu jak na patelni.

- To czemu samymi nie zaatakowali pierwsi?

- Bo podobno wykopali w nocy pułapki i chcieli w nie zwabić polską jazdę.

- I udało się im?

- Nie uczyłaś się o tym w szkole?

Nie, bo Jagiełło zwęszył podstęp

i wysłał na przód lekką jazdę litewską i Tatarów.

- Tatarów?

- Zdziwiła się Anna Maria.

- Przecież to byli poganie!

- A czyścynajemnicy w polskiej służbiebyli heretykami i coż tego?

TenJagiełło to naprawdę był spryciarz.

Wiedział, że zwycięzców się nie

sądzi, a pokonani nie mają racji.

- Patrzcie!

- zawołała Anżelika,ale lornetki nie oddała.

Z szeregów krzyżackich wystąpiło dwóch rycerzy.

Jeden w żółtej tunicez czarnym orłem cesarskim, drugi w białej z czerwonym pomorskimgryfem.

Trzymając w ręku po nagim mieczu, wolno podeszli do siedzącego na koniu polskiego króla i wbili przed nim miecze w ziemię.

- To Ramryk,posełcesarski,a ten drugi to wysłannikwspierającegoKrzyżaków księcia szczecińskiegoKazimierza.

Mają zachęcić Jagiełłę do walki.

Ofiarowując mu miecze,szydlercy sugerują, że Polakom brakuje nie tylko odwagi, ale i broni.

- Ico, król dał się sprowokować?

-Zobaczysz.

Armia krzyżacka cofnęła się nieco, dając pole,a Jagiełło uniósł zakutą w stalową rękawicę dłoń w górę i dał znak.

Ze wszystkich polskichpiersi

buchnęła prastara pieśń Bogurodzica.

Zagrałysurmy.

Rycerze pochyliłikopie.

Ruszyli z wolna, potem przyspieszyli.

Zatrzęsła się ziemia

- Tak naprawdę, jak już mówiłem, pierwsi uderzyli Litwini, Rusini i Tatarzy. Ale był to tylko pozorowany atak, bo nie mogli się mierzyć ciężkozbrojnymi Krzyżakami.

W gruncie rzeczy chodziło o odciążenie części sił krzyżackich.

To była metoda wojowania zaczerpnięta przez Litwinów od Tatarów.

Podstęp się udał i kilka chorągwi krzyżackich, wbrew rozkazowi wielkiego mistrza, pognało zauciekającymi Litwinami.

Wtedy na pozostałych uderzyli Polacy.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- spytała Anna Maria z podziwem.

- Tomasz mi powiedział, żebyśmy mieli pojęcie, o co chodzi w odtwarzanych fragmentach bitwy.

Spójrzcie, co się teraz będzie działo!

Krzyżacy powstrzymali polski atak, po czym sami uderzyli z mocą.

Nagle zachwiał się królewski gonfanon z Orłem Białym, po czym upadł.

W niebo gruchnął potężny wrzask Krzyżaków.

Rozgorzała zacięta walka.

Wtem czerwona chorągiew znów załopotała ponad głowami walczących i tym razem to tryumfalny ryk Polaków rozdarł powietrze.

- To był kluczowy moment bitwy - skomentował Katz.

- Utrata królewskiej chorągwi, podobnie jak śmierć lub niewola króla, zwykle kończyły bitwę.

Ale najdzielniejszym polskim rycerzom, wśród których był Zawisza Czarny, udało się odzyskać sztandar, donogi wyrzynając tych,

którzy po niego sięgali.

Jednak nie całe wojsko brało udział w walce o chorągiew.

Wielki

mistrz stanął na czele odwołu i poprowadził go do boju.

- A gdzie jest król?

Nigdzie go nie widzę - poskarżyła się Anzelika.

- Spójrz tam, na ten pagórek - Katz wskazał wyciągniętą ręką.

- Tam jest ten cwaniak.

Podczas gdy Ulrich von Jungingen, zgodnie z rycerskim obyczajem, brał osobisty udział w bitwie, podobnie jak po stronie polskiej Witold, kuzyn króla i dowódca

Litwinów, Jagiełło wzorem wodzów tatarskich jeździł sobie z pagórka na pagórek i stamtąd przez gońców kierował ruchami swoich wojsk, mając bez porównania lepszy ogład

sytuacji od wielkiego mistrza.

- Ale to było nie fair!

- oburzyła się Anna Maria.

- Bo też to nie były zawody sportowe, tylko walka na śmierć i życie.

Tu, na tym polu, miało się zdecydować, kto zostanie największym

Rodzajem chorągwi kształcie prostokąta zwyciężonymi trójkątnymi "ogonami", na którym godło umieszczano prostopadle do drzewca.

mocarzem w środkowej Europie, a kto wypadnie z gry.

Jagiełło to doskonale rozumiał stosował wszelkie znane sobie pogańskie sztuczki, w myśl zasady: cel uświęca środki.

Z kolei była tyle znany jako dobry chrześcijanin, że wiedział, iż jeśli wygra, wszystko zostanie mu wybaczone, ponieważ nawet papież uzna, iż taka była wola Boga.

Do 1410 roku Krzyżacy słynęli z podstępów i nieczystej gry, i dlatego wygrywali.

Mieli bowiem dwa oblicza: rycerskie i bogobojne dla gości z Zachodu, bez których poparcia by nie przetrwali, oraz okrutne i zdradzieckie dla pogardzanych Słowian i Litwinów.

Aż wreszcie trafili na większego

spryciarza od siebie i polegli z kretelem.

Raptem od grupy Krzyżaków, których wielki mistrz wiódł dowalki, oderwał się samotny rycerz z nastawioną kopią popędził wprost na króla.

- To Dypold von Kockeritz z Łużyc.

Widać rozpoznał króla, choć

Jagiełło kazał nawet zwinąć swój mały proporczyk, żeby go nie zdradził.

Król odepchnął jednego z przybocznych, który chciał go powstrzymać,

i wyjechał naprzeciw Krzyżakowi.

- Ciekawe, co się stanie tym razem - ciągnął Katz.

- Ponoć na którejś

inscenizacji Jagiełło spadł z konia i złamał nogę.

A innym razem koń go poniosł i policja musiała ich gonić po polach radiowozem na sygnale.

Ale obyło się bez niespodzianki.

Trafiony Krzyżak postradał kopię, miecz, hełm i chwiał się w siodle.

Wówczas jakiś jeździec bez zbroi zajechał go z boku.

Podniesionym z murawy ułamkiem kopii zdzielił rannego

w głowę i obalił na ziemię.

Rycerz legł nieruchomo.

- Oburzające!

To wbrew regułom rycerskim!

- skomentowała poruszona Anna Maria.

- Masz rację.

A jednak młody sekretarz królewski, Zbigniew Oleśnicki, którego Jagiełło za tenniegodny czyn obiecał uczynić biskupem, czasem dochrapał się także kapelusza kardynalskiego.

Tak to już jest:

zwycięzcy biorą wszystko.

Krzyżacki dowód chciał pomścić śmierć towarzysza, lecz wielki mistrz zagonił ich do bitwy.

Wtedy Jagiełło także rzucił do walki wszystkie swoje rezerwy.

Rozgorzał bój na całego.

Ziemia się trzęsła, rozgrzane powietrze wibrowało od wrzasków, które niosły się na całą okolicę.

Krzyczeli

zarówno walczący, jak i dopingujący ich widzowie.

- To już finał - ogłosił Katz.

- Za niedługo zacznie się rzeź.

W tej jednej z największych bitew średniowiecza wzięło udział ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Dwadzieścia, dwadzieścia pięć tysięcy po stronie

298

krzyżackiej i trzydzieści po stronie polskiej, w tym dziesięć tysięcy

Litwinów, którzy nie odegrali decydującej roli.

Z pięciuset osób starsziny krzyżackiej w białych płaszczach, przeżył tylko jeden:

Werner von Tettingen.

Zawzięte chłopstwo nie dawało nikomu pardonu, bo chłopom okupca żywego rycerza nie przysługiwał.

To był koniec potęgi Krzyżaków.

Szacujesie, że stracili osiem tysięcy ludzi, czternaście tysięcy wzięto do niewoli, aż dołało uciec za ledwie tysiąc czterystu.

Dopiero noc powstrzymała pościg i zakończyła masakrę.

Polacy, którzy ponieśli o wiele mniejsze straty, zdobyli wszystkie krzyżackie chorągwie, które potem zawieszono jako wota w katedrze wawelskiej.

- Boże, to Tomasz!

- przerywając mu wywód, krzyknęła Anna Maria i wyciągnęła rękę.

- Gdzie?

- Daleko.

Tam, na samym skraju pola bitwy.

Ledwie go widać.

Ale

to on.

Poznaje go po wiewiórce na tarczy.

- Faktycznie - potwierdziła Anzelika, kierując w tamtą stronę lornetkę.

- Znów bijesie z tym samym czarnym rycerzem, Zawiszą.

Itym razem wcale nie wygląda, że by walczyli na niby!

Anna Maria bezceremonialnie wyrwała jej lornetkę.

- Tonie ten sam rycerz.

Ma inny herb na tarczy i tunice.

Na Boga!

To baron von Mansdorff.

- Niemożliwe!

- zaprotestował Katz.

- Przecież obaj mieli walczyć

po tej samej stronie.

Ale Anna Maria już go nie słuchała.

Cosił w nogach biegnąc w stronę

rycerskiego obozu.

Grunfelde, 15 lipca 1410 (wtorek)

- Herum!

Herum!

- wołał Ulrich von Jungingen aż do ochrypięcia, zaganiając doszeregów swojej wacie się do boju od wody.

W sercu miał czarną rozpacz.

Bitwa trwała już trzy godziny i nie ulegało wątpliwości, że Polacy brali górę.

Jeszcze niedawno, gdy padała chorągiew królewska, wydawało się, że będzie inaczej.

Ze wszystkich krzyżackich piersi, jego także, wyrwała się pieśń tryumfu Christ ist erl
standen: "Chrystus zmartwychwstał!

Cieszymy się, bracia, w Bogu, że przyszył poganom rogu!

". Ale grupa polskich rycerzy, wśród których

299.

był pono ulubieniec cesarza, niezwyciężony Zawisza Czarny z Garbowa, z furją większą od teutońskiej wyrznięła w pień atakujących i odzyskała sztandar.

Wtedy upadł na duchu.

I pożałował, że uniesiony rycerskim honorem odrzucił propozycję Jana Sarnowskiego, zdradzieckiego wodzaczeskich najemników w polskiej służbie, który przybiegł ofiarować mu swoje usługi.

Rzucił mu wówczas w twarz wzgardą: "Jam nie Chrystus,

nie potrzebuję Judasza!

".

Otrząsnął się z mrocznych myśli.

Ostatecznie prowadził właśnie szesnaście chorągwi odwodowych, które miały jeszcze szansę odwrócić losy tej bitwy.

Odwrócił się i znów odzyskał nadzieję.

Setki zakutych w stal jeźdźców w białych płaszczach, siedzących na potężnych wierzchowcach, robiły imponującej i przerażającej zarazem wrażenie.

Las kopii godził

w przeraźliwie jasne niebo.

Uniósł dłoń w górę.

- W imię Boże, naprzód!

- zawołał i dźgnął konia, podrywając go do biegu.

Ziemia zadudniła, kiedy przechodzili z klusa w galop.

Dwie godziny

potem, gdy słońce nareszcie zaczęło chylić się ku zachodowi, bitwa dobiegała kresu, a zaczynała się rzeź.

Pierwsi Chełmianie, dowodzeni przez założyciela Związku Jaszczurczego, Mikołaja Ryńskiego, opuścili chorągiewna znak poddania, w ślad za nimi uczynili to

Pomorzanie, przedstawiciele miast krzyżackich, nawet rycerze z Zachodu poprosili pardonu.

Tychoszczędzono.

Ale pozostałych wyrzynano bezlitości.

Sz szczególnie rzuconew ostatniej fazie do walki chłopstwo z taborów oraz Tatarzy Litwini,którzy zemknęli z bitwy na samym początku, teraz powrócili isrożyli się strasznie.

Rycerze w białych płaszczach walczyli dzielnie do ostatka.

Poległ graf von Wende, komturdierzgoński hrabia von Schwarzburg,wielkikomtur Kuno von Lichtenstein, wielki marszałek Friedrich vonWallenrode i wielu, wielu innych.

JedenWerner von Tettingen zdecydował sięna ucieczkę.

Bodąc wierzchowca ostrogami, umykał,aż siękurzyło.

Wtem ujrzał wielkiego mistrza, z trudemodbijającego ciosy jakiegośzawziętego polskiego rycerza.

Zwolnił namoment i wrzasnął:

- To koniec!

Ratuj się, kto może!

- Nie daj Bóg, abym ujechał z pola, na którym tyłu padło walecznych!

- odkrzyknął rycerski von Jungingen.

Zachwilę zginał, trafiony w czoło i pierś.

Ale vonTettingen był jużwtedy daleko.

Droga na przestrzenikilku milusiana była trupami,ziemiaprzesiąknięta krwią,a powietrze napępniały wołania i jęki umierających.

Za Elgnowem, na brzegu stawu, w którym potopiło się już wielu

300

uciekiniarów,zobaczył komtura tucholskiego Henryka von Schwelborna.

Opadnięty przez gromadę zajadłego chłopstwa, z coraz większym trudemodpierał uderzenia rohatyn i maczug.

- Pomóż!

- krzyknął na widok Tettingena.

Ale ten udał, że niesłyszy, i zaciął konia, naprawo i lewo siekąc mieczem,

bowiem i kuniemu rzuciło się kilku napastników.

Udało mu się przedrzeć, ale zastąpił mu drogę ogromny rycerz.

Sparaliżowany ze strachu Krzyżak nie zdążył się zastawić.

Uratował go pektorął na piersi.

Miecz przeciął tylko łańcuch, na którym był zawieszony, i poszczerbił napierśnik, lecz nie sięgnął serca.

Kiedy Polak schylił się po relikwiarz, von Tettingen zerwał się do ucieczki.

Dopiero gdy oddalił się na bezpieczną odległość, odważył się zerknąć wstecz.

Zobaczył zwrócone ku sobie martwe oblicze von Schwelborna, którego oderżniętą głowę zatknęto na ostrzu piki.

Zatrzymał się dopiero w Elbingu, gdzie z początku go nie rozpoznano.

Byłsiwy jak gołąb, śmiał się do siebie i bredził coś o jakiejś potężnej relikwii.

Wielki szpitalnik Werner von Tettingen oszalał.

Grunwald, 17 lipca 2010 (sobota)

Anna Maria gnała przez opustoszały obóz rycerski, zadowolona, że włożyła dziś strój pazia, który nie krępował jej ruchów.

Zdyszana dotarła do leżącego na zupełnym odludziu obozowiska bractw konnych i podążyła wprost do namiotu barona.

- Annelise, gdzie ojciec?

- szarpnęła za ramię drzemiącą na posłaniu
córkę barona.

- Jakto gdzie?

Bierze udział w bitwie.

Ja zostałam, by pilnować obozu,

bo coś od rana kiepsko się czuję.

- Pożyczysz mi swoją klacz?

- A po co?

- Nie mam czasu tłumaczyć.

Gdzie trzymasz siodło i uprzęż?

Zaintrygowana dziewczyna pomogła Annie Marii zebrać rząd koni i razem pobiegły

do ogrodzenia, za którym hasały dwa konie.

Anna Maria już wdrapała się na żerdź, kiedy coś zwróciło jej uwagę.

- Słyszałaś?

- Co?

- Nic.

Osiodłaj mi klacz, proszę, a ja szybko coś sprawdzę.

301.

Przerzuciła siodło na drugą stronę ogrodzenia, po czym popędziław głąb lasku, gdzie była umywalnia i stały ubikacje.

- Hilfe!

1- rozległ się słaby krzyk i ktoś wypełził z krzaków naścieżkę.

Baron!

Bez zbroi, w powalonym ziemią odzieniu, z twarzą wykrzywioną bólem i krwią skapującą spod czapki.

- Co się stało?

- przypadła do niego.

Z trudem uniósł się na rękach.

-Napadnięto na mnie.

Kiedy, już w zbroi, wyszedłem ostatni raz do toalety.

- wychrypiał.

-Ocknąłem się niedawno i wzywałem pomocy,

ale nikt nie słyszał.

- Prawie wszyscy są na bitwie.

Widział pan napastników?

- Nie.

Zaszli mnie od tyłu i ogłuszyli.

Watowana czapka mnie uratowała - dotknął jej palcem i jęknął z bólu.

- Chyba myśleli, że nie żyję.

Wolałem nie wyprowadzać ich z błędu, chociażnie od razu straciłem przytomność.

Nie wiem, kim byli pozostali, ale jeden to z pewnością Niemiec!

Klął po naszymu okropnie i poganiał tamtych, kiedy go ubierali w moją zbroję.

Nic z tego nie rozumiem.

- poskarżył się na koniec.

- Potem wszystko wyjaśnię, a teraz przyślę tu Annelise.

Może pan

mieć wstrząs mózgu, proszę się nie ruszać.

Popędziła z powrotem, odwaliła górną belkę z dwóch blokujących wejście ogrodzenie, przesadziła dolną z rozpędu wskoczyła na podstawioną klacz.

- Idź do ojca!

Potrzebuje pomocy.

Czeka przy toaletach - rzuciła

i poderwała wierzchowca.

Niczym wytrawny jeździec wzięła przeszkodę w postaci niższej belki tarasującej drogę i pogalopowała naprzód, omijając obóz wzgórze z pomnikiem i po szerokim łuku kierując się w stronę miejsca, gdzie ostatni widziała Bażyńskiego.

Tomasz był niebotycznie zaskoczony, kiedy został bez pardonowo zaatakowany przez barona.

Wpierw myślał, że Niemcowi w ferworze walki coś się pomyliło i czekał, by tamten ochłonął i zrozumiał pomyłkę.

Ale nic podobnego nie nastąpiło.

Przeciwnik nacierał coraz energiczniej.

Tomasz zrozumiał, że to nie żarty, i ostro wziął się do roboty.

Przebiegło mu przez

Pomocy!

(niem.

).

302

głowę, że Niemiec chce go wyeliminować z jutrzejszego joustingu, aby tym pewniej sięgnąć po zwycięstwo w turnieju, lecz zaraz odrzucił tę myśl.

Znał barona i wiedział, że nie był on zdolny do tak niehonorowego posunięcia.

Ostatecznie tylko udawał Krzyżaka.

Obaj dawno stracili kopie, więc walczyli namieczy.

Kary koń Krzyżaka, potężniejszy od Witezia i zakuty w stal jak jego pan, wolno lecz systematycznie spychał lżejszego siwka w tył.

W pewnej chwili Bażyński zorientował się, że znaleźli się spory kawałek od miejsca bitwy.

Od pozostałych rycerzy oraz widzów odgradzał ich wzgórek, za którym ciągnął się las.

Wokół żywego ducha.

Pojął intencję przeciwnika, odskoczył w bok i próbował mu umknąć, jednak tamten przewidział jego manewry i wporę zajęczał mu drogę.

Tomasz uchylił się przed potężnym ciosem, który mógł go zmieść z siodeł, i sam walnął z całej siły.

Jednak Krzyżak zdołał się zastawić tarczą.

A potem podjechał blisko i uderzył nią Tomasza.

Zaskoczony Polak zachwiało się.

Cudem udało mu się wyjąć nogę zestrzemia i zsunąć się na drugą stronę końskiego grzbietu, a nie upaść niegodziwiec.

Wróg natychmiast to wykorzystał i zagonił Bażyńskiego w krzaki.

Dopiero tam, kiedy kary rumak ugrzązł w chaszczach, a rycerzowi gałęzie ograniczyły swobodę machania mieczem, Tomaszowi udało się zanurkować pod koński brzuch i dobytą z pochwy mizerykordią przeciąć popręg.

Czarny rycerz zwałił się na łeb.

Stracił przy tym hełm i tarczę, ale pozbierał się, nim Tomasz zdołał wykorzystać chwilową przewagę.

Zresztą przez moment ogarnął go paraliż, kiedy zrozumiał, z kim ma do czynienia.

Z brodatej gęby patrzyły okrutne oczy.

Bez wątpienia należały do mordercy profesora von Baysena i innych osób oraz tajemniczego prześladowcy poszukiwaczy skarbu templariuszy w jednej osobie.

Niespodziewanie ogarnęła go wściekłość i żądza mordu.

Jarecki miał rację - Tomasz nigdy dotąd nie bił się na poważnie, a już na pewno nie na śmierć i życie.

Tym razem było inaczej.

Chciał zabić.

Nim brodac zdołał podnieść zgubioną tarczę, Tomasz spadł na niego jak furia i zasypał lawiną ciosów.

Kilka z nich sięgnęło celui zatrzęsło tamtym, ale żaden nie przebił solidnej zbroi, oderwały z niej jedynie kilka płyt.

Atak wyczerpał za to Polaka i Niemiec przeszedł do ofensywy.

Był potężnej budowy i choć starszy od Tomasza i z pewnością niemający wielkiego pojęcia o walce na miecze, to jednak dysponował krzepą iście niedźwiedzią.

A potyczka na miecze sztuką nie miała wiele wspólnego.

O sukcesie decydowała siła i zręczność.

Tylko wprawie i refleksowi Tomasz zawdzięczał, że żaden z potężnych ciosów brodacza nie doszedł do celu.

303.

Za to tarcza poszła w drzazgi.

Bażyński słabł i miał świadomość, że jeśli czegoś szybko nie wymyśli, przegra.

Zamarkował cios w głowę, a gdy tamtensię zasłonił, ciął go wramię.

Blacha puściła, kolczuga też.

Powstrzymały jednak cios na tyle, że ręka pozostała w jednym kawałku, acz krwawiła.

Brodacz ryknął z bólu i upuścił miecz, zanim jednak Tomasz dołął wykorzystać przewagę, przeciwnik rzucił się na niego, wytrącił mu oręż z dłoni, obalił na ziemię i usiadł na piersiach, kolanami dociskając ręce.

Sprawną dłonią wyjął sztylet z zapasa i przystawił Tomaszowi do

- spoiny między hełmem a napierśnikiem.

- Gadaj, gdzie jest skarb, albo zginiesz - warknął bezbłędną polszczyzną, aczkolwiek z gardłowym akcentem.

- I tak mnie zabijesz - odparł Tomasz z niezachwianą pewnością.

- To prawda - zgodził się morderca.

- Ale mogę zrobić to szybko i bezboleśnie albo będę cię męczył wolno, żebyś olało jak cholera.

Zanim

skończę, i tak mi wszystko wyśpiewasz.

Wybieraj.

Bażyński spróbował go z siebie zrzucić, ale równie dobrze mógłby przepychać się ze słoniem.

Opór tylko rozjuszył zabójcę.

Zerwał ofierze przyłbicę ofierze i przytknął czubek mizerykordii do jej twarzy.

- Najpierw lewe oko.

Operacja bolesna jak mało co, więc nie chcę, byś swoim wrzaskiem prowadził mi tu kogoś na kark - powiedział, kładąc Tomaszowi dłoń w ciężkiej stalowej rękawicy naustach.

- Potem zapytam

cię jeszcze raz.

I tak do skutku.

Przerażony wzrok Tomasza powędrowała boki.

Ale Jareckiego stracił

z oczu dawno temu.

Nikt inny również nie nadciągał z odsieczą.

Ostrzeszyletu rośło mu w oczach.

Anna Maria z daleka zobaczyła dwa rumaki bojowe, spokojnie pasące się na skraju lasu.

Wysoka trawa tłumiała tętent kopyt, ale dojeżdżając, dziewczyna na wszelki wypadek zwolniła i zeskoczyła z kasztanki.

Połamane gałęzie i zryta ziemia wskazały jej miejsce pojedynku.

Z rozbiegu wpadła na zabójcę, wyrzutem stopy wybijając mu puginałz dłoni.

Potem okręciła się jak baletnica i prostując ugiętą nogę, wyrznęła brodacza podeszwą w twarz.

Przewidział to, lecz nie zdołał się całkowicie uchylić.

Jednak wystarczająco, aby główny impet przyjął na siebie stalowy kołnierz.

Dziewczyna syknęła z bólu, ale odważnie skoczyła brodaczuwina plecy.

Sięgnął za siebie i prosto odrzucił ją na bok jak natrętnego

304

psiaka.

Wyprostował się przy tym na moment, który wystarczył Bażyńskiemu, by unieść kolano.

Ugodzony w słaby punkt morderca rozdziawiłz bólu usta, w które Tomasz władował pięść, wkładając w to całą swoją wściekłość i niedawny paraliżujący strach.

Brodacz stęknął i przewalił się na bok jak podcięte drzewo.

Zanim Bażyński stanął na równenogi, codla rycerza taszczącego na sobiedwadzieścia pięćkilo żelastwa nigdy nie było łatwe bez pomocy giermka, morderca zdążył dojść do siebie.

Dźwignął się na kolano, po czym wstał.

Ale z jednej strony już zachodził go Anna Maria z grubą gałęzią podniesioną z ziemi, z drugiej - Tomasz odzyskanym mieczem.

Brodacz rozejrzał się za swoim orężem, który leżał zbyt daleko.

Wtedy uczynił rzecz zaskakującą.

Zgarnął garściachui sypnął Bażyńskiemu w oczy, zaś atakującą Niemkę powitał kopnięciem, które odrzuciło ją jak szmacianą lalkę.

Po czym pobiegł do koni.

Kiedy Niemka i Polak dotarli na skraj lasu, czarny rycerz już siedział na

Witeziu.

Na widok swego panawierny siwek wierzgnął, lecz jeździec nie pozwolił się zrzucić.

Uderzył za to wierzchowca pięścią w bok.

Koń stęknął posłusznie zerwał się do biegu.

Bażyńskiemu chwile zajęło opanowanie karego, a kiedy ruszył w pościg, Anna Maria znacznie go wyprzedzała na swojej śmigłej klaczy.

Kary, silniejszy od Witezia, był od niego znacznie wolniejszy.

Nie bez powodu morderca wybrał siwka.

- Nie!

- wrzasnął Tomasz, widząc, jak dziewczyna zajeżdża z boku brodacza i na odlew wali go drągiem.

Cios wstrząsnął zabójcą, któremu jednak udało się pochwycić gałęzi przyciągnąć ją do siebie razem z dziewczyną.

Szarpiąc wysadził niedoświadczoną dżokejkę z siodła.

Byłaby spadła wprost pod kopyta rozpędzonych koni, ale na szczęście wypuścił rękę gałęzi zdołała pochwycić strzemień.

Jednak wciąż groziło jej stratowanie, ponieważ Witeź włóklją podwieszoną mu u brzucha, a brodacz wyjmował właśnie stopę z strzemienia, by zepchnąć dziewczynę pod kopyta.

- Przepraszam, stary- powiedział Bażyński i dźgnął karego mizerykordią w zad.

Rumak kwiknął i wyrwał w przód tak rączo, że w parę chwil dopędził podwójnie

obciążonego siwka.

Tomasz nie atakował zabójcy.

Przechylił się w siodle, złapał dziewczynę za kołnierz i krzyknął do niej:

- Puść!

Posłusznie puściła strzemię.

Odciążony Witez pognał naprzód.

Bażyński go nie ścigał.

Uciekinier oddalał się coraz bardziej.

Zanim zniknął mu z oczu, Tomasz zobaczył coś w jego ręku.

Wpierw pomyślał, że to pistolet.

305.

Odetchnął z ulgą, gdy brodacz przyłożył to coś do ucha.

Komórka.

Zamoment pochłonał go zmierzch, który zapadł niewiadomo kiedy.

Tomasz zatrzymał karego.

Zeskoczył z siodła i zajął się dziewczyną, którą silny uchwyt pozbawił tchu.

Ukląkł obok niej i czekał, aż złapie oddech.

Kiedy doszła do siebie, spytała z wyrzutem:

- Czemu pozwoliłeś mu uciec?

-Bo ty jesteś dla mnie stokroć ważniejsza.

Ściągnął rękawicę i pogłaskał ją delikatnie po odrastającej czuprynie.

- Nic ci nie jest?

-Nie.

A tobie?

- Też nic.

Dzięki tobie.

Gdybyś się choć odrobinę spóźniła, nie miałbym już oka.

Przyjrzałam się krytycznie.

- Czy ja wiem?

Z czarną opaską byłbyś nawet przystojniejszy.

Niepotrzebnie się pośpieszyłam.

Teraz przez tydzień nie usiądę na tyłku, tak

mnie boli odsiodła.

- Tonic.

Będę cię nosił na rękach.

Jak mnie znalazłaś?

- Z korony amfiteatru zobaczyliśmy, co się dzieje.

-Coz baronem?

- Żyje.

Ale niewiele brakowało.

Gdzie my w ogóle jesteśmy?

- Żebym to wiedział.

- odparł, rozglądając się dookoła.

Natyle, na ile dało się jeszcze cokolwiek zobaczyć, zorientował się, że znajdowali się w dość rozległej płytkiej kotlinie, zewsząd otoczonej pagórkami, a z dwóch stron lasem.

- Kompletnie odludzie - skomentowała.

- Na to wygląda.

Nawetnie wiem, w którą stronę się obrócić, żeby dojść do obozu.

Możemy dosiąść karego i podjechać na wzgórze.

Stamtąd powinno być widać jakieś światła.

Nie jesteśmy przecież na pustyni.

- Zanic nie wsiądę na konia.

Przynajmniej w tym roku.

A iść taki kawał też mi się nie chce.

Cała jestem obolała.

Na szczęście między innymi po to wynaleziono komórki, żeby w takiej potrzebie wezwać taksówkę,

człowieku z mroków średniowiecza.

Bardzo z siebie zadowolona sięgnęła do kieszeni po telefon.

i wyjęła kilkaszczałków, których chyba nawet święty Jan Kanty niezdolałby poskładać do kupy.

- No i masz swoją technikę, dziewczyno z XXI wieku - uśmiechnął się. - I co teraz?

- Niewiem.

Będę tu siedzieć całą noc płakać.

Rzeczywiście miała taką minę, jakby za chwilę miała się rozplakać.

Pochylił się i wziął ją na ręce.

- Dokąd się wybierasz?

- spytała.

- Do lasu.

Jeśli mamy tu spędzić noc, tam będzie przyjemniej.

Na szczęście nie miał daleko.

Porzucony kary poczłapał za nimi.

Tomasz wybrał zaciszną polankę otoczoną sosnami i porośniętą miękką trawą, na której ułożył dziewczynę.

Potem zajął się wierzchowcem.

Pozdjmował z niego blachy i siodło, otarł goz potu wiechciem suchych źdźbeł i pozwolił mu się paść.

Następnie przyniósł wczapce wody z szemrzącego w pobliżu strumienia.

Najpierw dał się napić dziewczynie, potem wypił sam, resztą napoił karego.

Dopiero wówczas z pomocą Anny Marii pozbył się krępującej ruchy zbroi i ruszył w las.

Wrócił z naręczem cetyny.

Obracał jeszcze kilka razy, aż w końcu ułożył z gałęzi całkiem wygodne legowisko, na którym położyła się Niemka.

- Palisz, więc powinnaś mieć przy sobie zapalniczkę.

Rozpalimy ognisko i będzie prawie jak na biwaku.

Może ktoś zobaczy ogień.

A jak nie, to przynajmniej dym odpędzi komary.

- Niedawno postanowiłam conieco zmienić w swoim życiu.

Na początek rzuciłam palenie.

Więc nie mam zapalniczki i z ogniska nici.

- Chwalebne postanowienie, acz trochę przedwczesne.

Ha, trudno.

Przynajmniej posuń się trochę.

Położył się obok niej, z ulgą wyciągając obolałe ciało.

Leżelita przez'; dłuższą chwilę, nic nie mówiąc i słuchając nocnego koncertu cykad.

- Nie przeprosiłem cię jeszcze zato, czego ci nagadałem w drodze do Szestna -

powiedział wreszcie.

- Nie musisz.

Naturalne, że wszyscy chcielibyśmy odczuwać wyłącznie dumę z dokonań swego narodu.

Ale z przeszłością trzeba się rozliczyć, nie ma od tego ucieczki.

Ten przyjazd do Polski dużo mi dał.

- A jednak zrobiłem ci przykrość, chociaż nasze pokolenie niczym nie zawiniło.

- Przepraszam.

I dość już o tym, co było.

Lepiej powiedz, czego chciał od ciebie ten brodac?

- Chciał ze mnie wydobyć, co wiem na temat miejsca ukrycia skarbu templariuszy, a potem mnie zabić.

To było bardzo sprytnie pomyślane.

Po pierwsze, tylko w ten sposób mógł mnie zdybać samemu, a po drugie, oni podjęliby trop, a wy byście go stracili.

Jeszcze nikomu przecież nie powiedziałem wszystkiego, co wiem lub się domyślam.

- Mnie też nie powiesz?

- Przed tobą nie mam tajemnic.

Ina dowód powiedziała jej, dokąd pojedą w poniedziałek i dlaczego tam.

- Jedno mnie zastanawia - powiedziała.

- Skądbrodacz wiedział, że

nie podzieliła się jeszcze z nami wszystkim, co udało się odkryć.

- Sam się nad tym zastanawiam.

Oboje mieli świadomość, że najprostsze wyjaśnienie może być tylko

jedno: ktoś z ich grupy musiał informować przeciwników, ale bali się tym mówić na głos.

Poszukiwani zdrajcy oznaczałoby bowiem wprowadzenie do zespołu nieznoszącej atmosfery wzajemnej podejrzliwości.

A jednak należało jak najszybciej zacząć się rozglądać za odpowiednim kandydatem.

Nie było innego wyjścia.

- Idę się umyć - Anna Maria podniosła się z posłania.

- Daleko ten

strumień?

Pokazał jej drogę, a kiedy wróciła, poszedł zrobić to samo.

Woda była

zimna, lecz dawała orzeźwienie i działała kojąco na wszystkie rany, otarcia i siniaki.

Wytarł się niedbale koszulą, którą potem włożył i resztę ubrań wnosząc pod pachę, wrócił na polanę.

Już miał dołączyć do dziewczyny, kiedy usłyszał jakiś hałas.

Tomasz natychmiast złapał za miecz, lecz pochwili odetchnął z ulgą.

To Witeź wrócił do swego pana.

Trzeba było się nim zająć jak wcześniej karym.

Przywiązał oba ogiery do drzew z dala od siebie, żeby się nie pogryzły, i wskoczył na posłanie.

- Jak myślisz, co się stało z moją kasztanką?

- zapytała.

- Pewnie wróciła do obozu.

-Więc powinni już nas szukać.

- Może to robią, ale po ciemku ciężko znaleźć ślady, a my nie mamy jak imdaćznać.

Leżąc na wznak, z rękami pod głową, Tomasz kontemplował niebo, roziskrzone gwiazdami.

Noc była ciepła, więc odrzucił kaftan, którym się przykrył.

- Rozmawiałem z Adamem- powiedział po chwili.

- Przyjął nasze warunki.

Jest jednak pewien szkopuł.

- Jaki?

Powiedział jej.

- Może to nawet lepiej - odparła po przerwie.

- Jutro zadzwonię do

ciotki Marty, żebywyszukała dla niej odpowiedni dom opieki.

Znów zapadło milczenie.

Może po kwadransie, wciąż nie mogączasnąć i widząc, że Anna Maria teżprzewracasięz boku na bok, zapytał:

308

- Nieśpisz?

-Myślę.

- O czym?

-O pojednaniu.

Anawet o zbliżeniu.

Niekoniecznie od razu całychnarodów.

Może na początekwystarczyłaby skromna reprezentacja?

Zrobiło mu się nagle gorąco.

Obrócił się na bok, żeby ją objąć, i wtedy zorientował się, że była zupełnie naga.

Przyciągnęła go do siebie.

Kiedysię całowali, równie długo i namiętnie jak za pierwszym razem, ściągnęła z niego koszulę i slipy.

Ich ręce błądziły po ciałach, poznając najtajniejsze zakamarki.

Najpierw dotykali się delikatnie, jedynie opuszkami palców muskając skórę.

Dyszeli, coraz bardziej podnieceni.

Pieszczoty nabierały intensywności.

Ugryzła go.

Zsunął się z niej nieco, aby popieścić ustami brzmiało piersi.

Czuł w sobie jednocześnie ogromne pożądanie i wielką tkliwość.

To chyba była prawdziwa miłość.

Do Anżeliki przyciągała go jedynie żądza.

Anna Maria jęknęła, kiedy posadził najpierw jedną, potem drugą jej brodawkę.

Zszedł niżej, całując brzuch, pępek, wewnątrz na stronę ud icałenogi aż po stopy.

Potem odbył powrotną drogę.

Kiedy musnął wargami wilgotne i pulsujące ciało między kępką włosów łonowych i wsunął w nie język, krzyknęła i szarpnęła go ku sobie.

Wszedł w nią z sapnięciem.

Niemal w tej samej chwili szczytowali oboje, krzycząc niewysłowionej rozkoszy.

Po jakimś czasie zaczęli wszystko od nowa, tylko wolniej, znów napawając się każdym dotknięciem.

Nim zasnęli ciasno objęci, po raz trzeci, z jednakowym entuzjazmem, postąpili nadrodze zbratania dwóch narodów o kolejny krok naprzód.

Całkowicie zaspokojeni spali tak twardo, że nie słyszeli, jak ekipa poszukiwawcza dwukrotnie przeszła tuż obok.

Znaleziono ich dopiero rano, gdy sami wyszli z lasu.

- Odszukaliście go?

- spytał Stirlitz wchodzącego do pokoju Klossa.

- Z trudem.

Daleko się zapędził.

Zdążyliśmy w ostatniej chwili.

Zaraz potem przejechałam tędy radiowóz.

- Nic mu nie jest?

- Lekko ranny.

Ale to nic poważnego.

Trochę wody utlenionej, plasterki po krzyku.

- A tamten?

- Żywy i chyba nieuszkodzony.

Co robisz?

309.

Rosjanin z jednej kieszeni wiszącej na oparciu krzesła marynarki

wyjął pistolet, zdrgiej tłumik i połączył obaw całość.

- A jak myślisz?

- odparł, wstając z krzesła i idąc ku drzwiom.

-To

co trzeba, żeby uratować nam wszystkim dupy.

Chwilę potem Kloss usłyszał przez cienką, gipsową ścianę coś na kształt kasznięcia.

Przyzwyczajony do takich sytuacji i odgłosów, mimowszystko poczuł się nieswojo.

Podszedł do barku, wyjął brandy i prosto

z butelki pociągnął solidny łyk.

Wrócił Stirlitz.

- Ja swoje zrobiłem - powiedział, wyciągając rękę po flaszkę.

- Teraz

twoja kolej.

Grunwald, 18 lipca 2010 (niedziela)

Zaraz po przybyciu do obozu Anna Maria i Tomasz złożyli wyjaśnienie funkcjonariuszom Powiatowej Komendy Policji w Ostródzie.

Ich zeznanie dotyczyło tylko wczorajszego incydentu, określonego jako "atak niezidentyfikowanego szaleńca", resztę zostawili w rękach inspektora Czarneckiego.

Kiedy policjanci odjechali, a inspektor ze swymi ludźmi wybrał się na przeczesywanie okolicy, licząc na znalezienie czegoś, coprzedczyli lokalni stróże prawa, Bażyński udał się na mszę polową do obozu harcerskiego.

Towarzyszyła mu Anna Maria.

Jak wyznała, w Krakowie niespodziewanie wróciła jej wiara, której wyrzekła się jeszcze jako nastolatka.

To także miała na myśli poprzedniego dnia, mówiąc o zmianach w swoim życiu.

Popowrocie z mszy Tomasz przystąpił do realizacji pomysłu, który przyszedł mu

dogłowy minionego wieczoru, zanim jeszcze sprawy miłosne nie zepchnęły na drugi plan wszystkich innych.

Najpierw sporządził portret pamięciowy brodacza, a potem

spróbował stworzyć jego rysy bez brody.

- O kurczę!

- zawołał Jarecki, który wszedł do namiotu akurat, gdy

Tomasz zakończył pracę.

- Niewiesz, czy organizatorzy mają fax?

- Powinni mieć.

- W takim razie pożycz mi na chwilę rysunki.

Aha, baron zaprasza

cię na drinka.

Von Mansdorf urządził w swoim wielkim namiocie coś na kształt

przyjęcia.

Z jednej strony na otarcie łez, ponieważ z obandażowaną głową i bez skradzionej zbroi nie mógł wziąć udziału w joustingu, który

310

właśnie odbywał się niedaleko i na który udali się niemal wszyscy pozostali jeszcze w obozie, w tym Radziszewscy.

Z drugiej - dla uczczenia wyjścia prawie cała zprzysługa, która mogła zakończyć się znacznie gorzej (dowiedział się w zaufaniu, że szaleniec, który na niego napadł, przypuszczalnie jest poszukiwanym wielokrotnym mordercą), no i odzyskania przynajmniej karego.

Tomasz jeszcze raz musiał opowiedzieć swojej walce zbrodaczem, choć Anna Maria uczyniła to już wcześniej.

W trakcie opowiadania wrócił komisarz, a niedługo potem zjawił się inspektor.

- Mam dobre wieści - oznajmił bardzo zadowoloną miną.

- Wkrzakach przy drodze, kilka kilometrów stąd, znaleźliśmy zbroję pana barona.

W tej samej chwili dwóch jego ludzi wniosło do namiotu i złożyło w kącie, co zostało z pięknej i cennej czarnej zbroi.

Mimowszystko Niemiec ucieszył się z odzyskania zguby i pogratulował policjantom skuteczności.

- To nie wszystko - pochwalił się inspektor.

- Mamy poszukiwanego!

Chwilę napawał się wrażeniem, jakie jego słowa uczyniły na obecnych, po czym kontynuował:

- Leżał w dole, wciąż w zbroi, starannie przykryty gałęziami.

Zapewne dlatego przegapiono go w pierwszej fazie pospiesznych poszukiwań.

Został zastrzelony, przypuszczalnie przez swoich współników, których niewątpliwie także niedługo odnajdziemy.

Ciało już przewieziono do Ostródy.

Dlatego teraz poproszę pana Bażyńskiego i pannę von Baysen, którzy dobrze mu się przyjrżeli, żeby pojechali ze mną w celu identyfikacji zwłok.

Uprzedzam, że nie będzie to przyjemny widok.

Strzelono mu w tył głowy pociskiem rozpryskowym typu dum-dum, dlatego brak mu połowy twarzy.

Tomasz i Anna Maria wyszli razem z inspektorem.

Bażyński wstąpił jeszcze do swego namiotu, z którego zabrał szkicownika, odniesiony przez komisarza.

W drodze na parking mogli się przekonać, że impreza wolna dobiegała końca.

Świadczyło o tym sporo pustych miejsc tam, gdzie jeszcze poprzedniego dnia stały namioty, zarówno w obozie rycerskim, jaki na polu biwakowym.

Wyludniło się rzemieślnicze podgrodzie, wielu kupców w części komercyjnej także już się zwinęło, pozostałoby liw trakcie likwidacji stoisk.

Już siedząc w samochodzie, Tomasz wyjął ze szkicownika oba portrety i wręczył je inspektorowi.

- Znakomity pomysł - pochwalił inspektor.
- Zaraz prześlę je do sprawdzenia w naszym centrum informacji, a także w bazie danych Interpolu.

Chociaż teraz, skoro zbrodniarz nie żyje, ma to drugorzędne znaczenie.

Tomasz był innego zdania, ale się z nim nie zdradzał.

- Można zobaczyć?
- Anna Maria wyciągnęła dłoń po rysunki.
- Oczywiście- inspektor podał jej portrety.
- Pokazywał je pan komuś jeszcze?
- Tylko komisarzowi Jareckiemu.
- Doskonale.

Po około półgodzinie dotarli do Ostródy.

Inspektor najpierw wstąpił do komendy, gdzie spędził kolejne półgodziny, które Anna Maria i Tomasz przeczekali w samochodzie.

Potem podjechali winnego miejscy Czarnecki znów ich opuścił na kilkanaście minut.

Wrócił z mrukliwym jegomościem, którego przedstawił jako pełnomocnika prokuratury rejonowej nadzorującego tę sprawę.

Mrukliwość prokuratora była spowodowana zapewne tym, że inspektor wyraźnie dawał mu do zrozumienia, kto tu rządzi i kieruje śledztwem.

Razem udali się do kliniki przy ulicy Jagiełły, gdzie przeszli podobną procedurę jak poprzednio w Zakładzie Medycyny Sądowej w Krakowie.

Mimo ostrzeżenia, dziewczyna aż się zdrygnęła na widok zmasakrowanego oblicza zabójcy, któremu kulawybiła jedno oko, zmiażdżyła nos i oderwała połowę szczęki.

Chociaż ktoś z personelu medycznego postarał się, żeby zamaskować obrażenia, widok i tak był makabryczny.

Jednak nie ulegało wątpliwości, że nieboszczyk nosił brodę.

- Poznajecie go państwo?

- spytał Czarnecki.

Tomasz zsunął białe prześcieradło okrywające denata aż po szyję, obnażając potężny tors porośnięty gęstymi włosami.

Rana na ramieniu

mogła pochodzić od miecza.

- Doktorze, kiedy zginął ten człowiek?

- zagadnąm młodego lekarza, dla którego musiało to być stosunkowo nowe doświadczenie, bo wyglądała autentycznie przejętego i speszzonego obecnością ważniaka ze stolicy.

- Jakieś piętnaście, szesnaście godzin temu.

Czyli wczoraj wieczorem, gdzieś między dwudziestą a dwudziestą drugą.

- Trudno orzec całą pewnością, lecz to może być człowiek, który napadł na mnie podczas inscenizacji bitwy i chciał zabić - powiedział Bażyński z namysłem.

- Poza tym czas zgonu też by się mniej więcej zgadzał.

Ostatni raz widzieliśmy go o zmierzchu.

312

Niemka tylko kiwnęła głową potakująco.

- To wszystko, co chciałem wiedzieć - powiedział inspektor i zwrócił się do miejscowych: - Z panami jeszcze się spotkamy, kiedy uda nam się ustalić dane osobowe denata, czyli pewnie za niedługo.

Podsunał Annie Marii i Tomaszowi jakieś papiery do podpisania, uścisnął dłoń lekarzowi i prokuratorowi, któremu oddał dokumenty, i w trójkę opuścili szpital.

Przez całą drogę powrotną Tomasz milczał jak zakłęty, o czymś intensywnie rozmyślając.

Nie były to wesołe myśli, bo minę miał zaafektowaną.

Wysadzając ich na parkingu przed recepcją, inspektor powiedział:

- No i po sprawie.

Przynajmniej jeśli chodzi o państwa.

Wpadną tylko jutro, się pożegnać, jeśli jeszcze będziecie na miejscu.

Być może będę też coś więcej wiedział o denacie.

Zatem do zobaczenia.

I nareszcie spokojnych snów!

Było już po joustingu i kto żyw zbierał się do odjazdu.

Radziszewscy także zamierzali jeszcze tegodnia wracać do Krakowa, więc Tomasz i pozostali musieli się spieszyć, by zwinąć namioty i spakować rycerskie kwapunki, którymi mieli zabrać Radziszewscy.

Potem nastąpiła cała seria pożegnań, w tym z baronostwem, które również zdecydowało się nocą wracać do swoich włości pod Ełkiem.

Bażyński i von Mansdorf solennie obiecali sobie stoczyć pojedynek na joustingu w następnym roku.

Ale najdłużej i najczulej Tomasz żegnał się z Witeziem.

Kiedy obóz rycerski opustoszał, przenieśli się w piątkę na pole biwakowe, gdzie rozbili normalne namioty - dwójkę dla komisarza i Anżeliki i czwórkę z jakby sienią pośrodku i dwoma sypialniami po bokach dla pozostałych.

Pochłonięci kolacją już im się nie chciało, więc udali się do czynnego jeszcze baru.

Wszyscy oprócz Anżeliki, która wymówiła się migreną.

Po powrocie rozścielili posłania.

Aby nie dawać powodów do komentarzy, zachowali stary układ - Anna Maria w jednej części namiotu, mężczyźni w drugiej.

Szykowali się właśnie powoli na spoczynek, kiedy przyszedł komisarz z flaszką wódki.

- Nie wiem jak wy, ale ja muszę się czegoś napić - oznajmił grobowym tonem.

- A gdzie masz Anżelikę?

- spytał Katz.

- Cholera!

W tym sęk.

Nie ma jej.

Zabrała wszystkie bambetle i odjechała.

Dlatego właśnie potrzebuję czegoś na wzmocnienie nadwreżonego ego.

Patrzcie!

313.

Wydobył z kieszeni zmiętą kartkę i podał Tomaszowi, który rozłożył ją w świetle gazowej latarni przeczytał na głos: MAM WSZYSTKIEGO DOŚĆ.

SPOTKAŁAMZNAJOMYCHI ZABIERAM SIĘZ NIMI DO KRAKOWA.
SAMIBAWCIE SIĘ DALEJ W POSZUKIWACZY SKARBÓW.
ŻEGNAM - ANGELIQE.

- To jej charakter pisma?

- spytał Tomasz.

- A czyj?

- burknął policjant.

-Pewnie że jej.

Styl też.

Po prostu

puściła mnie w trąbę.

I to zaraz potem, jak się jej oświadczyłem, a onamnie przyjęła.

Kto zrozumie kobiety?

Polejcie, bosię całkiem rozkleję

z żalu nadsobą.

Na jednej flaszcze się nie skończyło.

Wśród nocy cośobudziłoTomasza.

Trochę potrwało, nim do jego nieco przytępionej świadomości dotarło, że dzwonił telefon za ścianą.

Czyli w namiocieJareckiego.

Popewnym czasie komisarz widocznie też musiał się obudzić i odebrać,bo

już nic nie przerywało nocnej ciszy.

Bażyńny, 19 lipca 2010 (poniedziałek)

- A właściwie, co działo się później, po Grunwaldzie?

Już wczoraj miałem o to zapytać, ale nie było okazji - w drodze do Ostródy zagadnął Bażyńskiego Katz.

Znów było mu ciasno na zawałonymgratami tylnym siedzeniu dżipa,

ale mimo to nie chciałem narzucać Jareckiemu, a komisarz, będący odraża-
wniezwykle ponurym nastroju, nie zaproponował mi miejsca
w swojej kii.

- Polacy jeszcze raz rozgromili Krzyżaków.

W bitwie pod Koronowem roznieśli dwukrotnie silniejszego wroga.

Odtąd Krzyżacy jak ognia unikali walki w otwartym polu.

Z kolei Polakom nie szło zdobywanie zamków.

Powtarzało się to w każdej kolejnej bitwie, a wyszło na jaw już tydzień po
grunwaldzkiej Wiktorii, kiedy wojska polsko-litewskie obiegły Malbork, połamały
sobie na nim zęby i odeszły.

Obroną stolicy umiejętnie kierował przyszły wielki mistrz Henryk von Plauen.

W następnym roku w Toruniu podpisano pokój.

Litwa odzyskała Żmudź, a Polska niezyskała nic oprócz ogromnego szkodowania,
które zrujnowało Krzyżaków.

Sromotnie przegrali potem pojedynek ideologiczny na soborze w Konstancji.

Odtąd zakon zaczął podupadać.

Następny potężny cios

zainkasował pół wieku po klęsce pod Grunwaldem.

314

- Za sprawą naszego przodka, Hansa von Baysena - dodała Anna
Maria.

- Zwanego też Hanuszem Bażyńskim - uzupełnił Tomasz - Trzeba
oddać Krzyżakom sprawiedliwość.

Ich państwo było doskonale, wręcz wzorowo i z ściągnięciem sprawnością
zorganizowane.

Nie gardził handlem, mieli własną pocztę, sekretne pismo dyplomatyczne i precyzyjne
mapy, policję jawną i tajną oraz wszędzie swoich agentów, dzięki czemu wiedzieli, co
w trawie piszczy w każdym zakątku Europy.

- To musiało kosztować - przerwał mi Katz.

- I kosztowało.

Dlatego gnębili wysokimi podatkami wszystkich swoich poddanych bez wyjątku. I dlatego rycerze pod koniec XIV wieku zorganizowali potajemne, antykrzyżackie Towarzystwo Jaszczurcze', którego członkowie posługiwali się znakiem jaszczurki. Przywódcą jaszczurkowców był Mikołaj Ryński, rycerz z ziemi chełmińskiej, ten który pod Grunwaldem pierwszy zwinął chorągiew na znak kapitulacji.

Krzyżacy potem zemścili się na nim.

Pochwycili go zdradziecko i po torturach ścięli w maju 1411 roku na rynku w Grudziądzu.

Po grunwaldzkim pogromie mało kto garnął się do zakonu, więc Krzyżacy musieli do własnej obrony zaciągać najemników, głównie z Czech.

A to pochłaniało ogromne sumy.

Ucisk fiskalny w ich państwie wzrósł do niebotycznych rozmiarów.

Wówczas mieszczanie i rycerze, Niemcy i Polacy, zawiązali Związek Pruski, wywołali powstanie przeciw Krzyżakom i zgłosili akces Prus do Polski.

W trakcie wojny trzynastoletniej nieopłacani najemnicy czescy zaciętkie pieniądze wydali Polakom niezdobyty Malbork i inne twierdze.

Po wojnie, w 1466 roku, Polacy odebrali Krzyżakom połowę ich państwa.

- Czemu nie całe?

- dociekał Katz.

- Bo Polskę również wycieńczyła długoletnia wojna.

Pozostała część Prus Zakonnych stała się polskim lennem, a wielcy mistrzowie musieli do tego składać hołd polskim królom.

Najsłynniejszy odbył się na krakowskim Rynku w 1525 roku, kiedy przed królem Zygmuntem Starym, wnukiem Jagiełły, uklęknął ostatni wielki mistrz rozwiązanego niedawno zakonu krzyżackiego, a zarazem pierwszy świecki książę nowopowstałych Prus Książęcych, Albrecht Hohenzollern, siostrzeniec króla. Zygmunt powinien był wcielić resztę Prus do Polski, a nie bawić się w uprzejmości.

Wszystkie następne okazje włączenia Prus

' Niem.

Eidechsenbund.

315.

do Polski też zostały zmarnowane z powodu tradycyjnej polskiej nieudolności i krótkowzroczności.

To musiało się zemścić.

Podczas wielkiego najazdu Szwedów na Polskę, w połowie xvii wieku.

Księstwo Pruskie skorzystało z okazji i uniezależniło się od Polski.

Potem połączyło się z Brandenburgią i stało królestwem.

Następnie wzięło udział w rozbiorach Polski.

W xix wieku podbiło inne państwa niemieckie i doprowadziło do zjednoczenia

Niemiec, które z kolei wywołały dwie wojny światowe.

Po ostatniej Prusy Wschodnie przestały istnieć.

Teraz są tu Mazury i przynajmniej do następnej światowej zawieruchy raczej tak już zostanie, czy to się komu podoba, czy nie.

Zerknął niepewnie na Annę Marię, ale tym razem dziewczyna milczała.

Wjechali do Ostródy i stanęli na najbliższej stacji benzynowej.

- Zamówcie w barze coś do jedzenia, albo przynajmniej kawę, ja muszę pogadać z Tadekiem - powiedział.

- Niedługo do was dołączymy.

Zdażył zatankować, porozmawiać z sympatycznym krajanem z Krakowa (który wraz z rodziną w drodze do Suwałk na Podlasiu przemierzał całe Mazury z zachodu na wschód) i zajechać na stanowisko z kanałem, kiedy wreszcie pojawił się samochód Jareckiego.

- Rozchmurz się, Tadek - klepnął w plecy wysiadającego z auta przyjaciela.

- Ja też przez to przechodziłem jakoś przeżyłem.

Jednak z równym powodzeniem mógłbym mówić do ściany.

- Łatwo ci gadać.

Widoczniej nie kochałeś.

A ja tak.

Ma swoje wady, ale to świetna dziewczyna.

I jestem pewny, że byłaby dobrą żoną.

- Rozmawiałeś z nią?

- Nie odbiera telefonu.

Idę coś zjeść.

Burczymi w brzuchu.

I napić się mineralnej, bo niewiedzieć czemu, suszy mnie jak cholera - mruknął policjant.

Nie zdążyli zjeść śniadania na polu namiotowym, gdyż Tomasz chciał jak najprędzej dotrzeć na miejsce.

- Zaczekaj - złapał policjanta za ramię.

- Chcę, żebyś wcześniej coś zrobił.

- Co?

- Wiesz, gdzie mi w dziupie założyli GPS.

Zdejmij go i podczep do

tamtęj skody octavii - pokazał samochód z krakowską rejestracją.

- Facet

wybiera się do Suwałk.

W osowiałym oku komisarza pojawił się błysk ożywienia.

- Myślisz.

- Zrób to, zanim tamten wróci.

Potem pogadamy.

316

Kilka minut później Bażyński mógł zjechać kanału.

Gdy wysiadał z auta.

Jarecki właśnie odchodził od skody, do której zbliżał się właściciel z całą rodziną.

Pomachał Tomaszowi na pożegnanie.

Bażyńskiemu odmachnął.

- To wszystko?

- spytał go komisarz.

- Nie.

Masz już odpowiedź z komendy?

- Jakiej komendy?

-No, a do której wysłałeś moje portrety pamięciowe?

- Donaszej, krakowskiej.

Ale przecież słyszałeś, co mówił Czarnecki.

Inspektor odwiedził ich z rana, żeby się pożegnać, a przy okazji poinformować, że osobnik z portretu niewystępuje ani w polskiej, ani w bazach danych Europolu i Interpolu.

Mimo to, jak zapewnił, CBS nieustannie w poszukiwaniach.

Pozatym na wolności wciąż pozostawali wspólnicy mordercy.

- Słyszałem.

Mimo to zadzwoń do swoich.

A potem do szpitala w Ostródzie.

Tu masz nazwisko lekarza i numer telefonu - Tomasz podał mi kartkę z danymi, które ukradkiem zapisałem sobie poprzedniego dnia.

- Lepiej, żebyś ty to zrobił, bo mnie może zechcieć udzielić informacji.

- Co chcesz wiedzieć?

-Tylko jedno: czy denat miał na udzieraną szarpaną.

Wczoraj wolałem nie sprawdzać.

- Tomasz, ty naprawdę fiksujesz.

Policjant wyglądał bardziej na przerażonego niż zaskoczonego; otarł nawet spocznione nagle czoło.

- Zrób to, proszę, jak najprędzej.

A teraz chodźmy już, bo Anna Maria i Adam pewnie zdążyli się niecierpliwić.

- Wspominałeś imo swoich wątpliwościach?

-Jeszcze nie.

- Więc lepiej niech tak zostanie, bo wyjdiesz na błąd.

Po kawie i przekąsce ruszyli w dalszą drogę główną trasą, prowadzącą na Elbląg i Gdańsk.

W Małdytach skręciłina znacznie węższą drogę wojewódzką i pojechali w

kierunku Morąga.

Szosa biegła malowniczo wzdłuż jezior, przez lasy i coraz wynioślejsze pagórki, pozostałość po ostatnim zlodowaczeniu.

- Nieważne czyja, jest to zdecydowanie przepiękna kraina - oświadczyła Anna Maria.

- Mogłabym tu zamieszkać.

317.

Za Morągiem skręcili na Ometę.

Wpewnej chwili Bażyński oznajmił:

- Jesteśmy na Warmii.

-Może się wreszcie dowiem, dokąd jedziemy?

- upomniał się Katz.

- Do Bażyn.

-Waszego rodowego gniazda?

Czemu tam?

- Pamiętasz podróż "Baussanta", okrętu templariuszy?

I legendę rodzinną spisaną przez Anastazję Bażyńską?

Niedawno złożyłem jednoz drugim do kupy.

A jeśli z jakichś powodów, na przykład sztormu, okrętde Beaujeu rzuciło o wiele dalej na wschód od Gdańska?

Imłody templariusz zetknął się jakimś sposobem z von Baysenami?

I zostawił u nichtajemniczą relikwię na przechowanie, a dopiero potem popłynąłdoGdańskaspotkaćsięz Krzyżakami?

Anastępnie, ranny, w Bażynach poszukał schronienia?

Były to tereny biskupie, których Krzyżacy nie kontrolowali tak silniejak pozostałych.

Dlategozniknąłim z oczu.

Jeżelimandylion istnieje i przetrwał do naszych czasów, tomożebyć tylko tam.

- Marna to teoria.

Opartawylącznie na dedukcji i wątpliwych źródłach.

Poza tym już kiedyś odrzuciłeś ten pomysł, bo Bażyny nie leżą nadmorzem.

- Zmieniłem zdanie.

W legendzie morze jednak występuje, więc tammusiało dojść do spotkania.

Nie zapominaj o bliźniaczym pektoralez zaszyfrowanainformacją.

Skądś wziął sięw naszej rodzinie.

A pozatym nie mamy lepszej teorii, więc jak na razie ta musi nam wystarczyć.

ZaOrnetą skręcili na wschódi zaledwie pocztereich kilometrach,w Drwęczynie,

za drogowskazem wjechali w lokalną drogę, która ponastępnych kilku kilometrach doprowadziła ich do leżącego z dala oduczęszczanych szlaków celu.

Minęli mocno zarośnięte i zardzewiałe kolejowe, po którychostatni pociągwidoczniejprzejechał dawno temu, i wjechali do wioski.

Była to ulicówka, malowniczo położona po obu gęsto zarośniętych wierzbina brzegach płynącej środkiem nieuregulowanej rzeczki MłyńskiejStrugi.

Droga także się rozdwajała, biorąc strumień jakby w widły.

Zawsia, z jednej i drugiej strony, ciągnęły się pola uprawne, a za nimi lasy.

Na drugim końcu wsimajaczyła wieża kościoła.

Przystanęli napoboczuprzed rozwidleniem dróg i wysiedli z samochodów.

- Dzwoniłeś?

- spytał Bażyński Jareckiego, ledwie tamten wygramolił się auta.

-Tak.

-I co?

318

- Nic.

Masz wybująą wyobraźnię.

Musisz ją powściągnąć, bo grozi

ci paranoja.

- O czym wy mówicie?

- zainteresowała się AnnaMaria

- Tomasz ma zwidy- odparł komisarz z grymasem, który imitował uśmiech, bynajmniej nie rozjaśniając ściągniętej strapieniem twarzy - Ubrdało mu się, że padliśmy ofiarą spisku, za którym stoi inspektor.

Kazał misprawdzić, czy denat znaleziony pod Grunwaldem nie jest przypadkiem człowiekiem postrzelonym z łuku przez Adama i zabitym celowo przez współników, aby mógł uchodzić za prześladowanego wasod Krakowa mordercę profesora von Baysena.

- Naprawdę tak pomyślałeś?

- zwróciła się do Tomasza.

- Przemknęło mi przez głowę - bąknął zawstydzony.

- Ale skoronieboszczyk nie miał rany na udzie, to nie masprawy.

- A jaka miała być w tym rola inspektora?

- dociekał Katz.

- Dezinformacyjna - wyjaśnił Jarecki.

- Rzekomo miał zataić przednami informacje uzyskane od Interpolu, albo wręcz nigdzie nie posłał portretów wykonanych przez Tomasza.

Ale moi koledzy z krakowskiej komendy, którym przesłałem rysunki faksem, także niczego nie znaleźli.

- Dlaczego inspektor miałby chronić mordercę?

- marszcząc brwi, Katz spojrział badawczo na Bażyńskiego.

Zmieszany Tomasz machnął lekceważąco ręką.

- Zostawmy już to, każdemu wolno się mylić.

Idę się rozpytać.

Poszedł do najbliższego domu, przed którym starszy pan plewił ogródek, od czasu do czasu zerkając ciekawie na przybyszy.

Wrócił po chwili.

Wsiadli do samochodów i po moście wjechali na boczną drogę.

Zatrzymali się przed bardzo porządnie wyglądającą szkołą podstawową.

- Podobno miejscowa dyrektorka, która czy historii, jest istną kopalnią wiedzy o Bażynach i u niej najlepiej zasięgnąć informacji - wyjaśnił Tomasz, kiedy szli do wejścia.

- Przecież są wakacje.

Myślisz, że szkoła będzie otwarta?

- spytał Katz.

- Jest szansa.

W szkole zawsze znajdzie się coś do roboty, dlatego dyrektorzy zaczynają wakacje później, a kończą wcześniej.

Taki fach.

Mieliszczęście.

Dyrektorka, jak informowała tabliczka na drzwiach gabinetu: magister Danuta Ryńska, sympatyczny rudzielec w średnim wieku, właśnie kończyła pracę i zamykała pokój. Ucieszyła się na widok turystów, którzy nieczęsto pojawiali się w Bażynach.

- Nie mamy tu hotelu ani restauracji.

Kiedyś byłakarczma, ale teraz rosła tam chaszcze.

Jest tylko sklep, przy którym koncentruje się życie

319.

wsi. Więc jeśli planujecie tu państwo zanoć, radzę się zaopatrzyć, póki jest otwarty.

To naprawdę niedaleko stąd, zaraz zamostkiem - pokazała przez okno.

Idąc za dobrą radą, Bażyński posłał do sklepu Annę Marię w towarzystwie komisarza, którego przygnębione oblicze zaczynało mu działać na nerwy.

- Zapewne o nocleg będzie ciężko?

- zwrócił się do dyrektorki.

-I tak, inie.

Jak państwo zapewne zauważyliście, domki we wsi są nieduże, głównie ponemieckie z początków XX wieku, i trudno w nich znaleźć miejsca dla gości, zwłaszcza tyłu.

Sama w takim mieszkam i ledwo się mieścimy całą rodziną.

Jednak wieś się wyludnia, młodzi uciekają do miasta, więc może by się znalazło jakieś kwatery.

Trzeba by poprosić.

Ale mamy też pałac, to znaczy duży stary dwór.

Kiedy właściciele wyjeżdżają na wczasy, czasem odnajmują górne piętro.

-Czy.

Pani Danuta uśmiechnęła się promiennie.

- Tak się szczęśliwie składa, że akurat ich nie ma.

A ja mam klucz do dworu.

Tylko nie przy sobie.

Jeżeli zatem jesteście państwo zainteresowani wynajęciem dworu, mogę zadzwonić do właścicieli i ustalić

warunki.

- Bylibyśmy wielce zobowiązani.

-Jak długo planujecie się państwo zatrzymać w Bażynach?

- Kilka dni.

Nazywam się Tomasz Bażyński, a ta pani, która posłana zakupy, to moja daleka

krewna, Anna Maria von Baysen.

Jesteśmopotomkami założyciela wsii chcielibyśmy się rozejrzeć po okolicy.

- Niesamowite!

Taka podróż sentymentalna?

- Cośw tym rodzaju - odparł wykrętnie.

- Pani nazwisko teżbrzmi

znajomo- zauważył.

- Ma panna myśli Mikołaja zRyńska, założyciela Towarzystwa Jaszczurczego?

Nicmi niewiadomo, żebym była z nim skoligacona.

Alenazwisko owszem, pasuje do tychstron.

Przepraszamna chwilę.

Otworzyła gabinet, żeby skorzystać z telefonu.

- Załatwione!

- rzuciła po powrocie.

-Macie państwo tydzień do

powrotuwłaścicieli.

Możemy jechać po klucz.

Kiedy wyszli do samochodów, Anna Maria i komisarz właśnie ładowali zakupy do bagażnikajego kii.

Dziewczyna przesiadła się do wozuJareckiego, robiąc miejsce dla dyrektorki,która mieszkała niedaleko.

Pokrótkiejprzerwie ruszyli dalej, na końcu wsi skracając w lewo, i przez

320

most dotarli do miejsca, gdzie pozbawiona chodników wiejskaulica

łączyła się z szosą.

- To młyn, obecnie elektryczny- powiedziała Ryńska,wskazującduży budynek między rzeczką a szosą.

- Aoto i pałac.

Zbudowanypośrodku sporego placu- zapewne dawniej będącegoparkiemlub ogrodem, poktórym zostało jedynie kilka większych drzew(nanajwyższym bociany

uwiły gniazdo), z kępą młodych iglaków przedgankiem - okazały dwór, pomalowany na brudnożółty kolor i pokrytynową czerwoną dachówką, nie zachwycał bryłą.

Umieszczona od strony drogi tabliczka, przybita do drewnianego słupka, z daleka informowała dużymi, ręcznie wymalowanymi literami: NA SPRZEDAŻ.

A pod spodem, nieco mniejszymi: INFORMACJE w SZKOLE.

- Pochodzi z xvii wieku, przebudowany w xviii.

Kiedyś wyglądała inaczej, dużo ładniej - wyjaśniła przewodniczka.

- Zachowały się stare fotografie.

- Myślałem, że jest starszy - powiedział Tomasz z nutą rozczarowania w głosie, zatrzymując dżipa na podjeździe.

Wysiedli.

Za moment całą piątką kierowali się do dworu.

- Fundamenty są ponoć średniowieczne, być może z początków xiv wieku, jak najstarsza część kościoła pod wezwaniem Świętych Mikołaja i Rocha, który tam widać - Ryńska pokazała nieodległą świątynię usadowioną po drugiej stronie szosy.

- Podobno dwór z kościołem łączył niegdyś podziemny tunel.

Ale to tylko miejscowe podanie.

W kościele nie ma nawet krypty.

Dawniej dopalacu należał także duży folwark.

I dwór, i folwark z końcem xiii wieku założył brat ówczesnego biskupa warmińskiego Henryka, Alberta Fleminga.

Na pruskich polach Baysen, Sigdusi Naglandithin.

Odnazwy wsi przybrał potem nazwisko von Baysen, a jego potomkowie - Bażyński.

Bo słowiańskie bażyny znaczą samo co pruskie baysen - bagna.

Pamiętacie państwo taką śmieszno czesko-piosenkę Jożin z Baw?

Nie odpowiedzieli, stojąc jak wryci i patrząc na siebie rozszerzonymi oczyma.

Pierwszy otrząsnął się Tomasz.

- Jak pani powiedziała, Naglan.

- Naglandithin.

Tak nazywało się przed wiekami to pole.

Niewiedział pan?

Otworzyła drzwi, pokazała im kuchnię, z której mogli korzystać, i zaprowadziła na piętro, gdzie znajdowały się ich pokoje.

Wydała świeżościel i ręczniki.

Zainkasowawszy niewygórowaną należność, życzyła

321.

im miłego pobytu i odeszła.

Byli głodni jakwilki, więc nikt się nie wymigiwał od roboty w kuchni.

Po obiedzieobejrzeni dom, nie spodziewając się wiele po tychogłędzinach.

Dużo więcej obiecujące piwnice zostawili

sobiena jutro.

- Grunt, że już mamy pewność, iż jesteśmy we właściwym miejscu -
orzekł Bażyński.

- Róbcie, co chcecie- oznajmił Jarecki.

- Ja na dziś mam dość.

Idę

się zdrzemnąć.

Katz postanowił pójść w jego ślady, zaś Tomasz i Anna Maria wcielili się w
rolę prawdziwych turystów i wybrali na zwiedzanie kościoła.

Życzliwy proboszcz oprowadził ich po wnętrzu i potwierdził słowa Ryńskiej- kościół
nie miał krypty.

Średniowieczna chrzcielnica, najstarszy element wyposażenia kościoła, wzbudziła
największe zainteresowanie Tomasa.

Przypomniał sobie czytana niegdyś powieść dla młodzieży Pan Samochodzik i
templariusze.

W książce zejście do podziemi skrywających skarby znajdowało się właśnie pod
chrzcielnicą, przesuwaną dzięki zmyślnemu mechanizmowi, jednemu z tych, w
których tak gustowali templariusze.

Stracił jednak zainteresowanie, dowiedziawszy się, że chrzcielnicę przestawiono z
pierwotnego miejsca w trakcie którejś z kolejnych przebudów świątyni.

Przespacerowali się później przez wieś, wzbudzając umiarkowaną sensację, ale
nie znajdując już niczego ciekawego do obejrzenia, z wyjątkiem
dziewiętnastowiecznej

przydrożnej kapliczki.

Jarecki nie szedł na kolację, więc zjedli ją we trójkę, po czym obejrzeni stare

zdjęcia na ścianach w salonie, przyznając rację dyrektorceszkoły - dwór przed ostatnią przebudową wyglądał dużo ładniej.

W telewizji jak zwykle straszili politycy i prowadzący głupekowate programy odpowiednio dobrani prezenterzy, więc oglądali sobie stary western i rozeszli się do pokojów.

Kiedy około dziesiątej Katz zapukał do pokoju Bażyńskiego i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka z butelką whisky w ręku, Anna Maria poderwała się z tapczanu, pospiesznie zapinając bluzkę na piersiach, a Tomasz miał niewyraźną minę dziecka złapanego przez

matkę z ręką w cukiernicy,

- Pardon, najwyraźniej przychodzenie w porę - sumitował się agent.

-

Ale widzę, że już się na dobre pogodziliście, i to mnie cieszy.

Moje gratulacje.

Pomyślałem, że moglibyśmy pograć w brydża i chlapać coś na dobranoc.

Najpierw zaszedłem do Tadka, lecz zamknął się w swojej

322

dziupli na klucz i udaje głuchego.

Nie uwierzycie, coś słyszałem przez

drzwi, on płakał!

- Wzięło go - wyjaśnił Tomasz współczująco.

- Rozumiem, ale żeby aż tak?

Owszem, niezła laska była z tej Anżeliki sam bym ją chętnie.

Jednak znowu nie żaden cud, a już na pewno niemał master mind.

- Nic nie wiesz o miłości - wtrąciła się Anna Maria.

- Więcej, niż ci się zdaje.

Ale nie przyszedłem się kłócić.

To co, strzelimy po jednym czy mam sobie pójść?

Bażyński zszedł na dół do kredensu po szkło i do lodówki po lód.

Kiedy wrócił, Katz rozlał trunek i wznosił toast:

- Za spełnienie naszych planów!

- Jeszcze za wcześnie naświętowanie - zauważył Tomasz, ale upiłsolidny łyk.

- Zależyczego - odparł agent Mossadu.

- Pół godziny temu miałemtelefon z firmy.

Samolot z dwoma naszymi agentami Helgą von Baysennapokładzie wylądjuje jutro o ósmej ranona Schönefeld1.

Zaraz poodprawie możemydokonać wymiany.

Będzie miał kto ją przejąć?

- Myślę, że tak - powiedziała Anna Maria.

- Zarazdo tej osoby zadzwonię.

- Czy Tomasz uprzedził cię, w jakim stanie jest matka?

-Tak.

Kobieta, która ją odbierze, to doświadczona lekarka.

- To dobrze.

Zatem ja ze swej strony wywiązałem się z obietnicy.

Terazkolej na Tomasza.

Bażyński wahalsię.

Wolałbyzaczekać, aż matka Anny Marii znajdziesz się w bezpiecznym miejscu.

- Powiedz mu, Tomaszu - poprosiła dziewczyna, właściwie odczytującego rozterkę.

- W odróżnieniu od spraw osobistych, w zawodowych jegoobietnicy możnazaufać.

- Bóg zapłać za dobre słowo - rzekł agent z goryczą, przepłukując jaresztką whisky.

-Dobrze - zgodził sięBażyński, napelniając opróżnione szkła.

- Pamiętajcie tenfragment wyznania von Tettingena, w którym Werner vonOrseln udał sięna spotkanie z templariuszami o milę od Gdańska?

Mogłobyć tak.

' Lotnisko w Berlinie.

323.

Oliwa, 17 maja 1314 (piątek)

- To wszystko?

- Werner von Orseln, zausznik wielkiego mistrza, od niedawna komtur Marienburga i wielki komtur zarazem, nie krył rozczarowania.

- To mało?

- odbił Guichard de Beaujeu.

Gospodarz, opat Rudiger, poczciwiec, który był świadkiem rzezi 13 listopada 1308 roku i osobiście udzielał ostatniej posługi pomordowanym przez Krzyżaków rycerzom gdańskim, a potem pogrzebał ich nacmentarzu przy kościółku Świętego Jakuba na terenie opactwa, wtrącił

pojednawczo:

- Brat Guichard ma rację, bracie Wernerze.

To najcenniejsze relikwie

w całym świecie chrześcijańskim.

Korona królów jerozolimskich, menora króla Salomona, złote figurki czterech ewangelistów, które ongi zdobiły Święty Grób i wiele innych skarbów.

Dziękuję Bogu, że za sprawą brata

Guichard pozwolił oczom moim oglądać te cuda.

- To masz nade mną przewagę, ojciec - bezceremonialnie przerwał mu von Orseln.

- Bo ja ich nie widziałem.

Cystersz mieszał się pod srogim spojrzeniem Krzyżaka, z zakłopotaniem pocierając tonsurę.

- Musiałem je ukryć w miejscu, które znamy tylko ja, brat Guichard i jego ludzie.

Takie było życzenie rycerza de Beaujeu i tylko pod tym warunkiem zgodził się pozostawić relikwie w naszym opactwie.

- mnich

spojrzał błagalnie na Guicharda.

- To prawda - potwierdził Francuz.

-Dziwi mnie taki brak zaufania, panie deBeaujeu - Krzyżak zmarszczył krzaczaste brwi.

- A nie powinien, panie von Orseln -odparł templariusz.

- Zważywszy na to, co stało się z poprzednim depozytem.

Gerard de Villers, preceptor Francji, przywiózł go do wasw 1307 roku, a kiedy cztery lata później przyplął po niego, niewydaliście muskarbu, choć taka była umowa między moim wielkim mistrzem Jakubem de Molayem, a waszym

Zygfrydem von Feuchtwangenem.

- Nic o tym nie wiem - przerwał mu von Orseln.

- Wasz skarb bezochyby przechowywany jest w Marienburgu, acz mnie nico tym niewiadomo.

Być może nie zdążono go dostarczyć w porę rycerzowi de Villersowi albo nie miał kto tego dopilnować.

Było bowiem czas zamieszania po śmierci von Feuchtwangena.

Nowy wielki mistrz Karol

324

z Trewiru jest człowiekiem prawym i z pewnością wyda wam wasz skarb na każde żądanie.

-My zaś podejrzewamy, że depozyt został zdefraudowany. Właśnie nabudowę waszej nowej stolicy i stworzenie potęgi, która dziwnym trafem narodziła się w ostatnich latach.

Dlatego tym razem nadepozytariuszy wybraliśmy ojców cystersów z tutejszego opactwa.

Tylko pod tym warunkiem i na moje stanowcze naleganie brat de Villers zgodził się jeszcze raz zawierzyć waszemu zakonowi.

Guichard przypomniał sobie ostatnią rozmowę z de Villerssem.

"Wracajmy, chłopcze, to nie ma sensu.

Zabierajmy się z tym, co nam jeszcze zostało, i razem spróbujemy odtworzyć nasz

zakonw Szkocji.

Krzyżacyzawsze byli krętaczami.

Ten nędzny zakon od początku zazdrościł nam potęgę i bogactw.

A teraz obłowił się naszym kosztem i patrz, do czego doszedł w tak krótkim czasie?

Nie tylko dokończył podboju Prus, ale zdradzieckim wydarł królowi polskiemu Pomorze Gdańskie.

Zachłanność Rycerzy Maryi nie zna granic.

Byłem przeciwny decyzji wielkiego mistrza de Molaya, Panie świeć nad jego duszą, by deponować naszskarby u tych przeniewierców, a ty chcesz teraz zostawiać następne?

Odbiorą je cystersom, kiedy tylko zechcą.

To żadne zabezpieczenie.

Wiesz o tym".

"To przynęta - odparł Guichard.

- Potrzebuję jej, by uspić ich czujność.

Jeśli istotnie zdradzili nas i sprzeniewierzyli depozyt, zapłacą za to jak wszyscy, którzy pokrzywdzili nasz zakoni przywiedli go do upadku.

Tak przyrzekałem i dotrzymam słowa albo zginę.

Żegnaj, bracie Gerardzie.

Może, jeśli Bóg pozwoli, spotkam się jeszcze".

Ale obaj w tonie wierzyli.

- Nie trapi się, wielki komturze - ciągnął.

- Pojedziemy razem do Marienburga.

Jeśli zastanę nasz poprzedni depozyt nienaruszony, wtedy wrócimy tutaj i ojciec Riidiger wyda wam terazniejszy.

Taką zawarliśmy umowę.

Opat skwapliwie, lecz z pewnym smutkiem, pokiwał głową.

Chętnie zatrzymałby w opactwie tak wspaniałe relikwie, ale bał się Krzyżaków i był od nich uzależniony.

Krzyżak nie rozchmurzył oblicza.

- Mimo wszystko boli mnie wasz brak zaufania, bracie Guichardzie -rzekł, gładząc brodę, w której pokazały się już srebrne nitki, choć był w wieku templariusza, tuż przed trzydziestką.

- A co będzie, jeśli, uchwaj Boże, po drodze spotka cię co złego.

Na przykład zachorujesz i umrzesz.

- Przewidziałem to - odparł de Beaujeu i położył przed Krzyżakiem jakiś przedmiot.

- To relikwiarz.

Mam taki sam - odchylił płaszcz,

325.

by tamten mógł zobaczyć spoczywający na piersi pektorał - Temu, kto
pokaże oba, ojciec Riidiger odda depozyt.

Von Orseln z ciekawością obracałw dłoniach złote cacko.

Relikwiarz miał kształttulei i zawieszkę, do której był doczepiony gruby
złoty łańcuch.

- Niech takbędzie.

Ale jest jeszcze jedna sprawa.

Doszły nas słuchy,

panie de Beaujeu, że udało ci się uciec z Francji tylkodatego,
żepośródskarbów, które uwiozłeś, była pewna relikwia o niezwyklej mocy.
Takpotężna, że wjednej chwili unicestwiła pościgw sile chorągwi, któryprowadziłpan
Nogaret.

On sam zaś został ranny i teraz jest umierający,

o ile już nie umarł.

-Coś takiego!

- zdumiał się opat.

-Pierwszeszóstyszę.

- Jeśli się nie mylę - kontynuował Krzyżak spokojnie i tylko nerwowedrganie
palców położonych nastoleświadczyło o jęgonapięciu - tejrelikwii nie ma pośród
tych, które powierzyłeś ojcom cystersom.

-To prawda - przytaknął templariusz.

- Jest ukryta w bezpiecznymmiejscu, któretylko ja znam.

To dodatkowe zabezpieczenie, bracieWernerze.

Jak tylko przekonam się o waszej uczciwości i dobrych intencjach,
razem ją podejmiemy.

W jego głosie zabrzmiałaniemal niedostrzegalnanuta pogróżki.

Von

Orselnudał, że jej nie słyszy, i dokładnie obejrzałswój relikwiarz.

- To tylko oprawa - ciągnął de Beaujeu.

- Jeśli w najbliższym czasie, wco wątpię, choć niezbadane są wyroki boskie, umrę, dostaniesz imójpektorął.

Kiedy otworzysz oba i zestawiszrazem, wskazówki w nichumieszczonesprawia, że dowiesz się zarówno, o jaką relikwięchodzi, jak i gdzie jej szukać.

Przyrzekam ci.

Jednak to nie będzie takie proste, więc lepiej zadbaj, by nic złego się nie przygodziło ani mnie, ani moim

ludziom.

Wytrzymał badawczy wzrok Krzyżaka, który w końcu powiedział:

- Niech tak będzie.

Kiedy chcesz się udać do Marienburga?

- Choćby zaraz.

Wyruszyli nazajutrz z rana.

Von Orseln przyprowadził ze sobą dwóch

rycerzy w białych płaszczach czterech sariantów, braci w szarych płaszczach, oraz tuzin knechtów uzbrojonych w kusze i topory.

Templariuszybyłotylko siedmiu.

Żaden nie wrócił z deVillersem, choć Guichard zostawiłimwolną rękę.

Hugo de Sonnac odparł mu wtedy w imieniu pozostających: "Razemwyruszyliśmy i razempomrzemy.

Za jedno, czy tu, czygdzie indziej.

Niech siędziej e wola boża.

Jednochciałbymwszak wiedzieć

przed śmiercią Ów ognisty słup, który zabił Nogareta i jego ludzi.

Zali to zaiste byłcud uczyniony za przyczynąowej niezwyklejrelikwii, dla które) przyjdzie nam złożyć kości takdaleko od domu?

" Guichardchwile wahał się, czypowiedzieć druhowi prawdę.

Ale uznał że powinien.

Obiecał mu to przecież.

"Pamiętasz, jak razem ze mną mieszałem tamtego ranka ingrediencje: 41 części saletry, 29 i pół części węgla i tyleż siarłki?

Dokładnie jak to w dziełach De Secretis i Opus Tertium¹ zalecał Roger Bacon, angielski franciszkanin, niezbyt prawomyślny, bo hołdujący nauko-wej empirii. Bałem się, że by nas nie wysadziło po drodze od jakiegoś wstrząsu, dlatego tak długo wieźliśmy składniki osobno.

I dlatego tyle razy wypróbowywałem długość lontu.

Żeby wybuch nastąpił we właściwym momencie".

"Ale co to było?

". "Proch strzelniczy.

Ponoć wymyślony w Kitaju, którego tajemnicę za pośrednictwem Saracenów przejęli tacy ludzie jak ów Anglik Bacon czy Niemiec Schwartz, który, jak słyszałem, pracuje nad machiną za pomocą prochu z ogromną siłą wyrzucającą pociski na znaczną odległość.

Już niedługo proch będzie w powszechnym użyciu.

Wspomnisz moje słowa".

"Ja już tego nie dożyje?

' Guichardzie.

Ani żaden z nas.

Wiem to z niezbitą pewnością.

Skoro jednak ów wybuch nie był sprawą nadprzyrodzoną, tedy lękam się nawet pytać, czym właściwie jest owa relikwia".

"Słusznie czynisz, Hugonie.

Lepiej tego nie wiedzieć, albowiem słusznym jest, by samotnie dźwigał ten krzyż, który dobrowolnie przyjąłem na swe barki".

Bażyńy, 20 lipca 2010 (wtorek)

Kiedy Tomasz obudził się rano, Anna Maria jeszcze spała.

Z czułością - popatrzył na śpiącą dziewczynę i nasunął koc na jej obnażone plecy.

Mruknęła i zwinęła się w kłębek.

Wciągał właśnie drelichowe spodnieo ma polowyjskowym kroju, z dużymi

kieszzeniami na udach, gdy coś z nich wypadło i głośno stuknęło podłogę.

- Rany boskie!

- rozbudzona Niemka spoglądała przerażonym wzrokiem na połyskujący złowrogą czernią przedmiot.

-Skąd go masz?

- To pistolet mojego dziadka.

Zabrałem go na wszelki wypadek.

Nie obawiaj się, nie będę miał okazji go użyć - mimo tego uspokajającego

Kolejno: O tajemnicach i Dzieło trzecie.

327.

zapewnienia, idąc do toalety z ręcznikiem przewieszonym przez ramię, czuł, że ciężar broni na udzie dodaje mu pewności siebie; wciąż bowiem gnębił go nieokreślony niepokój.

Gdy wychodził z łazienki, zaczepił go Katz.

- Pozwól na chwilę - uchylił szerzej drzwi, po czym zamknął je zawchodzącym i oparł się o nie.

- Więc uważasz, że skarb templariuszy został zdeponowany u cystersów w Oliwie?

Tomasz zerknął na zegarek.

Dochodziła dziewiąta.

Miał nadzieję, że Helga von Baysen znajdowała się już pod dobrą opieką, na którą zresztą zasługiwała.

Jej los obchodził go tylko ze względu na Annę Marię.

- Tak.

Wszyscy dawni kronikarze zgodnie podkreślali, że Krzyżacy posiadali największą w świecie kolekcję relikwii.

Z tego powodu aż do 1410 roku uważano ich, i sam siebie uważali, za nietykalnych i niezwyciężonych.

Prawdziwym skarbcem relikwii był właśnie klasztor w Oliwie, gdzie przechowywanym między innymi kawałek niedopalonego krzewu, pod którego płonąca postać Bóg ukazał się Mojżeszowi.

Do kompletu brakowało im chyba tylko szczebla z drabiny, która przyśniła się Jakubowi.

Dlatego jest bardzo prawdopodobne, że tam właśnie trafiły cudowności przywiezione przez de Beaujeu.

Ale nie rób sobie nadziei.

Nawet jeśli tam były, to zagięły dawno temu.

- Jak to?

- W połowie XVII wieku nastąpił wielki najazd Szwedów na Polskę, zwany u nas potopem szwedzkim.

Tak jak to czynili wcześniej, podczas wojny trzydziestoletniej, w Czechach czy Rzeszy Niemieckiej, u bodej Szwedzi rabowali w bogatej Polsce wszystko, co im tylko wpadło w ręce, stając się później wzorem dla hitlerowców.

Potrafili nawet zeskrobywać złoto z ram obrazów i odrywać srebrne okucia z trumien. Skradzione dobra ładowali na okręty i wysyłali do Szwecji.

Wszystkie co cenniejsze eksponaty w muzeach szwedzkich pochodzą z rabunku.

Ale nie wszystkie wyładowane skarbami okręty dotarły do celu.

Sześć czy siedem statków Szwedzi samiztopili w Wiśle na wysokości Żerania, kiedy musieli uciekać z Warszawy.

Wiele innych zatoneo na Bałtyku podczas sztormu, jeszcze inne posłali na dno Duńczycy.

- Myślisz, że skarb templariuszy spoczywa gdzieś na dnie Morza Bałtyckiego?

- Gorzej.

Szwedzi, jako protestanci, nie przywiązywali wagi do katolickich relikwii.

Jeśli ich nieniszczyli, to jedynie ze względu na cenne relikwie.

Jednak klasztor w Oliwie spotkał znacznie gorszy los.

Co prawda

328

grupie zakonników, z częścią księgozbioru i skarbów, udało się schronić w Gdańsku, którego Szwedzi nie zdobyli, ale opactwo zostało w 1656 roku splądrowane przez dragonów generała Gustawa Steinbocka.

A kiedy cystersi poprosili o interwencję gdańszczyzan, żołnierze gdańscy przepędzili Szwedów, ale potem sami doszczętnie złupili i zdemolowali klasztor gorzej niż najeźdźcy, którzy przynajmniej nie zdewastowali wnętrza.

Trudno przypuszczać, by tacy wandalowie coś wartościowego przegapili.

- Powiedziałeś jednak, że skarbiec został przewieziony do Gdańska i ocalał?

- Po części tak, lecz rzeczach wymienionych w testamencie von Tettingena nikt już potem nie słyszał.

Gwoli prawdy, wcześniej też nie.

- Więc jest szansa, że wciąż spoczywają tam, gdzie zostały ukryte?

Tomasz wzruszył ramionami.

- Szansa jest.

Tylko jak znaleźć to miejsce?

- Nie wiesz?

W takim razie oszukałeś mnie.

Poraz pierwszy Bażyński zobaczył Katza rozgniewanego.

Agent złapał go za koszulę pod szyją i szarpnął w górę.

- Hola!

Obiecałem, że ci powiem, gdzie złożono skarb, a nie, że cię do niego doprowadzę.

- Ale w zamian dostałeś, co chciałeś, a ja zostałem z pustymi rękami.

- Przykro mi.

Agent puścił Tomasza i niespodziewanie zaczął się śmiać.

- Niech cię szlag!

Pierwszy raz dałem się tak zrobić w konia.

I to amatorowi!

Dobry jesteś, skurczybyku - poklepał Bażyńskiego po ramieniu i poprawił mu koszulę na piersiach.

- Wybacz.

Poniosło mnie.

Spotkam się na śniadaniu.

Kiedy Tomasz wrócił do pokoju, Anna Maria powitała go wieścią, że operacja na berlińskim lotnisku zakończyła się pomyślnie.

Zaraz po śniadaniu zabrali się do poszukiwań.

Zaczęli od jedynej ocalałej budowli gospodarczej.

Zbudowany w pruski mur był stary, ale niedość na ich potrzeby.

Nie był podpiwniczony, więc szybko go wyeliminowali.

Pozostały piwnice dworskie.

Zabrali latarki i szli na dół.

Pomieszczenia piwniczne miały układ szeregowy.

Poszczególne boksy łączył wąski korytarz i tylko on był oświetlony dwoma marnymi

żarówkami bez kloszy.

Zaczęli od zachodniego końca i po kolei przechodzili z piwnicy do piwnicy.

Żadna nie wyglądała zachęcająco z punktu widzenia.

Niektóre były prawie puste, inne wypełnione rozmaitym żelastwem, a jedna zasypana koksem.

Wszystkie miały wyglądającą bardzo

329.

solidnie wylewkę betonową, a w górnej partii zewnętrznego muru były zaopatrzone w małe, okratowane okienka, wpuszczające do środka odrobinę dziennego światła.

- Jasny gwint!

- po raz pierwszy tego dnia odezwał się komisarz.

- Jeśli przyjdzie nam zrywać ten beton, nie skończymy do sądnego dnia.

A do odwalania koksu zgłaszam się na ochotnika jako ostatni.

Ostatnie pomieszczenie było równie rozczarowujące jak wszystkie poprzednie.

- Mam coś!

- zawołała nagle Anna Maria, która została na korytarzu.

- Adam, chodź tu ze swoim reflektorem!

W silnym świetle latarki ujrzeli zamykające korytarz niskie, góropółkoliste drzwi grubych, poczerniałych ze starości dębowych desek, zawieszane na solidnych, choć zardzewiałych, kutych z żelaza zawiasach.

Za wielki stalowy skobel zamiast równie potężnej kłódki, zatknięta była zwykła zatyczka z dużego gwoźdźca.

- Na co czekasz, otwieraj!

- ponagliła podniecona Niemka.

Katz posłusznie wyjął zawieszony na sznurku gwoździe i szarpnął kusobie drzwi.

Ustały ze zgrzytem przyprawiającym o ból zębów.

- Chryste!

- jęknęła dziewczyna, kiedy snop światła ogarnął wewnątrz, szczelnie wypełnione przeróżnymi migrantami, niemal wysypującym się na zewnątrz.

Zresztą w tejże chwili ze stosu starych mebli blokujących wejście oderwało się krzesło z ułamaną nogą i spadło na Katza, który nie miał jak się cofnąć, bo blokował go pozostali.

W powietrze wzbił się tumankurzu, który w ciasnej przestrzeni spowodował u wszystkichatak kaszlu i kichania.

- Przy tej graciarni nawet stajnia Augiasza wyglądałaby czysto - skomentował Katz, kiedy już się wykaszał.

-Nie marudź, tylko bierz się do roboty - ponaglił go Bażyński.

- Nareszciemamy coś, codobrze rokuje.

Włączyli czołówki, Katz postawił reflektor na betonie i zaczęli wynosić rzeczy, które następnie wrzucali do pustych pomieszczeń.

Stopniowográtów zaczęło ubywać.

Czego tam nie było!

Wielkie fotele z dziurawą tapicerką, małżeńskie łóże, z którego powyłaziły sprężyny, rozdarta nadwoje wersalka, kilkanaście krzeseł w rozmaitym stadium zniszczenia, dwa zardzewiałe rowery, stary wózek dziecienny z koszykową gondolą, niekompletne karnisze, podarte pierzyny, antyczna maszyna do szycia, kredens z wybitymi szybami, zestaw parasoli ze sterzącymi na wszystkie

330

strony drutami i mnóstwo innych rzeczy tak zdekompletowanych, żetrudno było ustalić ich przeznaczenie.

Wiele przedmiotów wyglądała na przedwojenne, a niektóre na jeszcze starsze.

Widocznie graciarniapełniła swoją funkcję oddziesięcioleci.

Co jakiś czas któryś z pracujących musiał wychodzić na zewnątrz, zaczerpnąć świeżego powietrza, mimo iż Anna Maria zaraz na początku pobiegła do domowej apteczki i wróciłaz prowizorycznymi maskami z gazy dla każdego.

Kiedy piwnica nareszcie opustoszała, odczuli ogromną ulgę.

Odczekali nieco, by osiadł wzniecony kurz, po czym po kilku kamiennych stopniach zeszli do środka.

W świetle latarki ujrzeli pomieszczenie zupełnie odmienne od pozostałych.

Wyższe o wysokość schodów, większe szerokość korytarza, choć i tak nieduże.

Mogło mieć dziesięć, najwyżej dwanaście metrów kwadratowych.

Nie było tu żadnego okna, ceglanych ścian nie pokrywał pobielony wapnem tynk, podłóże wyłożono dużymi, kamiennymi płytami, co Tomasz sprawdził, rozgrzebując butem grubą warstwę pyłu.

Betonowy był jedynie strop i tylko on wyglądała stosunkowo nowy.

Ale najbardziej osobliwy był kształt piwnicy - ośmioboczny.

Bażyński podszedł do jednej ze ścian, pod którą leżał duży kamiennycios, jakby cokół.

Stanął na nim i pomacał jedną z cegieł.

- Bingo!

- odwrócił się do pozostałych, wyszczerzając zęby w szerokim uśmiechu.

-To palcówka!

- Nie popisuj się erudycją - zgasił go Jarecki.

- Mów po ludzku.

- Palcówka to średniowieczna cegła "gotycka".

Wyrobiana ręcznie, kształtowana w drewnianych formach i wygładzana palcami.

Możesz ją sprawdzić, łatwo wyczuć nierówną powierzchnię.

Była przy tym znacznie większa od współczesnych cegieł.

Zazwyczaj miała 15 x 9 x 30 centymetrów, tak jak te.

- To znaczy.

-To znaczy, że jesteśmy na dobrym tropie.

Tapiwnica jest znacznie starsza od pozostałych.

Spokojnie może mieć siedemset lat.

Poczekajcie.

Wyjął z kieszeni chusteczkę higieniczną, napluł na nią, wspął się na palce i potarł jedną z cegieł.

- Ha!

- mruknął z satysfakcją.

-Jest i zendrówka.

Czyli- wyjaśnił pospiesznie, uprzedzając następną reprimendę - cegła wypalona do granicy zeszklenia.

Błyszcząca i ciemniejsza od zwykłej cegły, wiśniówki.

Chętnie stosowano ją w średniowieczu do celów dekoracyjnych, na przykład wykonywania geometrycznych wzorów na murach.

Zeskoczył z postumentu i zatarł umorusane ręce.

- Tak jak myślałem.

Jesteśmy w domu.

To była kiedyś kaplica pogrzebowa, inaczej mówiąc, ossuarium albo mauzoleum.

Często zawierają relikwie.

Na tym cokole pewnie stał ołtarz.

Natomiast ściany były wyżej zwieńczone kopułą z latarnią umarłych na szczycie.

Znacznie później burzono górną część i położono ten betonowy strop.

Pierwotne sklepienie było zapewne krzyżowo-żebrowe.

- A gdzie trzymano relikwie?

- spytał Katz.

Bażyński tupnął nogą.

- Pod spodem, w dolnej kondygnacji.

- No to na co czekamy?

Doroboty!

- zarządził agent.

- W tym syfie?

- skrzywił się Jarecki.

- Beze mnie.

Jeszcze nabawię się pylicy.

- Nie płacz.

W budynku gospodarczym widziałam miotły, łopaty takie tam - oznajmiła Anna Maria.

- Więc ruszcie tyłki.

Katz i Jarecki poszli po narzędzia, natomiast Tomasz znalazł z tyłu dworu, na zewnętrznej ścianie, kran z doczepionym szlauchem służącym do podlewania ogrodu.

Wsunął wąż przez kraty do najbliższej piwnicy, z komórki wyjął dwa wiadra, znalazł też stare lachy nadające się na szmaty i wszystko razem zaniósł do piwnic.

Najpierw pozgarniali zgrubszą pył z posadzki, potem ją zamietli, na koniec Anna Maria wyszła na zewnątrz odkręcił kran, a Tomasz za pomocą węża solidnie zlał

ściany i splukał brud z podłóża.

Nie żałował wody, licząc, że w którymś miejscu zacznie wsiąkać, wskazując zejście na niższy poziom.

Kiedy nic takiego nie nastąpiło, wyszorowali kamienne płyty do czysta ryżową szczotką i szmatami zebraли wodę do wiader, które wypróżniali w ogrodzie.

Kiedy skończyli, piwnica wyglądała prawie jak nowa.

- Nie chciałbym tego powtarzać - jęknął Katz, masując krzyż.

- Widzicie - Tomasz pokazał górna część ścian, na których doskonale teraz widoczne zędrówki tworzyły wzór układający się w obiegający wewnątrz jakby fryz, powstały przez łączące się końcami iksy albo krzyże świętego Andrzeja.

- Miałem rację.

To kaplica pogrzebowa.

Wskazuje nato jej centralny plan.

Zwykle bywały kwadratowe, okrągłe albo właśnie oktagonalne.

Templariusze najbardziej lubili ten ostatni kształt.

Podobno wzorowali się na zbudowanej właśnie na takim planie Kopyleny Skale (zwanej meczetem Omara, mimo iż nie jest świątynią, tylko raczej rodzajem sanktuarium), stanowiącej część jerozolimskiego Templum, uważanego przez krzyżowców za świątynię Salomona.

Ośmioramienny był też krzyż popularnie zwany maltańskim, ale używany

332

także przez templariuszy, choć prawo do jego noszenia mieli tylko mnisi-rycerze.

- Dobra - przerwał mu zniecierpliwiony komisarz.

- Lepiej powiedz, gdzie może być zejście do dolnej kondygnacji, bo ja tu nic takiego niewidzę.

Wszystkie płyty wyglądają jednakowo.

Tomasz przyniósł długi łom, który wypatrzył w jednej z piwnic, i zaczął stukiwać płyty.

Jednak wszystkie wydawały tak samo, głuchodźwięk.

- Nic ztego - powiedział zniechęcony.

- Poczekajmy, aż trochęprzeschnie, i wtedy się dokładnie wszystkiemu przyglądniemy.

- Ja idę do łazienki - oznajmiła AnnaMaria.

- Bo jeżeli wyglądamjak wy, to znaczy, że rozgłaszane przez rasistówplotki o czarnej karnacjiMurzynów są grubo przesadzone.

Aha,w jednej z piwnic widziałamresztkękartofli.

Skoronikt nie pomyślał o zrobieniu zakupów na dziś,tobądźcie łaskawi je obrać i zrobić coś jadalnego.

Kiedy wykapanii przebraniw czyste rzeczy zasiedli do skromnegoposiłkuzłożonegoz ziemniaków z mięsem z konserw isurówki z pomidorów z cebulą, dzień chylił się ku końcowi.

Aż trudno im byłouwierzyć, że robota w piwnicy zajęła tyle czasu.

Mimo to pochłonęlijedeniew mig, niemogąc się doczekać jejdokończenia.

Poszukiwaniemskarbow okazałsię zajęciem niezwykle wciągającym.

"Jak chodzeniepo bagnie", na poły żartobliwie, napoły ostrzegawczo Tomasz zacytował znanepowiedzonko.

Katzzmienił baterie w reflektorzei znówzeszli na dół.

Dębowe drzwipiwnicy zostawili otwarte, więc kiedywrócili, dawnakaplica faktycznie zdążyła nieco przeschnąć.

Dla porządku obejrzelisciąny, a potemprzyszła kolej na żmudne sprawdzanie posadzki, miejsce pomiejscu.

Rozpoczęli od najbardziej prawdopodobnych - samegocentrum oraz okolicy cokołu.

Nic nie znaleźli.

Przerwali na chwilę pracywstali, by rozprostować kości.

- Cholera,żeby się na koniec nie okazało, że musimyprzesunąć tenpostument - westchnął Bażyński.

-A może sam się przesuwa?

Templariusze słynęli przecież zróznychbudowlanych sztuczek - pocieszył go Katz.

- I pułapek -przypomniał Tomasz.

- Wolałbymgo nie ruszać.

Szukajmy dalej.

Biadoląc,bo byli już solidnie zmęczeni i obolali, opadli naczworakii wznowili poszukiwania.

333.

- Hej!

Chyba coś znalazłam - oznajmiła w pewnej chwili Anna Maria.

Stłoczyli się wokół niej.

Katz przyświecił swoją mocną latarką.

Bażyński przyklęknął i zaczął paznokciem oczyszczać z zastarzałego kurzu i beztego mocno wytarty wpływem czasu, ledwo widoczny rysunek wykutyw kamiennej płycie.

Nie był duży Ulokowany w samym rogu płyty i łatwy do przeoczenia.

Przedstawiał jakby miniaturową tarczę poprzecinaną kilkoma krzyżującymi się w środku liniami.

- Eureka, moi państwo - oznajmił Tomasz.

- To podwójny krzyż, powstały z nałożenia na siebie krzyża greckiego i krzyża świętego Andrzeja.

Czasem utożsamiany z krzyżem maltańskim.

Nazywa się go także "krzyżem ośmiu błogosławieństw" lub "ośmiu szczęśliwości".

Ma bogatą symbolikę, głównie chrześcijańską, lecz nie tylko.

Między innymi zwiastuje zaręczyny i śluby, a małżeństwo czyni szczęśliwym.

- zerknęła na Annę Marię i uśmiechnęła się, gdy się zaczerwieniła.

- A na jej opłanie, o czym już wiecie, templariusze chętnie budowali kaplice grobowe takie jak ta.

Może również z tego powodu, że na samym początku założycielowi zakonu Hugonowi de Payensowi towarzyszyło jedynie ośmiu współbraci.

Ale dla nas ten znak jest ważny, bo w ten sposób templariusze oznaczali skarb złożony z cennych klejnotów lub innych precjozów.

Adamie, weź reflektora skocz do komórki w ogrodzie za domem.

Widziałem tam skrzynkę z narzędziami.

Będzie nam potrzebny solidny młotek i przecinak.

Odkuwanie spoiny wokół płyty było żmudną pracą, która jednak posuwała się stosunkowo szybko, ponieważ mężczyźni zmieniali się, a po zatym ząb czasu osłabił zaprawę.

Na koniec Jarecki wsunął w szczelinę i najpierw udało mu się poruszyć kamień, a potem nieco go unieść.

Pozostała dwójka pochwyciła płytę rękoma i z trudem odwaliła na bok, ponieważ była gruba na dobre piętnaście centymetrów i bardzo ciężka.

Z odsłoniętego mrocznego otworu buchnął zapach stęchlizny.

-Fuj!

- Anna Maria cofnęła się, wstrzymując oddech.

Odczekali kilka minut, zachowując dystans, po czym Katz poświecił w głąb lochu.

Zobaczyli kryptę, na środku której, tuż pod nimi, widniało coś na kształt sarkofagu.

Nie czekając na polecenie, Jarecki przyniósł aluminiową drabinę, rozłożył ją i wsunął do otworu.

- Kto złazi pierwszy?

- spytał.

- To może być ryzykowne.

Czytałem, że w takich miejscach lubią czaić się jakieś jeszcze

nieoswojone mikroby, gotowe ukatrupić nieostrożnych odkrywców.

Jak w grobowcu Tutenchamona.

334

- I naszego Kazimierza Jagiellończyka- dodał Bażyński.

- Ale nie mamy pewności, że to grobowiec.

Zresztą trudno.

Raz kozie śmierć.

Idę.

Jeśli zginę, możesz sobie wziąć moją zbroję.

Widziałem, że spodobała ci się zabawa w rycerzy.

- A miecz?

Cóż mi po zbroi bez miecza.

- Też.

- Dobra, w razie czego mam świadków.

Idź więc i złam kark.

- Nawszelkiwypadek nie stawaj na sarkofagu.

Licho wie, co wymyśliliście speceod zapadni, tajnych znaków, skrytek i pułapek - poradziłKatz.

Tomaszwziąłod niego reflektor, przeżegnał się i zszedł w mrocznączeluść. Zobaczyli, jak dokładnie ogląda domniemany sarkofag, potemzniknął im z oczu,natomiast snop światła omiatał coraz to inne partiekrypty.

Nagle zgasł.

- Tomasz, co się stało!

Żyjesz?

- krzyknęłażaniepokojonaAnnaMaria.

- Żyję, żyję - doszedł do nich dziwny głos,jakby dobywający się zestudni, i światło latarkiznów rozblęzło.

- To był takiżarcik.

- Głupi!

-Przy takim nędznym żywieniu na lepsze mnie nie stać.

No, jak tam?

Będziecie tak sterczeć na górzeczy złazicie?

Jakoś żadnych mikrobówani pułapeknie widzę.

- A cowiedzisz?

-Jak zgaszę latarkę, to ciemność.

A wświeteniewiele więcej.

- To mi poświeć.

Schodzę.

Gnani ciekawością po kolei schodzili do krypty.

Byłamnniejsza odkaplicy i o wiele niższa, sklepiona kolebkowo.

- Spójrzcie tutaj - Tomasz oświecił fragment ściany, przy której stał; wmurze widniał kamienny portal.

Pośrodku znajdowały siędębowe drzwi,podobne do tych prowadzących do kaplicy, ale w o wiele gorszym stanie.

Bażyński uderzył podeszwąbuta w środkową deskę, najbardziej spróchniałą, która

prawie bezoporu ustąpiła, łamiąc się w połowie.

Położył latarkę na posadzce, poczym rękami powiększył otwór.

Poświecił w głąb i zobaczył jedynie stertę gruzu wymieszanego z ziemią.

- Widzicie?

Znajdujemy się pod najdalej na wschód wysuniętą partią dworu.

Niemal dokładnie na wprost stoi kościół.

Legenda o podziemnym tunelu łączącym w średniowieczu dwór z kościołem wcale nie została wyssana z palca.

Przejsiebyło.

W tamtych niespokojnych czasach dwór

335.

obronny i kościół stanowiły ważne punkty fortyfikacyjne i zwykle bywały połączone. Później musiało nastąpić jakieś tąpnięcie, naturalne lub spowodowane naprzykład ostrzałem artyleryjskim, które zawało tunel.

Zapewne w xvii wieku, kiedy gruntownie przebudowywano zarówno dwór, jak i świątynię oraz zlikwidowano kościelną kryptę, przełaz już nie istniał.

Dlatego nie odkryto tej krypty.

Podeszli do kamiennej skrzyni i obstawili ją wokół.

Miała prostą konstrukcję złożoną z czterech ociosanych, nieozdobionych żadnymi reliefami płyt, nakrytych masywnym, szerokim wiekiem.

- Tu jest coś napisane!

- zauważyła Anna Maria.

; Bażyński oddał latarkę Katzowii zaczął wodzić palcem po literach.

Mimo iż krypta nie była tak zakurzona jak górna kondygnacja kaplicy, wybierał przy okazji sporo pyłu, stopniowo odsłaniając inskrypcję.

- Chwała Bogu, to ma już skulę - powiedział.

- Łatwo odczytania.

Kiedy górna część zapisu została odsłonięta, nie potrzebowali tłumaczenia.

ANNEMARIE VON BAYSEN + GUICHARD DE BEAUJEU +

A.D. MCCCXIV.

- Poniżej jeszcze coś dopisano.

Tylko mniejszymi literami i dlatego w pierwszej chwili nie widać - rzekł Tomasz i zajął się odczytywaniem.

-

HUC DUO CORDA CANDIDA A DEO CONIUNCTA REQUIESCANT.

- Co to znaczy?

- spytała Anna Maria.

- "Tu spoczywają dwa serca czyste, połączone ręką Boga".

- O Boże!

- westchnęła.

- Legenda rodzinna nie kłamała.

Spotkalisz się, pokochaliby zaraz potem umarli.

- Rana templariusza musiała być śmiertelna - potwierdził Tomasz.

- Albouraz pogłębił się podczas ucieczki.

Jednak musiał żyć wystarczająco długo, by wykreślić plany budowy tej kaplicy.

- Przegapiłeś coś - spostrzegł Katz i pokazał, o czym chodzi.

Bażyński odsłonił pojedynczy, samotny znak, umieszczony pod napisami, w dość sporym od nich oddaleniu, nieco przypominający cyfrę 4, której skośna kreska nie łączyła się z pionową, lecz tworzyła jakby fajkęczy laskę, wygiętą na zewnątrz.

- To symbol planety Jowisz - wyjaśnił, dodając po krótkiej przerwie: -

Umieszczony przez templariusza z cegły lub kamienia powiada:

uwaga, niebezpieczeństwo!

Spojrzeliby po sobie z napięciem.

- To co robimy?

- spytał komisarz.

- Jeżeli ruszymy wieko, możemy uruchomić jakąś cholerną zapadnię, polecimy w dół i skęcimy karki.

336

Albo cała kaplica zwałina się na łby.

Albo stanie się jeszcze coś innego, w każdym razie nic miłego.

- Sądzę, że niespodzianka czeka nas dopiero po otwarciu sarkofagu, a nie w trakcie.

Pamiętajcie, że wciąż nie znaleźliśmy relikwii, a przecież gdzieś tu musi być - odparł Tomasz po namyśle.

- Poza tym - uśmiechnął się do dziewczyny - nasza protoplastka nie pozwoli chyba pokrzywdzić krewniaków?

Niech ktoś przyniesie mi z góry młotek, przecinak i łom.

Potem wszyscy możecie wrócić do kaplicy. Z góry będziecie mieć dobry widok.

- Przyniosę narzędzia, ale zostanę i ci pomogę - oznajmił Katz, wchodząc na drabinę.

-Ja też - powiedział Jarecki.

- Ija -dodała Anna Maria.

-Ty nie - powiedział Tomasz stanowczo.

- Ktoś musi zostać na górze,by w razie czego sprowadzić pomoc.

To konieczne - rzucił z naciskiem,widząc, że dziewczyna zamierza zaprotestować.

Odkucie wiekaposzło szybciej, niż otwarciezejścia do podziemi,ponieważ pod wpływem panującej w krypcie wilgoci zaprawa mocnozerodowała.

Jednakruszenie ciężkiej płyty kosztowało mnóstwowysiłku,a co dopiero zepchnięcie jej na bok.

- Uwaga!

- krzyknął Katz, gdy wieko przechyliło się niebezpiecznie.

Odskoczyli,a wielki kamień ześlizgnął się zpodstawy i gruchnął w dół,wciąż jednakoparty jedną krawędzią o boczną ścianę.

Od uderzenia zadrgało podłoże.

Ale nic więcej się nie stało.

Na wszelki wypadekoczekalichwilę, po czym pochyliłsię nad otwartym sarkofagiem.

- Schodzę!

- krzyknęła Anna Maria z góry.

- Wstrzymaj się jeszcze!

- odkrzyknął Tomasz, lecz dziewczyna jużbyła na dole i dołączyła do mężczyzn.

W silnym świetle latarki Katza ujrzeli dość dobrze zachowane dwa ludzkie szkielety, spoczywające obok siebie z rękoma splecionymi napiersiach.

Więszymusiał mieć na sobie zbroję, po której zostały jedynieskrawki blachy, bezkształtne i brązoweod rdzy.

U boku nieboszczykależał miecz, z brzeszczotem niemalzupełnie skorodowanym, natomiastw rękojeści zachowała się złota głowica z cennym kamieniem, rzucającym w świetlemigotliwebłyski.

Dużo mniejszy szkielet tu i ówdziepokrywały jeszcze skrawki zbutwiałej materii.

Pomiędzy zmarłymi widniała nietknięta upływem czasuzłota róża, z precyzyjnie

wyrobionymi płatkami, liśćmi i nawet kolcami na wygiętej w "s" łodydze.

337.

- Róża z legendy - pociągnęła nosem Anna Maria i otarła z oka łzę.

-I z pieczęci Hanusza Bażyńskiego vel Hansa von Baysena- dodał Tomasz, także wzruszony, choć starał się tego nie ujawniać.

- Spójrzcie na to - powiedział Katz.

Ustóp nieboszczyków stało, również wykonane ze złota, duże naczynie przypominające urnę.

- "Tam skarb twój, gdzie serce twoje".

No tomamy od wieków po'.

szukiwany relikwiarz obliczem Pana - oznajmił Bażyński i chciał go podnieść.

Agent złapał go za rękę.

- A jeżeli uniesienie go uruchomi jakąś pułapkę?

-I tak trzeba to zrobić.

Idźcie na górę.

Ja się tym zajmę.

Nikt się nie ruszył.

- Anno Mario.

- zaczął Tomasz, lecz umilkł, widząc stanowczą minę dziewczyny.

- Ja pójdę - oznajmił policjant.

Pozostała dwójka w napięciu przyglądała się Bażyńskiemu, gdy lekko drżącymi dłońmi oburącz pochwycił relikwiarz, odetchnął głęboko i nieco go uniósł. Wszyscy zamarliw bez ruchu, lecz i tym razem nic się wydarzyło.

Już znacznie pewniejszym ruchem Tomasz wydobył złotą puszkę z sarkofagu.

- Tadek!

- zawołał.

-Gdzie jesteś?

Nie chcesz chyba przegapić momentu, na który czekaliśmy tyle czasu?

Odzewu nie było.

- Nie ma go tu - usłyszeli zdziwiony głos Katza stojącego na drabinie i zaglądnęli do kaplicy.

- Może poszedł do domu, bo zrobiło mu się słabo?

- zgadywała Anna

Maria.

- Wyglądał dziś jak zdjęty z krzyża.

- Sprawdź.

Zostawiam wam latarkę.

Kiedy i agent opuścił kaplicę, we dwoje zajęli się dokładnym oglądaniem znaleziska.

Relikwiarz miał kształt ośmiobocznej puszeki, prawie półmetrowej wysokości.

Ścianki pokrywały płaskorzeźby imitujące kolumny połączone górami półkolistymi arkadami.

Wieża miała postać prawosławnej, lub nawet muzułmańskiej kopuły z maltańskim krzyżem

na czubku.

- To dokładne odwzorowanie świątyni Salomona, a raczej Kopuły na Skale - powiedział Tomasz.

- Takie samo, jak na pieczęciach templariuszy.

- Na co czekasz, otwórzmy go!

- oczy dziewczyny aż iskrzyły z emocji.

338

- To nie takie proste.

Spójrz.

Wieża bardzo starannie przylutowana do puszeki.

A potem lut pokryto grubą warstwą jakiegoś tworzywa.

Laku, albo raczej jakiejś żywicy, bo jest półprzezroczyste.

A poza tym zaczekajmy natamtych.

Zasłużyli sobie.

Albo chodźmy do nich, tak będzie najlepiej.

Tu czuję się jakoś nieswojo - zerknął w głąb sarkofagu.

- Spokojnie zajmijmy się tym w kuchni albo w salonie.

- Zaczekaj.

Popatrz tutaj.

Na gzymsie pod kopułą są wyryte jakieś powtarzające się znaki.

- Faktycznie.

- Potrafisz je odczytać?

A może to po prostu takie ozdobne, nic nieznaczące esy-floresy?

- Nie, to pismo.

Tyle że arabskie.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę kontakty templariuszy z Saracenami.

Może nawet de Beaujeu osobiście przywiózł ten przedmiot z Ziemi Świętej, kto wie?

Miejmy nadzieję, że nasz poliglota Adam będzie umiał to odczytać.

- No to chodźmy go poszukać.

Opuszczając kaplicę, Katz był napięty jak struna.

Zniknęła cechująca go zazwyczaj nonszalancja.

Poruszał się bezszelestnie jak prawdziwy kot.

W jego głowie pulsowało czerwone, ostrzegawcze światełko.

Natychmiast przypomniały mu się podejrzenia Bażyńskiego i niezwykle przygnębienie Jareckiego, zbyt wielkie i tragiczne nawet na najcięższy zawód miłośny.

Pluł sobie w brodę, że wcześniej nie powiązał jednego z drugim.

A wszystko przez to, że prawie zapomniał, po co brał udział w tej eskapadzie.

Jakby samu wierzył, że jest nabez troskich wakacjach, w gronie dobrych przyjaciół zabawiając się w poszukiwacza przygód.

Teraz mógł za to drogo zapłacić.

Nie on jeden.

Drzwi do piwnicy były lekko uchylone.

Zerknął przez nie.

To, co zobaczył w świetle lampy palącej się przed gankiem, nie zdziwiło go wcale.

Dokładnie tego się spodziewał.

Na zewnątrz stałokilka osób, rozmawiających przyciszonymi głosami.

Trzy z nich znał.

W tej chwili światło zgasło.

Słabe światła latarek ruszyły w jego stronę.

Cofnął się gwałtownie, intensywnie myśląc.

Nie mógł zostać w piwnicach i nie mógł się już stąd wydostać.

Przynajmniej zwykłą drogą.

Pobiegł w głąb korytarza.

' Katze (niem.

)- kot.

339.

Okienko w ostatnim pomieszczeniu piwnicznym, najmniej zastawionym kratami wyjętymi z kaplicy, było okratowane jak inne.

Pamiętał jednak, że kiedy przyglądał się kratom od strony ogrodu, ta wyglądała na najbardziej skorodowaną i najsłabiej przytwierdzoną do muru.

Wślizgnął się do piwnicy, stanął na pieńku i silnie pchnął ramieniem.

Okno wypadło razem z futryną i kratą.

Na szczęście miękka trawa stłumiła upadek, jedynie rozbita szyba brzęknęła cicho.

Pochwili wysunął się na zewnątrz wśląd za wybitym oknem.

Nasunął na głowę kaptur drelichowej kurtki i pobiegł.

Obiegł dom dookoła, stanął i jednym okiem wyjrzał zza węgła.

Musiałoby już być około północy, albo i później.

Było ciepło, wręcz parno, i mroczno.

Niebo zasnuwały chmury.

Zanosiłoby się naburzę.

Przed gankiem panowały ciemności większe niż gdzie indziej.

Jarzył się tylko jeden, ruchomy punkcik.

Końcówka zapalonego papierosa.

Strażnik był nieostrożny.

Albo zbyt pewny siebie.

Kat z kucnął i pomacał ręką.

Znalazł dwa kamyczki.

Najpierw rzucił jeden, potem drugi.

Żarzący się papieros zatoczył łuk i upadł w trawę.

Strażnik wyszedł z głębokiego cienia ganku i podkradł się do kępy iglaków, skąd niedawno dobiegły go szmery.

Kiedy znalazł się na wysokości Katza, agent w dwóch susach stanął za jego plecami, równocześnie wyciągając z kieszeni nóż sprężynowy.

Tamten instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo i kiedy szcęknięło wysuwane ostrze, zaczął się obracać.

Ale za wolno; może przeszkadzała mu rękana temblaku.

Niezdążył wykonać pełnego obrotu.

Zabulgotał jedynieohydnie, kiedy nóż przeciął mu gardło, i nogisię pod nim ugięły.

Katzzłapałtrupa pod ramiona i ułożyłpod świerkami.

Obmacał ciało ipogratulowałsobie trafnej decyzji.

Oprócz kominiarki na twarzy, strażnikmiał na sobie kamizelkę kuloodporną icios w plecymógłby jej nie przebićalbonie dotrzeć do serca.

Przy okazji namacał pistoletmaszynowy, którynieboszczyk nosił przewieszony przeszzyję.

Aż cmoknął z zadowolenia, rozpoznając znajomy kształt.

Poczwiwe, swojskie uzi w najnowszejj najmniejszej wersji micro, z metalowąkolbą składaną na prawą stronę, tłumikiem ognia i lunetą do wzmacniania obrazu.

Co prawdaKatz nosiłprzy kostce glocka, z którym od początku podróży się nie rozstawał, alewobecnej sytuacji wzmocnienie siły ognia uznał za nad wyraz pożądane.

Wytaął nóż i schował go tym razem nie do kieszeni spodni, a specjalnejkieszonki wszytejod wewnątrz do kurtkina wysokościkarku.

Zdjąłz trupa uzi i jużmiałodejść, kiedycoś przyszło mu do głowy.

Zmitrężyłwięc jeszcze kilka minut, po czymruszył dopiwnic.

340

Otwierane drzwi skrzypnęły lekko.

Zamarł, nasłuchując.

Powoli, czuj -nyjak żuraw, przestąpił próg i zanurzył się w zupełną ciemność.

Kierując się słuchem i znajomością terenu, bez przeszkód dotarł do dębowychdrzwi od kaplicy, zza których dochodziły odgłosy rozmowy.

Miał nadzieję, że jego przyjaciele jeszcze żyli.

Poznawszy spryt Bażyńskiego, ufał, że Polakznalazł jakiś sposób na chociaż chwilowe powstrzymaniemorderców.

Szykował się właśnie do szarpnięcia drzwi i gwałtownegowtargnięcia na scenę, gdyż niepostrzeżone nie wchodziło wgłę, kiedycoś twardego uderzyło go między łopatkami.

- Ruki w wierzch!

- usłyszał groźne polecenie, któremu nie sposób było się oprzeć.

W tym samym momencie, gdy Niemka, która pierwsza weszła na drabinę, by odebrać relikwiarz, krzyknęła ostrzegawczo, Bażyński usłyszał znajomy głos, mówiący szyderczo:

- Nie tak szybko, mo państwo!

Jako się mówi w podobnych okolicznościach: nastąpiła niewielka zmiana planów. Pann von Baysen, zechce pan dołączyć do przyjaciół.

- Schnell!

- ponaglił ją inny głos, też brzmiący znajomo.

A potem w otworze nad sobą Tomasz ujrzał sylwetkę inspektora Czarneckiego.

- Czekamy, panie Bażyński - powiedział cicho, kucając nad włączkami i uśmiechając się półgębkiem.

- I proszę nie zapomnieć o znalezisku.

- Sam je sobie weź - odparł Tomasz.

Odstawił relikwiarz na pierwotne miejsce i dopiero potem wyszedł na górę. Widok brodacza, stojącego obok inspektora z pistoletem w jednej dłoni i latarką w drugiej, nie zaskoczył go wcale.

Towarzyszył im trzeci mężczyzna, zupełnie łysy, ubrany z wyszukaną elegancją. Niższy od tamtych, lecz niezwykle szeroki w ramionach, o małym długich rękach i nalanej gębie z mongolskimi oczami i czerwonym nosem alkoholika.

W ręce trzymał mocną latarkę.

Promień światła padł na twarz Tomasza i zupełnie go oślepił.

Dlatego dopiero po chwili, kiedy łysy zrobił krok naprzód i oświetlił wnętrze krypty, Bażyński dojrzał drugą grupę.

Stanowili ją Anna Maria, Anżelika i komisarz.

Pilnował ich typ ubrany czarno i w kominiarce.

Na czole miał latarkę, a w dłoniach automat wymierzony w pilnowaną trójkę.

- Miałeś rację we wszystkim, Tomaszu - powiedział Jarecki drewnianym głosem.
- Trup miał ranę na udzie, inspektor nigdzie nie wysłał twoich portretów, a on - wskazał brodacza - nazywa się Wolfgang Fischer, ale używa paszportów na różne nazwiska.

Były agent Stasi, obecnie morderca do wynajęcia.

Pseudonim Brunner lub Skorpion.

Od dawna poszukiwany przez Interpol.

Ostatnio widziany w Libanie.

Porwali Anżelikę i nie mogłem ci nic powiedzieć.

Zabili ją.

Wybacz.

Wtulona w jego pierś blondynka zaszlochła i obróciła ku

Tomaszowi wymizerowana twarz z wielkimi sińcami pod oczyma i na policzkach.

Z potarganymi włosami i ubraniem w nieładzie w niczym nie przypominała dawnej wymuskanej Anżelik.

- Oni mnie bili.

Za każdym razem, kiedy dzwonili do Tadeusza.

Żeby

słyszał moje krzyki - chlipnęła i pociągnęła nosem; komisarz objął ją czule.

- Niechże się pani nie maże - powiedział Czarnecki.

- Mogło być

gorzej.

Borys, Iwan i Jurij aż się palili do zawarcia z panią bliższej znajomości.

Typ w czernizarechotał.

- Muszę panu pogratulować - inspektor zwrócił się do Tomasza.

- Zepsuł nam pan taką piękną kombinację.

Gdybym wtedy w szpitalu niezobaczył pańskiej rozczarowanej miny na widok rany na ramieniu denatai nie zauważył, że aż pana korci, by obejrzeć nogę biednego Igora, mielibyśmy się z pyszna.

Musi pan jeszcze popracować nad mimiką.

Ale pozatym: wykapany ojciec.

Urodzony konspirator.

Niedaleko pada jabłko od

jabłoni.

- Co wiesz o moim ojcu, draniu?

- Pamięta pan skład grupy, wysłanej do aresztowania pańskiego ojca?

Była czteroosobowa.

Jednak w raporcie brak numeru pierwszego.

Nazwiskadowódcy.

Zostało usunięte.

To ja nim byłem.

- Ty skurwysynu!

Morderco!

Bolszewicka świnió!

- Wypraszam sobie.

Zostałem pozytywnie zweryfikowany i należy mi się odrobina szacunku.

A pan jest niegrzeczny i politycznie niepoprawny.

Obecnie mówi się o nas; "ludzie honoru".

Widzi pan to?

- dotknął palcem blizny na policzku.

- Tę pamiątkę zostawił mi pański ojciec.

Stawiał opór.

Bardzo nierozsądnie.

A mógł żyć do dziś.

Nie był aż taki ważny.

A propos.

Proszę przyjąć szczere kondolencje.

Z powodu śmierci stryja.

Umarł dosłownie przed paroma godzinami.

Po pańskiej wizycie ruszyło sumienie.

Wyjawiał spowiednikowi wszystko, co o nas wiedział.

A było tego

342

całkiem sporo.

Niewdzięcznik!

Tyle dla niego zrobiliśmy.

Na szczęście poczciwy księżulo też dla nas pracował w swoim czasie.

I doniósł komutrzeba.

Oh, nie ma pan chyba żalu z powodu tego zgonu?

Nielubił pan przecież stryja i wie doskonale, że wieleżycia i tak mu nie zostało. To był coup de grace, że się tak wyrażę.

- Nas też zabijecie, oczywiście - stwierdził Tomasz ponuro.

- Oczywiście.

Ale szybko i prawie bezboleśnie.

To mogę obiecać.

Niech pan sobie o mnie myśli, co chce, lecz nie znoszę zbędnego okrucieństwa.

Pozatym pan mi naprawdę zaimponował.

Bażyńskinie zamierzał poddawać się bezwalki.

Wierzył, że zawsze znajdzie się rozwiązanie nawet najtrudniejszego problemu i wyjście najbardziej beznadziejnej opresji.

Teraz zagrał pierwszą kartą.

- A jak pan się z tego wytłumaczy?

Pańscy ludzie raczej nie są wtajemniczeni, bo ich tu nie widzę.

Ślepi i głusi też chybanie.

Inspektor roześmiał się szczerze.

- Muszę pana rozczarować.

W tej chwili podążają śladem skody tam, dokąd pan ich wysłał, i ręczę, że nie zdziwiła ich nagła metamorfoza śledzonych obiektów.

Zwłaszcza że kazałem im się trzymać dala.

Specjalnie wybrałem najgłupszych funkcjonariuszy całego wydziału.

Zresztą widział ich pan.

Trzech to typowe ofiary naszego systemu edukacji i ci rokują pewne nadzieje, kiedy nabiorą doświadczenia.

A czwarty.

Czwarty to przypadek beznadziejny, genetycznie obciążony.

Syn prominentnego polityka.

Dlatego jego zrobiłem dowódcą grupy.

Sam pan więc widzi.

- rozłożył ręce w udawanym żalu.

- Dość tych pogaduszek.

Bierzmy się do roboty - warknął zniecierpliwiony łysoń.

Mówił popolsku z obcym akcentem, innym niż brodaczy, lecz równie płynnie.

- Wyluzuj - odparł Czarnecki.

- I tak musimy czekać, aż Iwan i Jurij znajdą Katza.

Co jeszcze pragnąłby pan wiedzieć, panie Bażyński?

- Na przykład: skąd dowiedzieliście się o skarbie templariuszy?

I dlaczego to włochate bydło - wskazał Brunnera - zabiło profesora von Baysena?

Wyglądającyna mocno urażonego użył przez Tomasza określeniem, Niemiec już unosił pistolet, lecz inspektor położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Kiedy likwidowano Stasi - zaczął - i pan Fischer zorientował się, że pora zmienić klimat, udając się na przymusową emigrację, zapobiegliwie

343.

skopiował co ciekawsze akta, do których miał dostęp, zanim Instytut Gaucka położył na nich łapę.

Niestety, inaczej niż u nas, Niemcy udostępniłi akta do powszechnego wglądu, dlatego intratne szantażowanie tamtejszych "autorytetów moralnych" raczej nie wchodziło w grę.

Rozczarowany pan Fischer poświęcił się zatem innej formie działalności, na której także znał się wybornie.

Niedawno, jako doradca Hamasu, przebywał w Strefie Gazy i tam spotkał matkę tu obecnej panny von

Baysen.

- Charoszaja dziewczka - przerwał mu łysoń, mlaskając z ukontentowaniem.

- W swoim czasie sam jąszkoliłem.

- ...

i wówczas - kontynuował Czarniecki - Herr Fischer przypomniał sobie, że już zetknął się tym nazwiskiem.

Wyszperał teczkę Helmuta von Baysena i tym razem uważnie przeczytał jego pamiętnik.

Od razu pojął, jaka gratka wpadła mu w ręce.

Ponieważ jednak o poszukiwaniu skarbów miał raczej mętne pojęcie, skontaktował się z autorytetem w tej dziedzinie - Armandem de Fronsardem.

Nielojalnie wobec pana Fischera, monsieur Fronsard zwrócił się w tej sprawie do profesora von Baysena, proponując mu współpracę, udział w spółce przewidywanych zyskach.

Herr Fischer miał jedynie otrzymać jednorazowe wynagrodzenie w wysokości marnego miliona euro, choć spodziewał się co najmniej dziesięć milionów.

Profesor stanowczo odrzucił jednak propozycję Fronsarda, nie chcąc mieć do czynienia z niczym, co należało do jego ojca.

Ponieważ jednak niedługo potem wybrał się do Polski, Francuz uznał, że von Baysen postanowił podjąć poszukiwania na własną rękę.

Dlatego również przybył do Krakowa, by poraz ostatni próbować nakłonić profesora do współpracy.

Znów daremnie.

Tymczasem Herr Fischer, słusznie uważając się za wykolegowanego z interesu, którego wartość przechodziła wszelkie wyobrażenie, śledząc Fronsarda, też zjawił się w Krakowie.

Wieleryzykując, bowiem, jak państwo już wiecie, jest w Europie uważany za persona non grata.

No, ale gra była warta świeczki.

Kiedy jednak profesor nie uległ i jego perswazji, pana Fischera, który nie grzeszy cierpliwością i przesadnie grzecznymi manierami, o czym również mieli się państwo okazję przekonać, odrobinę poniosło.

Zasztytował profesora, nie myśląc o konsekwencjach.

Na szczęście zaraz wpadł napański trop, panie Bażyński, a pan okazał się wprost bezcenną kopalnią informacji człowiekiem, jakiego potrzebowaliśmy.

Mówię „-śmy”, bowiem Herr Fischer potrzebował pomocy i zwrócił się do starych, wypróbowanych przyjaciół z dawnych lat.

344

- A pan mu jej udzielił - przerwał mu Tomasz.

- Wiele ryzykując.

- Dziesięć milionów euro na głowę to duża pokusa.

Bo widzi pan.

Kiedy Fronsard się domyślił, kto zabił profesora, i przyleciał do Warszawy, by się z panem spotkać i zaproponować spółkę w zamian za posiadane informacje, trzeba go było zlikwidować.

Zajął się tym pan Fischer natychmiast po telefonie od komisarza Jareckiego, który uprzejmie powiadomił mnie o panów umówionym spotkaniu w hotelu "Sobieski".

Niestety, po nagłej śmierci Francuza straciliśmy dobrego kupca naszego towaru.

Na szczęście z chwilą, kiedy błyskotliwie ustalił pan, że owa bezcenna relikwia to poszukiwany od setek lat mandylion, wykradzony przez templariuszy z

Konstantynopola, znalazł się jeszcze lepszykupiec.

Jak panu wiadomo, Rosja od dawna uważa się za spadkobierczynię Bizancjum.

A mandylion to największa świętość prawosławia.

Przedstawiana na tysiącachikon.

Jakimż więc ogromnym sukcesempropagandowym byłoby wyeksponowanie oryginału na Kremlu!

Dlatego rząd rosyjski, nieoficjalnie reprezentowany przez obecnego tugospodinaSiergieja Jakowlewa, jest gotów godziwie wynagrodzić uczciwych znalazców.

- Przestań tyle gadać!

- syknął Rosjanin.

-I kończmy już tę zabawę.

W tym momencie otworzyły się drzwi do kaplicy i pojawił się Katzz rękoma w górze, a za nim trącający golufą automatu człowiek w kominiarce, klon tego, który pilnowałjeńców.

-O, znalazł się zaginiony pan Katz- ucieszył się inspektor.

- Adam Katzvel Noah Cohenalias LeviGoldstein- wtrącił Rosjanin.

- Działający pod przykrywką reportera najzdolniejszyz młodegopokolenia agentów Mossadu.

Wrzód na dupie terrorystów islamskich.

Człowiek,który zdemaskował kilku naszych agentów w ostatniej faliŻydów wyjeżdżających z Rosji do Izraela.

Niebezpiecznytyp.

Przeszukajgo, Jurij.

Podczas gdy Fischer trzymał Katza na muszce, Jurijpozbawił go automatui znalazł pistolet.

- A teraz, panie Katz - powiedział Czarnecki- zechce pan zejść nadół, przynieśćnam relikwiarzi odczytać umieszczony na nim arabskinapis.

Słyszeliśmy, żepan to potrafi.

- Gdzie Iwan?

- spytał Jakowlew Jurijs.

- Nie znoju.

-Najtijevo.

Jurij wyszedł.

345.

- Schnell!

- ryknął Fischer, ponaglając pistoletem ociągającego się Katza i wciskając mu do ręki swoją latarkę.

Agent Mossadu zszedł do krypty.

Trójka przyjaciół zbyłych i terażniejszych służb specjalnych pochyliła się nad otworem.

Rosjanin poświecił w głąb reflektorem.

- No i co tam jest napisane?

- rzucił Czarnecki.

- To tylko jedno powtarzające się słowo.

,- Jakie?

- Allah.

-Allah?

- Zapewne templariusze przywieźli tę puszkę z Ziemi Świętej - wtrącił Tomasz.

- Słyszeliśmy, jak wygłaszał pan tę swoją teorię - powiedział inspektor.

- Skoro w relikwiarzu mieszka sam Bóg, zatem mamy prawo przypuszczać, że rzeczywiście chodzi o mandylion.

Czy tak, panie Bażyński?

- Tak sędzę.

-Hej tam, Katz!

Bierz pan relikwiarz i wracaj.

Kiedy Katz wyszedł z podziemi, nawet stojący w oddaleniu Bażyński postrzegł, że był nienaturalnie blady, a na czole perlił mu się pot.

- Dlaczego nie przyniosłeś relikwiarza!

- huknął na niego Czarnecki.

- Nawet go nie dotknąłeś.

Dobrze widzieliśmy.

- Mam wiele grzechów na sumieniu, lecz nie przyłożę ręki do świętokradztwa.

Lepiej mnie od razu zabijcie.

Wszyscy trzej przyglądali mu się uważnie.

- Dziwnie wyglądasz - stwierdził Czarnecki, marszcząc brwi.

- Czy byna pewno nas nie okłamałeś?

Amoże.

Nagle drzwi do kaplicy otworzyły się z hukiem, a razem z przemokniętym do nitki Jurijem do środka wtargnęły odgłosy szalejącej na zewnątrz

burzy z piorunami.

- Suczyj syn!

- wrzasnął Jurij, końcem automatu wskazując Katza.

- On ubił Iwana!

Zarżal jowo kok.

kok kuricu!

Pociągnął za spust w tym samym momencie, w którym agent Mossad ucisnął nożem.

Nóż wbili się Rosjaninowi w gardło.

Seria z pistoletu maszynowego odrzuciła Katza do stóp Bażyńskiego.

Jurij umarł od razu.

Katz jeszcze poruszał ustami, gdy Tomasz przyklęknął i pochylił się nad nim.

- Dżinn.

Lampa.

Śmierć - usłyszał wypowiedziane urywanym szeptem słowa, nim Izraelczyk zamknął oczy i znieruchomiał.

346

Oszołomiony, w pierwszej chwili uznał, że umierający majaczył.

Aż nagle zrozumiał.

Oblał go zimny pot.

Poblądł jak wcześniej Katz.

Miał tylko nadzieję, że nikt tego nie zauważył.

- Kurwa mać!

- wrzasnął Jakowlew, udowadniając, że polskie przekleństwa w określonych sytuacjach brzmią najlepiej i są niezastąpione.

-Straciłem trzeciego człowieka!

Zabić ich wszystkich!

Z gardła Anżeliki wyrwał się zwierzęcy warkot.

Zanim przeszedł wycie, Tomasz zdążył krzyknąć:

- Nie!

Mam propozycję!

Wysłuchajcie mnie!

Ale było już za późno.

Ostatni z ludzi Jakowlewa zrobił krok naprzód, żeby mieć wszystkich jeńców w polu rażenia, lecz Fischer był szybszy.

Jakby od dawna czekał niecierpliwie na taką okazję.

- Uważaj, Tomaszu!

- zawołała Anna Maria po polsku i błyskawicznie wysunęła się przed Bażyńskiego.

Jednak nie on stanowił pierwszy cel Brunnera.

Niemiec strzelił z biodra, mierząc w Anżelikę.

Może dlatego że stała najbliżej, a może czymś mu się naraziła albo zdenerwowała go niekontrolowanym, histerycznym wyciem.

Ułamek sekundy wcześniej Jarek rzucił się, by zasłonić dziewczynę.

Kula trafiła go w ramię i obróciła wokół własnej osi.

Komisarz jęknął z bólu i przytknął dłoń do rany, z której tryskała krew.

- Stać!

- ryknął Czarnecki.

- Stać, do kurwy nędzy!

Skoczył przed swoich druhów i zastawił ofiary własnym ciałem.

Zaskoczony Borys opuścił broń.

Po chwili wahania uczynili to także Fischer i Jakowlew.

Anżelika umilkła równie nagle, jak zaczęła wrzeszczeć, zdjęła szczyt apaszki i pochlipując, zaczęła obwiązywać ranę komisarza.

- Wysłuchajmy go - powiedział inspektor już normalnym głosem odwrócił się do Bażyńskiego.

- Mów!

- Chodzi o następne trzydzieści milionów - Tomasz zagrał swoją przedostatnią kartą.

- Mów jaśniej.

- Jarównież właśnie straciłem kupca - wskazał leżącego bez ruchu Katza i w tej chwili zobaczył, jak tamtemu drgnęła powieka; modlił się, by nikt inny tego nie dostrzegł.

- Zapomnieliście o drugiej części skarbów?

Tej z fragmentem tablic Mojżeszowych i menorą Salomona?

Obiecałem Katzowi, że go do nich doprowadzę.

Myślicie, że władze Izraela będą mniej hojne od rządu rosyjskiego?

- On kłamie!

- rzucił ze złością Fischer, wściekły, że przerwano mu krwawą jatkę.

- Nie słuchajcie go.

347.

- Zamknij się.

To co mówi, ma sens.

Znalazł mandylion, pewnie znajdzie też resztę - powiedział Czarnecki, patrząc badawczo na Tomasza.

- Jaka jest twoja cena?

- Skromny milion euro.

Tyle ofiarował mi Katz.

Was będzie to dodatkowo kosztować komplet lewych dokumentów i przerzut nas wszystkich za granicę.

Dawno chciałem się przenieść do Ameryki - odparł Tomasz pewnym głosem.

Ignorując Fischera, Czarnecki spojrzał pytająco na Jakowlewa.

- Straciłem trzech ludzi - powtórzył Rosjanin z zawziętą miną.

- Najlepszych.

- Wszystkich zabił Katz i już za to zapłacił - odparł inspektor.

- Poza

tym Jurij sam był sobie winien.

Niedokładnie obszukał Katza.

- Mówię wam, że trzeba ich zabić - wtrącił się Fischer.

- Natychmiast.

Rosjanin milczał, wreszcierzekł:

- Chodźmy po ten cholerny relikwiarz.

Potem zadecyduję, co z nimi zrobić.

Borys, pilnuj ich jak oka w głowie!

Schowawszy pas pistolet, przełożył reflektor do prawej ręki, podszedł do otworu i zaczął schodzić po drabinie.

- Przydałyby się jakieś narzędzia do otwarcia puszek - zauważył Czarnecki.

- Mam swój sztylet.

Wystarczy - odparł Fischer.

Zeszli w ślad za Rosjaninem.

W kaplicy zapanowała cisza, od czasu do czasu przerywana pojękiwaniem Jareckiego. Przez wciąż otwartą drzwi słychać było jedynie odgłosy burzy, ale i one z wolna cichły.

Tomasz zauważył lekkie poruszenie palców Katza i prosił Boga, by uszło uwagi Borysa.

Modlił się także, by zbir choć na moment odwrócił od nich swój czujny wzrok.

Wszystkim zostało bowiem zaledwie parę minut życia, albo i nietylko.

Jeśli Katz się nie pomylił, a Tomasz był przekonany, że nie.

Wtem z krypty dobiegły ich podniecone głosy.

- Gotowe.

- Dobra, podważ wieko.

- Nie tak, idioto, uszkodzisz relikwiarz!

Oczy jeńców mimowolnie zwróciły się w tamtą stronę.

Jeden Borys nawet nie drgnął i nie spuścił podopiecznych z oka.

Widać zwykła ludzka ciekawość była mu obca albo został tak doskonale wyszkolony.

Nagle z podziemi doszedł podniesiony głos, w którym brzmiało straszliwe rozczarowanie:

348

- Kurwamać!

Tu nic nie ma.

Za moment ktoś zakaszał, potem rozległ się dziwny charkot na kilka głosów, a wreszcie przerażający, pogłębiony przez pogłos, iście zwierzęcy chórny wrzask, w którym brzmiały strach i niedająca się opisać przerażająca męka.

Zotworu wyłoniła się dłoń, która chwyciła ostatni szczebel drabiny.

Była dziwna, jak u kościotrupa.

Prawie pozbawiona ciała palce rozwarły się nagle i ręka zniknęła z widoku osłupiałych patrzących.

Nawet skamieniały ze zgrozy Borys patrzył w tamtym kierunku.

Tomasz wykorzystał do użycia ostatniego atutu.

- Ręce do góry!

- krzyknął, przytykając Rosjaninowi lufę sauera doskroni.

Wciąż oszołomiony zbior posłusznie wykonał rozkaz.

Tomasz uderzył go kolbą w głowę.

Zanim jeszcze Borys upadł, Tomasz już chwycił Katza pod ramiona, wrzeszcząc do pozostałych:

- Uciekajmy!

Szybko!

Nawet Anżelice trzeba było powtarzać.

Pochwyciła w pół ślaniającego się komisarza i oboje pobiegli przodem.

Anna Maria bez słowa podbiegła do Katza i razem z Tomaszem powlekli go ku wyjściu.

Katka Tomasz ujrzał obłok dymu, ni pary, wypełzający z zejścia do krypty, z której od kilku chwil nie dochodziły żadne odgłosy.

- Dalej, na dwór!

- ponaglił blondynkę i Jareckiego, który z wykrzywioną z bólu twarzą oparł się o mur.

- Zamknij drzwi!

- poleciał Annie Marii, przejmując na siebie dźwiganie agenta Mossadu.

- Chryste!

Niewysłowny lęk w głosie Niemki kazał mu spojrzeć w tył.

W otwartych drzwiach do kaplicy, chwiejąc się jak pijany, stał Borys.

Zdarł głowę kominiarkę pierwszy raz mogli zobaczyć jego twarz.

A raczej mogliby, gdyby przypominała ludzkie oblicze.

Była pomarszczona jak starca, wysadzone oczy niemal wychodziły z orbit, z szeroko otwartych ust wydobywał się odrażający skrzek.

Z błagalnie wyciągniętych rąk skóra i mięso odpadały płatami.

Krzyzcząc wniebogłosy, Anna Maria wyskoczyła naprzód i

kopnięciem zatrasnęła dębowe drzwi przed nosami nieszczęsnej zjawy, blokując skobel gwoździem.

Biegając do zbawczego wyjścia z piwnic, przez krótką chwilę słyszeli jeszcze słabe

łomotanie dozamkniętych drzwi, potem i ono ucichło.

349.

Bażyny, 21 lipca 2010 (środa)

- Wiadomo już, co to było?

- spytała Anna Maria.

- Nie.

Wstępne badanie niczego nie wykazało.

Może dokładniejsza analiza, przeprowadzona w specjalistycznym laboratorium, przyniesie jakieś rezultaty, ale i to nie jest pewne.

Na razie wiemy tylko jedno: była to niezwykle toksyczna substancja gazowa, być może powstała w wyniku reakcji z powietrzem jakiegoś nieznanego nauce ciała stałego, szybko się rozprzestrzeniająca i równie szybko ulatniająca bez śladu.

Ale zabójcza w najmniejszym stężeniu.

Dlatego wciąż nikogo nie wpuszczają-, do piwnic.

Siedzieli we dwoje nastopniach ganku.

Świtało.

Powietrze po burzy było orzeźwiająco świeże.

Ptaki rozpoczynały swoje trele.

Całą posesję obwiedzione taśmami, z którymi cisnął się spory tłumek wyciągających szyje gapiów, obudzonych w środku nocy przez wyjące syreny samochodowe.

Najpierw, za ledwie dziesięć minut po telefonie Tomasza, przybyła karetka pogotowia, poniej policja, a na końcu, bomniały najdalej, dwa wozy strażackie z komendy wojewódzkiej, w tym jeden z ekip ratownictwa chemiczno-ekologicznego, wyposażoną w sprzęt do neutralizacji toksyn.

Pogotowie już odjechało, udzieliwszy pierwszej pomocy Katarzynie zabierając ze sobą Jareckiego, która do towarzyszyła Anżelika.

Strażacy w maskach gazowych, ubrani w ochronne kombinezony przypominające skafandry kosmonautów, jeszcze badali ślady, a policjanci czekali cierpliwie, aż będą mogli przeprowadzić wstępne przesłuchanie świadków, narazie wypytyując strażaków.

- Ale ty wiesz, coto było - nie ustępowała dziewczyna.

-Wiem.

Dżinn.

- Gin?

Jałowcówka?

Kpisz sobie zemnie?

- Nie gin, tylko džinn.

Duch.

Pamiętaszbaśń ocudownej lampieAladyna i mieszkającym w niej džinnie spełniającym rozkazy albo inną -o rybaku i uwięzionym w butelce potężnym złym duchu?

Na relikwiarzynie napisano wcale "Allach", tylko "dżinn".

Adam zdażył mi o tym powiedzieć,zanim stracił przytomność.

Skojarzyłemto z dwuznacznymrozumieniem słowa Veraikon: oblicze Pana.

O umarłych mówią przecież: stanęli przed obliczem Pana.

Dzięki ostrzeżeniuAdama zdołaliśmy się uratować.

Nie chwaląc się, od początku miałem rację.

Relikwia niemożesprowadzać śmierci.

To wewnętrzna sprzeczność.

Jak demokracjasocjalistyczna.

350

- To w takim razie co unicestwiło ścigający templariuszy oddziałNogareta?

-Wybuch prochu.

Już o tym wspominałem.

- Jakoś nie zwróciłam uwagi.

To byłjuż znany?

- Był.

Jego tajemnicę wykradli Chińczykom Arabowie, a za ich pośrednictwem dotarł do Europy.

Anglik Roger Bacon poświęcił mu sporouwagi wswkich traktatach, podobnie jego

rodak Walter de Milimete, a franciszkanin z Fryburga Berthold Schwartz rzekomo skonstruował prototyp broni palnej.

Co prawda pierwszych prymitywnych armat, bombard, o ile się nie mylę, użyli dopiero Francuzi przeciw Anglikom w bitwie pod Crecy w 1346 roku, ale jest całkiem prawdopodobne, że bywały w świecie de Beaujeu już trzydzieści lat wcześniej wiedziało prochu strzelniczym i umiał go używać.

Krzyżacy pod Grunwaldem też mieli działa, lecz chyba w ogóle ich nie zastosowali, zresztą ówczesne armaty były diabelnie nieskuteczne.

Ale do rzeczy.

Jakub de Molay wymyślił perfidną zemstę na sprawcach swej męki i zagłady zakonu templariuszy, a w Guichardzie de Beaujeu znalazł odpowiedniego wykonawcę swego planu.

Młody templariusz nie przywiózł z Ziemi Świętej mandylionczyera ikonu, lecz tajemniczą substancję wyprodukowaną przez arabskich alchemików.

Za pomocą nieznanego jeszcze w Europie prochu zniszczył oddział Nogareta i wywołał powszechne przekonanie o zabójczej mocy wszechpotężnej relikwii.

Chciał żeby nie tylko bezpośredni winowajcy, ale wszyscy niegodziwcy, opanowani żądzą panowania nad innymi, zabijali się dla jej zdobycia lub umierali z rozpacz, że kto inny mógłby ją osiągnąć i im zagrozić.

Dlatego nie oddał rzekomego relikwiarza Krzyżakom, lecz ukrył go, zostawiając wszak zaszyfrowaną wiadomość, jak go znaleźć, by łotry nie ustawały w poszukiwaniach.

I osiągnął cel.

Policzył tylko: papież Klemens, rycerz de Nogaret, król Filip Piękny, Wern von Orseln, Ulrich von Jungingen, Werner von Tettingen, Helmut von Baysen, Hans Frank, Erich Kochezy Hitler, naszych prześladowców nie licząc.

A to tylko niektóre ofiary fałszywej relikwii, które stanęły przed obliczem Pana.

Zemsta z zagrobu działała siedemset lat!

- Ale my nie zginęliśmy.

- Bo nie zależało nam na zdobyciu relikwii.

- Mnie zależało.

Pozostałym chyba też.

Sam powiedziałeś: poszukiwanie skarbów wciąga jak chodzenie po bagnie.

- Mnie nie.

Szczerze powiedziawszy, wątpię, byśmy cokolwiek znaleźli.

351.

- To po co wyruszyliśmy na poszukiwania?

Objął ją imocno przytulił.

- Niedomyślasz się, skarbie?

Pułapkę na mordercę twego ojca mogliśmy zastawić w Krakowie.

Ale wtedy dawno byłabyś już w Niemczechi nigdy więcej byśmy się nie spotkali, nie poznali tak dobrze siebie i rodzinnej historii.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Przecież na początku nawet mnie nie lubiłeś.

-Ale to się szybko zmieniło.

Potrzebowałem tylko czasu, żeby cię przekonać, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Czy ty zawsze myślisz co innego, niż mówisz?

-Wobec ciebie przynajmniej starałem się być szczery.

Ale mogę bardziej.

Zresztą ty też nie jesteś święta.

W kaplicy ostrzegłaś mnie po polsku.

A już wcześniej zauważyłem, że rozumiesz wszystko bez tłumaczenia.

-Nie wszystko.

A mówię słabo.

Ojciec próbował mnie uczyć, ale wtedy nie miałam na to najmniejszej ochoty.

- A teraz?

-A teraz.

Drzwi wejściowe otworzyły się i wyszedł z nich Katz z plecakiem przewieszonym przez ramię.

Rozejrzał się wokół i usiadł obok nich, plecak kładąc u stóp.

- Wybierasz się dokądś?

- spytał go Tomasz.

- Zmywam się, póki gliniarze są zajęci czym innym.

Zresztą wątpię, by ktoś robił tego problem.

Kiedy w grę wchodzi służby specjalne, wszystkim zależy na tym, żeby sprawie jak

najprędzej ukrećić łeb.

Wiemcośo tym.

Za niecałe pół godziny z miejscowego przystanku odchodziautobus doElbląga.

Stamtąd czymkolwiek pryskam do Gdańska, a tamodbiorą mnie nasi i wyekspediujądalej.

Już dzwoniłem do firmy.

- Jak się czujesz?

-Dobrze.

Pożyczona kamizelka sprawiła się całkiem nieźle.

Opróczparu siniakówwielkościspodków i dwóch pękniętych żeber, nic mi niejest.

Ta młoda lekarka opatuliła mnie szczelnie bandażem niczym kapłaniegipską mumię.

Odsamegodotyku jej sprawnych paluszków poczułemsięlepiej.

A co z Tadkiem?

- Stracił dużo krwi.

Kiedy gozabierali, był nieprzytomny.

Anżelikapojechała z nim.

Przykazałem jej, bywbiała sobie i Tadkowi, kiedy jużoprzytomnieje, do głowy, żeby nie mówili policjantom nico jej porwaniu i jego działaniach.

Przeciwnie - mają przedstawić wszystko tak, aby to

352

Tadeuszowi przypadła główna rola w rozwiązaniu zagadki i zlikwidowaniu groźnej szajkimiedzynarodowych bandytów.

Należy musię.

Dobrzego rozumiem inie mamżalu, wychyba też.

Gdyby chodziło o AnnęMarię, postąpiłbym tak samo.

- On się na to nigdy nie zgodzi.

-JużAnżelika go przekona.

Ma swoje sposoby.

Wystarczy, żeby muzagroziła, że nie wyjdzieza policjanta upokorzonego, za to chętnie zaokrytego sławą bohatera, awansowanego dostopnia co najmniej

nadkomisarza.

Może nawet wskoczy na miejsce Czarneckiego do CBS.

- To oni jednak zamierzają się pobrać?

- Na to wygląda.

Nieszczęścia zbliżają ludzi.

Zerknął na nich z ukosa.

- Was też zbliżyły aż do tego stopnia?

- Właśnie ustalamy do jakiego.

- Wiecieco?

Mam dla was propozycję.

Nieuważacie, że stanowimy wyjątkowo zgraną drużynę poszukiwaczy skarbów?

Co byście powiedzieli na małą ekspedycję badawczą w okolice Oliwy i Skarszewów?

Nie od razu, oczywiście.

Powiedzmy w sierpniu?

Tomasz potrząsnął głową.

- Mam dość przygód na ten rok.

- To może w przyszłym?

- Może.

Katz wstał i wziął plecak.

- Noto jesteśmy umówieni.

Aha!

Podobno w decydującym momencie użyłeś pistoletu.

Ciekaw jestem, skąd go wytrzasnąłeś?

- To antyk, rodzinna pamiątka.

Po dziadku Stefanie.

Niedawno goodzyskałem i pomyślałem, że może się przydać.

- A umiesz choć strzelać?

- Nie bardzo.

Zresztą był nienabity.

Agent z trudem stłumił śmiech.

- Jesteś niemożliwy.

Trzymajcie się.

Zadzwoń.

Kiedyś.

Jeszcze przed momentem stał obok nich, a po chwili zniknął, jakby go nigdy nie było.

- No to jak z nami będzie?

- dociekał Tomasz.

- Najpierw muszę wrócić do Niemiec, sprawdzić, co u matki.

Pogrzebójca może jeszcze kilka dni poczekać.

A ty?

- Wracając do Krakowa, zatrzymam się na krótko w Warszawie, żeby dopilnować pochówku stryja.

Całe życie był świnią, ale przynajmniej

353.

na koniec próbował odkupić winy.

Przestańciemniac!

Wiesz, że nieo taką perspektywę czasową mi idzie.

W jej oczach zamigotały szelmowskie płomyki.

-Nie myśl, że dam ci się zakopać w Krakowie.

Piękne miasto, ale i Monachium niczego sobie.

Powiedzmy fifty-fifty:trochę tu,trochę tam.

I koniecznie musisz się podciągnąć w niemieckim.

-Dla ciebie wszystko.

- A co z Ameryką?

-Może poczekać.

W całym tym zamieszaniu nie miałem okazji ci powiedzieć, że wczoraj dzwoniła ciocia Misia.

Wlicumczeka na mniekontrakt na następny rok.

Ale przede wszystkim: wreszcie dostałem asystenturę na ASP.

A zresztą,do diabła z nimi!

Zostanę twoim menedżerem,a w wolnych chwilach będę pisał sensacyjne bestsellery.

Co ty na to?

Rozglądnęła się dookoła.

- I wiesz co?

Kupimy ten dwór.

Tak szybko, jak się da.

Ojciec zostawiłmi mnóstwo pieniędzy.

Będziemy tu przyjeżdżać na wakacje.

W tenspóbhistoria rodziny zatoczy koło.

- Jak te bociany - pokazał parę ptaków kołujących nad gniazdem.

-A swoją drogą.

Wiesz, co w Polsce symbolizująbociany?

-Nie.

- No widzisz, czegoś uczą w tych Niemczech?

Alenie przejmujesz, jestem całkiem niezłym pedagogiem.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Był to bardzo ługi pocałunek.

Najdłuższy z dotychczasowych.

Ale nie ostatni.

- Poczekaj chwilę - powiedział i poszedł w kierunku krzaka z czerwonymi różami, skrzącymi się od kropel po niedawnej burzy.

OD AUTORA

Krzyżacki relikwiarz, dokładnie taki jak opisany w książce, istnieje naprawdę. Jest przechowywany w kościele Świętego Floriana w Krakowie i przy specjalnych okazjach udostępniany zwiedzającym.

Napisu, znajdującego się wewnątrz szklanego (albo kryształowego) cylindra, podobno nie da się odczytać.

Autor uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby w niniejszej powieści możliwie najdokładniej oddać realia, zarówno historyczne, jak i bardziej tajemnicze.

To samo dotyczy postaci historycznych, przedstawionych zgodnie z dostępnymi autorowi źródłami na ich temat.

Codo Guichardade Beaujeu - jego historyczność jest raczej wątpliwa.

Ale prawdopodobna.

Podobnie jak istnienie dwóch bliźniaczych pektorałów i tajemniczej relikwii, które są produktem wyobraźni autora.

Książkowi główni bohaterowie, Anna Maria von Baysen i Tomasz Bażyński, to postaci fikcyjne.

Ale niemiecko-polski ród von Baysen-Bażyńskich istniał naprawdę (zdaje się, że nawet przetrwał do dziś) i odegrał swoim czasie niepoślednią historyczną rolę.

Najwybitniejszym jego przedstawicielem był niewątpliwie Hans von Baysen vel Jan Bażyński, który w 1454 roku, w imieniu mieszkańców Prus (Polaków Niemców), powierzył tę ziemię w opiekę Polsce.

Dla autora człowiek ten urasta do rangi symbolu lokalnego patrioty.

Mieszane pochodzenie pozwoliło mu lepiej niż innym ocenić sytuację, w jakiej znalazł się, jak byśmy dziś powiedzieli, "mała ojczyzna".

Ówczesna Polska, gwarantująca swoim obywatelom dużą swobodę, stanowiła dla Prusaków lepszą alternatywę od krzyżackiego reżimu.

Analogicznie, acz na odwrót, w XIV wieku postąpili Ślązacy.

Wybierając panowanie czesko-niemieckie zamiast dotychczasowego polskiego, wybrali opcję dla siebie wtedy korzystniejszą.

Obywatele mają bowiem prawo

355.

do wszechstronnego rozwoju.

Wprzecywnym wypadku mogą sobiezmieniĆ państwo na lepsze.

Co wypada polecieć ku rozwadze współczesnym politykom.

Poglądy wyrażone w powieści są wyłącznie poglądami autora i niktinny nie ponosi za nie odpowiedzialności.

PODZIĘKOWANIA

Po raz pierwszy autor porwał się na powieść, której akcja toczy się tylko w zamierzchłej przeszłości.

A ponieważ znacznie lepiej znasie na realiach dawnych niż terażniejszych, potrzebował pomocy.

Dlatego, last, but not kast, jak mawiają Anglicy, pragnie serdecznie podziękować wszystkim osobom i instytucjom, które przyczyniły się do powstania tej książki.

Szczególnie zaś (kolejność przypadkowa):

Pani Alinie Marchewce oraz panom Tomaszowi Jeńcowi i Dariuszowi Piekarskiemu z Komendy Wojewódzkiej w Krakowie, także panu Zbigniewowi Nowakowi z Komendy Miejskiej - za informacje o pracy policji, o której autor miał pojęcie więcej niż blade.

Pani Dorocie Solak oraz panom Romanowi Graczykowi i Marcinowi Kapuście z krakowskiego oddziału IPN - za udostępnienie publikacji źródłowych oraz możliwość dokładnego obejrzenia archiwum w Wieliczce.

Panu Tomaszowi Konopce z Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie - za zapoznanie z tym (dla laika dość makabrycznym) aspektem medycyny i oprowadzenie po swoim królestwie.

Panu Zenonowi Piechowiz Instytutu Historii ui - za tłumaczenie z łaciny.

Pani Dorocie Ring ze Szkoły Podstawowej w Bażynach - za wirtualne oprowadzenie po tej miejscowości.

Przyjacielowi Januszowi Skalskiemu - za książki o okupowanym Krakowie.

Historyk sztuki: panom Jerzemu Źmudzińskiemu oraz (zwłaszcza)

Wojciechowi Walanusowi z Instytutu Historii Sztuki uj - za wiadomości o średniowiecznych relikwiarzach.

Panu Januszowi Tandeckiemu, historykowi z Uniwersytetu im.

Mikołaja Kopernika w Toruniu - za kilka cennych uwag o Krzyżakach.

Proboszczowi parafii Świętego Floriana w Krakowie, księdzu Janowi Czyrkowi - za wstępny opis krzyżackiego relikwiarza.

Panu Krzysztofowi Góreckiemu, jednemu z organizatorów grunwaldzkich obchodów rocznicowych - za szczegóły dotyczące współczesnego

357.

rycerstwa uczestniczącego w inscenizacjach grunwaldzkich.

Swojemu szefowi panu Robertowi Chojnackiemu (co prawda wymienionemu na końcu, ale i tak słusznie należy to uznać za objaw lizusostwa) z Wydawnictwa Otwartego - za rzeczowe uwagi, wymyślenie tytułu i zaskakującego (oby!) zakończenia książki (chodzi o zawartość relikwiarza).

Podziękowania i gratulacje za wykonanie dobrej roboty należą się także założycielom i twórcom internetowej Wikipedii, niezastąpionej, jeśli chodzi o elementarne wiadomości.

Za wszelkie mimowolne nieścisłości i odstępstwa od otrzymanych rzetelnych informacji, które nieświadomie lub z premedytacją (zwłaszcza za nie) zakradły się do książki, winę ponosi wyłącznie autor.

Wydawnictwo Otwarte sp.

z o.o.

,ul. Kościuszki 37,30-105 Kraków.

Wydanie I, 2009.

Druk: Colonel, ul.

Dąbrowskiego 16, Kraków.